

Najnowszy bestseller



LISA GARDNER

KLUB OCALONYCH

Lisa Gardner

Klub Ocalonych

(The Survivors Club)

Przekład Jan Hensel

Prolog: Eddie

Zaczęło się od rozmowy:

– To eksperci są problemem, a nie gliniarze. Gliny to tylko gliny. Jednych obchodzi tylko kawa i pączki, innych własna emerytura. Ale ci goście z laboratoriów... Kurwa, czytałem o takiej sprawie, gdzie przyskrzynili faceta, porównując szwy jego dżinsów z krwawym odciskiem, który zostawił na miejscu zbrodni. Nie zalewam. Jakiś jajogłowy zeznał w sądzie, że dżinsowe portki mają taki niepowtarzalny ścieg i układ nici, że jest tylko jedna szansa na miliard, żeby inna para zostawiła taki sam ślad. W mordę jeża, aż się wierzyły nie chce!

– Nie chodź w dżinsach – powiedział drugi mężczyzna. Pierwszy, właściwie dzieciak, przewrócił oczami.

– Genialne, kurwa.

Drugi wzruszył ramionami.

– Zanim zaczniesz pieprzyć, jak to lewisy posłały kogoś za kratki, może powinniśmy zacząć od najważniejszego. Od odcisków palców.

– Rękawiczki – podrzucił bez namysłu dzieciak.

– Rękawiczki? – Drugi mężczyzna zmarszczył brwi. – A ja myślałem, że powiesz mi coś odkrywczego.

– Zgoda, rękawiczki są upierdliwe. Ale odsiadka też do przyjemności nie należy. Co niby można jeszcze na to poradzić?

– Bo ja wiem? Ale nie chcę nosić rękawiczek, jeżeli nie muszę. Zastanówmy się.

Mógłbyś wszystko wytrzeć – zaproponował chłopak. – Amoniak rozpuszcza tłuszcz z łapsk. Przygotowujesz buteleczkę roztworu amoniaku z wodą. Potem psikasz tym zajzajerem wszędzie tam, gdzie dotykałeś paluchami, i pucujesz. Tylko nie możesz zapomnieć o... – Dzieciak umilkł. Zdawało się, że nie jest w stanie wypowiedzieć słowa, które ma na myśli. Mężczyzna uznał, że to zabawne, biorąc pod uwagę wszystko, czego ten „dzieciak” dokonał. Pokiwał głową.

– Tak. I to wszystko amoniakiem, rzecz jasna. Inaczej mogliby podświetlić jej skórę jakimiś promieniami czy zadymić jakimiś tam oparami i całe pucowanie na gówno by się zdało. Zamiast psikać babę od stóp do głów, można ją od razu wrzucić do wanny. Tak, wiesz, dla pewności.

– No. – Dzieciak pokiwał w zamyśleniu głową. – Ale i tak mógłbyś coś opuścić. Poza tym miałbyś od groma roboty. Pamiętaj, co piszą w podręczniku: „Im więcej kontaktów z ofiarą, tym więcej śladów”.

– Słusznie. Jakies inne pomysły?

– Mógłbyś zostawić fałszywe odciski. Poznałem takiego gościa z Nowego Jorku. Jego gang odcinał dłonie swoich wrogów, a potem zostawiał ich odciski na miejscu własnych zbrodni.

– I co? Działo?

– Hm, połowa gangu siedzi za kratami...

– Czyli nie działało.

– Raczej nie.

Mężczyzna wyduł wargi.

– Ale to ciekawe posunięcie. Twórcze. Policja nienawidzi ludzi z inwencją. Warto by się dowiedzieć, gdzie ci gangsterzy popełnili błąd.

– Popytam o to.

– Odciski palców to nic innego jak tylko ślad pozostawiony przez linie papilarne, czyli wzór złożony z małych rowków i górek – myślał na głos mężczyzna. – Wystarczy wypełnić czymś te rowki, i odciski z głowy. Coś mi się zdaje, że musi istnieć sposób, żeby to zrobić. Może pomazać paluchy klejem do wszystkiego? Obiło mi się coś takiego o uszy, ale nie wiem, czy zdaje egzamin.

– Ale w ten sposób straciłbyś czucie w rękach, nie? Jak tak, to lepiej od razu zostać przy rękawiczkach, które są już przecież sprawdzone.

– Są jeszcze blizny. Jak sobie będziesz nacinał opuszki, zabliznione rany zmieniają linie papilarne.

– Nie, dziękuję!

– Nic bez bólu – zauważył sentencjonalnie mężczyzna.

Taa... ale jak nie ma radochy, to po co się w to wszystko w ogóle pakować. Jak myślisz, co blizny robią z zakończeniami nerwowymi pod naskórką? Równie dobrze możesz sobie od razu odrąbać wszystkie paluchy i mieć problem z głową. Trzeba się trzymać prostych rozwiązań, pamiętasz? To kolejna sprawa, na którą zwraca uwagę podręcznik: „Proste znaczy dobre”.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Dobra, niech będą rękawiczki. Najcieńszy możliwy lateks. To rozwiązuje problem odcisków. Następny punkt: DNA.

– Ożesz kurwa – zasepił się dzieciak.

– DNA to niezła zagwozdka – zgodził się mężczyzna. – Jak chodzi o odciski palców, wystarczy pilnować, czego się dotyka. Ale z DNA... Musisz wziąć pod uwagę włosy, krew, spermę, ślinę. O, i jeszcze odciski zębów. Nie zapominajmy o analizach uzębienia.

– Kurde, naprawdę masz niezłego zajoba. – Dzieciak znowu przewrócił oczami. – Słuchaj, nie gryź niczego ani nikogo. To zbyt ryzykowne. Przyskrzynili już kilku złodziei, porównując ich uzębienie z odciskiem zostawionym na kawałku żółtego sera w lodówce. Cholera wie co mogą zrobić z kobiecą piersią. No dobra, wróćmy do DNA.

– W porządku. DNA.

– Odstaw OJ. Simpsona – odrzekł z wyraźną irytacją dzieciak. – Niech prawnicy się tym zajmą.

– Naprawdę myślisz, że prawnicy są tacy dobrzy? – zapytał mężczyzna z kpina w głosie.

Chłopak zrobił się drażliwy.

– To co, do kurwy nędzy, można jeszcze poradzić? Założyć pieprzonego kondoma? Równie dobrze możesz rznąć ogrodowy szlauch.

– W takim razie potrzebujemy czegoś lepszego. Zwalanie winy na niekompetencję gliniarzy to główniana linia obrony. Zresztą to nie oni zajmują się DNA. Szpital wysłała próbki do Departamentu Zdrowia przez specjalnego kuriera. Co jest, gazet nie czytasz?

– Czytam...

– Wrzucenie do wanny też na nic się nie zda – ciągnął nieustępliwie mężczyzna. – Pamiętaj o Motyce. Facet wstawił tę kobitkę do wanny i wszystko poszło tak gładko, że teraz bałwan będzie do zasranej śmierci gnił w więzieniu. Nasienie dostaje się w głąb ciała. Potrzeba czegoś więcej niż kąpieli, jakiegoś rodzaju płukania. Bo ja wiem? Poza tym są jeszcze włosy. Z włosa też można wydobyć DNA, jeżeli znajdą cebulkę. No i mogą porównać włos znaleziony na miejscu zbrodni z włosem na łepetynie. Wanna stanowczo nie załatwi sprawy. Jeszcze jakiś

nadgorliwy gliniarz wyciągnie moje włosy z rury odpływowej. W ten sam sposób mogą wydobyć próbki krwi. Nie, do tego trzeba się poważnie przygotować.

– Ogól się.

– Na całym ciele?

– Tak. – Głos dzieciaka zdradzał irytację. – No, wszędzie. Zawsze możesz się wytłumaczyć, że kręci cię pływanie albo kulturystyka. A co, kurwa?

– Golenie to dobry pomysł – zgodził się mężczyzna. – Załatwia sprawę włosów. Co jeszcze? Sprawdzą jej usta. Pamiętasz?

– Tak, tak, korzystałem z tej samej książki co ty.

– Żadnego dotykania gołymi rękami. Nawet gałek ocznych.

– Tak, też czytałem o tym śledztwie.

– No i chyba nie zakładać dżinsów.

– Noś pokrowce na butach, żeby zmniejszyć ryzyko pozostawienia ziemi i włókien – dodał dzieciak. – I zawsze, kiedy to możliwe, uciekaj się do podstępów i kłamstwa. Włamywanie się na chama znaczy, że musisz użyć narzędzi, których ślady mogą się przydać w śledztwie.

Mężczyzna pokiwał głową.

– W takim razie załatwiliśmy problem wszystkich materialnych śladów oprócz DNA. Musimy wykombinować, jak się go pozbyć. Wystarczy, że znajdą jedną próbkę spermy, sprawdzą ją w bazie danych i...

– Wiem, wiem. – Dzieciak zamknął oczy. Zdawało się, że mocno się zastanawia. Bardzo mocno. W końcu powiedział: – Mógłbyś im zamydlić oczy. Był taki facet, którego przyskrzynili za serię gwałtów na podstawie DNA, ale kiedy siedział w kiciu, zgłoszono kolejny gwałt, a na majtkach dziewczyny znaleziono to samo DNA.

– I co się stało?

Dzieciak westchnął.

– Facet dostał za to wyższy wyrok. Oszustwo w celu utrudnienia śledztwa czy coś takiego.

– Zgwałcił następną dziewczuchę, kiedy siedział w pierdlu?

– Nie, człowieku. Spuścił się do butelki po keczupie i wysłał ją kumpłowi, który zapłacił dziewczynie pięćdziesiąt dolców, żeby rozmasowała toto na gaciach, a potem krzyczała, że gwałt. No wiesz, żeby się wydawało, że na wolności szaleje prawdziwy gwałcieciel, który ma takie samo DNA.

– Nie ma czegoś takiego jak dwaj faceci z takim samym kodem genetycznym. Nawet bliźniaki mają inne DNA.

– No właśnie. Na tym polegał błąd. Biegle to wiedzieli, prokurator to wiedział i policja wiedziała. Więc naciskali dziewczynę tak długo, aż wyśpiewała, co się naprawdę stało.

– Jest w tym jakiś morał?

– Tak. Zapłać dziewczynie więcej niż gówniane pięć dych! Mężczyzna westchnął.

– To kiepski plan.

– Chciałeś, żebym ci podrzucił jakiś pomysł, to podrzucam.

– Ale miałem na myśli coś dobrego.

– E tam, pierdol się.

Mężczyzna nie odpowiedział. Dzieciak także milczał.

– Trzeba znaleźć sposób na DNA – mruknął po jakimś czasie chłopak.

– No – zgodził się mężczyzna.

– Gumka na małego – prychnął dzieciak. – Po co ci coś takiego?

– Zresztą może się okazać nieskuteczna. Prezerwatywy przeciekają, pękają. Poza tym policja robi się coraz lepsza w identyfikacji substancji nawilżających i plemnikobójczych. Dzięki temu są w stanie stwierdzić, jaka to marka. Zaczynają rozpytywać w aptekach i sklepach. I nagle ni z tego, ni z owego pojawia się jakaś pani magister, która dziwnym trafem zapamiętała faceta kupującego pudełko...

– I masz przechłapane.

– No. Ci goście z laboratoriów. Każda pierdółka, jaką zostawisz na miejscu zbrodni...

Dzieciak nagle się ożywił.

– Czekaj – powiedział. – Mam pomysł.

JERSEY

Blondynka w celowniku Leupold Vari-X III 1.5-5 x 20 mm nie wyglądała na przerażoną perspektywą śmierci. Poprawiała właśnie fryzurę. Po chwili wyciągnęła kosmetyczkę i zaczęła sprawdzać szminkę na ustach – perłowy róż. Jersey poprawił ostrość w leupoldzie, gdy dziennikarka wydeła wargi do lusterka, ćwicząc jedną ze swoich uwodzicielskich min. Stojący obok niej operator opuścił ciężką, spoczywającą poprzednio na ramieniu kamerę i przewrócił oczami. Widocznie znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że cała operacja potrwa jeszcze bardzo długo.

Kilka metrów od blondyny inny reporter, tym razem ze stacji WNAC-TV produkującej program nazwany *Wieści z przyszłości* – tylko aby, broń Boże, nie użyć słowa „przewidywania” – z zacięciem wyskubywał nitki ze swojego błotnisto-brązowego garnituru. Jego kamerzysta siedział na trawie, popijał kawę z Dunkin’ Donuts i mrugał sennie oczami. Po drugiej stronie kamiennego obelisku, który dominował nad parkiem Bohaterów Wojennych, stał z tuzin innych dziennikarzy, poprawiających teksty i własny wygląd, ziewających ze zmęczenia, a potem spoglądających w stronę ulicy.

Ósma zero jeden rano. Poniedziałek. Jeszcze co najmniej dwadzieścia dziewięć minut do momentu, gdy według przewidywań niebieska furgonetka z zakładu karnego podjedzie pod kompleks budynków sądowych w centrum Providence. Wszyscy byli znudzeni. Jersey też nudził się jak mops. Już od zeszłego wieczoru tkwił na dachu przysadzistego ceglanego gmachu. A w nocy zrobiło się zimno, mimo że był już początek maja. Trzy żołnierskie koce, czarny kombinezon i czarne rękawiczki Boba Allena dla strzelców, a i tak Jersey trząśł się jak galareta aż do wschodu słońca. Nie wybiła jeszcze szósta, kiedy zrobiło się jasno, co oznaczało, że miał do zabicia co najmniej dwie i pół godziny, a nie mógł wstać i rozprostować kości, by nie spalić swojej pozycji.

Jersey spędził noc – i rano – przyczajony za półmetrowym ozdobnym murkiem biegnącym wzdłuż krawędzi dachu. To czyniło go niewidzialnym dla ludzi na dziedzińcu poniżej, a także – co ważniejsze – dla dziennikarzy stłoczonych w parku po drugiej stronie ulicy. Poza tym murek będzie stanowił idealną podpórkę dla karabinu, kiedy nadejdzie czas.

Gdzieś między ósmą trzydzieści a dziewiątą niebieska furgonetka zatrzyma się. Wysoka na dwa metry brama z kutego żelaza otworzy się. Furgonetka wjedzie na wewnętrzny dziedziniec sądu. Brama się zamknie. Rozsuną się drzwiczki samochodu. A wtedy...

Palec Jersey’a drgnął, zaciskając się na spuście ciężkiego karabinu AR15. Płatny zabójca zreflektował się i rozluźnił dłoń, lekko zaskoczony własną nerwowością. Zwykle nie tracił opanowania. Trzeba zachować spokój, powiedział sobie. Luz blues. W końcu nie czekało go nic, czego by już nie robił. Na pewno sobie poradzi.

Jersey chodził na polowania od momentu, kiedy potrafił ustać na własnych nogach, zapach prochu działał na niego tak kojąco, jak na innych działa zapach talku. Podążając za przykładem ojca, w wieku osiemnastu lat zaciągnął się do wojska, gdzie spędził osiem lat na doskonaleniu umiejętności strzeleckich. Nie chwając się, Jersey potrafił trafić z odległości pięciuset metrów w cel, jakiego inni nie umieli ustrzelić ze stu. Był także członkiem elitarnego Klubu Pięciu Milimetrów – z dwustu metrów potrafił umieścić trzy kule w odległości pół centymetra od siebie. Jego ojciec walczył jako snajper w Wietnamie, Jersey uznał, że strzelanie ma we krwi.

Pięć lat temu, próbując zapewnić sobie poziom życia, na jaki nie mógł liczyć na garnuszku armii Stanów Zjednoczonych, rozpoczął własną działalność. Wyznawał zasadę podwójnej niewiadomej. Klienci nie znali jego nazwiska, a on nie znał nazwisk klientów. Pierwszy pośrednik kontaktował się z drugim pośrednikiem, który kontaktował się z Jerseyem. Pieniądze szły na odpowiednie konto. Informacje na temat ofiar były przysyłane do skrytek pocztowych, które Jersey wynajmował na krótki okres na fałszywe nazwisko. Z zasady nie podejmował się zabójstw kobiet ani dzieci. Bywały dni, gdy wydawało mu się, że dzięki temu jest dobrym człowiekiem. Kiedy indziej uważał, że jest przez to jeszcze gorszy, bo stara się w ten sposób udowodnić, że ma sumienie, gdy tymczasem – no cóż, sami rozumiecie – zabija ludzi dla forsy.

Gdyby ojciec się dowiedział, na pewno by tego nie pochwalił.

Ta akurat robota została nagrana pięć miesięcy temu. Jersey od razu się nią zainteresował. Po pierwsze, ofiarą miał być prawdziwy gwałcieciel, więc Jersey nie musiał się przejmować wyrzutami sumienia. Po drugie, zlecenie oznaczało podróż do Providence, a Jersey zawsze pragnął zwiedzić stan Rhode Island. Czterokrotnie przyjeżdżał do miasta na rekonesans i na razie podobało mu się to, co zobaczył.

Providence było niedużym miastem, a po rzece Providence, nad którą leżało, w wybrane piątki i soboty pływały gondole. Czarne eleganckie łódki wyglądały jak świeżo sprowadzone z Wenecji, burmistrz zatrudnił nawet grupkę Włochów, którzy w koszulkach w biało-czarne pasy i słomianych kapelusikach z czerwonym otokiem obwozili klientów w tę i z powrotem. Było też coś, co nazywano „wodnymi ogniami”: pośrodku rzeki rozpalano ogniska. Można było sobie siedzieć na tarasie ulubionej restauracji i patrzeć na płonącą rzekę, gdy turyści pruli przez płomień w gondolach. Jersey potajemnie żywił nadzieję, że któryś się zapali. Niech tam – każdy ma prawo do marzeń.

Miasto przypadło mu do gustu. Wzniesiony z czerwonej cegły po wschodniej stronie rzeki gmach sądu, na którego dachu właśnie siedział, wieńczyła strzelista biała wieża z zegarem. W tym miejscu spotykały się stary kolonialny świat i przepych nowego kapitału. Fasada sądu przylegała do Benefit Street, która wyglądała jak ciągnąca się na półtora kilometra reklama starych fortun – wielkie dziewiętnastowieczne domy z wiktoriańskimi wieżyczkami i gotyckimi oknami poprzecinane zielonymi trawnikami i ceglany murkami. Tył budynku sądu, czyli tam, gdzie ukrywał się Jersey, sąsiadował z rozległym parkiem Bohaterów Wojny, na którego murawie stały szacowne brązowe rzeźby żołnierzy i znacznie mniej dystyngowane bryły wyciosane dłutem współczesnych artystów. Nowoczesna sztuka zadomowiła się tu dzięki Stanowej Szkole Wzornictwa, której kampus przylegał do jednego z boków sądowego gmachu.

Mieszkańcy Rhode Island nie przywykli do brutalnych przestępstw. Co roku odnotowywano tutaj trzydzieści zabójstw, coś koło tego. Stan był lepiej znany z długiej historii machlojek finansowych i skorumpowanych polityków utrzymujących kontakty z mafią. Jak mawiała okoliczna ludność, ważne jest, kogo się zna, a nie, co się umie i wie. Rzeczywiście, zdawało się, że wszyscy się tu znają, co trochę wkurzało Jersey'ego.

Ziewnął przeciągle, lecz od razu nad sobą zapanował i wyteżył uwagę. Była już ósma dwadzieścia jeden. Zostało niewiele czasu. Na trawie po drugiej stronie ulicy reporterzy stacji telewizyjnych zaczęli się ożywiać.

Wczoraj wieczorem przed pójściem do sądu Jersey w pokoju hotelowym skakał po kanałach, aby zaznajomić się z lokalnymi gwiazdami programów informacyjnych. Nie rozpoznał

śliczniutkiej blondynki na dole, chociaż koszulka jej kamerzysty wskazywała, że oboje pracują dla WJAR, lokalnego oddziału NBC, i stanowią Zespół Reporterski Numer 10. Porządna sieć telewizyjna. Tylko pogratulować, pomyślał Jersey.

Po chwili zaczął się zastanawiać, czy kobieta ma pojęcie, jaka sensacja wydarzy się tego ranka. Jego cel, Eddie Como nazywany przez media Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego, pojawiał się w Rhode Island na pierwszych stronach gazet. Każdy chciał cyknać zdjęcie krępego, lekko przygarbionego Eddiego albo zarejestrować na taśmie jedną z jego trzech pięknych ofiar.

Ale reporterzy jeszcze nie wiedzieli o Jerseyu. I o jego kliencie. O tym, co miało się wydarzyć tego słonecznego poniedziałkowego ranka na początku maja. Na myśl o tym Jersey poczuł niepohamowany przyływ sympatii do tych znudzonych, wystrojonych pajaców na trawniku. Miał coś dla nich. Dzięki niemu któryś z nich może się stać kimś bardzo, bardzo wyjątkowym.

Choćby ta ładniutka blondyneczka z różowymi usteczkami. Zjawiała się tutaj z samego rana, trzymając w garści napisany zawczasu tekst i myśląc sobie, że najwyżej uda jej się sfilmować podjeżdżający niebieski van, który będzie można pokazać w porannym wydaniu wiadomości. Dwadzieścia innych ekip zarejestruje to samo. Nikt nie będzie ani lepszy, ani gorszy od reszty. Po prostu kolejny dzień pracy – trzeba pokazać to, co jest do pokazania, aby wszyscy dociekliwi telewidzowie mogli zaspokoić ciekawość.

Tylko że komuś, kto siedzi w tym parku pośród pomników żołnierzy i dziwacznych kompozycji sztuki współczesnej, trafi się niezła gratka. Ktoś – może właśnie blondyneczka – kto zjawił się, aby nakręcić rutynowy materiał o niebieskiej więziennej furgonetce, odejdzie z obrazem płatnego zabójcy.

Nie dało się tego w żaden sposób uniknąć. Jersey mógł mieć dostęp do Eddiego Como tylko w momencie, gdy ten będzie wysiadał z więziennego samochodu przed budynkiem sądu w dniu rozpoczęcia procesu. A że Eddie Como wysiadzie z wozu na ogrodzonym i oddzielnym od ulicy żelazną bramą wewnętrznym dziedzińcu wielkości mniej więcej podwójnego garażu, Jersey będzie musiał strzelić prawie pionowo w dół.

Masywny gmach sądu ciągnął się wzdłuż prawie całej ulicy i pięć piętnaście pięter wwyż, górując nad okolicznymi budynkami i mężnie strzegąc dostępu do swego tylnego dziedzińca. W związku z tym od samego początku plan Jerseya był jasny. Najpierw musiał się dostać do sądu, co okazało się łatwe, gdy tylko rozpracował trasę i czas obchodu strażników. Następnie musiał zająć miejsce na dachu dokładnie nad wewnętrznym dziedzińcem, aby mieć dogodną pozycję do strzału. Trzeba było zakraść się tam pod osłoną nocy. A potem, gdy van w końcu nadjedzie gdzieś między ósmą trzydzieści a dziewiątą, będzie miał pięć sekund, żeby wstać, odstrzelić Eddiemu Como łepetynę i rzucić się do ucieczki.

Funkcjonariusze eskortujący więźniów prawdopodobnie go nie zauważą – kąś będzie zbyt ostry – a sami aresztanci będą zbyt przerażeni hukiem i fragmentami mózgu na twarzach i we włosach, ale reporterzy – każdy chciwy, żądny sensacji dziennikarzyna – będą mieli doskonały widok na wstającego Jerseya. Strzelającego Jerseya. Jerseya biegnącego po płaskim dachu sześć pięter nad ziemią.

Sam strzał będzie łatwy. Odległość wyniesie jakieś piętnaście metrów. Wystarczy wymierzyć lufę prosto w dół. Jersey mógł równie dobrze zostawić karabin i zamiast tego zrzucić Eddiemu na

łeb kowadło. Tak, sam strzał będzie raczej nudny. Ale to, co nastąpi później... To, co nastąpi później, będzie naprawdę zabawne.

Ruch po drugiej stronie ulicy. Jersey spojrział na ładną blondynę w samą porę, by zobaczyć, jak upuszcza szminkę i biegnie truchtem do przodu. Czas na przedstawienie.

Zerknął na zegarek. Pięć po wpół do dziewiątej. Zdaje się, że władze postanowiły nie trzymać dziennikarzy w niepewności.

Przysunął karabin i nastawił celownik na 1.5. Tyle wystarczy na strzał z odległości piętnastu metrów w ludzką głowę. Sprawdził magazynek z dwudziestoma kulami. Używał 55-granowych pocisków Winchestera 223 Remington z miękką końcówką, które według informacji na pudełku nadawały się najlepiej do polowania na pieski preriowe, kojoty i świstaki.

A teraz kolej na Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

Jersey przykląkł. Ułożył lufę na murku i przyłożył oko do celownika. Ledwo rozpoznawał kształty kamiennych arkad okalających zewnętrzną część dziedzińca. Usłyszał raczej, niż zobaczył otwieranie czarnej żelaznej bramy. Zachować spokój. Luz blues. W końcu nie czekało go nic, czego by już nie robił. Na pewno sobie poradzi.

Aresztanci będą skuci wspólnym łańcuchem. Większość będzie miała na sobie więzienne uniformy w kolorze khaki lub błękitne. Lecz Eddie Como będzie wyglądał inaczej. Na pierwszy dzień procesu ubierze się w garnitur.

Jersey odczekał do momentu, gdy usłyszał przypominający szczeknięcie głos szeryfa, który wydał rozkaz rozpoczęcia rozładunku. Poczul pot na czole. Ale nie wyskoczył. Nie nacisnął jeszcze spustu.

Dwudziestu dziennikarzy i kamerzystów po drugiej stronie ulicy. Dwudziestu reporterów czekających na wielki przełom w karierze...

– Plac zabezpieczony! Otwierać!

Jersey usłyszał metaliczny zgrzyt rozsuwanych drzwiczek, a potem tupnięcie pierwszej gumowej podeszwy o bruk...

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Zerwał się na równe nogi i wymierzył AR 15 pod kątem stu sześćdziesięciu stopni w dół. Rozejrzał się, rozejrzał...

Ciemna czupryna Eddiego Como wyłoniła się z wnętrza samochodu. Gwałciciel patrzył prosto przed siebie na drzwi sądu. Miał przygarbione plecy. Zrobił trzy kroki do przodu...

I Jersey odstrzelił mu czubek głowy. W jednej chwili Eddie Como stał skuty łańcuchem między dwoma więźniami, a w następnej zgiął się bezgłośnie wpół i runął ciężko na twardy wybrukowany plac.

Jersey upuścił na dach kupiony na czarnym rynku karabin i zaczął szybko biec.

Spostrzegał tyle różnych rzeczy naraz. Ciepło słońca na twarzy, zapach spalonego prochu. Hałas miasta budzącego się po weekendzie do życia, warkot silników, pisk opon. A potem, z pewnym opóźnieniem, krzyk ludzi.

– Strzelają! Strzelają!

– Kryć się, kryć się!

– O, tam! Na dachu. Na dachu!

Jersey się uśmiechał. Czuł się jak w siódmym niebie. Przebiegł na drugą stronę dachu, gumowe traktory jego butów do wspinaczki zapewniały znakomitą przyczepność. Okrążył wieżę

z zegarem, która pięła się jeszcze kilka pięter wyżej. Teraz mnie widzicie. A teraz nie.

Gruchnęły strzały. Jacyś zdesperowani policjanci zaczęli strzelać do celu, którego nie byli w stanie zobaczyć.

Jersey uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zaczął nucić pod nosem, zdejmując i odrzucając rękawiczki. Zręcznym ruchem lewej ręki rozpiął kombinezon, który trzy sekundy później dołączył do porzuconej broni i rękawiczek. Minęło pięć następnych sekund i Jersey zdążył zdjąć buty i założyć nienagannie wypastowane włoskie mokasyny. Teraz pozostało tylko wziąć czarną skórzaną aktówkę, którą położył przy wejściu na dach. Wczoraj wieczorem zawierała części karabinu, dzisiaj zostały w niej tylko biurowe papiery.

Przemiana z wyborowego strzelca w zwykłego obywatela w garniturze trwała niespełna pięć minut.

Jersey otworzył drzwi wiodące na dół. Wcześniej zaklinował zamek kawałkiem drutu. Kilka chwil później znalazł się na korytarzu piętro niżej i wmieszał się w tłum – jeszcze jeden prawnik zbyt zajęty pracą, aby spojrzeć komukolwiek w oczy.

Obok przebiegła grupka szeryfów stanowych. Ludzie w sądzie zaczęli się rozglądać, świadomi, że coś się stało, lecz wciąż nie wiedząc, co. Za ich przykładem Jersey przykleił do twarzy wyraz lekkiego zdziwienia i zagubienia, przedzierając się przez korytarz.

Następny szeryf przebiegł obok niego, z przytroczonej do jego pasa krótkofalówki krzyczały jakieś zdenerwowane głosy. Zdyszany stróż prawa potracił Jersey'ego, omal go nie przewracając. Jersey rzucił obrażonym tonem „przepraszam”. Szeryf popędził dalej w stronę schodów prowadzących na dach.

– Co się stało? – zapytała kobieta obok Jersey'ego.

Nie wiem – odrzekł zabójca. – Ale chyba coś niedobrego. Wymienili energiczne skinienia głową. Trzydzieści dwie sekundy później Jersey wyszedł głównymi drzwiami z budynku i spacerowym krokiem ruszył w dół College Street w stronę parku Bohaterów Wojny. Teraz, znalazłszy się na ostatniej prostej, znowu zaczął nucić. Nawet gdyby zatrzymał go jakiś policjant, to co by znalazł? Jersey nie miał przy sobie żadnej broni, żadnych śladów prochu strzelniczego na dłoniach czy ubraniu. Był tylko biznesmenem i mógł to udowodnić, przedstawiając odpowiednie dokumenty.

Jęk syren rozdarł powietrze. Providence nie było duże, a miejska policja miała główną siedzibę w centrum miasta. Gliniarze zaleją całą okolicę, blokady dróg były tylko kwestią czasu. Jersey przyśpieszył, lecz zachował spokój. Przewidujący klient, bez wątplenia obeznany z ruchem drogowym w śródmieściu, przysłał mu gościnną przepustkę na parking szkoły wzornictwa, który mieścił się po drugiej stronie ulicy. Policja będzie tu za dwie minuty. Jersey ulotni się w ciągu jednej.

Syreny wyły coraz głośniej. Jersey dotarł do małego parkingu u zbiegu College Street i South Main. Wyjął kluczyki do wypożyczonego niebieskiego samochodu. Otworzył drzwiczki, wrzucił aktówkę do środka i wsunął się na siedzenie kierowcy.

Zachować spokój. Luz blues. Nie czekało go nic, czego by już nie robił. Na pewno sobie poradzi.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. I wtedy usłyszał ciche „pstryk!”

Jedna zamrożona chwila w kontinuum czasu. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Ale przecież, przecież zasada podwójnej niewiadomej.

Nikt nie znał jego nazwiska. On nie znał zleceniodawców. W jaki sposób, jak...

Wtedy jego oczy powędrowały ku czerwonej przepustce wiszącej pod lusterkiem – jedynej gościnnej przepustce na małym parkingu dla dwudziestu samochodów.

Przewidujący klient...

Zachować spokój, pomyślał bezradnie. Luz blues. Nie czekało go nic, czego by już nie robił. Na pewno sobie poradzi...

Iskra ze stacyjki uruchomiła elektryczny zapalnik w bombie domowej roboty. Wynajęty samochód wybuchł w czyste poranne powietrze.

Dziesięć ulic dalej, na Hope Street, elegancko ubrani goście modnej restauracji rue de pespoir – cieszącej się jeszcze większą sławą dzięki pisanej małą literą nazwie – podnieśli wzrok znad talerzy z dekadentckim śniadaniem, na które składały się przede wszystkim grube francuskie tosty. Siedząc w wygodnych krzesłach przy okrągłych stolikach, rozejrzeli się po bogatym wnętrzu utrzymanym w tonacji patyny, ciemnej zieleni, brązów i brudnej czerwieni. Wstrząs, mimo że lekki, nie mógł być złudzeniem. Nawet kelnerki przystanęły.

– Poczujesz to? – zapytała jedna z nich drugą.

Ludzie w modnej restauracji popatrzyli po sobie. Właśnie mieli przejść do porządku nad lekkim zakłóceniem, gdy w powietrzu rozbrzmiał przenikliwy jęk syren. Za oknami śmignęły dwa rozpędzone radiowozy. Zaraz potem przejechała karetka.

– Musiało się coś stać – odezwał się ktoś.

– Coś ważnego – zawtórował inny klient.

Trzy siedzące przy stoliku w rogu kobiety w końcu podniosły wzrok znad kubków aromatyzowanej herbaty. Dwie były starsze, jedna całkiem młoda. Wszystkie trzy wywołały małe zamieszanie, kiedy pojawiły się w drzwiach restauracji. Teraz popatrzyły na siebie, a potem równocześnie odwróciły wzrok.

– Zastanawiam się... – powiedziała jedna.

– To przestań – ucięła druga. Tylko tyle powiedziały.

Do momentu, gdy zjawyły się gliny.

GRIFFIN

Ósma trzydzieści jeden w poniedziałek rano. Detektyw policji stanowej Rhode Island sierżant Roan Griffin był już spóźniony na odprawę zaplanowaną na wpół do dziewiątej. Kiepska sprawa. Miał to być jego pierwszy dzień pracy od osiemnastu miesięcy. Powinien się zjawić w robocie na czas. Kurczę, powinien przyjść przed czasem i kwadrans po ósmej znaleźć się w kwaterze ogolony, świeży, w wyprasowanym garniturku. Salutując „Oto jestem, gotowy do służby”. A wtedy...?

– Witaj z powrotem – pozdrowiliby go. (Oby).

– Dzięki – odparłby. (Zapewne).

– Jak się czujesz? – zapytaliby. (Podejrzliwie).

– Dobrze – odrzekłby. (Nazbyt gorliwie).

O, kurwa. „Dobrze” naprawdę głupio brzmi. Za często się tak mówi, za rzadko szczerze. Powiedziałby, że dobrze, a oni zaczęliby mu się przyglądać, próbując czytać między wierszami. „Dobrze” to znaczy „gotowy do kolejnego śledztwa” czy „dobrze” na tyle, żeby ci powierzyć nabitą broń? Ciekawe pytanie.

Zabębnił palcami o kierownicę i spróbował jeszcze raz.

– Witaj z powrotem – powiedzieliby.

– Dobrze jest wrócić – on by odparł.

– Jak ci leci? – zapytaliby.

– Mój lęk nie odbiega od normalnych parametrów.

Nie. Nie ma mowy. Psychoanalityczna paplanina nawet jego przyprawiała o mdłości. Nie, ta odzywka jest wykluczona. Powinien był posłuchać rady ojca i wparować do komendy w koszulce z nadrukiem „Po prostu mi zazdrościcie, bo to ja słyszę głosy”.

Przynajmniej wszyscy mieliby ubaw.

Griffin pracował w policji stanowej od szesnastu lat. Zaczął od morderczego czteromiesięcznego szkolenia w ośrodku szkoleniowym, gdzie uczono go wszystkiego od ostrej jazdy samochodem podczas pościgu aż po walkę wręcz z oczami łzawiącymi od gazu pieprzowego. (Chcecie wiedzieć, co to ból? Gaz pieprzowy w oczach to ból. Chcecie wiedzieć, co to samokontrola? Dobrowolne podstawienie się do opryskania oczu gazem po raz drugi, oto samokontrola). Po szkoleniu Griffin spędził osiem lat w mundurze. Wspomagał stanowy budżet, wypisując odpowiednią liczbę mandatów za przekroczenie prędkości. Pomagał kierowcom zmieniać opony. Zjawiał się na miejscu wypadków, w których zbyt często ginęły dzieci. Potem awansował na detektywa, zaczynając od zbierania informacji w ważnej sprawie federalnej, podczas której zyskał reputację sumiennego i skutecznego. Później pracował nad praniem brudnych pieniędzy, nielegalnym handlem bronią, fałszerstwami dzieł sztuki i zabójstwami. Liczba przestępstw w Rhode Island nie jest duża, ale jak mawiają tutejsi detektywi, liczy się jakość.

Griffin był dobrym detektywem. Byстрыm. Wytrwałym. Upartym. Czasami się wściekał. Czasami dowcipkował. Miał to we krwi. Jego dziadek był gliniarzem w Nowym Jorku. Ojciec służył jako szeryf w North Kingstown. Dwaj bracia byli teraz szeryfami stanowymi. Lata temu, gdy podczas górskiej wycieczki w New Hampshire Griffin poznał Cindy, kiedy spojrzał w jej oczy i na widok jej uśmiechu poczuł klucie w dołku, zanim jeszcze się przedstawił i powiedział

„cześć”, wybełkotał: „Jestem policjantem”. Na szczęście Cindy okazała zrozumienie.

Griffin był dobrym detektywem. Kumple lubili z nim pracować. Góra chętnie powierzała mu ważne sprawy. Media z sympatią śledziły jego karierę. Wystąpił w programie Dave’a Lettermana, gdy stan Rhode Island wygrał ogólnokrajowy konkurs na najlepszy mundur. Prowadził operację „Pinto”, podczas której zlikwidowano siatkę złodziei samochodów, co opisano na pierwszej stronie „Providence Journal”. Nawet został wyznaczony do gubernatorskiej komisji do spraw bezpieczeństwa. Prawdopodobnie dlatego, że odkąd wystąpił u Lettermana, staruszki zaczęły się domagać, aby właśnie on zdejmował z drzew ich zagubione kotki. (Gazeta nazwała go Detektywem Błękitne Oczy. O tak, ten napis z pewnością nadawał się na koszulkę).

Dwa i pół roku temu, gdy w Wakefield zaginęło trzecie dziecko, a sposób działania grasującego po okolicy zwyrodnialca stał się jasny, nikt nie miał wątpliwości, że to Griffin poprowadzi śledztwo. Wciąż pamiętał, jak się cieszył po zakończeniu odprawy. Pamiętał adrenalinę we krwi, natężenie mięśni, euforyczne poczucie, że oto zaczyna nową sprawę.

Dwa dni wcześniej Cindy poszła na okresowe badania kontrolne. Sześć miesięcy przed tym, gdy wszystko zmieniło się ze złego w najgorsze. Jedenaście miesięcy przed tym, jak poznał zło w czystej postaci.

Tak dla porządku, przyskrzynył skurczybyka. Tak dla porządku.

Griffin skręcił w lewo na rozwidleniu szosy numer 6, jadąc w kierunku North Scituate. Jeszcze pięć minut jazdy do komendy. Minał gigantyczny rezerwuar po prawej stronie i łagodne pagórki po lewej. Wkrótce zobaczy ludzi uprawiających jogging i cieszących się promieniami wiosennego słońca. Potem pojawią się budynki policji stanowej. Najpierw niski brzydki dom z ciemnobrązową elewacją wzniesiony w latach sześćdziesiątych, w którym mieściły się Śledcze Służby Pomocnicze. Potem wielka szara obora na tyłach – pozostałość dawnej farmy. I w końcu piękny biały pałacyk z krętymi schodami i wykuszowymi oknami z widokiem na zielone wzgórza. Biały Dom, mówili o nim gliniarze. Miejsce dla prawdziwych facetów.

Kurczę, brakowało mu tego. Kurczę.

– Witaj z powrotem, Griffin – powiedzą.

– Dzięki – odrzeknie.

– Jak się czujesz? – zapytają. A on odpowie...

Lewym pasem śmignął niebieski ford taurus z migającą czerwoną lampką na dachu. Za nim popędziły jeszcze dwa nie oznakowane policyjne samochody z wyjącymi syrenami. Co jest, do cholery?

Griffin wjechał na parking w samą porę, by zauważyć detektywów wybiegających z budynku służb pomocniczych. Rozpoznał dwóch facetów z Oddziału Identyfikacji Kryminalnej, Jacka Capelliego i Jacka Needhama, nazywanych Jack i Jack, którzy pakowali się do stalowoszarej furgonetki. Włączyli światła i odjechali z piskiem opon.

Griffin zatrzymał się przed ciemnobrązowym budynkiem. Nie zdążył nawet wyłączyć silnika, a już porucznik Marcey Morelli z wydziału przestępstw kryminalnych waliła pięścią w jego okno.

– Pani porucznik. – Zaczął salutować, lecz Morelli mu przerwała.

– Policja Providence właśnie doniosła o strzałach i dużej eksplozji w pobliżu sądu. Straż pożarna zajmie się wybuchem, my bierzemy strzelaninę.

– Strzały w sądzie? – Brew Griffina podskoczyła do góry. Coś podobnego.

– Śledziłeś sprawę Como? Zdaje się, że komuś znudziło się czekanie na proces. W dodatku dziennikarze są już na miejscu i zdają sprawę z sytuacji przed i po zamachu. Potrafisz powiedzieć: „Nie filmować aż do jedenastej”?

– Ktoś na górze musi pani bardzo nie lubić, pani porucznik.

Coś takiego. Słuchaj, bez względu na to, co się właśnie stało, możemy mieć pewność, że to duża sprawa. Już poprosiłam o dodatkowych ludzi. Poza tym chcę, żeby wszyscy od przestępstw znaleźli się przed sądem. I to natychmiast. Mundurowi zajmą się przeczesywaniem okolicy. Wy musicie zebrać wstępne zeznania świadków. Macie się dowiedzieć, kiedy, dlaczego i jak, a potem przekazać to mundurowym, żeby mogli złapać tego, kto strzelał. I to migiem. – Morelli przerwała, żeby złapać oddech, a potem zmrużyła oczy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, kto siedzi za kierownicą. – Jezu Chryste, Griffin. Myślałam, że zabijałeś czas, chodząc na ryby albo coś takiego.

– No cóż. Bawiłem się trochę sztangą. – Wzruszył skromnie ramionami.

– Aha.

– I trochę biegałem.

– Aha.

– No i trochę boksowałem.

Pani porucznik przewróciła oczami. Griffin spędził ostatnie dwanaście miesięcy półtorarocznego urlopu zdrowotnego, ćwicząc trudną sztukę sublimacji – wykorzystując nieużyteczną energię do pożytecznych celów. Stał się w tym całkiem niezły. Potrafił przebiec piętnaście kilometrów. Boksować szesnaście rund. Podnieść samochód.

Był w dobrej formie, chociaż twarz miał trochę bladą z powodu źle przespanych nocy. Fizycznie jednak stanowił wzór świetnie wysportowanego, gotowego do ścigania zbirów gliniarza.

Pani porucznik wyprostowała się.

– No, dobra – powiedziała. – Szef jest już w drodze. Więc jazda, sierżancie. I pamiętaj, na miejscu jest tylko sto kamer telewizyjnych, które rejestrują każdy nasz krok.

Pobiegła do swojego samochodu. Griffin siedział przez chwilę osłupiały. Mój lęk nie odbiega od normalnych parametrów, pomyślał głupkowato. A niech tam. Powrót to powrót. Włączył syrenę i popędził z powrotem do Providence.

JILLIAN

Jedzie do siostry. Zatrzymali ją w pracy, więc jest już spóźniona o godzinę. Oczywiście, drogi są zakorkowane. Kolejny wypadek na szosie 195. Kiedy, do cholery, nie ma wypadków? Myśli o sprawach, które wciąż musi załatwić. O analizie przepływu gotówki przez ostatnie sześć miesięcy. O zakładanym przepływie gotówki na następne sześć miesięcy. O planszach dla Rogera. O hasłach dla Clair.

Toppi dzwoniła do niej do pracy i powiedziała, że Libby ma zły dzień. Prosiła, żeby Jillian wcześniej wróciła do domu.

Jedzie do siostry, ale nie myśli o niej. Nie cieszy się, że zje z Trish kolację. Wizyty u młodszej siostry stały się kolejną pozycją na długiej liście spraw, które trzeba załatwić. Jakaś część Jillian podejrzewa, że to niedobrze. Straciła ogólny pogląd na życie. Rozmienia się na drobne. Pozostała część Jillian jest jednak zbyt zajęta, żeby się tym przejmować.

Jillian ma obowiązki. Jest odpowiedzialna.

Trisha właśnie zaczęła studia w college'u. Ma pierwsze mieszkanie – małe i ciasne, ale piękne, bo własne. Trisha ma nowych znajomych, nowe życie, nowe cele do osiągnięcia. Chce pisać sztuki, oznajmiła z entuzjazmem w zeszłym tygodniu. Przedtem chciała studiować komunikację. Jeszcze wcześniej zajmowała ją literatura angielska. Trish jest młoda, piękna i bystra. Świat stoi przed nią otworem. Jillian nie ma wątpliwości, że uda jej się zostać tym, kim będzie chciała, i będzie mogła robić to, na co będzie miała ochotę.

I to ją męczy z powodu, którego nie potrafi zrozumieć. Raz wzbudza radość, innym razem dołuje. Czuje się dumna jak matka z osiągnięć córki. Czuje się zmęczona jako starsza siostra, która zazdrości młodszej bez powodu. Jej życie było trudniejsze. Nigdy nie mogła sobie pozwolić na bez troskę. Nigdy nie udało jej się zamieszkać samodzielnie, nawet teraz. Ale skończyła college, zrobiła magisterium z zarządzania. W wieku trzydziestu sześciu lat prowadzi przynoszącą zyski agencję reklamową i jest na topie. Nie poświęciła wszystkiego мамie i siostrze. Ma również własne życie.

A mimo to...

Wizyty u Trish są dla niej ostatnio trudne. Nie spotyka się z siostrą tak często, jak powinna.

Teraz sunie po Thayer Street, szukając miejsca do zaparkowania. Jest trzeci tydzień maja, słońce właśnie zaczyna zachodzić, a chodniki są pełne studentów Uniwersytetu Browna, którzy tłoczą się przed Starbucks, przed sklepem Gap, przed Abercrombie & Fitch. Jillian wciąż czuje lekki niepokój, ilekroć pomyśli, że Trish mieszka sama w tej okolicy. Zwłaszcza z powodu niedawnych doniesień o dwóch gwałtach. Drugi z nich miał miejsce zaledwie dwa tygodnie temu.

Trisha zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Rozmawiały nawet na ten temat tydzień temu. Niektóre dziewczyny zaczęły ze sobą nosić gaz łzawiący. Trisha też kupiła pojemnik. I sprawdziła zamki w mieszkaniu. Jej mieszkanie jest naprawdę bardzo bezpieczne. Znajduje się częściowo pod ziemią, a wysoko położone okna są zbyt małe, aby mógł się przez nie przecisnąć dorosły mężczyzna. Poza tym po podpisaniu umowy o wynajem zainstalowała specjalny zamek; podobno najlepszy na rynku.

– Nic mi się nie stanie – powiedziała jej zniecierpliwionym tonem charakterystycznym dla nastolatków. – Na miłość boską, skończyłam aż dwa kursy samoobrony!

Jillian wreszcie znajduje miejsce do zaparkowania, daleko na Angell Street. Czeka ją spory spacer, ale to nic niezwykłego, biorąc pod uwagę brak parkingów w Providence. Poza tym jest ładny, ciepły wieczór, a jej przyda się odrobina ruchu.

Jillian nie ma pojemnika z gazem. Myśli o tym, zamykając drzwiczki swojego złotego lexusa. Robi to, co widziała w telewizji – trzyma między palcami zaciśniętej dłoni kluczyki. Podobno działa jak kastet. Zadziera wysoko głowę i idzie szybkim, pewnym krokiem. Komu jak komu, ale jej przychodzi to naturalnie i bez wysiłku. Nigdy nie należała do strachliwych gąsek. Lubi myśleć, że to właśnie po niej Trish jest taka niezależna.

Trisha mieszka na skraju kampusu Browna. Zwykle spotykają się w jej mieszkaniu, a potem idą na Thayer Street, gdzie jest pełno etnicznych knajpek i przytulnych kawiarenek. Jillian miałaby ochotę na pad thai. Albo na jagnięcinę z grilla.

Po raz pierwszy przyspiesza kroku. Na Thayer Street mieści się tyle świetnych restauracji. Fajnie jest chodzić po miasteczku uniwersyteckim, czuje się tu młodość i radość życia. I wieczór jest cudowny, ani za ciepły, ani za chłodny. Po kolacji mogą pójść na lody. Trisha opowie jej o letnich praktykach w teatrze i czy ten facet od scenografii – Joe, Josh, Jon – zaprosił ją w końcu na randkę. Jillian wysłucha też nowych plotek o koleżankach siostry. O dziewczynach. O przygodach podczas ostatniego wypadu do centrum handlowego, o wycieczce do Newport i tak dalej, i tak dalej.

Będzie się mogła rozluźnić, usiąść wygodnie i pozwolić Trish mówić. O wszystkim i o niczym. O każdym dniu, godzinie i minucie jej życia.

Bo właśnie w tym punkcie spotykają się zastępcza matka i zmęczona starsza siostra: obie uwielbiają słuchać Trish. Ubóstwiają jej entuzjazm. Cieszą się jej dobrym humorem. Zdumiewają się, jaka jest cudowna: dziesiętnastoletnia kobietka, wciąż poznająca świat i wciąż przekonana, że może w nim coś poprawić.

Jillian dociera do domu, w którym mieszka Trisha. Kiedyś była to wspaniała stara rezydencja. Teraz budynek został podzielony na osiem mieszkań dla studentów. Trish wynajmuje suterene, ma więc osobne wejście od tyłu.

Gdy Jillian obchodzi dom, słońce właśnie chowa się za horyzontem i wąska uliczka pograża się w ciemnościach. Trisha wkręciła nad wejściem mocną żarówkę. Jillian jest trochę zaskoczona, że mimo zapadającego zmroku Trish nie włączyła światła. Będzie jej musiała zwrócić uwagę. Staje przed drzwiami i naciska klamkę. Bierze głęboki oddech, gdy drzwi otwierają się bezgłośnie, ukazując mroczne schody.

– Trisha? Trish?

Jillian schodzi ostrożnie, trzymając się poręczy. Czyżby Trishy znudziło się czekanie? Może postanowiła pójść do pralni za rogiem. Już raz tak zrobiła.

Na dole czekają kolejne drzwi, tym razem drewniane. Drzwi do sypialni. Jillian kładzie dłoń na błyszczącej mosiężnej gałce i przekręca ją. Drzwi ustępują i Jillian staje twarzą w twarz z ciemnym pokojem.

– Trisha?

Robi trzy kroki naprzód. Spogląda na małą kuchnię. Odwraca się w stronę łóżka i...

Ktoś uderza ją od tyłu. Jej dłonie rozwierają się, klucze upadają na podłogę, Jillian z okrzykiem bólu przewraca się na ziemię. Upada na lewą rękę i słyszy cichy trzask.

– Trisha? – Jej głos jest piskliwy, przerażony, nie jej własny. Łóżko, łóżko, ta biedna kobieta na łóżku.

– Ty kurwo!

Ciężar przyciska jej plecy do ziemi. Masywne łapska chwytają ją za włosy. Odchylają głowę do tyłu. Jillian próbuje złapać powietrze. Jej głowa wali o podłogę.

Gwiazdy. Widzi gwiazdy, a jej pogubione zmysły starają się zlepować w całość to, co się z nią dzieje. To nie kreskówka. Nie ma kojota ani strusia Pędziwiatra. To ona, w mieszkaniu siostry i – o Boże – ktoś ją atakuje. Naga związana postać na łóżku to nie żaden manekin sklepowy. Trish, Trish, Trish!

Jillian czuje nagłą wściekłość.

– Nie! – wrzeszczy.

– Kurwa, kurwa, kurwa – powtarza mężczyzna. Trzyma ją za włosy. Jej głowa znowu się unosi. Znowu wali o podłogę. Nos eksploduje, krew i łzy zalewają twarz. Jillian płacze, ale jej złość jeszcze potężnieje. Musi mu pokazać! Musi go pokonać! Bo nawet w bólu, nawet w szoku instynktownie rozumie, co się właśnie stało. Co ten mężczyzna zrobił jej siostrze.

Wyciąga spod siebie ręce, miota się dziko, próbując zepchnąć z pleców napastnika. Ale on wciąż wali jej głową o podłogę i świat zaczyna wirować. Głowa do góry, głowa w dół. Głowa do góry, głowa w dół...

On przywiera ciałem do jej pleców i zaczyna się o nią ocierać, jest podniecony.

– Zerżnę cię, ty suko – warczy. I śmieje się, śmieje, śmieje. Jillian udaje się w końcu obrócić na plecy. Bije go po udach. Zaciska palce prawej dłoni i wali go pięścią po żebrach. A on tłucze ją po twarzy z lewa i z prawa, aż w końcu Jillian przestaje nawet odczuwać ból. Leży w ciemnym pokoju, przyciśnięta do podłogi, słyszy w głowie: zerżnę cię, ty suko, zerżnę cię, ty suko.

Jego lewa dłoń chwyta ją za gardło. Palce zaciskają się. Jillian próbuje drapać, lecz zamiast skóry czuje pod paznokciami lateks.

O, nie. Trish. O, nie.

Musi go z siebie zrzucić. Musi go zrzucić. Czuje żar w płucach. Chce walczyć. Chce uratować siostrę. Proszę, nie, przestań.

Pomocy. Na pomoc.

Gwiazdy stają się coraz jaśniejsze. Jej ciało powoli, lecz nieodwołalnie drętwieje. Ucisk jego ud na jej żebrach słabnie. Ciężar staje się odrobinę lżejszy.

Jillian wyrzuca do przodu rękę tak mocno, jak potrafi, i wali go pięścią między nogi.

Mężczyzna wydaje z siebie jęk. Turla się na bok i łapie rękami za jądra. Jillian wygina grzbiet, opiera dłonie o podłogę i próbuje wstać.

I wtedy ciężar całkiem ustępuje. Mężczyzna leży skulony obok, a ona musi się ruszyć. Musi wstać. Telefon, telefon, telefon. Na blacie w kuchni. Telefon stoi na blacie w kuchni. Jeśli tylko uda jej się do niego dojść, wykręcić numer policji...

Jillian pełźnie po drewnianej podłodze. Szybko, szybko. Trisha jej potrzebuje. Potrzebuje jej.

Dalej, Jillian.

I wtedy słyszy, że on wraca.

– Nie – jęczy, ale jest już za późno.

– Pierdolona suka! Zamorduję cię, kurwo! Skręcę ci kark, wydłubię pierdolone gały. Kurwo...

Wali się całym ciężarem na jej plecy, chwytając ją stalowymi rękami za gardło. Dusi, dusi, dusi. Jillian nie może przełknąć śliny. Nie może oddychać.

Ucisk na piersiach, brak powietrza. Jej dłonie na jego lateksowych rękawiczkach. Nie, nie, nie.

Dalej, Jillian. Nie daj się.

Ale on jest za silny. Uświadamia to sobie, gdy świat znowu zaczyna wirować, a płuca kurczą się boleśnie. Jest dumna. Jest inteligentna. Jest kobietą, która wierzy, że potrafi panować nad swoim życiem.

Ale przeciwko brutalnej sile... jest bezradna. Zaczyna tracić przytomność. Usiłuje coś powiedzieć. Chce wyciągnąć ręce ku siostrze. Tak jej przykro. Och, Trish, Trish, Trish. I wtedy nagle uścisk ustępuje.

– Kurwa mać! – Tupot pośpiesznych kroków po podłodze. Tupot mężczyzny wbiegającego po schodach. Odległy trzask zamykanych drzwi.

Jillian łapie oddech, nabiera powietrza w płuca.

Nie ma go. Po prostu... uciekł.

Pokój jest pusty. Już po wszystkim. Jillian żyje, żyje. Nie okazała się silniejsza. Nie okazała się zręczniejsza. Ale miała szczęście.

Jillian podnosi się z wysiłkiem z podłogi. Chwiejnym krokiem przechodzi przez pokój. Opada na łóżko obok ciała siostry.

– Trish! – Ika.

I wtedy, w niekończącej się ciszy, zdaje sobie sprawę, że wcale nie miała szczęścia.

Siódma rano, poniedziałek. Jillian Hayes jeszcze nie wstała z łóżka. Otworzyła oczy i zaczęła wpatrywać się w sufit. Usłyszała przytłumione chrapanie matki za drzwiami, a potem niewyraźne „bip, bip, bip” budzika Toppi. Pielęgniarka spała dalej. Budzik zadzwonił jeszcze trzy albo cztery razy, nim Toppi w końcu zwleczł się z łóżka.

Jillian odwróciła głowę i spojrzała w okno. Świeciło słońce. Potem zerknęła na komodę, na której wciąż leżała duża papierowa koperta.

Siódma w poniedziałek rano. W ten poniedziałek.

Telefon przy łóżku zadzwonił hałaśliwie. Jillian zamarała. To mógł być kolejny dziennikarz domagający się komentarza. Albo gorzej, to mógł być on. Prawdopodobnie jeszcze nie zabrali go do sądu. Z jaką myślą obudził się tego dnia?

Telefon zabrzączał po raz drugi. Oczywiście, Carol. Stary dobry Dan pewnie już wyszedł do pracy. Pewnie nie został z żoną w domu nawet w tak ważny dzień.

– Nie – powiedziała Jillian.

– Nie mogłam spać – wyjaśniła Carol.

– Znam na pamięć każdą nierówność na moim suficie.

– Zabawne. Denerwuję się. Mam ściśnięty żołądek, ręce mi się trzęsą. Nie czułam się tak od... – Carol roześmiała się nerwowo – nie czułam się tak od ślubu.

– Wkrótce będzie po wszystkim – powiedziała cicho Jillian. – Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do Meg?

– Meg już wie o śniadaniu.

– Dobrze.

– W co się ubierzesz?

– W jasnobrązowy kostium i białą lnianą kamizelkę. Przygotowałam je wczoraj wieczorem.

– Ja poszłam na zakupy. Nic w mojej szafie nie wydawało się odpowiednie. Chociaż z drugiej strony, co się nosi na takie okazje? Nie mam pojęcia. W Nordstrom znalazłam kremowy kostium od Chanel. Kosztował dziewięćset dolarów. Jutro zamierzam go spalić.

Jillian pomyślała o jasnobrązowym kostiumie, a potem o czekającym ją dniu.

– Chyba zrobię to samo – powiedziała. Carol ściszyła głos.

– Co zrobiłaś z rzeczami, które miałaś wtedy na sobie?

– Kiedy policja w końcu mi je zwróciła, zaniiosłam je do pralni. A potem... nigdy ich nie odebrałam.

– Będziemy dzisiaj myśleć o Trishy.

– Dziękuję, Carol... – wykrztusiła Jillian przez ściśnięte gardło.

I wreszcie najważniejsze pytanie, pytanie, z powodu którego zadzwoniła.

– Wiesz... Wiesz, co się teraz stanie? – zapytała Carol.

Wzrok Jillian powędrował z powrotem do koperty leżącej na komodzie. Potem spojrzała na budzik. Siódma dziesiąta. Jeszcze co najmniej godzina.

– Nie – odparła szczerze. – Ale zdaje się, że się dowiemy.

WATERS

Dziewiąta zero jeden. Śródmieście. Miejsce przestępstwa wyglądało mniej więcej tak, jak je sobie Griffin wyobrażał. Mnóstwo błyskających świateł. Totalny chaos. Nawet w służbowym samochodzie na sygnale Griffin przedzierał się przez ostatnie trzy przecznice aż pół godziny. Natychmiast zrozumiał, w czym problem. Dziennikarze nie byli po prostu na miejscu. Oni byli wszędzie.

Białe wozy transmisyjne zatarasowały całą South Main Street. Śmigłowce krążyły w powietrzu. Griffin podejrzewał, że lokalne stacje przysłały reporterów do nakręcenia sprawozdania z pierwszego dnia procesu Eddiego Como. Na dźwięk strzału dziennikarze podnieśli zgodne „hip, hip, hurra!” i bezzwłocznie zadzwonili po wszystkich kumpli w mieście. Gdyby policja dysponowała takimi środkami!

Wjechał na krawężnik i zaparkował na skraju placu okalającego jeden z budynków Szkoły Wzornictwa. Trzech studentów zeszło mu z drogi, klnąc, na czym świat stoi. Jakies cztery tuziny dzieciaków nawet nie ruszyło się z miejsca, rozdziawiając usta i przyglądając się niecodziennym wydarzeniom.

Gdy tylko Griffin wygramolił się ze swojego taurusa, poczuł ciężki smród palącej się benzyny i lakieru. Z parkingu po drugiej stronie ulicy buchał w niebo gęsty, czarny dym. W pobliżu uwijała się z krzykiem grupa strażaków, którzy oblewali z czterech sikawek płonące auta. Komendant stanowej straży był już na miejscu. Stał otoczony wianuszkami detektywów z policji miejskiej, którzy czekali, aż strażacy ugaszą pożar i pozwolą im zabezpieczyć teren.

– A niech mnie – wymamrotał Griffin, kaszląc, a potem żałując, że to zrobił, bo przez to nabrał dymu głęboko w płuca. Poza tym wyczuł w smrodzie paliwa inny znajomy odór.

Odwrócił się w prawo i spojrzał w stronę sądu. Tam też panował chaos. Reporterzy zatrzymani na trawniku w parku napierali na granatowy kordon miejskich policjantów i wykrzykiwali im do ucha pytania. Dalej, na krawężniku przy gmachu sądu, stał ambulans i tłoczyło się więcej policyjnych wozów, niż Griffin potrafił zliczyć. Radiowozy policji miejskiej, oznakowane i nie oznakowane samochody stanowe, a nawet wóz patrolowy należący do posterunku z Uniwersytetu Browna. Wyglądało na to, że zjawił się tu każdy, kto miał prawo nosić odznakę.

Griffin pokręcił głową i zaczął się przeciskać przez rosnący tłum gapiów, gdy podbiegł do niego młody policjant w mundurze i z nablyszczonymi brylantyną zaczesanymi do tyłu włosami.

– Panie sierżancie!

– Cześć, Bentley. Wiedziałem, że cię tu spotkam.

Bentley grał w drużynie baseballowej z jego młodszym bratem Jonem. Tak dla porządku, drużyna policji stanowej dołożyła im trzy razy z rzędu.

Bentley przystanął na krawężniku z niepewną miną. Griffin wcale mu się nie dziwił. Przez te wszystkie lata nigdy nie widział niczego podobnego. Wciąż miał wrażenie, jakby po wyjściu z samochodu znalazł się jakimś cudem w Los Angeles. Brakowało tylko producenta filmowego, który próbowałby zastrzec sobie prawo do przeniesienia całej tej afery na ekran.

– Przyjechałem tu pierwszy – rzucił pośpiesznie Bentley. – Patrolowałem teren za rzeką, usłyszałem strzał i dałem gaz do dechy. Chryste, szkoda, że nie widział pan prasy. Myślałem, że zburzą ogrodzenie, byle tylko cyknąć zdjęcie. Pierwsze pięć minut poświęciliśmy tylko na to,

żeby przywołać ich do porządku. O poszukiwaniu sprawcy w ogóle nie mogło być mowy.

– Serio? – Przyjechał pierwszy. Griffin był pod wrażeniem. – Przejdiesz do legendy – zapewnił młodego policjanta, przechodząc przez ulicę. – To co tutaj mamy?

– Jedna ofiara. Eddie Como. Zmarł na miejscu. Strzał padł około ósmej trzydzieści, kiedy wprowadzano aresztantów do sądu. Według wstępnych raportów napastnik strzelał z dachu. Pięć, dziesięć minut później nastąpiła eksplozja na parkingu przy Szkole Wzornictwa.

– Bomba samochodowa?

– Straż pożarna na razie nie udziela żadnych informacji, ale pięć samochodów nadaje się tylko na szmelc, więc można śmiało założyć, że bomba.

– Jakież ofiary?

– Nie wiem. Trudno się tam dopchać, ale widziałem czyjeś ramię, więc mamy co najmniej jednego trupa. Poza tym jest jeszcze, no...

– Ten zapach – wyręczył go Griffin.

– Właśnie. – Bentley przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Mundurowi przeczesują okolicę?

– Tak jest.

– Zatrzymali kogoś podejrzanego?

– Tak jest.

– I co?

– Nic. Ani śladu rzeczywistego sprawcy.

Griffin pokiwał głową.

– Zdaje się, że ramię, które widziałeś, należało do faceta, który był kiedyś dobry w posługiwaniu się pukawką. Nikt mu nie mówił, że przestępcy nie mają honoru?

– Wygląda na sprawkę mafii – podrzucił ochoczo Bentley.

Griffin wzruszył ramionami.

– Co może obchodzić mafię Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego? Zresztą, diabli wiedzą. Najpierw muszę się dostać na miejsce zbrodni. Informuj mnie o postępach poszukiwań, okej?

Griffin doszedł do żółtej policyjnej taśmy. Dziennikarze stojący po drugiej stronie ulicy zauważyli go i znowu podnieśli harmider.

– Sierżancie, sierżancie...

– Hej, Griffin!

Zignorował ich, skupiając uwagę na umundurowanej policjantce, która stała na straży przed taśmą i pytała go właśnie o nazwisko, stopień i numer odznaki. Nie znał jej, ale przecież, w ciągu osiemnastu miesięcy musiało się sporo zmienić. Powiedział sobie, że to w porządku, chociaż nie poczuł się dzięki temu ani odrobinę lepiej. Cóż robota to robota. Nie zapomina się jej, tak jak nie zapomina się jazdy na rowerze. Pochylił się i przeszedł pod taśmą.

Oto, co rzuciło mu się w oczy, gdy znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu. Niebieska więzienna furgonetka zaparkowana po lewej stronie z wciąż otwartymi drzwiczkami. Trzech szeryfów stanowych po prawej, rozmawiających z detektywem z jego wydziału. Rządek ubranych w niebieskie i brązowe uniformy więźniów, którzy wciąż byli skuci wspólnym łańcuchem i siedzieli teraz na ziemi. Pośrodku znajdowała się naprawdę wielka kałuża krwi, a w niej to, co pozostało po Eddie Como. Facet na lewo od trupa był cały obryzany krwią

i siedział oniemiały. Za to więzień po prawej, również czerwony od krwi i kawałków mózgu, nie potrafił się zamknąć.

– Niemożliwe. Nie ma, kurwa, takiej możliwości. Serio, nie ma mowy. Dlaczego ciągle jesteście skuci, człowieku? Jakbyśmy, kurwa, mieli teraz uciec. Po tym, co się, kurwa, stało. Niemożliwe, kurwa, niemożliwe. Naprawdę niemożliwe. Zdejmijcie to, kurwa, ze mnie!

Funkcjonariusze nie zwracali na niego uwagi. Tak samo jak Jack-i-Jack, techniczni z wydziału identyfikacji kryminalnej. Obaj krążyli już po brukowanym placu, rejestrując wszystko aparatem cyfrowym. W głębi dwaj koronerzy również zapisywali pierwsze znaleziska. W tym momencie pochylali się nad czymś, co wyglądało jak ludzka szczeka.

– Hej, Griffin – zawołał Jack Cappelli, podnosząc wreszcie głowę.

– Patrzcie no – zauważył Jack Needham, spoglądając na Griffina. – Fiuuu, włoski ciuch.

Griffin poglądził wełniano-jedwabny materiał szaroniebieskiej kurtki. Cindy mu ją wybrała. Była jedną z jej ulubionych.

– Jasne. Do roboty zakładam to, co najlepsze. A teraz powiedzcie prawdę. Tęskniliście?

– Jasne – zawołali jednym głosem.

– Jack zasuszył twoją roślinkę, Griffin – zakablował Cappelli.

– Nie możesz tego udowodnić – oburzył się Needham.

– Jasne, że mogę. Zrobiłem serię czarno-białych fotek w charakterze dokumentacji.

– Innymi słowy – wywnioskował Griffin – ostatnio nic się nie działo.

Obaj pokiwali głowami.

– Ale teraz wszystko się zmieniło – wyrwał się znowu Cappelli. – Hej, zrób nam przysługę. Ukatrup te cholerne śmigłowce, Griff.

– No, nie można zrobić porządných zdjęć, Griff.

Griffin zadarł głowę, spojrział na turkoczące helikoptery, a potem skrzywił się z niesmakiem. Te telewizyjne śmigłowce potrafiły być naprawdę upierdliwe. Nie dość, że trzeba się było martwić o nadgorliwych fotografów, którzy mogli cyknąć dosyć upiorne zdjęcie ofiary, to jeszcze wiatr spowodowany ruchem śmigieł niszczył połowę śladów. Griffin wziął krótkofalówkę, aby połączyć się ze stanowym wydziałem kontroli lotów. Właśnie w tym momencie więzień siedzący po lewej od ciała Como podniósł rękę do obryzganą krwią twarz.

– Stój! – wrzasnęli jednogłośnie Jack-i-Jack. – Żadnego dotykania! Pamiętaj, jesteś teraz częścią miejsca zbrodni. Potrzebujemy twojej twarzy do analiz rozprysku krwi.

– Dobre sobie – pożałował się więzień.

Jack-i-Jack spojrzeli na niego i cyknęli nowe zdjęcie.

Griffin ledwo powstrzymał się od śmiechu. Zupełnie jak dawniej. Oczywiście poza tym, że jeszcze nigdy nie mieli zabójstwa na terenie sądu stanowego. Załatwiwszy zakaz ruchu powietrznego nad gmachem, Griffin skierował uwagę z powrotem na Jacka-i-Jacka.

– Co mamy?

– Pojedynczy strzał w głowę. Rana wlotowa na czubku czaszki. Rana wylotowa pod brodą. Żadnych śladów prochu. Przypuszczamy, że zabójca użył pocisku z miękką końcówką, co pozwoliło kuli przejść przez czaszkę i spowodować taki rozprysk.

Jack-i-Jack wskazali na ciało. Dobrze, że Griffin widział twarz Eddiego Como w telewizji, bo teraz z pewnością nie potrafiłby jej rozpoznać. Pociski z miękką końcówką splaszczają się, uderzając w cel, i tworzą tak zwany efekt grzybka.

– Czyli mamy do czynienia z prawie pionowym strzałem z góry. – Griffin zadarł głowę. Snajper na dachu – to zgadzałyby się ze wstępnymi ustaleniami. Niestety z wewnętrznego dziedzińca nie był w stanie zobaczyć nic poza krawędzią dachu: za ostry kąt. Nie wróżyło to najlepiej, jeśli chodzi o zeznania świadków. Z drugiej strony, pewnie dlatego zapłacono zabójcy kupę szmalu. Griffin wyciągnął dyktafon Norelco i skoncentrował się na pięciu skutych więźniach.

– No, panowie – powiedział. – Jestem pewien, że każdemu z was przyda się laurka, że dobrze współpracowaliście z organami ścigania w tej sprawie.

Na żadnym więźniu nie wywarło to specjalnego wrażenia. W końcu jeden z nich pokręcił z rezygnacją głową.

– Człowieku, nic nie wiemy. Wychodziliśmy właśnie z wozu, a tu bum! Jak, kurna, grom z jasnego nieba, a chwilę później wszyscy leżymy na ziemi. Ja patrzę, a Eddie ma urwany łeb, strażnicy wrzeszczą: „Strzał, strzał, strzał!”, a ten bałwan – więzień, krzywiąc się z niesmakiem, skinął głową w stronę młodzieńca siedzącego po prawej od trupa – zaczyna krzyczeć: „Jestem ranny! Jestem ranny!” Ma się rozumieć, nawet nie został draśnięty. Tyle że ma na sobie większość mózgu Eddiego.

Griffin spojrzął na pozostałych więźniów, szukając potwierdzenia. Wszyscy pokiwali głowami. Wyglądało na to, że to oficjalna wersja wydarzeń. Zadarł więc znowu głowę, zastanawiając się, czy ich nie rozdzielić i nie przyprzeć bardziej do muru. Szkoda wysiłku, uznał wreszcie. Z tego kąta nic nie było widać. Griffin zdawał sobie sprawę, że na dachu są już dwa zespoły technicznych, lecz nie zdołał dostrzec żadnego z nich. Ale gdyby patrzył z ulicy...

Z krótkofalówek przypiętych do pasów Jacka-i-Jacka ozwał się głos.

– Mamy broń – doniósł detektyw z dachu. – AR 15 z celownikiem leupold, dwieście dwudziestki trójki w magazynku. Znaleźliśmy też trzy wojskowe koce, czarny kombinezon, parę strzeleckich rękawiczek i buty. Aha, są jeszcze trzy opakowania po ciasteczkach Fig Newtons. Zdaje się, że nasz snajper lubił słodczyce.

– A niedopałki papierosów? – zapytał jeden z Jacków z nadzieją w głosie.

– Ani jednego – odparł policjant na dachu. – Przykro mi, Jack.

– A niech to. – Pierwszy Jack łypnął na drugiego, robiąc ponurą minę. Niedopałki zawierały mnóstwo informacji, od marki papierosów po próbki śliny, w której można było znaleźć DNA.

– Głowy do góry – pocieszył ich Griffin. – Macie buty. Pomyślcie o tym wszystkim, czego się można dowiedzieć z butów.

Jack-i-Jack rozchmurzyli się.

– Lubimy buty – przyznali, szczerząc zęby. – Z butami można wiele zrobić.

Griffin ostatni raz kiwnął głową, by dodać Jackom otuchy, po czym podszedł do szeryfów stanowych. Detektyw Mike Waters nagrywał zeznania funkcjonariuszy na dyktafon.

– Griffin! – Jeden z szeryfów odsunął się od magnetofonu, żeby uściskać Griffinowi dłoń.

– Hej, Jerry, jak się masz?

Jerry, mocno zbudowany facet z rzednącą szpakowatą czupryną, służył jako szeryf od dawna. Przed laty szkolił starszego brata Griffina, Franka. Zresztą Jerry szkolił niemal każdego funkcjonariusza w szarym mundurze, jaki pracował w Rhode Island.

– W porządku, nie narzekam – odparł. – No dobra, bywało lepiej. Kurczę, słyszałem, że wracasz, ale nie sądziłem, że właśnie dziś. Niech mnie, Griff, ty to masz pecha. Pierwszy dzień

w robocie i od razu taka granda. Co jest? Czyżby wyznaczyli cię na głównego śledczego w tym cyrku?

– Nie, jestem tu jako kolejny szeregowy gliniarz. Cześć, George. Siemanko, Tom. – Griffin uściśnął ręce pozostałych dwóch szeryfów. Stojący obok detektyw Waters chrząknął znacząco. Griffin odwrócił się w jego stronę. Mike Waters był pięć lat młodszy od Griffina. Wysoki i szczupły, lubił nosić granatowe garnitury, w których wyglądał jak kandydat na agenta FBI. Był jednak bystry, nadspodziewanie silny i małomówny. Wielu podejrzanych popełniło błąd, nie doceniając go. Potem mogli sobie tylko pluć w brodę, siedząc w więziennej celi.

Były czasy, gdy Griffin powitałby Mike'a serdecznym „Hej, kuzyn Śmierdziel!” I były czasy, gdy Waters odpowiedziałby tubalnym „Hej, kuzyn Brzydal!” Ale te czasy już minęły. Jedno z pytań, które dręczyły teraz Griffina, brzmiało: czy kiedykolwiek powrócą?

– Sierzancie – Waters skinął głową.

– Detektywie – odparł Griffin.

Trzej szeryfowie popatrzyli na siebie z zażenowaniem. Widocznie znali całą historię. Skoro już o tym mowa, pewnie sami ją rozgłaszali, kiedy tylko mieli okazję. Griffin próbował się powstrzymać, lecz w końcu jego wzrok powędrował w kierunku nosa Watersa. Mike nie pozostał mu dłużny i wlepił gały w pięść kolegi.

Potem obaj spojrzeli na trzech szeryfów. Cisza trwała już zbyt długo i stawała się niezręczna. Cholera, pomyślał Griffin, Waters znowu chrząknął.

– Więc mówicie, że...

– A, tak – podjął z ochotą Jerry. – Zabezpieczyliśmy dziedziniec.

– Otworzyliśmy drzwiczki – dorzucił George.

– Zajęliśmy pozycje – dodał Tom. – Zaczęliśmy wyprowadzać więźniów...

– Bum!

– Ta-ra-bum! – zawtórował George.

– Z pewnością broń o dużej mocy. Ładny, ostry huk. Przez chwilę miałem wrażenie, jakbym był na polowaniu na jelenie.

– A potem zobaczyłem czerwień. Dosłownie. Krew była po prostu wszędzie.

– Facet od razu padł na ziemię. Nie żył, nim dotknął bruku. Słyszysz się takie rzeczy, ale jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

– Krzyknąłem „strzał!”

– To prawda, tak właśnie Jeny krzyknął. Wszyscy przykucnęliśmy. No wiesz, że słońcem nad głową nie mogliśmy nic zobaczyć. Omal nie narobiłem w portki ze strachu.

– Wydawało mi się, że zobaczyłem ruch. Jakby ktoś biegł albo coś takiego. I tyle, niestety.

– Potem tylko słyszeliśmy dziennikarzy z parku, krzyczących „Na dachu! Na dachu!”, „Tam jest, tam jest!”

– Znaki szczególne? – nie dawał za wygraną Waters. – Waga? Wzrost?

– Nie potrafię nawet powiedzieć, czy to była kobieta, czy mężczyzna – odparł z rozbrajającą szczerością Jeny. – Mówię ci, to było tylko mignięcie szybko poruszającej się ciemnej sylwetki. Cholernie wysportowany snajper.

Waters spiorunował go wzrokiem.

– „Cholernie wysportowany snajper”, co? Dobra, już lecę do porucznika. Kurde, może dostaniesz za to medal, Jeny.

Szeryfowie zawstydzili się. W końcu Jeny przerwał milczenie.

– Przykro nam – powiedział, wzruszywszy ramionami – ale z tego miejsca... Zresztą sami zobaczcie. Nic nie widać.

– Ale popytajcie dziennikarzy – zasugerował George. – Mieli o wiele lepszy punkt obserwacyjny. Kurczę, może nawet któremuś udało się sfilmować tego snajpera.

Trzej szeryfowie uśmiechnęli się złośliwie, rewanżując się za niedawną zniewagę. Kiedy rozmawiali, harmider po drugiej stronie ulicy jeszcze przybrał na sile. Reporterzy robili taki hałas, jak King Kong tuż przed rozerwaniem kajdan.

Waters westchnął bardzo żałośnie i zwiesił głowę. Nienawidził prasy. Kiedy pracowali z Griffinem nad ostatnią wspólną sprawą, nieopatrznie skomentował śledztwo, stojąc zbyt blisko dziennikarzy, i potem płacił za to przez kilka następnych tygodni. Poza tym kiedyś zwierzył się Griffiniowi, że jego tyłek wygląda w obiektywie na jeszcze bardziej kościsty. Dwaj porządni obywatele napisali do redakcji prośbę, by ktoś w Departamencie Policji Stanu Rhode Island zaczął go dożywiać.

– Na pewno nic nie widzieliście? – zapytał po raz ostatni. Wszyscy trzej pokręcili głowami, tym razem nieco weselej. Wreszcie Jerry, ten serdeczny skurczybyk, ulitował się nad Watersem.

– Jak nie chcesz się użerać z prasą, możesz od razu uderzyć do tych kobiet – podrzucił.

– Jakich kobiet? – zainteresował się Griffin.

– No tych, co to je Eddie zaatakował. Co jest, nie oglądasz telewizji?

– Aaa, tych kobiet – powiedział Griffin, chociaż rzeczywiście od miesiący nie oglądał wiadomości i miał blade pojęcie o sprawie Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – ciągnął Jerry. – Jeżeli ktokolwiek miał powód, żeby przerobić mózg Eddiego na siekany kotlet, to właśnie te trzy panie. Osobiście stawiam na ostatnią z nich, tę bizneswoman, jakże się ona nazywa? Jillian Hayes. Tak, to ostra sztuka. Potrafiłaby zabić człowieka samym spojrzeniem. Poza tym, biorąc pod uwagę, co Eddie zrobił jej siostrze...

– Nie, nie, nie – wtrącił się George. – Ta Hayes nie została nawet zgwałcona. Chcecie wiedzieć, kto zabił Eddiego? Ta druga, Carol Rosen, bogata mężatka z East Side. Żona mojego brata pracuje w pogotowiu i widziała, jak pani Rosen wyglądała po tej napaści. Kurczę, co ten skubaniec jej zrobił! Cud, że nie potrzebowała po tym wszystkim rekonstrukcji twarzy. Dwadzieścia do jednego, że to ona.

– Obaj się mylicie – sprzeciwił się Tom. – Po pierwsze, nie ma mowy, żeby którakolwiek z kobiet sama pociągnęła za spust. Ani ta z agencji reklamowej, ani ta bogata z East Side nie weszłyby na dach sądu z wielką spluwą. Kluczową osobą w tym zabójstwie jest pierwsza ofiara. Ta ładna dziewczyna, Pesaturo...

– Daj dziewczynie spokój. – Jerry wyglądał na oburzonego. – Meg Pesaturo niczego nawet nie pamięta. Poza tym to jeszcze dzieciak.

– Twierdzi, że niczego nie pamięta. Ale od początku wydawało mi się to podejrzane. Może po prostu chciała zachować prywatność. Potraktować to jako sprawę rodzinną. A wiecie, kto jest jej krewnym. – Tom obdarzył ich wszechwiedzącym spojrzeniem. Wszyscy pochylili się w jego stronę, nawet Griffin. Policjanci nigdy nie odmawiali sobie okazji do wysłuchania pikantnej plotki.

– Vinnie Pesaturo – wyjął Tom ściszym głosem. – Tak, mówię o ulubionym bukmacherze mafii. Jeśli Vinnie chciałby coś takiego załatwić, na pewno by to zrobił. Jak amen

w pacierzu. Więc może mała śliczna Meg niczego nie pamięta, a może tylko udaje, żeby Vinnie miał większą swobodę działania. Snajper na dachu. Bomba na parkingu. Niech mnie poćwiartują, jeśli to nie wygląda na robotę mafii. Wspomnicie jeszcze moje słowa, to Meg Pesaturo jest za wszystko odpowiedzialna.

MEG

Śmieje się. Chociaż nie wie, dlaczego. Przyjechała policja. Jakaś dziewczyna – podobno jej współlokatorka – płacze. Ale Meg stoi na zewnątrz. Patrzy w ciemne wieczorne niebo, na którym niczym łepki od szpilek błyszczą gwiazdy. Owiewają chłodny zefirek, a ona obejmuje się ramionami i śmieje nieprzytomnie.

Policjanci chcą ją zabrać do szpitala. Dziwnie na nią patrzą.

– Jaki piękny wieczór – mówi im. – Patrzenie, jaka wspaniała noc! Zaniepokojeni policjanci pomagają jej wsiąść do radiowozu. Meg nuci do siebie. Dotyka ręką policzka i coś jej się przypomina.

Muśnięcie palców, łagodny szept. Oczy, ciemno-czekoladowe oczy patrzą na nią czule. Wygięte w słodkim uśmiechu usta.

– Gdzie jestem? – pyta jednego z policjantów.

– Poczekaj, aż dojedziemy do szpitala, dobrze?

Więc czeka. Nie przejmuje się niczym. Nuci jakąś melodię, której nie potrafi wyrzucić z głowy. Marzy o dotyku łagodnym jak szept. Drży w oczekiwaniu na namiętny pocałunek.

W szpitalu przeprowadzają ją przez bramkę z wykrywaczem metalu i wiodą do małej salki, gdzie wita ją specjalna pielęgniarka od przestępstw seksualnych. Zdaje się, że zna policjantów. Meg w to graj, bo ona nikogo nie zna.

– Bardzo źle? – pyta pielęgniarka.

– Sama nam powiedz. Współlokatorka wróciła do domu i znalazła ją przywiązaną do łóżka. Dziewczyna twierdzi, że niczego nie pamięta, nawet własnego imienia...

– Jak mam na imię? – odzywa się Meg.

Ignorują ją.

– Twierdzi, że współlokatorki również nie pamięta – mówi policjant. – W ogóle niczego ani nikogo. Jej koleżanka dała nam namiary rodziców. Są już w drodze.

Pielęgniarka odwraca głowę w stronę Meg.

– Była w tym ubraniu?

– Nie, współlokatorka rozwiązała ją i ubrała, zanim do nas zadzwoniła. – Policjant wygląda na wzburzonego. – Kiedy w końcu ludzie się nauczą, żeby nie odstawiać takich numerów? Znaleźliśmy podartą koszulkę na podłodze i damskie figi. Są już w drodze do laboratorium.

– Te ubrania też zapakuję. Na wypadek gdyby jakiś włoszek albo włókno przyłgnęło do materiału. Oznaczę je jako drugi komplet ubrań. W porządku?

Policjanci wzruszają ramionami.

– My ją tylko przywieźliśmy. Wszystko nam jedno.

– Panowie – odzywa się znowu Meg – prawda, że mamy piękny wieczór?

Policjanci przewracają oczami. Pielęgniarka mówi im, że mogą odejść, i podchodzi do Meg. Ma błękitne oczy, które patrzą na nią łagodnie, ale zarazem przenikliwie.

– Jak się nazywasz? – pyta, zakładając z trzaskiem parę rękawiczek.

– Nie wiem. Pytałam ich o to. Tamta dziewczyna mówiła na mnie „Meg”. Więc może jestem Meg Rozumiem. Ile masz lat, Meg?

Meg musi się zastanowić. Jaka liczba przychodzi jej do głowy.

– Dziewiętnaście?

Pielęgniarka kiwa głową, jakby uznała odpowiedź.

– A jaki mamy dzisiaj dzień? To łatwe.

– Środę. Jedenasty kwietnia.

– Dobrze. Teraz muszę cię zbadać, Meg. Wiem, że możesz się poczuć trochę niezręcznie, ale nie zrobię ci krzywdy. Możesz mi wierzyć. Jestem tutaj, żeby ci pomóc. Nawet jeśli wydaje ci się, że proszę o zbyt wiele, mam na uwadze wyłącznie twoje dobro.

Pielęgniarka wyciąga rękę. Chwyta Meg za nadgarstek obłożoną w rękawiczkę dłonią. Meg czuje nagły strach i cofa rękę.

– Nie – mówi, chociaż nie wie, dlaczego. Kręci głową. Noc nie jest już piękna. – Nie – powtarza. – Nie, nie.

– Masz zraniony nadgarstek. Leci ci krew – tłumaczy cierpliwie pielęgniarka. – Muszę go tylko obejrzeć, żeby wiedzieć, czy będzie potrzebny opatrunek. – Znowu wyciąga rękę i bierze Meg za nadgarstek.

– Nie! – Tym razem Meg ucieka ze stołu. Przyciska krwawiące ręce do piersi, czując gwałtowne bicie serca. Rozgląda się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Drzwi są zamknięte. Jest uwięziona w tym pokoiku z tą pielęgniarką i z tymi rękawiczkami. Rękawiczki śmierdzą. Czy pielęgniarka tego nie czuje? One tak brzydko, brzydko pachną.

Meg kręci się w kółko. Nie ma dokąd uciec. Siada na zimnej białej podłodze, kurcząc się ze strachu. Przyciska do piersi krwawiące nadgarstki i z powodu, którego nie potrafi wyjaśnić, zaczyna płakać.

Pielęgniarka przygląda się jej z kamienną twarzą. Ale przynajmniej nie próbuje podchodzić.

– Bolał cię ręce? – pyta łagodnie.

Meg nie pomyślała o tym. Ale teraz, kiedy kobieta o tym wspomniała... Spogląda na swoje nadgarstki. Widzi sine kręgi i świeżą krew na skórze.

– Pięką – mówi. W jej głosie pobrzmiwa zdziwienie.

Pielęgniarka kuca. Teraz ich oczy są na tym samym poziomie.

– Meg, chcę ci tylko pomóc. Jeśli mi pozwolisz, opatrzę ci nadgarstki i sprawię, że poczujesz się lepiej. Chcę ci także pomóc w inny sposób, Meg. Moja praca polega na tym, żeby umożliwić złapanie osoby, która ci to zrobiła. Przez którą pieką cię nadgarstki. Dlatego muszę ci zrobić kilka zdjęć. I dokładnie cię zbadać. Wiem, że w tej chwili to dla ciebie trudne. Ale obiecuję, że nie zrobię ci nic złego. Zaufaj mi, Meg.

Meg kiwa powoli głową. Nie boi się tej kobiety. Chyba nawet polubiła jej surową twarz i czujne spojrzenie. Ta kobieta wydaje się taka silna, władcza. Meg wstaje z podłogi. Wyciąga ku pielęgniarce zranione ręce.

Lecz w chwili, gdy kobieta znowu dotyka jej skóry obłożonymi w lateks palcami...

– Niedobrze mi – zali się Meg i ledwo udaje jej się dobiec do zlewu z nierdzewnej stali.

Drzwi otwierają się i zamykają, gdy pielęgniarka wychodzi z pokoiku. Meg obmywa twarz. Robiła to już dwa razy, zanim przyszli policjanci. Z tego powodu też mieli pretensje.

Bolał ją wargi. Odnajduje lustro i długo przygląda się swojemu odbiciu. Kąciki jej ust lekko krwawią, skóra jest otarta.

Meg czuje się naprawdę zdezorientowana. Sięga pamięcią wstecz w poszukiwaniu jakiejś podpowiedzi, lecz przypomina sobie tylko muśnięcia czyichś palców. Lekkie i pieśczośliwe. A ona wstrzymuje oddech, pragnąc, by się do niej zbliżył.

Pocałuj mnie, proszę.

Zaczyna drżeć. Chwilę później uświadamia sobie, że naprawdę się boi.

Z zewnątrz dobiegają głosy. Pielęgniarka i policjanci znowu rozmawiają na jej temat.

– Lateksem? Była związana kawałkami lateksu? Na litość boską, panowie, mogliście powiedzieć mi o tym wcześniej. Właśnie podeszłam do niej w lateksowych rękawiczkach, a ona o mało nie wyskoczyła ze skóry. Nic dziwnego, że tak się przerażyła.

– Więc pani myśli, że została zgwałcona?

– Oczywiście, że została zgwałcona. Widzieliście jej usta? Czuli kochankowie zwykle nie kneblują partnerek.

– Tak, ale... nie słyszała pani, co ta dziewczyna mówi? „Jaki piękny wieczór”. I cały czas nuci jakąś melodię i uśmiecha się do siebie. O co w tym wszystkim chodzi?

– To się nazywa euforia. Bo chociaż panna Pesaturo świadomie niczego nie pamięta, to jej podświadomość cholernie dobrze wie, co się stało, i podpowiada jej, że ma szczęście, że jeszcze żyje.

Policjanci nic już nie mówią. Chwilę później drzwi otwierają się i do sali wchodzi pielęgniarka. Meg patrzy na jej dłonie. Teraz nie ma na nich śmierdzących rękawiczek. Pielęgniarka podchodzi do szafki i wyjmuje jakieś pudełko. Podaje je Meg.

– Te ci odpowiadają?

Meg zagląda do pudełka. W środku leżą rękawiczki, ale inne. Wyciąga jedną z nich i pociera palcami. Jest cienka i pachnie gumą. Napis na pudełku mówi, że to rękawiczka winylowa. Meg wacha ją. W pamięci miga jej wspomnienie płynu do mycia naczyń i zlewu ze spienioną wodą. To wszystko.

Oddaje pudełko pielęgniarce.

– W porządku – mówi poważnym głosem.

Pielęgniarka rozkłada na podłodze białą tkaninę. Meg staje na niej i zdejmuje ubranie, włącznie ze stanikiem i majteczkami. Pielęgniarka pakuje każdą część garderoby do osobnej, specjalnie oznaczonej torby. Meg wyciąga rękę. Pielęgniarka robi zdjęcia jej nagiego ciała polaroidem. Osobno usta, osobno nadgarstki i kostki. Przeczesuje grzebykiem jej włosy łonowe. To, co zostało na ząbkach, wędruje do następnej torebki.

Potem Meg musi się położyć na fotelu. Układa stopy w strzemionach. Znowu wali jej serce. Stara się o tym nie myśleć. Stara się nie zapomnieć, że musi zaufać tej kobiecie, ponieważ stało się coś okropnego, mimo że pamięta tylko czekoladowe oczy i łagodny pocałunek kochanka.

Meg drży. W pokoiku jest tak zimno. Obawia się tamponów, które bierze pielęgniarka. Boi się tego, czego się może o niej dowiedzieć, a czego nie wie ona sama. Czuje się naga, nawet gdy pielęgniarka wręcza jej różowy szpitalny szlafrok.

Są ślady penetracji pochwowej, mówi jej pielęgniarka. Ślady płynu w szyjce macicy. Czy Meg bierze pigułki antykoncepcyjne?

Meg wydaje się, że chyba tak. Kiwa głową. Ale to dopiero początek. Nie musi przyjmować pigułki wczesnoporonnej, chyba że bardzo chce. Wciąż jednak istnieje ryzyko zakażenia chorobami wenerycznymi. Opryszczką. Rzeżączką. AIDS. Jeszcze dzisiaj odda próbkę krwi do analizy. W następnych tygodniach będą powtarzać badania, aby się upewnić, że nie doszło do zakażenia. Na przykład ślady HIV mogą się pojawić dopiero po sześciu miesiącach od odbycia stosunku z osobą zainfekowaną.

Meg znowu kiwa głową. Euforia już przeszła. Meg czuje się zmęczona. Bardzo zmęczona. Bola ją usta, kostki u nóg, nadgarstki. Siedzi z mocno zaciśniętymi nogami i gdzieś w głębi ma nadzieję, że już nikt nigdy nie będzie jej dotykał.

Pukanie do drzwi. Policjant wtyka głowę. Przyjechali rodzice Meg. Jest także detektyw. Muszą jej zadać jeszcze kilka pytań...

– Wszystko będzie w porządku – mówi pielęgniarza.

Meg po prostu patrzy na kobietę. W końcu dociera do niej, że tej miłej, poważnej pani płaci się za to, żeby kłamała. Meg została zgwałcona. Meg postradała zmysły. Meg nie poznaje mężczyzny i kobiety, którzy wbiegają do pokoju i zalani łzami wykrzykują jej imię.

W ciągu następnych dni, tygodni, miesięcy Meg przydarzy się wiele rzeczy. Ale nic nie będzie w porządku. Na to będą potrzebne lata. Najprawdopodobniej całe życie.

Poniedziałek rano, siódma dziesiąta. Meg w końcu zwlekła się z łóżka. Miała tej nocy problemy z zaśnięciem, chociaż nie bardzo wiedziała, dlaczego. Czekal ją co prawda ważny dzień, ale dla wszystkich pozostałych był on znacznie ważniejszy niż dla niej. Prokurator Ned D'Amato nie powoła jej nawet na świadka. Jak się bez ogródek wyraził, nie ma nic do powiedzenia. Wciąż nie pamięta niczego z tamtej nocy. Podczas procesu obrona pożarłaby ją żywcem.

Miła, łagodna Meg. Słodka, szczęśliwa Meg, która wciąż nie potrafi sobie niczego przypomnieć.

Z dołu dobiegł odległy brzęk patelni i garnków. Pewnie matka przygotowuje śniadanie. Potem rozległ się wysoki śmiech, a zaraz po nim piskliwy głos proszący o „naleśniki, naleśniki, naleśniki!” Młodsza siostra Meg, Molly, lubiła wstawać o szóstej.

Brak wspomnień już Meg tak bardzo nie przeszkadzał. Jakieś cztery miesiące temu zdała sobie sprawę, że posiada głębszą, instynktowną wiedzę, którą może wykorzystać, jeżeli wsłucha się w swój wewnętrzny głos. Nie potrafiła sobie na przykład przypomnieć ani imienia matki, ani tego, ile ma lat i jak wygląda. Lecz gdy tylko mama podbiegła do niej w szpitalu i objęła jej roztrzęsione ciało, Meg poczuła, że ta kobieta ją kocha. W ten sam sposób zareagowała na widok ojca i Molly. A kiedy przywieźli ją tutaj, od razu poczuła, że jest w domu, chociaż nie potrafiła podać jego adresu.

Czasami drobne sprawy sprawiały, że coś sobie przypominała. Jakaś piosenka w radiu potrafiła na chwilę strząsnąć pajęczynę z jej głowy. Czuła wtedy buzujące wspomnienie, które próbuje się wydostać na powierzchnię. Niczym słowo na końcu języka. Kiedy jednak za bardzo się starała, wspomnienie natychmiast pierzchało. Wtedy musiała czekać, aż znowu puszcza tę samą piosenkę albo jakiś zapach ni stąd, ni zowąd przyniesie dawno zapomniany obraz lub sytuację.

Ostatnio próbowała nie starać się zbyt usilnie. Koncentrowała się na słuchaniu wewnętrznego głosu. Pozwalała niewyraźnym, zamglonym obrazom unosić się w jej głowie. Spędzała dużo czasu na myśleniu o wszystkim i o niczym. Amnezja jest, jak powiedzieli lekarze, sposobem, w jaki jej umysł radzi sobie z przykrym przeżyciem. Zmuszanie się do przypomnienia sobie przeszłości mogło spowodować stres, który tylko pogorszyłby jej stan. Zamiast tego Meg musi wypoczywać, zdrowo się odżywiać i spędzać dużo czasu na świeżym powietrzu. Innymi słowy, dbać o siebie.

Meg dbała o siebie. Nie mogła zresztą robić nic innego.

Usłyszała głosy. Tym razem bliżej, na korytarzu. Ściszone głosy kłócących się ludzi, którzy nie chcą, żeby ktoś ich podsłuchał. To znowu rodzice. Wieczorem poszła spać, słysząc to samo.

Często odwiedzał ich wujek Vinnie. Wczoraj został prawie do dziesiątej i cały czas rozmawiał z jej tatą. Był wyraźnie wzburzony. Mama nie pochwałała wizyt wujka Vinniego i było widać, że nie podobało jej się to, o czym tata i wujek dyskutowali.

Sama Meg nie potrafiła tego zrozumieć. Wujek Vinnie miał szczery, donośny śmiech. Pachniał whisky i cygarami. Był prawie zupełnie łysy i gruby. Wyglądał jak skrzyżowanie Kojaka i Świętego Mikołaja. Jak można nie lubić kogoś podobnego do Kojaka i Świętego Mikołaja?

Meg odczekała, aż głosy rodziców za drzwiami w końcu ucichną. Molly była na dole. Pewnie zajęta dekorowaniem podłogi kawałkami naleśników. Mama chyba zeszła z powrotem do kuchni. Tata musiał się przygotować do wyjścia do pracy. Meg przemknęła niezauważenie przez korytarz i zamknęła się w łazience, gdzie wzięła długi, gorący prysznic.

Musiała się pośpieszyć, jeśli chciała zdążyć do rue de Pespoir na ósmą.

Dwadzieścia minut później ubrana w dżinsy i T-shirt, z upiętymi w kucyk długimi kasztanowymi włosami i świeżo wymytą twarzą zbiegła na dół. Tata pewnie już wyszedł, co ułatwiało sprawę zarówno jej, jak i jemu. Mimo że minął już rok, wciąż nie potrafił na nią patrzeć, nie widząc ofiary gwałtu. A Meg nie potrafiła udawać, że nie wie, że on widzi w niej dziewczynę, która została zgwałcona.

Matka zachowywała się inaczej. Płakała, wściekała się i była taka szczęśliwa, kiedy aresztowano Eddiego Como. Ale cieszyła się, że Meg znowu jest w domu, a poza tym miała ręce pełne roboty z powodu Molly. Było tyle do zrobienia. Życie toczyło się dalej. Prawdopodobnie lepiej od męża rozumiała, że kobiety są silniejsze, niż się wydają.

Teraz Meg objęła mocno drobne ciało matki.

– Lecę na spotkanie z Carol i Jillian – powiedziała, całując ją w policzek. Z tego typu spraw mogła się zwierzyć tylko mamie. Ojciec nie pochwalał spotkań Klubu Ocalonych. Po co jego mała córeczka miałaby siedzieć z dwiema starszymi kobietami i rozmawiać o gwałcie? Na Boga, dokąd ten świat zmierzał?

Meg nie miała nic przeciwko takim spotkaniom. Szczerze mówiąc, była trochę zaskoczona, a jednocześnie szczęśliwa, gdy Jillian ją zaprosiła. W końcu Meg niczego nie pamiętała. Nie stała się bojowa jak Jillian. Nie odchodziła od zmysłów jak Carol. Meg wciąż była Meg. Opowiadała o swojej rodzinie, o ludziach, których uczyła się znowu kochać; podczas gdy Jillian chłodnym głosem mówiła o prawach ofiar, a Carol skarżyła się na to, jak niesprawiedliwy jest świat urządzony przez mężczyzn.

– Zjesz naleśnika? – zapytała z nadzieją mama.

– Meg! – wrzasnęła Molly. – Cześć, Meg! – Molly była zdecydowanie rannym ptaszkiem.

Meg przeszła na drugi koniec kuchni, żeby ucałować umazaną syropem buzię Molly.

– Cześć! – powitała siostrę.

Pięćcioipółletnia dziewczynka, wynik wpadki rodziców w średnim wieku, roześmiała się wesoło.

– Zjesz naleśnika?

– Nie, muszę lecieć.

– Zjedz ze mną naleśniki.

– Nie mogę, jestem umówiona na herbatę. Ale zobaczymy się po południu.

Meg jeszcze raz pocałowała upačkany syropem policzek siostry, a potem połaskotała ją pod pachami, aż dziewczynka zaczęła się krzywić, piszczeć i wiercić na krześle.

– Już wychodzisz? – zapytała mama znad kuchenki.

– Tak. Nie chcę się spóźnić. Mam być o ósmej w rue de Pespoir.

– Zadzwoń? – upewniła się matka na wypadek, gdyby D’Amato miał jakieś wieści z sądu.

– Zadzwonię.

Mama odwróciła się od kuchenki i spojrzała na Meg.

– Kocham cię – powiedziała niespodziewanie.

– Ja ciebie też.

– Na pewno zadzwonisz?

– Jasne.

– Dobrze.

Matka kiwnęła głową i wróciła do smażenia naleśników, mimo że nie było już nikogo do nakarmienia.

Meg wyszła na dwór. Było słonecznie i jeszcze dość chłodno, ale zapowiadał się ciepły dzień. Piękny dzień, tylko że to nic nie znaczyło. Rok temu był piękny wieczór.

Meg wsiadła do zaparkowanego na ulicy brązowego nissana. Starła się nie patrzeć na nieaktualną parkingową nalepkę Providence College na szybie. Jej ojciec już nie uważał, że college to odpowiednie miejsce dla jego małej córeczki. Jeśli uda mu się postawić na swoim, Meg nigdy tam nie wróci.

A Meg? Czego chciała Meg? Miała szczęście. Wszyscy jej to powtarzali. Detektyw Fitzpatrick, Ned D’Amato, Carol, nawet Jillian. Została co prawda zgwałcona, ale na tym się skończyło. Nie miała połamanych kości, blizn, samobójczych myśli. Była pierwszą ofiarą Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, a po niej Como stał się zdecydowanie bardziej brutalny.

Włączyła silnik i wyjechała na ulicę. Poczowała na sobie spojrzenie oczu, które tak często ją ostatnio prześladowały. Nie odwróciła głowy.

Ale zadrżała.

To już cztery miesiące. Meg nie wiedziała, co się działo. Ale jedno było jasne. Jakoś, nie wiadomo jak, słodka Meg nie była już sama.

MAUREEN

W centrum Providence Griffin i Waters wyszli razem z sądowego dziedzińca. Griffin uznał, że powinien coś powiedzieć.

– Opowiedz mi o sprawie Eddiego Como. – No dobra, pewnie powinien był zacząć od czegoś bardziej osobistego.

Waters wzruszył ramionami.

– Niewiele na ten temat wiem. Miejscy prowadzili śledztwo.

– To powiedz przynajmniej, co pisała prasa.

– Cztery kobiety zostały zaatakowane, jedna umarła. Pierwsza, Meg Pesaturo, była studentką Providence College. Wygląda na to, że jej rodzina ma powiązania z mafią. Chociaż to dla mnie nowość. Następna ofiara nazywa się Rosen, mieszka w jednym z tych dziewiętnastowiecznych dużych domów niedaleko Browna. Po tym gwałcie, jak się możesz domyślić, całe East Side zaczęło się domagać lepszej policyjnej ochrony. Trzeci atak miał miejsce na terenie kampusu Browna. Ofiarą była znowu studentka, tyle że podczas gwałtu zjawiała się jej starsza siostra. Como mocno ją poturbował, a studentka zmarła. Z powodu alergii na lateks, o ile pamiętam.

– Facet miał rękawiczki?

– Tak. Poza tym wiązał ofiary lateksowymi opaskami. Takimi, jakich się używa przy pobieraniu krwi. Właśnie przez to wpadł. Okazało się, że ofiary oddały krew w uniwersyteckim punkcie krwiodawstwa niedługo przed gwałtem. Policja zaczęła węszyć i w końcu go znaleźli. Eddie Como pracował w Stanowym Centrum Krwiodawstwa. Wybierał potencjalne ofiary podczas pobierania krwi, a potem odszukiwał ich adresy w bazie danych.

Griffin rozmasował kark.

– Oskarżenie oparte na poszlakach? – zapytał.

– Nie, mieli jego DNA. We wszystkich trzech przypadkach. To był na pewno Como.

– Załatwiliby go na procesie? Waters pokiwał głową.

– Miał to jak w banku.

– Ciekawe. Eddie dostałby najprawdopodobniej dożywocie, a szeryfowie twierdzą, że te trzy kobiety mimo wszystko chciały go zabić.

– Nie widziałeś, co z nimi zrobił – odparł Waters.

Zbliżyli się do dziennikarzy.

– Sierzancie, sierzancie, sierzancie! – podnieśli wrzask reporterzy.

– Czy Eddie Como nie żyje?

– Co ze strażnikami?

– Są jakieś inne ofiary?

– A eksplozja? Czy to była bomba samochodowa?

– Kto poprowadzi sprawę? Policja miejska czy stanowa? Kiedy odbędzie się konferencja prasowa? Kiedy nam coś powiecie?

Griffin uniósł rękę. Natychmiast błysnęły flesze. Skrzywił się, na wspomnienie prasowej nagonki sprzed półtora roku, ale zdołał się opanować.

– Okej. Układ jest następujący. Nie odpowiadamy na żadne pytania. Chóralny jęk zawodu.

– Jesteśmy tu po to, żeby wam zadawać pytania. Szum zainteresowania.

– Wiem, wiem – oznajmił szorstko Griffin – też bardzo się z tego cieszymy. Gdyby ktoś jeszcze nie zauważył, wszyscy byliście świadkami strzelaniny.

– Chodziło o Eddiego Como, prawda? Ktoś zabił Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego!

Dziennikarze zaczęli znowu swoje, jak dzieci w piaskownicy.

– Kiedy odbędzie się konferencja prasowa?

– Kto poprowadzi śledztwo?

– Co możecie powiedzieć o wybuchu na parkingu?

– Czy ktoś przesłuchał już kobiety? Co mają do powiedzenia ofiary?

Griffin westchnął. Przemówienie dziennikarzom do rozsądku graniczyło z cudem. Ale cóż, trzeba było robić to, co było do zrobienia. Obaj z Watersem wyprężyli się, odsunęli na bok dwóch mundurowych i mężnie wkroczyli w tłum. Przed nosem Griffina natychmiast wyrosły cztery mikrofony. Odepchnął je i podszedł do jednego z reporterów.

– Hej, ty. Zaczniemy od ciebie i twojego operatora. Zapraszam.

Poprowadzili obu dziennikarzy na bok. Nie wyglądali na zadowolonych, lecz Griffin i Waters wcale się tym nie przejęli. Griffin przesłuchał reportera, a Waters kazał sobie puścić nagranie kamerzysty. W końcu ich wysiłki zostały nagrodzone ziarnistym i nieostrym obrazem pleców człowieka biegnącego po dachu. Operator zrobił zbliżenie na reportera stojącego przed gmachem sądu, a kiedy usłyszał strzał i podniósł kamerę, snajper był już za daleko.

– Był ubrany na czarno – oświadczył reporter. – I miał coś na głowie. Może pończochę. Wie pan, jak rabusie na filmach.

Griffin mruknął, że rozumie. Waters zapisał nazwiska dziennikarzy i nazwę ich stacji, a potem ruszyli dalej. Druga para okazała się jeszcze bardziej pomocna. Operator tak się przejął hukami, że upuścił warte pięć tysięcy dolarów narzędzie pracy na trawę.

– Nie najlepiej znoszę hałas – wyjaśnił skruszony.

– Na litość boską, Gus – ofuknęła go koleżanka – a co będzie, jak nas wyślą do Afganistanu?

– Pracujemy dla UPN w najmniejszym stanie w kraju, Sally. Niby jakim cudem mieliby nas wysłać do Afganistanu?

– Czy przynajmniej spojrzął pan w stronę dachu? – przerwał im Griffin.

– Tak – odparł Gus. – Widziałem jedną biegnącą osobę.

– Osobę? – zapytał Waters.

Gus wzruszył bezradnie ramionami.

– Widziałem tylko czarną sylwetkę. Mógł to być mężczyzna, mogła to być kobieta.

W naszych czasach wszystko jest możliwe.

– Słusznie, Gus, bardzo wnikliwa obserwacja. Griffin zwrócił się do Sally.

– A pani?

Dziennikarka spojrzała na niego z dumą.

– Myślę, że to był mężczyzna. Szerokie ramiona. Niski, ciemne włosy. Ubrany w czarny kombinezon. W taki, w jakich chodzą mechanicy samochodowi. Dobrze pan wygląda po wakacjach, sierżancie Griffin. Detektyw z kryminalnego, który nie ma na głowie innych spraw, bo długo go nie było. Dwadzieścia do jednego, że przydzielą panu to śledztwo. Więc może przeprowadzimy wywiad? Pięć minut. Mój szef załatwi to z pańskim. Co pan na to?

Waters dziwnie spojrział na kolegę. Prawdopodobnie jeszcze się nie zastanawiał, kto zostanie wyznaczony do kierowania śledztwem. Zwykle takich decyzji nie podejmowano od razu. Ale Sally miała rację. Griffin był sierżantem, miał doświadczenie i w tym momencie nie zajmował się żadną inną sprawą.

– Jestem pewien, że komisarz wkrótce złoży stosowne oświadczenie – odrzekł Griffin, po czym podszedł do tłumu dziennikarzy. – Następni!

Przesłuchanie reporterów zajęło im dwie godziny. Pod koniec dysponowali rysopisem białego mężczyzny, który miał od stu sześćdziesięciu do stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, ciemne albo jasne włosy, był mocno zbudowany lub chudy jak tyczka, nosił na twarzy gogle narciarskie, maskę Zorro, pończochę albo nic, a także był łądząco podobny do Jamesa Gandolfiniego w *Rodzinie Soprano* albo i nie.

– Po prostu świetnie. Możemy już urządzić konfrontację za weneckim lustrem – podsumował Waters.

– A mnie się zdawało – dodał Griffin – że potrzebny będzie cały dzień, żeby się dowiedzieć, że nikt niczego nie widział. Człowiek uczy się całe życie. Ile nam to zajęło? Dwie i pół godziny?

– Szef pęknie z zachwytu – zgodził się Waters.

Westchnęli ciężko i odeszli od reporterów, którzy właśnie wypatrzyli po drugiej stronie ulicy majora i znowu podnieśli krzyk, domagając się konferencji prasowej.

– Co o tym sądzisz? – spytał cicho Waters, upewniwszy się, że żadnego dziennikarza nie ma w pobliżu. W powietrzu wciąż unosił się duszący dym i obaj detektywi zdążyli się nabawić chrypki.

– Szczamy pod wiatr – zawyrokował Griffin. – Pojedynczy strzał w głowę, więc facet musiał być zawodowcem. Zostawił wszystko na dachu, więc wiedział, że broń nie doprowadzi nas do niego. Założę się, że gdy tylko załatwił Como, przebrał się w cywilne łachy i szedł do sądu, gdzie wtopił się w tłum.

– I jak gdyby nigdy nic poszedł na parking – dodał Waters.

– Tylko że jego ucieczka okazała się bardziej spektakularna, niż mógł przypuszczać.

– Rysopis na niewiele się zda, chyba że w kostnicy – zgodził się Waters.

Musimy się dowiedzieć, kim był, żeby znaleźć tego, kto go wynajął – Bo ja wiem? Sądząc po tym, co usłyszeliśmy, wujek Vinnie wyrasta na głównego podejrzanego. Miał motyw i możliwość zatrudnienia płatnego zabójcy. Coś mi się zdaje, że Tom miał rację. Albo... – Waters zamyślił się. – Mężatka z East Side też ma pieniądze. Może to ona zaangażowała snajpera. A może wszystkie trzy są w to zamieszane. Słyszałem, że założyły coś w rodzaju grupy wsparcia. Chociaż nie mam pojęcia, czemu miałyby zabijać wynajętego zabójcę. Z drugiej strony, skoro już się zdecydujesz zabić jednego zbira, to co zmieni śmierć jeszcze jednego?

Griffin tylko chrząknął. Nie lubił wyciągać przedwczesnych wniosków, kiedy pracował nad sprawą. Przerzucił kartki notesu.

– Hej, Mike, co się stało z NBC?

– Nie wiem. Skończyli nadawać *Seinfelda*, *Ostry dyżur* stracił Clooneya?

– Nie, nie. Chodzi mi o to, że nie przesłuchaliśmy nikogo z WJAR. Wątpię, żeby Kanał Dziesiąty nie wysłał tu swojego zespołu.

Waters zmarszczył brwi. Rozejrzał się po parku. I otworzył szeroko oczy.

– Tam, na końcu ulicy. Czy na tym białym wozie nie ma przypadkiem napisu Wiadomości Kanału Dziesiątego?

– No, no. Kto by pomyślał? Dwóch reporterów oddzieliło się od stada. Ciekawe dlaczego trzymają się na uboczu?

– Mają coś.

– Nie, Mike. To my coś mamy. Dorwijmy ich.

Po minucie Griffin zapukał w rozsuwane drzwiczki furgonetki. Nie otworzyły się jak od magicznego zaklęcia. Zapukał mocniej. Głosy wewnątrz wozu natychmiast ucichły.

– Tu sierżant Griffin z policji stanowej – zawołał. – Otwierać! Albo rozwalę wam samochód.

Nastąpiła długa cisza. W końcu drzwiczki rozsunęły się. Z wnętrza wychynęła twarz Maureen Haverhill, która obdarzyła detektywów najśłodszy z swych profesjonalnych uśmiechów.

– Griffin! – powiedziała ciepło. – Słyszałam, że wróciłeś.

Maureen pracowała dla lokalnej stacji NBC od pięciu lat. Jako drobna energiczna blondynka nadawała się na prezenterkę jednego z porannych programów ogólnokrajowych i pewnie uważała, że awans był w jej wypadku tylko kwestią czasu. Teraz jej błękitne oczy lśniły bardziej niż zwykle. Wyglądała jak narkomanka, która przed chwilą wzięła świeżą działkę. Albo jak dziennikarka, która właśnie zdobyła sensacyjny materiał. Jej kamerzysta chował się w głębi kabiny. Pewnie kopiował kasetę. A niech to.

– Oboje z wozu – burknął Griffin.

– Ale panie sierżancie...

– Migiem!

Maureen skrzywiła się żałośnie. Po czym odstawiła pantomimiczne przedstawienie pod tytułem „Krucza bezbronna blondyneczka w przykrótkiej, zbyt obcisłej pistacjowej spódniczce wysiadająca z samochodu”. Dzięki temu kupiła operatorowi dodatkowe trzydzieści sekund.

– Bóg mi świadkiem, Maureen – poinformował ją Griffin – jeżeli skopiujesz tę kasetę, przyskrzynię cię za nielegalne wykorzystywanie materiału dowodowego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Jimmy – zawołał Griffin. – Wsiadka. I to już!

W drzwiach furgonetki pojawiła się rozczochrana ruda czupryna.

– Robiliśmy po prostu notatki – powiedział Jimmy z wyrzutem. – Co jest, nie wolno nam pracować?

Potężny rudzielec zeskoczył na chodnik. Starał się nie patrzeć na policjantów. Na czole lśniły mu krople potu.

– Chcę dostać tę taśmę – oznajmił Griffin.

– Jaką taśmę? – nie dawała za wygraną Maureen.

– Taśmę, którą właśnie kopiujecie, żeby ją jak najszybciej wyemitować. Byłoby niesprawiedliwe, Maureen, gdyby jakaś niedoświadczona gaska skomentowała ten reportaż tylko dlatego, że znalazła się za kratkami.

– Nie możecie mnie aresztować! Na jakiej podstawie?

– Utrudnianie śledztwa.

– No, nie. To bzdura i obaj o tym wiecie.

– Nie było mnie półtora roku. Znajomość przepisów trochę wywietrzała mi z głowy. Aresztuję cię, a potem niech sąd rozstrzygnie, czy słusznie.

Maureen zaczęła się wkurzać.

– Odwal się! – warknęła. – Czwarta poprawka zabrania nielegalnego przeszukiwania i przejęcia własności!

– W takim razie dobrze się składa, że stoimy w pobliżu sądu. Ja zostanę z wami, a detektyw Waters skoczy po nakaz. Za pół godziny i tak dostaniemy kasetę, a wtedy udostępniemy ją wszystkim stacjom w stanie. Rozumiesz? Wszystkim bez wyjątku.

– Nie ma mowy. To mój materiał!

– Nieprawda. To nasz materiał dowodowy, a kiedy już go przejmujemy, będziemy mieli prawo zrobić z nim to, co uznamy za stosowne.

– Niech cię, Griffin! Tak bardzo cię lubiłam przed... – Urwała w pół zdania. I nawet okazała na tyle wrażliwości, że się zarumieniła.

Griffin nic nie powiedział. Po prostu na nią patrzył. Przez ostatni rok zrobił się w tym całkiem niezły. Czasami, zwłaszcza w ciągu pierwszych miesięcy po Wielkim Bum, łapał się na tym, że stoi przed lustrem i gapi się w nie w taki sam sposób. Jakby chciał dzięki temu zrozumieć samego siebie.

– Oddajcie kasetę – powtórzył. – To dowód. Wszystko, co z nim zrobicie, włącznie z kopiowaniem i obróbką zostanie uznane za utrudnianie śledztwa. Mamy tu co najmniej sześćdziesięciu detektywów, nie wspominając o ponad setce mundurowych. Czy naprawdę wydaje ci się, że prokurator generalny dobrze zareaguje na wiadomość, że jakaś lokalna dziennikarka bawi się materiałem dowodowym, który może się okazać kluczowy dla śledztwa?

Maureen przygryzła wargę.

– Zawrzyjmy układ – zaproponowała.

– Dlaczego, Maureen? Chcesz się przyznać do popełnienia jakiegoś przestępstwa?

– Będziemy współpracować, oddamy kasetę...

– Chyba masz na myśli to, że ją przejmujemy.

– Oddamy kasetę. W zamian za drobną przysługę. Wywiad z pułkownikiem.

Griffin parsknął śmiechem.

– Z majorem – spuściła z tonu.

Griffin zarechotał jeszcze głośniej.

– Z detektywem kierującym śledztwem. No, Griffin, nie bądź taki. Zabierasz nam wyjątkowy materiał. Najlepsze zdjęcia w mojej karierze. Należy nam się przynajmniej wywiad. I do tego prawa na wyłączność do kasety. Nie dacie nagrania żadnej innej stacji. Jak nie patrzyli, gdzie trzeba, to ich problem.

– Twoje współczucie jest po prostu zniewalające.

– Co ty na to? Pięciominutowy wywiad z detektywem prowadzącym i prawa na wyłączność do kasety.

– Pół minuty ze starszym detektywem biorącym udział w śledztwie i prawa na wyłączność.

– Trzy minuty.

– Jedna, a listę pytań musicie dostarczyć wcześniej. Jeśli nie, po prostu dostaniecie odpowiedź „bez komentarza”.

Maureen skrzywiła się boleśnie. Łypnęła na Griffina z ukosa.

– Dostaniesz tę sprawę?

– Nie wiem. Jeszcze nie ma żadnej decyzji w tej sprawie.

– Bo to by była niezła historia, rozumiesz. Złoty chłopak wraca na wojnę. Wielu ludzi wątpiło, czy wrócisz po sprawie Cukiereczka. Jedni myśleli, że straciłeś zainteresowanie robotą, a inni, że nie masz jaj, żeby wrócić. Tak bardzo kochasz tę pracę, Griffin, czy robisz to po prostu z przyzwyczajenia? – zmieniła taktykę. – Cukiereczek nadal pisze do ciebie listy?

– Minuta ze starszym detektywem. Tak czy nie, Maureen? Oferta straci ważność za pięć, cztery, trzy, dwie...

– Okej, okej – zgodziła się pośpiesznie. – Minuta ze starszym detektywem. – Westchnęła, poświęcając jeszcze chwilę na okazanie rozpaczy po utracie tematu dnia, a potem pogodziła się z tą myślą. – Dostaliśmy nauczki. Nie opłaca się robić reportaży – mruknęła. – No dobrze, zapraszam do środka. Na pewno chcecie zobaczyć to nagranie.

Jimmy podłączył kamerę do zewnętrznego monitora. Nie zdążyli jeszcze zmontować nagrania. Razem z Maureen oglądali je raz po razie, próbując wybrać najlepsze kadry. Jimmy odtworzył nagranie. Trwało siedemdziesiąt pięć sekund i pokazywało wszystko. Dosłownie wszystko.

– Jak, u licha, udało wam się to nakręcić? – zapytał Griffin, występując dwa kroki przed Watersa i przyciskając Maureen do ściany. – Kołujecie nas?

– Nie, nie, przysięgam...

– Dostaliście cynk? Głębokie Gardło powiedział, że stanie się coś wielkiego, ale nie uznaliście za stosowne, podzielić się z nami tą informacją?

– Griffin, to nie tak...

– W ogóle nie sfilmowaliście samochodu z więźniami! Całe nagranie pokazuje dach! Na trawniku jest jedenaście innych zespołów reporterskich, Maureen. Wszystkie skoncentrowały się na przyjeździe Como. Więc dlaczego akurat wy uznaliście, że trzeba filmować dach? Co wiedzieliście?

– Nic! – jęknęła Maureen. Uniosła głowę i wypięła pierś. – Po prostu... przez cały czas wydawało mi się, że ktoś na mnie patrzy; Nie żartuję. Aż ciarki przechodziły mi po plecach. Bez względu na to, gdzie byłam i co robiłam, czułam czyjś wzrok. A potem, kiedy usłyszałam, że jedzie furgonetka, zaczęłam poprawiać mikrofon i... spojrzałam w górę. Ostatni raz. Na dach. I mogę przysiąc, że zobaczyłam ruch. Więc szturchnęłam Jimmy'ego i powiedziałam, żeby filmował dach.

– Myślałem, że jej odbiło – odezwał się Jimmy. – Ale co tam, zdjęcia vana to żaden rarytas. Więc zrobiłem zbliżenie dachu i kto by przypuszczał? Facet wyskakuje i strzela. Nie do wiary. Moglibyśmy to puścić na cały kraj.

– Dostać nagrodę – dodała Maureen. – Wiele nagród. – Znowu załśniły jej oczy. Zadrżała, wciąż przyciśnięta do ściany.

Griffin odsunął się powoli. Wciąż miał zaciśnięte pięści. Teraz skupiał się przede wszystkim na tym, żeby rozprostować palce, rozluźnić mięśnie i oddychać spokojnie. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Waters przygląda mu się bacznie. Maureen i Jimmy też. Pewnie myśleli o tej cholernej piwnicy. Może zresztą tak powinno być.

Wziął kolejny głęboki oddech, skoncentrował się na galopującym pulsie i policzył do dziesięciu.

– Dajcie nagranie – rozkazał.

Jimmy z ociąganiem otworzył kieszeń kamery i wyciągnął cyfrową kasetę. Waters podetknął mu torbę na dowody. Jimmy spojrział tęsknie na taśmę, a potem wrzucił ją do torby.

– Będziecie pamiętać o naszej umowie? – upewniła się Maureen.

– Tak.

– Gdybyśmy dostali kasetę przed czwartą – powiedziała poważnym głosem – wciąż moglibyśmy zdążyć na wiadomości o piątej.

– Na pewno przekażę tę prośbę chłopakom z Identyfikacji Kryminalnej. – Kasetę przed czwartą. Też coś. Będzie miała farta, jeżeli dostanie ją za sześć miesięcy.

Maureen oparła się o ścianę furgonetki. Przegrała tę rundę, ale było widać, że już przygotowuje się do następnej bitwy.

– Hej, Griffin, bądź szczerzy. Ten facet nie żyje, prawda? Wyleciał w powietrze na parkingu.

– Bez komentarza.

– Tak właśnie myślałam. Będziecie teraz przesłuchiwać ofiary? Trzy kobiety?

– Bez komentarza.

– Może chociaż one zorganizują konferencję prasową. Byłoby miło. Przez ostatni rok dzięki nim i ich klubowi udało nam się niezłe podnieść oglądalność. – Maureen przygryzła wargi. – Ciekawe, czy zgodziłyby się na wywiad...

– Ofiary gwałtu urządzają konferencje prasowe? – Griffin spojrział ze zdziwieniem na Watersa.

Maureen nie potrafiła sobie odmówić przyjemności uświadomienia go w tym względzie.

– Chryste, Griffin, gdzieżeś się podziewał? Zaraz po śmierci Trishy Hayes te kobiety praktycznie przejęły wszystkie programy informacyjne. Siostra Trishy, Jillian, doprowadziła do stworzenia grupy. Nazywa ją to Klubem Ocalonych. Od tego momentu zaczęły wysyłać oświadczenia do prasy. Zadziałało jak czary. Przedtem ludzie wiedzieli wprawdzie o grasującym gwałtocielu, ale nie spędzało im to snu z powiek. Wiesz, jak to jest. Każdemu się wydaje, że akty przemocy dotyczą tylko innych. Zwłaszcza gwałty. Na pewno przytrafiają się tylko innym kobietom, biednym, mieszkającym w niebezpiecznej okolicy albo prowadzącym niebezpieczne życie. I oto pewnego dnia ludzie włączają telewizory i widzą trzy ofiary: piękne, białe, wykształcone i bynajmniej nie biedne. Dwie z nich nie są nawet słodkimi nastolatkami, lecz szacownymi kobietami w średnim wieku prowadzącymi szacowne życie, jakie przystoi klasie średniej.

– Ludziska całkiem powariowali – dodała po chwili. – „Patrzcie na te biedne kobiety, tak brutalnie zaatakowane we własnych domach. Aresztujcie kogoś, kogokolwiek, tylko, na Boga, zróbcie to, zanim coś podobnego spotka moją córkę, moją siostrę, moją matkę, moją żonę. Gdzie, do cholery, podziewa się policja?” Po ich pierwszym występie telewizyjnym w biurze prokuratora generalnego przez tydzień urywał się telefon.

– Dały przestępstwom twarz – zauważył Griffin.

– Klub Ocalonych dał przestępstwom trzy wyjątkowo atrakcyjne twarze. Uczyłeś się psychologii? Ludzie naprawdę oceniają książki po okładkach. Brzydzący dostają to, na co zasługują. A ładni...

Griffin pokiwał głową.

– Dużo było tych konferencji? – zapytał.

- Bo ja wiem? Pięć czy sześć.
- I zawsze przed kamerami stawały wszystkie trzy?
- Zawsze. Żadnych indywidualnych wywiadów. Zastrzegły to na samym początku.
- A ich rodziny?

Maureen wzruszyła ramionami.

– Czasami w tle widywało się męża Carol Rosen albo matkę Meg Pesaturo, ale w konferencjach uczestniczyły tylko te trzy kobiety. W końcu to one zostały brutalnie zaatakowane, podczas gdy gliniarze przez sześć tygodni siedzieli beczynn timer na tyłkach.

- Mają pretensje do policji?
- Tak sądzę. Chociaż nigdy tego nie powiedziały.
- Dają się ponieść emocjom?

– Czasami. Ale rzadko. Zwykle są raczej... skupione na temacie. Do każdej konferencji wybierały motyw przewodni. Na przykład, kiedy mówiły przed gmachem policji miejskiej, domagały się większej liczby pieszych patroli. Gdy pojawiły się przed ratuszem, apelowały o poświęcenie większej uwagi sprawom bezpieczeństwa. Przed prokuraturą domagały się energiczniejszego śledztwa i schwytania podejrzanego. W końcu mówimy o seryjnym gwałcicielu, a tacy zwykle nie przestają gwałcić jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Innymi słowy, doprowadziły opinię publiczną do białej gorączki – zgadł Griffin. O tak, potrafił to sobie wyobrazić. Detektywi z policji miejskiej musieli aż skakać z radości. Nie ma to jak niechęć ludzi, którym próbuje się zapewnić bezpieczeństwo. W takich chwilach człowiek naprawdę kocha swoją pracę. Oczywiście, gdyby sprawą zajęła się policja stanowa, od razu przyskrzyniliby skurczybyka. Bez dwóch zdań.

– Eddie Como zaatakował cztery kobiety w ciągu sześciu tygodni – powiedziała z naciskiem Maureen. – Jedną z nich zabił. Jak myślisz, jak się czuła Jillian Hayes, wiedząc, że gdyby policja poświęciła sprawie więcej uwagi, być może do trzeciego ataku w ogóle by nie doszło? Jej siostra wciąż by żyła.

– Tak powiedziała?

– Nie musiała. Wystarczyło, że stanęła przed kamerami, i ludzie przypomnieli sobie, co się stało z jej siostrą i co może spotkać ich siostry, jeżeli gwałciciel pozostanie na wolności. Zareagowali na to. Kurczę, to mało powiedziane. Ludziska po prostu oszaleli na punkcie gwałciciela. Założę się, że gdyby teraz zorganizowały następną konferencję i oznajmiły, że to one zabiły Eddiego Como, nikt nie miałby im tego za złe.

– Są aż tak atrakcyjne? – zapytał Griffin.

– Nie! – Maureen przewróciła oczami. – Są aż tak... przekonujące. Pomyśl tylko. Jillian Hayes, starsza siostra, która prowadzi własny biznes i opiekuje się niedołączoną matką. Jest zawsze dobrze ubrana i trzyma dużą fotografię uśmiechniętej siostrzyczki, która miała zaledwie dziewiętnaście lat, gdy Eddie Como ją zabił. Meg Pesaturo, która wygląda jak Bambi, ma wielkie brązowe oczy i drżące dłonie. Wierz mi, nie ma w tym stanie faceta, który zobaczywszy ją, nie chciałby własnoręcznie ukatrupić Eddiego Como. No i wreszcie Carol Rosen, błękitnooka blondynka z wyższych sfer, która mieszka we wspólnym wielkim domu, ale też działa w różnych lokalnych organizacjach charytatywnych. Nawet gdybyś nie wiem jak się wysiłał, nie zorganizowałbyś lepszej grupy.

– Bizneswoman, podłotek i dobrze sytuowana mężatka. Innymi słowy, dla każdego coś miłego.

– Dokładnie.

– Mówią kolejno do mikrofonu – mruknął Griffin.

– O, nie. Jillian Hayes jest rzecznikiem całej grupy. Ona mówi.

– Tylko?

– Tylko. Zdaje się, że mają taką umowę. Poza tym Jillian Hayes ma doświadczenie w marketingu, dwie pozostałe nie czują się zbyt pewnie przed kamerą.

– Czyli to nie one stawiały wymagania – powiedział Griffin. – Tylko Jillian Hayes.

– Jillian Hayes mówiła w imieniu całej trójki. Carol i Meg zawsze stały tuż obok niej.

– Ale to Jillian jest przywódcą tego Klubu Ocalonych?

– Wiesz, Griffin, mówisz, jakby Jillian knuła coś złego.

– Po prostu się zastanawiam.

Maureen nie odzywała się przez chwilę. Jej błękitne oczy znowu roz błysły.

– Mamy nagranie, które cię zainteresuje.

Griffin i Waters wymienili spojrzenia.

– Wszyscy mają takie nagrania – powiedział Griffin. – Na tym polegają konferencje prasowe.

– My mamy lepsze.

– Znowu wypatrzyłaś coś na dachu?

– Coś w tym rodzaju.

– No, dobra. Dawaj. – Griffin zaczął mieć powoli dość tej rozmowy. – Wyrzuć to z siebie, Maureen. Zdażyłaś już to wyemitować, cokolwiek to było. A to znaczy, że wszyscy to widzieli. Przejdźmy więc do sedna, a twoja współpraca zostanie doceniona.

– Jak bardzo doceniona?

– Przy następnym spotkaniu będę na ciebie warczał mniej, niż zamierzam warczeć dzisiaj.

– Bardzo zabawne. Wydawałoby się, że urlop, powinien ci poprawić charakter, sierzancie Griffin.

– A mnie się wydawało, że filmowanie konferencji trzech brutalnie zaatakowanych kobiet nauczy cię odrobiny współczucia. Wygląda na to, że oboje się pomyliliśmy.

Maureen zacisnęła wargi. Za jej plecami Jimmy odwrócił głowę, nim zdążyła zauważyć jego uśmiech.

– Mamy takie ujęcie Carol Rosen – oznajmiła nagle.

– Tej dzianej mężatki?

– Tak. Z ich trzeciej konferencji. Nawet nie pamiętam, w jakiej sprawie. W każdym razie Jillian gada jak zwykle do mikrofonu, a Carol i Meg robią to, co potrafią najlepiej, to znaczy stoją obok. Wtem pojawia się mąż Carol. Podchodzi do żony od tyłu i kładzie rękę na jej ramieniu. Zdaje się, że wcale się go nie spodziewała, bo gdy tylko to zrobił, o mało nie wyskoczyła ze skóry. Jimmy akurat robił jej zbliżenie. Wyraz jej twarzy... Ta kobieta była po prostu przerażona. Nie czuła się bezpiecznie nawet w biały dzień, wśród ludzi. Wszedł z tego wzruszający news. A tak nawiasem mówiąc, tylko my to sfilmowaliśmy.

Milczała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się i machnęła na nich ręką.

– No, panowie. Jesteście dużymi chłopcami, wiecie, jak to jest. Znaczą zasady gry.

– Chcesz powiedzieć – odezwał się Griffin – że uważasz, że Carol Rosen zabiła Eddiego

Como. I sądzisz tak na podstawie ataku paniki, który udało się wam zarejestrować na taśmie?

Maureen zmrużyła oczy.

– Masz pojęcie, co ten facet jej zrobił, Griffin? Czytałeś policyjne raporty z tej sprawy? Na Boga, kiedy Eddie Como z nią skończył, Carol Rosen nie mogła chodzić przez pięć dni. Jillian straciła siostrę. Meg Pesaturo straciła pamięć. Ale z tego, co widziałam, Carol Rosen straciła zmysły. Gdyby ktoś mi coś takiego zrobił, zabiłabym go. A ty nie?

Pytanie było dwuznaczne. I oboje zdawali sobie z tego sprawę. Griffin nie odpowiedział. Po chwili Maureen potrząsnęła niecierpliwie głową.

– Słuchaj, oboje wiemy, co teraz zrobicie. Spotkacie się z trzema ofiarami, zapytacie, która z nich pociągnęła za spust, a gdy tylko któraś z nich choćby mrugnie, zamkniecie ją do pudła. Więc nie praw mi tu morałów o współczuciu, sierżancie. To jest gra. I nie wróciłbyś do roboty, gdybyś za nią nie tęsknił.

– O ja biedny – mruknął Griffin. Maureen znowu potrząsnęła głową.

– Nie. Biedna Carol Rosen.

CAROL

Ogląda wieczorne wiadomości na kanale Fox. Co chwila sennie zamyka oczy. Od piątej rano jest na nogach, dziesiąta wieczorem to dla niej za późno. Powinna wyłączyć telewizor. Powinna położyć się do łóżka.

Dom jest duży i cichy. Zegar po dziadku przestał już bić, lecz ona wciąż czuje głębokie wibracje rozchodzące się po kątach i zakamarkach stuipięćdziesięcioletniego wiktoriańskiego domu. Kiedyś ten dźwięk sprawiał jej przyjemność. Kiedyś z dumą przesuwała dłoń po gładkiej poręczy z wiśniowego drzewa, schodząc po schodach. Kiedyś z zaciekawieniem zaglądała do pokoiików w krytej gontem wieży, niczym poszukiwacz skarbów.

Te czasy minęły. Im dokładniej przygląda się domowi, który z takim oddaniem wyremontowała, tym bardziej kojarzy się jej z więzieniem.

– Musisz ciągle pracować do tak późna? – zapytała Dana.

– Chryste, Carol, ktoś musi za to wszystko płacić. Wiesz, że nowa kanalizacja nie jest tania.

Carol nie pamięta, żeby mąż był taki na początku. To on znalazł ten dom. To on pewnego dnia wbiegł do ich wynajmowanego mieszkania i z entuzjazmem oznajmił, że właśnie widział ich przyszły dom. Przeprowadzka na East Side to duży awans. Właśnie tu mieszkały kiedyś elity Providence. Bankierzy, bogaci kupcy, jubilerzy. Dan lubił marzyć o Benefit Street, ale nie mogli sobie pozwolić na jeden z tych olbrzymich bajkowych pałaców.

Ten dom jednak – stary, opuszczony, podzielony na mieszkania pod wynajem – był inny. Cena nie była wygórowana. Za to koszt remontów... Szczerze mówiąc, Carol też zakochała się w tym domu. W dwupiętrowej wieżyczce, w okalającej mury werandzie, w drewnianych ozdobach, które wyglądały jak zrobione z piernika. Potrzebne były nowy dach, nowa instalacja elektryczna, nowa kanalizacja. Trzeba było wyburzyć nowe ściany i odbudować stare. Potrzebne były roboty stolarskie i murarskie. Potrzebne były sprzątanie, cyklinowanie, malowanie.

Potrzebni byli nowi właściciele – oni. Tak właśnie myślała na początku. Dom potrzebował młodej, energicznej pary małżonków, których zasoby finansowe będą się powiększać i którzy znajdą w sobie dość miłości, by doprowadzić go do stanu dawnej świetności. Powoli dopną swego. I zapełnią pięć sypialni nowym pokoleniem radosnych dzieci. Bo właśnie tego potrzebują stare domy. Wcale nie nowej elektryki, tylko nowego życia.

Byli wtedy pełni nadziei. Kancelaria adwokacka Dana rozrastała się i choć Carol pracowała jako jego sekretarka, nie mieli wątpliwości, że kiedyś będzie mogła zostać pełnoetatową mamą gromadki dzieci i właścicielką – niech tam – niespotykane dobrze ułożonego psa.

Carol wstaje z kanapy. Wyłącza telewizor. Wsłuchuje się w ciszę, głuchą ciszę dwustu metrów kwadratowych domu, który wciąż jest zbyt pusty. I myśli, jak bardzo nienawidzi tego dźwięku.

„Chryste, Carol, ktoś musi za to wszystko płacić”.

Powietrze na piętrze jest gorące i duszne. Temperatura sięgała dziś trzydziestu stopni. Dziwne jak na początek maja, ale tak już jest w Nowej Anglii. Jeśli nie podoba ci się pogoda, poczekaj minutę. Niestety, w domu nie ma klimatyzacji i w sypialni jest nieznośnie duszno. Carol otwiera okno, żeby trochę przewietrzyć. Nawet teraz może włączyć system alarmowy, ale musiałaby połączyć wtyczkę w oknie z gniazdkiem na parapecie, żeby zamknąć obwód. Firma, która zaprojektowała alarm, jest dumna z tego ulepszenia. Carol jednak uważa, że nie ma

z czego, bo okno może być wtedy uchylone tylko na pięć centymetrów. Carol potrzebuje chłodniejszego powietrza, żeby zasnąć. Otwiera więc okno szerzej.

Jest osiem po dziesiątej. Dan wkrótce wróci do domu.

Carol rozbiera się, nie zapaliwszy światła. Z zewnątrz słyszy warkot przejeżdżających samochodów i przytłumione dźwięki rozmowy. W okolicy mieszka wielu studentów. Carol wydaje się, że ci młodzi ludzie nigdy nie śpią.

Ściąga kapę z łóżka i ubrana w jedwabną nocną koszulę wsuwa się pod kołdrę. Czuje na skórze kojący chłód miękkiej bawełny.

Po minucie zasypia.

Budzą ją jakieś odgłosy. Nie wie, co to. Jest zdezorientowana, ale po chwili dostrzega postać stojącą w nogach łóżka.

– Dan? – szepcze sennym głosem. – Która godzina, kochanie? Postać nie odpowiada.

– Dan? – powtarza.

I wtedy nagle to do niej dociera.

Wyskakuje z łóżka. Przebiega dwa kroki, mężczyzna chwyta ją za włosy. Szarpie głowę do tyłu. Carol krzyczy, lecz jej głos jest dziwnie przytłumiony, zdławiony, nie jej własny. Krzycz, myśli. Krzycz!

Ale nie potrafi. Z gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Zaszło jej w ustach. Zamiast wrzasku, rżenie.

Mężczyzna ciągnie ją za włosy z powrotem do łóżka.

Dan, myśli. DAN!

Mężczyzna rzuca ją na pościel. Carol próbuje kopać, lecz on trzyma ją za kostki. Bije go w desperacji po głowie, ale jej wysiłki nie robią na nim żadnego wrażenia, są jałowe. Jego ręka odchyła się do tyłu, a chwilę później wymierza jej siarczyste policzek.

Głowa Carol odskakuje w bok. Jej kość policzkowa eksploduje, z oczu leją się łzy. Nim dochodzi do siebie, on znowu uderza ją w twarz. Pęka jej warga. Czuje metaliczny smak krwi zmieszany z solą łez.

Mężczyzna związuje jej ręce w nadgarstkach. Carol próbuje się uwolnić, lecz gumowa opaska tylko wżyna się w jej ciało. Chociaż się broni, walczy, on przywiązuje najpierw jej ręce, a potem nogi do słupków łóżka.

Carol płacze, nie może powstrzymać łez. Więzy wpijają jej się w ciało. Gdy tylko się poruszy, wżynają się głębiej. Nic nie da się już zrobić. Jest w potrzasku, bołą ją rozpostarte ramiona, nogi w szerokim rozkroku, odkrywające... wszystko.

Jest całkiem bezbronna. I choć błaga o litość, wie, co się za chwilę stanie.

Mężczyzna zwija kawałek materiału i knebluje jej usta. Lateks, rejestruje jej oszołomiony mózg. Związał ją kawałkami twardego, rozciągliwego, wpijającego się w skórę lateksu.

Jeszcze jeden kawałek na oczy. Nie będzie widziała, co się stanie, i czuje jeszcze większy strach.

Zrywa jej nocną koszulę. Brzęk metalu w cichym pokoju, gdy odpina pasek. Zgrzyt metalu, gdy rozpina rozpokek. Potem cichy odgłos spodni opadających na podłogę, ciężki oddech, gdy zbliża się coraz bardziej i bardziej...

Materac zapada się pod jego ciężarem.

Dan, proszę, Dan...

Po chwili masywne dłonie zaciskają się wokół jej szyi.

Carol nie pamięta dobrze tego, co stało się potem.

Schowała się gdzieś głęboko w sobie. Pokój jest czarną pustką, miejscem, gdzie leży ktoś inny, pozbawiony czucia manekin albo lalka Barbie. A ona jest małą, malutką dziewczynką, która z ramionami splecionymi na przyciśniętych do piersi kolanach szepcze ciągle od nowa: Dan, Dan, Dan.

Potem ciężar ustępuje. Mija jakiś czas, nim zdaje sobie z tego sprawę. Mężczyzna sięga rękami do jej kostek. Odwiązuje lewą, potem prawą. Jej stopy są odrętwiałe, pozbawione czucia.

Oprawca przesuwa się ku wezłowiowi. Uwalnia nadgarstki. Jej lewa ręka opada na pościel. Potem prawa.

Carol jest pobita, wycieńczona i obolała. Nie ma siły myśleć. Nie ma siły się ruszyć. Ale już po wszystkim, mówi sobie i czuje początki hysterii. Jest po wszystkim, a ona wciąż żyje!

Mężczyzna przewraca ją na brzuch. Znowu wdrapuje się na łóżko. Potem robi rzeczy, o jakich tylko czytała. Carol tym razem jest pewna, że krzyczy. Krzyczy, naprawdę krzyczy.

Ale ma zakneblowane usta. Materac tłumi dźwięk.

Carol krzyczy, a nikt nic nie słyszy.

Czas przestaje istnieć. Rzeczywistość ulega zawieszeniu. Jej oczy zachodzą mgłą. Ślina zbiera się w ustach i wypływa na jej ulubioną pościel z egipskiej bawełny.

Kiedy on wreszcie kończy, jej jest już wszystko jedno, nawet tego nie zauważa. Mężczyzna wraca. Wtyka coś w jej nieruchome ciało. Wszędzie rozlewa się zimny płyn.

Odwraca ją z powrotem na plecy, znowu krępuje ręce i nogi, a potem spogląda na nią. W końcu, niemal czule, wyjmuje jej knebel.

– Już koniec – szepcze. – Teraz, możesz krzyczeć. Zawołaj sąsiadów. Wezwij policję.

Mężczyzna znika w otwartym oknie. Wreszcie zostaje sama.

Ale nie krzyczy. Jest przywiązana nago do własnego łóżka. Nie zawoła sąsiadów. Nie wezwie policji. Mężczyzna to wiedział, a teraz wie to także ona.

Leży bez ruchu, czując coś mokrego na udach. Leży bez ruchu ze spermą obcego mężczyzny spływającą na pościel i czeka...

Czeka, aż mąż wreszcie wróci do domu.

Szósta w poniedziałek rano. Carol Rosen przygotowywała się na ten dzień. Wielki dzień. Dan już wyszedł. Powiedział, że chce wcześniej pójść do pracy, żeby wziąć wolne po południu, gdyby miała zeznawać. Oboje wiedzieli, że kłamał. Prokurator stanowy Ned D'Amato zapewnił ich, że pierwszego dnia procesu nic się nie dzieje. Obrona wykorzystuje ostatnią okazję, zgłaszając wniosek o oddalenie sprawy, a potem przez całe popołudnie wybiera się skład ławy przysięgłych.

Jednak Dan nalegał. Nigdy nic nie wiadomo, powiedział. Nigdy nic nie wiadomo.

Teraz Dan prawie zawsze wraca do domu przed siódmą. Lecz nawet gdy był tuż obok, nie było go przy niej. Carol wydawało się, że zaczął wstawać coraz wcześniej. Jakby już o piątej rano nie potrafił wytrzymać sam na sam z nią w tym domu.

Nienawidziła go za to. Ale domu nienawidziła chyba jeszcze bardziej.

Poszła na górę i wzięła długi prysznic w odsłoniętej kabinie. Potrzebowała teraz dużo przestrzeni. Chciała cały czas wiedzieć, co się dzieje. Alarm był włączony na okrągło. Od dziesięciu miesięcy nie wyłączała telewizora. Jakby tego było mało, często spała na kanapie

przed odbiornikiem, w towarzystwie mrugającego kolorami obrazu i gadających głośników.

Po kąpieli wyjęła z szafy nowy kremowy kostium. Dan jeszcze nie wiedział o tym zakupie. Ostatnio miał obsesję na punkcie pieniędzy. W ubiegłym miesiącu podsłuchiwała, jak likwidował ich wspólny fundusz inwestycyjny. Nic nie powiedziała, on też nie.

Było to dziwne. W pewien sposób zrobił się bardziej opiekuńczy niż kiedykolwiek. Przyjeżdżał do domu na kolację, pytał, czego potrzebuje. Po tamtej nocy, kiedy leżała w szpitalu, siedział bez przerwy przy jej łóżku. Cztery dni i cztery noce, prawdopodobnie najdłuższy czas, jaki spędzili razem od miodowego miesiąca przed dziesięciu laty.

Kiedy w końcu wróciła do domu, Dan zdążył już urządzić nową sypialnię w jednym z okrągłych pokoi w wieżyczce, daleko od miejsca ataku.

Kupił nowe łóżko, nowy materac, nową pościel. W każdym oknie kazał zamontować piękne kraty z kutego żelaza.

Gdy zobaczyła tę nową sypialnię, załapała się łzami. Dan objął ją niezgrabnie i zaczął gładzić jej plecy, chociaż trudno mu było jej dotykać, a jej trudno było zaakceptować jego dotyk. Nie rozumiał jej rozpaczy, a ona nie potrafiła mu jej wyjaśnić.

Przez tydzień codziennie przynosił jej świeże kwiaty i zabierał ją do ulubionych restauracji. Aż wina i wstyd zaczęły dla niej pachnieć różami i befsztykami.

Teraz w domu panowała jeszcze głębsza cisza. Dan jej nie słyszał, ale ona tak.

Carol ubrała się w nowy kostium. Stała przed lustrem i spojrzała na kobietę po drugiej stronie.

Wciąż nie czuła, że jej ciało należy do niej. Ta kobieta z wysokimi kośćmi policzkowymi i mocnym podbródkiem nie mogła być nią. Kobieta z perłowymi kolczykami ubrana w kostium od Chanel wyglądała, jakby się wybierała na garden party albo na wernisaż. Albo na kolejną imprezę charytatywną zorganizowaną przez Towarzystwo Przyjaciół Providence. Innymi słowy, wyglądała, jakby była kimś, kim Carol była kiedyś.

Kobieta w lustrze wyglądała zbyt normalnie.

Carol zdjęła kostium. O bardziej stosownej porze, powiedzmy o siódmej, zadzwoni do Jillian i zapyta, co ona włoży. Jillian była ekspertem w tych sprawach. Zawsze wyglądała na spokojną, chłodną, zrównoważoną. Nawet na pogrzebie siostry zdawało się, że dokładnie wie, co mówić i robić.

Na razie Carol ubrała się w szare spodnie od dresu i luźny T-shirt. Potem zeszła na parter do kuchni i wyjęła z lodówki pojemnik lodów Ben & Jerry's Chunky Monkey. Słyszała radosny głos prezentera porannego programu informacyjnego dobiegający zza ściany. W przedpokoju zegar po dziadku wybił szóstą trzydzieści.

Szosta trzydzieści w poniedziałek rano. Poniedziałkowy ranek.

Carol Rosen spojrzała na swoje nadgarstki. Wciąż było na nich widać lekkie białe blizny. Rozejrzała się po kuchni, omiotła spojrzeniem szafki z wiśniowego drewna i marmurowe blaty, które wciąż były tak cholernie puste. I pomyślała o swoim ciele, o swoim podobno pięknym i atrakcyjnym ciele, które od prawie roku nie było dotykane. I wtedy ucieszyła się, że nadszedł ten dzień. Nie mogła się go doczekać!

– To wciąż za mało dla ciebie, ty skurwysynu! – wykrzyknęła chrypliwym głosem.

Potem schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

FITZ

Griffin i Waters wyszli z Parku Bohaterów Wojennych w samą porę, by spostrzec panią porucznik Morelli, kapitana Dogde'a i majora Walsha rozmawiających wśród grupy zaparkowanych niezgodnie z prawem policyjnych wozów. Morelli podniosła wzrok, zauważyła ich i pośpiesznym ruchem ręki przyzwała do siebie.

– O, kurczę – westchnął Waters. Pojawienie się Morelli nie było niczym niezwykłym. Jako porucznik wydziału kryminalnego w biurze detektywistycznym często zjawiała się na miejscu przestępstwa, zwłaszcza gdy chodziło o zabójstwo. Kapitana Dodge'a także można się było spodziewać. Za to przyjazd majora operacji terenowych Walsha, człowieka numer dwa w organizacji, zwanego Szefem, oznaczał, że sprawa jest na pierwsze strony gazet. Góra będzie naciskać. Podczas śledztwa będzie można złamać sobie karierę albo zyskać sporo punktów. Ostatnio Waters i Griffin widzieli tylu wysoko postawionych funkcjonariuszy na miejscu przestępstwa...

Waters znowu zaczął unikać wzrokiem pięści Griffina. Griffin zmobilizował całą siłę woli, by nie patrzeć na nos Watersa.

– Panie majorze – powitał Szefa Griffin, stukając obcasami i salutując. – Kapitanie, pani porucznik. – Im także zasalutował, a potem odczekał, aż Waters zrobi to samo. Waters zasalutował jednak tylko majorowi i kapitanowi, bo już wcześniej miał okazję oficjalnie powitać panią porucznik.

– Mamy już rysopis człowieka, który strzelał? – zapytał major, który wyglądał na przygotowanego do spotkania z obiektami kamer i aparatów. Był ubrany w idealnie wyprasowany mundur policji stanowej Rhode Island. Ciemnoszary materiał oblamowany ciemną czerwieńią skórzany kapelusz z szerokim rondem nasunięty głęboko na czoło, ciemnobrązowe oficerki świeżo wypastowane i lśniące. Najlepszy mundur w kraju. Możecie zapytać Lettermana.

Waters pokazał torebkę z kasetą.

– Nawet lepiej – oznajmił. – Mamy nagranie wideo pokazujące snajpera tak dobrze, że widać nawet tik nerwowy na jego twarzy. Dzięki uprzejmości Zespołu Dziesiątego.

– Doskonale. Natychmiast dostarczyć materiał do laboratorium. Niech obrobiją film, wydrukują zdjęcie twarzy i przekażą je wszystkim mundurowym. – Major spojrzał na Watersa wyczekująco.

– Tak jest – odparł Waters, odwracając się na pięcie. Waters nie był głupi. Do takiego zadania wystarczyłyby zwykły mundurowy. Najwyraźniej dowództwo chciało się rozmówić z Griffinem na osobności.

– Sierżancie – powiedział major.

– Tak jest! – Griffin mimowolnie napiął mięśnie brzucha, jakby przygotowywał się do przyjęcia ciosu.

– Dobrze wyglądacie – zauważył major.

– Dziękuję, panie majorze.

– Ocena?

– Słucham? – Przez chwilę Griffin był zupełnie zdezorientowany.

– Ocena sytuacji, sierżancie. Jakie spostrzeżenia?

Griffin odetchnął głęboko. Rozluźnił mięśnie. Przy rozmowie o pracy mógł się uspokoić.

– Zawodowy zabójca. Zaczaił się na dachu sądu. Jednym strzałem zabił Eddiego Como znanego także jako Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego, gdy ten był wyprowadzany z furgonetki więziennej około ósmej trzydzieści dziś rano. Później sprawca wrócił do swojego samochodu, żeby uciec. Tyle że klient zapłacił mu bombą.

– Stanowa straż pożarna to potwierdza?

– Nie, panie majorze. Wydaje mi się, że na miejscu jest jeszcze zbyt gorąco. Trzeba poczekać godzinę albo dwie.

– Ale jesteście pewni, że sprawca nie żyje?

Griffin wzruszył ramionami.

– Wiemy, że mamy jedną śmiertelną ofiarę na parkingu Szkoły Wzornictwa. Gdy weźmiemy pod uwagę, że wybuch nastąpił w ciągu dziesięciu minut od strzelaniny, myślę, że możemy śmiało założyć, że oba incydenty są powiązane. Można by przyjąć, że nasz zabójca wykonał dwa zadania – najpierw zastrzelił Eddiego Como, a potem wysadził w powietrze jakąś niezidentyfikowaną osobę na parkingu. Ale w moim przekonaniu taki scenariusz jest mało prawdopodobny. Po pierwsze, bardzo rzadko się zdarza, żeby płatny zabójca zmieniał sposób działania i najpierw występował jako snajper, a potem jako spec od materiałów wybuchowych. Poza tym wiemy, że strzelec zostawił na dachu karabin i pełny magazynek. Po co miałby się pozbywać broni, skoro miał zabić drugą osobę? Nie, myślę, że bardziej prawdopodobne jest przypuszczenie, że zabójca wykonał zadanie, porzucił broń, żeby ułatwić sobie ucieczkę, a potem napotkał nieprzewidziane trudności, gdy wsiadł do samochodu. Ergo snajper jest teraz świeżo upieczonym denatem.

Major odchrząknęła. Porucznik Morelli ledwo powstrzymała się od śmiechu.

– Następne kroki? – odezwał się kapitan Dodge.

Griffin odwrócił się do kapitana. Zmuszał się do zachowywania spokoju, mimo że był podminowany jak PN, pieprzony nowicjusz.

– Przy założeniu, że mamy do czynienia z profesjonalistą – odparł – musimy zidentyfikować snajpera, uzyskać potwierdzenie, że to on zabił Eddiego Como, co będzie dosyć łatwe dzięki kasecie wideo, a następnie znaleźć osobę, która go wynajęła. Identyfikacja strzelca nie powinna być trudna. Mamy jego zdjęcie. Strażacy dostarczą nam numery jego wozu, koroner zdejmie odciski palców, no i facet jest nasz.

– Ale to potrwa kilka dni – zauważył kapitan, zerkając znacząco w stronę parku, gdzie biwakował tłum dziennikarzy.

– Jest inna możliwość. Na parking Szkoły Wzornictwa trzeba mieć przepustkę. Wiemy, że strzelec musiał tam zostawić samochód na dość długo, bo zaczął się na dachu sądu. Jeśli założymy, że nie chciał zwracać na siebie uwagi i ryzykować zapłacenia mandatu albo wręcz usunięcia pojazdu z parkingu, to łatwo dojdziemy do wniosku, że musiał mieć przepustkę. Skontaktujemy się ze szkołą i poprosimy o listę nazwisk, które następnie wprowadzimy do naszego systemu, co znacznie przyspieszy dopasowanie nazwiska do twarzy.

– Nieźle – pochwalił go kapitan.

– Potem sprawdzimy, która z ofiar gwałtu lub kto z ich rodzin mógł dostać przepustkę na parking – dodał Griffin.

– Jeszcze lepiej – przyznał major. Griffin zmarszczył brwi.

– Oho – mruknęła porucznik Morelli – znam tę minę.

– No, nie wiem...

– W porządku, Griffin, wal.

– Cholernie dużo w tej sprawie przypuszczeń – rzekł po chwili namysłu. – Po pierwsze zakładamy, że mamy do czynienia z płatnym zabójcą wynajętym do zamordowania domniemanego Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, Eddiego Como. Po drugie, zakładamy, że oczywistym motywem wynajęcia snajpera jest zemsta, co oznacza, że głównymi podejrzanymi są ofiary gwałtu i ich rodziny. Jedyny dobry gwałciciel to martwy gwałciciel itp., itd. Ale ile znamy aktów zemsty, w których robotę odwała zawodowy zabójca? Normalnie zrozpaczony ojciec, wściekły mąż albo pałająca żądzą zemsty ofiara po prostu pojawia się w sądzie, wyciąga rodzinny pistolet i załatwia sprawę osobiście. Na ogół mściciel nie przejmuje się, że go złapią. Chodzi mu tylko o zemstę. Tacy ludzie są wściekli, zrozpaczeni. Zemsta stanowi dla nich emocjonalne zadośćuczynienie. Natomiast wynajęcie zabójcy wymaga chłodnej kalkulacji.

– Minęło sporo czasu – zauważyła pani porucznik. – Może osoba, która wynajęła snajpera, zdążyła ochłonąć.

– I to jest mój następny problem – odparł natychmiast Griffin. – Od ataków minęło ile? Rok? Wygląda na to, że ofiary całkiem nieźle sobie poradziły. Zorganizowały klub, nawiązały kontakt z mediami, stały się aktywistkami. Aresztowanie Eddiego Como było dla nich wszystkich osobistym sukcesem. Teraz były już na ostatniej prostej: miał się zacząć proces. Za dwa tygodnie byłoby po wszystkim i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Como zostałby skazany na dożywocie. Kobiety z Klubu Ocalonych, czy jak tam go nazywają, doczekałyby się sprawiedliwości. Oczywiście sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby można było mieć wątpliwości co do wyniku procesu, ale z tego, co słyszałem, Como był bez szans w obliczu faktu, że na miejscu zbrodni znaleziono jego DNA.

– Na OJ. Simpsona też mieli DNA – zauważył chłodno kapitan.

– Ale Como nie dysponował wymarzoną drużyną obrońców. Mówimy o sprawie, w której brałby udział obrońca z urzędu. Innymi słowy, facet miał przechlapanie i za dwa tygodnie trafiłby na resztę życia za kratki. Więc po co go zabijać właśnie w tym momencie? Gdyby ktoś był na tyle wściekły, żeby to zrobić, a przy okazji zaoszczędzić sobie albo rodzinie nieprzyjemności związanych z procedurą sądową, czy nie powinien raczej zastrzelić Eddiego Como zaraz po tym, jak go schwytano?

– Lepiej późno niż wcale.

– No, niby tak. – Griffin wciąż marszczył brwi. – Ale snajper na dachu oznacza chłodną kalkulację. Coś mi tu nie gra.

– Jak dużo wiecie o sprawie Eddiego Como, sierżancie? – zapytał major.

– Niewiele – odparł szczerze Griffin. Spojrzał majorowi prosto w oczy. – Zrezygnowałem na jakiś czas z oglądania telewizji.

– A teraz?

– Teraz mogę ją oglądać. Wątpię, czy będę miał na to czas w najbliższej przyszłości, ale mogę.

– Dobrze – powiedział major, a potem chrząknął. – Policja miejska chce wziąć udział w śledztwie.

– Coś podobnego.

– To oni złapali Como. Znali go, znają sprawę gwałtów i ofiary.

– Skoro tak dobrze się orientują, to dlaczego Como właśnie przeniósł się na tamten świat?

Porucznik Morelli znowu musiała przygryźć wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Odwróciła wzrok od Griffina i wbiła spojrzenie we własne buty.

– Będziemy potrzebowali ich pomocy – mówił major – żeby uzyskać informacje na temat wybuchu. Do tego policja miejska nalega, żeby detektyw prowadzący śledztwo w sprawie gwałtów dołączył do naszej grupy, która zajmie się sprawą snajpera.

– A kto prowadził śledztwo w sprawie gwałtów? – Griffin zmrużył podejrzliwie oczy.

– Detektyw Joseph Fitzpatrick z wydziału przestępstw seksualnych.

– O, kurczę. – Griffin znał detektywa „Fitza” Fitzpatricka tylko ze słyszenia, ale z tego, co wiedział, Fitz pochodził z rodziny, która od trzech pokoleń była związana z miejską policją Providence, i nie pałał zbyt miłą miłością do Biura Detektywistycznego policji stanowej Rhode Island. Uważał, że stanowi powinni się ograniczać do tego, co robią najlepiej, czyli do patrolowania autostrad, a miejscy robić to, do czego są przeznaczeni, to znaczy prowadzić prawdziwe sprawy kryminalne.

– Nie możemy po prostu wysłać im naszych raportów? – spytał Griffin, już czując, że pomysł nie przejdzie.

– Nie. Poza tym będziecie musieli przesłuchać ofiary gwałtu, a detektyw Fitzpatrick dobrze je zna i może się przydać. Pracował nad sprawą Como od pierwszego ataku. Może cię szybko wprowadzić w śledztwo.

– Czy nie powinien raczej wprowadzać detektywa prowadzącego? – zapytał Griffin.

Major uśmiechnął się.

– Właśnie.

– Chyba nie masz nic przeciwko? – spytała porucznik Morelli, spoglądając na niego uważnie. Major i kapitan zrobili to samo.

To było to. Tylko tak daleko zamierzali się posunąć, gdy przyszło zadać pytanie, które wszystkim nie dawało spokoju. Griffin to rozumiał. W zeszłym tygodniu pozytywnie przeszedł testy mające stwierdzić, czy nadaje się do służby. Zgodnie z przepisami wrócił do roboty. Taki był system i nikt nie zamierzał podawać go w wątpliwość. Gdyby jednak Griffin uważał, że nie jest zdolny do pracy, że nie potrafi jeszcze poświęcić całej uwagi robocie, to sam powinien o tym powiedzieć. Zabierz głos teraz albo zamilknij na wieki, jak to się mówi.

– Gdzie znajdę najjaśniejszą gwiazdę miejskiej policji? – zapytał panią porucznik.

– Tam, na parkingu. Odgania dym.

– Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

– Prokurator generalny nie lubi, jak mu mordują obywatele przed sądem. A burmistrz obawia się, że eksplozje w środku miasta źle wpływają na turystykę.

– Innymi słowy, żadnych nacisków?

Porucznik Morelli, kapitan i major uśmiechnęli się do niego.

– Właśnie.

Griffin uniósł z niedowierzaniem brwi. Kiwnął głową na pożegnanie, a potem poszedł w kierunku dymiącego parkingu, ponownie mijając dziennikarzy, którzy znowu zarzucili go gradem pytań. Przez chwilę poczuł się jak gwiazda rocka, adrenalina powędrowała mu prosto do mózgu. Detektyw prowadzący. Dreszcz polowania, podniecenie myśliwego. O, tak. Wywinął

hołubca, pomyślał, że świruje, i poczuł się najlepiej od roku.

A niech to. Kto by pomyślał, że ważne śledztwo w sprawie zabójstwa było właśnie tym, czego sierżant Psychol potrzebował?

Dotarłszy na parking, od razu odnalazł detektywa Fitzpatricka. Stał w jednym z rogów placu. Przysadzisty miejski gliniarz miał na sobie źle dopasowany szary garnitur, bladobłękitną koszulę i niebieski krawat rodem z lat osiemdziesiątych. Wyglądał, jakby czerpał wiadomości na temat mody z serialu *NYPD Blue* i dostosował do image'u telewizyjnych postaci także rzednące kasztanowe włosy. Sądząc z tego, co Griffin o nim słyszał, Fitzpatrick należał do „starej szkoły”. Żarł pączki na śniadanie, a informatorów na obiad. Po godzinach można go było znaleźć w klubie FOB w Olneyville, żłopiącego piwsko. W policji było coraz mniej facetów jego pokroju. Nowe pokolenie gliniarzy za bardzo troszczyło się o zdrowie, żeby jeść pączki, i było zbyt czułe na punkcie tężyzny fizycznej, by po pracy iść gdziekolwiek indziej niż do siłowni. Czasy się zmieniały, nawet w służbach porządkowych. Griffin wątpiłby Fitzowi przypadło to do gustu.

I wtedy nagle zaczął tęsknić za żoną. Potrząsnął głową, żałując, że nie potrafi lepiej panować nad własnymi uczuciami, a zarazem jeszcze bardziej obawiając się, że kiedyś mu się to uda. Cindy była zafascynowana pracą policji. Jako inżynier miała wspaniały analityczny umysł. Często głowili się wspólnie nad trudnymi sprawami, a ona podsuwała mu nowe pomysły, pomagała ułożyć poszczególne elementy układanki. Sprawa Eddiego Como na pewno by się jej spodobała. Chciałaby się dowiedzieć wszystkiego na temat Como, jego ofiar i wynajętego snajpera. Szczerze mówiąc, na myśl, że skrzywdzona kobieta mogła się zwrócić przeciwko oprawcy, pewnie oszalałaby z radości. Po co się zadowalać zwyczajną kastracją skoro można zabić skurczybyka? Cindy nie należała do dziewczyn w stylu „dama w tarapatach”.

Griffin porzucił wspomnienia o żonie i zaczął myśleć o Davidzie. Bezwiednie zacisnął pięści i zazgrzytał zębami. Napięcie znowu powróciło. Nie opuści go na długo. Teraz musiał je skanalizować, opanować. Na przykład biegając. Albo waląc z całej siły w worek treningowy.

Tydzień po Wielkim Bum brat znalazł go w garażu, wciąż boksującego w ciężki worek. Dłonie mu krwawiły. Na stopach utworzyły się gigantyczne pęcherze i odciski. Ale on wciąż nie odpuszczał. Chociaż miał już cztery połamane palce, a szum w głowie wcale nie słabł, lecz wręcz się nasilał. Frank musiał go powstrzymać siłą. Kosztowało go to dwie śliwy pod oczami i spuchniętą wargę.

Griffin padł wkrótce potem. Przez ostatnie pięć dni nic nie jadł ani nie spał. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętał, był stojący nad nim Frank. Frank oglądający jego krwawe dłonie. Frank ze łzami ciekącymi po policzkach.

Przywiódł do płaczu starszego brata. Pamiętał, że czuł obrzydzenie i wstyd. A potem zaczął się zapadać głębiej i głębiej, szepcząc imię zmarłej żony, aż znalazł się w wielkiej mrocznej krypcie.

Griffin odszedł na bok. Nie chciał się zbliżyć do Fitz'a w takim nastroju, zaczął więc pracować nad wyrównaniem oddechu, a przy okazji zauważył komendanta straży pożarnej, obok którego stał agent ATF. Wymieniali jakieś zdawkowe uwagi.

– Komendancie Grayson. – Griffin uściśnął strażakowi dłoń, a potem odczekał, aż ten przedstawił mu agenta specjalnego Neilsona z ATF. Podali sobie ręce i kiwnęli uprzejmie głowami. Zarówno Grayson, jak i Neilson mieli twarze umazane sadzą i potem. Wyglądali na zmęczonych i złych, więc chyba Bentley miał rację, mówiąc, że jest co najmniej jedna ofiara.

– Słyszałem, że wróciłeś – powiedział Grayson.
– Nie można cały czas łowić ryb – zauważył Griffin. Grayson uśmiechnął się ponuro.
– W taki dzień jak dziś nie miałbym nic przeciwko temu. Wszyscy trzej spojrzeli na dymiące wraki.

– Co możesz mi powiedzieć? – zapytał Griffin.

– Na razie niewiele. Dopiero zaczynamy badać miejsce wybuchu.

– Jeden trup?

– Tak, jeden.

– Przyczyna eksplozji?

Strażak kiwnął głową w stronę pięciu spalonych samochodów.

– Widzisz ten wóz z lewej? Jest prawie całkowicie sfajczony, wszystkie okna potłuczone, tapicerkę diabli wzięli. To tam gruchnęło. Pozostałe zostały zniszczone tylko przy okazji.

– Ale ten samochód stoi z boku.

– Siła wybuchu uniosła go w powietrze i przemieściła parę metrów. Ktokolwiek to zrobił, nie żartował.

– Czyli mamy do czynienia z bombą w samochodzie.

– Na to wygląda. Ale na razie nie wiemy nic więcej. Z wybuchami tego rodzaju jest taki kłopot, że powodują wtórne eksplozje. Nastąpił zapłon paliwa w baku, co może oznaczać, że zapalnik był podłączony do stacyjki. W siedzeniu kierowcy tkwi szrapnel, który może pochodzić albo z samej bomby, albo być po prostu częścią samochodu. Dopóki nie rozbierzemy wszystkiego i nie złożymy z powrotem do kupy, nie możemy powiedzieć nic więcej.

– Muszę wiedzieć, jaki to był rodzaj bomby – oznajmił Griffin. – Czy mamy do czynienia z czymś skomplikowanym, czy też z czymś, co mógłby zmontować nawet harcerzyk w garażu tatusia. No i czy był tam zegar itd.

Grayson spojrział na niego spode łba.

– Gdy skończymy, sierżancie, będę wiedział dokładnie, jakich przewodów użyto do skonstruowania tego maleństwa i czy ten sam drut zastosowano w jakiegokolwiek innej bombie, która wybuchła w Stanach Zjednoczonych. Ale dopóki nie skończymy, nie mogę nic powiedzieć. To nam zajmie co najmniej tydzień.

– Słyszałem, że prokurator generalny nie lubi zabójstw na własnym podwórku, a burmistrz obawia się, że eksplozje źle wpływają na turystykę – poinformował go Griffin.

Komendant straży pożarnej westchnął ciężko.

– Muszę się rozejrzeć za inną robotą – mruknął. – No, dobra. Daj mi pięć dni. Postaram się czegoś dowiedzieć.

Detektyw Fitzpatrick wybrał akurat ten moment, aby do nich podejść.

– Sierżancie Griffin?

– Detektywie. – Griffin wyciągnął rękę. Fitz uściśnął mu dłoń i przez następne kilka sekund obaj bawili się, próbując zmiażdżyć prawicę przeciwnika. Żaden nawet nie mrugnął. Nadawszy spotkaniu właściwy ton, przeprosili komendanta i odeszli na bok, gdzie mogli w spokoju poświęcić się ocenie słabych punktów adwersarza.

– Jakies wieści na temat strzelca? – zapytał Fitz.

– Lubił słodycze. Jakies wieści na temat właściciela samochodu?

– Wypożyczony.

– Sprawdziłeś w bazie danych?

– Nie, wystarczyło spojrzeć na tablicę rejestracyjną. Macie rysopis?

– Nawet kilka. Gdzie ciało?

– W kostnicy. Macie broń?

– Karabin. Koronerowi udało się zdjąć odciski?

– Sam go zapytaj. Macie nazwisko?

– Nie. Stawiamy na to, że facet miał pozwolenie na parkowanie. Fitz chrząknął. Miał przyspieszony oddech. Griffin też.

– Nie ma to jak wolna wymiana informacji – stwierdził Fitz. Przeczesał ręką rzednącą czuprynę i przygryzł wykałaczkę, tkwiącą w kąciку jego ust.

– Taa...

– Ty masz ciało – powiedział po chwili Fitz. – I ja mam ciało. Teraz obaj potrzebujemy związku.

– Nic dodać, nic ująć.

– Myślisz o kobietach i ich rodzinach.

– W każdym razie chciałbym z nimi pogawędzić.

– Znam je – powiedział z powagą Fitz.

– Słyszałem.

– Przez ostatni rok rozmawiałem z nimi, podnosiłem je na duchu, przygotowywałem na rozprawę. Wiesz, jak to jest.

– Wciąż dostaję od niektórych kartki na święta.

– Więc rozumiesz, dlaczego zależy mi, żebym to ja poprowadził przesłuchanie.

– Możesz zacząć – zaoferował Griffin.

Fitz nie dał się nabrać. Zmrużył oczy i otworzył usta. Już miał powiedzieć coś obraźliwego, ale się rozmyślił. Zamiast tego zmierzył Griffina kamiennym wzrokiem.

Służby porządkowe Rhode Island tworzą małą, zamkniętą społeczność. Zresztą podobnie jak pozostali mieszkańcy stanu. Wszyscy się znają, jeden zna koligacje drugiego i wie, kto z kim przestaje. Fitz na pewno słyszał o Griffinie, o piwnicy, o Wielkim Bum. Teraz zastanawiał się, ile z tego, co mu się obilo o uszy, było prawdą. I patrząc na muskularną pierś Griffina i jego surową twarz, zaczął się zastanawiać, czy obrażanie sierżanta Psychola to dobry pomysł.

Na tym etapie rozgrywki Griffin nie czuł potrzeby łagodzenia ani zaogniania sporu. Dlatego milczał.

Fitz wzruszył w końcu ramionami.

– Dobra. W takim razie chodźmy z nimi pogadać.

– Są razem?

– Tak.

– Spotkanie klubu? – zgadywał Griffin.

– Więc już słyszałeś.

– Zdaje się, że mają dryg do konferencji prasowych.

– Lubią trzymać rękę na pulsie – powiedział Fitz bez goryczy w głosie. – To dzięki nim w śledztwie nastąpił przełom. Szczerze mówiąc, gdyby nie Klub Ocalonych, nie wiem, czy kiedykolwiek złapalibyśmy Eddiego Como.

KLUB OCALONYCH

Jillian Hayes jest de facto liderką grupy – wyjaśnił Fitz, gdy jechali przez labirynt wąskich jednokierunkowych uliczek charakterystycznych dla East Side. – Jej siostra była trzecią ofiarą gwałtu, miała dziewiętnaście lat. Była na drugim roku w Brownie. Zmarła w trakcie napaści z powodu alergicznej reakcji na lateks.

– Myślałem, że ofiary oddawały krew – mruknął Griffin.

Fitz łypnął na niego z ukosa, zaskoczony, że tak dużo wie.

– W trakcie śledztwa ustaliliśmy, że zarówno pierwsza ofiara, Meg Pesaturo, jak i trzecia, Trisha Hayes, oddały krew w ośrodkach na terenie kampusu wkrótce przed gwałtem.

– Czyli Trisha Hayes oddała krew, mimo że była uczulona na lateks?

– Tak. Według zeznań Kathy Hammond, która pobierała od niej krew, Trisha poinformowała ją o swojej alergii i pani Hammond założyła winylowe rękawiczki. Uczulenia na lateks zdarzają się coraz częściej. Większość szpitali, punktów krwiodawstwa i zrzeseń pielęgniarek domowych ma na składzie także inne rodzaje rękawiczek.

– Czy na karcie krwiodawcy znajduje się informacja na temat tej alergii?

Fitz zrozumiał, do czego Griffin zmierzał, i z żalem pokręcił głową.

– Nie. A szkoda. Gdyby udało nam się udowodnić, że Como wiedział o tym przed dokonaniem gwałtu, oskarżylibyśmy go o morderstwo. Zamiast tego musieliśmy się zadowolić nieumyślnym spowodowaniem śmierci.

– Szkoda – zgodził się Griffin, po czym zerknął bez celu w boczne lustro. Zobaczył coś białego i zmrużył oczy, żeby się lepiej przyjrzeć, właśnie gdy Fitz ruszył do przodu.

– W każdym razie – mówił dalej Fitz – Jillian Hayes miała się spotkać z siostrą o siódmej i pójść z nią na kolację, ale się spóźniła. Dotarła na miejsce około ósmej. Weszła do mieszkania, a gwałcieł skoczył na nią od tyłu. Sprął ją na kwaśne jabłko, zaczął dusić. Bóg jeden wie, co by było, gdyby sąsiad z góry nie usłyszał hałasów i nie zadzwonił po policję. Eddie uciekł, kiedy usłyszał syreny. Jillian podpełzła do łóżka, gdzie znalazła ciało siostry związane lateksowymi opaskami.

– To był jego podpis?

– Tak, lateksowe opaski. Na wszystkich trzech ofiarach. Było ich dziesięć. Jedna jako knebel, jedna na oczy, po dwie na każdy nadgarstek i na każdą nogę. Więzy na kończynach zaciskały się, gdy ofiara próbowała się szarpać. Gdy jednak leżała spokojnie... Powiedzmy, że Eddie miał specyficzne poczucie humoru.

– Zakładam, że po telefonie sąsiada mundurowi natychmiast przeczesali całą okolicę. Nie natknęli się na Eddiego?

– Nie. Nie mieli zresztą żadnego rysopisu. Jediną ofiarą, która widziała napastnika, była Carol Rosen, ale w pokoju było za ciemno, żeby mogła mu się dobrze przyjrzeć. Pierwsza dziewczyna, Meg Pesaturo, nie pamięta nawet samego gwałtu, więc nie mogła się na nic przydać. Może Trisha Hayes go widziała, ale zmarła nie odzyskawszy przytomności, więc nie mogła złożyć zeznań. A jej siostra, Jillian, została zaatakowana, kiedy w mieszkaniu było już zupełnie ciemno, więc też nie potrafiła podać żadnych szczegółów. Innymi słowy, rzuciliśmy na ulice wszystkie siły, jakie mieliśmy do dyspozycji, ale Eddie albo gdzieś się zasztył, albo nie stracił zimnej krwi. Nikt go nie zatrzymał.

– Zdaje się, że facet był bardzo inteligentny albo miał wielkiego farta – mruknął Griffin i odwrócił się do Fitz. – Widzisz tę białą furgonetkę cztery samochody za nami? Tę z anteną satelitarną na dachu.

Fitz zerknął w lusterko.

– Widzę.

– Coś mi się zdaje, że to reporterzy Kanału Dziesiątego.

Fitz przez chwilę przyglądał się furgonetce.

– Ożesz kurna – warknął. – Chyba masz rację. Twoi wielbiciel, Griffin?

– Wątpię, żeby byli tu z mojego powodu. Przecież to ty prowadziłeś sprawę Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego. Ergo ty powinieneś wiedzieć najlepiej, gdzie znaleźć jego ofiary.

Cholerne pijawki. Człowiek myśli, że dwa trupy w jeden dzień zajmą ich uwagę. Ale gdzie tam. Chcą wytropić chociaż jedną z kobiet. Żeby podetknąć jej pod nos ten cholerny mikrofon i zapytać: „Hej, ofiarno numer dwa, człowiek, który cię zgwałcił, został właśnie zastrzelony i pobrudził cały chodnik. Co zamierzasz teraz zrobić? Polecieć do Disneylandu?”

Bez ostrzeżenia skręcił ostro w prawo. Ford taurus – taki sam, jakim jeździł Griffin, lecz w znacznie gorszym stanie – jęknął w proteście. Fitz zignorował skrzywienie kierownicy i drgania podwozia; dał gaz do dechy i wjechał na krawężnik. Samochód wtoczył się na chodnik, po czym wylądował z łoskotem z powrotem na asfalcie.

Griffin chwycił się deski rozdzielczej, a potem spojrzął w lusterko.

– Ciągłe mamy ich na ogonie.

– Tak ci się tylko wydaje.

Fitz ruszył w wąską uliczkę, skręcił w lewo, wjechał na parking, wykręcił w prawo, wcisnął się w kolejną boczną uliczkę, a potem odbił ponownie w lewo. Nieźle, pomyślał Griffin. Lecz wtedy furgonetka, niczym wielki biały rekin, znowu pojawiła się w lusterku.

– Maureen – mruknął Griffin. – Mścisz się za utratę kasety?

– Nie zaprowadzę żadnego pieprzonego reportera do moich kobiet – warknął Fitz. – Nie ma mowy.

Griffin odebrał to jako radę, by czym prędzej chwycić rączkę nad drzwiczkami. Nie pomylił się. Fitz wyłączył syrenę, przejechał na czerwonym świetle, nawet nie próbując przyhamować, i niemal rozbił wóz o tył śmieciarki. Nie należąc, jak widać, do ludzi, którzy rozpamiętują cudowne ocalenia od wypadków, po prostu dodał gazu, przemknął jak rakietą na następnym czerwonym świetle, wykonał gwałtowny skręt w lewo, przejechał cztery przecznice, a potem odbił w prawo, by w końcu zatrzymać samochód na chodniku.

– To będzie musiało wystarczyć – oznajmił, ciężko dysząc i posapując. Wciąż zaciskał dłonie na kierownicy. Jego oczy płonęły dzikim blaskiem.

Griffin zdecydował nie puszczać jeszcze rączki.

– Już ich nie widzę – stwierdził.

– Nie przestawaj się rozglądać.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość.

– Nie cierpię dziennikarzy – warknął Fitz.

– Hej, czy to nie magazyn „People”?

Czasopismo wysunęło się spod fotela Griffina. Fitz sięgnął po nie, zabrał z podłogi i rzucił na tylne siedzenie.

– Tak, wiem – wyręczył go Griffin. – Kupujesz ten chłam tylko dla obrazków.

– Nie dla obrazków – sprostował Fitz. – Dla krzyżówki. Odczekali jeszcze kilka minut. Gdy wóz transmisyjny wciąż się nie pojawił, Fitz powoli wyjechał z powrotem na ulicę. Ruch był tu znacznie mniejszy, znajdowali się w spokojnej, cichej okolicy. Optymista zauważyłby, że uciekli od szalonego zgiełku w centrum. Pesymista dorzuciłby jednak, że mieli teraz znacznie dalej do celu. No cóż. Griffin był pewien, że wykorzystają ten czas i spokojną atmosferę, żeby się lepiej poznać. Przeciągnął się i rozmasował szyję.

– No dobrą na czym skończyliśmy? – zapytał Fitz, który zaczął wreszcie dochodzić do siebie.

– Jedna ofiara z amnezją dwie pozostałe nie widziały gwałciiciela, bo było za ciemno – przypomniał Griffin. – Skoro nie mieliście rysopisu, to skąd wiedzieliście, że to był Como?

– Na początku nie wiedzieliśmy. Musisz zrozumieć, że to nie było takie sobie zwykłe śledztwo w sprawie seryjnego przestępcy. Nasza pierwsza ofiara, Meg, na nic się nie przydała z powodu amnezji na skutek wstrząsu psychicznego. Dziewczyna nie pamięta ataku, nie pamięta dnia ataku ani, skoro już o tym mowa, prawie niczego ze swojego życia sprzed ataku...

– Nie pamięta swojego życia? – wtrącił się Griffin, nie kryjąc zdumienia. – Myślałem, że amnezja spowodowana traumatycznym przeżyciem oznacza, że ofiara wyrzuca z pamięci tylko to przeżycie. W jaki sposób przestała nagle pamiętać całe życie?

Fitz wzruszył bezradnie ramionami.

– Skąd mam, do cholery, wiedzieć? Może Meg nie podobało się to, co przedtem przeżyła, i jej podświadomość po prostu skorzystała z okazji, żeby wykasować wszystko, jak leci. A może jej mózg nie jest najlepszy w rozróżnianiu sytuacji. Czort wie. W każdym razie lekarz przysięga, że jej amnezja jest prawdziwa, jej rodzice mówią że amnezja jest prawdziwa, i ona sama zdaje się myśleć, że jej amnezja jest prawdziwa. Przez ostatni rok przepytywałem Meg ze dwadzieścia razy i nie dała mi ani jednego powodu, by w to wątpić. Więc jeżeli dziewczyna udaje, to musi być cholernie dobrą aktorką.

– No, no – powiedział Griffin.

– No – zgodził się Fitz. – Tak czy siak, stan Meg bardzo utrudnił śledztwo związane z pierwszym gwałtem. Próbowaliśmy wyciągnąć coś od jej współlokatorki, Vickie, ale dziewczyna wiedziała tylko tyle, że kiedy wróciła do domu o drugiej w nocy, Meg leżała przywiązana do własnego łóżka. Dowody rzeczowe okazały się równie bezużyteczne: żadnych śladów włamania żadnych włosów, włókien ani odcisków palców.

Tak naprawdę po pierwszym ataku mieliśmy tylko jedną zagubioną studentkę, jedną wstrząśniętą współlokatorkę, dziesięć kawałków lateksu i próbkę DNA, która nie była zgodna z żadnym DNA z bazy danych przestępców seksualnych.

– Sprawdziłeś lateks?

– Jasne, że tak. To był jedyny cholerny trop, jaki miałem. Zleciłem analizę chemiczną, porównanie marek produktu, porównanie partii towaru, badanie ilości i rodzaju talku na opaskach. Szczerze mówiąc, dowiedziałem się o lateksie więcej niż bym, kurwa, chciał. I wszystko na nic. Problem polega na tym, że sposób, w jaki się to cholerstwo produkuje, praktycznie uniemożliwia stwierdzenie, z której partii pochodzi produkt, a więc także kto i kiedy

je sprowadził i sprzedał. Trzy tygodnie po ataku śledztwo utknęło w miejscu. Mogliśmy tylko walić głową w mur.

– Serio? A co na to wujek Meg, Vinnie?

Fitz parsknął śmiechem.

– A więc już o nim słyszałeś. Wujek Vinnie to zabawny facet. Raz przyszedł do mojego biura. Chciał się dowiedzieć, czy przypadkiem nie ukrywam przed rodziną jakichś informacji. Na przykład mógłbym mieć jakiegoś podejrzanego. No i gdybym, powiedzmy, znał jakieś nazwisko, to Vinnie zna inne nazwisko, które mogłoby się zająć tym moim i zaoszczędzić trochę pieniędzy podatników.

– Na swój sposób Vinnie jest pożytecznym gościem.

– No – zgodził się Fitz, a potem westchnął. – Pewnie powinniśmy złożyć mu wizytę. Ale szczerze mówiąc, wątpię, żeby wujek Vinnie zdecydował się na snajpera czającego się na dachu cholernego sądu. Coś takiego zwraca na siebie uwagę, a nie wydaje mi się, żeby Vinniemu zależało na rozgłosie. Osobiście stawiałem na to, że Eddie znajdzie się pod więziennym natryskiem i przydarzy mu się jakiś wypadek, w którym brałaby udział na przykład jego wątroba i jakiś kawał żelastwa. A tu nic z tych rzeczy. Człowiek uczy się całe życie.

– Taa... – przyznał Griffin i wrócił myślą do serii gwałtów. Wciąż próbował się wczuć w tamto śledztwo i zrozumieć, w jaki sposób od jednej ofiary z amnezją udało się po dwóch miesiącach doprowadzić do aresztowania sprawcy.

– No, dobra – powiedział. – Więc po pierwszym gwałcie nie mieliście na myśli Eddiego Como. W ogóle nikogo nie mieliście.

Po pierwszym ataku po prostu kręciliśmy się w kółko. Postępowaliśmy zgodnie ze standardową procedurą. Sprawdzaliśmy jej byłych facetów i potrząsaliśmy drzewkiem z przestępcami seksualnymi: dowiedzieliśmy się, kto został ostatnio zwolniony z pierdła, kto mógłby mieszkać w okolicy itd., itp. Okazało się, że Meg właściwie nikogo nie miała, a wszyscy znani nam zbrojeńcy oddawali się w tym czasie innym perwersjom. Prawdopodobnie oglądali *Seks w wielkim mieście* na HBO. Większość z nich ma teraz kablówkę i przez to rzadko wychodzą z domu.

– Ale wtedy wydarzył się gwałt w East Side.

– Właśnie. Cztery tygodnie po Meg Pesaturo facet napadł na kobietę w East Side.

– Czyli w zupełnie innej okolicy – zauważył Griffin.

– Ale też w pobliżu college’u – odparł Fitz, lecz po chwili pokręcił głową. – Tak, było wiele poważnych różnic. Carol Rosen jest czterdziestodwuletnią mężatką, a niestudującym podlotkiem. Mieszka z mężem w starym wiktoriańskim domu, który w ogóle nie przypomina studenckiego mieszkanka. No i w końcu, co jest zapewne najważniejsze, poziom przemocy był w jej przypadku znacznie, znacznie wyższy. Pielęgniarka, która badała Meg, powiedziała, że na jej ciele widoczne były ślady penetracji pochwowej, a poza tym tylko lekkie obrażenia w postaci ran na kostkach, nadgarstkach i ustach, które zostały spowodowane uciskiem lateksowych opasek. Żadnych śladów bicia i żadnych sińców na szyi. W przypadku Meg Eddie po prostu dokonał gwałtu i sobie poszedł. Za to Carol Rosen ucierpiała wskutek penetracji waginalnej i analnej. Miała sińce na piersiach i pośladkach, poranioną twarz i uda. Poza tym Eddie zaczął eksperymentować z asfilaksją, ścisnął jej gardło tak mocno, że zostawił siniaki na szyi. I związał ją tak mocno, że kobieta do dziś ma blizny na nadgarstkach i wokół kostek. Meg miała

relatywnie szczęście. A Carol pecha.

– Ale jesteś pewien, że to był ten sam facet?

– Dziesięć kawałków lateksu – powiedział Fitz. – To samo DNA. O, tak, to był znowu Eddie.

– A gdzie się podziewał mąż, kiedy to się stało?

– Dan Rosen jest prawnikiem, zajmuje się prawem handlowym. Parę lat temu otworzył własną kancelarię i pracuje do późna w nocy. Wrócił do domu o dwunastej i zastał żonę przywiązaną do ich małżeńskiego łóża. Skontaktowaliśmy się z mundurowymi, próbowaliśmy przeczesać teren, ale znowu nie mieliśmy rysopisu i znowu nam się nie poszczęściło.

Griffin zmarszczył brwi.

– Zaraz. Pierwsza ofiara mieszkała z koleżanką, której akurat nie było do późna, druga ofiara ma męża, który także pracuje do późna. Czy to znaczy to, co myślę, że znaczy?

– Podejrzewamy, że obserwował ofiary, zanim zdecydował się na napaść – potwierdził Fitz.

– Wybierał je w punktach krwiodawstwa, a potem przez jakiś czas zbierał informacje na temat ich sposobu życia, dlatego oba ataki dzieliły cztery tygodnie. W każdym razie ta teoria sprawdza się w przypadku Meg i Trish, które oddały krew. Z Carol Rosen są już kłopoty, bo ona akurat nigdy krwi nie oddawała. Dlatego uważamy, że Carol była ofiarą zastępczą. Ładna ciemnowłosa studentka w typie Eddiego mieszka zaledwie przecnicę dalej. Oddała niedawno krew w kampusie i pamięta, że tamtej nocy ktoś dzwonił do jej drzwi. Tyle że dziewczyna na nikogo nie czekała, więc nie otworzyła. Tym lepiej dla niej. A gorzej dla Carol.

– To jeszcze nie tłumaczy nieobecności męża – zauważył Griffin.

– Myślisz, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania? Może kiedy Eddie obserwował brunetkę, zorientował się, że Carol Rosen praktycznie mieszka sama. Może zobaczył, jak otwierała okno w sypialni, które znajduje się tuż nad dachem werandy, i uznał, że nie zaszkodzi spróbować. Pewnie już się podniecił i nastawił na to, że zaspokoi swoje żądze, a tu nagle okazało się, że nic z tego. Eddie był silnym facetem, wspięcie się na werandę nie stanowiło dla niego większego problemu. A gdyby mąż był akurat w domu... prawdopodobnie Eddie uznał, że sobie z nim poradzi. W końcu była noc, a on miał w żyłach sporą dawkę adrenaliny...

– Co potem dał odczuć pani Rosen. Więc może Como nie był zadowolony ze zmiany planów. A może żądza mordu zaczęła powoli brać górę.

– Może. – Fitz łypnął z ukosa na Griffina. – Jillian Hayes także została brutalnie pobita. Jej siostra nie, ale trzeba wziąć pod uwagę, że Jillian nie pozwoliła mu skończyć tego, co zaczął. Po gwałcie na Carol Rosen zacząłem się obawiać, że mamy do czynienia z gwałciicielem z szybko rosnącym apetytem na przemoc. Pomyślałem, że jeżeli wkrótce go nie złapiemy, ktoś może zginąć. Niestety, stało się to prędzej, niż przypuszczałem. Eddie Como zaatakował Trishę Hayes zaledwie dwa tygodnie później. Facet nie zrobił sobie prawie żadnej przerwy.

Griffin pokiwał ponuro głową.

– Szkoda.

– Wielka szkoda – przyznał miejski glina.

– A jak w końcu udało wam się wpaść na to, że sprawca to Eddie Como?

Drogą eliminacji. Kiedy już wpadliśmy na trop punktów krwiodawstwa, poprosiliśmy Centrum Krwiodawstwa o listę osób pracujących w odpowiednich punktach. Na szczęście większość kadry stanowiły kobiety. Skoncentrowaliśmy się na facetach. Wytypowaliśmy dziesięciu podejrzanych i zaczęliśmy im się przyglądać. – Fitz zaczął wyliczać na palcach. – Po

pierwsze, Eddie miał dostęp do domowych adresów dwóch ofiar, no i do lateksowych opasek. Po drugie, mimo że niezbyt wysoki, był zaskakująco silny. W szkole średniej był mistrzem w zapasach i nadal lubił bawić się hantlami. Miał metr siedemdziesiąt wzrostu i ważył pięćdziesiąt sześć kilo, ale potrafił wycisnąć sztangę o wadze siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Facet był mięśniakiem. A kiedy pobraliśmy od niego DNA, sprawa stała się oczywista.

– W jaki sposób udało wam się zdobyć jego DNA?

Poprosiliśmy go grzecznie.

Griffin spojrział na Fitz'a szeroko otwartymi oczyma.

– Poprosiliście, a on po prostu dał wam, co trzeba? Bez przepychanek z adwokatem? Bez powoływania się na piątą poprawkę?

Fitz wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Powiem ci o tych gwałtach coś, o czym wie niewielu ludzi. Eddie myślał, że jest sprytny. Myślał, że jest tak bardzo sprytny, że okazał się wręcz głupi. Ale po kolei. Widzisz, Eddie miał książkę o medycynie sądowej. Zdaje się, że kupił ją przez Internet. Gdy ją przeczytał, zaczął się uważać za eksperta. Trzeba zresztą przyznać, że był całkiem niezły w te klocki. Po trzech gwałtach wciąż nie mieliśmy żadnych włosów, żadnych włókien ani odcisków. Nie mieliśmy nawet śladów po narzędziach. Sądzymy, że dostawał się do środka podstępem, bo przy żadnym z ataków nie dopatryliśmy się śladów włamania. Więc trzeba mu przyznać: był niezły. Tyle że popełnił jeden błąd.

– Nie założył prezerwatywy?

– Otóż to. Wydawało mu się, że zna lepszy sposób. Płyn do higieny intymnej o zapachu polnych kwiatów firmy Berkely and Johnson.

– Co?

– Tak, tak. Bo widzisz, Eddie interesował się sprawą Motyki, znaleźliśmy artykuły prasowe z tego procesu w jego mieszkaniu. Pamiętasz Motykę?

Griffin musiał się zastanowić.

– W Triverton, tak? Jakiś majsterklepka, który naprawiał coś w domu jakiejś kobiety. Później się włamał, zgwałcił ją, zamordował, a ciało wrzucił do wanny z wodą.

Tak. Podczas procesu prokurator dowiódł, że Motyka myślał, że jeśli włoży ciało do wanny, zmyje swoją spermę. Oczywiście nie miał racji; znaleźli próbkę jego nasienia i teraz facet siedzi w pierdlu bez nadziei na wyjście. A to dlatego, że nasienie wnika w głąb ciała. Więc trzeba czegoś więcej, żeby się go pozbyć.

– Na przykład płukania – domyślił się Griffin.

– Tak się właśnie Eddiemu wydawało. Tyle że przekombinował. Jasne, płyn wymył z pochwy nasienie, ale wszystko wylądowało na pościeli. A kiedy pracujemy nad gwałtem, zbieramy próbki nie tylko z ciała ofiary, ale także z całego miejsca przestępstwa.

– Więc Como myślał, że znalazł idealny sposób na pozbycie się DNA, i dlatego nie protestował, kiedy poprosiliście go o próbkę. Tyle że się przeliczył.

Fitz pokiwał głową.

– Dokładnie tak.

– Facet miał całkiem niezły plan – przyznał szczerze Griffin. – Miał jakąś przeszłość przestępczą?

– Nie.

– Znęcał się nad partnerkami?

– Też nie. Prawdę mówiąc, jego obecna dziewczyna miała być kluczowym świadkiem obrony. Twierdziła, że Eddie był łagodny jak baranek. Że był taki wrażliwy, że nie potrafiłby skrzywdzić nawet muchy. A poza tym byli razem we wszystkie trzy noce, kiedy popełniono gwałty.

– Eddie miał alibi? – zdziwił się Griffin.

Fitz przewrócił oczami.

– Nie, miał dziewczynę w ciąży, która nie chciała, żeby ojciec jej dziecka trafił za kratki. Zaufaj mi, wszystko sprawdziliśmy. Nie znaleźliśmy żadnego świadka, który potwierdziłby jej zeznanie. Poza tym mieliśmy jego DNA. Jeżeli Como rzeczywiście oglądał w tym czasie *Milionerów*, to jakim sposobem jego DNA trafiło na niejedno, nie dwa, ale aż na trzy miejsca przestępstwa?

Griffin pokiwał głową. Fitz miał rację.

– Więc przełom nastąpił, kiedy odkryliście powiązanie między ofiarami a punktami krwiodawstwa?

– Taa.

Griffin zmrużył oczy. Dobra, teraz zrozumiał.

– A ten klub, Klub Ocalonych, pomógł wam w tym.

– Jillian Hayes wiedziała, że siostra oddała krew dwa tygodnie przed napaścią. Wspomniała o tym z powodu tych lateksowych opasek. Postanowiliśmy to sprawdzić i rzeczywiście, biedna mała Meg też oddała krew na miesiąc przed gwałtem. To był pierwszy związek między ofiarami. Potem wszystko zaczęło się kleić.

Fitz zjechał z ulicy i zaparkował na krawężniku.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Griffin spojrzął w okno. Zatrzymali się przed wejściem do rue de Pespoir, małej modnej kawiarenki na Hope Street. Cindy lubiła rue de Pespoir. Za to Griffin wolał sąsiedni lokal, Dużą Alicję, gdzie podawano najlepsze lody w mieście.

Fitz wyłączył silnik. Teraz, kiedy dotarli na miejsce, odzyskał pewność siebie. Znowu zaczął się zachowywać jak pan na włościach: miejski detektyw na swoim terytorium.

– Zasady są takie – oświadczył. – Jako najmłodsza i najcichsza, Meg jest najsłabsza w grupie. Ale z drugiej strony, najmniej wie, więc przyciskanie jej nic nam nie da. Carol jest najbardziej wybuchowa. Wydaje mi się, że nie najlepiej sobie radzi z tym, co przeszła, a jej małżeństwo nie jest idealne. Jeżeli dobrze rozegramy tę partię, może uda nam się coś od niej wyciągnąć. Ale jest jeden problem. Jillian. To ona tam rządzi. Ona zorganizowała grupę, ona prowadzi konferencje prasowe i dyktuje warunki. Ta kobitka ma, że się tak wyrażę, jaja ze stali. Jak ją wkurzysz, rozmowa skończona. Jeśli ona nie będzie chciała rozmawiać, żadna z nich nic nam nie powie i tylko stracimy czas. Musimy więc nacisnąć Carol na tyle, żeby puściła farbę, nim Jillian się zorientuje, co się święci, i odeśle nas z kwitkiem.

– Nastawiasz się na wrogą rozmowę. – Griffin uznał, że to ciekawe, bo Fitz podobno czuł się związany z kobietami. Po roku pracy nad sprawą był ich opiekunem, strażnikiem i przyjacielem.

– Myślę, że żadna z nich nie będzie rozpaczać z powodu śmierci Eddiego – odparł Fitz. – I nawet jeśli wszystkie są niewinne, na pewno nie będzie im zależało na wyjaśnieniu jego

zabójstwa. Eddie Como był szumowiną. Teraz jest martwą szumowiną. Jak myślisz, czy komuś powinno przeszkadzać, że został zamordowany?

– Uważasz, że jedna z nich wynajęła zabójcę? – zapytał bez osłonek Griffin.

Fitz westchnął.

– Żadna nie umie się posługiwać bronią palną – odparł po chwili. – Gdyby chciały się pozbyć Eddiego, musiałyby się zwrócić do kogoś o pomoc.

– Ale czy myślisz, że są zdolne do tego, żeby wynająć snajpera?

Fitz znowu się zawahał.

– Myślę, że przeżyły gwałt. I jako zgwałcone są zdolne do wielu rzeczy, o jakie by się przedtem nigdy nie podejrzewały.

– Nawet do zabicia człowieka?

– A ty nie byłbyś zdolny do czegoś takiego? Chodź. – Fitz otworzył drzwiczki. – Załatwmy to, póki nie dogonią nas dziennikarze.

KLUB OCALONYCH, CD.

Weszli do kawiarenki. Bez trudu odnaleźli trzy kobiety. Siedziały samotnie w rogu sali nad gigantycznymi czerwonymi kubkami, próbując ignorować ciekawskie spojrzenia pozostałych klientów. Ujrzawszy je, Griffin zwrócił uwagę na kilka spraw jednocześnie. Po pierwsze, Eddie Como miał dobry gust. Jego ofiary stanowiły nader atrakcyjną grupkę: dwie starsze i jedna młodsza, jakby dwie eksmodelki zaprosiły na obiad utalentowaną gwiazdkę nowego pokolenia. Po drugie, wszystkie ścisnęły wielkie czerwone kubki znacznie mocniej, niż było trzeba. Po trzecie – i to było bodaj najbardziej interesujące – żadna nie wydawała się zaskoczona widokiem Fitz’a.

Policjant podszedł do ich stolika. Pozostali goście zaczęli do siebie szeptać, ale nie zwracał na nich uwagi.

– Jillian. Carol. Meg – powitał je, kiwnąwszy każdej głową.

Kobiety odpowiedziały tym samym gestem. Fitz nie powiedział nic więcej. One też nie. Zaległa niezręczna cisza. Griffin musiał przyznać, że postawa całej czwórki zrobiła na nim wrażenie. Pozwolił im kontynuować pojedynkę na spojrzenia i zajął się oceną sytuacji.

Meg Pesaturo wyglądała prawie dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażał. Pesaturo było starym włoskim nazwiskiem, a ona, ze smagłą cerą, długimi kasztanowymi włosami i ciemnymi błyszczącymi oczami doskonale do niego pasowała. Była ubrana zupełnie zwyczajnie: w dżinsy i brązowy T-shirt. Stanowczo najmłodsza w grupie. Ona też pierwsza odwróciła wzrok.

Za to ofiara numer dwa, Carol Rosen, wyglądała jak bogata dama z towarzystwa. Miała zaczesane do tyłu blond włosy, mocno umalowane błękitne oczy i kremowy kostium od znanego kreatora mody. Siedziała sztywno, plecy trzymała prosto i wypinała pierś. Pewnie ukończyła jeden z tych kursów, na których dziewczęta uczą się trzymać filiżankę z uniesionym małym palcem i nigdy nie płakać w obecności męża. Patrzyła na Fitz’a błyszczącymi oczyma, zaciskając wargi.

Griffin z trudem odgonił od siebie myśl, by zaprosić ją na wspólny jogging. Albo na ring bokserski. Pewnie ze względu na własny stan był odrobinę przewrażliwiony, lecz Fitz miał co do niej rację. Nie radziła sobie najlepiej. Może wydawało jej się, że jest inaczej, ale nie potrafiła oszukać eksperta. Carol Rosen zbliżała się do swojego Wielkiego Bum, a kiedy ono nastąpi, ciężko będzie jej poskładać psychikę z powrotem do kupy.

Zastanawiał się, czy mąż zauważył te symptomy. A jeśli tak, czy posunąłby się do tego, by poświęcić życie Eddiego Como, byleby żona odzyskała spokój.

Spojrzał na ostatnią z ofiar. Jillian Hayes. Uniknęła samego gwałtu, lecz została brutalnie pobita. Liderka grupy. Pograżona w żałobie siostra. W tej chwili chłodna jak zimowy dzień.

Była znacznie starsza, niż przypuszczał, biorąc pod uwagę wiek siostry. Myślał, że będzie miała dwadzieścia kilka lat, lecz wyglądała raczej na trzydzieści kilka: dojrzała kobieta, która dobrze się czuje we własnej skórze. Siedziała trochę niedbale, ubrana w ciemnobezowy kostium i białą lnianą kamizelkę. Jej gęste kasztanowe włosy były spięte w kucyk. Proste złote krążki w uszach, łańcuszek z jakimś medalikiem na szyi. Żadnych pierścionków. Krótko przycięte, zadbane paznokcie.

Głupia myśl dnia: Cindy spodobałby się ten kostium.

Kurczę, chętnie bym poszedł teraz pobiegać, pomyślał i w tym momencie zdał sobie sprawę, że Jillian Hayes już nie patrzy na Fitz. Jej złocistobrazowozielone oczy wpatrywały się prosto w niego.

– Pan jest z policji stanowej – raczej stwierdziła, niż zapytała.

– Detektyw sierżant Roan Griffin – przedstawił się. Fitz łypnął na niego ze złością. Być może sam chciał czynić honory. Ale pieprzyć go. Teraz i tak sprawa wymknęła im się z rąk.

– Proszę nam opowiedzieć, co się stało – powiedziała Jillian. Był to raczej rozkaz niż prośba.

– Mamy kilka pytań – zaczął Fitz.

– Powiedzcie, co się stało.

– Dlaczego myślicie, że coś się stało? – spytał Griffin, zasłużony na kolejne chmurne spojrzenie Fitz.

– Bo niby po co mielibyście tu przychodzić?

Słuszna uwaga. Griffin zerknął na Fitz. Dotarło do niego, że to nie będzie zabawa. Niech tam. Dawaj, Fitz. Pokaż, co potrafisz. Fitz nie wyglądał na zadowolonego.

– Musimy wiedzieć, gdzie byliście około ósmej trzydzieści dziś rano – powiedział.

Jillian wzruszyła ramionami. Właściwie uniosła tylko jeden bark w niedbałym geście lekceważenia. Fitz miał rację – rzeczywiście była rzecznikiem grupy. Pozostałe kobiety nawet nie otworzyły ust. Po prostu spokojnie czekały, co powie tamta.

– Byłyśmy tutaj – odparła. – Wszystkie trzy. Większość ludzi w restauracji z pewnością to potwierdzi. A teraz, panie detektywie, proszę nam powiedzieć, co się stało.

– Wydarzył się pewien incydent – odrzekł po namyśle Fitz. – Eddie Como nie żyje.

Griffin i Fitz skoncentrowali się, oczekując reakcji kobiet. Griffin skupił się na Meg: uznał, że najprędzej się zdradzi. Ale jeśli maczała w tym wszystkim palce, to z pewnością nie dała tego po sobie poznać. W tej chwili wyglądała raczej na zagubioną. Przechyliła na bok głowę, jakby wsłuchiwała się w jakiś wewnętrzny głos.

Za to Carol z głośnym sykiem wypuściła z płuc wstrzymywane długo powietrze. Pochyliła się do przodu i chwyciła kant stołu tak mocno, że zbieleły jej palce.

– Na pewno? – zapytała.

– Obawiam się, że nie rozumiem – rzekł Fitz.

– Widzieliście ciało?

– Tak – odparł Griffin. – Ja je widziałem.

Carol spojrzała na niego z dzikim błyskiem w oku.

– Niech pan mi o tym opowie. Chcę poznać każdy szczegół. Jak wyglądał. Jak długo umierał. Czy cierpiał? Czy to było okropne? Krwawe? Chcę poznać każdy szczegół.

– Nie wolno nam udostępniać takich informacji... – zaczął Fitz.

– Chcę poznać każdy szczegół!

Pozostali goście znowu zaczęli się na nich gapić. Griffin nie mógł ich za to winić. Carol była – mówiąc delikatnie – trochę za bardzo nakręcona. Na świecie nie było dość krwi, żeby zaspokoić jej żądze. I pewnie nie dość sprawiedliwości, by wyrównać jej krzywdy.

– Śmierć nastąpiła szybko – powiedział Griffin.

– Kurwa! – warknęła Carol.

Okej, może Maureen miała co do niej rację. Griffin z zainteresowaniem czekał, kto co teraz zrobi. Jillian Hayes z wystudiowaną obojętnością po prostu uniosła kubek i napiła się herbaty.

Meg Pesaturo wciąż miała przechyloną głowę i wsłuchiwała się w głos, który tylko ona mogła usłyszeć. Jedyne Carol wyglądała na wzburzoną. Miała przyspieszony oddech, a jej dłonie wciąż wpijały się w blat stolika. Najwidoczniej czekała na coś, cokolwiek, dzięki czemu poczuje się lepiej. Może Griffin powinien był skłamać, że Eddie Como został rozerwany na strzępy, a zabójca odstrzelił mu najpierw wszystkie kończyny. Dzięki temu mogłaby spać spokojniej.

I może zapłacić snajperowi premię? Ale zaraz, przecież już ją dostał.

Jillian albo Meg musiały kopnąć Carol pod stołem, bo ta w końcu opadła na oparcie krzesła i zaczęła pracować nad odzyskaniem nad sobą kontroli.

Fitz chrząknął.

– Sądźmy, że najlepiej będzie, jeśli wszystkie pójdziecie z nami – powiedział.

– Niby dlaczego? – Jillian odstawiła kubek. – Byliśmy tutaj cały ranek. Jeżeli Eddie Como nie żyje, z oczywistego powodu nie mogliśmy go zabić.

– Jest parę spraw, które chcielibyśmy z wami przedyskutować... – spróbował inaczej Fitz.

– Nie rozumiem – przerwała mu Carol. – On nie żyje. Jest po wszystkim. Już nie musimy z wami rozmawiać. Sprawa, proces, wszystko... już się skończyło.

– Pan detektyw przyszedł tu powęszyć – wyjaśniła jej spokojnym głosem Jillian. – Mimo iż nie zastrzeliliśmy Eddiego Como, podejrzewa, że mogliśmy wynająć kogoś, kto to zrobił.

– Skąd pani wie, że został zastrzelony? – zapytał ostro Fitz. – Nie powiedzieliśmy, jak zginął.

– Nie widział pan porannych wiadomości? – odrzekła Jillian. – „Tuż po ósmej trzydzieści dziś rano przed budynkiem sądu hrabstwa Providence padł strzał. Według wstępnych informacji zastrzelony został domniemany Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego, Eddie Como, którego wyprowadzano właśnie z furgonetki więziennej. Dobrze poinformowane źródła podają że niezidentyfikowany sprawca oddał śmiertelny strzał z dachu sądu. Jedną ofiarą śmiertelną zakończył się także wybuch na pobliskim parkingu”. Zgadza się? Myślę, że tak.

Uśmiechnęła się, a Fitz mruknął pod nosem coś nieprzyjemnego. Griffin mógł tylko wzruszyć ramionami. Oczywiście media upubliczniły całą historię, nawet nie czekając na potwierdzenie, że zginął właśnie Eddie Como. Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego był prawdziwą sensacją. A po co zachowywać się odpowiedzialnie, skoro można jeszcze bardziej spiężyć śledztwo w sprawie morderstwa?

– W porządku – powiedział Fitz ponuro. – Eddie Como został zastrzelony. Nie żyje. Ale nie sądzę, żeby to było odpowiednie miejsce na rozmowę na ten temat. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pojedziemy na komisariat.

– Nie – odparła stanowczo Jillian. – Ale dziękujemy za zaproszenie.

– Ale, moje panie...

– Nie musimy z nimi iść – przerwała mu Jillian, spoglądając na Meg i Carol. – Nie musimy odpowiadać na żadne pytania. Bez prawdopodobnego przypuszczenia, że mamy z tą sprawą coś wspólnego, detektyw Fitzpatrick i sierżant Griffin nie mogą nas do niczego zmusić. Radziłabym wam o tym pamiętać, ponieważ detektyw Fitzpatrick nie zjawiał się tu z przyjacielską wizytą. To dla nas wielki dzień, dziewczyny. Właśnie przestałyśmy być ofiarami gwałtu i awansowałyśmy na podejrzanę o morderstwo.

– Pani Hayes ma rację – odezwał się Griffin.

– Słucham? – Jillian spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. Fitz zgromił go wzrokiem.

– Nie powiesz im całej reszty? – zapytał niewinnie Griffin.

– Że co proszę?

– Powiedz im resztę. Te kobiety są twoimi przyjaciółkami, prawda? Na pewno zależy ci, żeby wszystko rozumiały. Na przykład to, że jeżeli nie zechcą z nami porozmawiać, będziemy zmuszeni skontaktować się z ich rodzinami i znajomymi. Z mężami, ojcami, kuzynami, matkami, siostrami, ciotkami. Znajomymi z pracy. Poddać wszystkich policyjnej obserwacji. I zdobędziemy nakaz, ażeby przyjrzeć się ich finansom. – Wszystkie trzy kobiety zeszywniały. Griffin wrzucił ramionami. – Miałyście motyw i możliwość popełnienia przestępstwa. Sprawdzimy wasze konta bankowe, konta bankowe każdego członka waszych rodzin. Może nawet przyjrzymy się interesom pani wuja. – Popatrzył łagodnie na Meg. – Albo kancelarii pani męża. – Spojrzał na Carol. – Każda wypłata, na którą nie ma potwierdzenia w papierach, może się okazać kluczowa dla śledztwa... – Znowu wrzucił ramionami. – Morderstwo to morderstwo, drogie panie. Jeżeli będziecie współpracować, może uda się pójść na ugodę i nie spędzicie reszty życia w więzieniu.

Meg i Carol nie wyglądały już na tak pewne siebie. Za to Jillian... Jillian patrzyła na niego, jakby właśnie zauważyła brzęczącą nad stołem muchę, którą zamierza ukatrupić gołą ręką.

– A ograniczona poczytalność? – zauważyła prowokacyjnie.

– Nie w przypadku wynajętego mordercy. To wymaga premedytacji. Gdyby liczyła pani na łagodniejszy wyrok w zamian za przyznanie się do winy, należało się pojawić w sądzie i zabić Como własnoręcznie.

– Niekoniecznie. Ograniczona poczytalność oznacza po prostu, że sprawca został zmuszony przez okoliczności zewnętrzne do popełnienia czynu, jakiego w innym wypadku by nie popełnił. Znaczący to tyle, że nie działał w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Można by argumentować, że wstrząs spowodowany gwałtem i lęk przed ponownym atakiem doprowadziły nas do wynajęcia płatnego zabójcy.

– Wygląda na to, że zastanawiała się pani nad tym.

– Nigdy nie wiadomo, jaka wiedza okaże się przydatna.

– Ma pani wykształcenie prawnicze, pani Hayes?

– Panno Hayes. Mam wykształcenie marketingowe. Ale umiem czytać.

– Na przykład kodeks karny?

– Wciąż nie zadał pan właściwego pytania, sierzancie.

– A co to za pytanie?

Jillian Hayes wychyliła się do przodu.

– Czy miałyśmy powód, żeby się bać? Czy miałyśmy powód, żeby bać się o swoje życie?

– Nie wiem. Miały panie?

– On do nas dzwonił, sierzancie. Detektyw Fitzpatrick jeszcze panu nie mówił? Przez ostatni rok Eddie Como cały czas do nas wydzwaniał i pisał listy. Wie pan, jak to jest drzeć ze strachu za każdym razem, kiedy dzwoni telefon?

– Sporo wycierpiałem z powodu telemarketingu – odparł Griffin, patrząc pytająco na Fitzę.

– Nie powinien mieć możliwości do nich dzwonić – powiedział Fitz. – Teoretycznie więźniowie muszą wpisać specjalny kod, żeby gdziekolwiek zadzwonić, a każdy kod ma ograniczoną liczbę zaaprobowanych numerów. Uwierz mi, żaden z numerów pań nie został zaaprobowany, ale wiesz, jak to jest w więzieniu. Więźniowie potrafią obejść każdy przepis.

Prawdopodobnie dzięki pomocy z zewnątrz.

– Można zażądać cenzurowania wysyłanych listów – zauważył Griffin, marszcząc brwi. – Wprowadzić zakaz kontaktu.

– Jeżeli więzień posuwa się do pogróżek. Eddie nigdy im nie groził, więc nie mogliśmy wprowadzić takiego zakazu. Wszystko sprowadziło się do tego, że panie zmieniły numery telefonów, a on przerzucił się na pocztę. Gdy przestały przyjmować przesyłki z więzienia, postarał się o kogoś, kto wysyłał jego listy z innego miejsca. Eddie był wytrwały, trzeba mu to przyznać.

– A co tak wytrwale starał się powiedzieć?

– Że jest niewinny – odrzekła obojętnym tonem Jillian. – Że popełniłyśmy wielki błąd. Że nigdy nikogo nie skrzywdził. A potem, pod koniec, zaczął się domagać odpowiedzi, dlaczego rujnujemy mu życie, dlaczego zabieramy go od dziecka. Zamordował moją siostrę, sierżantcie, a teraz pyta mnie, dlaczego odłączono go od dziecka?

– Nie chciał nas zostawić w spokoju – wtrąciła Carol, dając wyraz oburzeniu. – Na litość boską, Como nawet zadzwonił do mojego męża do pracy! Poprosił go o listę dobrych adwokatów! Człowiek, który mnie zgwałcił, zwrócił się do mojego męża o pomoc w znalezieniu obrońcy! A kiedy to nie przyniosło rezultatów, zaczął nas zarzucać listami, zużywając pewnie wszystkie bezpłatne znaczki, jakie mu przydzielono w więzieniu. Proszę o tym pomyśleć. Człowiek, który mnie zgwałcił, nie daje mi spokoju dzięki znaczkom, za które sama zapłaciłam jako podatnik. Ten facet był pieprzonym monstrem!

Griffin spojrział na Meg. Dziewczyna wzruszyła bezradnie ramionami.

– Rodzice nie pozwalają mi odbierać telefonów ani przyjmować poczty.

– Chodzi o to – odezwała się Jillian, znowu skupiając na sobie całą uwagę – że obszczekujecie nie to drzewo, co trzeba. Ktoś zabił Eddiego Como. Ale nas nie obchodzi, kto. I nie chcemy wiedzieć, dlaczego. Szczerze mówiąc, cieszymy się, że Como nie żyje.

JILLIAN

Detektyw Fitzpatrick i sierżant Griffin zostali w restauracji jeszcze pięć minut. Oni nacierali, Jillian odpierała ataki. Oni uderzali, ona odparowywała ciosy. Policjanci zaczęli się denerwować. Jillian niewiele to obchodziło. Powiedziała Meg i Carol prawdę. Nie musiały nic mówić ani nigdzie iść. Na razie były wciąż po prostu ofiarami Eddiego Como. Mogły więc korzystać z tego statusu, póki się dało.

Rok temu, kiedy Jillian po raz pierwszy pomyślała o stworzeniu klubu, nie miała złudzeń, co ją czeka. Obudziła się pewnego ranka z miazdzącym poczuciem, że Trisha wciąż jest martwa, a ona nie. Leżała w łóżku, bojąc się każdego dźwięku we własnym domu, boleśnie świadoma, jak jest słaba i bezbronna. I wtedy znowu się zdenerwowała. Nie – wpadła w furję. Miała już dość pytań policji. Miała dość prokuratora w swoim szpitalnym pokoju, gliniarzy wypytyujących, co robiła i mówiła w wieczór, kiedy jej siostra została brutalnie zgwałcona i zamordowana. Nie chciała budzić się co rano ze świadomością, że gwałcieł wciąż przebywa na wolności. Ten człowiek zabił Trish. Zaatakował dwie inne kobiety. A policja nie zrobiła nic, żeby go złapać.

Wtedy Jillian wstała z łóżka. I chwyciła za telefon.

Być może Meg i Carol przyłączyły się do klubu, licząc na pocieszenie. Może ostatnimi czasy ich nadzieje rzeczywiście się spełniły. Lecz Jillian nie była jeszcze na to gotowa. Chciała działać w imieniu Trish, w imieniu ich wszystkich. Stworzyła klub, a potem przekuła go w potężny oręż.

– To nie jest Klub Ofiar – oświadczyła na spotkaniu inauguracyjnym. – To jest Klub Ocalonych. Raz zdarzyło nam się utracić kontrolę, ale już nigdy nie pozwolimy, aby to się powtórzyło. Te ataki były atakami przeciwko nam. Ten gwałcieł jest naszym gwałcielem. I musimy go dopaść. Skontaktujemy się z mediami, nacisniemy na policję. Znajdziemy człowieka, który nam to zrobił. A potem pokażemy mu, co to znaczy zadzierać z nami. Obiecuję wam to. Przysięgam, że dorwiemy tego faceta i spowodujemy, że zapłaci za nasze cierpienie.

Zaledwie trzy tygodnie później policja aresztowała Eddiego Como. To, co nie udało się detektywom z Providence przez prawie dwa miesiące, Klub Ocalonych załatwił w dwa razy krótszym czasie.

Detektyw Fitzpatrick i sierżant Griffin wyszli. Zjawiała się kelnerka. Wyglądała na zaciekawioną, a jednocześnie pełną współczucia.

– Dolać herbaty?

Wszystkie pokręciły głowami.

– Zostańcie, ile chcecie, dziewczyny. I nie martwcie się rachunkiem. Firma stawia. Po tym wszystkim, przez co przeszłyście, należy wam się chociaż tyle.

Kelnerka odeszła. Jillian spojrzała na Carol i Meg. Żadna nie wiedziała, co teraz zrobić.

– Darmowe śniadanie – mruknęła w końcu Carol. – Kto powiedział, że ofiary gwałtu nie mają żadnych przywilejów?

– Nie dostałyśmy darmowego śniadania za gwałt – odrzekła Jillian – a tylko za zabicie Eddiego Como. Szybko, biegnijmy do Federal Hill. Nie macie pojęcia, ile darmowego żarcia tam na nas czeka.

Federal Hill było włoską dzielnicą Providence znaną z restauracji, cukierni i powiązań z mafią. Może udałoby im się zjeść tosta na koszt bossa mafii albo cannelloni na rachunek pomniejszych zbirów. To była myśl.

Meg zaczęła obracać w dłoniach pusty kubek. Spojrzała na Carol, potem na Jillian. Po czym zadziwiła je obie, a także samą siebie, poruszywszy poważny temat.

– Może powinnaś im powiedzieć – zwróciła się do Jillian. – No wiesz, o dyskietce.

– Po co? Eddie już wcześniej się z nami kontaktował, a policja nie potrafiła na to nic poradzić.

– Tym razem to było co innego.

– „Kije i kamienie mogą mi połamać kości – zacytowała Jillian – ale słowa mnie nie zranią”.

– Przysłał to nagranie do twojego mieszkania – zauważyła Carol, zgadzając się z Meg. Carol nie potrafiła się pogodzić z myślą, że Eddie Como miał dostęp do ich domów. Jak powiedziała detektywowi Fitzpatrickowi pół roku wcześniej, to było tak, jakby pozwolić mordercy wrócić na miejsce zbrodni. Eddie został oskarżony o trzy gwałty, zabójstwo i napaść z intencją popełnienia gwałtu. I po tym wszystkim pozwalano mu dzwonić i pisać listy? Eddie Como mógł być za kratkami, ale przez większość czasu to one czuły się jak w więzieniu.

– Dzwonił i pisał do nas wszystkich – odparła Jillian. – Nie ma się co oszukiwać. Como lubił gry. Lubiał mieszać ludziom w głowach. To była jego ostatnia próba.

– Groził, że cię zabije – zaprotestowała Meg. – Detektyw Fitzpatrick powiedział, że mógłby coś zrobić, gdyby Eddie zaczął nam grozić. A ten plik wideo – zadrżała – z pewnością zawierał pogrożki.

Dyskietka została doręczona do domu Jillian w piątek. Adres zwrotny należał do jej firmy – tak, Eddie był na swój sposób bardzo przebiegły – więc Jillian bez zastanowienia włożyła dysk do stacji, myśląc, że to od Rogera albo Claire. A potem... twarz Eddiego Como spojrzała na nią z ekranu komputera. Kiedy w panice już miała zresetować komputer, wyjąć dyskietkę, cokolwiek... Como zaczął mówić.

– Ty pieprzona suko – powiedział do niej w jej własnym domu, kiedy siedziała pięć metrów od chorej matki, siedem metrów od pielęgniarki, pół metra od zdjęcia uśmiechniętej i pełnej życia Trishy. – Ty pierdolona suko, zniszczyłaś mi życie. Zniszczyłaś życie mojego dziecka, mojej matki, mojej dziewczyny. Dlaczego? Bo jestem Latynosem? Bo jestem mężczyzną? To już zresztą nie ma znaczenia. Dorwę cię, nawet jeśli zajmie mi to resztę życia. Dorwę cię nawet zza grobu.

Wtedy Jillian wyjęła dyskietkę. Wrzuciła ją z powrotem do koperty, którą ponownie zakleiła, jakby miała do czynienia z jadowitym pajakiem, który mógł uciec. Potem długo siedziała, drżąc jak osika, bliska łez.

Jillian nienawidziła płakać. Płacz nigdy nie pomagał. Płaczem jeszcze nigdy nie udało się zmienić świata na lepsze. Płaczem nie można było odgonić ludzi w rodzaju Eddiego Como.

– Gdybym miała powiadomić detektywa Fitzpatricka, to w piątek wieczorem – odparła. – Nie zrobiłam tego.

– Powinnaś mu powiedzieć – rzekła Carol z naganą w głosie. Carol świetnie radziła sobie z naganami. – Może wtedy by coś zrobił.

Jillian przewróciła oczami.

– Kiedy otworzyłam kopertę, było po ósmej. Fitzpatrick już wyszedł z pracy. Wtedy... wydawało mi się to głupie. Potraktowałam tę dyskietkę jako ostatnią próbę zastraszenia. Poza tym, skoro Como wysłał nagranie, prawdopodobnie oczekiwał, że lada chwila wpadną do niego strażnicy albo policja i dadzą mu nieźle popalić. Potem mógłby sobie spokojnie usiąść i napawać

się tym, jak bardzo wyprowadził mnie z równowagi. Ale gdybym nic nie powiedziała... Cały weekend czekałby tylko na to, co się stanie. Zastanawiałby się. Nie wiedziałby, co jest grane. Uznałam, że to lepsze wyjście.

– Ukarać go milczeniem. Całkiem niezłe – zauważyła Meg.

Jillian wzruszyła skromnie ramionami.

– Teraz to i tak nieważne, prawda? Nieważne, co Eddie zrobił albo czym groził. Teraz to nie ma żadnego znaczenia. On już nie żyje.

Zapanowała cisza. Po raz pierwszy od uzyskania potwierdzenia śmierci Eddiego Como słowa zaczęły się stawać rzeczywiste, obrastać w znaczenie, zmieniać obraz świata. Kobiety patrzyły na siebie. Żadna nie wiedziała, co powiedzieć. Nie było już Eddiego Como. Nie potrafiły sobie tego wyobrazić. Przez ostatni rok ten człowiek stanowił centrum ich świata. Był wszystkim, czego nienawidziły, czym pogardzały i czego się bały. Spotykały się co tydzień po to, by się wyzalić, jak były przez niego wściekłe i zagubione, jak czuły się bezbronne, pozbawione oparcia, zdruzgotane. Czy w ich głowach pojawiła się choćby jedna myśl, która nie wiązałaby się w żaden sposób z Eddiem Como? Zdanie, które nie miałyby z nim nic wspólnego? Zły dzień, dobry dzień, złe wydarzenie, dobre wydarzenie – za wszystko odpowiadał jeden człowiek, Eddie Como. Meg nie pamiętała swojego życia. Carol nie potrafiła wyłączyć telewizora. Jillian nie umiała się rozluźnić i uspokoić. A wszystko to w ten lub inny sposób wiązało się z Eddiem Como. Tylko że teraz on nie żył, a świat dalej się kręcił, ludzie w restauracji wciąż jedli i pili.

– Uważam, że nie powinniśmy o tym rozmawiać – powiedziała Jillian.

– Powinniśmy o tym porozmawiać – zaprotestowała cicho Meg.

– Musimy o tym porozmawiać! – poparła ją entuzjastycznie Carol. – Porozmawiajmy o tym! Ja na przykład...

– Nie możemy – przerwała jej stanowczo Jillian. – Jesteśmy podejrzanymi. Jeżeli zaczniemy gadać o zabójstwie albo o tym, że Como nie żyje, ktoś, może nawet Ned D'Amato, wykorzysta to, dowodząc, że działaliśmy w spisku.

– Na litość boską! – oburzyła się Carol. – Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego nie żyje, a ty wciąż ustalasz reguły i obmyślasz strategię. Daj sobie spokój, Jillian! Ostatni rok spędziłyśmy na przygotowaniach do procesu, a teraz nagle okazało się, że procesu nie będzie. Mój Boże, nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Nie możemy...

– Zagłosujmy. – Carol wpadła w euforię. – Kto jest za tym, żeby zatańczyć na grobie Eddiego Como, ręka do góry!

Podniosła rękę. Po chwili Meg zrobiła to samo. Spojrzała na Jillian przepraszająco i wyznała cichym głosem:

– Kiedy w telewizji powiedzieli, że Como nie żyje, byłam pewna, że się pomylili. Jak ktoś tak zły jak Eddie mógłby rzeczywiście umrzeć? Czy zabójca używał srebrnych kul? Ale potem zjawili się policjanci, więc chyba to się dzieje naprawdę i... jestem trochę skołowana. On nie żyje, ale coś mówi mi, że nie mógł umrzeć. Wszystko się zmieniło, ale wszystko jest takie, jak było. To takie... nierealne.

Jillian siedziała obrażona. Wciąż nie otrząsnęła się po krytyce Carol. Ale po chwili...

Jej skóra zrobiła się jakaś dziwna, jakby za ciasna na kości. Poczowała chłód na policzkach. Meg miała rację. Wszystko się zmieniło, ale wszystko pozostało bez zmian. Czy przez ten rok

choćby raz Jillian kładła się do łóżka, nie życząc Eddiemu Como śmierci? Czy nie modliła się o jego śmierć, nie pragnęła jej każdą cząstką jestestwa?

Zwyciężyła. Klub Ocalonych zwyciężył. I wtedy nagle zdała sobie sprawę, co jest nie tak. Eddie Como nie żył. Ale ona nie czuła się jak zwycięzca.

– Może... może w takim razie porozmawiamy o tym, co czujemy – zaproponowała. – Ale bez wdawania się w szczegóły jego śmierci. Zgoda?

Meg pokiwała głową. Po namyśle Carol zrobiła to samo.

– Ja przede wszystkim jestem szczęśliwa! – wyznała od razu. – Pękam z radości! O, tak! To wielki dzień dla Ameryki! Skurwiel wreszcie dostał to, na co zasłużył! Wiecie, czego nam teraz trzeba? Szampana.

Powinnyśmy to uczcić. W ten sposób naprawdę docenimy to, co się stało. Gdzie jest ta kelnerka? Zamówimy szampana i, czemu nie, po kawałku czekoladowego tortu.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki kelnerka pojawiła się przy ich stoliku. Carol zamówiła butelkę dom perignon i cały tort.

– Proszę się nie martwić, zapłacimy za to – powiedziała. – Nie chcemy nadużywać niczyjej uprzejmości, chcemy po prostu wnieść porządny toast. Macie truskawki, złotko? Proszę włożyć po jednej do każdego kieliszka. Idealnie. A potem tort! Proszę nie zapomnieć o torcie. Mój Boże, wygląda tak apetycznie!

Carol z entuzjazmem wymachiwała rękami. Jej błękitne oczy znowu lśniły, a twarz jaśniała radością. Meg i Jillian wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

– No dobra! – zawołała Carol ożywionym głosem. – Bąbelki są już w drodze. W tym czasie spróbujemy wymienić wszystko, co od tej pory zmieni się na lepsze. Ja zacznę. Po pierwsze, nie musimy się już przejmować zeznawaniem w sądzie. Nie będziemy się zmuszać do żadnych okropnych wspomnień ani odpowiadać na wredne pytania obrony. Nie będziemy oglądać zdjęć z miejsca przestępstwa ani pokazywać fotografii naszych ciał obcym ludziom. Najlepszy proces sądowy to taki, którego nie ma. Wszystko dzięki tobie, martwy Eddie Como. O, patrzcie, szampan już idzie.

Kelnerka wróciła. Przyniosła dom perignon i szampanki ze świeżymi truskawkami. Otworzyła butelkę, napełniła kieliszki i zaczęła podawać tort.

Sięgając po szampana, Jillian już wyobrażała sobie nagłówki w prasie. „Eddie Como zastrzelony. Ofiary jedzą tort”. Ale po chwili jej także udzielił się nastrój Carol. Co niby miały zrobić? Ronić łyż do herbaty? Posypać głowy popiołem? Może to nie było najzdrowsze i akceptowane społecznie, ale miały za sobą wiele chwil znacznie bardziej niezdrowych i doświadczyły aż nazbyt wielu rzeczy, które nie powinny być społecznie akceptowane.

Trisha związana, rozebrana do naga, a potem brutalnie zgwałcona. Trisha szarpiąca się rozpaczliwie. Trisha próbująca krzyczeć. Trisha konająca ze świadomością, że w jej ciało wtargnął obcy mężczyzna...

– Teraz moja kolej – powiedziała Jillian, unosząc kieliszek. – Piję za brak telefonów w środku dnia, niepożądanych listów i okropnych plików wideo. Dzięki tobie, martwy Eddie Como.

– Za koniec obaw, że wyjdzie na wolność i zaatakuje kogoś innego – dodała Carol.

– Za koniec obaw, że wyjdzie na wolność i zaatakuje jedną z nas – podchwyciła Jillian.

– Za koniec strachu! – wykrzyknęła Meg.

Wychyliły kieliszki do dna. Szampan smakował wspaniale. Zmył bladość z ich policzków. Jillian nałała następną kolejkę, podczas gdy Carol pałaszowała największy kawałek tortu.

– Dobrze, że gliny sobie poszły – zauważyła Meg przy trzecim czy czwartym kieliszku. Nie zjadła śniadania, więc szampan powędrował jej prosto do głowy.

– O, na pewno wrócą – powiedziała Carol, która po pierwszym kieliszku dała sobie spokój z szampanem i zajęła się tortem. Jej wargi były brązowe od czekolady, miała umazany polewą policzek i upačkane kremem palce.

– Ten nowy jest niczego sobie – przyznała Meg. – Te błękitne oczy. I ta klata! Widziałyście jego klata? Idealny facet do obrony obywateli.

– To samo mówiłaś o Fitzu, a on wcale nie jest przystojny. Po prostu lubisz facetów w mundurach. – Carol skończyła pierwszy kawałek tortu i natychmiast sięgnęła po następny.

– Wydał mi się znajomy – zauważyła Jillian.

– W Rhode Island wszyscy wydają się znajomi – stwierdziła Carol.

– Ale nie mnie! – wykrzyknęła wesoło Meg, podnosząc pusty kieliszek.

– Może powinnaś trochę zwolnić tempo – ostrzegła ją Jillian.

– Stara dobra, rozsądna Jillian. Wszystko zawsze musi być pod kontrolą. Wicie, czego nam trzeba? Imprezki. Z męskim striptizem!

– Nie wydaje mi się, żeby grupa kobiet, które przeżyły gwałt, powinna wynajmować striptizera.

– Dlaczego? Mężczyzna jako przedmiot. To mogłoby nam pomóc. No, Jillian, nie bądź taka zasadnicza. Kazałaś nam czytać te wszystkie tradycyjne podręczniki i omawiać tradycyjne metody. Dlaczego nie miałybyśmy spróbować czegoś nowego? Minał już rok. Możemy zaszaleć!

Spojrzała na Carol w poszukiwaniu poparcia. To był właśnie problem z trzyosobową grupą, Jillian od początku zdawała sobie z niego sprawę. Dwie osoby mogły się sprzymierzyć przeciwko trzeciej. Na początku to Jillian i Carol decydowały za Meg. Ostatnio jednak...

Na szczęście Carol tylko wzruszyła ramionami. Wyglądało na to, że w tej chwili interesuje ją raczej czekoladowy tort, a niekręcący biodrami goły mięśniak. Zresztą ostatnio Carol w ogóle nie potrzebowała mężczyzn. Nie, żeby którakolwiek z nich najlepiej radziła sobie na tym polu, ale Carol aż się wzdragała na myśl o seksie.

– Naprawdę gdzieś widziałam tego Griffina – powiedziała Jillian, sprowadzając rozmowę na inne tory. – Skądś go znam. Mogłabym przysiąc, że widziałam jego twarz w telewizji. Muszę to sprawdzić.

– Nie nosi obrączki. – Meg uniosła znacząco brwi.

– Na litość boską dziewczyno. To policyjny detektyw, a nie uczestnik *Randki w ciemno*.

– I co z tego? Jesteś bardzo ładna, Jillian. I nie możesz się całe życie zamartwiać.

Po tych słowach zapadła niezręczna cisza. Nawet Carol znieruchomiała, a jej widelczyk zawisł w powietrzu.

– Nie powinnyśmy o tym rozmawiać – przerwała milczenie Jillian.

– Mówię tylko, że...

– A ja nie chcę teraz o tym słyszeć. To dla nas wielki dzień. Pijmy szampana i zostawmy resztę, jak jest.

Carol ponownie zagłębiła widelec w czekoladowym cieście. Lecz Meg wyraźnie się rozmarzyła. Była wstawiona, ale nawet na trzeźwo mówiła czasem o sprawach, o jakich Carol

i Jillian nie odważyłyby się wspomnieć. Były starsze, bardziej przywiązane do swojej prywatności i trudno im było burzyć mury, którymi się otoczyły. Ale nie Meg. Meg była inna.

Teraz ni z tego, ni z owego powiedziała:

– Jestem zła. Eddie Como nie żyje, ale ja wciąż jestem zła. Dlaczego?

Jillian wzięła kieliszek i zaczęła obracać jego nóżkę między palcami.

– Bo jest jeszcze za wcześnie – odpowiedziała cicho. – Potrzebujesz czasu, żeby w pełni to sobie uświadomić. Wszystkie potrzebujemy czasu, żeby oswoić się z tym, że jego naprawdę już nie ma.

Meg potrząsnęła głową.

– Nie, to co innego. Myślę, że to może nie mieć znaczenia. A raczej boję się, że to bez znaczenia. Eddie Como nie żyje. I co z tego? Czy dzięki temu nagle wrócisz do dawnego życia, Jillian? Czy ja nagle odzyskam pamięć? Czy Carol w końcu wyłączy telewizor? Nie wydaje mi się. – Jej głos zmienił się niemalże w pisk. – O, mój Boże! Właśnie tego najbardziej pragnęliśmy i nic się nie zmieniło!

– Meg...

Jillian wyciągnęła ku niej rękę. Meg gwałtownie cofnęła dłoń, przewracając pustą butelkę. Jillian złapała butelkę, Carol serwetkę. Meg mówiła dalej.

– Pomyślcie tylko. Nienawidziłyśmy go. Wszystkie, jak tu siedziby. Nawet ja. Dzięki niemu nasza złość miała jakiś kierunek. Dlaczego zorganizowałaś tę grupę, Jillian? Żeby złapać Eddiego Como. A dlaczego trzymałyśmy się razem? Żeby walczyć przeciwko Eddiemu Como. Przez ostatnie dwanaście miesięcy wszystko koncentrowało się wokół niego. I tak było łatwiej. Kiedy budziłyśmy się zdenerwowane, dezorientowane albo przerażone, wiedziałyśmy, dlaczego: z powodu Eddiego Como. Kiedy policja wtrącała się w nasze prywatne życie albo znajomi lub rodzina dziwnie na nas patrzyli, wiedziałyśmy, dlaczego: to była wina Eddiego Como. Ale teraz... – zamilkła.

Jillian i Carol nic nie powiedziały. Nie potrafiły nic powiedzieć.

– Jestem taka wściekła – wyszeptała Meg. – Nie wiem, kim jestem. Wciąż muszę się badać na obecność HIV i czasami późno w nocy... po prostu leżę w łóżku i myślę. Ten człowiek wie o moim ciele więcej niż ja. Robił mi takie rzeczy, dotykał miejsc... Odebrał mi mnie samą. I mimo że nie żyje, ja wciąż jestem wściekła.

– Wątpię, żebym dziś zasnęła – odezwała się nagle Carol. – Meg ma rację. Tak naprawdę to nie o niego chodzi. To znaczy, tak, wciąż się go boję. Ale boję się też... wszystkiego innego. Ciemności. Ciszy. Mojego domu. Okna w sypialni. Nawet własnego męża. Nigdy o tym nie rozmawiamy, ale on wie, że czasami budzę się w środku nocy, patrzę na niego i widzę tylko Eddiego. Wolę kanapę. Sypialnie nie są już bezpieczne. Najlepiej spać na sofie. Nawet teraz. Sofa jest stanowczo lepsza.

Obie spojrzały na Jillian. Nadeszła jej kolej. Na takich zasadach funkcjonował klub. Jeśli jedna dzieliła się czymś, dzieliły się wszystkie.

– Przynajmniej mamy jakieś poczucie powrotu do zdrowia – spróbowała.

Carol pokiwała głową.

– Powrót do zdrowia. Nieźle brzmi. Jednak Meg nie dała się przekonać.

– Znowu unikasz odpowiedzi.

– Nie unikam – zaprotestowała Jillian, jak zwykle. – Nie muszę odpowiadać od razu.

Carol i Meg po prostu popatrzyły na nią. Czekwały. Ostatnio zrobiły się twardsze.

– Moja strata polega na czym innym – powiedziała w końcu. – Trish nie żyje i bez względu na to, co się stało z Eddiem Como, nic nie zdoła przywrócić jej życia. Od początku zdawałam sobie z tego sprawę.

– Tobie jest łatwiej. – W głosie Carol słychać było odrobinę goryczy. – Nie dałaś mu się Zwyciężyłaś.

– Nie zwyciężyłam.

– Zwyciężyłaś.

– Miałam szczęście, okej? Myślisz, że o tym nie wiem? Miałam szczęście!

– No cóż, nie jestem wybredna, chętnie skorzystałabym ze szczęścia!

– A ja wolałabym, żeby moja siostra wciąż żyła! – Jillian prawie krzyczała, po raz kolejny przyciągając uwagę innych gości. Zaciśnęła wargi, próbując nad sobą zapanować. Podniosła pusty kieliszek. Odstawiła go. Znowu podniosła.

– To było coś – powiedziała Meg, kiwając głową. – Pełna szczerość. Wydaje mi się, że robisz postępy.

Jillian ledwo stłumiła chęć, by udusić dziewczynę. Meg miała przecież dobre intencje, a ona powinna to docenić. Tyle że Jillian nie była dwudziestolatką z amnezją. Miała trzydzieści sześć lat, masę spraw na głowie i wszystko pamiętała. Wszystko. A niech to wszyscy diabli...

Podniosła kieliszek, odstawiła go, podniosła i z trudem zwalczyła odruch, by trzasnąć nim o posadzkę. Minął rok... och, Boże, wystarczy na nie spojrzeć...

Carol przerwała w końcu milczenie.

– Mimo wszystko teraz jest lepiej. Życie z Eddiem Como było nie do zniesienia. Po jego śmierci musi się zmienić na lepsze.

– Racja – powiedziała Jillian.

– Racja – powtórzyła Meg.

– Bez dwóch zdań – dodała Carol.

– Życie na pewno będzie teraz lepsze – zgodziła się Jillian. Meg uśmiechnęła się.

– Przecież nie może być gorsze.

TAWNIA

Rzeczywiście są twarde jak skała. – Jillian, Carol i Meg? – Fitz znowu przeciskał się rozklekotanym fordem taurusem przez wąskie śródmiejskie uliczki. Zerknął na Griffina zza kierownicy. – Nie daj się zwieść pozorom. To był dla nich ciężki rok. Każdej z nich zdarzały się chwile słabości.

– Nawet Julian Hayes?

– Hmm. – Fitz musiał się zastanowić. – No, może Jillian nie.

– Siostra musiała być od niej znacznie młodsza. O piętnaście, szesnaście lat? Chyba łączyła je raczej więź typu matka-córka, a nie siostra-siostra.

– Bardzo możliwe. Ich matka, Oliyia, nie jest w najlepszym stanie. Kilka lat temu miała wylew i od tej pory jest przykuta do wózka. Jillian opiekuje się nią z pomocą wynajętej pielęgniarki.

– Czyli Jillian była głową rodziny? Fitz wzruszył ramionami.

– Ma trzydzieści sześć lat, więc to nie taka tragedia.

– Nie. Ale tak sobie myślę... Strata rodzeństwa musi być bardzo trudna. A przez Eddiego Jillian straciła za jednym zamachem siostrę i jakby dziecko. To musi być cholernie ciężkie. – Griffin pomyślał o Cindy. – Musi niezłe wkurzać – mruknął. – Naprawdę cholernie wkurwiać.

Fitz patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nigdy o tym nie pomyślałem.

– Miała na sobie niezłe ciuchy – zmienił temat Griffin. – Gdzie pracuje?

– Prowadzi własną firmę marketingową. Niezbyt dużą ale przynoszącą zyski. Ma też inne dochody. Znasz się choć trochę na bluesie? Jej matka, Olivia Hayes, była kiedyś dosyć znaną piosenkarką. Odłożyła kilkaset tysięcy, a Jillian obróciła je w miliony.

Griffin otworzył szeroko oczy.

– Stać ją na wynajęcie płatnego mordercy.

– No.

– Jest też chłodna i opanowana – zauważył prowokacyjnie Griffin. Wiedział, że Fitz nie lubi tego tematu.

Fitz nie odpowiedział.

– Sama stwierdziła, że cieszy się ze śmierci Como – nie odpuszczał Griffin.

Fitz zacisnął ręce na kierownicy, ale wciąż się nie odzywał.

– Ma także najpoważniejszy motyw i nie ulega wątpliwości, że zastanawiała się nad linią obrony.

Jillian nie lubi polegać na innych – nie wytrzymał w końcu Fitz. – Okej? Znam tę kobietę od roku. Kurczę, nawet nam nie ufała. Uważała, że nie dorwiemy zabójcy Trishy bez jej pomocy. Zapytaj D'Amato, ile razy do niego dzwoniła. Zapytaj mojego porucznika, jak często zjawiała się w jego biurze. Jak myślisz, dlaczego założyła Klub Ocalonych? Dlaczego zorganizowała tyle konferencji prasowych? Jillian sama robi to, co chce, żeby zostało zrobione, i nie oczekuje niczyjej pomocy.

– No, no, Fitz. Za chwilę dojdę do wniosku, że panna Hayes ci się podoba.

– Nie prowokuj mnie, bo urwę ci łeb – warknął Fitz.

Griffin uśmiechnął się na tę myśl. Nawet gdyby Fitzowi udało się go walnąć, pewnie złamałby sobie rękę.

– Czyli ty nie stawiałbyś na Jillian Hayes?

– Gdyby Jillian naprawdę chciała śmierci Eddiego Como, sama pociągnęłaby za spust.

– Nawet jeśli nie jest najlepsza w strzelaniu?

– Wynajęłaby instruktora i nauczyłaby się. Gdy pierwszy raz przyszła do mojego biura, przyniosła ze sobą podręcznik o interpretacji dowodów rzeczowych i książkę Roberta Resslera o przestępcach seksualnych. Kiedy dowiedzieliśmy się, że DNA z miejsc zbrodni pasuje do DNA Eddiego Como, poprosiła sierżanta z laboratorium o listę książek na ten temat. Jestem pewien, że teraz ma rozleglejszą wiedzę kryminologiczną od większości naszych technicznych. Babka potrafi zagrać człowiekowi na nerwach, ale na pewno nie jest głupia.

– Kogo w takim razie typujesz na zleceniodawcę zabójstwa?

Fitz zacisnął wargi. Nie podobała mu się ta rozmowa. Griffin go rozumiał. Po roku znajomości podejrzewanie jednej z kobiet było dla Fitz'a równie nieprzyjemne jak podejrzewanie znajomego gliniarza.

– Wujka Vinniego – odparł wreszcie niechętnie.

– Wkurzonego wujaszka z gangsterskimi układami. Rozumiem. Chociaż wciąż bardziej interesuje mnie sama Meg. Ta jej amnezja. Coś mi w niej nie gra.

– Co? Czy dziewczyna nie ma prawa zapomnieć?

– Mówimy o całym życiu.

– Gwałt to bardzo traumatyczne przeżycie.

– Tak, ale to było rok temu, a utrata pamięci spowodowana tego typu wstrząsem powinna się cofnąć po jakimś czasie.

– Co to znaczy „po jakimś czasie”? Znam weteranów, którzy wciąż nie potrafią się uwolnić od pourazowego zaburzenia stresowego, a od wojny w Wietnamie minęło trzydzieści lat. Czas jest względny. Jedni potrzebują go więcej, inni mniej. To wszystko. – Fitz znowu patrzył na niego z ukosa. Griffin nie był głupi.

– Osobiście uważam – powiedział półżartem – że półtora roku każdemu powinno wystarczyć.

Fitz przewrócił oczami, ale zdecydował się nie drażnić tematu.

– Dan Rosen – powiedział nagle.

– Mąż Carol?

– Tak. Przesłuchiwałem go z pięć razy i... coś mi się w nim nie podoba. Za długo się zastanawia, nim coś powie. Prawie widzisz trybiki poruszające się w jego głowie, kiedy tak waży każde słowo. Bóg mi świadkiem, wiem, że facet jest prawnikiem, ale jego żona została zgwałcona w ich wspólnej sypialni. Nie dość, że nie wrócił na czas do domu, to jeszcze teraz cyzeluje każde cholerne zdanie.

– Ma pieniądze?

– Nie. Mają dom, który pożera całą forszę. W każdym razie tak to wyglądało rok temu, kiedy sprawdzaliśmy ich finanse. Rosen dopiero rozkręcał własną kancelarię, a chałupa była świeżo po remoncie. Innymi słowy, mieli majątek, ale zero gotówki. Może teraz kancelaria przynosi większe zyski.

– Dom zawsze można zamienić na gotówkę – zauważył Griffin.

– To prawda.

– A rodzina Jillian Hayes?

– Jaka rodzina? – Fitz wzruszył ramionami. – Jillian ma tylko sparaliżowaną matkę i pielęgniarkę, która z nimi mieszka.

– A ojciec?

– Odpada. Mam wrażenie, że jej matka tylko wypożyczała mężczyzn, nigdy żadnego nie kupiła.

– Czyli Jillian i Trisha były siostrami przyrodnimi?

– Tak.

– A mężczyźni Jillian? Czy miała kogoś, kiedy została zaatakowana?

– W każdym razie nigdy o tym nie wspominała.

– A teraz?

Fitz obdarzył go kolejnym ponurym spojrzeniem.

– Czy nie robisz się za bardzo wścibski, Griff?

– Po prostu podtrzymuję rozmowę. – Griffin zabębnił palcami o tablicę rozdzielczą. – Hej, Fitz, dokąd właściwie jedziemy?

– Korzystam z okazji, że mam wsparcie, i jadę odwiedzić matkę Eddiego.

Dziesięć minut później Fitz i Griffin zajechali przed dom pani Como. Tym razem nie udało im się prześcignąć mediów. Dwa wielkie wozy transmisyjne blokowały już wąską uliczkę. Na trawniku wielkości znaczka pocztowego wyrósł las mikrofonów. Fitz i Griffin nie zauważyli na razie żadnego członka rodziny Como, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Albo familia już zdążyła złożyć oświadczenie, albo zamierzała to niedługo zrobić. Ani jedno, ani drugie nie wróżyło najlepiej.

– Matka Eddiego mnie nienawidzi – oświadczył Fitz, parkując taurusa na rozwalającym się krawężniku. – Jego ojciec umarł, kiedy Eddie był jeszcze szczeniakiem. W przeciwnym razie też by mnie nienawidził. Będziemy mieli jednak do czynienia tylko z jego matką, dziewczyną i dzieckiem. A ta dziewczyna, Tawnya, gryzie.

Griffin, który miał właśnie otworzyć drzwiczki i wysiąść, spojrzał na Fitza zdziwiony.

– Gryzie?

– Taa. I czasami również drapie. Ma długie pazury, na jakieś siedem centymetrów. Maluje na nich palemki i flamingi, a potem ostrzy je jak szpikulce. Kiedy skacze ci do oczu, możesz sobie pomarzyć o Key West, ale gwarantuję, że nigdy potem już go nie zobaczysz.

– Jest tylne wejście?

– Tak. Od kuchni.

– To dobrze, bo nie możemy sobie pozwolić na taką scenkę przed dziennikarzami.

Fitz spojrzał na wozy transmisyjne.

– Słuszna uwaga. Nic dziwnego, że wam, stanowym, płacą kokosy. Griffin otworzył drzwiczki.

– Dostajemy także lepsze samochody.

Nie zdążyli nawet przejść pięciu kroków, gdy z telewizyjnych wozów wyskoczyli reporterzy i kamerzyści. Griffin i Fitz wypowiedzieli słowa „bez komentarza” z tuzin razy, nim w końcu dotarli do małego białego domu. Zatrzymali się, wymienili ponure spojrzenia i zapukali do tylnego wejścia. Po chwili wyblakła żółta zasłonka zakrywająca okienko w drzwiach uchyliła się.

Spojrzała na nich drobna Latynoska o ciemnych poważnych oczach.

– Pani Como. – Fitz pomachał jej, uśmiechając się nerwowo. – Przepraszam, ale obawiam się, że musimy z panią porozmawiać.

Pani Como nie wykonała żadnego ruchu, aby otworzyć drzwi.

– Wiem, co się stało – odezwała się zza szyby. – Tawnya tam była. W sądzie. Powiedziała mi.

– Bardzo nam przykro z powodu śmierci pani syna – złożył kondolencje Fitz.

Pani Como tylko prychnęła.

– Prowadzimy teraz śledztwo mające to wyjaśnić – brnął dzielnie Fitz. – Wiem, że w przeszłości dzieliły nas pewne różnice zdań, ale... Teraz przychodzę w sprawie pani syna, pani Como. Na pewno może nam pani poświęcić trochę czasu.

– Mój Eddie nie żyje. Proszę stąd iść, panie detektywie. Skrzywdził pan moją rodzinę i nie muszę już z panem rozmawiać.

W tym momencie z głębi domu wyłoniła się zaskakująco piękna kobieta. Griffin miał tylko chwilę do namysłu (kurde balans, wygląda zupełnie jak Meg Pesaturo), nim dziewczyna rzuciła się na Fitza z długimi różowymi paznokciami, szczerząc drapieźnie zęby.

– *Hijo de puta!* – wrzasnęła Tawnya.

– Aaaaaaa! – jęknął Fitz, osłaniając ramieniem twarz.

Griffin wystąpił przed niego i złapał bojową kobietę w pól. Podniósł ją, a ona zaczęła wierzgać i bić go pięściami po piersiach.

– Ile ważysz, jakieś pięćdziesiąt kilo? – zagaił Griffin.

– Ty skurwysynu! Żalosna, gównozerna świnió...

– Mam nad tobą przewagę około sześćdziesięciu kilogramów – odrzekł Griffin niezrażony. – A to oznacza, że mogę cię tak trzymać cały dzień. Więc jeśli chcesz stanąć w najbliższej przyszłości na ziemi, radzę wziąć głęboki oddech i zacząć uważnie dobierać w słowa. Przyszliśmy tylko porozmawiać.

Tawnya po raz kolejny zdzieliła go w pierś, a potem znowu zaczęła wierzgać. Kiedy zorientowała się, że nie robi to na Griffinie żadnego wrażenia, przestała się rzucać, wciąż jednak nie spuszczała wzroku z Fitza, który opierał się o ścianę, osłaniając dłonią policzek. Pani Como stała za zamkniętymi drzwiami i przyglądała się całemu widowisku z kamienną twarzą.

– Gotowa do kulturalnej rozmowy? – zapytał Griffin, gdy minęła pełna minuta, od kiedy przestała bić i kopać.

Dziewczyna pokiwała niechętnie głową. Postawił ją na ziemi.

Natychmiast rzuciła się na Fitza, ten jednak tym razem wykręcił jej ramię za plecy, a potem założył kajdanki.

– Dość tego! – wrzasnął rozjuszony. – Dopóki nie wyjdę, będziesz łązić w kajdankach. Powinnaś się cieszyć, że nie oskarżę cię o napaść na funkcjonariusza policji.

– Zabicie świni to żadne przestępstwo – odgryzła się Tawnya.

– Chryste, kobieto, ojciec twojego dziecka właśnie zginął. Nie wystarczy ci przemocy na jeden dzień?

Te gorzkie słowa zrobiły swoje. Tawnya opuściła ręce. Pochyliła głowę. Przez chwilę Griffin miał wrażenie, że waleczna dziewczyna Eddiego się rozpłacze. Wkrótce wzięła się jednak w garść i skinęła głową w stronę pani Como, która wreszcie otworzyła drzwi.

Wnętrze domu wyglądało mniej więcej tak, jak je sobie Griffin wyobrażał. Ciasna kuchnia z podartą wykładziną na podłodze i słoikami z jedzeniem dla niemowlaków. Salon wyłożony starym złocistym dywanem, na którym stała zapadająca się, obita brązowym materiałem kanapa. Najdroższym meblem w pokoju był błękitny kojec ustawiony przy oknie. Tawnya natychmiast do niego podeszła, a kiedy okazało się, że nie może podnieść dziecka, spojrzała na Fitz'a z wyrzutem. Zabrzęczała kajdankami.

– Następnym razem pomyśl, nim rzucisz się na kogoś z pazurami – zawołał z kuchni Fitz.

Griffin, który miał słabość do małych dzieci – naprawdę uwielbiał ich zapach – wszedł do salonu, by przyjrzeć się zawartości kojca. Syn Tawni – i Eddiego, jak przypuszczał – spał słodko na brzuszku, a w kącikach ust nadymały mu się i pryskały bąbelki dziecięcego zadowolenia.

– Jak ma na imię? – zapytał.

– Eddie junior – odparła niechętnie.

– W jakim jest wieku?

– Ma dziewięć miesięcy.

– Słodki. Tak na marginesie, jestem sierżant Griffin. Z policji stanowej. – Griffin błysnął uśmiechem.

– Aresztował już pan te suki za zamordowanie mojego Eddiego? Griffin domyślił się, iż „te suki” to Meg Pesaturo, Carol Rosen i Jillian Hayes.

– Nie.

– To pierdol się. – Tawnya obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Dochodzeniowa skuteczność dobrego gliniarza: jak zwykle wzorowa. Griffin wrócił do kuchni, gdzie pani Como przestawiała z brzękiem garnki i patelnie, zapewne tylko po to, żeby się czymś zająć. Fitz siedział przy wysłużonym kuchennym stole i zagryzał dolną wargę, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Ej, ty, stanowy chłoptasiu! – Znowu Tawnya. Wołająca z drugiego końca domu. – Chodź tu. Chcę ci coś pokazać.

– Uważaj na pazury – mruknął Fitz. – I zębiska.

Griffin przeszedł ostrożnie przez wąski korytarz, ale wyglądało na to, że Tawnya nie myśli już o śmierci i zniszczeniu. Zamiast tego niezdarnie wskazywała skutymi rękami brązowozłoty album ze zdjęciami, który stał na uginającej się półce.

– Weź to. Chcę, żebyś się czemuś przyjrzał.

Griffin przeprowadził inspekcję wysłużonego mebla. Nie zauważywszy zdradliwych pułapek, ostrożnie podniósł album. Kiedy Tawnya wciąż go nie ugryzła, poszedł za nią z powrotem do kuchni. Powiedziała mu, gdzie ma położyć album i na jakie zdjęcia zwrócić uwagę. Griffin zaczął się zastanawiać, czy Eddie nie poszedł do więzienia głównie po to, żeby od niej uciec.

– Patrz – powiedziała, kiedy w końcu doszedł do właściwej strony. – Zobacz. To Eddie i ja. Czy ten facet ma twarz gwałciciela?

– Obawiam się, że tacy ludzie nie noszą stempli na czole – odparł łagodnie, mimo że zrozumiał, o co jej chodzi. Eddie był przystojnym facetem. Niewysokim, ale dobrze zbudowanym. Miał na sobie brązowe spodnie i granatową koszulę. Proporcjonalne rysy, dobrze ostrzyżone, zadbane włosy. Gdyby zobaczył go na ulicy, nie wzbudziłby w nim najmniejszych

podejrzeń.

– A teraz popatrz na mnie – rozkazała Tawnya, skinąwszy brodą w stronę zdjęcia, do którego pozowała w krótkiej czarnej sukience z ramieniem zarzuconym powabnie wokół szyi Eddiego. – Jestem wystrzałowa. Ot co! Musiałam się opędać od chłopaków, odkąd skończyłam dwanaście lat. I wiem, jak uszczęśliwić mężczyznę. Gdy facet ma taką dziewczynę jak ja, możesz być pewien, że wraca do domu na kolację.

– Jak często gotowałaś w szóstym miesiącu ciąży? – zapytał sarkastycznie Fitz.

Tawnya posłała mu jadowne spojrzenie.

– Umiałam zaspokoić Eddiego. Był ze mną po prostu kurewsko szczęśliwy. – Zerknęła w stronę kuchenki. – Bez urazy, mamó.

Pani Como nie powiedziała ani słowa. Wyraz jej twarzy prawie się nie zmienił od momentu, gdy przyszli. Żadnego żalu, rozpaczy, złości czy strachu. Zamieszała chochlą w olbrzymim cynowym garnku. W powietrzu unosił się zapach wybielacza. Nagle Griffin pojął, co robiła. Gotowała pieluchy. Rozejrzał się po kuchni pełnej jedzenia dla niemowląt, dziecięcych ubranek, zabawek. I zrozumiał całą resztę. Dla pani Como Eddie odszedł rok temu. Teraz żyła dla swojego wnuka.

Dwaj mężczyźni ją opuścili, został trzeci. Czy zastanawiała się nad tym późno w nocy? Czy płakała, kiedy nikogo nie było w pobliżu? Czy też było to dla takiej kobiety, mieszkającej w takiej okolicy, czymś zwyczajnym? Griffin zbyt często oglądał tego typu sceny. Poczł nagły, niespodziewany smutek, co tylko zdenerwowało go jeszcze bardziej. W takiej robocie, by zachować spokój, trzeba umieć wznosić mury: budować ściany, które rozgraniczą jedne sprawy od innych.

Powinien wybrać się jak najszybciej na jogging. Znaleźć worek treningowy. Wyboksować twardą skórę, aż wyładuje napięcie i złość. Wtedy mógłby udawać, że smutne starsze panie nie ruszają jego sumienia i że nie tęskni za żoną, choć od jej śmierci minęły już dwa lata.

– Byłaś z Eddiem, kiedy dokonano gwałtów? – zapytał Tawnę.

– Tak. Byłam. Ale detektyw Kutafon mi nie uwierzył. – Łypnęła na Fitz'a złowrogo. Fitz uśmiechnął się słodko. – Mieliliśmy wtedy samodzielne mieszkanie – powiedziała. – Porządne lokum, w Warwick. Eddie nieźle zarabiał w Centrum Krwiodawstwa. To nie było takie proste. Musiał odbyć specjalne szkolenie, chodzić na kursy. Eddie był inteligentny. Miał ambitne plany. I naprawę lubił swoją robotę. Człł, że pomaga ludziom. Dobrze nam szło.

– Nikt was nie widział razem w tamte wieczory.

– *Mierda!* Mówisz zupełnie jak on. – Skinęła głową w stronę Fitz'a. – Daj spokój, Eddie miał ciężką robotę. Wstawał o szóstej, pracował non stop osiem godzin. Kiedy wracał do domu, był zmęczony. Potrzebował relaksu. Wiesz, co najbardziej lubił robić? Wyciągnąć się na sofie i oglądać film na wideo z ręką na moim brzuchu, żeby czuć, jak dziecko kopie. Taki właśnie był wasz Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego. Siedział w domu ze swoją dziewczyną w ciąży i opowiadał dziecku bajki. A teraz... teraz. A, pieprzyć was wszystkich!

Tawnya odwróciła się. Pani Como podniosła stosik pieluch i wrzuciła je do garnka. Zaczęła mieszać we wrzącej wodzie wielką metalową chochlą. Kuchnia wypełniła się zapachem wybielacza, talku i moczu.

– Wiesz, że dzwonił do tych kobiet – powiedział Griffin cicho.

Tawnya wykonała kolejny piruet.

– Jasne, że do nich dzwonił! Przecież zniszczyły mu życie, do kurwy nędzy! To one zorganizowały tę nagonkę. Ludzie dostawali amoku, słysząc, jak opowiadały w wiadomościach o tym okropnym, potwornym gwałcicielu, który morduje swoje ofiary. Policja musiała kogoś aresztować i aresztowała Eddiego. A wie pan, że dostajemy listy z pogrózkami przez te kobiety? Nawet pani Como, a co ona takiego zrobiła? Któregoś dnia jakiś facet zadzwonił do radia i powiedział, że gdyby na tym świecie była sprawiedliwość, mały Eddie powinien stracić penisa, zanim stanie się taki jak ojciec. Na miłość boską! Ktoś powinien zamknąć tego palanta za to, że straszy niewinne dziecko. Nie wzięłam małego Eddiego do sądu, bo bałam się, co ludzie mogą zrobić. I co pan, kurwa, na to?

– Uważasz, że Eddie był niewinny.

– Wiem, że był niewinny. Eddie był tylko biednym głupim Latynosem pracującym w złym miejscu w złym czasie. Taki już jest ten świat.

Białej dziewczynie przydarza się coś złego i jakiś kolorowy łąduje za to w pudle.

– Na miejscach przestępstw znaleziono DNA Eddiego.

– I co z tego! Gliniarze cały czas podrabiają testy na DNA. Wszyscy o tym wiedzą.

– Podrabiają testy? – Griffin spojrzął na Fitzę, jakby oczekiwał odpowiedzi. Fitz wzruszył ramionami.

– Policja nie zajmuje się badaniem DNA – odparł. – DNA Eddiego przeszło przez ręce dwóch pielęgniarek i koronera, którzy, każde oddzielnie, oddali po jednej próbce trzem różnym kurierom, a ci z kolei dostarczyli je do ministerstwa zdrowia. To dużo osób jak na jedną znowę, ale nie słuchaj mnie! Jestem tylko tępym gliniarzem, którego oskarżają o korupcję za każdym razem, kiedy próbuje wykonywać swoją robotę. Wiesz, „taki już jest ten świat”. – Łypnął na Tawnyę. Jego głos ociekał sarkazmem.

– Po co policja miałaby fałszować dowody? – zapytał Griffin Tawnyę.

– Z powodu presji, ma się rozumieć. Trzy białe kobiety zostały zaatakowane we własnych domach. Jedna z nich w East Side. Gliniarze nie mogli tego zignorować. A jak jedna z nich umarła, wszystkie władze stanowe zaczęły robić w gacie. Trzeba było kogoś aresztować. Ledwo się człowiek obejrzał, a gliniarze zaczęli węszyć w punktach krwiodawstwa. No i stało się. Znalezli młodego Latynosa, którego nie było nawet stać na wynajęcie adwokata. Eddie był skończony, zanim zadali mu pierwsze pytanie. Gliny miały swoje aresztowanie, burmistrz miał dobrą prasę, kto by się przejmował resztą?

– Eddie został wrobiony przez władze stanowe?

– Jasne.

– Bo należał do mniejszości rasowej?

– Tak jest, psia mać.

– Ale skoro władze osiągnęły, co chciały, aresztując Eddiego, kto w takim razie go zamordował?

Tawny zabrakło w końcu tchu. Zaczerpnęła powietrza, po czym wyrzuciła z siebie:

– Wszyscy myśleli, że Eddie to gwałciciel. Wszyscy chcieli ukatrupić gwałciciela.

– Groźby w radiu?

– Taa. I w gazetach. I w więzieniu – dodała. – Niech mi pan powie szczerze, naprawdę zamierzacie coś z tym zrobić?

Griffin pomyślał o dziesiątkach mikrofonów przed domem.

– Dziś rano – odparł – wszyscy detektywi stanowi zajmują się wyłącznie tą sprawą.

Tawnya zmrużyła oczy. Nie była głupia.

– Dlatego że został zastrzelony na terenie sądu, tak? Gdyby dopadli go w więzieniu, nawet by tu pana nie było. Ale zastrzelono go w miejscu publicznym, przed kamerami. A to przedstawia was w złym świetle.

– Morderstwo to morderstwo. Dlatego prowadzimy śledztwo. Ja prowadzę śledztwo.

Tawnya prychnęła tylko. Wiedziała, jaki jest świat, i Griffin nie wywarł na niej wrażenia.

– Masz na myśli jakichś konkretnych ludzi? – zapytał. – Ludzi, którzy grozili Eddiemu? Którzy mówili, że chcą go zabić?

– Nie. Może pan przejrzeć gazety. Zapytać strażników więziennych. O ile nie będą zajęci czymś ważniejszym.

– Czy powinniśmy wziąć pod uwagę kogoś jeszcze?

– Te pierdolone kobiety, oczywiście.

– Ofiary?

– Jakie tam ofiary! To te suki wrobiły Eddiego. To one naciskały, żeby go aresztować, i cały czas wtykały nosy w śledztwo. Chciały mieć pewność, że wszystko pójdzie po ich myśli. Teraz Eddie nie może się już bronić. I jeszcze jedno. Teraz nie muszą się już bać, że w trakcie procesu wyjdzie na jaw coś nieprzyjemnego.

– A miało wyjść na jaw? – zapytał Griffin.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Tawnu – zaczął Fitz z ostrzeżeniem w głosie. Pochylił się do przodu z łokciami opartymi na kolanach, lecz Tawnya tylko potrząsnęła długimi ciemnymi włosami.

– Nie zamierzam cię wyręczać w robocie, Kutafonie. Chcecie wiedzieć, co się miało stać, to sami to wykombinujcie. A teraz dajcie mi nakarmić syna. – Odwróciła się, pokazując Fitzowi kajdanki. Kiedy ten wciąż się wahał, warknęła: – Bo zadzwonię do Biura Ochrony Praw Obywatelskich!

Fitz niechętnie zdjął jej kajdanki. Griffin zauważył, że odchylił się do tyłu w obawie o swoją twarz. Tawnya warknęła na niego, obnażając zęby, i uśmiechnęła się, gdy drgnął ze strachu.

– Nie obchodzi mnie, co sobie myślicie – oznajmiła przed wyjściem z kuchni. – W czasie, kiedy dokonano tych napaści, byłam razem z Eddiem. Wiem, że to nie on zgwałcił te kobiety. Chcecie usłyszeć coś jeszcze?

Macie przerąbane. Bo ten facet wciąż jest na wolności. Tyle że teraz Eddie nie żyje. I nie ma na kogo zwalić winy. Nie ma się za kim schować. A znowu jest pełnia. Świetna pora na kolejny atak Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

Fitz i Griffin nie odzywali się do siebie aż do momentu, gdy znaleźli się na ulicy i zaczęli się ładować do rozklekotanego służbowego wozu detektywa Fitzpatricka.

– Czy tylko ja mam takie wrażenie – zapytał Griffin – czy rzeczywiście Tawnya jest podobna do Meg Pesaturo?

– Poczekaj tylko, aż zobaczysz zdjęcie Trishy Hayes. O tak. Eddie naprawdę lubił określony typ kobiet.

– Byłaby dobrym świadkiem obrony – zauważył Griffin.

– I tak, i nie. Pamiętaj, że Eddie dzwonił do ofiar. Mógł to zrobić na przykład w taki sposób, że jedna osoba z zaaprobowanej listy, powiedzmy jego dziewczyna, miała w aparacie funkcję

przełączania rozmów i, ignorując ostrzeżenie, które wyraźnie tego zabrania, przełączyła telefon.

– No tak, mała Tawnya poważnie traktuje swoje partnerskie obowiązki.

– W biurze mamy taśmy z tymi rozmowami. Możesz je przesłuchać.

– Jest tam coś ciekawego?

– Tylko jeżeli gustujesz w teoriach spiskowych. Eddie wydawał się przekonany, że Klub Ocalonych chce go zniszczyć. Ale aresztanci wiedzą że ich telefony są nagrywane, więc to mogła być część jego strategii obronnej.

– Myślisz, że to przekonująca linia obrony? Trzy obce kobiety, które uwzięły się na niewinnego faceta?

– Oprawca jako ofiara. Klasyczny chwyt.

– I niestety zawsze któryś z przysięgłych daje się na to nabrać.

– Cholerni przysięgli – mruknął Fitz.

– Co się stało ze starą dobrą sprawiedliwością gangsterów? Bum, bum i po sprawie. A jakie oszczędności. Nie trzeba się martwić o apelację.

Fitz łypnął podejrzliwie na Griffina, prawdopodobnie zastanawiając się, czy ten się z niego nabija. Po części tak było. Ale system z ławą przypadkowych przysięgłych rzeczywiście bywał do dupy.

Fitz zerknął na zegarek.

– Trzecia. Nie wydaje mi się, żeby udało nam się rozwiązać sprawę przed popołudniowym wydaniem wiadomości.

– Fakt, nie zanoszą się na to.

– Jeżeli nikt się nagle nie przyzna, śledztwo może się przeciągnąć.

– Taa. I co ty na to? – Fitz zerknął na szeroką klatę Griffina i jego surową, pociągłą twarz. Griffin domyślił się, w czym rzecz.

– Przeżyję – odparł.

– Tak się tylko zastanawiałem...

– Wróciłem. A kiedy się wraca do roboty, trzeba się do niej wziąć. Jak się jest detektywem, nie można pracować na pół gwizdka.

– Nigdy tak nie uważałem. – Fitz nadal miał wątpliwości. – No dobra. Kawa na ławę. Skoro mamy pracować razem nad tą sprawą, to chyba mam prawo wiedzieć.

– Na przykład co?

– Słyszałem o sprawie Cukiereczka. Że wlokła się trochę za długo, że zrobiła się zbyt osobista. Naprawdę pobiłeś dwóch detektywów w domu tego pedofila? Tak, że jeden z nich omal nie wylądował w szpitalu?

Griffin milczał przez chwilę.

– Tak mi mówiono – odparł w końcu.

– Nie pamiętasz?

– Bardzo mgliście. W każdym razie nie chodziło mi o Watersa ani O'Reilly'ego. Po prostu obaj stanęli na wysokości zadania i podłożyli mi się.

– Chodziło ci o Price'a?

– Mniej więcej.

– A gdybyś go dorwał?

– Nigdy się nie dowiemy, prawda? Fitz pokiwał głową.

– Jedziesz na prozacu? – zapytał.

– Nie przyjmuję żadnych leków.

– Dlaczego?

– Mam szajbę innego rodzaju – uśmiechnął się Griffin.

– Czy powinienem zacząć chodzić w kasku do hokeja? Uśmiech Griffina zrobił się jeszcze szerszy.

– Możesz spróbować, ale ze swojej strony nie mogę niczego obiecać.

– Ejże...

Słuchaj – przerwał mu Griffin poważnym głosem. – Nie rzucę się na ciebie. Dwa lata temu, kiedy umarła mi żona... zbyt wiele spraw wymknęło mi się z rąk. Osobistych, zawodowych. W życiu, w naszej robocie... nie można sobie odpuszczać pewnych problemów i udawać, że nie istnieją. Wszyscy się tego w końcu uczy my. W taki czy inny sposób. Ja załapałem to w zeszłym roku. Teraz już umiem panować nad życiem. Fitz milczał, więc może miał własne zdanie na ten temat.

– Przykro mi z powodu twojej żony – powiedział w końcu.

– Mnie też.

– Znam wielu ludzi, którzy przyszli na pogrzeb. Słyszałem, że była wspaniałą kobietą.

– Najwspanialszą – odparł szczerze Griffin, a potem, ponieważ dwa lata to wciąż było za mało, odwrócił wzrok. Zatrzasnął drzwi. Fitz zapuścił silnik. Obaj chrząknęli.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – spytał Fitz, zjeżdżając z krawężnika. – Ze śledztwem.

– Wrócić do biura i zorganizować centrum dowodzenia. Później pewnie pójde pobięgać.

– Sprawdzę tego zwęglonego trupa. Może zachowało się dość skóry, żeby zdjąć odciski.

– O, skoro wracasz do swoich, mógłbyś mi dać akta Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

Fitz wcisnął hamulec i stanął na środku ulicy. Griffin podejrzewał, że może zrobić coś podobnego.

– Daj spokój! – wrzasnął Fitz. – Tawnyia cię zbajerowała. Przeprowadziliśmy rzetelne dochodzenie. Sposób działania się zgadzał, DNA się zgadzało. No i facet nie miał alibi. Pół roku zajęło nam złożenie wszystkiego do kupy, ale zrobiliśmy to porządnie. Eddie Como zgwałcił tę kobiety. Koniec, kropka.

– Nie powiedziałem, że było inaczej.

– Nie dam stanowym grzebać w moich papierach! To jakiś absurd.

– No cóż, życie jest do dupy, a potem się umiera.

Fitz łypnął na niego groźnie.

Griffin spojrzał mu spokojnie w oczy.

– Chcę zobaczyć te akta. Zabójstwo Como ma związek z tą sprawą, więc muszę ją poznać.

– Już ci opowiedziałem o sprawie.

– Powiedziałeś mi, co sam o niej myślisz, a to tylko subiektywna opinia.

– Sam prowadziłem to śledztwo! Sam skonstruowałem teorię tej sprawy, a ty masz czelność mi wmawiać, że to tylko subiektywna opinia!

– W takim razie wyjaśnij mi jedną rzecz. Znalazłeś Como, kiedy wpadłeś na trop punktów krwiodawstwa. A wpadłeś na trop punktów krwiodawstwa z powodu lateksowych opasek.

– Tak.

– Więc wytłumacz mi, dlaczego Eddie, który nie zostawił żadnego włoska, żadnego włókienka i żadnego odcisku, zostawił lateksowe opaski? Dlaczego facet, który świetnie wiedział, jak zacierać ślady, zostawił na miejscu zbrodni swoją wizytówkę?

– Bo przestępcy to durnie. Właśnie to mi się w nich najbardziej podoba.

– Ale to się nie zgadza z resztą faktów.

– Jezus, Maria! Przecież nie podłożyliśmy tam jego DNA! Nie wrobiliśmy Eddiego Como!

– Właśnie to mnie najbardziej martwi, Fitz.

GRIFFIN

Mimo tego, co powiedział Fitzowi, Griffin nie wrócił od razu do siedziby policji stanowej w North Scituante, lecz kierowany przeczuciem udał się z powrotem do restauracji rue de Pespoir. Trzy kobiety z pewnością miały dość czasu, by dopić herbatę i wyjść.

Tylko dokąd, zaczął się zastanawiać, mogłyby pójść? Było oczywiste, że znały sposób działania dziennikarzy. Na pewno więc zdawały sobie sprawę, że mniej więcej o dziewiątej rano ekipy reporterów zjawily się przed ich domami i zaczęły się dobijać do drzwi. By nie wspomnieć o białych wozach transmisyjnych jeżdżących w kółko po ulicy i czatujących na cokolwiek, co dałoby ich stacji przewagę w niekończącej się rywalizacji wieczornych programów informacyjnych.

Gdyby Griffin był na ich miejscu, po prostu nigdzie by się nie ruszył. W ten sposób kobiety byłyby wciąż razem i nawet gdyby wytropił je jakiś reporter, mogłyby liczyć na wzajemne wsparcie. W grupie bezpieczniej. Według Maureen Klub Ocalonych miał to świetnie przećwiczone.

Więc Griffin wrócił na Hope Street. A potem, znowu kierowany przeczuciem, postanowił przyjrzeć się tablicom rejestracyjnym samochodów na niewielkim parkingu. W niespełna minutę odnalazł wóz Jillian. Żółty lexus o numerach TH 18.

– A niech mnie – mruknął i przez chwilę stał tylko, czując przyływ smutku, który zbyt dobrze znał.

Mieszkańcy Rhode Island mieli hopla na punkcie tablic rejestracyjnych. Griffin nie wiedział, jak to się zaczęło. Może ludzie, którzy się tu kiedyś osiedlili, mieli hopla na punkcie ras koni. W każdym razie stan był na tyle mały, że na początku tablice rejestracyjne miały tylko jedną literę i jedno – albo dwucyfrowy numer. Potem wprowadzono dwie litery i dwie liczby. Teraz stan dysponował już dwiema literami i pięciocyfrowym numerem, ale tylko ludzie z zewnątrz, którzy nie zapaścili tu jeszcze korzeni, przyjmowali takie tablice bez mrugnięcia okiem. Prawdziwy obywatel Rhode Island, aby móc się pochwalić starożytnymi związkami ze stanem, zamawiał sobie najniższą dostępną kombinację liter i cyfr albo – ze względu na to, iż najbardziej prestiżowe numery, jak na przykład A 20 lub J 28, były rozdawane tylko najlepiej ustosunkowanym autochtonom – prosił o tablicę z własnymi inicjałami i najniższym możliwym dwucyfrowym numerem. Kiedy już mu się to udało, trzymał się swojej rejestracji do końca życia. Dosłownie.

TH 18. Trisha Hayes, prawdopodobnie osiemnaste urodziny. Ktoś, najpewniej Jillian, zadał sobie wiele trudu, by załatwić młodszej siostrze specjalną rejestrację. Czy Trisha cieszyła się wtedy? Czy tablica została dołączona do nowego samochodu, właśnie takiego, o jakim Trisha zawsze marzyła? Może zarzuciła ramiona na szyję starszej siostry. Może pocałowała matkę w policzek. Osiemnastoletnia Trisha Hayes ciesząca się z nowego samochodu. Osiemnastoletnia Trisha Hayes wkraczająca w nowy, podniecający świat studenckiego życia.

Griffin wątpliwy chłodna, opanowana Jillian Hayes kiedykolwiek opowiedziała mu o tamtym dniu. Pewnie sprzedała już samochód siostry. W tym samym czasie, gdy przeglądała jej ubrania, likwidowała mieszkanie, porządkowała rzeczy. Wyobrażał sobie, co musiała zrobić, bo nie tak dawno temu robił to samo. Biurokracja śmierci kompletnie go zaskoczyła. Niemal złamała mu serce. Ale trzeba było zrobić, co było do zrobienia. Żeby mieć to za sobą, jak radzili znajomi.

Potem można żyć dalej.

Jeździć samochodem z tablicami rejestracyjnymi po zmarłej siostrze.

– Co pan robi?

Griffin obrócił się. Jillian Hayes stała półtora metra od niego, ściskając w dłoni kluczyki, a jej orzechowe oczy właśnie zaczynały płonąć. Szybko, powiedz coś inteligentnego, pomyślał.

– Eee? – wydusił.

– Co pan tu, do cholery, robi? – Każde słowo wypowiedziała wyraźnie i dobitnie, jakby wbijała gwoździe do trumny. Zastanawiał się, czy nie powinien z afektacją położyć dłoni na sercu.

– Uwierzy pani, że właśnie przechodziłem?

– Nie.

– W takim razie darujmy sobie gadkę szmatkę. – Oparł się o bok jej samochodu i skrzyżował ręce na piersiach. O, tak, to na pewno nieźle ją wkurzyło.

– Wara od mojego wozu!

– Fajna rejestracja.

– Pierdol się.

– Już mi to dzisiaj mówiono. Wygląda na to, że będę musiał pomyśleć o innej wodzie kolońskiej.

– Myślisz, że jesteś taki słodki?

– Z głębi serca pragnę zapewnić, że nie lubię myśleć o sobie jako o słodkim facecie. Przystojnym, nieodparcie czarującym, irytującym, inteligentnym, a nawet niebezpiecznym – co innego. Ale słodkim? Przenigdy.

– Naprawdę pana nie lubię – powiedziała Jillian Hayes.

– Czy to przez wodę kolońską?

– Mówię poważnie. I nie odpowiem na żadne pańskie pytania, chyba że w obecności adwokata.

– Więc powołuje się pani na piątą poprawkę z powodu mojej wody kolońskiej?

Jillian westchnęła, także skrzyżowała ręce na piersiach i obdarzyła go surowym spojrzeniem.

– Miałam ciężki dzień, sierżancie. Nie ma pan innych kobiet, które mógłby pan pomolestować?

– Raczej nie.

– Może dziewczynę, siostrę, żonę?

– Nigdy nie miałem siostry i już nie jestem żonaty.

– Niech zgadnę, żona przestała uważać, że jest pan słodki?

– Nie. Umarła.

Jillian zamilkła. Griffin zbił ją z tropu. Wyglądała na zakłopotaną, a może wręcz smutną. Potem znowu się wkurzyła. Jillian Hayes naprawdę nie lubiła, kiedy ktoś zbił ją z tropu.

– Nie sądzę, żeby to była odpowiednia rozmowa – oznajmiła szorstko.

– Nie ja ją zacząłem.

– A któż by inny? Zjawił się pan tu znowu, mimo że już raz pana przepędziłyśmy.

– To prawda, ale niech mi pani szczerze powie: czy mogłaby pani spokojnie zasnąć, wiedząc, że sierżant policji, który pracuje nad pani sprawą, dał się przegonić trzem kobietom?

Spojrzała na niego spode łba, jeszcze bardziej zdenerwowana niż przed chwilą. Ciekawe,

pomyślał. Jej oczy przybierały złoty odcień, gdy była wściekła, a brązowy, kiedy traciła pewność siebie. A kiedy była smutna? Albo kiedy planowała zemstę na człowieku, który zabił jej siostrę?

– Brakuje jej pani, prawda? – zapytał łagodniejszym tonem.

– To chyba oczywiste – odpowiedziała przez ściśnięte gardło.

– Straciłem żonę dwa lata temu. Umarła na raka. Wciąż za nią tęsknię.

– Rak to straszna choroba – przyznała cicho Jillian. Oplotła ręce wokół talii i odwróciła wzrok. Rzeczywiście cierpiała. Griffin dostrzegł to w każdej linii i łuku jej ciała.

– Znienawidziłem tę chorobę – podjął. – Potem znienawidziłem lekarzy, którzy nie potrafili nic zrobić. I chemioterapię, która wysysała z niej wszystkie siły. Znienawidziłem szpitale, w których unosił się odór antyseptycznej śmierci. I Boga, który dał mi ją pokochać, a potem mi ją odebrał.

W końcu Jillian spojrzała na niego.

– Gdyby miał pan strzelbę, próbowałby pan zabić chorobę – powiedziała. – O to panu chodzi?

Fitz miał rację. Jillian nie była głupia.

– Mniej więcej – odparł bez zażenowania.

Pokręciła głową.

– Przykro mi, że stracił pan żonę. Przykro mi, że ludzie tracą osoby, na których im zależy. Ale niech mnie pan nie próbuje podpuszczać, sierzancie. Niech pan sobie nie wyobraża, że skoro pan też kogoś stracił, może pan czytać w moich myślach.

– Pani żal jest wyjątkowy?

– Każde cierpienie jest wyjątkowe.

Teraz z kolei Griffin odwrócił wzrok. Miała rację i zawstydziło go to.

– Czy jest pani pewna, że właśnie Eddie Como zaatakował panią i pani siostrę?

– Tak.

– Nigdy nie miała pani cienia wątpliwości?

– Nigdy.

– Dlaczego? – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Wszyscy miewamy wątpliwości.

– Ze względu na głos – odparła.

– Ze względu na głos?

– Mężczyzna, który mnie zaatakował, mówił. Więc chociaż nie widziałam jego twarzy, słyszałam jego głos. I ten głos był zgodny z głosem Eddiego Como.

– Zgodny? – Griffin uniósł brew. Od razu wychwycił ten niuans. – Policja zrobiła porównanie głosu?

Jillian spojrzała na niego chmurnie.

– Oczywiście.

– Tylko z panią?

– Nie. Z Carol też – odparła z irytacją.

– I co poszło nie tak, panno Hayes?

– Przecież mówię panu, że głosy były zgodne. Nic nie poszło nie tak.

– Bzdura. Zgodność nie oznacza jednoznacznej identyfikacji. Nie udało się wam go rozpoznać?

– Udało nam się wyodrębnić dwóch mężczyzn, a jednym z nich był Como.

– Innymi słowy, nie udało wam się dokonać jednoznacznej identyfikacji. – Griffin zaczął się bujać na obcasach. Ciekawe.

Jillian pokręciła zdecydowanie głową.

– Jednoznaczna identyfikacja to termin prawniczy – powiedziała. – To część procedury dochodzeniowej. Dla mnie i dla Carol to zupełnie co innego. Stałyśmy w ciemnym pokoju, usłyszałyśmy sześć męskich głosów i udało nam się wyłowić głos Eddiego. Proszę spojrzeć na to z drugiej strony. Byłyśmy pewne, że czterech spośród tych facetów nie było Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego. A Eddie do nich nie należał.

– Innymi słowy, pat – stwierdził Griffin. – Prokurator nie mógłby wykorzystać identyfikacji głosowej podczas procesu, bo tak naprawdę nie rozpoznaliście Eddiego, ale obrona także nie mogłaby o tym wspomnieć, ponieważ, jak pani zauważyła, mimo wszystko nie wyeliminowałyście Eddiego. W ten sposób wracamy do DNA.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem, w jej twarzy było już mniej wrogości.

– Mówi pan o tym w taki sposób, jakby to było coś złego. Z tego, co wiem, DNA to bardzo dobry dowód.

– Tak, generalnie rzecz biorąc.

– Generalnie rzecz biorąc?

– Czy spotkała pani kiedykolwiek dziewczynę Eddiego? – Griffin zmienił temat. – Rozmawiała pani z Tawnią Clemente?

Jillian zastanawiała się o ułamek sekundy za długo.

– Nie... nie jestem pewna.

– Nie jest pani pewna?

Westchnęła.

– Czy Fitz mówił panu o hipotezie, że Tawnia przełączała do nas telefony Eddiego?

Griffin pokiwał głową.

– Odbierałam też inne telefony – ciągnęła. – Głuche telefony. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to mogła być Tawnia.

– Panna Clemente bardzo przekonująco mówi o niewinności Eddiego.

– Bo ma dziecko. Kobieta, która staje w obronie przyszłości swojego dziecka, potrafi być bardzo przekonująca.

– Lubi ją pani?

– Nie znam jej.

– Ale sympatyzuje z nią pani. – Griffin nie miał co do tego wątpliwości. Samego go to zdziwiło. Znowu chłodna, opanowana Jillian Hayes okazywała się kimś innym, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

– Tawnia ma małego synka, sierżancie. Bez względu na to, co Eddie zrobił, to nie jej wina. A tym bardziej dziecka.

– Ale przełączała telefony do pani. Pomagała mu panią terroryzować. Może nawet sama dzwoniła.

Jillian uśmiechnęła się ironicznie.

– Zakochane kobiety, panie sierżancie, potrafią robić znacznie gorsze rzeczy.

– Proszę mi mówić Griffin.

– Bez urazy, ale wolę zostać przy „sierżancie”.

Teraz Griffin się uśmiechnął.

– Słuchaj, Jillian – powiedział lekkim tonem. – Zrób nam obojgu przysługę. Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie miałaś nic wspólnego z zamordowaniem Eddiego Como.

Uniosła głowę. Popatrzyła mu w oczy. I odrzekła:

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Wiesz, że na parkingu Szkoły Wzornictwa mamy drugiego trupa. Jest coraz więcej ofiar. Nie możemy tego zignorować, Jillian. Tym razem stan kieruje dochodzeniem. Pracują nad nim wszyscy detektywi, jakich mamy do dyspozycji. Więc każdy podejrzany, którego wyodrębnimy podczas śledztwa, będzie miał naprawdę bardzo ciężkie życie.

Jillian parsknęła lekceważąco. Jej oczy znowu przybrały złoty odcień.

– Czy to mnie miało przestraszyć, sierzancie? Czy to miało przerazić mój słaby kobiecy umysł? Bo jeśli tak, to muszę przyznać, że nie zaczęłam się trząść. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze. Moja siostra nie była pierwszą ofiarą Eddiego, ale trzecią. Trzecią ofiarą, sierzancie! Oto, jak wyglądało „poważne policyjne śledztwo”. I nawet potem, kiedy Trisha umarła, a ja prawie straciłam życie, detektywi z Providence wciąż nic nie zrobili, dopóki my, trzy kobiety, trzy cywilne obywatelki, nie zaangażowałyśmy się w śledztwo. Więc niech się pan pierdoli, sierzancie. Skoro wy, gliniarze, jesteście tacy świetni, to powinniście byli go złapać rok temu, kiedy moja siostra wciąż żyła!

Zakończyła swoją tyradę, znalazłszy się na krawędzi wściekłości. Miała wypieki, dyszała ciężko. Odwróciła się od niego i przez długi czas oboje po prostu stali w milczeniu. Griffin wpatrywał się w jej plecy, łuk wygiętej szyi i spuszczoną głowę. W uszach wciąż dzwoniły mu słowa żalu i wściekłości. Spokojna, opanowana Jillian Hayes. Przyzwyczajona do samodzielnego kierowania firmą, a przy tym opiekująca się dorastającą siostrą i chorą matką. Spokojna, opanowana Jillian Hayes, która prawdopodobnie nigdy wcześniej nie czuła się bezsilna.

I wtedy nagle Griffin coś zrozumiał. To nie Carol była najbliższą załamania członkinią klubu, ale Jillian. Tyle że umiała się lepiej maskować.

– Przypomniałam sobie, kim pan jest – odezwała się Jillian. Odwróciła się.

Griffina ścisnęło w żołądku. Zmobilizował się, by utrzymać niewymuszoną pozę: dalej opierać się o wóz Jillian, trzymać ręce skrzyżowane na piersiach, a dłonie schowane, by pod łokciami nie mogła zauważyć jego zaciskających się palców.

– Kim jestem? – zapytał jak gdyby nigdy nic.

– Prowadził pan śledztwo przeciwko temu pedofilowi. Cukiereczkowi? Miesiąc po miesiącu znikwały kolejne dzieci, a pan pojawiał się w wieczornych wiadomościach i zapewniał, że wszystkie je znajdziecie. I chyba w końcu wszystkie je pan znalazł. W piwnicy własnego sąsiada.

Griffin zmusił się, by rozewrzeć palce, rozluźnić się, policzyć do dziesięciu.

– Pana żona umierała – powiedziała cicho Jillian. Jej głos nie był już szorstki, raczej współczujący. Paradoksalnie sprawiło mu to jeszcze większy ból. – Pana żona była chora, prawda? Zdaje się, że umarła jeszcze przed zakończeniem śledztwa.

– Rak szybko ją zabił.

– A dzieci wciąż znikwały i zrobiło się małe zamieszanie. Niektórzy twierdzili, że nie potrafił się pan skoncentrować na śledztwie...

– Nie robiłem nic innego. Pracowałem przez cały czas. Tylko to mi zostało.

– I wtedy – patrzyła mu prosto w oczy – wtedy policja znalazła te biedne zaginione dzieci.

Zakopane w piwnicy, w domu tuż obok pańskiego. Cukiereczek był pana sąsiadem.

– Zajął mi to jedenaście miesięcy, ale go dorwałem.

– Pan wpadł na to, że to on?

– Tak.

– Dlaczego nie przyszło to panu do głowy wcześniej? Z powodu śmierci żony?

– Może. Ale wydaje mi się, że przede wszystkim dlatego, że był moim przyjacielem.

– Oo! – Jillian zamrugła. – Nie wiedziałam.

– To nie miało znaczenia dla sprawy.

– Aresztował go pan?

– Tak. – Po tym, jak próbował go rozerwać na strzępy. W piwnicy przesyconej zapachem ziemi i śmierci. W piwnicy, w której zakopano te biedne dzieci. W mrocznej piwnicy, z której od tamtej pory próbował się wydostać.

– Nauczyłem się czegoś tamtego dnia – odezwał się nagle.

– Że nie należy mieć przyjaciół?

Griffin uśmiechnął się mimowolnie.

– Może. Ale to nieprawda. Powiem ci coś, Jillian. Powiem ci coś, o czym oficjalnie wie może z tuzin ludzi. Dla pozostałych to tylko plotka.

Zawahała się, przygryzła dolną wargę, zaczęła się bawić złotym medalikiem na szyi. Rozumiał jej dylemat. Wysłuchanie zwierzenia było jak przyjęcie podarunku. Jeśli go przyjmie, przestaną być sobie obcy. Może nawet wytworzy się między nimi jakaś więź. A wątpił – z różnych powodów – by Jillian Hayes chciała zawrzeć bliższą znajomość z gliniarzem.

W końcu jednak ciekawość wzięła górę.

– Tak? – zapytała.

Kiedy zrozumiałem, że Cukiereczkiem jest David Price, mój sąsiad i przyjaciel, poczułem się bardzo źle. Ale gdy zszedłem do tej piwnicy, gdy zobaczyłem, co zrobił tym dzieciom... To było jeszcze gorsze. Trochę mi wtedy odbiło. Rzuciłem się na Davida i gdyby mnie nie powstrzymali, pewnie bym go zabił. Urwałbym mu łeb gołymi rękami, zatłukłbym go na śmierć, zrobiłbym z niego krwawą miazgę. I świetnie bym się z tym czuł. Ale nie zrobiłem tego. Dwaj detektywi stanęli mi na drodze. Dostali lanie, które należało się Price'owi, ale nie ustąpili, bo byli profesjonalistami, którzy nie chcieli dopuścić, żeby skurwiel wyszedł na wolność z powodu brutalności policji. Nie ustąpili, bo byli moimi kumplami i rozumieli sytuację. To dzięki nim Price będzie gnął w więzieniu do końca życia. I to dzięki nim wciąż mam pracę. Jeden przyjaciel mnie zdradził. Ale dwaj inni mnie ocalili. Więc mimo wszystko warto mieć przyjaciół.

Jillian milczała. Czy to bezwiednie, czy świadomie, pochylała się teraz lekko do przodu i miała dziwną minę. Może była to tęsknota? Czy udało jej się zaufać komukolwiek od chwili, gdy umarła jej siostra? Czy naprawdę ufała nawet Carol i Meg?

– Ale to nie tego się wtedy nauczyłem – oznajmił Griffin.

– Nie?

– Nie. Naprawdę nauczyłem się wtedy, że nie można być niczego do końca pewnym. Że pewność siebie to oznaka arogancji. Świat jest skomplikowany i tylko idioci albo kompletne dupki myślą, że wszystko wiedzą.

Jillian wyprostowała się w momencie, gdy otworzyły się drzwi restauracji i na parking wyszła Carol Rosen.

– Jillian, tutaj jesteś... – Carol zauważyła Griffina i nagle się zatrzymała. Zaczęła spoglądać to na niego, to na Jillian. Było jasne, że nie podoba jej się to, co widzi.

– Tak? – Jillian odwróciła się twarzą do Carol.

– Eee... Meg, my, eee... Mogę cię poprosić na chwilę do środka?

– Nie wiem. – Jillian wyglądała na rozkojarzoną. Po chwili jednak odzyskała pewność siebie i zwróciła się do Griffina. – Czy skończył już pan oskarżać mnie o morderstwo, sierzancie?

– Jak na razie.

– Więc – obdarzyła go cierpkim uśmiechem – chyba sobie pójdę. Podeszła do Carol. Zamaszystym krokiem, trzymając wysoko głowę, wypinając pierś. Ale w ostatniej chwili, przechodząc przez drzwi restauracji, znowu się odwróciła.

– Myli się pan, sierzancie – zawołała.

– Co do Eddiego?

– Co do świata. Trzeba być pewnym niektórych spraw. W przeciwnym razie można zwariować.

Griffin uśmiechnął się lekko.

– Nie byłbym tego taki pewien – odkrzyknął, kiedy znikła już w drzwiach.

PRICE

Griffin wrócił do domu parę minut po wpół do piątej. Zanosiło się, że dzień pracy przeciągnie się do późna w nocy. Nie był to idealny pierwszy dzień w robocie dla kogoś, kto półtora roku wcześniej dostał hyzja, ale nie było rady. Tak jak powiedział Fitzowi, w policji nie można pracować na pół gwizdka.

Poza tym śledztwo coraz bardziej go wciągało. Sprawa zaczęła go intrygować i fascynować. Innymi słowy, jak na prawdziwego detektywa przystało, świetnie się bawił.

Griffin zaparkował przed niewielkim domkiem w North Kingstown, który niedawno kupił, i wszedł do środka, by przygotować detektywistyczny Niezbędnik do Wielkiej Sprawy, czyli torbę z dwiema świeżymi koszulkami, dwoma krawatami i kupą czystej bielizny. Dorzucił jeszcze szczoteczkę do zębów i elektryczną maszynkę do golenia (nie goli tak dobrze jak żyletka, ale jest znacznie poręczniejsza).

Wstąpił jeszcze do kuchni, by wychylić szklankę wody, i popijając, zaczął przeglądać pocztę. Rachunek, rachunek, reklamówka sklepu spożywczego. O, pomarańcze po dziewięćdziesiąt dziewięć centów za funt. Boże, błogosław Amerykę.

W końcu dotarł do ostatniego listu. Zwykła biała koperta. Po chwili jednak serce zabiło mu mocniej. Do *Dobrego Sąsiada Griffina*. Pod jego nowym adresem. Od *Twojego kumpla Dave'a*. Brak adresu zwrotnego.

David Price nigdy nie potrafił znieść nudy.

Pojebany psychopatyczny wypierdek.

David pisywał do niego już wiele razy, głównie na adres w Cranston, gdzie Griffin mieszkał jeszcze przez prawie rok od Wielkiego Bum. Pewnie powinien był wystawić dom na sprzedaż, gdy tylko dostał urlop. Ale kto chciałby kupić dom tuż obok miejsca, gdzie Cukiereczek brutalnie zamordował dziesięcioro dzieci? Kto chciałby kupić dom skretyniałego detektywa pierdoły, który mieszkał kilka metrów dalej i niczego nie podejrzewał?

David Price, który często wpadał po sąsiedzku, żeby skosić trawnik, kiedy Griffin i Cindy byli zbyt zajęci. Drobny, chłopięcy David Price, który wyglądał na siedemnastolatka, mimo że miał lat dwadzieścia osiem, i z trudem potrafił unieść dwudziestokilową torbę ziemi do kwiatów, ale świetnie sobie radził z instalacjami elektrycznymi. Niekonfliktowy, przyjacielski David Price, który w lecie pomógł Griffinowi kłaść rury do nawadniania ogródka. Facet, który chętnie wpadał na hamburgery z grilla i piwko. Naprawił światło nad zlewem, kiedy bzyczenie i mruganie zaczęło doprowadzać Cindy do szału. Nie miał żadnych krewnych i w ciągu trzech lat niepostrzeżenie stał się członkiem ich rodziny.

Kiedy Cindy dowiedziała się, że ma raka – zaledwie dwa dni po tym, jak Griffinowi przydzielono sprawę Cukiereczka – sama powiedziała Davidowi o chorobie. Mąż zaczął prowadzić ważne śledztwo, wyjaśniła, więc będzie bardzo zajęty. Fakt, że David mieszkał tuż obok, wiele dla niej znaczył, dodawał pewności siebie.

David płakał tamtego wieczoru. Wszyscy troje płakali. W małym saloniku, który Cindy pomalowała na kolor kości słoniowej i udekorowała obrazkami ptaków w locie. Potem David wziął Cindy za rękę i obiecał, że zrobi wszystko, czego będzie potrzebowała. Pokonają chorobę! Zwyciężą!

Sześć miesięcy później Cindy już nie żyła.

Jedenaście miesięcy później Griffin rozmawiał z dziewczynką której udało się uciec mężczyźnie usiłującemu ją zabrać ze szkolnego podwórka. Nieznajomy kręcił się po placu zabaw, jeszcze zanim Summer Marie Nicholas poszła na huśtawki, a kiedy zaproponował, że ją pohuśta, zaczęła się denerwować.

Jego spodnie były „za bardzo napięte”. Dziewczynka zauważyła, że mężczyzna miał erekcję.

Czym prędzej pobiegła z powrotem do szkoły, gdzie wpadła na woźnego sprzątającego salę gimnastyczną. Ten zaś okazał się na tyle rozsądny, że zadzwonił na policję. Kiedy Griffin przyjechał na miejsce, mężczyzny oczywiście już nie było, ale siedmioletnia Summer Marie okazała się bardzo spostrzegawcza.

Bez cienia wahania oznajmiła, że mężczyzna wyglądał dokładnie jak chłopak z tego filmu z lat osiemdziesiątych pod tytułem *Powrót do przyszłości*. Fajny film. Szalony profesor był taki śmieszny! Jak będzie już duża, kupi sobie samochód z takimi fajnymi drzwiczkami, co się otwierają do góry.

Griffin wpatrywał się w rezolutną Summer Marie i przez mgłę depresji, żalu i wycieńczenia przedarło się nagle wspomnienie wyraźne jak słoneczny poranek: Cindy, on i David siedzą na ganku i ucinają sobie pierwszą dobrosąsiedzką pogawędkę. Cindy śmieje się i pyta: „Hej, Dave, czy ktoś ci kiedyś mówił, że wyglądasz jak Michael J. Fox?”

David, który jako niezależny elektryk mógł swobodnie dysponować czasem. David, który dzięki swojej pracy podróżował po całym stanie.

David, którego delikatna chłopięca twarz i łagodny uśmiech mogły się wydawać zupełnie niegroźne małemu dziecku.

Rysopis podany przez dziewczynkę wystarczyłby uzyskać nakaz przeszukania. Dwie godziny później Griffin był już z powrotem w swojej okolicy i prowadził małą grupkę policjantów, wśród których był Mike Waters, do domu Davida, który czekał na nich w drzwiach z dziwnym uśmiechem przylepionym do twarzy.

Po piętnastu minutach jeden z detektywów otworzył drzwi do piwnicy. Pierwszy powiew z wewnątrz przyniósł tak ciężką woń ziemi i roślin, że policjant kichnął. Ale potem wszyscy poczuli jeszcze inny zapach. Nieprawdopodobnie trudny do ukrycia odór śmierci.

Zeszli do piwnicy o podłodze z ubitej ziemi i tłumiącym dźwięki suficie. Do piwnicy, którą oświetlało ostre światło trzech nieosłoniętych żarówek. Do piwnicy, w której leżał poplamiony materac i stała stara drewniana ława zarzucona kajdankami, sztucznymi penisami, pornografią. Do piwnicy, gdzie pod jedną ze ścian ziemia wcale nie była ubita. Tylko układała się w dziesięć czarnych posypanych wapnem fal.

Dziesięć zapierających dech w piersiach małych czarno-białych fal.

David wprowadzał tu wszystkie dzieci, tu, gdzie unosił się zapach śmierci. I robił im niewyobrażalne rzeczy, gdy one wdychały śmierć w płuca. Czy to podniecało go jeszcze bardziej?

Czy satysfakcja przychodziła dopiero później, gdy wpadał do sąsiada policjanta, by skosić mu trawnik?

Griffin powinien był zabić Davida Price'a tamtego dnia. Za każdym razem, gdy budził się w nocy zlany zimnym potem, żałował, że tego nie zrobił. Czasami, kiedy ludzie postępują, jak należy, i tak okazuje się, że to za mało. Przeszedł osiemnastomiesięczną terapię, podczas gdy mógłby się wyleczyć w jeden dzień jednym porządnym uderzeniem pięści.

Psychologowie po prostu gównie wiedzą o pracy gliniarza.

Teraz Griffin spojrział na kopertę w dłoni. Powinien ją wyrzucić, tak jak inne śmieci. Ale nie zrobił tego. Już jakiś czas temu zaczął bowiem traktować te liściki jak najlepszy domowy test na zdrowie psychiczne. Policja stanowa miała swoje badania przydatności do służby, Griffin miał swoje.

Otworzył kopertę. List był krótki jak na Davida. Zwykle przysyłał kilkustronicowe opisy życia w więzieniu o zastrzonym rygorze. O tym, jak uczy się stolarki. O odkryciu ćwiczeń jogi – dobrych dla ciała i umysłu. O plotkach, że więzienie może już wkrótce wygra przetarg na kontrakt szycia amerykańskich flag i że to na pewno będzie frajda. A tak przy okazji, oto szkic kwiatu róży na grób Cindy. „Wciąż mi jej brakuje, chłopie”.

Ten list składał się z tylko dwóch linijek:

Życzę powodzenia w pracy nad nową sprawą. Mam nadzieję, że przypadnie Ci do gustu.

Griffinowi stężała krew. Chwycił kopertę. Stempel z soboty osiemnastego maja. Przecież to było, zanim wrócił do pracy, zanim Eddie Como został zamordowany. Skąd David mógł?... Co on?...

Zaczęło dzwonić mu w uszach. Serce zaczęło walić jak oszalałe, krew pulsować w żyłach, na czoło wystąpił zimny pot.

Griffin zaczerpnął powietrza, policzył do dziesięciu, zamknął oczy i po chwili atak lęku minął. Wrócił miarowy, spokojny oddech, a także zdrowy rozsądek.

David po prostu robił sobie z niego jaja. Prawdopodobnie dowiedział się, że Griffin wraca do pracy, w ten sam sposób, w jaki uzyskał jego nowy adres. Dzięki więziennym plotkom i gadatliwym dziennikarzom w telewizji.

Było jasne, że kiedy Griffin wróci do pracy, dostanie nową sprawę. Przecież był detektywem. Nie robił nic innego. Wyczytanie z listu czegoś więcej przypominało uznanie proroczych mocy wróżki, która twierdzi, że „wkrótce odmieni się twój los”.

David Price nie zasługiwał na takie uznanie, z pewnością nie był znającym przyszłość demonem.

Griffin nadepnął pedał kuchennego kosza na śmieci. Kiedy pokrywka odskoczyła do góry, wrzucił list Davida Price’a między zużyte chusteczki i lepkie skorupy jajek.

– Pierdol się, Dave – mruknął. Potem, dla pewności, przyjrzał się swoim rękóm. Najlżejszego drżenia. O, tak, po osiemnastu miesiącach szło mu całkiem nieźle. Po osiemnastu miesiącach miał się, kurwa, fantastycznie.

Chwycił Niezbędnik i ruszył w trasę.

CAROL

Carol wyszła z rue de Pespoir tuż po czwartej, ale dotarła do domu dopiero o wpół do siódmej. Najpierw spędziła trochę czasu na zakupach w Nordstromie. Dan będzie się pieklił, kiedy przyjdzie rachunek, ale co tam. Był dzień, w którym miał się rozpocząć proces przeciwko jej gwałcicielowi. Tyle że nie będzie już żadnego procesu, więc na Boga, skoro miała ochotę pójść na zakupy, nikt jej nie powstrzyma.

Poszła więc do Nordstroma, gdzie drobna młoda blondyneczka pomogła jej wybrać mnóstwo kostiumów od wielkich kreatorów mody, starając się jednocześnie nie gapić zbyt nachalnie na nową klientkę. Carol nie przeszkadzały ciekawskie spojrzenia. Zdążyła się do nich przyzwyczaić. Kiedy Jillian zaproponowała założenie Klubu Ocalonych, dokładnie opisała im skutki uboczne kontaktów z mediami. Z jednej strony, nie można przecenić siły trzech pięknych kobiet stojących przed tłumem kamer i domagających się od policji postępów w śledztwie oraz zapewnienia lepszej ochrony całej żeńskiej części populacji stanu Rhode Island.

Ale nie można też bagatelizować siły mediów, które rzucają się na trzy ciężko doświadczone kobiety niczym stado żarłocznych sępów. Czy wiecie, kto może stać za tymi brutalnymi atakami? A co z powolnie toczącym się śledztwem? Czy miewacie koszmary? A co z waszymi mężami, ojcami, siostrami, braćmi? Możecie udzielić jakiejś rady kobietom, które nas teraz słuchają?

Jillian odpowiadała na wszystkie pytania. Była w tym dobra. Chłodna, profesjonalna, nigdy nie wyjawiała więcej, niż trzeba.

Co do Carol, gdyby ona dorwała się do mikrofonu... Oczywiście, że mamy cholerne koszmary! Kobiety, jeśli chcecie się bronić, kupcie sobie pistolety. Najpierw strzelajcie, potem zadawajcie pytania. Pierdolić ich wszystkich, drogie panie. To jedyny sposób.

Tak, miewam koszmary... Gdy śpię... Czego nie robię od miesięcy... A tak na marginesie, kiedy patrzę na męża, widzę twarz gwałciciela, a kiedy mąż mnie dotyka, czuję rękę gwałciciela. I nienawidzę Eddiego Como i otwartych okien, i domów, w których wieczorem robi się cicho. Ale najbardziej wkurwia mnie, że kiedy zasypiam, śnię o krwi i zarzynanych owcach, a kiedy się budzę, jestem tak wściekła, że muszę wciskać gałki oczne do oczodołów, żeby nie wyskoczyły mi z głowy.

Poza tym, drodzy współobywatele, radzę sobie całkiem dobrze.

Carol wydała dwa tysiące dolców. Dan dostanie szału. Dobrze mu tak. O, tak, nie ma to jak dobry nastrój.

Może powinna była zostać z Jillian i Meg? Jillian miała odwiedzić Meg do domu i stanąć w jej obronie, gdyby pan Pesaturo zobaczył swoją małą dziewczynkę pod wpływem nie jednej, lecz dwóch butelek szampana. Carol nie wiedziała, jak Meg dorwała się do drugiej butelki. Poszła do toalety, a kiedy wróciła, na stole stała nowa, już w połowie pusta butelka. Dobrze, że udało jej się złapać Jillian na parkingu. To też było dziwne. Jillian rozmawiająca z Sierżantem Błękitne Oczy. Stali tak blisko siebie, pogrążeni w rozmowie... I jeszcze sposób, w jaki Jillian odsunęła się od niego. Jakby miała poczucie winy.

Carol ścisnęło coś w żołądku. Coś jakby świadomość zdrady. Chociaż nie potrafiła powiedzieć, dlaczego. Podejrzenie, i owszem. Ale brak dowodów.

Kiedy wchodziły z Jillian z powrotem do restauracji, zapytała, o czym rozmawiali z sierżantem Griffinem. O niczym, odparła Jillian. A Carol zaczęła się zastanawiać, o jakim

„niczym” można rozmawiać bity kwadrans na parkingu.

W restauracji Jillian dokonała oceny sytuacji, tak jak Carol przewidywała. Wymyśliła strategię ataku, tak jak Carol przypuszczała. Carol wróci do domu, a ona zajmie się Meg i – w razie potrzeby – Tomem Pesaturo.

Carol nie przepadała za Tomem. Z tego, co opowiadała o nim Meg, wynikało, że jest nadopiekuńczy, szorstki i szowinistyczny do szpiku kości. Zmusił córkę do zrezygnowania z college’u. Jakby odebranie dziecku prawa do wyższego wykształcenia stanowiło receptę na zapewnienie mu bezpieczeństwa. Na litość boską, czy w chromosomie Y jest cokolwiek wartościowego? Uncja inteligencji zmieszana z tym całym kipiącym testosteronem?

To sprawiło, że zaczęła myśleć o Danie. I o zapachu róż i befsztyków. Ta myśl z kolei wywołała w niej żarliwą nienawiść, gorączkę oburzenia. Nagle poczuła się pusta i osamotniona, jakby grunt usunął się jej spod stóp.

Tak bardzo go kiedyś kochała. Czy on jeszcze pamięta te czasy? Kiedy jego widok w drzwiach przyprawiał ją o dreszcz pożądania? Kiedy myśl, że zobaczą się podczas kolacji, przywracała uśmiech na jej twarzy? Kiedy zapach jego wody kolońskiej był tym, jaki chciała poczuć, budząc się rano i zasypiając wieczorem, przytulona do niego z głową na jego piersi?

Wciąż pamiętała tamte czasy. Czasami w nocy, kiedy nie była zajęta nienawidzeniem Eddiego Como, przywoływała te wspiane wspomnienia. Nie miała pewności, który rodzaj myśli bardziej ją bolał.

Teraz wpadła do Nordstrom Cafe, gdzie zjadła sałatkę z kurczakiem i, a tak, kolejny kawałek czekoladowego tortu. Potem wypila kieliszek wina. Albo dwa, trzy, może cztery.

Lecz nadal była głodna. Już jej to nie dziwiło. Od roku wciąż chciało jej się jeść.

Bycie ofiarą gwałtu to interesujący fenomen. Bardziej niż Carol mogła przypuszczać. Tak, cierpiała na całą gamę psychicznych przypadłości. Pourazowe zaburzenie stresowe, objawiające się koszmarami, zimnym potem i nieuzasadnionymi zmianami nastroju. Generalizacja, przez którą nienawidziła nie tylko gwałtocięla, ale praktycznie wszystkich mężczyzn włącznie z mężem, detektywem Fitzpatrickiem i Nedom D’Amato. Był jeszcze „syndrom fałszywej przyczyny” – nie potrafiła wyłączyć telewizora, bo była to ostatnia rzecz, jaką zrobiła przed atakiem, i umysł skojarzył te dwa następujące po sobie wydarzenia, zaopatrując je w związek przyczynowo-skutkowy. Cierpiała także na stary dobry kompleks winy – bo została zgwałcona, bo przeżyła. Czuli się winna, że stała się ciężarem dla męża, że zostawiła otwarte okno, że nie udało jej się obronić przed napastnikiem. Chociaż Jillian, czy chciała się do tego przyznać, czy nie, należało się pierwsze miejsce w kategorii poczucia winy, Carol mogła się pochwalić niejednym z wielu psychicznych urazów, o jakich czytały w poradnikach dla ofiar gwałtu, ale całą ich paletą. Wszystko to razem zbijało się we wspianą kulę z napisem „psychoterapia wysoce pożądana”. Tak więc na swój sposób Carol także miała prawo czuć się „przodownikami”.

Z jednej strony, przeżycie gwałtu było tak traumatyczne, bolesne i rozdzierające, jak Carol przypuszczała. Stanowczo tego nie polecała. Kobiety naprawdę powinny najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania.

Ale z drugiej strony...

Z drugiej strony, bycie ofiarą gwałtu miało, z braku lepszego określenia, pewne plusy. Choćby Klub Ocalonych. Teraz Carol większość czasu spędzała z dwiema kobietami, z którymi przedtem pewnie w ogóle nie chciałaby się zadawać. Meg była o wiele za młoda, by Carol

kiedykolwiek mogła ją uznać za bliską przyjaciółkę. A poza tym za bardzo „proletariacką”. Zakładając, że ich drogi w ogóle by się skrzyżowały, zapewne nastąpiłoby to w jakiejś restauracji, gdzie Carol byłaby klientką, a Meg kelnerką. Żadna nie zwróciłaby na drugą uwagi.

Jillian stanowiła bardziej interesujący przypadek. Była bliższa Carol pod względem wieku i statusu materialnego. Mogłyby się spotkać na jakimś garden party albo balu dobroczynnym. Pogawędziłyby trochę przy drinku, wymieniły kilka konwencjonalnych uwag i uprzejmości. Najprawdopodobniej Carol uznałaby Jillian za zbyt pochłoniętą karierą, a Jillian zaklasyfikowałaby Carol jako niepracującą żonę dobrze usytuowanego męża, pełniącą przestarzałą i bezużyteczną rolę strażniczki domowego ogniska.

Teraz trzymały się razem. Czasem wkurzały się na siebie, czasem obrzucały się złośliwościami, czasem czuły się po prostu niezręcznie. Opowiadały sobie o sprawach, jakich normalni ludzie nie potrafią zrozumieć. To wpadały w euforię, to zanosily się płaczem. Wciąż jednak wiele ukrywały. Carol była o tym przekonana. Bóg jeden wiedział, że tkwiły w niej rzeczy, których nawet po roku nie potrafiła wyrazić w słowach. Jeśli zaś chodzi o Jillian – cóż, Carol i Meg były pewne, że nie udało im się jeszcze przełamać żadnej z jej barier. Miały więc swoje sekrety. Łączyła je jednak również więź, więź, której w ogóle nie powinno być, ale była. Ich cotygodniowe spotkania stanowiły bodaj jedyną podporę dla Carol. Bez nich już dawno odechciałoby się jej żyć.

Normalni ludzie nie potrafią zrozumieć takich spraw. Normalni ludzie, jeśli im się poszczęści, nigdy nie będą mieli okazji ich zrozumieć.

Carol dopiła wino. A potem, pokrzepiona lekkim szumem w głowie, wróciła do domu.

Żadnych reporterów na horyzoncie. Co za ulga. Pewnie czatowali przed domem cały dzień; jeszcze jeden powód, by pójść na zakupy. Teraz było już po szóstej, za późno, żeby zdążyć na popołudniowe wydanie wiadomości. A może policja zorganizowała konferencję prasową? Jillian, Carol i Meg nauczyły się doceniać policyjne prasówki. Dziennikarze przynajmniej na kwadrans zwijali się sprzed ich domów i pędzili do komendy. Potem oczywiście wracali. Hordy reporterów z aparatami fotograficznymi, kamerami i mikrofonami znowu zalewały ulicę i trawnik przed domem – legiony weteranów wojny o informację. W dobre dni Carol wyobrażała sobie, że ma ciężki karabin maszynowy ustawiony na dachu i kosi ich wszystkich jedną potężną serią. W złe dni chowała się do łazienki na piętrze, jedynego pomieszczenia w domu pozbawionego okien, gdzie siedząc w kucki w wannie, pochłaniała hurtowe ilości lodów od Bena i Jerry’ego.

Samochód Dana stał na podjeździe. Maską była chłodna, wrócił już jakiś czas temu. Niedobry znak.

Odnalazła Dana siedzącego w salonie przy zgaszonych światłach i włączonym telewizorze. Drgnął, gdy stanęła w drzwiach, i mogłaby przysiąc, że zasłonił ręką twarz, jakby obawiał się ataku. Kiedy jednak podeszła bliżej, okazało się, że po prostu podniósł kieliszek, aby wypić ostatni łyk koniaku. Wpatrywała się w niego, czekając, które z nich pierwsze się odezwie. Potem zdała sobie sprawę, że Dan wciąż ma na sobie garnitur, a jego krótkie ciemne włosy są rozczochrane – przeczesywał je dłonią, kiedy się denerwował.

Na ekranie telewizora pojawiła się blondwłosa dziennikarka stojąca przed gmachem sądu. Mówiła do mikrofonu, a za jej głową bezustannie migały czerwono-niebieskie światła radiowozów:

– Policja potwierdziła, że domniemany gwałcieciel Eddie Como, zwany Gwałciecielem z Miasteczka Uniwersyteckiego, zginął od kuli snajpera dzisiaj rano. Dobrze poinformowane źródła donoszą, że dwudziestoosmioletni Como został postrzelony w głowę, kiedy około ósmej trzydzieści wyprowadzano go z więziennej furgonetki na dziedziniec sądu. Według jednego ze współwięźniów...

– Wróciłem do domu, gdy tylko usłyszałem wiadomość – odezwał się w końcu Dan.

Carol milczała.

– Pomyślałem, że powinienem przy tobie być.

Carol wciąż milczała.

– Mogłaś przynajmniej zadzwonić – powiedział cicho. Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Martwiłem się o ciebie, wiesz?

– Jesteś ubrany jak do pracy.

– Kurde, Carol, odwołałem dzisiaj trzy spotkania...

– Wracasz do kancelarii.

– Nie mam wyboru! Klienci płacą mi, żebym był na każde ich skinienie. Nie można prowadzić kancelarii od dziewiątej do piątej. Przecież wiesz.

– Robi się ciemno – powiedziała po prostu.

Dan spuścił wzrok. Otworzył usta, a potem zacisnął je mocno i skupił się na obracaniu w dłoni pustego kieliszka. Był wściekły. Wyczytała to z linii jego ramion. Ale nic już nie powiedział. Wciąż milczał.

– Byłam na zakupach – oznajmiła wreszcie, zadzierając prowokacyjnie głowę.

– Właśnie widzę.

– Kupiłam trzy kostiumy. Bardzo ładne.

– W porządku, Carol.

– Wydałam dwa tysiące dolarów – dodała.

Drgnął mu mięsień szczęki. Zaczął obracać kieliszek w jeszcze większym skupieniu. Potrzebowała nowej taktyki. Zachodziło słońce, niedługo mrok zstąpi na ich wielki, pusty dom. A on znowu ją opuszczał, dowodząc, że bez względu na to, jaką karę mu wymierzała, był zdolny wymierzyć jej swoją.

– Przyszła do nas policja – powiedziała. – Detektyw Fitzpatrick wpadł na nasze spotkanie.

– Chciał pierwszy przekazać wam tę wielką wiadomość?

– Nie, chciał pierwszy zapytać, czy go zabiłyśmy.

– I co Jillian na to?

– Powiedziała, żeby się odpieprzył. Oczywiście trochę innymi słowami.

– Detektyw Fitzpatrick powinien to przewidzieć. – Dan odstawił w końcu kieliszek na stół i wstał z sofy. Miał nerwowe ruchy.

– Był z nim jeszcze jeden policjant. Stanowy.

– Stanowy? – zdziwił się.

– Detektyw sierżant Roan Griffin. Mięśniak, ale bystry. Twierdzi, że teraz sprawdzą nasze konta bankowe. No wiesz, żeby sprawdzić, czy nie robiliśmy jakichś tajemniczych wypłat albo przelewów, które mogłyby świadczyć, że wynajęliśmy mordercę. Zdaje się, że rzeczywiście to zrobią.

Dan podszedł do kominka. Powiódł palcem po rzeźbionym drewnianym obramowaniu. Miał długie, szczupłe palce. Mógłby być rzeźbiarzem albo muzykiem. Albo ojcem uczącym syna wiązać muszkę.

– Dlaczego w ogóle wszczęli śledztwo? – zapytał szorstko. – Eddie Como narobił już dość złego. Nie żyje i powinni to tak zostawić.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparła ostro Carol. – Nie obchodzi mnie, kto go zabił. Po prostu mi to zwisa.

Wstrzymała oddech. Pragnęła, żeby mąż odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Zaczęła tę rozmowę, żeby go zdenerwować, ale teraz... Teraz usłyszała ból w swoim głosie. Nie powiedziała tego nikomu, nawet Meg i Jillian, ale gdzieś głęboko miała nadzieję, że Dan zastrzelił Eddiego Como albo przynajmniej wynajął tego, kto to zrobił. Byłby to pierwszy znak, że wciąż ją kocha.

Wiem, gdzie byłeś tamtego wieczoru. Nigdy nikomu nie powiedziałam, ale wiem, gdzie wtedy byłeś. Wiem, że nie było cię w pracy.

Dan odwrócił się. Spojrzał na nią ciemnymi orzechowymi oczami. Dziesięć lat po ślubie przybyło mu kilka zmarszczek, włosy przyprószyła siwizna. Dla obojga te lata były ciężkie. Tyle spraw nie ułożyło się tak, jak planowali. Mimo to wciąż uważała, że jest przystojny. Wciąż pragnęłaby teraz podbiegł do niej i wziął w ramiona.

Jeżeli obiecasz, że spróbujesz mnie dotknąć, ja obiecuję, że postaram się nie cofnąć. Jeżeli spróbujesz wyciągnąć do mnie rękę, ja postaram się nie widzieć w tobie Eddiego Como. Jeżeli obiecasz, że spróbujesz mnie znowu pokochać, ja obiecuję, że spróbuję ci wybaczyć. I może jeżeli ty się postarasz i ja się postaram...

– Muszę iść – powiedział. – Jestem umówiony na siódmą, a muszę się jeszcze przygotować.

– Dan... – powstrzymała się przed dokończeniem zdania. Przygryzła wargi. Przelknęła z wysiłkiem ślinę.

– Zamkniesz za mną drzwi?

– Oczywiście.

– I włączysz alarm?

– Tak, Dan.

– Spójrz na to w ten sposób, Carol: reporterzy na pewno niedługo wrócą. I wtedy nie będziesz już sama.

Minął sofę, zerknął na torby z zakupami, skrzywił się lekko i wyszedł z pokoju. Następnym dźwiękiem, jaki usłyszała, było otwieranie i zamykanie frontowych drzwi. Chwilę później włączył silnik w samochodzie.

W telewizji blondwłosa dziennikarka powiedziała:

– Rodzina Eddiego Como oświadczyła dziś po południu, że zwróci się do koronera o wydanie ciała nie później niż jutro wieczorem, aby przygotować katolicki pogrzeb zaplanowany na środę rano. Rodzina, wciąż obstająca przy jego niewinności, podała również do wiadomości, że być może założy fundację, która niosłaby pomoc fałszywie posądzonym...

Carol zamknęła drzwi na zamek, włączyła alarm i poszła na górę. Ruszyła w głąb długiego mrocznego korytarza, aż w końcu stanęła przed zamkniętymi drzwiami. Otworzyła je. Zajrzała do pokoju, który kiedyś dzieliła z mężem, w którym kiedyś uprawiała z nim miłość, i zobaczyła tylko zakurzone meble uwięzione za żelaznymi kutymi kratami.

Żadnych otwartych okien. Żadnej mokrej, poplamionej krwią pościeli. Ani lateksowych opasek, do których przyłgnęły długie blond włosy.

Nic. Nic, nic, nic.

Zatrzęsły się jej ręce. Serce zabiło szybciej. On nie żyje, próbowała przekonać samą siebie. Nie żyje, już po wszystkim, wreszcie jesteś bezpieczna.

Na nic. Na nic, na nic, na nic.

Zatrzasnęła drzwi i pobiegła z powrotem korytarzem, chwytając się ślepo ścian. Musiała uciec. Telewizor wciąż grał. Nieważne, nieważne. Dom jest zbyt duży, cisza zbyt potężna, a Dan wróci do domu zbyt późno. Była sama. Zdana tylko na siebie. Uciekaj, Carol, uciekaj.

Wbiegła do łazienki, zatrzasnęła za sobą drzwi, a potem pochyliła się nad białą porcelanową umywalką i zaczęła wymiotować.

Eddie Como nie żyje. Eddie Como nie żyje. Eddie Como nie żyje.

Już po wszystkim, Carol. Wreszcie jesteś bezpieczna.

Ale całe jej ciało drżało, trzęsło się. Nie mogła przestać myśleć o pustej sypialni. Nie mogła przestać myśleć o oknie w sypialni. Nie potrafiła przestać myśleć, że mogłaby przysiąc, że przy oknie stał martwy Eddie.

MEG

Jezu, Maryjo, Józefie święty! Meg, jesteś pijana?! – Ja... To był tylko szampan. Tylko kieliszek. Może dwa. Przysięgam.

– Panie Pesaturo, proszę się uspokoić, to...

– A ty! – Pan Pesaturo obrócił się w stronę Jillian. Jego nalana twarz była czerwona, gruby palec ciął powietrze. Niebieski kombinezon elektryka naprężył się na brzuchu, dwa białe guziki dosłownie drgały od niepohamowanej złości.

Wyglądał raczej komicznie i gdy tylko zaczął wrzeszczeć na Jillian, Meg poczuła się bezpieczniej i zachichotała. Jillian posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Lecz Meg wypija prawie sześć kieliszków szampana. Sprawa była beznadziejna.

– Jak śmiałaś podać mojej nieletniej córce alkohol! – zagrział Tom Pesaturo. – Na miłość boską nie dość już namieszałaś?!

Jillian zamrużyła powiekami.

– Namieszałam?

– Tatusiu...

– Tom, uspokój się, usiądź. Meg wróciła do domu i tylko to się teraz liczy. – Matka Meg, Laurie, zainterweniowała kładąc dłoń na ramieniu męża. To ona reprezentowała rozsądek w rodzinie. Dobrze, że chociaż ona jedna.

Pan Pesaturo znowu spiorunował Jillian wzrokiem, ale w końcu, ociągając się, usiadł.

Meg wykorzystała ten moment, by zawołać:

– Kurczę pieczone, muszę siusiu! – Po czym wybiegła z pokoju. Pan Pesaturo warknął z dezaprobatą. Jillian westchnęła, usiadła na starym fotelu obitym niebieskim płótnem i nagle zdała sobie sprawę, że pęka jej głowa.

– Panie Pesaturo...

– Widziałaś wiadomości? Rozumiesz, co się dzisiaj stało? Od dziewiątej rano urywa się u nas telefon. Pierwsza ekipa telewizyjna była tu piętnaście po dziewiątej. A my nie wiedzieliśmy, gdzie Meg się podziewa.

– Wiedzieliśmy dokładnie, gdzie była Meg – wtrąciła znowu Laurie stanowczym głosem. – Mówiłam ci, że poszła na spotkanie z Jillian i Carol.

– Tak powiedziała – stwierdził Tom z odpowiednią dawką wątpliwości w głosie.

Jillian popatrzyła na niego.

– Panie Pesaturo, myśli pan, że biegałyśmy dzisiaj rano po mieście, organizując zabójstwo Eddiego Como? Czy tak pan myśli?

– Przecież nie mówię, że to potępiam...

– Byłyśmy w restauracji, panie Pesaturo. Cały dzień. Przy świadkach. Poza tym powinien pan wiedzieć, że odwiedziła nas policja. Detektyw Fitzpatrick i człowiek z policji stanowej, sierżant Griffin, z całą pewnością mają nas na oku.

– Co im powiedziałyście?

– Nic. Nie musimy udzielać wyjaśnień, a jeśli o mnie chodzi, nie zamierzam tego robić. Mogą liczyć na moją współpracę, dopiero kiedy wskrzeszą moją siostrę.

Pan Pesaturo przestał się w końcu srożyć. Chrząknął i rozsiadł się wygodniej na kanapie. Prawdopodobnie była to jedyna pochwała, na jaką mogła z jego strony liczyć.

– No, dobrze – mruknął. Siedząca obok żona uśmiechnęła się.

Wezmą nas wszystkich pod lupę – oznajmiła spokojnie Jillian. Nie myślała o niczym innym przez ostatnie pół godziny. Śledztwo prowadziła policja stanowa. Na pewno potraktują sprawę bardzo poważnie. Zastanawiała się, co to tak naprawdę znaczy. Wielki, zły sierżant Griffin, który chciał urwać głowę temu pedofilowi. Wielki, zły sierżant Griffin o błękitnych świdrujących oczach. Znowu zaczęła się denerwować, a potem poczuła się zagubiona. Wielki, zły sierżant Griffin... Odpędziła od siebie tę myśl i skoncentrowała się na najpilniejszych sprawach.

– Poinformowano nas, że każdy stanowy detektyw w Rhode Island bierze udział w tym dochodzeniu. Pewnie niedługo zaborą się do sprawdzania naszych kont bankowych w poszukiwaniu niewyjaśnionych wypłat.

Pan Pesaturo przewrócił oczami.

– Niech sprawdzają. Nie mam żadnych takich wypłat. Mam hipotekę i dwoje dzieci. To załatwia sprawę.

– Zdaje się, że będą także chcieli porozmawiać z pańskim bratem – powiedziała Jillian. – Wie pan, z wujkiem Vinniem.

Uśmiech zniknął z twarzy pani Pesaturo. Drgnęła nerwowo i spojrzała ostro na męża.

– Tom?

– O, daj spokój. Niech se gadają z Vinniem. Jemu to zwisa.

Pani Pesaturo spojrzała teraz na Jillian. Z korytarza dobiegł ich głos Meg, a potem dziecięcy chichot. Meg rozmawiała z siostrzyczką. Rozbrzmiała kolejna salwa śmiechu.

– A ty co na to? – zapytał nagle Tom, zwracając się do Jillian. Jillian nie była głupia. Zrozumiała pytanie.

– Też mnie to nie obchodzi.

– Bo wiesz, gdybyś czegoś potrzebowała...

Jillian uśmiechnęła się. Na swój sposób pan Pesaturo był dobrotliwym człowiekiem. Ledwo oparła się pokusie, by skorzystać z oferty, tyle że przy jej problemach jego pomoc na nic by się nie zdała. Teraz, kiedy uświadomiła sobie konsekwencje śmierci Eddiego Como, stwierdziła, że ma od dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin, zanim znów ujrzy sierżanta Griffina. Życie trochę się skomplikuje. Ale z drugiej strony, czy kiedykolwiek było łatwe?

– Dziękuję, nie trzeba – odparła.

Pan Pesaturo był jednak bardziej rozgarnięty, niż przypuszczała.

– Vinnie... ma wielu przyjaciół.

– Wiem. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale Vinnie i moja mama mają wspólnych znajomych.

– Serio?

– Interesuje się pan muzyką? Moja matka śpiewała kiedyś bluesa...

– Zaraz, zaraz. Hayes. Olivia Hayes. To twoja mama?

– Na pewno się ucieszy, że pan ją pamięta.

Tom Pesaturo był pod wrażeniem. Opadł na oparcie kanapy i zwrócił się do żony:

– A niech mnie, Olivia Hayes. Słyszałaś o niej? Taka malutka dziewczyna, po prostu chucherko. Ale jak otworzyła usta, to aż krzesła chodziły. Mój tata potrafił całymi dniami słuchać jej płyt. Pewnie wciąż mam na strychu parę albumów. Fantastyczna babka. – Spojrzał na Jillian.

– Co się z nią dzieje? Od lat o niej nie słyszałem.

– Wycofała się. – Mówiła, że chce się poświęcić wychowaniu córek. Dostała wylewu. Straciła władzę w nogach. Straciła głos. Ale przynajmniej nigdy nie musiały się martwić o pieniądze.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Chętnie.

– Vinnie padnie, jak się dowie. – Pan Pesaturo uśmiechnął się i usiadł prosto. – Moja córka przyjaźni się z córką Olivii Hayes. Kurwa, Vinnie po prostu pęknie, jak to usłyszysz!

– Tom... – Jego żona przewróciła oczami, po czym spojrzała na Jillian przepraszająco.

Jillian uśmiechnęła się. Naprawdę się ucieszyła, że pan Pesaturo zareagował z takim entuzjazmem. Czasy jej matki, dzieciństwo jej samej to były takie stare dzieje. Prawie nikt już ich nie pamiętał. Kiedy Trish była mała, najbardziej lubiła właśnie opowieści z nocnych klubów. O tym, jak mama śpiewała dla Sinatry. I o tym, jak potem Frank wziął ośmioletnią Jillian na kolana. Jillian starała się, jak umiała, opowiadając o tamtych czasach, choć dla niej samej stały się już mglistym wspomnieniem bardziej podobnym do snu niż do rzeczywistości.

Wtedy matka miała jeszcze głos. Jillian od lat nie słyszała jej nawet nucącej pod nosem.

Tom Pesaturo rozsiadł się znowu wygodnie na kanapie. W końcu uspokoił się, jego wielkie dłonie spoczęły na kolanach. Pochodzenie Jillian podziało jak cudowne lekarstwo. Teraz byli starymi znajomymi i Tom cieszył się, że może ją gościć w swoim domu. Było to dosyć zabawne. Przez ten rok, od kiedy splotły się losy Jillian i Meg, Jillian nigdy nie odwiedziła domu młodszej koleżanki. Zresztą u Carol też jeszcze nie była. Mocą jakiejś niepisanej umowy zawsze spotykały się w restauracjach albo innych miejscach publicznych. Tak jakby po tym wszystkim, co sobie powiedziały, nie potrafiły się zdobyć na podzielenie się tą ostatnią odrobiną osobistego życia.

– Zaniepokoiłem się – powiedział pan Pesaturo przepraszająco – kiedy usłyszałem wiadomości i nie mogłem znaleźć Meg. Trochę mi odbiło.

– Rozumiem.

– Masz dzieci?

Jillian pomyślała o Trishy i jej radosnych, błyszczących oczach. Pomyślała o matce przykutej do wózka inwalidzkiego.

– Nie.

– To niełatwe. Trzeba się o nie troszczyć. To znaczy, chcesz, żeby ruszyły w świat. Były silne. Wspaniałe. Ale przede wszystkim... przede wszystkim, żeby były bezpieczne. Szczęśliwe.

– Ona jest szczęśliwa – szepnęła pani Pesaturo. – Obie są szczęśliwe.

– Gdybym wtedy mógł przy niej być, tamtego wieczoru... Dobija mnie to, wiesz. Ten Como.

– Pan Pesaturo splunął. – Gdybym tam wtedy był, skopałbym mu tę jego żalną latynoską dupę.

Jillian pomyślała o mrocznym mieszkanku Trishy. O jej nieruchomym ciele na łóżku. I o silnych, mocnych rękach chwytających ją od tyłu.

– Też żałuję, że pana tam nie było – powiedziała.

– Cóż, teraz nie da się już nic zrobić. Ale przynajmniej facet nie żyje. Trochę mi ulżyło. – Podniósł nagle głowę. – Myślisz, że teraz Meg dojdzie do siebie?

Jillian zastanowiła się chwilę.

– Wydaje mi się, że Meg ma się całkiem dobrze.

– Nie to miałam na myśli. Czy uważasz, że sobie przypomni? Odzyska swoje życie. No, wiesz.

– Nie jestem pewna. Nie znam się na amnezji.

– Nie opowiada wam o tym?

– O czym?

– No, o swojej amnezji. O tym, co ten dupek jej zrobił. Nie rozmawiacie o tym przy kawie, dziewczyny?

– Panie Pesaturo... – zaczęła Jillian, ale Laurie wyprzedziła ją.

– Tom, zamknij się.

Pan Pesaturo zamrugnął, spoglądając na żonę.

– Co?

– Jillian nie będzie nam opowiadać o tym, jak się czuje nasza córka. Jeżeli chcesz się tego dowiedzieć, zapytaj Meg.

– Ja tylko tak... – zaczął się bronić Tom. Ale po chwili spuścił głowę, skruszony. Jillian zrobiło się go żal.

– Myślę, że Meg radzi sobie nadzwyczaj dobrze – powiedziała. – To silna dziewczyna, panie Pesaturo. Może pan być z niej dumny.

– Ależ jestem z niej dumny!

– Naprawdę? Czy tak naprawdę po prostu się jej pan nie boi?

Też coś! – Panu Pesaturo nie spodobało się to pytanie, ale gdy zobaczył, że Jillian i Laurie patrzą na niego spokojnie, wrzucił bezradnie ramionami. – Jestem jej ojcem – mruknął. – Ojcowie chronią swoje córki. Nie ma w tym nic złego.

– Ona ma dwadzieścia lat – powiedziała z naciskiem Laurie.

– To wcale nie tak dużo.

– Tom, minęły już lata – oburzyła się Laurie.

Jillian była lekko zdziwiona. Pani Pesaturo chyba się przejęzyczyła.

– Tak – odparł Tom – ale mamy szczęście, że wciąż żyje.

– To nie w porządku.

– Myślisz, że nie wiem?

Jillian była już całkiem skołowana. Zdaje się, że było to po niej widać, bo nagle państwo Pesaturo przerwali rozmowę. Oboje popatrzyli na gości, wymienili spojrzenia i zamilkli.

– Muszę już iść – oznajmiła Jillian, kiedy cisza zaczęła się robić niezręczna.

Rodzice Meg bez wahania wstali z kanapy.

– Dziękujemy, że przywiozłaś Meg – powiedziała pani Pesaturo. – Sami zajmiemy się jej samochodem.

– Jeśli chodzi o tego szampana... No cóż, wtedy wydawało się, że to dobry pomysł.

Pani Pesaturo uśmiechnęła się do niej współczująco.

– To był długi, dziwny dzień, prawda?

– Tak – przyznała Jillian i nagle zachciało jej się płakać. Wzięła się jednak w garść. Od rana miała zszargane nerwy, a rozmowa w cztery oczy z sierżantem Griffinem jeszcze pogorszyła sprawę. Ale jej zmęczenie nie miało znaczenia. Na zewnątrz pewnie wciąż czekają kamery. Trzeba więc robić dobrą minę do złej gry. Poza tym będzie potrzebowała siły, kiedy wróci do domu, do matki, która pewnie już wie, co się stało, i teraz wertuje książeczkę z obrazkami, starając się znaleźć rysunek, który by mówił: „Morderca mojej córki nie żyje i czuje...”

Meg wróciła.

– Odprowadzę cię do drzwi – powiedziała do Jillian.

Jillian podążyła za nią wąskim korytarzem. Siostrzyczka Meg, Molly, wyjrzała zza rogu: burza ciemnych kręconych włosów i wielkie brązowe oczy. Trish, pomyślała Jillian. Musiała jak najszybciej wyjść z tego domu.

Kiedy Meg otworzyła drzwi, Jillian ze zdziwieniem spostrzegła, że na dworze jest już ciemno. Wieczorny chłód owiał jej twarz. Ulica okazała się pusta. Ani śladu reporterów. Poczowała ulgę, a jednocześnie niepokój. Gdzie się podziały błyskające flesze, krzyżowy ogień pytań? Gdzie się podział dzień? Wszystko zaczęło się już zamazywać.

Meg staniała się lekko na nogach.

– Dziękuję – szepnęła.

– Za co? – Jillian wciąż wpatrywała się w noc. Po jej prawej stronie coś poruszyło się w krzakach.

– Zaczynam wracać do siebie, wiesz. Zdaje się, że szok mija. Nie sądziłam, że to pójdzie tak szybko, ale teraz... czuję, że po raz pierwszy od roku mogę oddychać.

Jillian po prostu patrzyła na nią. I w końcu zrozumiała. Meg mówiła o zabójstwie Eddiego Como. Dziękowała jej za jego śmierć.

– Ale masz rację – dodała. – Nie powinniśmy o tym rozmawiać. Policja pewnie będzie się koło nas kręcić przez następne kilka dni. Ale potem najgorsze minie. Sprawa ucichnie. I będziemy... będziemy wolne.

– Meg...

– Piękny wieczór, prawda?

– Boże, Meg...

– Cudowny, wspaniały wieczór.

– Znowu piłaś! Dlaczego ciągle pijesz?

– Nie wiem. Lekarze mówili, żeby się nie zmuszać. Umysł sam się wyleczy. Ale wcale się nie wyleczył, a myślałam, że teraz, po dzisiejszym dniu powinien. Więc wypłam jeszcze trochę burbona. Ale nie pomogło.

– Meg, potrzebujesz po prostu spokoju, wypoczynku.

– Nie wydaje mi się. Myślę, że to wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane. Miałam spokój, wypoczywałam, a teraz nawet wiem, że Como nie żyje. Ale wciąż czuję, jakby te oczy na mnie patrzyły. Co to może znaczyć?

– To znaczy, że za dużo wypilaś.

– Chcę być szczęśliwa. Ale chyba nie byłam. Bo gdybym była, to chyba bym to pamiętała, prawda? Po co miałabym zapominać?

– Meg, posłuchaj mnie...

– Ciii, krzaki.

Jillian umilkła. Spojrzała na wciąż drżącą kępę zarośli. Potem popatrzyła na Meg. Z tej odległości widziała szklany połysk jej ciemnych oczu, rumieniec na jej policzkach.

– Ktokolwiek chowa się za tymi krzakami, niech natychmiast wyjdzie! – krzyknęła.

– Piękna, piękna noc – zanuciła Meg. – Och, co za wspaniała, uroczna noc. Taka jak wtedy. Jak tamta noc.

– Ostrzegam! – Głos Jillian podniósł się mimo jej woli, gdy znowu zaszumiały listki, a Meg zaczęła się kiwać niczym gigantyczne wahadło.

– Piękna, piękna noc. Cudowna, cudowna noc...

– Cholera jasna! – Jillian podbiegła do krzaka. Zanurzyła w nim rękę, jakby zamierzała wyciągnąć wścibskiego podglądacza za uszy. A potem... potem...

Z zarośli z wrogim „miau” wyskoczył tłusty przegowany kocur. Jillian cofnęła się instynktownie, serce waliło jej jak młotem. Wzięła głęboki oddech. Potem drugi. Serce wciąż łomotało jak szalone. Nagle poczuła, że musi jak najszybciej opuścić ten dom i tę zbyt pustą ulicę. Nie mogła przestać się trząść.

Na ganku Meg uśmiechała się rozanielona.

– Już go nie ma. Już nie żyje.

– Proszę, wróć do środka, Meg – powiedziała zmęczonym głosem Jillian.

– To bez znaczenia. On tu jest, on tu jest, on tu jest.

– Kto?

– Nie wiem. – wyszeptała Meg. – Ktoś gorszy od Eddiego Como.

GRIFFIN

Mamy problem. Griffin oderwał się od lektury pięciu stosów papierów. Był właśnie w trakcie organizowania centrum śledczego w przestronnej, wyłożonej szarą wykładziną sali konferencyjnej Biura Detektywistycznego. Niezmiennie zdumiewało go, ile papierkowej roboty wiąże się z każdym przestępstwem. Raporty śledcze, zeznania świadków, wyciągi bankowe, wstępne opisy materiału dowodowego. Już był zavalony papierami, a mundurowi, detektywi od przestępstw finansowych i techniczni wciąż wpadali do sali i rzucali na stół kolejne pliki kartek. Od czasu do czasu zaglądali także major, pani porucznik albo pułkownik, żeby zapytać, czy może Griffinowi udało się już w jakiś cudowny sposób rozwiązać sprawę. Do tego co kilkadziesiąt sekund dzwonił telefon. Dziennikarze domagali się wywiadów. Lokalni biznesmeni domagali się sprawiedliwości. Prokurator generalny pragnął podkreślić, że nie lubi strzelanin na terenie sądu, a burmistrz obawia się, że uliczne eksplozje szkodzą turystyce. Teraz zadzwonił Fitz.

– Oglądasz to? – zapytał. – Nie wierzę, kurwa, własnym oczom.

– Niczego nie oglądam – odparł Griffin.

– To włącz telewizor!

Griffin ostrożnie wyciągnął rękę, uważając, żeby nie rozsypać któregoś ze stosów papierzyśk, odnalazł pilota i włączył telewizor. Jego wysiłek został nagrodzony transmitowaną przez Kanał Dziesiąty relacją na żywo.

– Więc to tam pojechali wszyscy dziennikarze. Trochę mnie zdziwiło, że tak nagle zniknęli z parkingu.

– Nie jest dobrze – jęknął Fitz. – Wcale nie jest dobrze.

Obrońca Eddiego Como, śmiertelnie poważny Frank Sierra, tłumaczył właśnie śmiertelnie poważnym dziennikarzom, że dzisiaj rano przed wejściem do gmachu sądu wydarzyła się prawdziwa tragedia. Właśnie wczoraj wieczorem udało mu się uzyskać niezбитý dowód niewinności jego klienta i zamierzał ujawnić całą sprawę z samego rana. Wystarczyłoby piętnaście, dwadzieścia minut i pan Como byłby wolny jak ptak.

– To nie brzmi najlepiej – mruknął Griffin do słuchawki.

– Nienawidzę pierdolonych prawników – warknął Fitz.

– Nie przejmuj się, jestem pewien, że oni też za tobą nie przepadają. Griffin patrzył na telewizor, czekając na dalszą część oświadczenia Sierry. Inni obecni w sali, Waters i grupa detektywów od przestępstw kryminalnych, także wbili wzrok w ekran. Konferencje prasowe były lepsze od tasiemcowych seriali.

– Wczoraj wieczorem – ciągnął Frank Sierra – udało mi się nawiązać kontakt ze świadkiem, który może potwierdzić, że w czasie, gdy popełniono drugi gwałt, mój klient był po drugiej stronie miasta. Jego zeznanie stanowiłoby niezbitý dowód niewinności pana Como. Panie i panowie, przedstawiam wam Lucasa Murphy'ego.

Odsunął się na bok, robiąc miejsce dla chudego pryszczatego chłopaka, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Dzieciak wytrzeszczył oczy na błyskające aparaty niczym zając sparaliżowany widokiem nadjeżdżającego samochodu. Przez chwilę Griffin miał wrażenie, że chłopak da nogę. Sierra musiał pomyśleć tak samo, bo chwycił go za ramię. Sekundę później przypomniał sobie o publiczności i uśmiechnął się szeroko.

– Świadek – prychnął Fitz. – Co to niby za dowód? Za pięćdziesiąt dolców mogę załatwić dwóch świadków.

– Pan Murphy – oświadczył Sierra – pracuje w wypożyczalni wideo Blockbuster w Warwick.

– O – zainteresował się Griffin.

– Panie Murphy, czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie był pan wieczorem dziesiątego maja?

– O, mój Boże! – Fitz był bliski apopleksji. – Traktuje go jak prawdziwego świadka w sądzie. Przed kamerami. Urządza sobie rozprawę w telewizji. To mi się, kurwa, w pale nie mieści!

– Eee... aaaa... no, tego... pracowałem – wyskrzecztał chłopak. – No wie pan, w Blockbusterze.

Frank Sierra zaczął drażnić.

– A czy owego feralnego wieczoru dziesiątego maja w wypożyczalni Blockbuster przy Drugiej ulicy w Warwick nie widział pan przypadkiem Eddiego Como?

– Eee.. no, tak... widziałem.

Dziennikarze wstrzymali oddech. Fitz znowu zaklął. Griffin po prostu przewrócił oczami.

Adwokat Eddiego Como aż zatarł dłonie z radości.

– Panie Murphy, czy jest pan pewien, że widział pan Eddiego Como wieczorem dziesiątego maja ubiegłego roku?

– Eee... tak.

– Panie Murphy, pozwoli pan, że uprzedzę pytanie naszych drogich gości i zapytam wprost: skąd może pan być pewien, iż pan Como przyszedł do pańskiej wypożyczalni właśnie owego wieczoru?

– No bo... widziałem jego nazwisko. No wie pan, na karcie członkowskiej.

Dziennikarze znowu wstrzymali oddech.

– O, mój Boże, niech ktoś uciszy tego gnojka – wymamrotał Fitz. – Dawać mi spluwę!

– No tak – mruknął Griffin do słuchawki. – Teraz masz przesrane. Tymczasem w telewizji Sierra znowu posłał w stronę kamer promienny uśmiech i przygotował się do zadania ostatecznego ciosu.

– Panie Murphy, czy to prawda, że kiedy ktoś wypożycza film w Blockbusterze, taka transakcja zawsze jest zapisywana?

– No... tak. Wie pan, ludzie pokazują kartę członkowską, a my skanujemy kod kreskowy na karcie. I potem ten na kasecie wideo. Więc, tego ten, w komputerze zapamiętuje się, kto wypożyczył jaką kasetę. Aha, i jeszcze o której godzinie, i w jaki dzień. No, wie pan, żebyśmy potem wiedzieli, kto na przykład powinien zapłacić karę za przetrzymywanie filmu i tak dalej. Jak się prowadzi wypożyczalnię, trzeba wiedzieć takie rzeczy. – Dzieciak kiwnął z przekonaniem głową. – Poza tym mamy teraz taki program promocyjny. Jak się oddaje szybko premierowe filmy, po dwudziestu czterech godzinach albo wcześniej, to klient dostaje zniżkę jednego dolara przy następnych filmach. No więc ludzie ciągle przychodzą i pokazują karty. Wie pan, w końcu dolar to dolar.

Adwokat Eddiego Como omal nie zesrał się w gacie z radości.

– A więc – obwieścił tubalnym głosem – nie tylko widział pan Eddiego Como, kiedy ten zwracał kasetę do wypożyczalni dziesiątego maja o godzinie dziesiątej dwadzieścia pięć, czyli

zaledwie pięć minut przed domniemanym gwałtem na pani Rosen aż w East Side, ale ma pan też dowód tej transakcji. Dane zapisane w komputerze!

– Pierdolona komputeryzacja! – zawarczał Fitz.

Tymczasem Lucas Murphy, nowy pracownik miesiąca w Blockbusterze, powiedział:

– Eee... tak.

Dziennikarze wydali z siebie pomruk zachwytu. W sali konferencyjnej Waters pokręcił głową i westchnął. Fitz jęczał do słuchawki, a po chwili Griffin usłyszał wyraźny trzask wyciągania tabletki przeciw nadkwasocie.

– No, dalej – mruknął, wpatrując się w ekran. – Zadaj następne pytanie. Zadaj następne logiczne pytanie...

Jednak adwokat Eddiego Como nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Podziękował dziennikarzom, podziękował Bogu za ujawnienie prawdy, mimo że wskutek tragicznego splotu wypadków doszło do tego za późno, a następnie wypchnął swego wybałuszającego gały świadka sprzed kamer i ponownie zajął jego miejsce. Konferencja dobiegła końca. Na ekranie pojawiła się stara dobra Maureen, której błękitne oczy błyszczały jaśniej niż kiedykolwiek, i rozedrganym głosem zaczęła mówić:

– Teraz już nie ulega wątpliwości, że nastąpił wielki przełom w sprawie Gwałtociela z Miasteczka Uniwersyteckiego. Nowe wiadomości każą wątpić, czy Eddie Como, zastrzelony dziś rano na dziedzińcu sądu, rzeczywiście był gwałtocielom. Czy to, drogie panie, oznacza, że prawdziwy przestępca wciąż może...

Griffin wyłączył telewizor. Waters przyglądał mu się uważnie, podczas gdy w słuchawce Fitz nie przestawał biadolić.

– Sierra zrobił nas na szaro – jęczał Fitz. – W ogóle nas nie ostrzegł. Nie zająknął się ani słowem o nowych dowodach. Zero informacji! W jednej chwili siedzę w kostnicy i oglądam sekcję zwłok naszego świeżo upieczonego denata, a w następnej dzwoni do mnie porucznik i każe włączyć cholerny telewizor. Co to, do kurwy nędzy, ma znaczyć? Sierra mógł okazać przynajmniej tyle uczciwości, żeby do nas zadryndać.

– Wtedy mógłbyś sobie przygotować odpowiedź – zauważył Griffin.

Toż to jakieś potworne bzdury – wysapał do słuchawki Fitz. – Klient Sierry nie żyje, więc teraz ta szuja prowadzi sprawę przed kamerami, gdzie nie musi się obawiać argumentów drugiej strony. Ludzie usłyszą tylko to, co on im powie. – Głos Fitz'a przybrał na sile i przeszedł w krzyk. – Zapomnijcie o trzech zgwałconych kobietach. Zapomnijcie o Trishy Hayes i jej śmierci. Zapomnijcie, że Eddie Como zamienił w piekło życie trzech kobiet i zabił czwartą. Skupmy się tylko na tym biednym, nieszczęsnym gwałtocielom, który mógł być niewinny, a zginął. Na litość boską czemu Sierra po prostu nie wparował do domów tych trzech kobiet i nie wymierzył im policzków?!

– To jeszcze żaden dowód – powiedział Griffin, zwracając się jednocześnie do Watersa i Fitz'a. – Twierdzenie, że do popołudnia oczyściłby Eddiego z zarzutów, to gruba przesada. Kto był prokuratorem?

– D'Amato – stęknął Fitz. Pracował nad przywróceniem równego oddechu.

– No, widzisz. Właśnie dlatego Sierra przedstawił swoją sprawę w telewizji, a nie w sądzie. D'Amato pożarłby tego dzieciaka żywcem. Czy karty Blockbustera są zaopatrzone w zdjęcie klienta? Nie. Czy nie jest prawdą że każdy mógł przyjść z kartą Eddiego i oddać film? Wydaje

mu się, że facet wyglądał jak Como? W takim razie dlaczego wcześniej nie zwrócił się z tą informacją do policji? Dlaczego czekał cały rok, aby podzielić się tą wiadomością? To jest kluczowe pytanie.

– Bo się bał. – Fitz zagrał adwokata diabła.

– Dlaczego? Gwałcielem z Miasteczka Uniwersyteckiego nigdy nie zaatakował mężczyzny. A nie ma pan, panie Murphy, dziewczyny, matki, siostry? Nie pomyślał pan o nich i groźnym im niebezpieczeństwie? Jeżeli naprawdę był pan przekonany, że Eddie Como nie był Gwałcielem z Miasteczka Uniwersyteckiego, to musiał pan również zdawać sobie sprawę, że prawdziwy przestępca wciąż przebywa na wolności. Dlaczego więc nie ujawnił się pan i nie pomógł policji złapać prawdziwego sprawcy, a tym samym uchronić swoją dziewczynę, matkę, siostrę?

– Nie wiem – przyznał Fitz.

– Oczywiście, że pan nie wie, panie Murphy. A to dlatego, że od dziesiątego maja minął już ponad rok. Jak bardzo może pan ufać własnej pamięci po upływie roku? Czy pamięta pan, co pan jadł wtedy na śniadanie? Jakie ubranie miał pan na sobie? Co pan robił w porze obiadu? Do kogo pan dzwonił? Kim byli pana pozostali klienci? Jaki film pan oglądał? Tak właśnie myślałem, panie Murphy, wcale tak dużo pan nie pamięta z dziesiątego maja ubiegłego roku, mam rację?

Aaa, chyba właśnie znalazłem się w gacie – pisnął Fitz. – Ma pan rację, jestem tylko żalonym chłystkiem. Za to ci detektywi z policji miejskiej to prawdziwi geniusze, po prostu nadludzie. A detektyw Fitzpatrick to supergość. Gdybym miał piękną młodszą siostrę, wysłałbym ją do niego w charakterze przeprosin.

– Skoro poświęcił najlepsze lata swego życia pracy, nie zwracałbym mu głowy.

– Prawda, szczerą prawdą – mruknął Fitz. Wziął ostatni głęboki oddech, wyglądało na to, że w końcu zaczyna nad sobą panować. – Skomputeryzowane dane w wypożyczalni. Kto by pomyślał?

– Skąd wiecie, że gwałt miał miejsce dokładnie o tej godzinie?

– Nie tak znowu dokładnie. Carol Rosen położyła się do łóżka parę minut po dziesiątej. Wydawało jej się, że przespała jakieś pół godziny, kiedy obudził ją hałas w sypialni. Ale nie spojrzała na zegarek.

– Więc nawet jeśli Eddie osobiście oddał kasetę wideo w Warwick, nie znaczy to jeszcze, że potem nie pojechał na East Side.

– Tak. Ale jeżeli weźmiesz pod uwagę zeznanie dzieciaka i odniesiesz je do tego, co mówi Tawnya o tym, jak to Eddie najbardziej lubił siedzieć w domu ze swoją brzemienną dziewczyną i oglądać filmy...

– Eddie zaczyna wzbudzać sympatię. Spokojny domator. A tak swoją drogą, dlaczego sami nie sprawdziliście tej wypożyczalni?

– Kiedy pytaliśmy Eddiego, co robił tamtego wieczoru, minęło już sześć tygodni. Wydawało mu się, że mógł wypożyczyć film, jak to miał w zwyczaju, ale kiedy sprawdził wyciąg z karty kredytowej, okazało się, że jednak tego nie zrobił. Nikt nie pomyślał o zwrocie kasety.

– Nigdy nie jest za późno na naukę – powiedział Griffin sentencjonalnie.

– Ale DNA to wciąż DNA – mruknął Fitz. – Bóg jeden wie, że gdyby w ławie przysięgłych zasiadali sami gliniarze, od razu posłaliby go na krzesło elektryczne. Ale w ławach przysięgłych zasiadają, no wiesz, przysięgli. Więc gdyby Eddie zaczął wyglądać na sympatycznego faceta...

– Wynik procesu stanąłby pod znakiem zapytania – dokończył za niego Griffin. – Ale – dodał po chwili – gdyby zeznanie mimo wszystko wydawało się wiarygodne, D’Amato miałby jeszcze jedną opcję. Mógłby wycofać oskarżenie o drugi gwałt. Wciąż zostałyby Meg Pesaturo oraz Trisha i Jillian Hayes. Eddie i tak dostałby dożywocie.

– Wątpię, żeby spodobało się to Carol Rosen.

– Słuszna uwaga – przyznał Griffin.

Zresztą nawet gdyby D’Amato wycofał się z oskarżenia o drugi gwałt, żeby adwokat Eddiego nie miał okazji wprowadzić dzieciaka na listę świadków – powiedział Fitz – Sierra wciąż mógłby go pokazać prasie dokładnie tak, jak robi to teraz. Dzięki temu Eddie zyskałby dużą sympatię ludzi. A to bardzo by wkurzyło wszystkie ofiary. Kurczę, sam bym się wkurzył.

– Robi się coraz ciekawiej. Myślisz, że właśnie to miała na myśli Tawnya, mówiąc o wyjściu na jaw brudów?

– Nie wiem. Od początku sprawiała wrażenie przekonanej o niewinności Eddiego. Wydaje mi się, że gdyby wiedziała o chłopaku z Blockbustera, od razu by wszystko roztrąbiła. Nie, mówiła raczej o czymś, co dotyczy ofiar.

– A myślisz, że coś przed nami ukrywają? – zapytał Griffin.

– Rozmawiam z nimi od roku. Gdyby było coś, co powinniśmy o nich wiedzieć, już byśmy to wiedzieli. Chociaż z drugiej strony – przyznał się Fitz – właśnie sobie odświeżam mój raport na ich temat.

– To może stanowić motyw. Zwłaszcza dla pani Rosen i jej rodziny.

– Jeżeli założymy, że wiedzieli o dzieciaku z wypożyczalni.

– Co daje nam punkt wyjścia. W jaki sposób adwokat Eddiego Como dowiedział się o chłopaku? I ilu jeszcze ludzi mogło o nim wiedzieć? Zakładając, oczywiście, że dzieciak mówi prawdę.

Fitz westchnął ciężko.

– Przeczuwałem, że ten dzień źle się skończy. Okej, przedyskutujmy sprawę. Pierwszy scenariusz to taki, że obrońca Eddiego wreszcie zmadrał i postanowił sprawdzić wypożyczalnię, tak na wszelki wypadek. W takim razie...

– Chłopak zapewne mówi prawdę, a nie ujawnił się wcześniej, bo albo nie chciał się w to mieszać, albo bał się w to mieszać, albo jedno i drugie.

– W porządku. Przy takim scenariuszu mamy wiarygodnego świadka. To jeszcze nie znaczy, że myliliśmy się co do tego, co Eddie zrobił po oddaniu kasety, ale rzeczywiście wynik procesu staje się wtedy mniej pewny, a ofiary i ich rodziny mają się czego obawiać.

– Racja.

– Jest jeszcze drugi scenariusz. Dzieciak kłamie. Ale dlaczego?

– Może z powodu Tawni – podsunął Griffin. – To atrakcyjna kobieta. Może uznała, że Eddiego przyda się mała pomoc podczas procesu, i przekonała o tym chłopaka, uczynając mu swoich wdzięków. To by znaczyło, że ktoś, zapewne ten dzieciak, włamał się do komputera w wypożyczalni i wpisał dane fałszywej transakcji. Nie wiem, czy to prawdopodobne.

– Widziałeś gębę tego dzieciaka? Nastolatek z taką liczbą przyszczy mógłby się włamać nawet do komputera Pentagonu.

– No, no, dedukcja godna Sherlocka Holmesa.

– Też tak myślę.

– Dobra – powiedział Griffin. – Gdyby chodziło tylko o zeznanie chłopaka, stawiałbym na drugi scenariusz. Ale niepokoją mnie te dane komputerowe. To trochę za dużo jak na zwykłe oszustwo.

– W takim razie wracamy do pierwszego scenariusza, według którego dzieciak mówi prawdę. Oczywiście będziemy musieli go odwiedzić, żeby mieć pewność.

– A to oznacza, że Eddie Como może mieć alibi – podsumował Griffin.

– Bzdura – odrzekł stanowczo Fitz. – Nawet jeżeli dzieciak mówi prawdę, mogliśmy się najwyżej pomylić co do czasu. Eddie po prostu oddał kasetę w Warwick, a potem pojechał do East Side. Nikt nie twierdzi, że gwałciciele nie zwracają filmów do wypożyczalni. Założę się, że nawet Ted Bundy zmywał czasem naczynia. To był Eddie. DNA nie kłamie.

Griffin milczał przez chwilę. Miał wrażenie, że przeżywa déjà vu. Już po raz drugi tego dnia wdał się w rozmowę, podczas której okazywało się, że dowody przeciwko Eddiemu Como są mało przekonujące. Oprócz DNA. W końcu coś go tknęło.

– Słuchaj, Fitz – spytał – jak ścisły był wynik porównania DNA na miejscach przestępstwa z DNA Eddiego Como?

– Co?

– Jak bardzo DNA Eddiego przypominało to z miejsc zbrodni?

– Skąd mam, do cholery, wiedzieć? Nie jestem genetykiem. Raport z ministerstwa zdrowia mówił, że do siebie pasowały. I tyle. Jak coś pasuje, to znaczy, że pasuje. Nie?

– Niekoniecznie.

– Griffin, co ty, do cholery, wygadujesz?

– Jeszcze nie wiem. Ale powiedz mi jedną rzecz. Jesteś absolutnie pewien, że Eddie Como nie miał brata?

JILLIAN

Kiedy Jillian wróciła do domu, była już prawie dziewiąta wieczorem. Późne zakończenie długiego dnia, który nadwreżył jej poszarpane nerwy i przepełnił ją strachem. W drodze od Meg cztery razy sprawdzała tylne siedzenie, aby się upewnić, że nie czai się tam niepożądany gość. Raz otworzyła nawet bagażnik, tak na wszelki wypadek. Wmawiała sobie, że zabezpiecza się przed wścibskimi dziennikarzami, ale wiedziała, że to nieprawda.

Wjechawszy na podjazd, z ulgą powitała widok zapalających się lamp. Prawie rok temu, po pierwszym telefonie Eddiego Como, kazała zainstalować przed domem reflektory reagujące na ruch. Nikt nie mógł zbliżyć się do budynku niezauważenie. Poza tym w domu zamontowano najnowocześniejszy system alarmowy, który można było uruchomić, naciskając przycisk w każdym pokoju albo guzik pilota, którego jej sparaliżowana matka trzymała w kieszeni. Jillian nie zdecydowała się jeszcze na kupno pistoletu, ale spała z gazem pieprzowym pod poduszką. Również matka miała pojemnik schowany w szufladzie przy łóżku. Jak stwierdziła kiedyś Toppi, panie Hayes były przygotowane do wojny.

Nie zgasiwszy światel, Jillian wjechała do garażu. Zamknęła go, dokładnie rozejrzała się po wnętrzu, upewniając się, że nikogo nie ma, i dopiero wtedy otworzyła drzwiczki lexusa i wysiadła. Jak zwykle schowała kluczyki w dłoni, trzymając metalową część między palcami niczym kastet. Nie przestanie zaciskać pięści, dopóki nie wejdzie do domu i nie przeszuka dokładnie kuchni.

Czy wiecie, że w Stanach Zjednoczonych co minutę jakaś kobieta pada ofiarą gwałtu? Wiecie, że najczęściej kobiety są gwałcone we własnych domach? Wiecie, że wielu napastnikom udało się ominąć system alarmowy w ten sposób, że po prostu wkradli się do garażu za samochodem ofiary? Czy wiecie, że zaledwie dziesięć procent oskarżonych o gwałt trafia do więzienia, co oznacza, że przeważająca część gwałcicieli wciąż chodzi po ulicach?

Jillian wiedziała. Czytała o tym. Przeglądała statystyki. Wiedza to władza. Poznaj swego wroga. I ani przez chwilę nie wyobrażaj sobie, że z jakiegoś powodu jesteś bezpieczna. To nieprawda.

Prawie co noc Jillian kładła się do łóżka z bólem w piersi. Prawie co noc około drugiej nad ranem budziła się zrana potem z krzykiem na ustach. Upłynie sporo czasu, nim się z tym upora. O tym też czytała. A na razie – właśnie po to wymyślono gruby makijaż.

Wciąż w garażu, Jillian wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i uniosła głowę. Czas na przedstawienie, powiedziała do siebie i, przybrawszy obojętny wyraz twarzy, otworzyła drzwi.

W kuchni czekała już na nią pielęgniarzka mamy, Toppi. Stała oparta o zlew z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Przepraszam, że wracam tak późno – powiedziała Jillian. Rzuciła na stół torebkę i zdjęła marynarkę.

– Ehe.

– Jak mama?

– Straciła głos, nie zmysły – przypomniała jej z wyrzutem Toppi. – A jak myślisz?

– Oglądała wiadomości?

– Oczywiście.

– A dziennikarze?

– Telefon dzwonił prawie bez przerwy. Musiałam go wyłączyć. Ty i tak nigdy nie dajesz znaku życia. – Spiorunowała Jillian wzrokiem, a ta spuściła głowę.

Dwudziestosześcioletnia Toppi z burzą brudnych kasztanowych włosów i we wzorzystej kolorowej koszuli wyglądała raczej na bezdomną Cygankę niż na pielęgniarkę. Była radosna, pełna energii i przynajmniej w teorii pracowała dla Jillian. Ale nie czuła się podwładną. Od kiedy trzy lata temu zgłosiła się do opieki nad Olivią Hayes, przewróciła dom do góry nogami. Nie tylko wiedziała, co jest najlepsze dla Libby, ale miała także wyrobione zdanie na temat dobra Jillian, Trishy i chłopca roznoszącego gazety. Dzielila się swoimi opiniami bez oporów i z wielkim entuzjazmem. Matka Jillian ją uwielbiała. Tak samo jak Trish.

– Ranisz ją – powiedziała Toppi. – Wiem, że nie chcesz. Wiem, że masz na głowie inne problemy. Ale ranisz ją, Jillian. Ona straciła już jedną córkę, a kiedy znikasz na cały dzień bez wieści, martwi się o ciebie.

– Przepraszam.

– To nie mnie powinnaś przeproszać.

– Ją też przeproszę.

– Zawsze to samo. Ciągłe tylko przeprosiny. To przecież twoja matka, Jillian. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że potrzebuje przede wszystkim twojej obecności? Wróc do domu na kolację. Poczytaj jej coś. Albo, jeszcze lepiej, zabierz ją na grób Trishy.

Jillian powiesiła kluczyki od samochodu na haczyku i zaczęła przeglądać pocztę. Rachunek, rachunek, reklamówka. Przynajmniej nie przyszło nic od niego. Z nieoczekiwaną ulgą odłożyła listy na stół. Toppi natychmiast wykorzystała okazję, by ponowić atak.

– Właśnie tam byłeś, mam rację? U Trishy.

– Tak.

– Twoja mama też za nią tęskni.

Jillian nie odpowiedziała.

– Przecież rozumiesz, że Libby nie może mówić. Kiedy ktoś umiera, wspominamy tę osobę, opowiadając o niej, o tym, ile dla nas znaczyła. Próbujemy z nią rozmawiać, żeby w ten sposób choć na chwilę ją ożywić. Twoja mama nie robi tego na głos, tylko w głowie.

– Wiem.

– Gdybyś po prostu posiedziała przy niej chwilę, pottrzymała ją za rękę. Spojrzała w jej oczy. Oczami można wiele wyrazić. Ona próbuje to robić, wiesz? Gdybyś spędziła z nią trochę czasu, pozwoliła jej patrzeć ci w oczy, mówić bez słów, to naprawdę wiele by dla niej znaczyło.

– Wiem, Toppi. Wiem. – Żelazny temat dyskusji. Przerabiała go przez ostatnie dwanaście miesięcy. Toppi miała rację, a Jillian zdawała sobie z tego sprawę, próbowała się poprawić, ale po prostu nie miała siły. W pracy musiała spełniać życzenia klientów, żeby nie doprowadzić do upadku firmy. Musiała wspierać Carol i Meg w kontaktach z policją i prasą, zawsze mówić to, co trzeba, i podejmować trafne decyzje, żeby nie zawieść ich zaufania. A potem, kiedy wracała do domu...

Kiedy wracała do domu, była wypalona. Widziała filigranową, kruchą i tak łatwą do zranienia matkę. Widziała Toppi, którą zatrudniła, żeby Trish nie czuła wyrzutów sumienia, że się uczy w college'u. Wtedy kruszyły się mury, jakimi się otoczyła, wciąż jednak nie potrafiła zmierzyć się z kobietą, która się za nimi ukrywała. Eddie Como odmienił ją. Wprowadził w jej życie strach. Już za to mogłaby go znienawidzić. A przecież wyrządził jej znacznie większą

krzywdę.

„Ty suko... Dorwę cię, nawet jeśli zajmie mi to resztę życia. Dopadnę cię, nawet z za grobu”.

Jillian otworzyła lodówkę. Choć większość dnia spędziła w restauracji, prawie nic nie zjadła. Przebiegła wzrokiem półkę po półce, ale na nic nie miała apetytu. Stojąca za jej plecami Toppi zmarszczyła brwi.

– Dobrze się czujesz? – zapytała nagle. – Nic ci nie jest, Jillian?

Jillian zamknęła lodówkę. Zaczęła mówić „oczywiście”, ale zobaczyła minę Toppi i kłamstwo uwięzło jej w gardle. Znowu poczuła pustkę w środku. Ból, który czuła od rozmowy z sierżantem Griffinem, stał się niemal nie do zniesienia. Skłamała wtedy. Powiedziała, że nie ma wątpliwości, gdy tymczasem od roku nic nie było dla niej pewne ani oczywiste.

– To był ważny dzień – szepnęła. – Po prostu potrzebowałam czasu, żeby pomyśleć. Musiałam pobyć trochę... sama.

– Z Trish?

– Tak...

– Twoja mama chciała do niej dzisiaj pojechać. Ale obawiałam się dziennikarzy.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi, Jillian – powiedziała łagodnie Toppi. – Ona nie ma do ciebie pretensji. Ja też nie. Należy ci się odrobina wytchnienia.

Jillian uśmiechnęła się. Ten wykład także słyszała już wcześniej. Wiele razy. Oparła się plecami o lodówkę i wzięła głęboki oddech.

– Czy wydaje ci się, że coś się zmieniło, Toppi? Teraz, kiedy on nie żyje. Czujesz różnicę?

Toppi wzruszyła ramionami.

– Nie zamierzam po nim płakać, jeśli o to ci chodzi. Przemoc rodzi przemoc.

– Jak się żyje, tak się umiera?

– Tak.

– Myślałam, że inaczej to przyjmę – wyznała Jillian. – Myślałam, że mi ulży. Że poczuję się pomszczona. Zwycięska. Ale czuję się po prostu... pusta. I... i nie wiedziałam, jak wrócić dzisiaj do domu. Jak spojrzeć Libby w oczy. Czuję... czuję, jakbym ją zawiodła.

– Zawiodła?

– Tak. – Jillian znowu się uśmiechnęła. – Dziwne uczucie. Nie dawało mi spokoju cały dzień. Chyba nie jestem sobą. Powinam się przepaść.

– Jillian... policja tu była. Dwaj funkcjonariusze w cywilu. Chcieli przesłuchać Libby. Musiałam im wytłumaczyć, że to niemożliwe. Czy jest coś, co powinnam wiedzieć?

– Nie – odparła szczerze Jillian, a potem pokręciła głową. – Może właśnie w tym problem. Nie zabiłam Eddiego. Nie wiem, kto to zrobił. I denerwuje mnie to. Ktoś inny go zamordował, a przecież to mnie się to należało. We śnie sama wymierzałam mu sprawiedliwość. Wygląda na to, że jestem jeszcze bardziej żądna krwi, niż mi się wydawało.

– Ja też śniłam, że go zabijam – powiedziała Toppi.

Jillian spojrzała na nią zdziwiona.

– Tak – potwierdziła Toppi. – Ale po tym, co zrobił tobie, Trishy i waszej mamie, śmierć to dla niego za mało. Trzeba mu było odrąbać penisa. A potem niechby sobie żył.

Kastracja nie unieszkodliwia przestępców seksualnych – powiedziała Jillian. – Badania wykazują, że chirurgiczna lub chemiczna kastracja prowadzi u nich do popełniania jeszcze dużo

bardziej brutalnych przestępstw, na przykład do zabójstw. Bo tak naprawdę nie chodzi o seks, tylko o poczucie władzy. Odbierz gwałcielowi penisa, a zastąpi go nożem.

Toppi spojrzała na nią z niepokojem.

– Jillian, za dużo czytasz.

– Wiem. Jakoś nie mogę się powstrzymać.

– A czytałaś o pourazowym zaburzeniu stresowym?

– Tak.

– Bo... bo tego można się właśnie spodziewać, wiesz? Po tym, przez co przeszłaś.

– Zasłużyłam na prawo do lekkiego bzika. – Jillian uśmiechnęła się.

– Nie to chciałam powiedzieć...

– Wiem, Toppi. Wiem, że nie jestem w pełni sobą. Może nie zapomniałam wszystkiego jak Meg ani nie zrobiłam się agresywna jak Carol, ale też cierpię. O, proszę, szczerze wyznanie. Wielki krok w powrocie do zdrowia. Nie lubię mówić o tym na głos. To oznaka słabości. Dzieci mogą cierpieć. Albo zaniedbywane zwierzęta. Ale ja powinnam być ponad to. Przecież nie zostałam nawet zgwałcona. Z jakiego powodu tu rozpaczać?

– Och, Jillian...

– Wiem, że jestem niesprawiedliwa w stosunku do Libby. Chciałabym ci powiedzieć, że mam dobry powód, ale obawiam się, że go nie znam. Ostatnio jakoś... nie lubię wracać do domu. Czasami wręcz wolałabym się znaleźć gdziekolwiek, byle nie tutaj. Chce mi się wsiąść w samochód i jechać. Jak najdalej stąd. – Znowu się uśmiechnęła, ale tym razem ze smutkiem. – Może powinnam pojechać do Meksyku.

– Uciekasz od nas.

– Nie. Po prostu uciekam. Tylko wtedy czuję się bezpieczna.

– On już nie żyje, Jillian. Jesteś bezpieczna.

Jillian potrząsnęła głową.

– Takich jak on jest bardzo wielu, Toppi – powiedziała chrapliwie. – Czytałam na ten temat. Nawet nie masz pojęcia, jak zły jest świat. – Zaczęła się trząść. Boże, naprawdę nie była sobą. Nagle znalazła się znowu w tym straszliwie mrocznym pokoju, gdzie Trisha potrzebowała jej pomocy, liczyła na nią. Lecz Jillian nie udało się jej uratować. O mało sama nie została zgwałcona. A teraz jego już nie było. Jak więc nada swojemu życiu sens, skoro nie może się opiekować Trish ani nienawidzić Eddiego Como?

Wtedy pomyślała o Meg – „Chyba nie byłam szczęśliwa” – i o Carol – „Zamówmy tort czekoladowy” – i nagle zdała sobie sprawę, że je zawiodła. Zmieniła je w wojowniczeki, ale czy po pokonaniu wroga poczuły się lepiej? Doprowadziły do schwytania Eddiego Como, lecz żadna dzięki temu nie ozdrowiała.

A teraz, kiedy Eddie Como zginął, ich świat zaczął się rozpadać.

Jillian zacisnęła powieki, zakryła dłonią usta. Weź się w garść. Weź się w garść. Matka jest w pokoju obok. Znowu przypomniał jej się sierżant Griffin i poczuła się jeszcze bardziej zagubiona. Po mężczyznach nie można oczekiwać niczego dobrego. Wystarczy spojrzeć na Eddiego...

Toppi podeszła do Jillian i łagodnie położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie znam się na tych sprawach – oznajmiła cichym głosem. – Bóg mi świadkiem, że nie byłabym w stanie znieść tego, przez co przechodzisz. Ale wiem jedno. Kiedy naprawdę cierpisz,

naprawdę czujesz się źle, nic nie pomaga bardziej od wyłakania się w ramionach matki. Możesz to zrobić, Jillian. Ona też tego potrzebuje. Obie poczułybyście się lepiej.

Jillian wzięła głęboki oddech.

– Wiem.

– Naprawdę?

Toppi patrzyła na nią zbyt przenikliwie. Jillian odwróciła wzrok. Skoncentrowała się na przywróceniu miarowego oddechu. Potem otarła ręką policzki i zamrugała powiekami, strzepując łzy z rzęs. Powinna się położyć. Dobrze się wyspać. Jutro będzie nowy dzień. Jutro poczuje się lepiej. Z nowymi siłami stanie do walki z prasą i policją.

– Zajrzę do mamy – powiedziała.

– Dobrze – odparła Toppi, ale ton jej głosu zdradzał, że nie dała się oszukać.

Jillian weszła do salonu, gdzie matka siedziała w ulubionym fotelu i oglądała telewizję. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat Olivia Hayes była wciąż piękną kobietą. Drobniutka jak porcelanowa figurka, miała gęste ciemne włosy i duże orzechowe oczy. Włosy były oczywiście farbowane. Co sześć tygodni Libby wybierała się do ulubionego fryzjera, który nakładał sześć odcieni brązu, aby odtworzyć jej naturalną barwę. Kiedy Jillian była mała, lubiła patrzeć, jak wieczorem po powrocie do domu matka czesała długie kasztanowe pukle. Dokładnie sto pociągnięć szczotką. Potem przychodziła kolej na płukanie gardła roztworem sody i wreszcie na grubą warstwę kremu na twarzy.

– Jeżeli będziesz dbać o swoje ciało – mawiała Libby, puszczając oko – twoje ciało zadba o ciebie.

Jillian pochyliła się nad fotelem.

– Cześć, mamó – wyszeptła. – Przepraszam, że wracam tak późno. Objęła matkę łagodnie, uważając, by nie ścisnąć jej zbyt mocno. Kiedy się wyprostowała, zauważyła błysk w jej oczach. Frustracja, złość, trudno było zgadnąć, a Libby nie mogła nic powiedzieć. Od wylewu dziesięć lat temu Libby miała sparaliżowaną prawą stronę ciała i cierpiała na afazję ekspresywną – mimo że doskonale rozumiała, co się do niej mówiło, nie potrafiła odpowiedzieć ani ustnie, ani na piśmie. Jak wyjaśnił to Jillian jeden z lekarzy, umysł jej matki działał najzupełniej sprawnie, gdy jednak próbowała cokolwiek powiedzieć, natrafiał na barierę, której nie potrafił pokonać.

Teraz Libby komunikowała się za pomocą książki z obrazkami, zawierającej rysunki wszystkiego, począwszy od toalety i jabłka, a na fotografiach Jillian, Toppi i Trishy skończywszy. Po pogrzebie Trishy Libby pukała palcem w zdjęcie młodszej córki tak często, że praktycznie się wytarło.

– Widziałaś wiadomości? – zapytała Jillian, siadając na kanapie.

Matka stuknęła palcem w okładkę książeczki, co oznaczało „tak”.

– On już nie żyje, mamó – powiedziała cicho Jillian. – Już nikogo nie skrzywdzi.

Libby uniosła głowę. Spojrzała na córkę przepełnionym goryczą wzrokiem, lecz jej palce pozostały w bezruchu.

– Jesteś szczęśliwa? Nic.

– Smutna? Nic.

– Boisz się?

Matka mruknęła niecierpliwie. Jillian zastanawiała się przez moment.

– Jesteś zła? Pojedyncze stuknięcie. Jillian zawahała się.

– Czekaaś na proces? Energiczne puknięcie.

– Dlaczego, mamoo? Przynajmniej wiemy, że został ukarany. Teraz nie pomoga mu przysięgli z wyrzutami sumienia. Nie musimy się przejmować apelacjami ani tym, że kiedyś wyjdzie z więzienia za dobre sprawowanie. Już po wszystkim. Wygrałyśmy.

Libby wydała z siebie kolejny gardłowy dźwięk. Jillian zrozumiała, o co jej chodzi. Pytania zaczynające się od „dlaczego” nie sprawdzały się w tym systemie. Aby otrzymać odpowiedź, trzeba było zadać właściwe pytanie, a obowiązek wymyślenia go należał do Jillian jako osoby, która potrafiła mówić.

W tym momencie w drzwiach pokoju pojawiła się Toppi.

– Nie widziaaś konferencji prasowej o wpół do siódmej, prawda?

– Nie.

– Adwokat Eddiego mówi, że ma świadka, którego zeznanie przeczy temu, by Eddie mógł zaatakować Carol, bo w tym samym czasie był na drugim końcu miasta i zwracał kasetę do wypożyczalni.

– Żartujesz! – Jillian wyprostowała się gwałtownie.

Na fotelu obok jej matka zaczęła nerwowo przewracać kartki książeczki.

– To niedorzeczne – oświadczyła Jillian. – Carol nie jest nawet pewna, o której godzinie wtargnęła do jej domu. W takim przypadku nie może być mowy o pewnym alibi.

– Niektórzy dziennikarze zaczynają się dopatrywać niesprawiedliwości. Może Eddie został wrobiony. Może policji trochę za bardzo zależało, żeby kogoś aresztować. Może... – Toppi zawahała się – może ty, Carol i Meg trochę za mocno naciskałyście.

– To absurd! – Jillian zerwała się z kanapy, zaciskając pięści. Kiedy czuła się zagrożona, zawsze najpierw reagowała gniewem. A teraz była wściekła. Szybko, dawać jej jakiegoś reportera. Musiała się na kimś wyżyć. – My tylko podsunęliśmy trop punktów krwiodawstwa. To wszystko! A Eddie miał dostęp do domowych adresów zarówno Trishy, jak i Meg. To Eddie widział dwie z trzech ofiar parę tygodni przed atakami. I to jego nasienie zostało znalezione w ich domach. Jak to, do cholery, tłumaczą?

– Nie tłumaczą. Po prostu wymachują jego zdjęciami ze szkolnego albumu i wykrzykują słowa w rodzaju „mniejszość rasowa”, „domniemany” gwałcieiel, „tragicznie” zastrzelony.

– Na litość boską! – Jillian musiała znowu usiąść. Nagle rozboleła ją głowa. Pomyślała, że może być chora. – Robią z niego męczennika – wyszeptala. – Ten, kto go zastrzelił, sprawił, że Eddie zaczyna się wydawać niewinny.

Libby chwyciła Jillian za ramię. Znalazła obrazek, którego szukała. Toppi dołożyła go rok temu, żeby ułatwić Libby porozumiewanie się na temat procesu. Ukazywał alegorię sprawiedliwości – kobietę z przepaską na oczach, trzymającą wagę.

– Wiem, że chciaaś, żeby stanął przed sądem – powiedziała niecierpliwie Jillian. – Zrozumiaaam to.

Matka zacisnęła usta. Pokazała palcem samą wagę.

– Chciaaś sprawiedliwości, a nie samego procesu?

Energiczne stuknięcie.

– Bo nie doczekałyśmy się jej jeszcze – dopowiedziała Jillian. – Media urządziły sobie przedstawienie. Wykorzystują wygląd i pochodzenie Eddiego jako dowody w sprawie. A żeby sprawiedliwości stało się zadość, musiałybyśmy wygrać rzeczywisty proces, podczas którego

dowodłybyśmy ponad wszelką wątpliwość, że Eddie Como rzeczywiście był Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego.

Matka ponownie stuknęła palcem w książeczkę.

– Masz rację, mam. Mnie się to też nie podoba. Zostałyśmy dzisiaj okradzione. – Głos Jillian był pełen goryczy. – Jakbyśmy nie straciły już zbyt wiele.

Libby znowu zaczęła wertować kartki z obrazkami. Zatrzymała się na innym nowym rysunku. Wyglądał jak namalowany ręką dziecka, przedstawiał karykaturę mężczyzny z wielkimi żółtymi kłami i okrągłymi przekrwionymi oczami. Tak właśnie Toppi sportretowała Eddiego, ponieważ obie z Jillian doszły do wniosku, że nie wkleją do książeczki Libby jego prawdziwego zdjęcia.

Teraz Olivia odgięła plastikową folię w albumie i wyrwała portret Eddiego. Potem spojrzała na Toppi i Jillian z błyskiem w oczach i drżącymi wargami. Zgniotła kartkę w słabej dłoni i rzuciła ją na podłogę.

– Masz rację – powiedziała cicho Jillian. – Eddie Como nie żyje, więc raz na zawsze pozbadźmy się go z naszego życia. Mam już zresztą dość strachu, dość gniewu. Nie chcę się już zadrećzać tym, co mogłam zrobić inaczej. – Jej głos podniósł się, nabrał siły. – Do diabła z dziennikarzami. Do diabła z adwokatem Eddiego. I do diabła z ludźmi, którzy nie mają nic innego do roboty, jak tylko emocjonować się telewizyjną parodią sprawiedliwości. Eddie Como za dużo nam odebrał i nie pozwolę mu już zabrać niczego więcej. Koniec. Nie będziemy więcej rozmawiać na jego temat. Nie będziemy się nim przejmować. Nie będziemy się go bać. Od tej chwili Eddie Como nie istnieje!

KLUB OFIAR

Dziesiąta czterdzieści pięć wieczorem. Carol nie wyrzuciła Eddiego Como ze swojego życia. Nie przestała się nim przejmować. Zamiast tego siedziała w ubraniu w pustej wannie. Dotyk zimnej porcelany przyprawiał ją o dreszcze, więc jakąś godzinę wcześniej wymościła wannę ręcznikami. W łazience panowała ciemność. Nie było okien, które wpuściłyby do środka promienie księżyca. Carol nie wiedziała, która jest godzina, ale podejrzewała, że późna. Pewnie po dziesiątej. Po dziesiątej świat przestawał być bezpieczny.

Dan wciąż nie wrócił. W domu panowała cisza. Od czasu do czasu nucila sobie pod nosem tylko po to, żeby usłyszeć jakiś dźwięk. Głównie jednak kuliła się w wannie, dorosła kobieta, która nie może powrócić do łona matki. Z głową opartą o zimną krawędź czekała na to, co nieuniknione.

Nie wyłączyłam telewizora. Nie wyłączyłam telewizora.

Minęła dziesiąta. Carol była sama. I wiedziała, po prostu, że w jednym z pokoi otworzyło się okno, czyjś but uderzył o podłogę, mężczyzna wkradł się do sypialni.

Licho nie śpi. Kobiety padają ofiarą gwałtów, ludzie giną od kul albo od bomb w samochodach. Mężowie opuszczają żony, żony wpadają w rozpacz. Przytrafiają się złe rzeczy. Zwłaszcza po dziesiątej wieczorem. Zwłaszcza jej.

Eddie Como przysłał jej list. Znalazła go w dzisiejszej poczcie, którą Dan zostawił na blacie w kuchni. Różowa koperta z adresem Jillian na odwrocie. Dan pewnie pomyślał, że to tylko miły, dodający otuchy liścik od przyjaciółki. Ona też tak pomyślała. Do momentu, gdy rozdarła kopertę.

„Dorwę cię – napisał Eddie czerwonym atramentem. – Nawet z za grobu...”

Carol uciekła z powrotem do łazienki, ale po drodze zatrzymała się przed domowym sejfem.

„Dorwę cię...”

Nie tym razem, pomyślała. Już nie, ty skurwysynu. Sięgnęła pod ręcznik i delikatnie musnęła dłonią pistolet.

Dziesiąta pięćdziesiąt siedem wieczorem.

Sylvia Blaire wracała piechotą z uniwersyteckiej biblioteki do domu, jutro rano czekał ją egzamin z psychologii. Sylvia lubiła psychologię, nie przykładała się jednak do czytania zadawanych lektur. Teraz w dwa dni musiała nadrobić dwunastotygodniowe zaległości. W ten sam sposób skończyła liceum, ale na wyższej uczelni przychodziło jej to ze znacznie większym trudem.

Osobiście uważała, że profesor Scalia powinien był odwołać test. Przecież nikt normalny nie mógł się uczyć w hałasie wyjących przez całe przedpołudnie syren i ze świadomością, że zaledwie sześć przecznic od biblioteki wybuchł samochód. W powietrzu wciąż unosił się nieprzyjemny zapach benzyny, spalonego lakieru i plastiku. Studenci nie rozmawiali o niczym innym. Prawdę powiedziawszy, w Providence nigdy nie wydarzyło się nic bardziej podniecającego, więc wykładowcy powinni byli odwołać całą sesję egzaminacyjną i pozwolić młodzieży cieszyć się z nieoczekiwanych atrakcji.

Nic z tego. Kadra uniwersytecka to okropne zgredy. Sylvia poszła więc do biblioteki, gdzie udało jej się przeczytać sześć rozdziałów podręcznika. Potem usnęła nad książką i przyśniły jej

się kury wyskrobujące na piasku twierdzenie Pitagorasa w zamian za garść prosa. Pieprzyć taką naukę. Postanowiła wrócić do domu i porządnie się wyspać.

Skreśliła w ulicę, przy której mieszkała. Zwykle kręciło się tu wieczorem sporo ludzi, ale w czasie sesji studenci dostawali ataku egzaminacyjnej paniki i zaszywali się w bibliotekach. Ulica była więc zupełnie pusta.

Nie przeszkadzało jej to. Świecił księżyc, paliły się latarnie. Poza tym wiedziała, jak się zachować. Trzymać się prosto, głowa do góry, iść pewnym krokiem. Zboczeńcy atakują tylko słabe kobiety, które nie potrafią się bronić, a nie takie silne, wysportowane dziewczyny jak ona.

Poza tym w Providence nie było już zboczeńców. Gwałciiciel z Miasteczka Uniwersyteckiego nie żył. Studentki odetchnęły z ulgą.

Sylvia doszła do starego budynku, w którym wynajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze. Zatrzymała się na schodkach przed gankiem i potrząsnęła głową. Żarówka nad wejściem znowu się przepaliła. Ciągle to samo. Żarówka wysiada po trzech tygodniach, a właściciel zwleka następne trzy z wkręceniem nowej. Tę akurat Sylvia kupiła z własnych pieniędzy. Przecież trudno włożyć klucz do zamka w takim mroku.

Zdjęła z ramienia plecak i westchnąwszy ciężko, zaczęła w nim grzebać w poszukiwaniu kluczy. W końcu znalazła je na samym dnie. Były przypięte do nowego breloczka, który dostała dwa tygodnie temu od Centrum Krwiodawstwa na pamiątkę oddania ósmej pinty krwi. Tak trzymać, Sylvio.

Wyciągnęła klucze i po chwili wsunęła jeden z nich do zamka. Usłyszała jakiś dźwięk. Odwróciła głowę...

Jedenasta dwanaście w nocy.

Jillian śpi. Sen jest pełen ciepłych, radosnych kolorów. Sen zdejmuje ciężar z jej piersi i po raz pierwszy od bardzo dawna przenosi ją w miejsce, w którym chciałby być.

Jillian ma szesnaście lat. Siedzi w pokoju hotelowym. Większość młodości spędziła w hotelach. Jest druga nad ranem, a Libby nie ma. Skończyła występ parę godzin temu, ale czas zawsze niewiele dla niej znaczył. Noce są po to, żeby śpiewać, tańczyć, bawić się, pić. Pewnie poznała kolejnego mężczyznę i właśnie się w nim zakochuje. Jillian zdążyła się do tego przyzwyczaić. Gdy Libby się zakochuje, znika na noc częściej niż zwykle. Jej śpiew staje się bardziej zmysłowy. Stroi się w najlepsze sukienki i przynosi Jillian niezwykle upominki. Potem miłość wędnie. Ona rzuca jego albo on ją, albo jego żona wraca do domu. Kto to może wiedzieć?

Libby się odkochuje. Przeprowadzają się do innego hotelu, a Libby obiecuje, że zacznie spędzać z córką więcej czasu. Do momentu, gdy na horyzoncie pojawi się następny przystojny mężczyzna.

Ostatnim razem było jednak inaczej. Ostatni romans miał swoje konsekwencje. Teraz Jillian ma małą przyrodną siostrzyczkę, którą za pozwoleniem mamy nazwała Trishą. Trzymiesięczna Trisha ma pulchne różowe policzki i wielkie niebieskie oczy, jej główkę pokrywają miękkie brązowe włoski. Lubi chwytać Jillian za palec swoją małą rączką. Lubi wierzczać nóżkami. I często gulgocze, i nadmuchuje bąbelki ze śliny, i uwielbia mocne, mokre całusy w brzuszku. A do tego wybucha głośnym, radosnym śmiechem za każdym razem, kiedy Jillian bierze ją na rękę. W tej chwili Jillian trzyma Trishę w ramionach i kołysze do snu, patrząc, jak dziewczynka

z zadowoleniem mruży oczy. Gładzi Trishę palcem po policzku. Wdycha słodki zapach dziecięcego talku. Czuje, jak rozpierają miłość, i wydaje jej się, że gdyby kochała siostrzyczkę jeszcze bardziej, pękłoby jej serce. Libby nie była idealną matką. Czasami Jillian miała tak dość jej lekkomyślnego zachowania, że zaczynała jej nienawidzić. Ale trzy miesiące temu przebaczyła jej wszystko w zamian za jeden drogocenny dar. Za Trishę Jane Hayes. Wreszcie Jillian ma kogoś, kogo może kochać całym sercem. Wreszcie ma kogoś, kto jej nigdy nie opuści.

Cicha, spokojna noc. Trisha uśmiecha się i wierzga stopkami.

Jillian wie, że śni, i chciałaby zatrzymać tę chwilę na zawsze. Rozumie, nawet we śnie, że niedaleko czai się mrok. Wie, że jeśli obróci głowę, piękny hotelowy pokój pryśnie jak bańka mydlana, a ona znajdzie się w zupełnie innym miejscu. Wie, że jeśli przyjrzy się dziecięcej buzi Trishy, ta zmieni się w dorosłą, konającą w jej objęciach siostrę. Zdaje sobie sprawę, że jeśli zacznie się za bardzo zastanawiać, dojdzie do wniosku, że tej chwili nigdy nie było, że siostra jako dziecko całymi nocami płakała za mamą, a Jillian przytłaczały związane z nią obowiązki. We śnie wie, że śni, a tylko jej miłość do siostry jest prawdziwa.

Jakiś hałas. W wysnionym hotelowym pokoju wysniona Jillian odwraca głowę. Wsłuchuje się bardzo uważnie w przenikliwe wycie syren za oknem.

Po chwili jednak pokój znika. Trisha znika. A obie Jillian – ta wysniona i ta rzeczywista – w tym samym momencie uświadamiają sobie, że jęk syren nie dochodzi z ulicy, lecz z wnętrza domu. Z sypialni Jillian.

Ktoś włączył alarm.

Dźwięki. Najpierw zgrzyt gdzieś na dole. Potem trzask.

Ktoś wtargnął do domu. Ktoś naprawdę jest w jej domu. Lęk, który nie opuszczał Carol przez cały wieczór, stał się nagle przerażająco rzeczywisty.

Bardzo powoli rozprostowała nogi, które zdrętwiały, gdy trzymała je podkulone. Potem odsunęła ręczniki i przylgnęła mocno do dna wanny. Odgłosy w korytarzu. Może w sypialni. W tej sypialni.

Carol bardzo ostrożnie podniosła pistolet i wycelowała w drzwi łazienki.

Kroki w korytarzu. Zbliżające się kroki. – Dan? – zawołała przez ściśnięte gardło. Pytająco. Z nadzieją.

Żadnej odpowiedzi.

I wtedy kroki zatrzymały się, dwa cienie w szparze pod drzwiami. Był tutaj. Carol przeszedł dreszcz. Spokojnie, Carol. Spokojnie... Zaciśnęła w dłoni pistolet. Wstrzymała oddech... Mosiężna gałka zaczęła się z wolna obracać.

Jillian wyskoczyła z łóżka. Narzuciła szlafrok, podbiegła do drzwi, nagle odwróciła się, wróciła po gaz pod poduszką. Alarm wciąż rozbrzmiewał w całym domu.

Wybiegając na korytarz, zobaczyła ubraną w białą lnianą piżamę Toppi, mrugającą sennie oczyma.

– To ty...

– Nie.

– Libby! – wykrzyknęły razem.

Jillian pchnęła drzwi do pokoju matki i wparowała do środka ze sprayem w ręce, rozglądając się trwożnie dookoła. Libby leżała w łóżku blada jak prześcieradło, przyciskając do piersi pilota.

– Mamo, co się stało?

Libby podniosła roztrzęsioną rękę. Wskazała na okno. Jillian i Toppi obrócili głowy.

Jedenasta trzydzieści trzy.

Griffin wciąż siedział w sali konferencyjnej i przeglądał kolejne dokumenty, gdy w drzwiach pojawiła się głowa oficera dyżurnego.

– Sierżancie.

– Słucham, Girard?

– Właśnie odebraliśmy zgłoszenie z East Greenwich. Włączył się domowy system alarmowy i jakaś kobieta w szlafroku biega po trawniku przed posesją. Pomyślałem, że to pana zainteresuje. Dom należy do Jillian Hayes.

– Cholera jasna. – Alarm w domu Jillian właśnie tej nocy nie mógł oznaczać nic dobrego. A Griffina dzieliło od niej co najmniej dwadzieścia minut jazdy samochodem.

– Zrób mi przysługę, Girard, i zadzwoń do detektywa Fitzpatricka – zawołał, wybiegając z sali.

– Tego z policji miejskiej?

– Tak.

– Przykro mi, ale detektywi z miejskiej mieli wezwanie. Jakiś incydent w kampusie.

Griffin zatrzymał się.

– W kampusie?

– Tak jest, sierżancie. W kampusie – powtórzył Girard.

Drzwi łazienki otworzyły się. Carol zmrużyła oczy i delikatnie nacisnęła spust.

Raz, dwa, trzy. Mała dwudziestka dwójka podskoczyła jej w ręce. Ciemna barczysta postać padła na podłogę.

– Jezus, Maria – jęknął męski głos. – Chyba mnie postrzeliłaś.

– Dan?! – zawołała Carol.

Jillian biegała po trawniku w niebieskim szlafroku, zaglądając za każdy krzew, za każde drzewo. Palily się światła, sąsiedzi wyglądali przez okna, wylęgali na ulicę, wyły syreny radiowozów. Robiła z siebie pośmiewisko. Nic jej to nie obchodziło.

– Wyłaż, wyłaż, ty draniu! – krzyczała. Wymierzyła pojemnik z gazem w jeden z krzewów i obficie spryskała szumiące liście. – Żartów ci się zachciało? Już ja ci pokażę, ty tchórzliwy sukinsynu. Wyłaż, do cholery!

Podbiegła do ogrodzenia. Sąsiedzi cofnęli się trwożnie. Nie zwracała na nich uwagi. Od gazu łzawiły jej oczy, miała zatkany nos. On musiał gdzieś tu być. Nie mógł uciec daleko. Znajdzie go, złapie i...

Musiała się na kimś wyżyć. Musiała zadać komuś ból i przerażało ją to, więc wciąż biegała, tratując rozkwitające krzewy, deptając rządkie świeżo zasadzonych bratków. Musiała działać. Walczyć. Nie była już w mrocznej suterenie. Nie była bezsilna!

Ten krzak. Poruszył się. A to tchórz jeden!

Jillian rzuciła się przed siebie i nagle wpadła na coś twardego.

– Au! – jęknęła, cofnąwszy się, po czym podniosła wzrok i zobaczyła sierżanta Griffina.

– Jillian – usłyszała jego łagodny głos.

– Widział pan, co on zrobił?

– Powiedzieli mi, co się stało.

– To sypialnia mojej matki. Wie pan, jak się przestraszyła? Musiałam wezwać karetkę, nie mogła oddychać. Jeżeli przez tego sukinsyna miała kolejny zawał, to przysięgam, że zabiję go własnymi rękami. Dorwę go i zatłukę!

– Jillian – powtórzył Griffin.

– To sypialnia mojej matki! Jaki kretyń mógł zrobić coś takiego? Właśnie dzisiaj. O Boże, biedna Libby...

Łkając i słaniając się na nogach, spuściła wzrok. Jej szlafrok powiewał na wietrze. Stała półnaga pośrodku trawnika. Wyły syreny, światła radiowozów oblewały dom jaskrawą czerwienią. Ludzie gapili się na nią.

Na szybie okna w sypialni jej matki ktoś napisał ociekającą czerwoną farbą *Eddie, Como żyje..*

– To wcale nie jest zabawne – wymamrotała. – Co za okropny żart. Zatoczyła się, a Griffin złapał ją w obawie, że upadnie.

– Przykro mi – powiedział.

– Nienawidzę tego! – jęknęła, tuląc się do piersi policjanta.

– Jillian... – powtórzył Griffin.

Coś w tonie jego głosu kazało jej podnieść wzrok. Patrząc w jego błękitne oczy, bez żadnego powodu zaczęła myśleć o jego zmarłej żonie. Jak to było kochać tego mężczyznę? Leżeć w objęciach jego silnych ramion, patrzeć w jego spokojne oczy, a mimo wszystko czuć wolno, lecz nieodwołalnie zbliżającą się śmierć?

– Co się stało? – wyszeptała.

– Bardzo mi przykro. Właśnie rozmawiałem z detektywem Fitzpatrickiem... W kampusie zgwałcono kolejną kobietę.

– To niemożliwe. Przecież Eddie nie żyje. Nie mógł już nikogo skrzywdzić. Ten napis to tylko wygłup jakiegoś szczeniaka.

Sierżant Griffin nie powiedział ani słowa. Wciąż trzymał ją w ramionach, chroniąc przed upadkiem i wzrokiem sąsiadów. Nie puści jej, dopóki nie będzie gotowa. Teraz to rozumiała. Będzie tu stał tak długo, jak będzie trzeba. Na tym polegała jego praca. A nawet wtedy, gdy prowadził sprawę tamtego pedofila dziennikarze mówili, że traktuje pracę poważnie.

Wpatrywała się w jego pociągłą kościstą twarz. Spoglądała w spokojne błękitne oczy. W nagłym odruchu wyciągnęła rękę i pogładziła jego szorstki policzek. Zastanawiała się, co by pomyślał, gdyby się dowiedział, że od roku nikt jej nie dotykał.

Potem bardzo powoli wyprostowała się, zrobiła krok do tyłu i zawiązała pasek szlafroka.

– Brunetka? – zapytała.

– Tak.

– Lateksowe opaski?

– Tak.

– Czy ona...

– Została uduszona. Jillian zamknęła oczy.

– Dobrze, sierżancie. Może pan wejdzie do środka?

Dwunasta dwadzieścia jeden.

W domu państwa Pesaturo nie paliły się żadne światła. Tom i Laurie spali spokojnie po przeciwnych stronach wielkiego małżeńskiego tapczanu. Mała Molly leżała skulona w różowej pościeli swojego łóżeczka. W pokoju obok Meg zaczęła się przewracać z boku na bok, pogrążona we śnie.

Ciemno-czekoladowe oczy. Łagodne ręce. Uśmiech kochanka. Jego palce przeczesują jej włosy. Po chwili jego dłoń wędruje niżej i muska jej pierś.

– Powinniśmy przestać – szepcze jej do ucha.

– Nie, nie...

– To by nie było w porządku. – Łagodnie ściska jej sutek.

– Proszę...

– To nie w porządku.

– Proszę...

Przesuwa dłoń niżej. Meg wije się i wypina biodra. Po chwili jego palec wsuwa się w nią. Jej ciało drży z rozkoszy. Meg odchyła do tyłu głowę.

Ciemno-czekoladowe oczy. Łagodne ręce. Uśmiech kochanka.

Meg obudziła się, otworzyła oczy.

– David – szepnęła.

KLUB OCALONYCH

– Postrzeliłam męża. – Co takiego?

– Wczoraj wieczorem, kiedy wrócił do domu. Bałam się. Właśnie dostałam następny list od Eddiego Como. Tym razem na odwrocie był twój adres, Jillian. Więc strzeliłam i... trafiłam go w ramię. Całkiem niezłe. Lekarz był pod wrażeniem.

Jillian zmarszczyła brwi.

– Przecież umówiliśmy się, że nie będziemy nosić broni palnej.

– Nie, Jillian. Tylko ty tak postanowiłaś. Ale ja wciąż mam prawo myśleć samodzielnie. No i co ty na to?

– Myślę, że najważniejsze, co na to Dan – odparła spokojnym głosem Jillian.

Meg westchnęła i przysunęła sobie krzesło. Sprawy nie wyglądały najlepiej. Carol była tak zdenerwowana, że nie potrafiła usiedzieć przy stole, który zarezerwowały na nadzwyczajne klubowe spotkanie w restauracji na Federal Hill w osobnej salce. Za to ubrana w zapięty pod samą szyję granatowy kostium Jillian siedziała tak prosto i sztywno, jakby znalazła się na audyencji u królowej. Panowała nerwowa atmosfera. Tylko Meg była spokojna. Jak zwykle za mało wiedziała. Poza tym cały ranek zmagала się ze swoim pierwszym kacem. Przynajmniej tak jej się wydawało.

– Czy nie mogłybyście mówić trochę ciszej? – zapytała. Carol spojrzała na nią gniewnie. Jillian uśmiechnęła się lekko.

– Kac?

– Chyba tak.

– Modliłaś się wczoraj do porcelanowego boga?

Meg dopiero po chwili zrozumiała, że chodzi o wymioty.

– Nie. W każdym razie nie wydaje mi się.

– Nie martw się, przeżyjesz – zapewniła ją Jillian.

– Przepraszam – wtrąciła się Carol. – Właśnie mówiłam, że postrzeliłam męża. Co mam zrobić, żeby w końcu ktoś mnie wysłuchał? Zabić go?

– Nie wiem – odparła Jillian. – Czy właśnie dlatego do niego strzeliłaś?

– Na litość boską...

– Posłuchaj nas przez chwilę...

– Nie ma żadnych „nas”, Jillian! Jesteś tylko ty. Od początku tak było. Meg i ja jesteśmy tylko marionetkami w twojej krucjacie o sprawiedliwość. Klub Ocalonych. Też coś! Ten klub nie ma na celu ocalenia, tylko zemstę. Po prostu nie możesz tego powiedzieć przy dziennikarzach. Ale proszę, Eddie Como nie żyje, ja postrzeliłam męża, następna dziewczyna została zaatakowana, a media trąbią o nagonce na niewinnego człowieka. I co ty na to, Jillian? Jak zamierzasz rozegrać tę partię?

Jillian wstała od stołu i zaczęła chodzić nerwowo w tę i z powrotem. Miała bladą, kamienną twarz i sztywne, nienaturalne ruchy. Meg tylko raz widziała ją w takim stanie. Kiedy Eddie Como po raz pierwszy się z nimi skontaktował. Meg wtedy trochę się bała Jillian.

– Ktoś wtargnął w nocy na mój teren – oznajmiła Jillian. – Odkręcił żarówki we wszystkich reagujących na ruch lampach przed domem, potem namalował na oknie sypialni mojej matki „Eddie Como żyje” i wkręcił żarówki z powrotem. Na miłość boską, mamie trzeba było podać

tlen! Myślisz, że nie wiem, co to strach, Carol? Myślisz, że nie wiem, co działo się w twojej głowie, kiedy późno w nocy usłyszałaś czyjeś kroki na korytarzu? Gdybym dwanaście godzin temu miała przy sobie pistolet, też bym kogoś postrzeliła. I pewnie byłby to niewinny chłopak z sąsiedztwa. Dlatego powiedziałam: żadnej broni palnej.

– Święta Jillian...

– A niech cię, Carol. Chcesz o tym porozmawiać? Dobrze. Fitz i sierżant Griffin będą tu za dziesięć minut, więc załatwmy to szybko.

– Znowu to samo, Jillian. Ja próbuję rozmawiać, a ty ustalasz jakąś pieprzoną strategię.

Jillian zacisnęła wargi i spojrzała na Meg.

– Chcesz się wycofać?

– Słucham?

– Pytam, czy chcesz się wycofać z klubu? Czy masz już dość tej grupy?

– Nie... naprawdę. Nie chcę.

– Dlaczego?

– Bo... bo potrzebujemy siebie nawzajem. Bo z kim mogłybyśmy porozmawiać o aktach nocnego wandalizmu albo o strzelaniu do męża z pistoletu? Ludzie potraktowaliby nas jak wariatki. Z nimi... to by nie było prawdziwe.

– Nasze rozmowy też nie są prawdziwe! – zawołała Carol. – O to mi właśnie chodzi. Minęło dwanaście miesięcy. Mamy za sobą uprzejme rozmowy, dyskusje o prawach ofiar i strategiach sądowych. A przynajmniej powinnyśmy mieć. Skoro tworzymy Klub Ocalonych, to wreszcie powinnyśmy się skoncentrować na ocaleniu. Tylko że ty, Jillian, nie chcesz o tym słyszeć. Lubisz, jak policja składa nam wyjaśnienia albo D'Amato prezentuje zawiłości procesu sądowego. Ale kiedy jesteśmy same, kiedy rozmowa staje się zbyt szczerą, zbyt bolesną, zamykasz się w sobie. Gorzej, nam też nie pozwalasz mówić. A to niesprawiedliwe. Szczerze mówiąc, gdybym chciała być traktowana w ten sposób, wróciłabym do domu, do męża.

– Uzbrojona? – zapytała Jillian.

– Gdybym miała choć trochę oleju w głowie – ucięła Carol. Jillian uśmiechnęła się.

– Przepraszam – powiedziała cicho.

Carol popatrzyła na nią podejrzliwie. Meg ziewnęła, pragnąc w duchu, żeby starsze przyjaciółki wreszcie zaczęły się dogadywać. Jillian i Carol były jak ogień i woda, ale potrzebowały się. Ona też ich potrzebowała. Zwłaszcza teraz, kiedy następna dziewczyna została zgwałcona i zamordowana. Meg nie potrafiła odpędzić myśli, że jej też mogło się to przytrafić. A biedna Jillian musiała myśleć o Trishy. Po takiej nocy jak ostatnia na pewno o niej myślała.

Jillian spuściła głowę i popatrzyła na Carol.

– Może masz rację... – Zawahała się. – Kiedy jestem zdenerwowana – podjęła – muszę się na czymś skoncentrować. Obmyślam plan i wprowadzam go w życie. Muszę się czymś zająć, działać. Możliwe, że rzeczywiście narzucam to całej grupie.

– Ja tak nie potrafię – powiedziała Carol głucho. – Wracam co wieczór do tego samego domu, do tego samego męża, który nie przyjechał na czas, do tej samej sypialni na piętrze, do której wkradł się gwałciciel i zabrał moje życie. Ty potrafisz się zdystansować. Meg potrafi się zdystansować. Ja nie. Tamta noc jest jak bagno, z którego nie umiem się wydostać.

– Dlaczego nie sprzedasz domu? Dlaczego się nie przeprowadzisz? – zapytała Meg.

– Dan tak go kocha – odparła Carol bez namysłu.

– Ciebie kocha na pewno bardziej.

Carol nie odpowiedziała. Jej twarz mówiła sama za siebie.

– Aż tak cię odpycha? – zapytała łagodnie Jillian.

– Dan tak bardzo się ode mnie odsuwa, że nie wiem, dlaczego w ogóle wraca do domu – odpowiedziała Carol. Siedziała teraz przygarbiona, a złość na jej twarzy ustąpiła bolesnej rezygnacji. – Nie chce rozmawiać. Nie chce się kłócić, nie chce nawet racjonalizować tego, co się stało. Po prostu ten temat jest tabu. Mieszkamy w domu z olbrzymim słoniem i oboje udajemy, że go nie dostrzegamy.

– Nigdy nie rozmawialiście o gwałcie?

– Na początku rozmawialiśmy o tym, co mówili lekarze. Potem o tym, co mówiła policja albo D’Amato. Czasami rozmawiamy o naszych klubowych spotkaniach. Więc rozmawiamy. O tym, co mówią inni.

– Musi mu być ciężko – odezwała się Meg. – Przecież jest facetem. Spójrzcie tylko na mojego ojca. Wciąż nienawidzi siebie za to, że nie było go, kiedy Eddie mnie zaatakował. A przecież nie mieszkaliśmy nawet pod jednym dachem. Twojemu mężowi musi być znacznie trudniej. Ciekawe, co mu mówią inni faceci?

– Inni faceci?

– No, mężczyźni też rozmawiają. Okej, może niezupełnie. Nie tak jak my. Ale na pewno wiedzą, że jego żona została zgwałcona. I to we własnym domu. Na pewno jest mu z tym ciężko. Pewnie czuje się jak nieudacznik. Co to za mężczyzna, który nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa kobiecie, którą kocha? Wiem, że gdyby coś przytrafiło się mojej mamie, ojciec od razu poleciałby po piłę spalinową. A potem wujek Vinnie... No, nieważne. To już zupełnie inna historia.

– Przecież nie mógł wiedzieć, co się stanie – powiedziała Carol. Jillian popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Mówiłaś mu to?

Carol zawahała się, po czym pokręciła głową.

– Dlaczego?

– Bo jednak winię go za to, co się wydarzyło. Bo modliłam się, żeby wrócił tamtej nocy do domu. Kiedy tamten mężczyzna wyczyniał ze mną niewyobrażalne rzeczy, cały czas miałam nadzieję, że Dan wróci. Ale to trwało i trwało, i trwało, a jego nie było! Potrzebowałam go! Jak mógł mnie tak zostawić?

– Nie mógł wiedzieć... – spróbowała Jillian.

– Sama powiedziałaś, że zawsze pracuje do późna – podrzuciła Meg.

– Ale nie pracował! Do cholery jasnej! – Carol schowała twarz w dłoniach. Chwilę później uniosła głowę, po jej policzkach płynęły łzy. – Od miesięcy go podejrzewałam. Te wszystkie wieczory w pracy. Te „nagle spotkania z klientami”. Więc zaczęłam dzwonić do jego kancelarii. Nigdy nie odebrał. Ani razu. Tamtego wieczoru też dzwoniłam. O wpół do dziesiątej. Nikogo nie zastałam. Spójrzmy prawdzie w oczy. Mój mąż nie mógł mnie ocalić od gwałtu, bo był za bardzo zajęty harcami z kochanką.

– Och, Carol...

– Więc jak miałam z nim o tym rozmawiać? – podjęła Carol. – Powiedzieć: Hej, Dan, przeproszę cię za to, że zostałam zgwałcona, jeżeli ty mnie przeprosisz, że masz romans. Albo:

Dan, przepraszam, że tak wariuję, ale proszę, przyznaj, że jest ci przykro, że nie wróciłeś na czas do domu. A może: Powiem, że mi przykro, że nie mamy dzieci, jeżeli przeprosisz za to, że ciągle mnie ignorujesz, stawiasz pracę na pierwszym miejscu i zamykasz mnie w domu, który tylko przypomina mi, jak bardzo jestem samotna. I co potem? Zestarzejemy się wspólnie, a za każdym razem, gdy na siebie spojrzemy, będziemy widzieć, jaką katastrofą okazało się nasze małżeństwo? Właśnie na tym polega kłopot z małżeństwami. Zaczyna się od potrzeby intymności, a kiedy jest już za późno, przypominasz sobie, że bliskość rodzi obojętność.

– Wciąż go kochasz? – zapytała Jillian.

– Tak – odpowiedziała Carol i znowu się rozplakała.

Przez długi czas nikt nie wymówił ani słowa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kelnerka, znana im z poprzednich spotkań, zajrzała do środka.

– Jillian, policja przysłała. Jillian popatrzyła na Carol.

– Poprosić, żeby przyszli kiedy indziej?

Meg uświadomiła sobie, że był to największy gest pojednawczy, na jaki Jillian potrafiłaby się kiedykolwiek zdobyć.

Carol jednak zdążyła wziąć się w garść. Otarła twarz serwetką i poprawiła makijaż.

– Nie. Niech wejdą. Musimy się dowiedzieć wszystkiego o tej dziewczynie.

– To pewnie ktoś, kto się podszywa pod Eddiego – powiedziała Jillian.

– Nie – odparła Meg.

– Nie możemy tego wiedzieć.

– Ja wiem.

– Meg...

– Mam przecucie. Ta dziewczyna jest jedną z nas.

Carol i Jillian zmarszczyły brwi, jeszcze raz zjednoczone wspólną troską o biedną, zagubioną Meg. Ale dziewczyna nie dawała za wygraną. Wiedziała, że ma rację. Dziś rano znowu śledziły ją te same oczy. I po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że śmierć Eddiego Como nie oznaczała końca kłopotów, ale początek nowych.

– Możesz ich wprowadzić – powiedziała Jillian do kelnerki.

– Przykro mi, Carol – szepnęła Meg.

– Mnie też – dodała Jillian.

Potem wszystkie umilkły. Detektyw Fitzpatrick i sierżant Griffin weszli do pokoju.

FITZ

Gdy Griffin po raz drugi zobaczył trzy kobiety razem, żadna nie wyglądała na tak opanowaną jak ostatnio. Siedząca twarzą do niego Carol Rosen miała zaczerwienioną twarz i zapuchnięte powieki. Stojąca u szczytu stołu Jillian Hayes była blada, jakby przez ostatnią noc nie zmrzyła oka, a siedząca najbliżej drzwi Meg Pesaturo krzywiła się, jakby bolała ją głowa. To pewnie po wczorajszym szampanie, pomyślał. Maureen w porannych wiadomościach przytoczyła wypowiedzi naocznych świadków z restauracji rue de Pespoir.

Choć jeszcze o tym nie wiedziały, Jillian, Carol i Meg stały się ośrodkiem wielkiego skandalu sądowego. I to zaledwie po dwudziestu czterech godzinach od zastrzelenia Eddiego Como. Griffin zastanawiał się, jakie niespodzianki przyniesie następny dzień.

– Jillian, Carol, Meg – powiedział Fitz.

Griffin nie wiedział, czy Fitz zdaje sobie sprawę, że wita kobiety zawsze w tej samej kolejności. Od najwyższego do najniższego stopnia, pomyślał. Albo od najpóźniejszej do najwcześniejszej ofiary.

Kobiety milczały, patrzyły tylko na Fitz'a i Griffina z obojętnymi minami osób, które oczekują złych wiadomości i jak najszybciej chcą mieć ich usłyszenie za sobą.

– Dziękuję, że zechciałyście się ze mną spotkać – zaczął oficjalnym tonem Fitz, odsuwając krzesło. – Na pewno pamiętacie sierżanta Roana Griffina. Zaprosiłem go tutaj nie tylko ze względu na grzeczność. Wydarzenia ostatniej nocy mogą mieć związek ze śmiercią Eddiego Como, a sierżant Griffin prowadzi śledztwo w tej sprawie.

Griffin uśmiechnął się do pań, uważając, żeby nie patrzeć zbyt długo na Jillian.

– No, dobrze – podjął Fitz. – Zdaje się, że wczoraj w nocy wiele się wydarzyło.

– Tak – odpowiedziały Jillian i Carol jednocześnie. Fitz uśmiechnął się wymuszenie.

– Może zacniemy od pani, Carol?

– Dostałam list. W różowej kopercie. Z adresem Jillian na odwrocie. Nie spojrzałam na stempel. Kiedy go otworzyłam, okazało się, że był od Eddiego.

– Mam nadzieję, że go pani nie wyrzuciła.

– Przecież znam zasady – odparła Carol, zadzierając głowę.

– Dobrze. Co było w liście?

– „Dorwę cię. Nawet z za grobu”. Trochę spanikowałam. W domu nikogo nie było, więc jeszcze bardziej się przestraszyłam. Wyjęłam pistolet z sejf. I... niestety postrzeliłam Dana, kiedy wrócił.

– Istnieją inne sposoby rozwiązywania problemów małżeńskich.

– Ale to było przez pomyłkę!

– Aha. Jak on się czuje?

– Przeżyje – odparła Carol. – Ale minie sporo czasu, zanim ramię się zagoi. I pewnie jeszcze więcej, zanim przestanie się bać chodzić po własnym domu. Ja oczywiście od dawna wiem, jak to jest.

Fitz puścił mimo uszu tę gorzką uwagę i powoli przeniósł wzrok na Jillian.

– Pani kolej.

Ktoś namalował czerwoną farbą napis „Eddie Como żyje” na oknie sypialni mojej matki, a potem włączył światła przed domem, żeby mama na pewno się obudziła. Dobra wiadomość jest

taka, że mama przeżyje. Ale nie ręczę za siebie, jeśli dorwę szczeniaka, który to zrobił.

Fitz pokiwał głową. Prawdopodobnie przeczytał raport policji z East Greenwich, który mówił to samo. Zwrócił się więc do Meg.

– A pani?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– U mnie nic się nie dzieje. Spójrzmy prawdzie w oczy, jestem po prostu nudna.

– I Bogu dzięki. Gdyby było inaczej, zabrakłoby nam mundurowych do patrolowania ulic, bo wszyscy zajmowałiby się wami – oznajmił szorstko Fitz. Był zmęczony. Całą noc siedział na miejscu zbrodni w College Hill i przez telefon śledził wydarzenia w domu Jillian. Teraz miał podkrążone oczy i był blady jak śmierć. Rzadkie włosy na głowie sterczały mu we wszystkie strony, a na pomiętej białej koszuli pojawiły się dwie nowe plamy. Wyglądały na ketchup i musztardę. Prawdopodobnie w biegu zjadł śniadaniokolację w postaci hamburgera od Braci Haven. Ta mieszcząca się w pobliżu ratusza jadłodajnia od czterdziestu lat żywiła policjantów, o czym wymownie świadczył poziom ich cholesterolu.

– Skoro już o tym mowa... – odezwała się Jillian.

– Właśnie – wtrąciła Carol. – Czy to on to zrobił? Niech pan powie.

Fitz odchylił się do tyłu, tak że krzesło zabalansowało na dwóch nogach. Omiótł wzrokiem pokój, a następnie długo przyglądał się twarzom trzech kobiet.

– Pytanie warte miliona dolarów, prawda? Jeżeli „on” to Eddie Como, a przez „to” rozumiecie gwałt i zabójstwo tej dziewczyny, odpowiedź brzmi „nie”. Eddie Como nie żyje. Widziałem ciało. Sierżant Griffin je widział. Eddie Como na pewno nie żyje. – Gwałtownym ruchem pochylił się do przodu. – Z tego, co wiem, wypiliście nawet wczoraj szampana, żeby to uczcić.

Carol otworzyła szeroko oczy. Chwilę później wszystkie trzy zarumieniły się.

– Jillian, Jillian, Jillian – zaintonował Fitz, odwracając głowę w jej stronę. – Wydawało mi się, że ma pani więcej rozumu. Naprawdę myślała pani, że dziennikarze nie dowiedzą się, co robiłyście wczoraj rano? Naprawdę wyobrażała sobie pani, że w pełnej ludzi restauracji ani jedna osoba nie zdecyduje się mówić?

– To był mój pomysł – zaczęła Carol.

Nieważne czyj – przerwała jej Jillian. – Wszystkie zgodziłyśmy się zamówić szampana. Wszystkie go piłyśmy. A jeśli komuś się to nie podoba, to jego problem. Nie kandydujemy na żadne publiczne stanowisko. Nie jesteśmy nawet gwiazdami filmowymi ani lokalnymi sławami. Jesteśmy po prostu zwykłymi kobietami, a to, co robimy, to nasza prywatna sprawa.

– Niech pani nie będzie naiwna – upomniał ją Fitz. – Same skontaktowałyście się rok temu z mediami. Od pierwszej konferencji prasowej wasze problemy stały się problemami publicznymi. Nie możecie się teraz wycofać.

– On nas zgwałcił! Jak niby miałyśmy zareagować? Rwać włosy z głowy? Płakać nad jego grobem?

– Tak byłoby lepiej!

– Dla kogo? Eddie Como zabił moją siostrę. Pieprzyć go!

– Pieprzyć go? Czy może zamordować?

Jillian westchnęła ciężko, odchodząc od stołu.

– Słuchaj, Fitz. Jeśli dalej będziesz serwować takie kawałki, zadzwonię po adwokata.

Fitz zerknął znacząco na Griffina.

– Czy pani adwokat będzie potrafił wytłumaczyć fakt, że ostatnio podjęła pani z konta dużą sumę pieniędzy? – zapytał Griffin.

– Widzę, że nie tracił pan czasu, sierzancie.

– Staram się – odparł skromnie. Carol i Meg spojrzały na Jillian z niemym zdziwieniem.

– Potrzebowałam pieniędzy – odpowiedziała po chwili.

– Na co?

– Z osobistych powodów.

– Jakich?

– Z powodów osobistych, które nie mają nic wspólnego ze śmiercią Eddiego.

– Będzie to pani musiała udowodnić – oświadczył Griffin.

– Oskarża mnie pan o coś, sierzancie?

– Nie.

– W takim razie nie muszę niczego udowadniać.

Griffin nie miał innego wyjścia, jak tylko pokiwać głową. Jillian poczytywała sobie za największą zaletę fakt, że potrafiła zachować zimną krew w podbramkowych sytuacjach. Tylko zeszłej nocy jej się to nie udało. Wtedy nie była chłodną, opanowaną bizneswoman. Jej długie włosy opadały w nieładzie na twarz. Jej ruchy były nerwowe, strach prawdziwy, a wściekłość niepoohamowana. Kiedy objęła jego szyję, jej ręce szukały autentycznej podpory, a nogi naprawdę ugięły się pod ciężarem tych czerwonych liter wymalowanych na jej domu. Chodziło o jej matkę, uświadomił sobie nagle. Jillian zachowywała spokój, póki sprawa dotyczyła jej samej. Kiedy jednak jej rodzina znalazła się w zagrożeniu...

Głupia myśl dnia: Jillian Hayes spodobałaby się Cindy. Naprawdę niedobra wiadomość dnia: jemu też zaczynała się podobać.

– Proszę nam opowiedzieć o tej dziewczynie – powiedziała Jillian. Fitz mocno zacisnął wargi.

– Wiecie, że nie wolno mi rozmawiać o toczącym się śledztwie.

– Ale detektywie – nalegała Carol.

– Fitz! – zawtórowała jej Meg.

Fitz pokręcił głową. Był wkurzony. Nawet Griffin to zauważył. Gdyby nie trudy ostatniej nocy, pomyślałby, że oschłym zachowaniem kobiety zraniły jego uczucia.

– Mogłybyśmy pomóc – zasugerowała Jillian.

– Wypić następną butelkę szampana?

– Popelniliśmy błąd – przyznała Carol. – Proszę, detektywie Fitzpatrick. Na pewno pan rozumie. Najpierw listy od Como, potem ten napis na oknie u Jillian, a teraz gwałt w College Hill. Czujemy się, jakbyśmy traciły zmysły.

– Listy? – wtrącił się Griffin. – W liczbie mnogiej?

Carol i Meg spojrzały na Jillian.

– Ja też dostałam list. W piątek. Z dyskietką komputerową. Na odwrocie znajdował się adres mojej firmy. Też nie spojrzałam na znaczek. Mogłoby się zdawać, że po tym wszystkim będziemy miały więcej rozumu – zauważyła, uśmiechając się smutno. – Dyskietka zawierała plik wideo. Niewyraźny obraz Eddiego Como, który powiedział, że dorwie mnie za to, co mu zrobiłam, nawet z za grobu. Powinnam była powiadomić pana, detektywie Fitzpatrick. Wiem. Ale

wtedy wydawało mi się, że to tylko ostatni kawał przed rozpoczęciem procesu. On już tyle razy przysyłał nam listy. Uznałam, że to głupie przejmować się jeszcze jednym.

– Ma pani tę dyskietkę?

– Razem z kopertą. Ale dotykałam ją gołymi rękami. Wiem, że nie powinnam. Przepraszam.

Fitz westchnął ciężko. Wyglądał na zmęczonego. Jakby miał dość ich Wszystkich. Przestępcy dają w kość, ale każdy detektyw może poświadczyć, że ofiary bywają jeszcze gorsze. Człowiek lepiej je poznaje. Zaczyna mu zależeć. A potem mimo najlepszych intencji wykręcają jakiś głupi numer i człowiek musi sobie przypominać, że to nie ich wina. Ludzie są tylko ludźmi. Każdy popełnia błędy.

– Czyli mamy powracający motyw – odezwał się w końcu Fitz. – Eddie Como chce zemsty, nawet z za grobu.

– Ciekawy dobór słów – zauważył Griffin.

– Tak – powiedziała Jillian. – Zupełnie jakby wiedział, że umrze. W pokoju zaległa kłopotliwa cisza.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że... – zaczęła Carol.

– Zorganizował własną śmierć? – dokończyła Meg, marszcząc brwi. – Po co ktokolwiek miałby robić coś takiego?

– Może to tylko zbieg okoliczności – wzruszył ramionami Fitz. – Życie bywa dziwniejsze niż fikcja.

– Panie detektywie – Jillian zwróciła się do niego z błagalnym spojrzeniem – pan jako jedyny powinien zrozumieć, co dla nas znaczy ten wczorajszy gwałt. Wiemy, że nie jest pan nam absolutnie nic winien. Rozumiemy, że takie są przepisy. Ale ta sprawa tak bardzo nas dotyczy. Prosimy...

Fitz jeszcze raz się zawahał – prawdopodobnie tylko ze względu na własne ego. Finał mógł być tylko jeden. Potarł podkrążone oczy, przecesał dłonią rzednące włosy i powiedział:

– Dobra, w porządku. Mieliliśmy kolejną napaść. Ofiara była studentką Uniwersytetu Browna. Została zaatakowana we własnym mieszkaniu, związana dziesięcioma kawałkami lateksu, zgwałcona, a następnie uduszona.

– Jak się nazywała? – zapytała Meg.

– Naprawdę chce pani wiedzieć?

– Tak.

– Sylvia Blaire.

– Ile miała lat?

– Dwadzieścia.

– Co studiowała?

– Nie jestem pewien. Chyba psychologię. Wciąż jeszcze zbieramy dane na jej temat.

– Ładna?

– Niech pani da spokój, Meg. Jej już nie ma. Będzie się pani tylko zadrećzać.

– Musimy wiedzieć – szepnęła Meg. – Ja muszę.

– Nic to pani nie pomoże, Meg.

Dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie oczekuję pomocy, detektywie. Chcę się dowiedzieć, kim była Sylvia Blaire, studentka college'u jak ja i Trisha Hayes. W końcu to Klub Ocalonych, a jednym z obowiązków tych,

którym udało się przeżyć, jest pamięć o innych ofiarach.

Zapanowała niezręczna cisza. Fitz nie wiedział, gdzie podziać oczy. Griffin też. Po raz pierwszy dotarło do niego, że te kobiety stanowią jedność – wspólnotę. Dzięki klubowi dodawały sobie sił. A Sylvia Blaire, gdyby przeżyła...

Fitz wyglądał staro. Wyglądał jak detektyw, który zobaczył o jedno miejsce zbrodni za dużo, i właśnie to jedno, to ostatnie, będzie tym, którego nigdy nie wyrzuci z pamięci. Wielu tutejszych policjantów po przejściu na emeryturę przeprowadzało się na Florydę, ale nawet tam, jak przyznawała większość z nich, dręczyły ich wspomnienia. Zbyt wiele smutnych twarzy spoglądało ze spokojnej błękitnej wody, gdy próbowali łowić ryby.

– Na zdjęciu wyglądała na bardzo ładną. Długie kasztanowe włosy, duże piwne oczy. Wysportowana. Miała dobre stopnie. Udzielała się w Klubie Dziewcząt i Chłopców w Pawtucket.

– Była honorowym krwiodawcą – domyśliła się Jillian.

– Tak – odrzekł ponuro Fitz.

– Wygląda na ofiarę tego samego mężczyzny – odezwała się Carol, omiatając wzrokiem obecnych. – Musicie przyznać...

– Jeszcze za wcześnie na takie wnioski. – Fitz potrząsnął głową. – To prawda, że jest wiele podobieństw, ale sprawa Eddiego nie była owiana tajemnicą.

– Myśli pan, że ktoś się pod niego podszył? – zapytała Jillian.

– Niewykluczone. Każdy, kto ma w domu telewizor i widział zdjęcia Meg i Trishy, mógł to zrobić. Prasa pisała, że Eddie pracował w Centrum Krwiodawstwa, a nawet o tym, że używał lateksowych opasek.

– Znaleziono ślady włamania?

– Nie.

– Tego nie podawano w wiadomościach.

– Może ofiara знаła sprawcę.

Jillian zmarszczyła brwi.

– To znaczy, że ktoś, kogo ta dziewczyna znała, na przykład były chłopak, zainscenizował morderstwo wyglądające na robotę Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, żeby uniknąć podejrzeń.

– Możliwe.

– A miała chłopaka?

– Minęło dopiero osiem godzin. Proszę mi dać jeszcze dwie.

– A odciski palców?

– Zdjęliśmy. Czekamy na wyniki.

– DNA?

Fitz zawahał się, zerknął pytająco na Griffina, ten jednak milczał. W końcu nie było to jego przedstawienie. Jillian okazała się za szybka dla nich dwóch. Otworzyła szeroko oczy, zbladła, powolnym ruchem objęła rękami talie.

– Nie – wyszeptwała.

– Tak – odparł Fitz.

– O płynie do higieny intymnej nie mówiono w telewizji. Żaden dziennikarz o tym nie pisał.

– Taki sam? – spytała Carol łamiącym się głosem.

– Płyn do higieny intymnej o zapachu polnych kwiatów. – Fitz znowu westchnął, po czym

potarł dłonią zmęczoną twarz.

Griffin zareagował dokładnie tak samo, kiedy Fitz zadzwonił do niego z tą wiadomością. Płyn naprawdę stanowił zagwozdkę. Można było obracać fakty na różne sposoby, aż nagle dochodziło się do płynu do higieny intymnej.

– Ale... ale – zaczęła Meg. Nie mogła wykrztusić nic więcej.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – zaproponował Fitz.

– Są jeszcze inne możliwości – dodał Griffin.

– Jakie? – zapytała Jillian.

– Eddie Como mógł mieć przyjaciela – podrzucił Fitz. – A może lubił się przechwalać. To, że my nie udostępniliśmy tych informacji, nie oznacza jeszcze, że on tego nie zrobił.

– Zawsze twierdził, że jest niewinny – zauważyła Carol. – Ludzie nie wypierają się winy tylko po to, żeby za chwilę się nią przechwalać.

– To prawda.

– To nie żaden przyjaciel – jęknęła Meg, bujając się w przód i w tył. – To nie żaden przyjaciel. Boże, Boże, Boże...

– Meg – powiedziała stanowczym głosem Jillian, próbując zaprowadzić porządek.

Ale Meg nie chciała słuchać. Carol nie chciała słuchać. Jillian zacisnęła wargi, spojrzała na Fitz i Griffina.

– Eddie Como żyje – wyszeptała bezsilnie. – O Boże, Eddie Como żyje.

GRIFFIN

Gdy tylko Griffin i Fitz wyszli z restauracji, oślepił ich blask fleszy. – Detektywie, czy mógłby pan skomentować doniesienia, że wczorajsza ofiara została związana lateksowymi opaskami?

– Czy to prawda, że widziano mężczyznę odpowiadającego rysopisowi Eddiego Como wybiegającego z mieszkania ofiary?

– Panie sierżancie, czy policja stanowa ma zamiar przejąć śledztwo?

– Czy to prawda, że w domu ostatniej ofiary ktoś wymalował krwią napis „Eddie Como żyje”?

– A co z pogłoskami, że mężczyzna zastrzelony wczoraj przed sądem nie był Eddiego Como?

W końcu udało im się dopchać do samochodu Fitz'a. Griffin przyjechał co prawda własnym wozem, ale wzięwszy pod uwagę, iż zaparkował go dwie przecznice dalej na zatłoczonej dziennikarzami ulicy, uznał pogruchotanego forda taurusa Fitzpatricka za dar niebios. Odepchnął łokciem szczególnie agresywnego reportera, otworzył ze zgrzytem drzwiczki po stronie pasażera i dał nura do środka. W tej chwili znowu rozbrzły flesze. Podniósł się wrzask. Jillian, Carol i Meg usiłowały wyjść z restauracji. Cała zgraja żądnych sensacji sępów przystąpiła do kolejnego szturm na frontowe drzwi.

– Kurwa – odezwał się Fitz.

– Kurwa – zgodził się Griffin.

Wysiedli z taurusa i z pochmurnymi minami wkroczyli w tłum.

– Na bok, rozstąpić się.

– Miejsce dla policji!

Na schodach restauracji osłupiała Jillian wystąpiła do przodu, osłaniając Carol i Meg. Pewnie zdawało jej się, że wiadomość o ich spotkaniu nie przedostanie się do prasy. Wszak zamówiła prywatną salę w restauracji, którą dobrze знаła. Zapewne nie widziała porannych wiadomości w lokalnych stacjach, które rozpętały nagonkę na policję miejską i „tak zwany Klub Ocalonych” za zbyt agresywne dążenie do aresztowania Eddiego Como. Pewnie jeszcze nie zdążyła sobie uświadomić, że dwanaście miesięcy jej kontaktów z prasą stanowiło tylko rozgrzewkę. Dopiero teraz, tego ranka, miała okazję się przekonać, co naprawdę znaczy czwarta władza. Można było przed nią uciekać, ale nie można było się schować.

Twarz Jillian przybrała barwę popiołu. Chwilę później zdołała się opanować. Zadarła hardo głowę. Za jej plecami Carol uniosła rękę, na próżno próbując zasłonić się przed aparatami. Meg wyglądała na oszołomioną.

– Pani Hayes, pani Hayes, jak zareagowała pani na zarzuty, że pani klub za mocno naciskał na władze w sprawie aresztowania Eddiego Como?

– Czy uważa pani, że ostatni atak dowodzi niewinności Eddiego?

– A co ma pani do powiedzenia na temat świadka obrony? Pani Rosen, jak bardzo jest pani pewna godziny, o której została pani zaatakowana?

– Pani Hayes, pani Hayes!

– Czy to panie zorganizowały zabójstwo Eddiego?

– Ej, na bok. Policja stanowa! Proszę mnie nie zmuszać do zarekwirowania pana kasety.

Tak naprawdę Griffin nie miał prawa do przejęcia żadnego z tych nagrań, lecz to, co zrobił

z taśmą Maureen, musiało obieć dziennikarski świątek, bo trzech reporterów natychmiast odskoczyło do tyłu ze strachem w oczach. Griffin posłał im swój najbardziej czarujący uśmiech, a potem rozłożył ramiona i zmusił resztę do cofnięcia się o cztery kroki.

Jillian natychmiast skorzystała z okazji i chwyciwszy za rękę Meg i Carol, zbiegła czym prędzej ze schodów.

– Pani Hayes, pani Hayes!

– Czy doprowadziły panie do śmierci niewinnego człowieka?

– A co z jego żoną i dzieckiem?

– Pani Pesaturo, przypomniła sobie pani cokolwiek? Członkinie Klubu Ocalonych zniknęły za rogiem, a ostatnie pytanie rozplynęło się w chłodnym porannym powietrzu. Przegrupowanie reporterskiego oddziału trwało tylko chwilę. Rzucili się znowu na Fitz'a i Griffina.

– Kto prowadzi śledztwo?

– Co zamierzacie teraz zrobić?

– Czy prawdziwy Gwałcieł z Miasteczka Uniwersyteckiego wciąż jest na wolności? Co radzicie młodym kobietom w Providence?

– Konferencja odbędzie się o czwartej – warknął Fitz. – Na litość boską, dajcie nam pracować! Z drogi!

Mimo to droga do auta Fitzpatricka znowu wymagała przepychanek. Tym razem obu udało się wsiąść do wozu i zatrzasać za sobą drzwiczki. Reporterzy zaczęli się dobijać do okien. Fitz uruchomił silnik.

W uzasadnionej obawie, że miejski glina nie zawaha się ich przejechać, reporterzy w końcu ustąpili. Fitz zjechał z krawężnika, jednocześnie szukając pod siedzeniem butelki tumsa. Griffin postanowił się rozerwać i podniósł z deski rozdzielczej najnowszy numer magazynu „People”. Fitz zdążył już rozwiązać połowę krzyżówki.

– Masz naprawdę przesrane – zagaił Griffin. Fitz otworzył butelkę i wziął porządny łyk.

– Jak tak dalej pójdzie, wszyscy będziemy mieli przesrane.

– Ja nie. Mam tylko martwego podejrzanego o gwałt. Tak samo jak wczoraj.

– Nie oszukuj się. Jeśli Eddie okaże się niewinny, wszyscy będziemy mieli przesrane. Jillian i reszcie dostanie się, że za bardzo naciskały. Nam się dostanie za dokonanie aresztowania. Prokuratorowi się dostanie, że podał sprawę do sądu. Straży więziennej dostanie się, że nie chroniła lepiej transportu z mamra. A wam, szczęściarzom ze stanowej, oberwie się za to, że nie wkroczyliście wcześniej i nie powstrzymaliście nas od przesrania całej sprawy. Ot co.

– Jesteś optymistą, co, Fitz?

– Doświadczonym i niezłomnym. Cholerna sprawa – zasepił się Fitz. Griffin rozumiał rozterki kolegi. Umilkł więc, dając mu czas na wzięcie się w garść.

– *Dr No* – odezwał się w końcu.

– Co?

– Czterdzieści osiem pionowo. Film z Jamesem Bondem na cztery litery. *Dr No*.

Fitz chrząknął. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął długopis i podał go Griffinowi.

– Jestem zaszczycony – zapewnił go Griffin, wpisując hasło.

– Byłeś wczoraj w domu Jillian Hayes – powiedział Fitz.

– Byłem.

– Dlaczego?

– Oficer dyżurny usłyszał przez radio zgłoszenie i dał mi znać. Uznałem, że zamieszanie u Jillian tego samego dnia, w którym zabito Como, nie może oznaczać nic dobrego.

Fitz spojrział na Griffina uważnie.

– Właśnie nazwałeś ją Jillian.

– No, tak.

Jeszcze nigdy nie spotkałem stanowego, który podczas pracy nad śledztwem nazywa kogoś po imieniu. Kurczę blade, wy nawet do siebie nie mówicie po imieniu. Jesteście jak cholerny oddział piechoty morskiej.

– Jestem czarną owcą?

– Niech ci nic nie strzeli do głowy, Griffin. Sprawa jest już dostatecznie popaprana.

– Aż tak bardzo ją lubisz?

W odpowiedzi Fitz tylko warknął i mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

– Mam naprawdę kiepski dzień.

– Obaj szcękamy nie pod tym drzewem – zauważył Griffin. – Pytałeś kiedyś Jillian Hayes, co sądzi o policjantach? Nie darzy nas szczególną sympatią. Obawiam się, że ma nas za niekompetentnych dupków, którzy przynajmniej pośrednio są odpowiedzialni za śmierć jej siostry. Właśnie stąd bierze się jej niczym nieskrepowana chęć współpracy z nami.

Fitz chrząknął, co Griffin przyjął jako przynajmniej częściową zgodę ze zdaniem Jillian.

– Seryjni przestępcy są najgorsi – mruknął po chwili. – Śledztwo się ciągnie... przybywa ofiar... Kurczę, chyba powinienem się cieszyć, że potrafię znaleźć rano własne portki, bo coś mi się zdaje, że w najbliższym czasie niczego innego nie znajdę.

– Starasz się, jak możesz – powiedział Griffin. – To wszystko, co w twojej sytuacji można zrobić.

Fitz znowu chrząknął.

– Myślisz, że ten incydent w domu Jillian to tylko szczeniacki kawał?

– To już sprawa policji z East Greenwich.

– Nie wkurwiał mnie, Griffin. Nie dzisiaj.

Griffin milczał przez dłuższą chwilę.

– Nie wiem – odezwał się w końcu, unosząc rękę, żeby uprzedzić warknięcie Fitz'a. – Serio. Użycie sprayu pasuje do nastolatka. Ale odkręcenie żarówek w aktywowanych ruchem lampach...

– Też mnie to zaniepokoiło.

– Czy jako dzieciak odkręcałeś żarówki przy domu przed obrzuceniem samochodu belfra zgniłymi jajami? – Griffin wzruszył ramionami. – Nie mógł tego zrobić wieczorem, bo włączyłyby się światła. A to znaczy, że musiał odkręcić żarówki za dnia, kiedy nikt nie mógł go zauważyć.

– Premedytacja.

– Za bardzo przemyślane jak na dowcip jakiegoś pryszczatego podrostka.

– Ożesz kurwa...

– Dobra, moja kolej. Tak między nami, co sądzisz o wczorajszym gwałcie?

– Chryste, jestem niewyspany! Ślaniam się na nogach, a ty mnie bierzesz na spytki. – Fitz potarł oczy, a potem złapał za kierownicę, gdy samochód wjechał na zły pas.

– Wciąż jest DNA.

– Właśnie to nie daje mi spokoju. Gdyby sprawa opierała się tylko na poszlakach: na tym, że Como pracował w Centrum Krwiodawstwa i miał dostęp do danych ofiar...

– Wtedy mógłbyś przyznać, że za bardzo się pośpieszyliście.

– Może.

– Ale macie DNA.

– Mamy dobre DNA. Po naszej wczorajszej rozmowie jeszcze raz przejrzałem raport. Z powodu nagłośnienia sprawy oprócz standardowych badań w departamencie zdrowia wysłaliśmy próbki do niezależnego laboratorium w Wirginii. Obie analizy są zgodne. Próbki DNA Eddiego Como pasują do próbek zdjętych z pościeli i ciał ofiar w stu procentach. A to znaczy, że prawdopodobieństwo, że gwałtów dokonał inny mężczyzna, wynosi jeden do piętnastu miliardów. Mnie ten dowód przekonuje.

– Brzmi całkiem niezłe – zgodził się Griffin. – Nasze trzy panie o tym wiedzą?

– D’Amato o tym wie. To on załatwił niezależną analizę, miał to być koronny argument oskarżenia. Na pewno im to mówił.

– Czyli muszą być naprawdę dogłębnie przeświadczone, że właśnie Como je zaatakował.

– Ja też jestem o tym przekonany.

– A to znaczy, że powracamy do motywu morderstwa. Fitz sapnął.

– Nienawidzę tego.

– Wiem.

– Co to w ogóle za sprawa, do cholery? Zmuszasz mnie do rzucania podejrzeń na ofiary, a prasa wierci mi dziurę w brzuchu, żebym przyznał, że człowiek, którego uważam za sprawcę, tak naprawdę nim nie był. Nie na tym powinna polegać policyjna robota. Moja praca polega na zebraniu dowodów, skonstruowaniu spójnej hipotezy i przyskrzynieniu skurczybyka. Koniec, kropka. „Eddie Como żyje”. Cholera jasna, istny dom wariatów!

– Mnie się to też nie podoba.

– Myślę, że to był kumpel Eddiego – powiedział nagle Fitz.

– Como się przechwalał?

– Ta wersja wydaje się najbardziej sensowna. Może Tawnya miała na swój sposób rację, mówiąc, jakim Eddie był dobrym, łagodnym facetem. Ale wiemy, że był także drugi, zły Eddie, który wychodził z domu nie tylko po to, żeby zwrócić kasetę wideo do wypożyczalni. Ten zły Eddie miał potrzebę życia na krawędzi, może więc potrzebował również towarzystwa złych kumpli, o których Tawnya zapewne nigdy nie słyszała.

– Sugerujesz, że wiódł podwójne życie.

– Nie byłby pierwszy. A poza tym to pasuje. Griffin pokiwał głową.

– Fakt.

– A teraz założmy, że jeden z tych złych kumpli od roku fantazjuje o tym, co usłyszał od Eddiego. Może nawet kupił kilka magazynów sado-maso i wciągnął się w twarde porno. Ale po dwunastu miesiącach żadne fotki, żadne filmy nie wywołują już tego samego dreszczyku. I wtedy pewnego dnia włącza telewizor, a tu proszę, Eddie Como nie żyje. No i do głowy wpada mu genialny pomysł. Wie wszystko o poprzednich gwałtach, więc decyduje się wcielić w Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, licząc na to, że nikt go nie złapie. Sposób działania wskazuje na Eddiego, a ten nie może zaprzeczyć, bo nie żyje. Nie może powiedzieć, że zwierzył się takiemu to a takiemu, bo nie żyje. Innymi słowy, mamy do czynienia z idealną

przykrywką.

Griffin popatrzył na niego ze spokojem.

– Po co zatrzymywać się w tym miejscu, Fitz? Może ten drugi nie tylko cały rok fantazjował o gwałtach Eddiego. Może chciał spróbować tego co Eddie. Tylko że zamiast obudzić się pewnego dnia i dowiedzieć, że Eddie nie żyje, sam postanowił go zabić.

– A niech mnie! – Fitz grzmotnął pięścią w kierownicę i prawie wjechał na znak drogowy. – Jasne! Dlaczego sam o tym nie pomyślałem?

– Bo to mało prawdopodobne?

– Nieważne!

– Właśnie widzę. I też mnie to niepokoi.

– Co?

– Między nami gliniarzami. Zupełnie prywatnie. Myślę, że za bardzo chcesz, żeby Como okazał się gwałcicielem.

– Ale...

Griffin potrząsnął głową.

– Wiera, jak to jest. Też przez to przechodziłem. Wewnętrzna presja, zewnętrzna presja. Dziennikarze mają trochę racji. Wcześniej czy później musiałeś kogoś aresztować.

– Myślisz, że się wkurzam, bo może uległem naciskom społecznym i spieszyłem ważne śledztwo?

– Nie. Myślę, że się wkurzasz, bo może gdybyś się za bardzo nie pośpieszył, złapałbyś mordercę Sylvii Blaire.

Fitz nie odpowiedział, co – obaj zdawali sobie z tego sprawę – znaczyło „tak”. Jeśli Eddie okazałyby się niewinny, a prawdziwy gwałciciel wciąż znajdował się na wolności, to Fitz schrzanił śledztwo i nie tylko dwie dziewczyny straciły życie, ale także Eddie junior został bez powodu osierocony, bo ktoś, pewnie jedna z ofiar lub jej rodzina, dokonał nieuzasadnionego morderstwa. Koszty były bardzo wysokie.

Taki był zresztą główny problem z długo ciągnącymi się śledztwami. W pewnym momencie podejrzany po prostu musiał okazać się winny, ponieważ ludzie zaangażowani w dochodzenie nie mogli sobie pozwolić, aby było inaczej.

Fitz po raz kolejny skręcił i wjechał w uliczkę, na której Griffin zaparkował samochód. Zatrzymał się dokładnie obok niego, ignorując trąbienie zirytowanych kierowców.

– Jeden do piętnastu miliardów – powiedział. – Pomyśl o tym.

– Pomyślę.

– Hej, Griffin, ile pieniędzy Jillian podjęła z konta?

– Dwadzieścia tysięcy – odparł Griffin, otwierając drzwiczki.

– Wystarczyłoby na wynajęcie zabójcy.

– Pewnie tak. – Griffin zawahał się. – Słuchaj, Fitz, Dan Rosen też mógł to zrobić. Pół roku temu wziął drugą hipotekę na dom, na sto tysięcy. A w zeszłym tygodniu zlikwidował konto u maklera. Ci od przestępstw finansowych wciąż starają się ustalić, co się stało z tą forszą.

Fitz przymknął oczy.

– Ten dzień robi się coraz lepszy.

– Na razie nie mamy nic na rodzinę Pesaturo – oznajmił Griffin. – Ale chyba obaj zdajemy sobie sprawę, że akurat oni nie potrzebowaliby pieniędzy na wynajęcie zabójcy.

– Bo mają już wujka Vinniego.

– Właśnie.

– Naprawdę sądzisz, że to robota którejś z ofiar?

– Taka odpowiedź wydaje się najbardziej prawdopodobna.

– Słusznie. – Fitz pokiwał głową, westchnął, a potem sięgnął po tumsa. – Lubię je, wiesz? Znam je od roku. To niewiarygodne, przez co przeszły, a przecież jakoś dają sobie radę. Jestem... dumny, że miałem okazję z nimi pracować.

– Rozwiążemy tę sprawę.

– Jasne. – Fitz uśmiechnął się gorzko. – Teraz stanowi ruszyli do dzieła. A stanowym zawsze się udaje, racja, Griff? Nie to co my z miastowej, którzy nadajemy się tylko do napadów na sklepy i porachunków między bandami podrostków. Stanowi nigdy nie popełniają błędów. Nigdy nie ulegają presji.

Griffin zacisnął zęby i wstrzymał oddech. Zadzwońło mu w uszach. Bardzo powoli wypuścił z płuc powietrze, zamknął oczy i policzył do dziesięciu.

– Miałeś ciężką noc – powiedział cicho, kiedy trochę ochłonął. – Więc zrobię nam obu przysługę i udam, że tego nie słyszałem.

Fitz patrzył na niego uważnie. Oczy zaświeciły mu niezdrowym blaskiem, a twarz wykrzywiła się gniewnie. Przez chwilę Griffin myślał, że Fitz mimo wszystko nie popuści. Pewnie dlatego, że spędził noc przy ciele dziewczyny, która nie powinna była umrzeć, a teraz dostawało mu się od dziennikarzy, od detektywa z policji stanowej i za pół godziny prawdopodobnie dostanie mu się od własnego szefa. Tego rodzaju frustracja potrafiła zeżreć człowieka żywcem. Wzmagala się i wzmagala, aż w końcu nie zostawało nic innego. Za często myślał o biednych ofiarach, które mogłyby przeżyć, gdyby on działał szybciej, rozumował precyzyjniej, bardziej się starał... Aż w końcu pęd do samozniszczenia brał górę nad chęcią życia.

I wtedy wracał do domu, brał w ramiona umierającą żonę, tak bardzo osłabioną rakiem, że nie miała siły mówić. Wkrótce i jej zabraknie, a on będzie wracał do pustego mieszkania, siedział w pustym pokoju i widział w wyobraźni twarze zaginionych dzieci.

– Jedź do domu i się prześpij – powiedział Griffin.

– Pierdol się. Nie jestem już młody i nie wyciskam sztangi trzy razy cięższej ode mnie, ale nie waż się mnie lekceważyć. Jestem stary. Zgorzkniały. Gruby i łysy. A to daje mi taką skłonność do przemocy, o jakiej możesz najwyżej pomarzyć. Więc nie praw mi morałów i przestań się przypieprzać do mojego śledztwa! I jeszcze jedno. Wiem, co Jillian zrobiła z tymi pieniędzmi.

– Fitz...

– Zadzwoń do ojca Rondella z parafii w Cranston. Powiedz, że Jillian podała ci jego telefon.

– Parafia w Cranston? – Griffin zmarszczył brwi, nie wierząc własnym uszom. – A niech mnie!

– No właśnie. A niech cię. Znam te kobiety, sierżancie. Naprawdę je znam. A teraz wypierdalaj z mojego wozu.

Griffin wrzucił ramionami i wygramolił się z samochodu.

– Wiesz co, Fitz? Powiadają, że wspólne śledztwo bardzo zbliża.

– Też odnoszę takie wrażenie.

Fitz odjechał. Griffin wsiadł do swojego forda i ruszył w kierunku Cranston.

JILLIAN

Łagodnie fale obmywały plażę, a potem, pieniać się, powracały w ciemną głębię oceanu. Na pozostawione po cofającej się wodzie płycizny sfruwały stada broźców w poszukiwaniu jedzenia. Spokojne popołudnie na plaży we wczesnomajowy dzień. Kolejna ciemnozielona fala uderzyła o piasek i białe ptaszki poderwały się w powietrze.

Jillian wpatrywała się w ocean jeszcze długo po tym, jak usłyszała podjeżdżający samochód, wyłączenie silnika, otwieranie i zamykanie drzwiczek. Chrząst kroków. Na myśl o tym przypomniał jej się religijny wiersz, który czytała, kiedy była mała. Uśmiechnęła się smutno.

Nigdy nie była osobą wierzącą. Może jako dziecko spędziła zbyt wiele samotnych nocy. Może matka złamała zbyt wiele obietnic i dlatego głęboko w jej psychice zakodowało się przeświadczenie, że może polegać wyłącznie na sobie. Mimo to wykazywała pewne zainteresowanie religią rozmawiała o niej ze znajomymi, od czasu do czasu chodziła na msze bożonarodzeniowe. Uwielbiała śpiew chóru. Podczas niekończących się szarych zimowych dni lubiła wstąpić do kościoła ogrzanego setkami ciał modlących się wspólnie ludzi.

Trisha przystąpiła do Kościoła kongregacyjnego, kiedy chodziła do liceum. Bardzo się zaangażowała. Wiara w istnienie Boga pasowała do jej optymistycznego podejścia do życia. Spełnianie dobrych uczynków współgrało z jej naturalnym entuzjazmem. Jillian kilka razy była z nią na nabożeństwach i nawet ona była zdziwiona, patrząc na twarz modlącej się siostry. Wiara dodawała Trish energii. Sprawiała, że w jakiś sposób stawała się jeszcze bardziej Trishą.

Aż do wieczora, kiedy naprawdę potrzebowała Boga... albo Jillian... albo chociaż rosłego, silnego policjanta na służbie.

Jeżeli Bóg istnieje, ale nie ocalił Trishy, to czy naprawdę powinna czuć się winna? A może Bóg wybrał Jillian jako swoje narzędzie, a ona, nie wykonawszy zadania, zawiodła zarówno Jego, jak i ją? Tyle było pytań, którymi mogła się zadrećzać w środku nocy. I w słoneczne wiosenne popołudnia – czując ciepły wiatr na twarzy i obserwując ocean rozbijający się o piaszczysty brzeg.

O, Boże, Sylvia Blaire. Ta biedna dziewczyna. Co takiego zrobiła, czym zawiniła?

– Jillian.

Nie odwróciła głowy. I tak wiedziała, kto przyszedł.

– Przyniósł pan narzędzia do wrywania paznokci, sierzancie?

– Zawsze mam je przy sobie. Są na naszym standardowym wyposażeniu. Ale jestem dobrym katolikiem. Nigdy nie posunąłbym się do wyrwania paznokci duchownemu.

Jillian drgnęła i odwróciła się. Sierżant Griffin stał na plaży za drewnianą balustradą werandy. Cienie na policzkach nadawały jego twarzy dziwną surowość” zarysowując mocną linię szczęki i wydobywając blask błękitnych oczu. Nawet z odległości trzech metrów czuła się przytłoczona jego obecnością. Szerokie bary, muskularne ramiona, masywna pierś. Nie różni się od innych policjantów stanowych, pomyślała z odrazą. Wydawało się, że departament ma specjalną formę odlewniczą i produkuje jednego dobrze zbudowanego funkcjonariusza za drugim. Jej samej nigdy nie pociągała muskulatura. Uważała, że wielkość mięśni u mężczyzny jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości jego mózgu.

– Powinna była pani sama mi o tym powiedzieć – odezwał się łagodnym, lecz stanowczym głosem.

– Dlaczego? Przecież mówiłam, że te pieniądze nie miały nic wspólnego ze śmiercią Eddiego. Jeśli nie był pan skłonny w to uwierzyć, to dlaczego miałabym oczekiwać, że uwierzy pan w jeszcze większą bajkę.

– To nie bajka.

Wzruszyła ramionami.

– Prawie. Dałam ojcu Rondellowi gotówkę, nie przyjął żadnego pokwitowania, postarałam się, żeby nie było świadków, i zastrzegłam sobie anonimowość. Jeśli poszukuje pan dowodu na to, dokąd trafiły te pieniądze, nie mogę panu nic zaoferować.

– Słowo księdza to całkiem niezły dowód.

– Ojciec Rondeli miał milczeć. Griffin uśmiechnął się chytrze.

– Przyznaję, że mimo przywiązania do wiary katolickiej trochę go oszukałem.

– Oszukał pan księdza?

– No, cóż. W słusznej sprawie. Chodziło o udowodnienie niewinności pewnej damy.

Jillian parsknęła.

– No, nie przesadzajmy.

– Tak naprawdę to nie był mój pomysł. Fitz powiedział mi, żebym porozmawiał z ojcem Rondellem. Więc podszedłem do niego i poprosiłem o potwierdzenie, że przekazała pani pieniądze dla syna Eddiego Como. Od razu pochwalił pani hojność. Dwadzieścia tysięcy dolarów. Wygląda na to, że Eddie junior ma anioła stróża.

– Przecież nie ponosi żadnej winy za to, co zrobił jego ojciec. Nie było go wtedy na świecie.

– Tawnya o tym wie?

– Nikt nie wie.

– Nawet Klub Ocalonych?

– Nawet.

– Dlaczego, Jillian?

– Nie wiem – odparła szczerze. – Po prostu... Trish nie żyje. Carol odchodzi od zmysłów. Meg utraciła swoją przeszłość. A ja... cóż, też mam swoje problemy, prawda? W zeszłym roku, kiedy policja w końcu aresztowała Eddiego, myślałam, że poczuję się lepiej. Ale okazało się, że nic się nie zmieniło. Trisha wciąż nie żyła, Carol wciąż nie odzyskała równowagi, a Meg pamięci. W prasie pojawiły się za to zdjęcia oczekującej dziecka Tawni. I oto mamy kolejną ofiarę: dziecko, które będzie się wychowywało bez ojca. Jeszcze jedno zniszczone życie. Tego było już za wiele. – Potrząsnęła głową. – Chciałam mieć świadomość, że z tego całego zamieszania wyniknie jednak coś dobrego. Chciałam mieć poczucie, że komuś uda się uniknąć złych konsekwencji tego, co Eddie zrobił. Bóg jeden wie, że nam nigdy się to nie uda.

– Więc założyła pani fundusz powierniczy synowi Eddiego.

Wzruszyła ramionami.

– Poprosiłam detektywa Fitzpatricka o nazwisko kogoś bliskiego rodzinie Como. Dał mi adres księdza Rondella. A on już zajął się resztą.

– Ale utrzymała to pani w tajemnicy.

– Nie jestem pewna, czy Tawnya Clemente przyjęłaby pieniądze, gdyby wiedziała, od kogo pochodzą.

– A dlaczego nie zwierzyła się pani Meg ani Carol?

– Wątpię, by im się to spodobało. Poza tym to nie ich sprawa, prawda? To były moje

pieniądze. Moja decyzja.

– Ciągłe to pani robi, prawda? – uśmiechnął się Griffin. – Gra pani w zespole, kiedy to pani odpowiada, ale wyłamuje się pani, kiedy tylko nadarza się okazja do samodzielnego działania.

Jillian podniosła na niego wzrok.

– Skąd pan wiedział, że tu jestem?

– Dzięki błyskotliwej detektywistycznej robocie, rzecz jasna.

Znowu parsknęła. Griffin uniósł dłoń.

– Słowo harcerza. Znaleźnienie pani to mój największy dzisiejszy sukces. No, może oprócz odkrycia, dokąd powędrowały pani pieniądze. Ale tak naprawdę to Fitz na to wpadł. Po rozmowie z księdzem chciałem usłyszeć z pani ust potwierdzenie. Będąc przy zdrowych zmysłach, uznałem, że nie zechce pani rozmawiać ze mną przez telefon, postanowiłem więc spotkać się z panią osobiście. I wtedy zacząłem się zastanawiać, dokąd bym poszedł na miejscu Jillian Hayes, gdyby dziennikarze deptali mi po piętach. Stwierdziłem, że nie poszła pani do pracy, bo wtedy firma zamieniłaby się w medialny cyrk. Z tego samego powodu nie wróciła pani do domu. Wtedy, przyznaję, wykonałem zły ruch i pojechałem na grób pani siostry. Tak na marginesie, czatowało tam już trzech reporterów.

Jillian spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Właśnie tam najpierw poszłam. Ale zrezygnowałam, kiedy zauważyłam dziennikarzy.

Griffin pokiwał głową.

– Otóż to. I wtedy wpadłem na genialny pomysł. Uznałem, że jak każda szanująca się obywatelka Rhode Island musi pani mieć domek na plaży. Więc poszperałem trochę w spisie nieruchomości Narragansett. Nie znalazłem nic na pani nazwisko, ale sprawdziłem jeszcze pani mamę. Reszta, jak to się mówi, jest historią.

– Teraz rozumiem. Rzeczywiście błyskotliwa detektywistyczna robota. W takim razie kto zabił Sylwię Blaire?

– *Touche* – przyznał Griffin ze zbolaną miną.

– Nie chciałam być okrutna. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Zaczyna pani wątpić w winę Eddiego?

– Może.

– Czyli „tak”. Mogę? – zapytał, wskazując ręką trzy schodki prowadzące na werandę.

Zawahała się. Przyzwolenie mogło oznaczać, że nie tylko wejdzie na werandę, ale także wtargnie do jej świata, zabierze jej tę część prywatności, która jej jeszcze została. Może nawet usiądzie blisko niej, a ona znowu poczuje ciepło jego ciała, znowu zacznie się przyglądać jego silnym ramionom.

Kiedy ostatniej nocy ugięły się pod nią kolana... Kiedy Griffin chwycił ją w ramiona i osłonił przed wzrokiem wścibskich sąsiadów... Miał takie ciepłe ciało. Wciąż pamiętała jego muskularne ręce podtrzymujące ją z taką łatwością. Spokój w jego oczach, kiedy czekał, aż ona weźmie się w garść.

Jillian nienawidziła siebie za myślenie o tych sprawach.

Teraz odsunęła się jak najdalej od schodów. Wciąż miała na sobie ten sam granatowy kostium co rano, a trudno było prowadzić negocjacje, stojąc na deskach werandy w butach na wysokich obcasach. Usiadła na drewnianej ławie. A potem wreszcie skinęła głową.

– Miło tu – zauważył Griffin, wchodząc po schodkach. – Wspaniały widok.

– Moja matka kupiła tę działkę dwadzieścia lat temu. Jeszcze zanim Narragansett stało się modne. – Wskazała ręką wielkie rezydencje po obu stronach. Już nie plażowe domki, ale plażowe pałace.

– Nigdy nie myślała pani o rozbudowie?

– Gdybyśmy rozbudowały się wszecz, straciłybyśmy plażę. Gdybyśmy dobudowały piętro, zasłoniłybyśmy plażę ludziom po drugiej stronie ulicy. A co byśmy zyskały? Większą kuchnię, bardziej luksusową sypialnię? Mama nie kupiła tego domu dla kuchni czy sypialni, tylko ze względu na plażę i ocean.

– Ma pani bardzo praktyczne podejście do życia.

– Wychowałam się u boku piosenkarki, pamięta pan? Nic lepiej nie uczy praktyczności niż obracanie się w klubowym środowisku Nowego Jorku.

– Co noc inny hotel?

– Prawie. – Popatrzyła na niego z ukosa. – A pan?

– Mieszkam w Rhode Island od urodzenia. Pochodzę z dobrej irlandzkiej rodziny. Moja matka gotuje świetną wołowinę z kapustą, a ojciec potrafi wypić hektolitry whisky. Nie zna życia ten, kto nigdy nie był na żadnej z naszych rodzinnych imprez.

– Liczna rodzina?

Mam trzech braci. Dwaj są szeryfami stanowymi. Nasza rodzina jest związana z policją pewnie tak długo, jak długo istnieją gliniarze. Jak się nad tym zastanowić, to naturalne w przypadku Irlandczyków. Nikt nie wie lepiej, jak wpakować się w kłopoty. Dlatego łatwiej nam wniknąć w umysł zbrodniarza. – Uśmiechnął się drapieżnie.

Serce Jillian zabiło mocniej. Zacisnęła dłoń na poręczu ławki i odwróciła wzrok.

– Mówiła pani, że podczas porównania głosów udało się wam wyodrębnić dwóch mężczyzn. Co takiego w nich było?

– Nie rozumiem.

– Dlaczego właśnie ci dwaj? Co zwracało w nich uwagę?

– Ich głosy brzmiały... podobnie.

Griffin wychylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Jego oczy były teraz ciemne, badawcze. Jillian zadrżała, chociaż nie wiedziała dlaczego.

– Skup się, Jillian. Weź głęboki oddech, pomyśl. Jesteś w zaciemnionym pokoju. Nie widzisz tego, ale za lustrem jeden mężczyzna po drugim występuje do przodu i mówi do mikrofonu. Słuchasz ich głosów. Jeden z nich wydaje ci się znajomy. A potem drugi. Dlaczego właśnie te dwa?

Jillian przechyliła na bok głowę. Teraz wydawało jej się, że rozumie. Zamknęła oczy, obróciła twarz ku słońcu i wróciła myślą do tego ciemnego, klaustrofobicznego pokoju, w którym stała wraz z detektywem Fitzpatrickiem i adwokatem, drżąc ze strachu przed usłyszeniem znowu tego głosu, ale świadoma, że musi to zrobić. Dwa głosy. Dwa niskie, dźwięczne głosy, brzmiące dziwnie obojętnie i płasko, gdy powtarzały słowa: „Zerżnę cię, ty suko”.

– Oba były niskie. Głębokie.

– Dobrze.

– I... ten akcent. – Otworzyła oczy. – „Zerżnę” brzmiało raczej jak „zyrżnę”. Wie pan, tak jak się mówi w Rhode Island.

– W Cranston – powiedział cicho Griffin. Pokiwała głową.

– Tak. Obaj mieli cranstoński akcent.

– Como się tam wychował.

– Więc się zgadza.

– Jillian, wielu facetów wychowało się w Cranston. I większość z nich rzeczywiście kaleczy angielszczyznę jeszcze bardziej niż reszta mieszkańców Rhode Island. Ale nie mamy prawa ich za to aresztować.

– Ale... jest jeszcze DNA.

– Tak – przyznał Griffin. – Jest jeszcze DNA. Co D'Amato wam o tym mówił?

Wzruszyła ramionami.

– Że to ostateczny dowód. Powiedział, że wysłał próbki do laboratorium w Wirginii i badania potwierdziły, że DNA na miejscach przestępstwa jest identyczne z DNA Eddiego Como, a istnieje tylko jedna szansa na bilion, że ktoś inny ma takie same geny. D'Amato bardzo się z tego cieszył.

– Powiedział to także Carol i Meg?

– Tak.

– I to was przekonało, że Como rzeczywiście był Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego?

– Przede wszystkim D'Amato i Fitzpatrick byli o tym przekonani. A gdyby doszło do procesu, jestem pewna, że przekonaloby to także ławę przysięgłych.

– A co z tym dzieciakiem z Blockbustera?

– Nic. Carol od początku nie była pewna, o której godzinie została zaatakowana. I trzeba jej to wybaczyć, bo kiedy była brutalnie gwałcona i bita, nie pomyślała o tym, żeby spojrzeć na zegarek.

– Jillian... – Griffin zawahał się. Splótł dłonie jak do modlitwy. Miał długie, szczupłe palce i zrogowaciałą skórę na opuszkach. Pewnie od podnoszenia sztangi. Jego kłykcie były pokryte bliznami i strupami. Od boksu, pomyślała. Miał ręce zawodowego pieściarza. Mocne. Twarde. Brutalne. – Jillian, czy z twojej siostry też pobrali próbki?

Spuściła wzrok. Musiała przełknąć ślinę, bo zaschło jej w gardle.

– Tak.

– Więc... zanim przyszłaś...

– Tak.

– Przykro mi.

– Spóźniłam się – powiedziała. – Miałam się z nią spotkać godzinę wcześniej, ale coś zatrzymało mnie dłużej w pracy... Jakaś bzdura. A potem były korki i nie mogłam znaleźć miejsca do zaparkowania. Więc jeździłam w kółko, a moja siostra...

Griffin milczał. Jillian zresztą nie oczekiwała odpowiedzi. Co niby można było powiedzieć? Spóźniła się, jej siostra została zaatakowana. Szukała miejsca do zaparkowania, siostra umarła. Spóźnienia nie powinny się liczyć. Niemożność znalezienia parkingu w zatłoczonym mieście nie powinna nikogo kosztować życia. Ale czasami z powodów, których nikt nie potrafi wyjaśnić, tak właśnie było.

Jaki głupi błąd popełniła wczoraj wieczorem Sylvia Blaire? Za długo zwlekała z powrotem do domu? Nie zwróciła uwagi na krzewy rosnące wokół budynku? A może już wcześniej przypieczętowała własną śmierć, zakochując się w niewłaściwym mężczyźnie, zrywając

z niezrównoważonym chłopakiem? Czasami nie potrafimy przewidzieć konsekwencji naszych czynów.

Zacęła się zastanawiać nad błędami, które mimo najlepszych intencji mógł popełnić Klub Ocalonych. Czy rzeczywiście za bardzo naciskały na policję? Czy nie za szybko uwierzyły w winę Eddiego? Naprawdę nie wiedziała. A wątpliwości dręczyły ją coraz bardziej. Śmierć Trishy dostatecznie ją prześladowała. Nie sądziłaby była w stanie znieść świadomość, że przyczyniła się do śmierci kolejnej osoby.

– Nie widziałas go? – zapytał w końcu Griffin.

Jillian zamknęła oczy.

– Nie – odparła znużona. – Tak jak mówiłam Fitzowi, a potem D’Amato... niczego nie widziałam. Moja siostra mieszkała w suterenie, światła były wyłączone... Napadł mnie od tyłu.

– Ale pamiętasz jego głos?

– Tak.

– Walczyłaś z nim?

– Tak.

– Co czułaś? Dotknęłaś jego rąk?

– Próbowałam je zdjąć z gardła – oznajmiła beznamiętnie.

– Były czymś osłonięte?

– Tak. Czymś gumowym. Jakby miał lateksowe rękawiczki, co sprawiło, że od razu pomyślałam o Trish...

– A jego twarz? Próbowałaś ją podrapać albo bić? Może miał wąsy, brodę?

Musiała się zastanowić.

– Nie. Nie pamiętam, żebym uderzyła go w twarz. Ale śmiał się. Mówił. Nie miał przytłumionego głosu, więc raczej nie zarzucił nic na głowę.

– A udało ci się go uderzyć?

– Między nogi. Ręką.

– Był ubrany?

– Tak. Miał spodnie, buty. Zdaje się, że zdążył się wcześniej ubrać.

– A pamiętasz może, z jakiego materiału miał spodnie? Co poczułaś, kiedy go uderzyłaś?

– Z bawełny – odparła bez namysłu. – Materiał był miękki. Na pewno nie drelich. To musiały być spodnie na lato albo od dresu.

– A wyżej?

– Uderzyłam go w żebra... Też bawełna. I guzik. Więc to nie był T-shirt, tylko normalna zapinana koszula.

– Taka, w jakich lubił chodzić Eddie?

– Dokładnie! – Pokiwała energicznie głową.

Griffin spojrzał na ocean. Słońce było jeszcze wysoko. Pusta plaża, kojący szum fal. Tylko brodzie z piskiem biegały po mokrym piasku w poszukiwaniu pokarmu.

– Świetne miejsce na weekendy – zagadnął. – Można odpocząć po tygodniu stresów w pracy.

– Tak.

– Twoja mama wciąż tu przyjeżdża?

– Lubi się wygrzewać na werandzie, kiedy jest ładna pogoda. Toppi też uwielbia to miejsce.

– A Trisha?

- Też jej się tu podobało – odparła spokojnym głosem.
- Opowiedz mi o niej, Jillian. Opowiedz o czymś, co wiązało się z tym miejscem.
- Po co?
- Bo dobrze jest powspominać. Nawet jeżeli to boli.

Nie odpowiedziała od razu. Nic nie przychodziło jej do głowy. Trochę ją to przestraszyło. Minał przecież dopiero rok. Trisha nie mogła tak szybko zniknąć z jej pamięci. W końcu jednak uspokoiła się, wzięła głęboki oddech. Spojrzała na pieniaące się fale i okazało się, że to wcale nie takie trudne.

– Trisha była straszną psotnicą. Lubiła rzucać się w fale, a potem wybiegała na plażę, turlała się po piasku i straszyla mamę i mnie, że nas uściska.

– Co wtedy robiłaś?

Uśmiechnęła się.

– Przerażoną minę, oczywiście. Nie przepadam za wodą ani za piachem. Dla mnie plaża jest po to, żebym mogła leżeć na wielkim ręczniku pod wielkim parasolem i czytać dobrą książkę. Właśnie dlatego Trishę tak to bawiło. – W końcu odwróciła się do niego i spojrzała mu w oczy. – Opowiedz mi o swojej żonie. Skoro dobrze jest powspominać, nawet kiedy to boli, opowiedz mi o niej.

– Miała na imię Cindy, była piękna i bardzo ją kochałem.

– Jak się poznaliście?

– Na wycieczce w New Hampshire. Oboje należeliśmy do Klubu Wspinaczki Górskiej. Ona miała dwadzieścia siedem lat. Ja trzydzieści.

Wyprzedziła mnie w drodze na szczyt Mount Washington, ale ja przegoniłem ją w drodze powrotnej.

– Czym się zajmowała?

– Była elektronikiem.

– Naprawdę? – Jillian spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wyobrażała sobie jego żonę jako kogoś... z mniejszym mózgiem. Może słodką blondynkę, którą pociągają bicepsy.

– Pracowała w firmie w Wakefield – powiedział Griffin. – A poza tym lubiła dłubać na boku. Niedługo przed chorobą zaprojektowała nawet nowy model EKG. Dostała patent i tak dalej. Wciąż mam na ścianie certyfikat.

– Musiała być dobra.

– Sprzedała prawa za trzy miliony dolarów – oznajmił rzeczowo Griffin. – Była bardzo dobra.

Jillian patrzyła na niego z rosnącym zdumieniem. Naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie musisz już pracować.

– Tego bym nie powiedział.

– Ale trzy miliony dolarów...

– Pracuje się z wielu powodów. Ty też masz pieniądze, Jillian. A mimo to prowadzisz firmę.

– To pieniądze mojej matki. Chcę, muszę mieć własne.

Griffin uśmiechnął się do niej.

– A tamte pieniądze zarobiła moja żona – powiedział łagodnie. – Może ja też potrzebuję własnych. Poza tym – dodał zmienionym głosem – rozdałem je.

– Wszystkie?

– Co do centa. Wkrótce po tym, jak miałem załamanie. I coś ci powiem. Jeżeli rzucenie się na podejrzanego o dziesięciokrotne morderstwo pedofila nie przekona ludzi, że masz świra, z pewnością przekona ich rozdanie milionów dolarów.

– Rozdałeś je? – Wciąż nie mogła się oswoić z tą myślą. Nie wyobrażała sobie, że policyjny detektyw zarabiający około pięćdziesiąt tysięcy rocznie pozbył się trzech milionów. No, dobrze, półtora miliona po odjęciu podatków.

Dziwiło ją, że opowiedział jej to wszystko. A może nie było się czemu dziwić. W końcu ubiegłej nocy przyjechał do jej domu. I tak naprawdę nie miał obowiązku spotykać się z nią i potwierdzać przekazania pieniędzy ojcu Rondellowi. Mimo to wciąż się zjawiał, a ona wciąż z nim rozmawiała. Oboje muszą być stuknięci.

– Kiedy Cindy podpisała umowę – podjął Griffin – to było coś niesamowitego. Pracowała nad tym modelem pięć lat, aż tu nagle proszę, nie tylko udało jej się go zbudować, ale jeszcze sprzedała go za grube pieniądze. To było niesamowite, wspaniałe. Ale potem zachorowała. W jednej chwili była szczęśliwą, pełną życia kobietą, a w następnej zmieniła się w diagnozę lekarską. Zaawansowany rak trzustki. Dawali jej osiem miesięcy życia. Umarła po sześciu.

– Przykro mi.

– Kiedy Cindy zarobiła te pieniądze, byłem w siódmym niebie. – Wzruszył ramionami. – W końcu co może być złego w trzech milionach dolców? Cindy kupiła sobie u Nordstroma nowe rzeczy, zaczęliśmy myśleć o kupnie nowego domu, może nawet jachtu. Zachowywaliśmy się jak dzieci. Nie mogliśmy uwierzyć, że ktoś dał nam tyle szmalu. Ale potem Cindy zachorowała i umarła. A te pieniądze... zaczęły mi ciążyć. Czułem się, jakbym podświadomie podpisał cyrograf z diabłem. Fortuna w zamian za żonę.

– Miałaś poczucie winy – powiedziała łagodnie Jillian.

– Tak. Tak to już jest z nami katolikami. A może szkoda. Cindy była inna. Do samego końca myślała o mnie, próbowała mnie przygotować. – Uśmiechnął się gorzko. – To ona umierała, ale rozumiała, że mnie było ciężiej.

– Musiałeś po jej odejściu dalej żyć.

– W każdej chwili zamieniłbym mój los na jej – wyznał cicho. – Chętnie zająłbym to szpitalne łóżko, wziął na siebie ból, powolną utratę sił, śmierć. Tylko że nie miałem takiego wyboru.

Jillian pokiwała w milczeniu głową. Też oddałaby życie, żeby ocalić Trish.

– No proszę – odezwała się w końcu. – Ja podarowałam pieniądze synowi domniemanego gwałciciela, żeby pozbyć się winy, a ty oddałeś miliony dolarów...

– Amerykańskiemu Towarzystwu Walki z Rakiem.

– No tak...

– No tak – uśmiechnął się Griffin.

– Kiedy umarła?

– Dwa lata temu.

– Wciąż za nią tęsknisz? – zapytała cicho.

– Nieustannie.

– Nie mogę się pogodzić ze śmiercią Trish – wyznała.

– Tak już jest. To musi boleć.

– Ona była nie tylko moją siostrą. Traktowałam ją jak swoje dziecko. Powinnam ją była

ochronić.

– Spójrz na mnie, Jillian. Potrafię podnieść sztangę ważącą sto kilogramów, przebiec dwa kilometry w pięć minut i strzelać z karabinu. Ale nie mogłem uratować żony.

– Nie mogłeś walczyć z rakiem. Griffin wzruszył ramionami.

– Ludzie pokroju Eddiego Como to też rodzaj choroby.

– Nie powstrzymałam go. Spóźniłam się. Kiedy weszłam do mieszkania Trishy i zobaczyłam ją na łóżku, wiedziałam, po prostu wiedziałam, co się stało. Ale wtedy mnie zaatakował, przewrócił na podłogę. Staralam się, naprawdę się starałam. Myślałam, że jeśli uda mi się wyrwać, znaleźć kluczyki, wykluczyć mu oczy... Jestem inteligentna, wykształcona, prowadzę własną firmę. Ale jakie to ma znaczenie, skoro nie mogłam go pokonać i ocalić siostry?

Griffin przysunął się do niej. Jego oczy były ciemne, niemal granatowe. Pomyślała, że mogłaby się zatopić w ich głębi, ale oczywiście oboje wiedzieli, że tego nie zrobi. Wtedy przyszło jej do głowy, że mógłby ją znowu dotknąć. Nie była jednak pewna, czy byłoby to wspaniałe, czy okropne.

– Jillian – powiedział łagodnie. – Trish cię kocha.

Jillian schowała twarz w dłoniach. A on wciąż jej nie dotknął. Oczywiście, że jej nie dotknął. W końcu był detektywem od zabójstw, a ona podejrzaną o morderstwo. Złapanie jej, gdy upadała, to jedno, a objęcie ramieniem, gdy płakała, to zupełnie co innego. I wtedy usłyszała warkot silnika samochodowego. Ale głośniejszy od zwykłego. Wóz transmisyjny.

Rozpłakała się. Płakała za siostrę, za Sylvię Blaire. Wypłakiwała rok żalu po stracie Trishy. Oplakiwała chwile grozy w mrocznym mieszkaniu, kiedy tak bardzo się starała i tak wiele straciła. I w końcu płakała za nie tak odległą przeszłością, gdy Trisha biegała radośnie po plaży. Za przeszłością, która nigdy nie wróci.

Wtedy silnik ucichł. Usłyszała zgrzyt rozsuwających się drzwi, chrzęst kroków po wysypanym żwirze podjeździe. Podniosła głowę i otarła łzy. Była gotowa do kolejnej bitwy.

MAUREEN

Okrążywszy dom i znalazłszy się na podjeździe, Griffin stanął oko w oko ze starą dobrą Maureen, która właśnie włączała mikrofon. Błysk w jej błękitnych, spoglądających to na niego, to na Jillian oczach stanowczo oznaczał kłopoty.

– Jimmy, chodź no tutaj – zawołała. – Muszę mieć to na taśmie! Griffin zrobił kolejny krok do przodu, ustawiając się między Jillian a gramolącym się z wozu kamerzystą. Nie, żeby Jillian potrzebowała osłony. Zdążyła już otrzeć lzy, poprawić makijaż i podnieść hardo głowę. Od mini-załamania nerwowego do pełnej gotowości bojowej w dziesięć sekund. Gdyby przed chwilą sam nie widział, że płakała, nigdy by w to nie uwierzył. I szczerze mówiąc, trochę go to niepokoiło.

– Co tu porabiasz, Griff? – zagadnęła Maureen.

– Sprawy służbowe.

– Nie wiedziałam, że składasz wizyty domowe.

– A ja nie wiedziałem, że chcesz trafić do aresztu za wtargnięcie na teren prywatny.

– Ona nie może mnie oskarżyć. Dom nie należy do niej, tylko do jej matki.

– Mam prawo do rozporządzania jej własnością, więc mogę – odezwała się Jillian.

– O! – Maureen była pod wrażeniem. Po chwili jednak uniosła podbródek i posłała im kolejny czarujący uśmiech. – W takim razie zajmę wam tylko sekundę.

– Bez komentarza – oznajmiła Jillian.

– Jeszcze nie zadałam pytania.

– To bez znaczenia. Odpowiedź i tak brzmi „bez komentarza”.

– No cóż, państwo Blaire bardzo się zasmucą, gdy to usłyszą.

– Państwo Blaire?

– Tak. Rodzice biednej Sylvii. Przylecieli rano z Wisconsin, żeby odebrać ciało. Bardzo mili ludzie. Pan Blaire jest farmerem. Z mleka jego krów wyrabia się ten wspaniały wisconsinński ser. Sylvia była ich jedyną córką. „Oczkiem w głowie”, że zacytuję. Byli tacy dumni, kiedy dostała stypendium do jednej z uczelni Ivy League* [* Ivy League – grupa college’ów i uniwersytetów w północno-zachodnich Stanach Zjednoczonych cieszących się największą renomą, jeśli chodzi o poziom nauczania. Oprócz Uniwersytetu Browna do Ivy League należą m.in. Yale, Harvard i Princeton (przyp. tłum.)]. Jako pierwsza w rodzinie poszła na studia.

Maureen znowu się uśmiechnęła. Griffin ledwo zdusił w sobie chęć skręcenia jej karku.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną – powiedziała Jillian.

– No cóż, bardzo chcą się z panią spotkać.

– Chcą mnie poznać?

– Przewodniczącą Klubu Ocalonych? Jasne!

– Nie jestem żadną przewodniczącą. Klub Ocalonych nie ma przewodniczącej.

Maureen machnęła niedbale ręką.

– Rozumie pani, co mam na myśli. To pani twarz pojawia się najczęściej w telewizji. Państwo Blaire chcieliby z panią porozmawiać.

– Po co?

– Żeby zapytać, dlaczego nie uratowała pani ich córki, oczywiście. – Maureen uśmiechnęła się słodko.

Jillian zeszywniała.

– Maureen – warknął Griffin.

– Proszę opuścić mój teren – zażądała Jillian.

Dziennikarka zlekceważyła ich oboje.

– Nadal uważa pani, że Eddie Como był Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego? Co pani powie na doniesienia, że Sylvia Blaire także została skrepowana lateksowymi opaskami? Co ten nowy atak oznacza dla oskarżenia przeciwko panu Como? I co ważniejsze, co oznacza dla bezpieczeństwa kobiet w tym mieście? – zapytała, podsuwając Jillian mikrofon, podczas gdy Jimmy nakierował na nią kamerę.

Griffin zrobił trzy kroki do przodu, zasłaniając obiektyw swoją szeroką klatą.

– Właścicielka domu prosiła o opuszczenie jej terenu – powiedział stanowczo.

– Ma pan na myśli podejrzaną o morderstwo?

– Maureen...

– Co mi zrobisz, Griffin? Zarekwirujesz kasetę? – Maureen opuściła mikrofon i podeszła do niego z bojową miną. – Chroni mnie pierwsza poprawka do konstytucji, sierżancie – oznajmiła. – Nie obchodzi mnie, czy uważasz wolność słowa za przyczynę wszelkiego zła. Moim zdaniem działanie czwartej władzy jest właśnie tym, czego nam teraz potrzeba. Wczoraj rano na terenie sądu został zastrzelony człowiek. Teraz zamordowano dziewczynę z college’u. A co na to policja? Co na to pani Hayes? W tej sprawie coś śmierdzi i mam nie tylko konstytucyjne prawo, ale wręcz obowiązek coś z tym zrobić.

– Maureen Haverill, obrończyni wolnego świata – parsknął Griffin.

– A jakże!

– Znowu naczytałaś się własnych artykułów, prawda?

– Ty sukinsynu...

– Przykro mi z powodu śmierci Sylvii Blaire – odezwała się nagle Jillian i wszyscy obrócili ku niej głowy.

– Słucham? – zapytała Maureen.

– Przykro mi z powodu śmierci Sylvii Blaire – powtórzyła Jillian. – Głęboko współczuję jej rodzinie.

Maureen odstąpiła od Griffina i posławszy Jimmy’emu nerwowe spojrzenie, przybrała swoją najpoważniejszą reporterską minę. Szczwana sztuka, potrafiła nawet płakać na zawołanie. Griffin widział kiedyś, jak dokonała tego, wrywając sobie włoski z nosa.

– Czy uważa pani, że Eddie Como rzeczywiście był Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego?

– Uważam, że policja przeprowadziła sumienne i kompetentne śledztwo.

– Panno Hayes, kolejna młoda kobieta nie żyje.

– To tragedia, o której nie powinniśmy nigdy zapomnieć.

Maureen zmarszczyła brwi.

– Na pewno rozumie pani, że istnieje związek między śmiercią Sylvii Blaire a atakami Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

– Nie wiedziałam, że policja ustaliła coś takiego.

– Bo nie chce pani przyjąć do wiadomości, że mogłaby to zrobić, prawda, panno Hayes? Ponieważ gdyby tak się stało, znaczyłoby to, że zarówno prokuratura, jak i organy ścigania fałszywie posądziły Eddiego Como. Oznaczałoby to, że także pani się pomyliła, a Klub

Ocalonych jest odpowiedzialny za trwającą rok nagonkę na niewinnego człowieka.

– Ostatni rok spędziłam, nie szczędząc wysiłków, by pomóc policji i prokuraturze w śledztwie przeciwko mężczyźnie, który brutalnie zgwałcił i zamordował moją dziesięcioletnią siostrę Trishę Hayes. Chcę tylko, by sprawiedliwości stało się zadość. Sądzę, że każdy, kto stracił ukochaną osobę, potrafi to zrozumieć.

– Chce pani sprawiedliwości nawet kosztem niewinnego człowieka?

– Nie. Chodzi mi o człowieka, który zamordował moją siostrę, o nikogo innego.

– A co powie pani na oskarżenia, że założony przez panią Klub Ocalonych przyczynił się do poważnego naruszenia zasad sprawiedliwości, wzbudzając atmosferę paniki i nienawiści, którą można porównać tylko ze zbiorowym szaleństwem polowania na czarownice?

– Myślę, że obywatele Providence słusznie oburzy porównanie ich z rozwścieczonym tłumem.

Maureen skrzywiła się gniewnie, a Jimmy akurat w tym momencie robił na nią zbliżenie. Z furją odsunęła od siebie kamerę.

– Sylvia Blaire nie żyje – powtórzyła, opanowawszy się. Jillian milczała.

– Eddie Como nie żyje. Jillian wciąż się nie odzywała.

– Na parkingu Szkoły Wzornictwa policja znalazła jeszcze jedno, niezidentyfikowane ciało. To trzy ofiary śmiertelne w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Jillian nadal nie odpowiadała. Maureen postanowiła zmienić taktykę.

– W dniu aresztowania Eddiego Como powiedziała pani, że cieszy się, że policja schwytała podejrzanego. Stała pani wraz z Meg Pesaturo i Carol Rosen na stopniach ratusza i wszystkie publicznie obarczyłyście Eddiego Como winą za ataki dokonane przez Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

– Policja miała przekonujące dowody...

– Kolejna dziewczyna nie żyje! Została zgwałcona i zamordowana jak pani siostra!

– I bardzo mi przykro!

– Przykro pani?! – natarła Maureen. – To nie wróci Sylvii Blaire życia. Wyrazami współczucia nie odda pani państwu Blaire ich pięknej, kochanej córki.

– To nie moja wina... – Jillian urwała w pół zdania. Jej opanowanie zaczęło topnieć, w głosie zabrzmiało zdenerwowanie.

Griffin rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, ale ona już na niego nie patrzyła.

– Domagałyście się sprawiedliwości – nie odpuszczała Maureen.

– Zostałyśmy zgwałcone! To oczywiste, że domagałyśmy się sprawiedliwości!

– Wmówiłyście opinii publicznej, że nikt nie będzie mógł spać spokojnie, dopóki gwałciciel nie znajdzie się za kratkami.

– Bo taka była prawda!

– Organizowałyście konferencje prasowe, wywierając ogromny nacisk na policję.

– Cztery kobiety zostały napadnięte. Policja i tak była pod ogromnym naciskiem!

– Powiedziałyście, że cieszy się z aresztowania pana Como.

– Bo tak było!

– Tak? Więc w takim razie co pani czuje po jego śmierci? Potrzebuje pani więcej szampana, panno Hayes? W końcu niecodziennie ktoś publicznie wznosi toast, by uczcić śmierć niewinnego człowieka.

Jillian drgnęła nerwowo. Za późno spostrzegła pułapkę. Za późno spojrzała w obiektyw kamery szeroko otwartymi, zdziwionymi oczami.

– Śmierć to nie sprawiedliwość – powiedziała słabym głosem, chociaż nie miało to już żadnego znaczenia.

Maureen miała swój reportaż i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Dziennikarka uśmiechnęła się i ruchem ręki nakazała Jimmy’emu wyłączyć kamerę.

– Dziękuję – rzekła, opuszczając mikrofon.

– Naprawdę uważa pani, że w ten sposób komukolwiek pani pomaga? – spytała Jillian.

Maureen wzruszyła ramionami.

– Nie mogę spieprzyć sprawy bardziej od pani, prawda?

– Sugeruje pani, że to moja wina?

– Oglądała pani nagrania z waszych konferencji prasowych? Widziała pani, jak wygląda w telewizji? Ma pani taką siłę perswazji, że niejeden polityk by się schował. Zawsze opanowana, chłodna, przekonująca. Uświadomiła pani widzom, że ich córki mogą być następne. Pani nie tylko włączyła się do tej historii, pani się nią po prostu stała. Nawet ja z wami sympatyzowałam. Kurczę, wszyscy dziennikarze pili wasze zdrowie, kiedy aresztowano Eddiego Como. Ale to było, zanim zginęła Sylvia Blaire. Jasne, że jest pani odpowiedzialna za to, co się wczoraj stało. Gdybyście tak nie podgrzewały atmosfery, może policja przeprowadziłaby dokładniejsze śledztwo. Gdyby policja nie traciła tyle czasu na tłumaczenie się z tego, co mówiła pani do kamer, detektywi mieliby więcej czasu na prowadzenie śledztwa. Policjanci są bardzo wrażliwi na naciski publiczne. Proszę zapytać sierżanta Griffina.

– Też cię kocham, Maureen – powiedział Griffin. Dziennikarka posłała mu słodki uśmiech.

– Właśnie dlatego tak lubię tę pracę.

– Nie ma żadnych przekonujących dowodów, że Eddie Como był niewinny – nie dawała za wygraną Jillian.

– Niech pani to powie Sylvii Blaire.

– Możliwe, że ktoś się pod niego podszył.

– Mam to nagrać?

Jillian nie odpowiedziała. Maureen pokiwała głową.

– Tak właśnie myślałam – rzuciła i ruszyła z Jimmym do samochodu. Niewątpliwie mogli być z siebie dumni. Przybyli, zobaczyli, zwyciężyli. Maureen pomachała Jillian i Griffiniowi na pożegnanie i zasunęła za sobą drzwi.

– Nie powinnaś jej była słuchać – rzekł Griffin, gdy wóz transmisyjny odjechał.

– Ale słuchałam i będę słuchać – odparła z uśmiechem. – Tak samo jak Carol i Meg. Będziemy o tym myśleć w środku nocy.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę swojego samochodu.

– Jillian... – Chwytał ją za ramię. Fizyczny kontakt oboje zaskoczył. Jillian wpatrywała się w jego dłoń tak długo, aż ją puścił. – Fitz przeprowadził rzetelne śledztwo. Ja też znam się na swojej robocie. Wyjaśnimy tę sprawę.

Jillian spojrzała w niebo.

– Zostały trzy godziny do zmroku, Griffin. Zastanawiam się, która kobieta będzie dziś w nocy sama w domu. Która studentka będzie zakuwać do egzaminów, marzyć o chłopaku albo po prostu siedzieć przed telewizorem. Zastanawiam się, która dziewczyna popełnia w tej chwili

drobny błąd, który wkrótce może zaważyć na jej życiu.

– Nie możesz myśleć w ten sposób.

– Ale myślę. Komuś, kto przeżył napaść, trudno myśleć inaczej. Świat jest bardzo niebezpiecznym miejscem, sierżancie.

GRIFFIN

– Mam dobrą wiadomość – oświadczył detektyw Waters przez telefon komórkowy. – Eddie Como nie żyje.

– O, nareszcie coś nowego. – Griffin jechał właśnie Ocean Road w stronę Providence, przyciskając komórkę do ucha. Ruch był niezbyt duży. Dopiero za miesiąc całe Narragansett zamieni się w gigantyczny parking dla turystów. Nie ma to jak lato.

– Koroner przed chwilą to potwierdził – mówił Waters. – Poza tym policja miejska zidentyfikowała tego zwęglonego truposzczaka.

– Serio?

– Facet służył w armii. Niejaki Gus J. Ohlsson z Nowego Jorku. Wyobraź sobie, że gość był snajperem.

– Więc detektywistyczna intuicja znowu nas nie zawiodła. Trzeba to otwarcie przyznać: mamy nosa.

– Możesz się poklepywać po ramieniu, ile wlezie, a i tak wszystkie laury zbiorą gliniarze z policji miejskiej. Właśnie załatwiają nakaz sądowy, żeby przejrzeć wojskowe akta i rachunki bankowe Ohlssona. Facet ma ojca w Nowym Jorku, więc możesz sobie wyobrazić, że Boz i Higgins tańczą z radości.

– Nie ma to jak wycieczka – zauważył Griffin. Boz i Higgins od piętnastu lat pracowali w Biurze Detektywistycznym policji miejskiej. A że Providence znajdowało się w pobliżu autostrady I-95 łączącej Nowy Jork z Bostonem, tutejsze przestępstwa często były powiązane ze sprawami w którymś z tych miast. Dziwnym zbiegiem okoliczności do Nowego Jorku zawsze jeździli właśnie Boz i Higgins. Naprawdę zawsze. Plotka głosiła, że to dlatego, iż przepadają za przedstawieniami na Broadwayu.

– Biorąc pod uwagę wojskową przeszłość Ohlssona, nasza hipoteza z wynajętym mordercą wygląda coraz lepiej. Oczywiście ci z miejskiej chcą jeszcze sprawdzić powiązania z mafią.

– U kogoś z takim nazwiskiem jak Ohlsson?

– Świat stał się globalną wioską, nie słyszałeś? Mafia też zrobiła się wielonarodowościowa.

– A niech mnie, człowiek bierze rok urlopu, a gdy wraca, okazuje się, że zmieniła się cała mapa przestępczego świata. Kto by pomyślał! – Griffin wjechał na estakadę prowadzącą na północ. – Są jakieś wieści od straży pożarnej?

– Po dwóch dniach?! Kurczę, naprawdę straciłeś kontakt z rzeczywistością.

– Wolę o sobie myśleć jako o optymiście. Aha, słuchaj Mike, mógłbyś się w moim imieniu skontaktować z tymi od przestępstw finansowych? Powiedz im, że Jillian Hayes przekazała te dwadzieścia tysięcy parafii w Cranston. Ksiądz to potwierdził, ale musimy utrzymać szczegóły w tajemnicy.

– To nie będzie trudne. Przecież nie podałeś mi żadnych szczegółów. To co? Wracasz teraz do biura?

– Nie, jadę odwiedzić Dana Rosena.

– Jedziesz do Rosena? – zapytał Waters podniesionym głosem. Griffin rozumiał jego rozdrażnienie. Detektyw prowadzący sprawę nie powinien jeździć po mieście. Jego robota polegała na siedzeniu w centrum śledczym i koordynowaniu pracy podwładnych, takich jak Waters, do których należało przesłuchiwanie podejrzanych i świadków. Wiedział też, że jeśli nie pojawi się wkrótce w centrum dowodzenia, dostanie burę od szefowej.

- Co ty wyprawiasz, Griff? – dopytywał się Waters.
- Mam pewną teorię. Muszę ją sprawdzić.
- Powiedz mi, co to za teoria, a sam ją sprawdzę.
- Uznałem, że wolałbyś spędzić popołudnie w barze.
- Co?

– Chciałbym, żebyś pojechał do Cranston i zlokalizował wszystkie bary, puby i nocne kluby w pobliżu domu Eddiego Como – wyjaśnił Griffin. – Porozmawiaj z barmanami, podpytaj, czy Como spędzał u nich dużo czasu i, co najważniejsze, z kim.

Nastąpiła długa cisza.

– Griffin...

– Tak, wiem.

– Jak Fitz się o tym dowie, to naprawdę się wkurzy.

– Nie martw się, on się już taki urodził. Nic na to nie poradzimy. Właśnie dlatego wybrałem ciebie do tej roboty. Liczę na twój urok osobisty.

– A niech cię, Griff! Mój urok nic tu nie pomoże. W takim małym stanie jak ten wieści szybko się rozchodzą. Ci z miejskiej pomysła że weszemy wokół ich sprawy, i zanim się obejrzysz, ich porucznik zadzwoni z gębą do naszego. A Morelli nie lubi, jak się na nią krzyczy, nie zauważyłeś?

– Słuchaj, mamy trupa. Nasza robota polega na tym, żeby znaleźć winowajcę. Praca nad profilem ofiary nie wykracza poza obszar naszego śledztwa.

– Tak sądzisz? – zapytał Waters bez przekonania. Nie dał się nabrać. Fitz też by się nie nabrał.

– Gdyby ktoś pytał, powtórz, co ci powiedziałem – oświadczył Griffin. – Wezmę całą odpowiedzialność.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło...

– Cranstoński akcent, Mike. Szukam dobrego znajomego Eddiego, który wychował się w Cranston i od czasu do czasu nosi zapinane koszule. Może nos mnie zawodzi. Ale chciałbym, żebyś to sprawdził.

– Ożesz kurde! – Waters stęknął głośno, co oznaczało, że się zgadza. – A jak już znajdę tego tajemniczego gościa?

– To będę jeszcze bardziej skołowany niż teraz, ale trochę optymistyczniej.

– Kurde – powtórzył Waters.

– Nie podoba mi się sprawa tego gwałtu – powiedział nagle Griffin.

– Coś na ten temat słyszałem.

– Coś w nim... sam nie wiem... Coś mi tu nie pasuje.

– Weź pod uwagę, że długo cię nie było. Przy pierwszym śledztwie po powrocie...

– Powinienem grać według reguł?

– Nie zaszkodziłoby.

– Racja, ale czy wtedy byłoby tak ciekawie?

Znowu cisza.

– Griff, dostałem właśnie wiadomość od kaprala Charpentiera z więzienia – oznajmił Waters. Griffin w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi. Wreszcie załapał.

– Nie! – burknął.

– Obawiam się, że tak. Stary dobry David Price wyciągnął do nas pomocną dłoń. Twierdzi, że ma informacje na temat Eddiego Como, i natychmiast chce z tobą porozmawiać. Pojawился się w porannych wiadomościach, a wiesz, jak facet uwielbia grać ci na nerwach.

– Kurwa! – Griffin grzmotnął pięścią w kierownicę. Pomyślał o byłym sąsiedzie. Pomyślał o Cindy. Potem znowu walnął w kierownicę, aż zabolęła go ręka. Powinien się uspokoić. Pierdolony psychopatyczny wypierdek! – Dlaczego mnie to nie dziwi? Skurwiel przysłał mi wczoraj list z gratulacjami i życzeniami powodzenia w pracy nad nową sprawą. A teraz chce się włączyć w śledztwo.

– Wiedział o nowej sprawie? Przecież musiał wysłać ten list w sobotę, zanim Como został zabity.

– Po prostu złożył mi gratulacje z powodu nowej sprawy. Nie napisał nic o Como ani o gwałtach. To David Price, pamiętasz? Król gmerania ludziom we łbach. Nudzi mu się, więc korzysta z okazji, żeby się trochę rozerwać. A teraz, kiedy wie, że prowadzę sprawę Como, chce się wkupić kłamstwem do gry. Co on może wiedzieć o Eddiem? Siedzieli w tym samym więzieniu. Tak samo jak trzy tysiące innych facetów, a jakoś żaden z nich do nas nie dzwoni. Como nie był trzymany w części o zastrzonym rygorze, prawda?

– Prawda.

– A Price cały czas tam siedzi?

– Tak.

– Czyli dupek nic nie wie.

– Chyba że od kumpla z celi, Jimmy’ego Woodsa.

– A niech to szlag!

– Woods siedział przedtem z Eddiem. Kiedy trzy miesiące temu dostał wyrok, przynieśli go do części o zastrzonym rygorze. Podobno Woods gada, a w zamian za „odrobinę wyrozumiałości” Price gotów jest nam to i owo przekazać.

– Za „odrobinę wyrozumiałości”? – prychnął Griffin. – Price zamordował dziesięcioro dzieci. Jak się robi coś takiego, nie można liczyć na żadną wyrozumiałość. Skurwiel i tak miał szczęście, że w Rhode Island nie ma kary śmierci.

– Zgadzam się z tobą.

– To dlaczego, do cholery, źle mi to pachnie?

Waters zniżył głos.

– Zrobiło się gorąco, Griff. Nie byłeś jeszcze w kwaterze, ale powiem ci coś. Telefony się urywają. Ludzie się boją. Rodzice nastoletnich dziewcząt są wręcz przerażeni. Znamy Davida Price’a. Kapral Charpentier zna Price’a. Pani porucznik, major i pułkownik też go znają. Za to burmistrz i gubernator...

– Pierwsza osoba, która zacznie się domagać poważnego dialogu z Davidem Price’em, ma dostać kolorowe zdjęcia z miejsca zbrodni – oznajmił chłodno Griffin. – Jasne?

– Jasne – odparł po chwili Waters.

– Mike...

– Kiedy skończysz rozmowę z Danem Rosenem?

– Nie wiem. O szóstej?

– Przyjadę do ciebie.

– Mike, nie potrzebuję...

– Potrzebujesz. Do zobaczenia u ciebie o szóstej. I nie przejmuj się, tym razem wezmę ochraniacz na głowę.

Kiedy Griffin podjechał pod dom Rosenów, miał już zupełnie zepsuty nastrój. Za dużo myślał. Zawsze miał z tym problem. Myślał o bladej twarzy Meg, o nerwowym uśmiechu Carol. Myślał o Jillian, która nie mogła nawet porządnie wypłakać żalu po stracie siostry, bo natychmiast zjawiał się jakiś nadgorliwy dziennikarz.

Potem pomyślał o Tawny i małym pucołowatym Eddiem. Pomyślał o ludziach, którym nigdy się w życiu nie powie. O ludziach, których widywał każdego dnia ze świadomością, że niedługo znowu ich zobaczy – w więzieniu, w sądzie, w bagażniku jakiegoś starego samochodu.

Wtedy przypomniała mu się ta cholerna piwnica i dzieci, którym mógł uratować życie, gdyby tak dużo nie myślał. Pomyślał o Cindy. O Davidzie. Pomyślał o rzeczach, o których nikomu jeszcze nie powiedział – ani ojcu, ani braciom, ani nawet psychoanalitykowi.

Świat potrafił być naprawdę wredny. Za bardzo przypominał ring bokserski. Człowiek przyjmował ciosy, padał, próbował się podnieść. Mike miał rację. Musiał pobiegać. Musiał jak najprędzej stłuc kogoś na kwaśne jabłko, bo inaczej znowu zacznie mu dzwonić w uszach. Przestanie panować nad swoim ciałem. Zamiast jeść i pić jak normalny człowiek, zmieni się w karykaturę zajączka Energizera, będzie pracował przez pięć dni i nocy, a potem jego różowa pluszowa głowa eksploduje.

Niektórzy gliniarze wpadali w depresję, wypalali się. Griffin reagował odwrotnie. Cierpiał na zaburzenia lękowe: kiedy się zdenerwował, nie potrafił się uspokoić. Stres narastał i narastał, aż w końcu żaden jogging, żadne podnoszenie ciężarów, żadna ilość rund w bokserskim ringu nie pomagały. Mógł sobie połamać wszystkie kości dłoni i niczego nie poczuć. Mógł nie spać trzy dni pod rząd, a potem i tak kładł się do łóżka znerwicowany. Trzęsły mu się ręce, drżały kolana wpadał w stany maniackalne. Potem, szóstego albo siódmego dnia ciało odmówiłoby posłuszeństwa. Padłby z wycieńczenia jak kokainista.

Wtedy znalazłby się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Fizycznie i emocjonalnie nie miałby żadnych rezerw, ale stres wciąż by się utrzymywał. Stracił żonę. Sąsiad okazał się psychopatycznym mordercą. Praca nie należała do spokojnych. Za pierwszym razem pomogła mu rodzina. Bracia na zmianę siedzieli przy jego łóżku, żeby ani na chwilę nie został sam. Pomogli mu przetrwać najgorsze. Potem sam się za siebie wziął.

Musiał się nauczyć, jak radzić sobie ze stresem. Dobrze się odżywiać, dobrze się wysypiać i co najmniej cztery razy w tygodniu ćwiczyć. W ten sposób nie pozwalał stresowi narastać. Nie było to łatwe, ale i nie bardzo trudne. Poza tym, kiedy miał zły dzień, myślał o Cindy. Tak dzielnie walczyła o życie. Nawet gdy ciało zaczęło odmawiać posłuszeństwa, odbierając jej głos i pozbawiając ją sił. Nawet na samym końcu, kiedy mogła się porozumiewać, tylko mrugając oczami, a ręce były zbyt słabe, by ucisnąć jego dłoń. Jak więc mógł się poddać?

Oddychaj głęboko, powiedział sobie teraz. Policz do dziesięciu. Nie można zmienić świata, ale można go po kawałeczku poprawiać.

Wysiadł z samochodu. Zamknął drzwiczki. Wdech, wydech. Pomyślał o otwarciu drzwiczek i zatrzaśnięciu ich, ale się powstrzymał. Wystarczy miarowo oddychać. Wszedł po schodkach na ganek starego wiktoriańskiego domu i zapukał do drzwi tylko odrobinę mocniej, niż należało. Całkiem nieźle. Nikt nie otworzył, ale usłyszał wewnątrz czyjs głos.

Zapukał ponownie, policzył do dziesięciu, zapukał. Powtórzył tę czynność jeszcze dwa razy,

aż w końcu usłyszał zgrzyt odsuwanej mosiężnej osłony przy judaszu. Chwilę później stanęła przed nim Carol Rosen ubrana w niebieską flanelową piżamę, którą zapięła pod samą szyję, mimo że na zewnątrz było prawie dwadzieścia pięć stopni. Miała zaczerwienione policzki i szkliste oczy.

Pijana, pomyślał, chociaż kiedy się zatoczyła, niemal padając mu w ramiona, nie poczuł w jej oddechu alkoholu. Wódka?

– Nie... rozmawiam z panem – wymamrotała, chwytając się framugi. Czy zastałem pani męża?

– Nie.

– W kancelarii powiedziano mi, że go nie ma.

– W domu też.

– Pani Rosen...

– Może jest u którejś z kochanek. – Jej oczy zabłyśły. Wytknęła go palcem, a on z zaskoczeniem stwierdził, że ma zakrwawioną dłoń. Spojrzał na nią badawczo, ale zdawało się, że niczego nie zauważyła.

– Nie ma go tutaj, nie ma tam. Musi być u kochanki.

– Pani mąż ma kochankę?

– Właśnie to powiedziałam.

– Jak się nazywa?

– Nie mam pojęcia. Założę się, że jej nikt nie zgwałcił. Jak pan sądzi?

Griffin milczał chwilę.

– Czy chce pani, żebym po kogoś zadzwonił? Może po przyjaciółkę albo kogoś z rodziny, kto dotrzymałby pani towarzystwa?

Pokiwała palcem, wychylając się niebezpiecznie do przodu, a potem chwytając mocniej framugi.

– Tylko nie dziennikarza. Nienawidzę ich! Cały czas dzwoni telefon. Niech pani opowie o Eddiem! A co pani myśli o tej biednej studentce Sylvii Blaire? Eddie nie żyje, a kobiety wciąż cierpią.

– Może zadzwonię do Meg Pesaturo albo do Jillian Hayes?

– Meg gówno wie. Jest za młoda – westchnęła Carol. Przekrzywiła na bok głowę. – Młoda, słodka i niewinna. Myśli pan, że ja kiedykolwiek byłam młoda, słodka i niewinna? Nie przypominam sobie. Nawet przed Eddiem... Nie pamiętam.

– A Jillian Hayes? – zapytał z nadzieją.

– Ona mnie nienawidzi – oświadczyła Carol. – Jestem za bardzo popaprana, widzi pan. Jillian lubi tylko tych, którym jest w stanie pomóc. Doskonał się! Zapanuj nad swoim życiem! Jillian jest zupełnie jak Oprah Winfrey. Tylko że biała.

– Nic pani nie jest, pani Rosen?

– Nie mogę mieć dzieci – wyzaliła się. – Założę się, że kochanka Dana może. I pewnie umie wyłączyć telewizor, kiedy chce. I nie sypia w wannie ani nie sprawdza co pięć minut krat w oknach. I pewnie nigdy nie strzeliła do Dana z pistoletu. Trudno z kimś takim rywalizować.

– Pani Rosen... – Z całą pewnością była pijana. Chociaż wciąż nie czuł alkoholu, uznał, że to bez znaczenia. Miał robotę do wykonania, a jej stan tylko mu ją ułatwiał. – Czy Dan rozmawia z panią o pieniądzach? – zapytał.

- Nie.
- Taki dom musi być bardzo kosztowny.
- Nowa kanalizacja nie jest tania – odparła, parodiując głos męża.
- Czyli wasza sytuacja finansowa nie jest najlepsza.
- Chryste, Carol, ktoś musi na to wszystko zarobić.
- Rozumiem. Jest źle.

– Meg i Jillian mówią, że powinniśmy sprzedać ten dom. Ale sama go urządziłam. Na przykład te drzwi, sama je wybrałam. I tę klamkę. Kiedy się wprowadziliśmy, wszystko było w ruinie. Zardzewiałe, połamane, spróchniałe. Czytałam książki o renowacji. Przeglądałam albumy z wiktoriańską architekturą, rozmawiałam ze specjalistami. Nikt nie pokochał tego domu tak jak ja. Boże, chciałabym, żeby po prostu spłonął do szczętu.

– Pani Rosen, wiemy, że Dan zlikwidował fundusz inwestycyjny. Wie pani, co się stało z tymi pieniędzmi?

Potrząsnęła głową..

– Musimy to sprawdzić, pani Rosen.

Uśmiechnęła się i oparła głowę o framugę.

– Uważa pan, że wynajął mordercę? Że wydał te pieniądze, żeby zabić człowieka, który mnie zgwałcił?

– Chętnie bym go o to zapytał.

– Sierzancie Griffin, mąż nie kocha mnie na tyle. Niech pan sprawdzi jego kochankę. Może ona też lubi kosztowne zabytkowe domy.

Griffin podniósł rękę. Za późno. Carol Rosen zdążyła zatrzaskać drzwi. Zapukał, ale nie odpowiadała. Po minucie czekania wrócił do samochodu, usiadł za kierownicą i zmarszczył brwi.

Wolał nie zostawiać jej w takim stanie samej. Wczoraj postrzeliła męża. A wtedy nie wiedziała jeszcze o Sylvii Blaire. Strach pomyśleć, co może zrobić dzisiaj.

Wziął komórkę i zadzwonił do Meg Pesaturo. Nikt nie odbierał. Wystukał numer letniskowego domku Jillian. Z takim samym skutkiem. Wreszcie zadzwonił do domu Jillian w Greenwich, gdzie w końcu ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo? – zapytała Toppi Niauru.

Jillian nie było w domu, więc Griffin powiedział o Carol Rosen Toppi. Obiecała, że razem z Libby zaraz przyjadą na miejsce.

Schody zabytkowego budynku nie były przystosowane do potrzeb osób na wózkach, więc Griffin postanowił zaczekać. Czterdzieści pięć minut później Toppi wjechała na podjazd granatową furgonetką. Rozsunęła boczne drzwi i uruchomiła hydrauliczny podnośnik, który opuścił Olivie Hayes na ziemię.

Matka Jillian musiała nałożyć na tę okazję makijaż i upiąć włosy w fantazyjny kok.

O piątej zero zero Griffin wniósł Libby na schody, a Toppi podążyła za nimi, dźwigając wózek. O piątej zero jeden wszyscy zapukali do drzwi.

O piątej dziesięć przestali pukać, a Griffin wyważył drzwi własnym ciałem. O piątej jedenastej znaleźli Carol leżącą na dywanie przed włączonym telewizorem. W dłoni wciąż ścisnęła pustą buteleczkę po pigułkach nasennych.

Griffin rozpoczął reanimację, Toppi zadzwoniła po pogotowie, a Dan Rosen, ze zwykłym u siebie wyczuciem czasu, w końcu wrócił do domu.

CAROL

Jillian przyjechała pierwsza. Brutalnie przepchnęła się przez tłum reporterów oblegających szpitalny parking i wbiegła do budynku. – Cholerne hieny! – krzyknęła, gdy zasunęły się za nią elektronicznie zamykane drzwi. Wcześniej jednak jeden z dziennikarzy zdążył zawołać: „Pani Hayes, czy sama nie myślała pani nigdy o samobójstwie?” Meg z rodziną przyjechali wkrótce po Jillian. Mundurowy policjant zauważył ich samochód przed domem Vinniego Pesaturo i przekazał im wiadomość. Wjechawszy na parking, Vinnie wrzasnął: „Z drogi, pierdolone szczury!” i reporterzy usunęli się grzecznie, przepuszczając całą rodzinę.

Meg natychmiast podbiegła do Jillian.

– Gdzie ona jest? Nic jej nie będzie?

– Nie wiem. Musimy porozmawiać z jakimś lekarzem. Hej, ty, w białym kitlu. Jaki jest stan Carol Rosen?

– Jillian! Tutaj. Jillian!

Jillian i Meg odwróciły się i ujrzały Toppi machającą do nich z drugiego końca poczekalni. Obok niej siedziała matka Jillian, a przy niej sierżant Griffin.

– Dlaczego twoja mama tutaj jest? – zdziwiła się Meg.

– Czy to naprawdę Olivia Hayes? – zapytał z przejęciem jej ojciec.

– Zabiję tego Griffina – powiedziała Jillian.

Podbiegli do Toppi, która wstała, żeby ich powitać.

– Jak ona się czuje? Wyjdzie z tego? – Jillian trzęsły się ręce. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki Toppi nie ujęła jej dłoni.

– Jeszcze nie wiemy.

– O, Boże...

– Jej mąż właśnie rozmawia z lekarzem, więc wkrótce powinniśmy się czegoś dowiedzieć.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że przedawkowała środki nasenne. Być może piła także alkohol.

– O, nie – jęknęła Meg. – Nie wiedziałam... Widziałam, że była zdenerwowana, ale nie przypuszczałam...

– Nikt nie mógł tego przewidzieć – powiedziała Jillian, ale bez przekonania. Przyjaźniły się z Carol, widziały ją dziś rano. Może powinny były zauważyć. Matka Meg objęła córkę ramieniem.

– A gdzie był wtedy jej mąż? – oburzył się wujek Vinnie. Toppi wzruszyła ramionami i spojrzała na Griffina.

– Poza domem – odparł po prostu.

– Najwyraźniej – burknął wujek Vinnie.

– Nie zniosę tego dłużej – oznajmiła Jillian. – Poszukam lekarza. Poszła w stronę dyżurki, a Griffin za nią.

– Jak pan mógł? – natarła na niego, gdy tylko znaleźli się na tyle daleko, że nikt ich nie mógł usłyszeć. Wciąż trzęsły jej się ręce. Odchodziła od zmysłów w obawie o życie Carol.

– Chyba nie rozumiem.

– Jak mógł pan wplątać w to moją matkę?!

– Przestań, Jillian! – skarciła ją Toppi, która właśnie do nich podbiegła. – Spójrz na nią! Obejrzyj się przez ramię i popatrz!

Jillian zagryzła buntowniczo wargi, ale zrobiła, co nakazała jej Toppi. Libby miała dosłownie u stóp ojca i wujka Meg. Obaj mężczyźni mówili coś z ożywieniem, a ona uśmiechała się radośnie.

– Wygląda całkiem nieźle – zauważył Griffin.

Jillian wytknęła palcem jego muskularny tors.

– Nie ma pan prawa się odzywać! – syknęła, po czym zwróciła się do Toppi: – Ona jest taka delikatna...

– Nic jej nie jest.

– Nie dalej jak wczoraj trzeba jej było podać tlen!

– Przeżyła szok.

– A jak mogła zareagować, widząc Carol leżącą na podłodze?

– Nie najlepiej, ale Carol na pewno czuła się gorzej.

– Nie chcę jej w to mieszać! – wycedziła przez zęby Jillian.

– Za późno. To twoja matka. Od dawna jest we wszystko zaangażowana.

– Ale przez to będzie się tylko bardziej martwić.

– Już się martwi. A teraz przynajmniej mogła coś zrobić.

– Toppi!

– Jillian! – odrzyknęła Toppi. – Posłuchaj. Kiedy sierżant Griffin zadzwonił, zapytałam ją, co chce zrobić. Nie wahała się ani chwili. Carol jest twoją przyjaciółką. Libby z radością zgodziła się jej pomóc. I bardzo dobrze. – Zniżyła głos. – Wiem, że nie było jej przy tobie, kiedy byłeś dzieckiem, Jillian. Ale nie jesteś już dzieckiem. Dorosłaś. Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że ona też?

Toppi dołączyła z powrotem do Meg wtulającej głowę w pierś mamy i do Libby, która ku wyraźnej radości Toma i wujka Vinniego z zapalem wertowała kartki książki z obrazkami.

W dyżurce nikt nie potrafił Jillian pomóc. Nie była członkiem rodziny, a w świetle obowiązujących przepisów więź łącząca ofiary gwałtu nie liczyła się. Personel wiedział oczywiście, kim jest. Dyżurna pielęgniarka okazała nawet zrozumienie. Dopiero wtedy Jillian zdała sobie sprawę, gdzie się znalazła. Women & Infants. Jeden z najlepszych szpitali w Providence. Każda z nich była w nim co najmniej raz, tamtej nocy...

Jillian odeszła od okienka, ledwo trzymając się na nogach. Nagle uświadomiła sobie, że nie może stracić Carol. Po prostu nie może. Carol musi przeżyć. Wtedy będą znowu razem, we trzy. Znowu będą przesiadywać w restauracjach, klócić się albo żartować, zwierzać się albo rozmawiać o niczym. Znowu będą sobie pomagać.

Założyła Klub Ocalonych właśnie po to, ale teraz zdała sobie sprawę, że stał się dla niej czymś więcej, niż mogła przypuszczać. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że może już nigdy nie zobaczyć Carol. Nie potrafiła sobie wyobrazić nawet tygodnia bez spotkania z nią i Meg.

– Usiądź – powiedział łagodnie Griffin. – Zaczekaj.

– Nie mogę siedzieć. Nie potrafię czekać. To właśnie mój problem. – Jej palce zacisnęły się na rękawie jego koszuli. Sama nie wiedziała, kiedy to się stało. – O, Boże, chcę się tylko dowiedzieć, co z Carol.

Nagle drzwi po lewej stronie otworzyły się i stanął w nich Dan Rosen. Miał poszarzałą twarz i rozczochrane włosy. Ubrany był w brązową marynarkę, a pod szyją miał zawiązany złocisty krawat. Wyglądał, jakby nie wiedział, gdzie się znalazł.

Jillian spojrzała na niego i nagle poczuła, jak ziemia usuwa się jej spod stóp.

– O, nie... – wyszeptała.

– Panie Rosen – odezwał się Griffin.

– Co? Słucham?

– Dan? – szepnęła Jillian. Wreszcie dostrzegł ich obecność.

– Witaj, Jillian.

– Czy ona? Proszę, Dan...

– Robią jej płukanie żołądka. Podają... aktywny węgiel czy coś takiego. Połknęła cały słoik ambieniu i popiła alkoholem. To niedobrze, bardzo niedobrze. Lekarz powiedział, że ambien plus alkohol równa się śpiączka. – Spojrzał na Griffina, roztrzęsiony. – Powiedział... powiedział, że gdyby pomoc nie nadeszła tak szybko, umarłaby.

– Od dawna piła?

– Chyba tak. A jej gardło... jej przełyk jest podrażniony. Chyba tak wyraził się lekarz. Na tylnych ściankach zębów widać ubytki szkliwa. Od kwasów żołądkowych. Zmuszała się do wymiotów.

– Bulimia? – zapytała z niedowierzaniem Jillian.

– Tak mówi lekarz. Wygląda na to, że moja żona całym i dniami objadała się i upijała. A potem zmuszała się do wymiotów. I tak w kółko. – Spojrzał na Jillian. – Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Ty powinienes. – Meg podeszła do nich, kiedy rozmawiali. Teraz z rękami w kieszeniach dżinsów wpatrywała się w Dana z oburzeniem. – Jesteśmy jej przyjaciółkami, ale widywałyśmy ją tylko parę razy w tygodniu. Ty z nią mieszkałeś. Jak mogłeś nie zauważyć, co robiła?

– Pracowałem...

– Meg... – próbowała ją jeszcze powstrzymać Jillian. Ale było za późno.

– Pracowałeś? Czy zabawiałeś się z kochanką?

– Co? – Dan podniósł głowę. – Słucham?

– Nie udawaj niewiniątka. – Meg zdążyła się rozkręcić i wszyscy włącznie z sierżantem Griffinem patrzyli na nią z zainteresowaniem. – Carol mówiła nam o twoich żalonych wykrętach, o „wieczornych spotkaniach z klientami”, o „nawale pracy”. Dzwoniła do twojej kancelarii, wiesz? Tamtego wieczoru, kiedy została zgwałcona, wiedziała, co naprawdę robiłeś!

– Carol myśli, że śpiam z inną? – spytał Dan zdławionym głosem.

– Och, daj spokój...

– To nieprawda. Przysięgam. Nie zrobiłbym jej tego. Kocham ją!

– Nigdy cię nie ma! – wykrzyknęła Meg.

– Wiem.

– Ani w domu, ani w pracy!

– Wiem.

– To gdzie się, do cholery, podziewasz?

Dan nie odpowiedział. Po prostu stał osłupiały. I wtedy z drugiego końca sali odezwał się inny głos:

– W Foxwoods – oświadczył wujek Vinnie. – Danny nie zdradza żony. Jest hazardzistą. I to cholernie złym hazardzistą.

Dan pokiwał ze skruchą głową.

– Kocham Carol – powtórzył. Potem odwrócił się i uderzył pięścią w ścianę.

– Będzie mi pan musiał wszystko opowiedzieć – oświadczył Danowi Griffin, który żeby zachować prywatność rozmowy, poprosił o pusty gabinet. Oczywiście Jillian, Meg i cały entourage natychmiast podążyli za nimi. Teraz wszyscy przyglądali się Griffinowi i Danowi, jakby mieli do tego pełne prawo. Griffin zastanawiał się, czy nie wyrzucić ich za drzwi, ale w końcu pozwolił im zostać. Vinnie Pesaturo mógł się okazać pomocny przy ustalaniu faktów, a Jillian i Meg zdawały się mieć na Dana taki wpływ jak kastet na przesłuchiwanego. Wystarczyło, że na niego spojrzały, a już zaczynał się rozklejać.

– Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić – zaczął słabym głosem pan Rosen.

– Ale mimo wszystko strzeliła do ciebie.

– To był wypadek! Powinienem być zawołać, że to ja, kiedy tylko wszedłem do domu. Było późno... Carol robi się wtedy nerwowa. – Jego usta wykrzywiły się w bolesnym grymasie. – Po tym, co jej się stało tamtej nocy, trudno się dziwić.

– Właśnie. Porozmawiajmy o tamtej nocy. – Griffin włączył dyktafon. – Zznał pan, że był pan w pracy.

Dan zwiesił głowę.

– Zgaduję, że to samo powiedział pan żonie.

– Tak.

– Ale tak naprawdę nie był pan w pracy?

Dan nie podniósł wzroku. Vinnie dał mu kuksańca w bok.

– Na litość boską, człowieku! – zgromił go. – Przestań się rozklejać i zrób w końcu coś, jak należy!

Dan spojrział na niego spode łba.

– Byłem w kasynie w Foxwoods – powiedział.

– Okłamał pan policję?

– Tak.

– Często pan to robi?

– Wstydzilem się! Nie dość, że nie było mnie, kiedy Carol mnie potrzebowała, to jeszcze grałem wtedy w blackjacka... Boże, jaki mąż tak postępuje?

Griffin powstrzymał się od komentarza.

– A więc okłamał pan zarówno policję, jak i żonę, żeby ukryć nocną wizytę w kasynie. Często uprawia pan hazard, panie Rosen?

– Nie wiem. Czy cztery, pięć razy w tygodniu to często? Czy sprzedaż kancelarii i druga hipoteka na dom to mało? – Twarz Dana nabrała rumieńców. Spojrział na Griffina przekrwionymi oczyma, jakby prowokował go do stwierdzenia tego, co oczywiste.

– Niech sam pan powie – rzekł łagodnie Griffin.

Dan znowu się przygarbił, spuszczać głowę.

– Myślę... myślę, że jestem uzależniony – odparł, a po chwili zawołał: – O, Boże, Carol mnie zabije!

– Od jak dawna to trwa?

– Nie wiem. Od jakichś trzech lat. Pewnego wieczoru poszedłem do kasyna ze znajomymi. I... i naprawdę świetnie mi poszło. Naprawdę świetnie. – Dan ponownie się ożywił. – Wygrałem dziesięć tysięcy dolarów! A wtedy to była dla mnie wielka suma! Właśnie przygotowywałem się do otwarcia własnej kancelarii, dom potrzebował remontu. Dziesięć tysięcy dolarów to było coś. Byłem w siódmym niebie. Bez żadnego wysiłku w jeden wieczór wzbogaciłem się o taki szmal!

– Ehe – przytaknął ze zrozumieniem Griffin.

Dan uśmiechnął się blado.

– Właśnie. Więc otworzyłem kancelarię, tylko że z pięciu lojalnych klientów zostało się raptem trzech. Dochody były niższe, niż przewidywałem, interes rozkręcał się wolniej, a składki na ubezpieczenie społeczne okazały się wyższe...

– Więc zaczął pan zaciągać długi.

– Nie chciałem mówić o tym Carol. Wiele razy rozmawialiśmy o założeniu kancelarii. Miała wątpliwości. Dom pożerał mnóstwo pieniędzy, ale własna kancelaria była marzeniem mojego życia. Powiedziałem jej, żeby mi zaufała. I zaufała...

– Więc zaczął pan mieć kłopoty z wypłacalnością. A potem...?

– Przypomniałem sobie o Foxwoods. O dziesięciu tysiącach. To łatwy grosz, pomyślałem. Nie jestem głupi. Przeczytałem wszystkie książki o blackjacku, zapamiętałem tabele prawdopodobieństwa. W końcu to nie zakłady konne. W blackjacku liczy się strategia, a nie szczęście.

– Dlatego tylu milionerów zbiło fortunę w kasynie – zauważył szorstko Griffin.

– Ale ja naprawdę wygrywałem – odparł Dan, znowu się ożywiając. – I to sporo!

– Na ile się pan zadłużył, panie Rosen?

Prawnik spuścił głowę. Nie potrafił spojrzeć nikomu w oczy. Po minucie ciszy Vinnie podniósł pięść, żeby znowu dać mu kuksańca. Griffin powstrzymał krewkiego bukmachera stanowczym ruchem ręki.

– Panie Rosen?

– Byłem dłużny osiemdziesiąt tysięcy – odrzekł posepnie Dan. Przeczesał ręką włosy, które jeszcze bardziej się nastroszyły. – Teraz zostało mi tylko dwadzieścia. Bo... zlikwidowałem fundusz inwestycyjny. W przeciwnym razie nie pożyczyliby mi już ani centa. A wtedy... nie miałbym szansy się odegrać, prawda?

– Od kogo pan pożycza?

– Niech pan zapyta pana Pesaturo.

– Do mikrofonu nic nie powiem – zastrzegł się Vinnie. Griffin westchnął i wyłączył dyktafon.

– Dobra. Zamieniam się w słuch.

– Wiedziałem coś niecoś o sytuacji pana Rosena.

– Doprawdy?

– Facet potrzebował pieniędzy, a tak się składa, że znam ludzi, którzy nie mają nic przeciwko pożyczaniu co jakiś czas kilku dolców.

– Na jaki procent?

– No, wie pan, jak to jest w bankowości. Wysokość odsetek od kredytu jest wprost proporcjonalna do ryzyka. Niech pan na niego spojrzy. – Łypnął na Dana Rosena lekceważąco. – Osiemdziesiąt patyków przy blackjacku? Ryzyko musiało być wysokie.

– Naliczacie mu sto procent?

– Pięćdziesiąt. Nie jesteśmy zupełnie bezduszni.

– Zaraz. – Jillian uniosła dłoń, w końcu przerywając im rozmowę. – Chce nam pan powiedzieć, że pan...

– Moi znajomi – sprostował Vinnie.

– Niech będzie. Pańscy znajomi pożyczili Danowi pieniądze na hazard i zażyczyli sobie pięćdziesięcioprocentowych odsetek?!

Vinnie pokiwał głową. Jillian zwróciła się do Dana:

– A ty się na to godzisz?

– Wystarczy jeden dobry dzień – odparł. – Jeden dobry dzień, żeby spłacić taki dług. Kurczę, może nawet zostałoby trochę na spłatę hipoteki. Słowo daję, jeden dzień.

– Boże – wyszeptała Jillian. – Biedna Carol.

Dan znowu spuścił głowę. Griffin włączył dyktafon.

– Czy to prawda, że wykorzystał pan sześćdziesiąt tysięcy dolarów, które pan uzyskał z likwidacji funduszu inwestycyjnego, na spłatę hazardowego długu?

Dan pokiwał głową. Griffin spiorunował go wzrokiem.

– Tak – powiedział prawnik do mikrofonu.

Griffin zwrócił się do Vinniego.

– Panie Vincencie Pesaturo, czy potwierdza pan, że taka transakcja rzeczywiście miała miejsce?

– Tak. Według mojej wiedzy transakcja ta rzeczywiście miała miejsce.

– Panie Pesaturo, czy wynajął pan człowieka do zabicia Eddiego Como?

Pytanie zostało zadane z zaskoczenia, ale Vinnie nawet nie mrugnął, udzielając odpowiedzi.

– Nie. Ja, Vincent Pesaturo, nie wynajęłam zabójcy Eddiego Como. Gdybym ja, Vincent Pesaturo, chciał zgładzić tego śmiecia, zamordowałbym go własnymi rękami.

– Albo zlecił zabójstwo w więzieniu – mruknął Griffin.

Vinnie uśmiechnął się i łypnął porozumiewawczo na dyktafon.

– Thomasie Pesaturo – podjął Griffin – czy wynajął pan człowieka do zamordowania podejrzanego o gwałt na pana córce Eddiego Como?

– Nie – odrzekł po chwili Tom. – Uznałem, że to złe wyjście.

– Tom! – krzyknęła jego żona.

– Tato! – zawtórowała jej Meg.

Pan Pesaturo wzruszył bezradnie ramionami.

– Jestem jej ojcem. Po tym, co ten skurwiel zrobił mojemu dziecku, chyba mam prawo zastanawiać się nad takimi sprawami. Ale nic nie zrobiłem. – Znowu wzruszył ramionami. – Bo wie pan, wyglądało na to, że policja zebrała solidne dowody. DNA i tak dalej. Uznałem... uznałem, że proces sądowy będzie lepszy dla Meg. Czytałem gdzieś, że to lepiej dla ofiary. Że dzięki temu odzyskuje poczucie siły, wie pan.

– Czytałeś o ofiarach gwałtu? – zdziwiła się Meg.

– Tak, trochę. Zobaczyłem artykuł w „Cosmopolitan”.

– W „Cosmo”?! – wykrzyknął Vinnie.

Tom Pesaturo łypnął na niego spode łba.

– To moja córka – wyjaśnił. – Chcę wiedzieć, co jest dla niej najlepsze. Poza tym to było u dentysty. Siedziałem w poczekalni, a na stoliku leżała fura kobiecych czasopism. No wiesz, z ładnymi modelkami i tak dalej. Więc zacząłem przeglądać jeden z magazynów. No i rzucił mi się w oczy tytuł. Zacząłem czytać... Całkiem dobry artykuł.

– Jesteś porządnym facetem, Tomie Pesaturo – szepnęła jego żona, ujmując go za rękę.

– Co tam... – odparł skromnie. Wszyscy na niego patrzyli i zrobił się czerwony jak burak.

Wtem z drugiego końca pokoju ozwało się stukanie. Wszyscy spojrzeli na Libby, która wpatrywała się w Griffina wyczekująco.

– Pani Olivio Hayes – powiedział Griffin – czy wynajęła pani kogoś do zabicia Edwarda Como?

Olivia potrząsnęła głową, kartkując jednocześnie książkę z obrazkami. Toppi pochyliła się, gdy Libby postukała w jedną z fotografii, przewróciła kilka stron i wskazała jeszcze dwa zdjęcia.

– Pokazuje Jillian, Carol i Meg – oznajmiła Toppi. Spojrzała na Libby. – Klub Ocalonych?

Pani Hayes stuknęła palcem, otworzyła książkę na innej stronie i wskazała obrazek.

– Jeden – powiedziała Toppi. – Klub Ocalonych i jeden?

Pojedyncze stuknięcie.

– To znaczy „tak” – wyjaśniła Toppi, po czym uklękła przed Olivią. – Nie bardzo rozumiem, Libby. Masz na myśli czwartą ofiarę? Sylwię Blaire?

Brak odpowiedzi.

– Uważasz, że w Klubie Ocalonych powinny być cztery osoby? Libby zmarszczyła brwi i po chwili wahania stuknęła palcem w książkę.

– Dlaczego cztery? – zapytała Meg.

– Nie można jej zadawać pytań problemowych – odezwała się Jillian. – Libby wie, co chce powiedzieć, ale trzeba jej w tym pomóc, zadając pytania, na które można odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Teraz też przyglądała się matce. Trudno było wyczytać odpowiedź z jej twarzy. Było w niej współczucie, napięcie, rezygnacja. Po chwili Libby spojrzała Jillian w oczy i jej twarz natychmiast przybrała inny wyraz. Wyglądała teraz jak kochająca matka patrząca na córkę. Na swoją jedyną córkę.

– Pytanie z odpowiedzią na „tak” lub „nie” – mruczał pod nosem Tom.

– Cztery osoby, cztery osoby... – zastanawiał się na głos Vinnie.

– Większy Klub Ocalonych? – zachodziła w głowę Meg.

Wtedy nagle Jillian otworzyła szeroko oczy.

– Wiem, co mama ma na myśli. O, Boże, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

Libby wychyliła się do przodu, czekając, aż usłyszy z ust córki słowa, o których myślała.

– Sierżant Griffin pytał, czy mamy coś wspólnego ze śmiercią Eddiego, bo jesteśmy jego ofiarami. Mamy najmocniejszy motyw.

Energiczne stuknięcie.

Jillian zwróciła się teraz do detektywa.

– Ale statystyki mówią, że ofiary często nie zgłaszają gwałtu, prawda? Podobno policja dowiaduje się o zaledwie jednej czwartej tego typu przestępstw.

Griffin zamknął oczy. Teraz rozumiał.

– A niech mnie...

Z wózka inwalidzkiego dobiegło następne stuknięcie.

– Tak – szepnęła Jillian. – Tylko ja, Carol i Meg zgłosiłyśmy się na policję. Ale to nie znaczy, że byłyśmy jedynymi ofiarami Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego. Jest całkiem prawdopodobne, że co najmniej jedna ofiara nie ujawniła się. A to znaczy, że może istnieć ktoś, kto miał równie silny motyw do zabicia Eddiego.

GRIFFIN

O wpół do siódmej wciąż nie było żadnych wieści o stanie Carol, ale Griffin musiał iść. Waters na niego czekał, poza tym miał jeszcze robotę. Opuścił więc posępną grupę w poczekalni. Zauważył, że Dan odsunął się od reszty, ale Jillian od razu zajęła miejsce obok niego. Może Dan był jej za to wdzięczny. Trudno powiedzieć. W każdym razie powinien, pomyślał Griffin. Spojrzał jeszcze raz na Jillian i wyszedł. Na parkingu natychmiast zaatakowali go dziennikarze.

– Jak się czuje Carol Rosen?

– Są już jacyś podejrzani?

– Czy samobójcza próba pani Rosen ma jakiś związek z zamordowaniem Eddiego Como?

Griffin zignorował wszystkie pytania i wszedł do samochodu. Zdziwiło go trochę, że szpital nie jest bardziej oblegany przez media. Kiedy włączył radio, zrozumiał dlaczego.

Tawnya Clemente zorganizowała konferencję prasową w kancelarii prawniczej w centrum Providence. Jej nowy adwokat oświadczył, że zamierza wnieść sprawę o pięćdziesięciomilionowe odszkodowanie przeciwko władzom miasta i Departamentowi Policji w Providence z powodu fałszywego oskarżenia Eddiego.

– Jak wskazuje nowy materiał dowodowy – grzmiał święcie oburzony prawnik – Edward Como w ogóle nie powinien być zostać aresztowany. Przedwczesne i nieodpowiedzialne oskarżenie Edwarda Como o serię gwałtów doprowadziło do tragicznej śmierci tego młodego człowieka, którego zastrzelono przed gmachem sądu, gdzie już wkrótce zostałyby oczyszczone z zarzutów. Wczorajszy dzień okrył złą sławą naszą władzę sądowniczą. Providence zwróciło się przeciwko jednemu ze swych synów. Teraz miasto musi zapłacić za tę tragiczną w skutkach pomyłkę.

Właśnie wtedy zadzwoniła komórka Griffina.

– Słuchasz tego pajaca? – jęknął mu do ucha Fitz. – Jezu Chryste, zaraz dostanę zawału. Moje serce normalnie eksploduje! Zdechnę w tej niewdzięcznej, gównianej, pojebanej robocie i wtedy żona wytoczy miastu proces o siedemdziesiąt milionów dolców, żeby przebić rodzinę Como. Chryste Panie! Powinienem być aresztować Tawnę, kiedy miałem okazję. Masz żonę? – zapytał Griffin.

– Odpieprz się, sierzancie!

– Widzę, że miałaś kolejne upojne popołudnie.

– W Blockbusterze – jęknął Fitz. – Skubany smarkacz chyba jest w porządku. Pokazał nam potwierdzenie transakcji w komputerze, a potem prawie się rozbeczał, kiedy zaczął wyjaśniać, dlaczego wcześniej z nikim się nie skontaktował. Jego siostra chodzi do college'u w Providence, a on był przekonany, że Como jest winny, i nie chciał zrobić nic, dzięki czemu Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego mógłby wyjść na wolność.

– Czyli dzieciak go widział, ale mimo to myśli, że Eddie był winny?

– Z powodu DNA. Niektórzy naprawdę wierzą w te rzeczy. Tylko dlaczego, do kurwy nędzy, nigdy nie zasiadają w ławie przysięgłych?

Griffin wyjechał na ulicę. Brak snu w ostatnią noc zaczął zbierać swoje żniwo. Tyle nowych informacji, a jego mózg nie potrafił ich przetworzyć.

– Czy właśnie zeznanie dzieciaka jest podstawą żądań Tawni?

– Może. Ale wydaje mi się, że jej prawnik skoncentruje się głównie na napaści na Sylvię Blaire. Była taka sama jak ataki Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, ale Eddie już nie żył, więc to nie on jest gwałcicielem.

– Czyli sprawa Sylvii Blaire robi się gorąca.

– No. Burmistrz właśnie dał nam dodatkowe fundusze.

– Więc teraz jesteś ważniakiem.

– Warto wydać kupę szmalcu na ludzi i badania laboratoryjne, bo to i tak znacznie mniej niż pięćdziesiąt melonów.

– Domyślam się, że przyspieszyłeś badania próbek DNA.

– Tak. Jutro rano mam mieć wyniki. Boże, niech się okaże, że to był jej były chłopak. Tylko to uratuje nasze tyłki. I żeby jeszcze się przyznał, że skopiował zbrodnię Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego dzięki informacjom z jakiejś witryny internetowej, na przykład www.ChcęByć-Gwałcicielem.com.

– Obawiam się, że lepiej byś wyszedł na zawale – zauważył Griffin.

– Pewnie tak. – Fitz westchnął. Wciąż nie miał czasu się przespać i było to słychać w jego głosie. – Griffin, czy Carol Rosen naprawdę próbowała popełnić samobójstwo?

– Znaleźliśmy ją nieprzytomną. Przedawkowała pigułki nasenne. Oprócz tego piła.

– Cholera jasna.

– Przykro mi, Fitz.

– To z powodu Sylvii Blaire, prawda? Ta sprawa wszystkich wyprowadziła z równowagi. Media wariują, ludzie dzwonią po policję, gdy tylko zadrzy krzak przed domem... A to tylko ktoś się podszył. Takie rzeczy się zdarzają. – Fitz znowu westchnął. Był wyraźnie zdesperowany. – To nie jej wina. Bez względu na to, co schrzaniliśmy, to nie jest wina ani jej, ani Jillian, ani Meg. Jesteśmy dużymi chłopcami, prowadzimy śledztwa samodzielnie.

– Czy próbowaliście znaleźć inne ofiary?

– Nie rozumiem.

– Jillian i jej matka zauważyły interesującą rzecz. Gwałty należą do najrzadziej zgłaszanych przestępstw. Fakt, że znamy trzy ofiary Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, jeszcze nie oznacza, że nie było ich więcej.

Fitz milczał przez chwilę.

– Cóż, przeszukaliśmy komputerową bazę danych o przestępstwach seksualnych. W żadnej części kraju nie znaleźliśmy gwałtu, który odpowiadałby sposobowi działania Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego. Oczywiście to jeszcze nie znaczy, że znamy wszystkie ofiary. Może ofiara nie zgłosiła przestępstwa. Albo zgłosiła, ale nie zdążyli jeszcze tego wpisać do bazy danych. D'Amato czekał pół roku z zatwierdzeniem aktu oskarżenia na wypadek, gdyby zgłosiły się inne kobiety. Między innymi dlatego nie oponował przeciwko konferencjom prasowym Klubu Ocalonych. Uznał, że jeśli coś może skłonić inne ofiary do ujawnienia się, to właśnie widok Jillian, Carol i Meg w telewizji.

– Ale nikt się nie zgłosił?

– W każdym razie o niczym takim nie słyszałem.

– Ale to jeszcze nie wyklucza...

– Griffin, nic tego nie może wykluczyć. Choćbyś przesłuchał dosłownie każdą kobietę w tym stanie, to i tak nie mógłbyś wykluczyć, że nie było więcej ofiar, bo któraś mogłaby skłamać.

Jesteśmy gliniarzami. Nie możemy się zajmować tym, co niemożliwe. Musimy się koncentrować na tym, co prawdopodobne.

– Potrafię wyjaśnić sprawę finansów wszystkich podejrzanych – powiedział nagle Griffin. Fitz był wyraźnie pod wrażeniem.

– Serio?

– Tak. Zapytałem nawet Vinniego Pesaturo, czy zlecił zabójstwo Eddiego. Powiedział, że nie. Możesz mnie uznać za wariata, ale mu wierzę.

– Innymi słowy, właśnie skończyli ci się podejrzani.

– W każdym razie do tej hipotezy – odparł Griffin.

– To znaczy?

– To znaczy, że może jednak nie chodziło o zemstę. Może motyw był zupełnie inny. Tylko jaki?

Ledwo Griffin skończył rozmawiać z Fitzem, komórka znowu zadzwoniła.

– Sierżant Griffin – powiedział, przystawiając telefon do ucha.

– Gdzie się, do cholery, podziewasz?

– Morelli! Moja ulubiona pani porucznik. Czy mówiłem już, jak ładnie pani dzisiaj wygląda?

– Nie wiesz, jak dziś wyglądam, bo nie pofatygowałeś się, żeby się ze mną zobaczyć.

Zabawne, ale o ile pamiętam, do obowiązków detektywa prowadzącego należy informowanie przełożonych o postępach w śledztwie. Detektyw prowadzący powinien siedzieć w biurze, zbierać raporty, konstruować teorie, kierować ludźmi w terenie!

– Mam dobre wiadomości – oznajmił czym prędzej Griffin. – Robimy postępy.

– Doprawdy? Bo słuchałam wiadomości, sierżancie, i zdaje mi się, że sprawę diabli biorą.

– Chodzi pani o to pięćdziesięciomilionowe odszkodowanie?

– To jeden problem.

– I o to, że ludzie są teraz przekonani, że w mieście grasuje seryjny gwałcieciel i wszyscy zostaną napadnięci i zamordowani we śnie?

– To drugi problem.

– Burmistrz jest zasypywany pytaniami, pułkownik jest zasypywany pytaniami, a media urządzają sobie niezłe przedstawienie naszym kosztem?

– Bardzo dobrze, sierżancie. Jak na kogoś, kogo nigdy nie ma w pobliżu, masz niezłe rozeznanie w sytuacji. Czyżby detektyw Waters się nad tobą zlitował?

– Tak jest, pani porucznik – przyznał Griffin.

– Cóż, to bardzo dobrze o nim świadczy. Rozumiem, że wysłałeś go do Cranston w poszukiwaniu kumpli Eddiego Como. Coś mi się zdaje, że wehrzanasz się miejskim do śledztwa. Jak to jest?

– Po prostu staram się być dokładny – odrzekł dyplomatycznie Griffin.

– Sierżancie, nie zmuszaj mnie, żebym cię zabiła.

Griffin uśmiechnął się. Zawsze lubił porucznik Morelli. Wziął głęboki wdech.

– Problem jest taki. Zaczęliśmy od hipotezy, że skoro Eddie Como został oskarżony o gwałty, to najbardziej prawdopodobnymi podejrzanymi o jego morderstwo są ofiary.

– Tak, pamiętam.

– Zgodnie z tym założeniem detektywi od finansów sprawdzili konta bankowe trzech kobiet i ich rodzin. Okazało się, że Jillian Hayes i Dan Rosen podjęli ostatnio spore sumy.

– Czyli oboje mogli wynająć snajpera.

– Mogli, ale niestety tego nie zrobili. Jillian Hayes przekazała pieniądze parafii w Cranston, co potwierdził ksiądz Rondeli, a Dan Rosen przegrał swoją forszę w Foxwood, co potwierdził Vincent Pesaturo. Zdaje się, że pan Rosen ma problem z hazardem.

– A to znaczy, że ty też masz problem.

– Tak. W tej chwili wśród ofiar i ich rodzin nie ma żadnego prawdopodobnego podejrzanego. Dotyczy to nawet Vinniego Pesaturo.

– Do czego zmierzasz, sierżancie?

Griffin roześmiał się ponuro.

– Cóż, zostały nam jeszcze dwie hipotezy. Pierwsza to taka, że trzymamy się motywu zemsty i zakładamy, że morderstwo zleciła inna, nieznana nam ofiara Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

Pani porucznik milczała przez chwilę.

– Ciekawa hipoteza.

– Prawda? Jillian Hayes i jej matka na to wpadły. Trzeba pamiętać, że gwałt należy do najrzadziej zgłaszanych przestępstw. Skonsultowałem się z Fitzem. Okazało się, że przeszukali komputerową bazę danych w poszukiwaniu podobnych zgłoszeń w innych stanach. Ale to nic nie znaczy. Całkiem możliwe, że ofiara, której szukamy, w ogóle nie zgłosiła się na policję.

– A sprawdzali telefony zaufania?

– Nie.

– To może wyślesz tam kilku ludzi, sierżancie? Nie będą mogli ci podać żadnych nazwisk, ale przynajmniej się dowiesz, czy nie było podobnych ataków. Przekonasz się, czy jesteś na dobrym tropie.

– Słuszna uwaga.

– Właśnie dlatego mam „por.” przed nazwiskiem. A jaka jest ta druga hipoteza?

– Wiąże się ze sprawą Sylvii Blaire. Fitz ma nadzieję, że ktoś się podszył pod Eddiego. Tylko że jest jeden problem.

– Płyn do higieny intymnej.

– Jak na zaniedbywaną przez podwładnych, całkiem nieźle się pani orientuje.

– Informuję cię, sierżancie, że naprawdę ładnie dzisiaj wyglądam. Poza tym porucznik Kennedy z policji miejskiej stara się o względy mojej siostry. Nawiasem mówiąc, to jedyny powód, który powstrzymuje detektywa Fitzpatricka od skręcenia ci karku. No, może jeszcze to, że Fitzpatrick ma teraz również inne problemy.

– Dziękuję – powiedział poważnie Griffin. – W każdym razie odbyliśmy z Fitzem ciekawą rozmowę na temat Sylvii Blaire. Możliwe, że Eddie Como prowadził podwójne życie, jedno jako troskliwy narzeczony, a drugie jako zboczeniec seksualny. I możliwe, że Eddie zboczeniec miał kumpli, przed którymi się przechwalał.

– Którzy wiedzieli o płynie do higieny intymnej i o innych szczegółach?

– Właśnie.

– Kolejna interesująca hipoteza – przyznała porucznik Morelli. – Ale dlaczego zatrzymywać się na przechwałkach? Dlaczego nie założyć, że Eddie miał współnika? Duety gwałcicieli już się przecież zdarzały.

Griffin wzruszył ramionami.

– Znalaziono tylko jeden typ DNA. Poza tym Carol i Jillian mówiły o jednym napastniku.

– A jeżeli ten drugi był pasywny i tylko stał na czatach? Griffin wyduł wargi.

– No, no – mruknął z uznaniem.

– Niezła jestem, co?

– Fakt – przyznał. – Czas! To by tłumaczyło problem czasu. Przy pierwszym ataku gwałciciel się śpieszył. Jakby się obawiał, że zostanie nakryty. Ale z Carol, która jest uważana za ofiarę zastępczą, spędził bardzo dużo czasu. Dlaczego nie bał się, że ktoś przyjdzie do domu? Wygląda na to, że w mieszkaniu Trishy Hayes też przebywał bardzo długo. Kiedy zjawiała się Jillian, zdążył już zgwałcić jej siostrę, ale jeszcze nie wyszedł. I nawet jeśli Jillian mu przeszkodziła, nie był zaskoczony jej nadejściem. Schował się i zaatakował ją od tyłu. Oczywiście fakt, że przy Carol Rosen i Trishy Hayes spędził więcej czasu, może mieć związek ze wzrastającym apetytem na przemoc. Potrzebował coraz silniejszych bodźców, żeby poczuć ten sam dreszczyk. Ale równie dobrze mógł mieć współnika stojącego na czatach, dzięki któremu mógł zostać na miejscu zbrodni tak długo, jak chciał. Tyle że w przypadku Trishy Hayes, która mieszkała w suterenie, nie miał innej drogi ucieczki, więc musiał zaatakować Jillian.

– A teraz współnik nie stoi już tylko na czatach?

– Możliwe. To tłumaczyłoby także incydent, który wydarzył się ostatniej nocy w domu pani Hayes. Ktoś namalował na oknie napis „Eddie Como żyje”. Może facet uważa się za kontynuatora tradycji zapoczątkowanej przez Eddiego.

– Miałby więc motyw do zamordowania Como. Bał się, że Eddie zacznie sypać.

– Tak, to możliwe. Kiedy Fitz wspomniał o tym dziś rano, uznałem, że przesadza. Ale z drugiej strony...

– To zakłada zmianę zachowania – myślała na głos Morelli. – Sprawca numer dwa godził się na rolę pomocnika, a teraz stał się gwałcicielem i mordercą.

– Stopniowa zmiana zachowania jest częsta wśród przestępców seksualnych – zauważył Griffin. – Większość zaczyna od sadystycznych fantazji. Później stopniowo wcielają je w życie. Najpierw decydują się na mniej poważne przestępstwa: pobicia i napaści na kobiety. Dopiero po jakimś czasie dochodzą do gwałtu. W tym przypadku mamy jednak sprawcę od początku zainteresowanego gwałtem. Zadaje się z gwałcicielem, pomaga mu w popełnianiu przestępstw. A pierwszy samodzielny gwałt wiąże się z wysokim poziomem przemocy. To wprawdzie nie pasuje do wzoru zachowania, ale da się wytłumaczyć szczególnymi okolicznościami. Jeżeli Sylvia Blaire została zaatakowana przez współnika Eddiego, to facet musiał się ukrywać przez cały rok. Może był tak wygłodniały, że przy pierwszej napaści po prostu mu odbiło.

Porucznik Morelli milczała.

– Warto sprawdzić ten trop – powiedziała w końcu. – Mogę przekazać porucznikowi Johnsonowi, że szukasz wśród znajomych Eddiego podejrzanych o morderstwo?

– Tak, można to tak wyrazić.

– I tak zrobię. Policja miejska ma już dość problemów. Niech się przynajmniej nie denerwują, że włączymy na ich teren.

– Racja – zgodził się Griffin.

– A propos problemów...

Wiedział, co zamierzała powiedzieć. Ścisnął mocniej telefon, ale utrzymał miarowy oddech.

– Rozmawiałeś z kapralem Charpentierem ze Służby Więziennej?

– Jeszcze nie. Ale słyszałem o sprawie.

– Nikt nie traktuje tego poważnie – zapewniła go porucznik Morelli.

– Doceniam to.

– Ale z drugiej strony... sprawa robi się coraz bardziej skomplikowana. Nie chcę, żeby wymknęła się nam spod kontroli, sierżancie.

– Panuję nad sytuacją – zapewnił Griffin.

– Pośpiesz się, sierżancie. Musimy zamknąć dochodzenie, zanim ludzie całkiem powariują. Zanim adwokat Tawni Clemente zyska więcej argumentów i zanim prasa zorientuje się, że jeden z więźniów twierdzi, że ma nam do przekazania ważne informacje. Rozumiemy się?

Griffin zamknął oczy. Doskonale rozumiał.

Właśnie wjeżdżał na podjazd przed swoim domem. Niebieski ford taurus Watersa już tam stał, a detektyw siedział za kierownicą.

– Muszę kończyć – powiedział Griffin.

– Z samego rana...

– Dostarczę pani raport.

– Mam nadzieję. A tymczasem?

– Wyślę detektywów do organizacji pomocy ofiarom gwałtu i do barów w Cranston.

– Życzę szczęścia, sierżancie.

– Dziękuję. – Griffin pomyślał o Carol leżącej w szpitalu i o Davidzie siedzącym za kratkami. O, tak, szczęście na pewno mu się przyda.

WATERS

Detektyw Mike Waters wysiadł z samochodu. Był ubrany w szare spodnie od dresu i taką koszulkę z napisem „Policja Stanowa Rhode Island”. Przerzucił przez ramię granatową sportową torbę i poczekał, aż Griffin otworzy frontowe drzwi. Obaj zaparkowali na podjeździe, bo w garażu Griffin urządził siłownię.

– Fajne miejsce – powiedział Mike, przyglądając się walącemu się domkowi zmęczonym wzrokiem.

Griffin uśmiechnął się lekko.

– Jak zobaczysz na podłodze miejsce, które wygląda na spróchniałe, radzę ci: nie stawiaj tam stopy.

Otworzył drzwi i wprowadził Watersa do środka. Kupił ten dom sześć miesięcy wcześniej, żeby rozpocząć nowe życie. Bungalow stał w dobrej okolicy, w North Kingstown. W pogodne dni z tylnej werandy widać było Newport Bridge i ocean. Spokojne miejsce. Ptaki i kilka wspaniałych stuletnich buków. Stary dom był kompletną ruiną. Normalny człowiek – to znaczy ktoś z pieniędzmi – natychmiast by go wyburzył i postawił nowy. Jednak po szczodrym darze na rzecz Amerykańskiego Towarzystwa Walki z Rakiem Griffin nie dysponował takimi pieniędzmi. Poza tym lubił niebezpieczne życie.

– Słyszałem, że zrobiłeś remont – powiedział Waters, przestępując próg i spoglądając krytycznym okiem na poplamioną podłogę i sufit z płatami łuszczącej się farby.

– Harowałem non stop przez sześć miesięcy – odrzekł z dumą Griffin.

– Żartujesz.

– Zacząłem od instalacji elektrycznej, naprawiłem kanalizację i dach. Teraz zostały mi tylko kuchnia, łazienka, sufit, podłogi i trzy ściany w sypialni. A, i jeszcze weranda. Poza tym wydaje mi się, że coś wlazło i zdechło pod podłogą garażu. Strasznie cuchnie.

– Co ty powiesz? Czyli planujesz skończyć jeszcze przed wyginięciem gatunku ludzkiego?

– Mam taką nadzieję – odparł Griffin, wprowadzając Watersa do małej kuchni. Podłoga była wyłożona brązowym od brudu winylem prosto z lat siedemdziesiątych. Przy ścianie stała kuchenka w kolorze oliwkowym, również z tej dekady. Za to lodówka, wielkie blaszane pudło z zaokrąglonymi rogami, pochodziła aż z lat pięćdziesiątych. Griffin nacisnął chromowaną klamkę i odetchnął z ulgą, gdy drzwiczki się otworzyły. – Piwo? Oranżada?

– Później.

– Jak chcesz.

Griffin zniknął za drzwiami sypialni, przebrał się w dres, a następnie zaprowadził Mike'a do garażu, gdzie zgromadził imponującą ilość przyrządów do ćwiczeń. Ich też nie kupił w czasie swojego krótko trwającego bogactwa. Kolekcjonował je od czasu, gdy skończył naukę w college'u. Pierwszym nabytkiem był ciężki worek treningowy firmy Everlast, który teraz wisiał na grubym łańcuchu w jednym z rogów. Obok niego ustawił dwa mniejsze worki z nadmuchanymi gumowymi pęcherzami w środku. Jeśli mrugnęło się w złym momencie, taka obita skórą kula potrafiła posłać ćwiczącego na deski albo nabić wielką śliwę pod okiem. Griffin wiedział o tym jak nikt.

Najpierw skierowali się właśnie do rogu bokserskiego. Mike trenował trochę w college'u. Był za chudy do tego sportu, ale braki muskulatury skutecznie nadrabiał szybkością i zasięgiem

ramion. Kiedy pierwszy raz walczyli ze sobą, Mike cztery razy z rzędu posłał Griffina na deski. Oczywiście ważącemu dziesięć kilo więcej Griffinowi wystarczył jeden dobrze wymierzony cios, żeby znokautować partnera. Od tego czasu ograniczyli się do wspólnych treningów z workami. No, może niezupełnie.

Waters rozpiął granatową torbę, wyjął ochraniacz i założył go na głowę.

Griffin osłupiał. Zrozumiał, do czego Mike zmierza, i nie wiedział, jak zareagować. W końcu uśmiechnął się i ostrzegł:

– Stłukę cię na kwaśne jabłko.

Odetchnął z ulgą, gdy Waters także się uśmiechnął.

– Nie liczyłbym na to – odparł. – Ostatnio sporo ćwiczyłem. Wiesz, jak to jest, kiedy kumple nabijają się, że przyjaciel złamał ci nos?

– Uznali, że straciłeś refleks?

– Mało powiedziane. Włożyli mi do szafki nos Ronalda McDonalda. Raz go nawet założyłem, żeby poczuli się winni.

– I co? Podziałało?

– Gdzie tam! Następnego dnia zostawili mi jego buty. Detektywi mają stanowczo za dużo wolnego czasu.

Mike wstał – wciąż z ochraniaczem na głowie – i podszedł do ciężkiego worka treningowego.

– Jakies postępy w poszukiwaniach kumpla Eddiego? – zapytał Griffin.

– Jeszcze nie. Odwiedziłem dopiero sześć barów. Może jutro.

Griffin mruknął ze zrozumieniem i zabrał się do okładania podtrzymywanego przez Watersa worka. Zaczął powoli, rozgrzewając się. Uznał, że w towarzystwie Mike'a powinien się wykazać odrobiną opanowania. Ale dzień był długi, a sprawa ciężka. Za dużo rozmyślał o Eddie'm Como i jego domniemanym współniku. Potem przypomniała mu się Carol. Wciąż nie wiedział, w jakim była stanie. Po chwili myślał już o Jillian Hayes, o tym, jak jej tęczyówki przybierały złoty odcień, kiedy się denerwowała, o tym, jak przed godziną chwyciła go za ramię.

Wkrótce okładał już worek z całej siły i pod koniec nawet Waters dostał zadyszki. Nic jednak nie powiedział, tylko skinął głową i zamienili się miejscami.

Podtrzymywanie worka Mike'owi nie było zbyt trudne. Waters lubił dokładnie wymierzać ciosy. Traktował worek jak ludzką kukłę, uderzając w różne części ciała. Trzy razy w nerki, potem sierpowy w prawą szczękę. Żołądek, żołądek, lewy policzek.

Griffin rozluźnił się, zatapiając się we własnych myślach. Od dawna już z nikim nie ćwiczył. Zdążył zapomnieć, jakie to uczucie. Zapach talku i potu. Ciepło ciała. Milczenie mężczyzn, którzy nie muszą sobie nic mówić.

Gdy Griffin przerzucił się na wyciskanie sztangi, Mike zaczął się bawić skakanką. Potem Griffin ćwiczył z lekkim workiem, a Mike zabrał się za podnoszenie ciężarów. Po godzinie obaj nie mogli się ruszyć, wzięli więc sobie po piwie oraz dwulitrową butelkę wody i przenieśli się na werandę.

Było już po zmroku. W oddali lśniły światła Newport Bridge, a chłodna bryza od oceanu owiewała ich spocone ciała. Mike założył górę od dresu, Griffin zaś wciągnął na siebie stary pulower.

Nie rozmawiali.

Zadzwoił telefon komórkowy. Griffin poszedł do sypialni, żeby odebrać. Carol Rosen została przeniesiona na intensywną terapię. Wyplukano jej żołądek, ale wciąż nie odzyskała przytomności. Lekarze chcieli ją mieć na oku.

Kiedy wrócił na werandę, Waters zdążył już dopić wodę i właśnie otwierał Griffinowi puszkę budweysera.

- Widzę, że wciąż kupujesz wyłącznie najlepszy browar – zauważył, podając mu piwo.
- Ma się rozumieć.

Potem znowu siedzieli w ciszy. Po jakichś dwudziestu czy trzydziestu minutach Mike zapytał:

- Wciąż ci jej brakuje?
- Każdego dnia.

– Ja też za nią tęsknię. – Mike spojrział Griffinowi w oczy. – Ciężko mi było bez ciebie. Czuję się, jakbym stracił was oboje.

Griffin milczał. Przyjaźnili się z Watersem od piętnastu lat. Mike był przy nim, kiedy został awansowany na detektywa. Słuchał go, kiedy Griffin wrócił z wycieczki górskiej i nie potrafił przestać mówić o dziewczynie, którą poznał. Był drużbą na jego ślubie, a potem w pewien słoneczny wiosenny dzień niósł trumnę Cindy do grobu. Czasami Griffin zapominał, że nie tylko on cierpi.

– David Price był kompletnym dupkiem – powiedział ni stąd, ni zowąd Waters. – I naprawdę świetnie się z tym ukrywał, nie tylko przed tobą. Ale to już przeszłość. Dostał, na co zasłużył. Nie musisz się już nad nim pastwić.

– Wiem.

– To dobrze. Cindy chciała, żebyś był szczęśliwy, Griffin. Chciała dla ciebie tego samego, czego ty dla niej.

– Ale to nie było sprawiedliwe, wiesz? – powiedział Griffin.

– Wiem.

– To jest właśnie najgorsze. Kiedy zaczynam o tym myśleć... – Obrócił puszkę w dłoni. – Znowu mi odbija.

– Więc nie myśl.

Griffin westchnął ciężko. Spojrział w ciemne niebo.

– Tak. Jest, jak jest. Ludziom, którym wydaje się, że panują nad życiem, po prostu brakuje spostrzegawczości.

– Amen – powiedział Waters, po czym poszedł do kuchni i wziął z lodówki kolejne dwa piwa.

Kiedy wrócił, Griffin zapytał:

– Skontaktowałeś się z kapralem Charpentierem?

– Tak.

– I co?

– Price nic nie wie.

– Jesteś pewien?

– Charpentier rozmawiał z Jimmym Woodsem, tym, który siedział z Como w celi. Okazuje się, że Eddie cały czas się żalił. Ciągłe powtarzał, że jest niewinny i że zaszła jakaś okropna pomyłka.

– Tak powiedział Woods?

– Tak. Dla świętego spokoju Charpentier rozmawiał jeszcze z Price'em. David stwierdził, że Woods kłamie, ale nie zrobił na Charpentierze wrażenia. Zgadnij, co odpowiedział, kiedy Charpentier zapytał, kto zgwałcił Sylvie Blaire.

– Co?

– Powiedział, że Eddie Como. A potem zaczął się śmiać.

KLUB OCALONYCH

Zapadł zmrok. Meg siedziała na podłodze w pokoju Molly i zaplatała warkoczyki lalce Barbie, starając się nie zwracać uwagi na gęstniejący za oknem mrok i dochodzące zza drzwi głosy kłócących się rodziców.

– Różowa suknia – orzekła pięcioletnia Molly, która od dziesięciu minut grzebała w pudełku z ubrankami Barbie, próbując wybrać lalce odpowiedni strój ślubny. Molly nie miała Kena, więc Barbie miała wyjść za Kubusia Puchatka, który wydawał się uszczęśliwiony takim obrotem sprawy. Specjalnie na tę okazję włożył różową pelerynę. Molly uwielbiała róż.

Dziewczynka podała starszej siostrze długą, wyszywaną cekinami suknię, która bardziej pasowałaby na uroczystość rozdania Oscarów niż na ślub. Meg jednak posłusznie ubrała w nią lalkę.

– Może powinniśmy o tym komuś powiedzieć – mówiła właśnie mama.

– Nie ma mowy! – odparł ojciec.

– Na przykład Jillian...

– Nie.

– Albo sierżantowi Griffinowi?

– Daj spokój, Laurie, to sprawa rodzinna. Radziliśmy sobie do tej pory i nie zamierzam teraz angażować w to jakichś obcych ludzi.

– Buty – powiedziała Molly. Spojrzała na Meg i zmarszczyła brwi. W tym domu trudno było o odpowiednie buty dla ludzi, a co dopiero mówić o plastikowych pantofelkach dla lalek.

– Może wziąć ślub na bosaka – zasugerowała Meg.

– Nie! – Molly była oburzona.

– Puchatek nie ma butów – zauważyła rozsądnie Meg.

Mała przewróciła oczami.

– Puchatek jest misiem, a misie nie noszą butów. Wszyscy o tym wiedzą.

– A noszą peleryny?

– Tak, różowe. Bo róż to ulubiony kolor Barbie, a Puchatek chce jej sprawić przyjemność.

Purpura, pomyślała Meg. Kolor władców. Jego ulubiony. Ale czyj? Skąd o tym wiedziała?

– Martwię się... – dobiegł z korytarza głos matki.

– Ależ, kochanie...

Nie nazywaj mnie „kochaniem”! Na litość boską Tom. Lekarze zapewniali, że pamięć szybko jej wróci. Amnezja pourazowa nie powinna trwać tak długo. I nie powinna obejmować całego życia. A ona niczego nie pamięta. Niczego! Może nawet jest z nią gorzej, niż nam się wydaje!

– Przestań, Laurie. Widziałaś ją. Jest szczęśliwa. To co, że niczego nie pamięta?! Kurczę, może to nawet lepiej dla nas wszystkich.

– A może ona nienawidziła swojego życia. Pomyślałeś o tym, Tom? Może to, co zrobiliśmy... O, mój Boże, może zraniliśmy ją na całe życie?!

– Buty! – wykrzyknęła Molly. Z triumfem odstawiła pudełko z ubrankami i wzięła parę jaskrawoczerwonych bucików na koturnach, które pewnie dołączono do kompletu Barbie hipiski albo do jej szalowych obcisłych dzinsów. Meg wzięła lalkę z rąk siostry i założyła jej buciki. Barbie była gotowa do wspaniałego różowego ślubu. Podobna kreacja jeszcze długo nie pojawi

się w telewizyjnej reklamie Mattel, pomyślała Meg. Ale Molly wyglądała na bardzo zadowoloną.

– Czas na ślub – oznajmiła, uśmiechając się szeroko. – Tam, tam, ta, tam. Tam, tam, ta, tam...

– *Ożenię się z tobą.*

– *Nie... nie...*

– *To przez nich, prawda? Pierdolić ich! Porwę cię. Będziesz ze mną szczęśliwa. No, Meg, moja słodka mała Meg...*

– *Boję się.*

– *Nie ma czego. Nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić. Nigdy.*

– Boję się – mówiła jej mama. – A jeżeli pewnego dnia wszystko nagle jej się przypomni?

Tak po prostu. Bez ostrzeżenia. A ona nie będzie na to gotowa?

– Lekarze powiedzieli, że jeśli sobie przypomni, to znaczy, że jest gotowa.

– Och, daj spokój. Przecież ci sami lekarze nie wiedzą, dlaczego zapomniała całe życie.

Zrozum, Tom, oni nie mają o tym zielonego pojęcia.

– Laurie, kochanie, czego ty chcesz?

– Chcę, żeby nasza córka była szczęśliwa! Bezpieczna. Och, Tom, a gdyby Meg przedawkowała leki nasenne? Jeżeli nawet dorosła kobieta nie jest w stanie poradzić sobie z takim okropnym przeżyciem, to jak może zareagować Meg?

– Meg? – zapytała Molly.

Meg zamrugnęła. Pomalowany na różowo pokój siostrzyczki znowu nabrał konturów. Znowu siedziała na podłodze. Molly patrzyła na nią z niepokojem.

– Dobrze się czujesz, Meg? – zapytała, ściskając lalkę.

– Eee, ja... – Meg dotknęła policzka. Miała spoconą twarz. Skóra zrobiła się zimna i mokra. – Trochę boli mnie głowa. – Uśmiechnęła się słabo, próbując się uspokoić.

– *Wyjdź za mnie.*

– *Nie mogę...*

– *Wyjdź za mnie.*

Ścisnęło ją w żołądku. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. I wtedy nagle, głęboko w głowie:

– *Glupia smarkula. Biegnij do domu, do mamy i taty. Wracaj do ich ciasnego drobnomieszczańskiego świata. Nie chcesz mojej miłości? To nie będziesz jej miała. Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę...*

– Meg?

– Chwileczkę.

Z korytarza dobiegło:

– Nie chcę, żeby skończyła jak Carol. Nie zniósłabym tego. Och, Tom, jaki błąd popełniliśmy?

– Meg?

– *Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę...*

– Lekarze wciąż nie są pewni, czy Carol z tego wyjdzie. Meg naprawdę się do niej przywiązała. A jeżeli Carol umrze, Tom? Co się wtedy stanie? Boże, Tom!

Meg zerwała się. Wybiegła z pokoju.

– Meg?

– *Nienawidzę cię, nienawidzę...*

Popędziła przez korytarz.

A jeśli Carol umrze, jeśli umrze...

Wpadła do ubikacji. Pochyliła się...

I nic. Nie zjadła obiadu. O kolacji też zapomniała. Jej żołądek ścisnął się i rozkurczał, ale nie miała czym zwymiotować. Podeszła do umywalki i odkręciła zimną wodę. Włożyła głowę pod kran, próbując zmyć lodowatym strumieniem niepokojące obrazy i głosy.

Mijały minuty. Długie, chłodne minuty, gdy woda spływała po jej spoconej skórze, przynosząc kojącą słodycz zapomnienia.

Kiedy w końcu podniosła głowę, w drzwiach stali rodzice. Ojciec wydawał się spokojny jak zwykle. Matka trzymała lewą rękę na biodrze, a w prawej obracała złote serduszko wiszące na łańcuszku na szyi.

– Meg, kochanie? – powiedziała.

Meg wyprostowała się. Dziwne głosy i niepokojący szum zaczęły powracać. Odległe obrazy zbliżały się niebezpiecznie. Wzięła ręcznik i zaczęła metodycznie wycierać twarz.

– Nic ci nie jest, córeczko? – spytał ojciec.

– Nie. Jestem tylko trochę zmęczona. Pewnie przez ten szpital. – Uśmiechnęła się blado.

– Carol za pewno wyzdrowieje – powiedziała matka. Coraz mocniej ścisnęła złote serduszko.

– Na pewno. – Meg zakręciła kurek, odwiesiła ręcznik i przeczesała długie kasztanowe włosy.

– Jeżeli czegoś potrzebujesz... – spróbował ojciec.

– Nie, dziękuję, tato.

– Kochamy cię, córeczko – powiedziała czule matka.

– Ja też was kocham.

Co oni robią? Tyle słów, ale żadne nie miało znaczenia. Kłamstwa. Nigdy przedtem nie zdawała sobie z tego sprawy, ale miłość tworzy kłamstwa. Wielkie kłamstwa. Olbrzymie kłamstwa zapakowane w kolorowe papierki i ofiarowane w najlepszej intencji. Bezpieczeństwo za cenę fałszu.

Rodzice wciąż stali w drzwiach. Ona wciąż stała przy umywalce. Nikt nie wiedział, co zrobić.

– Och, mam ślub – powiedziała Meg.

– Ślub?

– Barbie wychodzi za Puchatka. Nie dostaliście zaproszeń?

– Molly znowu wyprawia wesele. – Matka w końcu się uspokoiła. Przestała obracać serduszko. – Barbie znowu wystąpi w różowej sukience?

– Oczywiście.

– I czerwonych koturnach?

– Dzieciak ma styl.

– O, tak. – Matka usunęła się na bok. – Nie możemy stać na drodze prawdziwej miłości.

– *Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę!*

– To idę. – Meg przykleiła uśmiech do twarzy i wróciła do dziecięcego pokoju.

Molly siedziała na podłodze i tuliła lalkę.

– Pora odprawić ślub! – oznajmiła Meg z wymuszoną radością.

Molly podniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko.

Kilka godzin później rodzina Pesaturo poszła spać. W pokojach małego domku gasły światła. Meg też wyłączyła lampę, ale nie położyła się do łóżka. Podeszła do okna.

– *Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę!*

Zaczęła się wpatrywać w nieprzenikniony mrok za oknem. Co się tam kryło?

Ciemno-czekoladowe oczy. Czują pocałunek kochanka.

– David – wyszeptała. – David. O, nie. David Price.

O północy Jillian opuściła w końcu szpital. Carol nie odzyskała jeszcze przytomności. Leżała spokojnie w śnieżnobiałej szpitalnej pościeli, jej długie złote włosy okalały twarz niczym aureola, ekran monitora mrugał miarowo w rytm jej pulsu, a respirator pompował powietrze do płuc.

Śpiączka, oznajmili lekarze. W jej żyłach wciąż krążyło sto dwadzieścia pięć miligramów ambienu, dwunastokrotność zalecanej dawki. W reakcji z alkoholem lek spowodował niemal całkowite wyłączenie systemu nerwowego. Ciało Carol reagowało tylko na bolesne bodźce. Lekarze powiedzieli, że rano, gdy stężenie alkoholu i ambienu we krwi zmaleje, przeprowadzą ponowne badania. Innymi słowy, będą nakłuwac i opukiwać jej biedne, nieruchome ciało. Spróbują zadać taki ból, który zdoła przywrócić ją do życia.

Dan został w szpitalnej sali. Przysunął krzesło do łóżka żony i w końcu zasnął z głową na skraju materaca. Przez szybę w drzwiach Jillian zobaczyła, jak pielęgniarka okrywa jego ramiona kocem. Potem odwróciła się i odeszła.

Noc była chłodna. Zimny wiatr owiał jej policzki. Wciąż miała na sobie ten sam kostium co rano. Nie wzięła płaszcza. Przygarbiła się pod granatowym żakietem i trzęsąc się, ruszyła przez opustoszały parking. Reporterzy już dawno zdążyli zniknąć. W świecie mediów samobójcza próba Carol przestała się liczyć. Od szóstej po południu uwagę dziennikarzy zaprzętał tylko pozew Tawny Clemente przeciwko władzom miasta.

Jillian wsiadła do lexusa, zamknęła drzwiczki i zapaliła silnik. Zerknęła na tylne siedzenie. Było puste. To dlaczego ciarki przechodziły jej po plecach?

Wrzuciła wsteczny bieg, wykręciła i ledwo powstrzymała się od krzyku.

Nie. Eddie Como. Nie. To dzieje się tylko w jej głowie. Tylko w jej głowie. Tylne siedzenie było puste, parking był pusty. Odwróciła się, zatrzymała samochód. I przez chwilę siedziała za kierownicą, trzęsąc się ze strachu.

Atak paniki, uprzytomniła sobie. Na początku ciągle je miała. Od ostatniego minęło już sporo czasu, ale dzisiejszy dzień należał do wyjątkowo ciężkich. Najpierw Sylvia Blaire, teraz Carol.

O Boże, Carol...

Jillian oparła głowę o kierownicę i nagle się rozpląkała. Drugi raz tego samego dnia. Nowy rekord. Nie mogła się jednak powstrzymać. Gorzkie łzy same napływały jej do oczu, wstrząsały jej ciałem, ścisnęły boleśnie żołądek. Właśnie dlatego rzadko płakała. W jej żalu nie było nic tragicznego ani wykwintnego. Beczała jak bóbr, a potem wyglądała okropnie: miała przekrwione, zapuchnięte oczy, czerwone policzki i rozmazany makijaż.

A gdyby sierżant Griffin ją teraz zobaczył? Na myśl o tym znowu zachciało jej się płakać.

Mogła do niego zadzwonić. Pewnie by odebrał, chociaż było po północy. Pewnie nawet wysłuchałby jej wyznań o żalu i nie ustępującej tęsknocie. Wydawał się właśnie tego typu

facetem.

Nie sięgnęła jednak po telefon. Może sama nie była tego typu kobietą, może nie wierzyła już w księcia z bajki. A może wierzyła, a Meg miała mimo wszystko rację, mówiąc, że ciągle obarcza się winą za śmierć siostry.

A może to tylko psychologiczny bełkot, a tak naprawdę po prostu jeszcze nie była gotowa. Wciąż brakowało jej siostry. Wciąż odczuwała ból. I rzeczywiście za bardzo zamykała się przed otoczeniem, i rzeczywiście czuła się winna. A teraz jeszcze martwiła się o Carol. Jak zwykle myślała o matce. No i jeszcze to, co się przydarzyło tej biednej studentce. Kto mógł wiedzieć, co się czai w nieprzeniknionym mroku nocy?

Jillian włączyła silnik. Wyjechała z parkingu.

Kiedy wjechała na podjazd przed domem, powitały ją zapalające się światła. Ogród wyglądał jak pas startowy. Rano Jillian kazała zamontować trzy nowe reflektory, więc sąsiedzi pewnie musieli zakładać ciemne okulary, żeby położyć się spać. I dobrze. Oby to była największa tragedia, jaka się wydarzy w ich życiu.

Po drodze minęła radiowóz zaparkowany na ulicy. Dwaj policjanci kiwnęli jej głowami na powitanie. Pomachała im. A więc Griffin dotrzymał słowa.

Wjechała do garażu tak jak zwykle – nie otwierając drzwiczek i patrząc w tylne lusterko do momentu, gdy drzwi całkowicie się zamknęły. Przyjrzała się wszystkim mrocznym zakamarkom, szukając śladów intruza. Teren wydawał się bezpieczny. W końcu wysiadła z samochodu i weszła do domu.

Toppi zostawiła jej na kuchennym blacie talerz przykryty folią. Kanapka z kureczakiem, na wypadek gdyby Jillian była głodna. Włożyła talerz do lodówki, nalała sobie szklankę wody i przystąpiła do obchodu. Drzwi zamknięte. Okna zabezpieczone. Wszystko na swoim miejscu.

Dom był cichy o tej porze. Słyszała tylko tykanie zegara w przedpokoju i pochrapywanie dochodzące z sypialni Toppi.

Pierwsza w nocy. Powinna się położyć. Wciąż jednak obchodziła dom, by się upewnić, że jest bezpieczna.

Czy zawiodła Carol? Kiedyś Carol i Meg oskarżały ją o zbyt duże poczucie winy. Dziś po południu Griffin zasugerował, że obarcza się za wszystko odpowiedzialnością. Ludzi nie można ustrzec przed pewnymi niebezpieczeństwami.

Ale tym się właśnie zajmowała. Od kiedy sięgała pamięcią. Libby prowadziła beztrudne życie. Jillian starała się zapewnić Trishy spokój, stworzyć dom. Potem matka zachorowała. Jillian musiała się nią zająć. Kochała ją, a z miłością wiąże się odpowiedzialność. Robiła więc dla matki i siostry wszystko, co mogła. Tylko nigdy nie dopuszczała ich zbyt blisko siebie.

Tak samo postępowała w stosunku do Carol i Meg.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy czuje się winna dlatego, że Trisha umarła, czy też dlatego, że nie kochała jej bardziej, kiedy jeszcze żyła. Tyle letnich dni, gdy Trish biegała po plaży, a Jillian leżała samotnie pod parasolem. Dlaczego nie biegała z siostrą? Dlaczego się z nianie kąpała? Przed czym tak bardzo się wzbraniała?

Silna, odpowiedzialna Jillian, która nigdy nie zdobyła się na żaden poważny związek. Niezależna Jillian, która myślała tylko o pracy. Dumna, samotna Jillian, która kroczyła przez życie, jakby to było pole bitwy, a ona nie zamierzała brać żadnych jeńców. Ani matki, ani siostry, ani Eddiego Como, ani Klubu Ocalonych.

Biedna, głupia Jillian, która w wieku trzydziestu sześciu lat wciąż nie wiedziała, co jest w życiu ważne. Griffin miał rację. Trisha ją kochała. A Jillian nie powinna była potrzebować aż roku, żeby sobie o tym przypomnieć.

Wyszła na korytarz. Znowu myślała o Trishy i o przeszłości, która już nigdy nie wróci. Potem pomyślała o matce – o latach, które jeszcze razem spędzą. Dumna, zdenerwowana Libby. Smutna, milcząca Libby, która tak bardzo pragnie odwiedzić grób córki. Jillian stanęła w drzwiach do pokoju matki. Libby leżała w łóżku skapana w niebieskiej poświacie nocnego światła. Miała otwarte oczy. Patrzyła prosto na nią.

– Czekalaś, aż wrócę? – zapytała Jillian ze zdziwieniem. Matka puknęła palcem o prześcieradło.

– Chciałaś mieć pewność, że nic mi się nie stało. Palec matki uniósł się i opadł na pościel. Jillian weszła do pokoju.

– Możesz już zasnąć. Wróciłam, mamó. Jestem bezpieczna. – A po chwili dodała: – I też cię kocham, mamó.

Libby uśmiechnęła się. Wyciągnęła ręce do córki. I po raz pierwszy, od kiedy była dzieckiem, Jillian przytuliła się do matki.

Tymczasem zegar tykał w przedpokoju, przed domem paliły się światła, a policjanci siedzieli w radiowozie, czekając na to, co przyniesie następny dzień.

GRIFFIN

Czwarta rano, środa. Detektyw sierżant Roan Griffin zajechał przed kwaterę policji stanowej w North Scituante. Był za wcześnie. Dużo za wcześnie. Ale uznał, że to dobrze. Musiał przejrzeć wstępne przesłuchania, przemyśleć zeznania świadków i ocenić raporty z działalności detektywistycznej. Później chciał sporządzić raport z chronologicznym przebiegiem wypadków oraz tabelę z najświeższymi informacjami o podejrzanych. To powinno zadowolić porucznik Morelli.

Tej nocy udało mu się przespać całe pięć godzin. Żadnych nowych gwałtów, żadnej strzelaniny, żadnych nowych pozwów sądowych. Teraz czuł się znacznie lepiej. Wrócił mu nawet optymizm. Oczywiście przedwcześnie.

W wejściu do budynku Śledczych Służb Pomocniczych powitał go umundurowany wartownik. Griffin skinął głową i poszedł w głąb długiego, oświetlonego na żółto korytarza. Całe lewe skrzydło ponurego brązowego gmachu z lat sześćdziesiątych, w którym mógł się mieścić dowolny urząd stanowy lub federalny, zajmował oddział identyfikacji kryminalnej. Były tam przestronne gabinety zajmowane przez detektywów i liczne pokoiki, w których urządzono laboratoria i ciemnie fotograficzne i ustawiono komputery z bazą odcisków palców oraz wykrywacze kłamstw.

W przeciwieństwie do śledczych służb pomocniczych detektywi z wydziału przestępstw kryminalnych mieli do dyspozycji tylko jedną salę, w której utworzono pięć oddzielonych przepierzeniami stanowisk pracy. Oczywiście byli święcie przekonani, że ich lokum jest o niebo lepsze. Na suficie było znacznie mniej żółtych zacieków niż w innych pomieszczeniach. Poza tym starali się utrzymywać porządek: zamiast stosów papierów, na ich biurkach stały ładnie oprawione rodzinne fotografie. Od czasu do czasu ktoś przynosił jakiś kwiatek w doniczce, więc z biegiem lat co odporniejszym roślinom udało się zasłonić szare przepierzenia radosnymi zielonymi girlandami. Sala mogła z powodzeniem uchodzić za biuro księgowości. Gdyby, rzecz jasna, księgowi dekorowali ściany listami gończymi.

Griffin lubił biuro wydziału przestępstw. Nie wyglądało tak posepnie jak inne pomieszczenia użytkowane przez stróżów prawa. Komenda policji miejskiej, w której pracował Fitz, była znacznie gorsza. Zdaniem Griffina powinno się ją natychmiast wyburzyć, i może zresztą tak się stanie, gdy zostanie ukończona budowa nowej siedziby po drugiej stronie ulicy.

Griffin zerknął na przeszklone drzwi gabinetu porucznik Morelli. Nikogo nie ma. Doskonale. Usiądzie sobie wygodnie za biurkiem, uporządkuje akta sprawy i do ósmej będzie miał wiedzę o stanie śledztwa w małym palcu. Jak wzorowy detektyw prowadzący. Kurczę, może nawet zaskoczy wszystkich i do dziewiątej zdoła znaleźć winnego. W sumie, czemu nie?

Optymizm nie opuszczał go aż do siódmej. Wtedy zadzwonił Fitz. Ton jego głosu nie wróżył nic dobrego.

– Musisz przyjechać – oznajmił, nie tracąc czasu na powitania.

– Dokąd?

– Do mojego biura. Pośpiesz się. Następny gwałt?

– Po prostu przyjedź. Szybko. Nim prasa się dowie.

Fitz rzucił słuchawką. Griffin siedział jeszcze przez chwilę, wpatrując się w telefon. Ożesz, kurwa.

Narzucił marynarkę i wybiegł na korytarz. W połowie drogi do wyjścia natknął się na Watersa, który właśnie szedł do pracy. Poruszał się trochę sztywno, co w innych okolicznościach stanowiłoby dla Griffina powód do dumy. Musiał jednak ograniczyć rozmowę do niezbędnego minimum.

– Pędzę do Providence. Coś się stało.

– Kolejny atak? – spytał Waters.

– Nie wiem. Słuchałeś wiadomości radiowych?

– Tak. Nic nowego.

– Dobrze. W takim razie jesteśmy szybsi. Słuchaj, możesz podpytać, czy są już jakieś wieści od organizacji pomocy ofiarom gwałtu? Aha, weź więcej ludzi do Cranston. Zdaje się, że musimy przyspieszyć dochodzenie. I to gwałtownie.

– Dobra. Dasz znać, co się dzieje?

– Kiedy tylko czegoś się dowiem – odparł Griffin, ruszając do wyjścia.

– Hej, Griff – zawołał za nim Waters. – Zadzwoń do Charpentiera. Tak na wszelki wypadek. Okej?

Griffin zawahał się.

– Okej – odpowiedział po chwili. – Na wszelki wypadek.

Komenda miejska znajdowała się przy szosie I-95 w centrum miasta. Gwałtownie starzejący się budynek poważnie traktował rolę wielkomiejskiego komisariatu. Szare, dziurawe linoleum na podłogach, zacieki na sufitach, brudne ściany, nieosłonięte rury kanalizacyjne. Miejscy detektywi żartowali, że jeśli chodzi o dekorację wnętrz, mają do dyspozycji trzy kolory: brudny, brudniejszy i najbrudniejszy.

Stanowczo nie był to Biały Dom policji stanowej. Nie, żeby panowała z tego powodu jakaś zawiść.

Griffin przybył na miejsce o siódmej trzydzieści i zaparkował swojego taurusa przed głównym wejściem. Wiedział, że mundurowy funkcjonariusz natychmiast wypisze mu mandat za parkowanie w miejscu niedozwolonym, a potem Fitz załadodzi sprawę. Każda organizacja ma swoje rytuały.

Przeszedł przez oszklone drzwi i minął trzech czarnoskórych nastolatków, którzy patrzyli na niego z nieukrywaną wrogością. Wbił w nich spojrzenie i dzięki okazałej muskulaturze udało mu się sprawić, że pierwsi odwrócili wzrok. Minął mroczny przedsionek, skręcił w drzwi po lewej i wszedł do ciasnego, ciemnego pomieszczenia, w którym za kuloodporną szybą dyżurki siedzieli trzech policjantów. W pokoiku tłoczyło się kilkanaście osób. Każda domagała się czego innego. „Chcę się widzieć z takim to a takim”. „Hej, tej mandat to jakaś bzdura”. Dyżurni nie byli upoważnieni do rozwiązywania żadnych spraw, ale to nie powstrzymywało petentów.

Griffin przepchał się do przodu, błysnął odznaką i natychmiast przepuszczono go przez zamykane elektronicznie drzwi prowadzące do serca, a raczej trzewi komisariatu.

Poszedł schodami na górę. Raz spróbował pojechać windą, ale skrzypiała tak żałośnie i ruszała się tak ślamazarnie, że przysiągł sobie już nigdy z niej nie korzystać. Jego zdaniem miejscy będą mieli fart, jeżeli uda im się wyprowadzić, zanim budynek zawali im się na łby.

Biuro Detektywistyczne znajdowało się na pierwszym piętrze obok Biura Identyfikacji Kryminalnej. Griffin zajął najpierw do głównego pokoju, ale nie zauważył Fitz, więc poszedł

do szatni. Tam też nie zastał Fitz, za to obejrzał wiele dzieł sztuki. Detektywi lubili dekorować drzwi swoich szafek fotografiami spraw, nad którymi właśnie pracowali. Zmiażdżona ofiara przejechana przez pociąg. Rozkładające się zwłoki, które znaleziono dopiero po kilku tygodniach od zgonu. Dwie dłonie obsypane liśćmi marihuany, które znaleziono w bagażniku samochodu podczas rutynowej kontroli. Ciało, do którego pasowały, znalezione dzień później...

Griffin błąkał się po labiryncie ciasnych szarych pokoików, aż w końcu doszedł do końca korytarza. Mieściło się tu centrum przetwarzania materiału dowodowego, złożone z dwóch połączonych pokoików wielkości garderoby, w których poustawiano kartoteki, stoły, komputer podłączony do Automatycznego Systemu Identyfikacji Odcisków Palców i inny sprzęt. Fitz stał koło stołu z rozkładanym blatem, pogrążony w rozmowie z czarnoskórym, elegancko ubranym mężczyzną, w którym Griffin rozpoznał sierżanta Napoleona, szefa Biura Identyfikacji Kryminalnej. Obaj podnieśli wzrok, gdy tylko Griffin stanął w drzwiach.

– Nareszcie – mruknął Fitz. Zadzwonileś, więc jestem – odparł Griffin lekkim tonem.

– Fitz miał na twarzy niezdrowy rumieniec. Oczy zatopiły się jeszcze głębiej w fałdach skóry, a rzadkie włosy sterczały we wszystkie strony w nieprawdopodobnym nieładzie. Zmienił ubranie, co oznaczało, że udało mu się wpaść do domu. Przerwa w pracy wyraźnie mu nie posłużyła. „v2, Griffin, Napoleon. Napoleon, Griffin – przedstawił ich sobie Fitz.

– Znamy się – powiedział Griffin, kiedy ścisnął sierżantowi dłoń. W przeciwieństwie do Fitz, Napoleon miał błysk podniecenia w oczach. O, nie, pomyślał Griffin. Kiedy gość od identyfikacji kryminalnej wygląda na podekscytowanego, to znaczy, że... O, nie.

– Dostaliście wyniki analiz – zgadł Griffin.

– Taa... – odparł Fitz. DNA?

Fitz łypnął na otwarte drzwi.

– Tak – szepnął.

Griffin pochylił się do przodu.

– I co? – zapytał cicho.

– Zidentyfikowaliśmy próbkę – wyszeptał Fitz.

– I to na sto procent – podkreślił Napoleon.

– Wiemy już, kto zgwałcił Sylwię Blaire – powiedział bardzo ponuro Fitz. – Według Departamentu Zdrowia gwałcicielem na pewno był Eddie Como.

– Musiała zajść jakaś pomyłka – oświadczył Griffin pięć minut później. Razem z Fitzem i Napoleonem zamknęli się w gabinecie porucznika, gdzie kontynuowali szeptaną naradę. W komisariacie policji ściany miały oczy i uszy.

– Oczywiście, że to pomyłka! – huknął Fitz, a potem natychmiast zniżył głos. – Truposzczak nie mógł zgwałcić i zamordować Sylvii Blaire. W takim razie może powiesz mi, kto to zrobił?

Griffin zwrócił się do Napoleona.

– Czy mógł to być członek rodziny? Na przykład wujek, kuzyn, ojciec? A może zaginiony brat?

Napoleon pokręcił głową.

– Mamy ten sam wynik w przypadku wszystkich siedmiu próbek pobranych na miejscu zbrodni. Wyślemy je jeszcze do drugiej analizy, ale wygląda na to, że mamy stuprocentową zgodność.

– To może zaginiony brat bliźniak?

– Nawet bliźniaki nie mają takiego samego DNA. Mogą mieć bardzo podobne, ale znowu wszystkie siedem próbek...

Griffin poskrobał się po czuprynie.

– Jasna cholera – stwierdził.

– To nie może być Eddie Como – biadolił Fitz. – To po prostu nie może być Eddie.

– Spróbujmy podejść do tego racjonalnie – odezwał się Griffin. – Załóżmy, że DNA pobrane z miejsca zabójstwa Sylvii Blaire jest w stu procentach zgodne z DNA Eddiego Como. Może ktoś w jakiś sposób zdobył nasienie Eddiego Como i je podłożył?

Razem z Fitzem spojrzeli na Napoleona, który wydawał się skłonny przynajmniej rozważyć tę możliwość.

– Mówimy tu o próbkach nasienia – oznajmił. – Problem polega na tym, że plemniki obumierają po siedemdziesięciu dwóch godzinach, więc jeśli ktoś zdobył próbkę spermy Eddiego Como, to musiała być świeża. W przeciwnym razie spermatozoa by obumarły, a wynik testu na obecność DNA byłby negatywny.

– Facet siedział od roku w pierdłu – mruknął Fitz. – Jak zdobyć świeże nasienie od gościa za kratkami?

Griffin spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Wiem, że w zakładach karnych uprawia się więcej seksu niż w większości burdeli – rzekł Fitz. – Ale nie mówimy tu o kimś, kto przeszmuglował z więzienia poplamione prześcieradło. Mamy siedem próbek, które zostały pobrane nie tylko z pościeli, ale także ze szlafroka i z ciała ofiary. Jak to wytłumaczysz?

– To komplikuje sprawę – przyznał Griffin. – Eddie mógł w jakiś sposób przechować swoją spermę. Na przykład spuścić się do plastikowego kubeczka, a potem go komuś przekazać.

Tym razem to Fitz spojrział na niego z niedowierzaniem.

– A po co, do cholery, miałby to robić? Facet cały czas przysięgał każdemu, kto chciał go słuchać, że jest niewinny. Myślisz, że nie zastanowiłoby go, gdyby ktoś poprosił go o próbkę nasienia?

– Wizyta małżeńska? – podsunął Napoleon.

– Nie miał do niej prawa – powiedział Griffin.

– Kompletnie wariactwo – mruknął Fitz.

– No – zgodził się Griffin. – A może podchodzimy do tego od złej strony? Może próbka nie została podrzucona na miejsce zbrodni? Może podmieniono samą próbkę?

– Co masz na myśli?

– Próbkę z miejsca przestępstwa są zgodne z próbką podpisaną jako DNA Eddiego. Ale może to nie jest DNA Eddiego?

– Wykluczone – zaoponował bez wahania Fitz.

– Niemożliwe – poparł go Napoleon. – Postępowaliśmy dokładnie według procedury: detektyw Fitzpatrick i detektyw McCarthy przywieźli Eddiego Como do Gmachu Reagana, gdzie czekało dwóch lekarzy i ja. Lekarze pobrali dwie fiołki krwi, wyrwali kilka włosów z głowy i okolicy łonowej. Osobiście zapakowałem i oznaczyłem każdą próbkę. Mamy więc, ile – pięć osób, które mogą poświadczyć, że pobraliśmy próbki właśnie od Eddiego Como...

– Nie twierdzą, że popełniście błąd – przerwał mu Griffin.

– Aż cztery próbki – nie ustępował Napoleon – które zostały odpowiednio zapakowane, oznaczone i zabezpieczone. Jakie są szanse, że ktoś je wszystkie podmienił?

– Małe – odparł z irytacją Griffin.

– Raczej zerowe – uściślił Fitz. – Raczej, kurwa, zerowe! Myślisz, że nie wiemy, jak wykonywać naszą cholerną robotę?!

– To w jaki sposób uzyskaliśmy stuprocentową zgodność? – zaperzył się Griffin.

– Nie mam pojęcia! Może to rzeczywiście był Como. Nie widzieliśmy ciała.

– Eddie Como nie żyje! Koroner już to potwierdził. Facet jest trupem, jak dwa i dwa to cztery. Więc jak, do jasnej cholery, jego DNA trafiło na miejsce zbrodni?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć?!

– Ktoś robi nas w wała – powiedział Griffin. – Ktoś gra z nami w jakąś grę. – A po chwili, zastanowiwszy się, dodał: – Kurwa!

– Co?! – wrzasnął Fitz, tracąc cierpliwość.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! Muszę zadzwonić.

– Teraz?

– Tak, teraz. Gdzie telefon? Jaki jest kod na miasto?

– Do kogo dzwonisz?

– Do kogo? Do misia Gogol, a jak myślisz? Griffin niecierpliwie wystukał numer.

– Detektyw Waters – odezwał się głos w słuchawce.

– Mike, tu Griffin. Rozmawiałeś z Charpentierem? Co mówił?

– Price powiedział... powiedział: „A nie mówiłem”, a potem dodał, że wciąż na ciebie czeka. „A nie mówiłem”. Kto zamordował Sylvię Blaire, Davidzie? Eddie Como.

O, jasny gwint. Griffin zwiesił posępnie głowę. Po długich, bolesnych osiemnastu miesiącach terapii i pracy nad sobą znowu tkwił w tym samym bagnie. Znowu David Price prowadził jakąś chorą grę jego kosztem. Zaczerpnął głęboko powietrza i spróbował wziąć się w garść. Martwy człowiek nie mógł zamordować Sylvi Blaire. Musiało stać się coś innego. DNA Eddiego Como trafiło na miejsce przestępstwa w inny sposób.

Wtedy przypomniał sobie poniedziałkową rozmowę z Fitzem: „Dlaczego Eddie, który nie zostawił po sobie żadnego włoska, żadnego włókienka i żadnego odcisku, zostawił lateksowe opaski? Dlaczego, skoro wiedział, jak zacierać ślady, zostawił praktycznie własną wizytówkę?”

Fitz oświadczył wtedy z oburzeniem, że policja nie zrobiła Eddiego Como. Teraz Griffin zaczął podejrzewać, że zrobił to kto inny.

Gry. Gry nie były w stylu Eddiego. Ale Griffin znał innego człowieka, który je uwielbiał. Człowieka, który także słał listy i telefonował, tyle że nigdy nie twierdził, że jest niewinny. Człowieka, który od dwóch dni próbował przekonać policję, że ma istotne informacje na temat sprawy, i nawet wspaniałomyślnie przysłał Griffinowi liścik z życzeniami powodzenia w pracy nad nowym śledztwem.

To nieszczęsne DNA stanowiło jedyny dowód przeciwko Eddiemu Como. DNA, które miało zostać zmyte za pomocą płynu do higieny intymnej o zapachu polnych kwiatów firmy Berkely and Johnson. Tylko że... Jaka jest najgorsza pomyłka, jaką może popełnić detektyw? Przedwcześnie coś założyć. A jakie było główne założenie, które wszyscy przyjęli?

Że płyn miał za zadanie usunąć DNA z miejsca zbrodni. A to skurwysyn jeden!

Ostatnie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Griffin tak się wściekł, że praktycznie odebrało mu mowę.

– Co się dzieje? – pytał Waters.

– Kto? Kto? – dopytywał się zdezorientowany Fitz.

– Kiedy został popełniony pierwszy gwałt? – zapytał chrypliwie Griffin. – Kiedy zgwałcono Meg Pesaturo?

– Jedenastego kwietnia zeszłego roku – odpowiedział Fitz. – Dlaczego pytasz? Czego się dowiedziałeś?

Jedenastego kwietnia. Pięć miesięcy po aresztowaniu Davida Price'a. Pięć miesięcy po Wielkim Bum. Wydawało się to niemożliwe. A jednak...

– Bawi się z nami.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Mike po drugiej stronie słuchawki.

– Kto? Co? – powtarzał Fitz wściekle.

– Facet, który to przewidział. – Griffin zamknął oczy. – Facet, który jakimś cudem wie o tej sprawie więcej niż my.

– Czyli kto? – zapytał błagalnym głosem Fitz.

– David – odparł cicho Griffin. – Mój dawny sąsiad pedofil. David Price.

PRICE

Griffin wybierał numer na komórce, pędząc wąskimi uliczkami w stronę wjazdu na szosę I-95, a Fitz trzymał się deski rozdzielczej, klnąc jak szewc. Griffin zaczął mówić, gdy tylko Jillian odebrała.

– Musisz mi coś powiedzieć. I to szczerze.

– Griffin? Też miło mi cię słyszeć...

– Wiem, że jesteś zła na policję – przerwał jej stanowczym głosem. – Wiem, że uważasz, że ponosimy odpowiedzialność za śmierć twojej siostry. Ale potrzebuję twojej pomocy. Musisz mi powiedzieć, czy kiedykolwiek spotkałaś Davida Price’a. Lifcie kłam, Jillian. To sprawa życia i śmierci.

Cisza. Ścisnął kierownicę, zastanawiając się, co oznacza ten brak odpowiedzi. Poczł, że znowu przewraca mu się żołądek, a w uszach zaczyna dzwonić. Oddychaj głęboko, rozluźnij mięśnie. Osiemnaście miesięcy ciężkiej pracy. Nie zaprzepaść tego.

– Nazwisko wydaje się znajome – odezwała się w końcu Jillian. – Zaraz. Czy to nie twój sąsiad? Griffin, o co chodzi?

– Czy twoja siostra kiedykolwiek o nim wspominała?

– Nie, nigdy.

– A może dostałaś jakiś list?

– Nie. Poczekaj chwilę. – Znowu zaległa cisza, a po chwili usłyszał wołanie: – Toppi, czy kiedykolwiek dostałaś list od niejakiego Davida Price’a? Spytaj mamę. – Po sekundzie znowu odezwała się do słuchawki: – Obie mówią, że nie. Ale przecież go aresztowałeś, prawda? Posłałeś go za kratki... już dawno. Dlaczego właśnie teraz o niego pytasz?

Griffin zignorował jej pytanie i zadał swoje:

– Jakie masz plany na dzisiaj?

– Obiecałam mamie, że pojedziemy na grób Trishy. Griffin...

– Nie róbcie tego.

– Jak to?

– Zostańcie w domu. Zaraz, mam lepszy pomysł. Zabierz Toppi i mamę do domku w Narragansett. Załatwię, żeby dwaj mundurowi już tam na was czekali.

– Czy Price uciekł? – zapytała ścisłym głosem.

– Nie.

– To dlaczego o niego pytasz? Myślisz, że ma z tym wszystkim coś wspólnego? Uważasz, że David Price w jakiś sposób skrzywdził moją siostrę?

– Właśnie próbuję się tego dowiedzieć. Jakies wieści na temat Carol?

– Właśnie miałam zamiar zadzwonić do szpitala.

– Tam też powinienem posłać mundurowych – mruknął Griffin i od razu tego pożałował.

– Stało się coś. Stało się coś złego, prawda? – zapytała zaniepokojonym głosem Jillian.

– Będziemy w kontakcie – zapewnił ją. – Uważaj na siebie.

Rozłączył się. Głównie dlatego, że nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. A może dlatego, że ani czas, ani miejsce, ani obecność czerwonego ze złości Fitz’a nie sprzyjały temu, by wyznać jej to, co cisnęło mu się na usta.

Wjechał na estakadę i rzucił Fitzowi komórkę.

– Teraz twoja kolej.

Fitz wystukał numer państwa Pesaturo. Pół minuty później obaj usłyszeli głos matki Meg.

– Dzień dobry, tu detektyw Fitzpatrick – powiedział zachrypniętym głosem Fitz, po czym odchrząknął. – Muszę porozmawiać z Meg. Mogłaby ją pani poprosić?

– Detektyw Fitzpatrick! – uradowała się pani Pesaturo. – Jak się pan dzisiaj miewa?

Fitz utrzymał oficjalny ton.

– Pani Pesaturo, muszę porozmawiać z Meg.

Laurie Pesaturo zamilkła zmieszana. Kiedy poprosiła Fitz, żeby poczekał, nawet Griffin usłyszał niepewność w jej głosie. Po kilku minutach znów podeszła do aparatu.

– Przykro mi – oznajmiła – Zdaje się, że Meg wyszła.

– Nie ma jej w domu?

– Nie.

– Wie pani, gdzie jest?

– Nie.

Fitz przeszedł do sedna.

– Pani Pesaturo, czy mówi pani coś nazwisko Price, David Price? Sekunda ciszy.

– A o co chodzi, detektywie Fitzpatrick?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani Pesaturo. Czy zna pani Davida Price'a?

– Nie.

– A czy Meg przypadkiem o nim nie wspominała?

– Wydaje mi się, że nie.

– Czy Price kiedykolwiek przysyłał państwu listy lub paczki? Albo dzwonił?

– Gdyby to zrobił – odparła Laurie Pesaturo – znałabym jego nazwisko, prawda? A teraz pytam pana jeszcze raz: o co chodzi?

– Chciałbym, żeby pani znalazła Meg. Chciałbym, żebyście nie oddalały się od domu. I dobrze by było, gdyby pani mąż wziął dzisiaj wolne i spędził dzień z rodziną. Moglibyście złożyć wizytę wujkowi Vinniemu.

– Panie Fitzpatrick...

– To tylko środki ostrożności – dodał cicho Fitz.

– Dobrze – powiedziała po chwili pani Pesaturo. – Dziękuję za telefon. Zadzwoń pan jeszcze?

– Mam nadzieję, że uda mi się zadzwonić po południu.

– Dziękuję, bylibyśmy wdzięczni.

– Proszę znaleźć Meg – powtórzył Fitz, gdy wjeżdżali na teren kompleksu budynków więziennych.

Griffin odnalazł gmach z czerwonej cegły, w którym mieściły się biura Więziennego Oddziału Śledczego oraz pomieszczenia użytkowane przez oddział policji stanowej, wjechał na parking i wyłączył silnik. Nie patrzył już na Fitz. Koncentrował się na rozluźnianiu mięśni i powstrzymywaniu dzwonienia w uszach. Głęboki wdech i wydech. Głęboki wdech i wydech.

„Hej, Griff, myślisz, że to jest okropne? W takim razie muszę ci opowiedzieć o twojej żonie...”

Fitz wysiadł z samochodu. Chwilę później Griffin zrobił to samo.

Stanowy Zakład Karny w Providence zajmuje czterysta akrów ziemi. Jego ceglane wieże i ogrodzenie z kolczastego drutu są doskonale widoczne z autostrady, niewiele osób zdaje sobie jednak sprawę, że spośród tuzina stojących tam budynków połowa należy nie do samego więzienia, lecz do innych instytucji rządowych. W samym zakładzie karnym zawsze przebywa prawie cztery tysiące więźniów, a liczba wewnętrznych i zewnętrznych skarg, które się z nimi wiążą, wystarcza, by dać pracę sześciu detektywom z Więziennego Oddziału Śledczego i dwóm detektywom stanowym. Detektywi Oddziału Śledczego reagują zwykle pierwsi i rozpatrują wszystkie skargi zgłaszane przez jednych więźniów na innych. Jednakże w przypadku poważniejszych przestępstw – dotkliwych pobić, morderstw lub handlu narkotykami – do akcji wkracza policja stanowa.

Między dochodzeniami detektywi stanowi spędzają czas na odbieraniu telefonów od więźniów, którzy w zamian za różne przywileje wyrażają chęć podkablowania kolegów. Telefonów jest mnóstwo, ale rzadko kiedy wynika z nich coś istotnego.

Właśnie na to liczył Griffin, kiedy dowiedział się o propozycji Davida Price'a. Teraz jednak nie był już tego taki pewny.

Kapral Charpentier spotkał się z nimi w lobby, a potem poprowadził ich schodami do mieszczącego się w piwnicach biura policji stanowej. Uderzyło ich tak stęchłe powietrze, że Griffin zmarszczył nos, a Fitz skrzywił się ze wstrętem.

– Wiem, wiem – powiedział Charpentier. – Teoretycznie w budynku nie ma już azbestu. Ale ci, którzy dłużej wdychają... – Nie dokończył, lecz Griffin i Fitz doskonale zrozumieli, co miał na myśli. Już bolały ich głowy.

Charpentier poprowadził ich w głąb korytarza i otworzył przed nimi drzwi do małego pokoiku. Stały tam dwa ustawione naprzeciwko siebie biurka z komputerami, stosami kopert i papierów. Resztę miejsca zajmowały dwa krzesła i blaszana ściana kartoteki. Nie było żadnych roślin. Nic, tylko przygnębiające kremowe ściany, szara biurowa wykładzina i kiepskie oświetlenie.

– Prowadzą go do sali na tyłach – oznajmił Charpentier, siadając i wskazując im krzesła. – Potrzebują jeszcze dziesięciu minut.

– W porządku – powiedział Griffin. Postanowił nie siadać. Wolał, żeby nikt nie zauważył, że jego ciało zaczyna drzeć.

– Moim zdaniem facet gównu wie – dodał Charpentier, mierząc Griffina wzrokiem.

– Jak się przystosował? – zapytał Griffin.

– Lepiej, niż można by przypuszczać. – Charpentier odchylił się do tyłu i wzruszył ramionami. – Facet jest młody, niski, a do tego pedofil. Szczerze mówiąc, wygląda jak typowa więzienna ciota. Ale coś wam powiem. Słyszałem tę historię od jednego ze strażników. Sześciu facetów otoczyło Price'a pod natryskami. Było widać, że zamierzali dać mu małą lekcję, pokazać, jak się tu traktuje chuderlawych morderców dzieci. I wtedy David zaczął z nimi rozmawiać. Inni strażnicy już biegli na pomoc, spodziewając się najgorszego. Ale jak przybyli na miejsce, David był już otoczony przez sześciu roześmianych dryblasów, którzy nie bili go, nie kopali, tylko klepali przyjacielsko po plecach. W ciągu trzech minut facet zmienił ich w swoich kumpli. – Charpentier potrząsnął głową. – Nie pojmuję tego, ale za rok Price może rządzić całym więzieniem. Zostanie najmniejszym więziennym bossem w kraju.

– Dobrze radzi sobie z ludźmi – powiedział Griffin.

Charpentier pokiwał głową, a potem wolno pochylił się do przodu.

Jego wzrok powędrował od Griffina do Fitz'a i z powrotem.

– Wiecie co? Liczba pobić w więzieniu o zastrzonym rygorze wzrosła aż dwukrotnie, od kiedy Price tam siedzi. Właśnie dzisiaj rano przeglądałem statystyki. Niemal codziennie przez ostatnie dziewięć miesięcy coś się dzieje. Mają tam ciągły sezon łowiecki. A jedyna zmienna, jaką dostrzegam, to więzień, który wciąż mógłby się ubierać w sklepach z odzieżą dziecięcą.

– Myślisz, że to on za tym stoi? – zapytał Fitz.

Charpentier wzruszył ramionami.

– Nie możemy niczego udowodnić. Więźniowie podają różne powody bójk. Ale David cały czas z kimś gada. Jak jakiś cholerny polityk. Miele ozorem na spacerunku, rozsyła liściki po całym bloku. I ani się obejrzyj, a znowu ktoś łąduje w szpitalu. Nie wiem, co David Price robi i mówi, ale jest w nim coś przerażającego.

– Dobrze radzi sobie z ludźmi – powtórzył Griffin. „W takim razie muszę ci opowiedzieć o twojej żonie...” Zadzwoił telefon. Charpentier podniósł słuchawkę.

– Dobra, możemy iść.

Budynek więzienia o zastrzonym rygorze robi wrażenie. Wzniesiony w 1878 roku z szarych kamiennych bloków dwupiętrowy gmach wieńczy wielka biała kopuła. W dawnych czasach na jej szczycie stała latarnia, która paliła się na zielono, kiedy wszystko było w porządku, a na czerwono, gdy działo się coś złego. Widząc czerwone światło, mieszkańcy Providence posyłali konnego kuriera, który miał za zadanie dowiedzieć się, co się stało.

Więzienie może się także pochwalić jednym z najstarszych mechanicznych systemów bezpieczeństwa w kraju. Obecnie większość zakładów karnych jest zelektronizowana. Aby otworzyć celę lub blok, wystarczy nacisnąć guzik. W Starym Maksie, jak pieśczośliwie określa się to więzienie, ciężkie stalowe drzwi nadal otwiera się i zamyka za pomocą metalowych dźwigni. Więźniowie nie są z tego specjalnie zadowoleni, za to wielbiciele historii aż pieją z zachwyty.

Stary Max ma jednak przede wszystkim charyzmę. Jego grube kamienne mury wyglądają jak mury więzienia. Stalowe, szerokie na dwa i długie na dwa i pół metra cele wyglądają jak cele więzienia. Pomalowane na czarno metalowe drzwi, skrzypiące przy otwieraniu i trzaskające przy zamykaniu, brzmią jak drzwi więzienia. Stale unoszący się odór potu, moczu, amoniaku i świeżej farby jest dokładnie taki, jaki powinien być w więzieniu. A inne dźwięki – gardłowe okrzyki, szum odbiorników radiowych i telewizorów, brzęk metalu, odgłosy sikających mężczyzn – to dźwięki prawdziwego więzienia.

Przez ostatnie sto lat dziesiątki tysięcy mężczyzn przekroczyło jego bramy. Gwałciciele, mordercy, handlarze narkotyków, mafiosi, złodzieje. Gdyby mury mogły mówić, Stary Max krzyczałby jak opętany.

Griffin i Fitz wpisali się do księgi odwiedzin. Cywile musieli przejść przez wykrywacz metali. Jako stróże prawa detektywi zostali pozbawieni tego przywileju i od razu otworzono przed nimi pancerne drzwi do pierwszego strzeżonego sektora. Tam czekał na nich siedzący w budce strażnik, który poprosił Fitz'a i Griffina o położenie na obrotowej tacy policyjnych odznak. Obrócił tacę do siebie, obejrzał odznaki, skinął głową, rzucił na tacę dwie czerwone przepustki, po czym znowu ją obrócił.

Dopiero gdy Fitz i Griffin przypięli więzienne identyfikatory, otworzyły się przed nimi ciężkie, pomalowane na biało drzwi. Po drugiej stronie musieli się zatrzymać i poczekać, aż drzwi się zatrzasną. Wtedy otworzyła się przed nimi kolejna brama i wreszcie mogli wejść do sali odwiedzin Starego Maksa.

W pomalowanym na biało i wyłożonym czerwonymi płytkami pomieszczeniu siedziało sześciu strażników. Na lewo od wejścia znajdowały się drzwi prowadzące do cel. Obok mieścił się gabinet naczelnika więzienia, przed którym dwóch strażników czuwało przed rzędem ekranów telewizyjnych. Na wprost był korytarz prowadzący do kafeterii, a po prawej stronie sala odwiedzin. Siedział w niej skuty łańcuchem i kajdanami David Price. Przed wejściem przeżyło się dwóch strażników, którzy spojrzeli na Griffina, kiwnęli głowami, po czym ostentacyjnie odwrócili wzrok.

Czyżby myśleli, że stanowy detektyw znowu zaatakuje Price'a? Czy w ten sposób zamierzali okazać, że nie mają nic przeciwko temu? Wyglądało na to, że wszyscy chodzili wokół Davida na palcach, bez względu na to, czy można mu było cokolwiek udowodnić, czy nie. Nawet przy zaostrzonym rygorze więźniowie przebywali osiem godzin poza celami: jedli, pracowali, przyjmowali gości, łązili po spacerniaku. Innymi słowy, mieli możliwość kontaktu z innymi więźniami i mnóstwo czasu, żeby narobić kłopotów.

To miejsce było dla Price'a naprawdę idealne.

Kapral Charpentier otworzył drzwi. Griffin i Fitz weszli za nim do środka.

W więziennym uniformie koloru khaki David Price nie wyglądał groźnie. Zresztą nigdy tak nie wyglądał. Miał metr siedemdziesiąt wzrostu i sześćdziesiąt kilogramów wagi. Jasnobrązowe włosy, piwne oczy i okrągła, gładka twarz nadawały mu wygląd siedemnastolatka, mimo że stuknęła mu już trzydziestka. Nie był przystojny, ale nie był też brzydki. Miły młody człowiek, tak opisałyby go większość kobiet.

Właśnie w ten sposób wyraziła się Cindy, kiedy złożył im pierwszą sąsiedzką wizytę: „Hej, Griffin, poznaj naszego nowego sąsiada Davida Price'a. Powiedz Dave, co taki miły młody człowiek jak ty robi w takiej okolicy?”

David Price uśmiechał się do niego.

– Dobrze wyglądasz – powiedział. Zdawał się w ogóle nie zauważać Charpentiera i Fitz'a. Ich obecność była dla niego zupełnie nieistotna. Griffin od razu to zrozumiał, oni pewnie też.

David Price wciąż uśmiechał się przyjaźnie. Jak dzieciak uśmiechający się do starszego brata. Właśnie na tym polegał jego urok. Unikał bezpośredniej konfrontacji, zwłaszcza gdy miał do czynienia z silniejszymi od siebie. Udawał uległego pomocnika, oddanego ucznia, dobrego kumpla. Okazywał szacunek, ale nigdy się nie płaszczył. Prawił komplementy, ale zawsze szczere. Na początku człowiek go lekceważył, lecz po jakimś czasie zaczynał lubić jego towarzystwo, chętnie się z nim spotykał, czekał na jego pochwały. I wtedy stosunek sił ulegał zmianie. Aż w końcu nie było już jasne, kto jest mistrzem, a kto pomocnikiem. Tyle że człowiek nigdy się nad tym nie zastanawiał, bo wydawało się, że wciąż robi to, co chce, nawet jeśli nie potrafił sobie przypomnieć, by przedtem tego pragnął.

Mężczyźni lubili Davida – był dla nich idealnym bezkonfliktowym przyjacielem. Kobiety też go lubiły, bo nigdy nie czuły się zagrożone jego towarzystwem. Dzieci również – był dla nich jak dobry wujek.

Powinienem był go zabić, kiedy miałem sposobność, pomyślał Griffin.

– Znalazłeś już kogoś na miejsce Cindy? – zagaił David. – Czy zrezygnowałeś z kobiet? Znalezienie bratniej duszy nie jest takie łatwe.

– Stul pysk – warknął Fitz.

– Opowiedz nam o Sylvii Blaire – powiedział Griffin. Odsunął sobie krzesło, ale nie usiadł.

David przekrzywił głowę. Nie był jeszcze gotowy do przejścia do spraw urzędowych.

– Brakuje mi kolacji w waszym domu, wiesz? Uwielbiałem na was patrzeć. Cindy i Griffin. Griffin i Cindy. Dawaliście mi nadzieję, że w życiu jest coś wartościowego. Mam nadzieję, że kiedyś też się tak zakocham.

– Jak on się nazywa?

– Hej, Griff, nie bądź taki chamski, okej?

– Masz mi podać nazwisko mężczyzny, który zgwałcił i zamordował Sylvie Blaire. – Griffin oparł ręce o stół i pochylił się nad Price'em, marszcząc brwi.

David po prostu się uśmiechnął i potrząsnął kajdanami.

– Nie ma powodu przechodzić do rękoczynów, Griff. Jestem bezbronny. Nie widzisz? – Posłał Griffinowi kolejny słodki uśmiech.

– Dawaj to nazwisko! – huknął Griffin.

Zamiast odpowiedzieć, David spojrzał na Fitz.

– Nie wyglądasz mi na gościa, który umie się postawić dla dobra kumpla – oświadczył chłodno. – Mike Waters to co innego. Skoczył do przodu i przyjął cios. A twój kumpel Griff naprawdę umie nieźle wałnąć. Widziałeś głowę Mike'a po tym laniu? – David gwizdnął z uznaniem. – Można by pomyśleć, że facet odbył dziesięciurundowy pojedynek z Tysonem. Podejrzewam, że musiał przejść gruntowną operację plastyczną. Pewnie z pieniędzy podatników. Warto, żebyś o tym pamiętał, detektywie. Przydałaby ci się interwencja wprawnego chirurga. A przynajmniej liposukcja tu i tam. O, i jeszcze tam. Przyznaj się! Jaka jest twoja ulubiona potrawa? Chyba nie frytki, co?

– Dawaj to pierdolone nazwisko – warknął Fitz.

David westchnął z ubolewaniem. Samcze porykiwania zawsze go nudziły. Zwrócił się znowu do Griffina.

– Myślałem, że przynajmniej raz mi odpiszesz.

– Gadaj, co wiesz – powiedział półszepem Griffin. – Obaj wiemy, że bez tego nie ma zabawy.

– Dostałeś moje listy?

Griffin nie odpowiedział. Wcześniej powinien był przyjąć tę taktykę. David potrzebował udziału rozmówcy, bez tego nie mógł nim manipulować. A bez manipulacji nie ma zabawy.

– Wiesz, w więzieniu nie jest nawet tak źle – powiedział David, zmieniając strategię. – Żarcie jest całkiem niezłe. Zdaje się, że władze uznały, że zwierzęta w zoo trzeba dobrze żywić, żeby się na siebie nie rzucały. Poza tym odnalazłem wewnętrzny spokój w ćwiczeniach jogi. I wiesz co, nigdy byś nie zgadł! Okazuje się, że mam prawdziwy talent do stolarstwa. Kiedyś zrobię ci stół, Griff. Z inicjałami wyrytymi na nóżkach. Ze względu na dawne czasy. Jakie chcesz wymiary?

Fitz otworzył usta. Griffin zgromił go wzrokiem. Detektyw zmarszczył brwi, ale się nie odezwał.

– Oooo, jak tresowana foka – zauważył David. Uśmiechnął się radośnie. Znowu miał widownię.

– Kto zgwałcił i zamordował Sylvie Blaire? – zapytał spokojnym głosem Griffin.

– Eddie Como.

– Jak się spotkaliście?

– Nigdy nie spotkałem Eddiego. Przecież w kółko to powtarzam. Ale znam faceta, który siedział z nim w celi, Jimmy’ego Woodsa. Spędziliśmy razem sporo czasu.

– Nie bajeruj mnie, Davidzie. Powiedz, kto jest prawdziwym Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego. Który z was wpadł na pomysł z płynem do higieny intymnej?

Po raz pierwszy udało mu się zbić Price’a z tropu. Po chwili jednak David znowu się uśmiechnął.

– Widzę, że ta sprawa przypadła ci do gustu, co? Jest skomplikowana. Chytrze obmyślona. Zawsze umiałeś to docenić. Jak myślisz, która z kobiet wynajęła mordercę Eddiego Como? A może to ktoś z rodziny? Osobiście stawiam na tę opanowaną. Jakże się ona nazywa? A, tak! Jillian Hayes.

– Masz dokładnie dziesięć sekund na powiedzenie czegoś ważnego. Inaczej stąd wychodzimy. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...

– Wiem, kto jest prawdziwym gwałcicielem. Griffin wzruszył ramionami.

– Nie wierzę. Pięć, cztery, trzy...

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko, człowieku. Terapia niczego cię nie nauczyła? Zwolnij. Uspokój się. To nie był mój pomysł. Facet sam się do mnie zgłosił.

– Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego przyszedł do ciebie?

– Jasne.

Griffin już wiedział, że Price kłamie.

– Po co?

– Bo ja wiem? Może ze względu na moją reputację. A może po prostu chciał z kimś pogadać. Nie potrafię czytać facetowi w myślach. Ale przyszedł do mnie i pogadaliśmy trochę o tym i o owym.

– O tym, jak popełnić przestępstwo?

– Obaj się tym interesujemy.

– Jak wykiwać policję?

David Price uśmiechnął się szeroko.

– O, tak. Tym też obaj się interesujemy.

– Gratuluję, Price – odezwał się Fitz. – Właśnie przyznałeś się do współdziałania w trzech gwałtach i dwóch morderstwach. Teraz musisz wyśpiewać całą prawdę, żeby ocalić własny tyłek.

David obrzucił Fitz’a pogardliwym spojrzeniem.

– A przed czym niby mam ratować swój tyłek? Przed dożywociem, które i tak już odsiaduję? Hej, koleś, co jest? Nie wiesz, kim jestem? Jestem tym facetem, który zaczepiał dzieci na placach zabaw. Dawałem im trochę cukierków, bujałem na huśtawkach. A potem zabierałem do domu, do piwnicy, gdzie ściągałem ich urocze ubranka i...

– Wciąż nie powiedziałeś nic nowego – oświadczył Griffin. – Trzy, dwa, jeden...

– Wpuszcza spermę Como do płynu do higieny intymnej.

– Nie chrzań. Sam ci to powiedziałem.

– To był mój pomysł – oświadczył z powagą Price. – Z DNA zawsze jest kłopot. Właśnie dlatego zakopywałem moje dzieci. Żeby natura zrobiła swoje. Ale później przyszła mi do głowy genialna myśl. DNA lubi się wszędzie wdzierać... Więc po co z tym walczyć? Po co je ukrywać? Lepiej wprowadzić je do gry, wykorzystać.

Griffin wyprostował się.

– Dzięki, że powtórzyłeś mi moją własną teorię. Jesteś dupkiem. Zawsze nim byłeś i na zawsze nim pozostaniesz. Żegnam.

Odwrócił się na pięcie.

– Gwałcieł znał Eddiego Como – zawołał za jego plecami Price. – Eddie prawdopodobnie nawet tego nie pamiętał. Ale rozmawiali ze sobą. Pewnie nie więcej niż dziesięć minut, ale to wystarczyło, żeby biedny głupi Eddie powiedział mu, że pracuje w punkcie krwiodawstwa. Potem, drogi przyjacielu, jego los był już przesądzony.

Griffin odwrócił się powoli.

– Śledził Eddiego?

– Po prostu odrobił pracę domową.

– I co? Wykrał mu zużyte kondomy ze śmietnika?

David uśmiechnął się przebiegle.

– Nie odpowiem na to pytanie. Ale to kluczowa kwestia, prawda? Jak ukraść komuś spermę? W końcu to nie portfel, prawda?

– Nie wierzę.

– W co? W to, że pomogłem komuś zaplanować gwałty na dziewczynach z college'u? Czy w to, że potrafisz nas powstrzymać? Masz seryjnego gwałciela, który hasa na wolności, Griffin. Kogoś, kto wygląda jak Eddie Como, ma głos Eddiego Como i DNA Eddiego Como. Słowem, nie masz zielonego pojęcia, kim jest ten facet! Więc lepiej siadaj i słuchaj. Bo tak się składa, że znam jego nazwisko. A to oznacza, że zrobicie wszystko, o co was poproszę. Bo inaczej zobaczycie mnie w popołudniowych wiadomościach. Tak, tak, Griffin. Jeżeli nie dostanę tego, czego chcę, cały stan dowie się, że pewien policjant, który o mało nie zabił mnie przy aresztowaniu, teraz odmówił współpracy z człowiekiem, który ma do przekazania informacje niezbędne do schwytania mordercy i gwałciela słodkich niewinnych dziewcząt. I co ty na to?

Griffin podszedł wolno do Price'a. Oddychał głęboko, podpowiadał mu rozsądek. Ale całe ciało buntowało się przeciwko temu. Dłonie zacisnęły mu się w pięści, mięśnie napięły, a oczy błysnęły złowrogo. Powinien był zatłuc Davida. Powinien był powalić własnych kumpli, a potem skrócić Price'owi kark.

– Nie wyjdiesz z więzienia – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Bez względu na to, co powiesz albo zrobisz.

– Niewinne kobiety umierają...

– Dziesięcioro dzieci już nie żyje!

– Mogę ci zagwarantować kolejną ofiarę. Dzisiaj wieczorem.

– A ja mogę ci zagwarantować przeniesienie do izolatki. Koniec stolarstwa, jogi i jedzenia w stołówce. Do końca życia będziesz gnął samotnie w ciasnej celi.

– Chcesz mnie ukarać, sierzancie, czy zapobiec następnym gwałtom na słodkich młodych brunetkach? Przemyśl to sobie, nim odpowiesz. Rodzice przyszłych ofiar Gwałciela z Miasteczka Uniwersyteckiego z zapartym tchem oczekują twojej odpowiedzi.

– Ty skurwielu... – warknął Fitz.

David przerwał mu niecierpliwie.

– Chcę stąd wyjść o szóstej – powiedział chłodno. – Na trzy godziny w cywilnym ubraniu. Możecie mnie skuć kajdankami i nadzorować. Taka jest umowa.

– Nie.

– Obawiam się, że tak. Inaczej skontaktuję się z mediami. Ten sam detektyw, który próbował rozwalić mi łeb półtora roku temu, teraz nie chce pomóc biednym młodym dziewczynom. Pomyśl o tym. Jeśli nie ubijesz ze mną targu, zginie kolejna kobieta, a prasa pożre cię na kolację.

– David zerknął na ścienny zegar. – Jest dziesiąta. W południe chcę znać twoją odpowiedź.

– Nie negocjujemy z pedofilami.

– Nie rozśmieszaj mnie, proszę. Negocjujecie z każdym, kto ma to, czego potrzebujecie. A teraz zapytaj mnie o to, Griffin. No, śmiało, pytaj. – Wychylił się do przodu i spojrzał Griffinowi głęboko w oczy.

– Nie skrzywdziłeś jej – powiedział nagle Griffin.

Price zamrugął ze zdziwienia oczami.

– Tak ci się tylko wydaje. Ale to nieprawda. Cindy była lepsza od ciebie, Davidzie. Lepsza ode mnie.

– Zadaj to pierdolone pytanie! – warknął David.

– Po co ci trzygodzinna przepustka?

David w końcu oparł się o tył krzesła. Po raz pierwszy od momentu, gdy zaczęło się przesłuchanie, wyglądał na naprawdę zadowolonego. Spojrzał najpierw na Fitzę, potem na Charpentiera, w końcu na Griffina.

– Chcę się zobaczyć z córką. Bez więziennych łańców i pokojów odwiedzin. Tylko ja i ona, twarzą w twarz. To prawdopodobnie jedyna okazja, kiedy będę mógł ją zobaczyć, więc zależy mi, żeby spotkanie wypadło jak najlepiej. Nie ma się co oszukiwać, dziadkowie nigdy nie przyprowadzą jej do więzienia.

– Jej dziadkowie?

– Tom i Laurie Pesaturo. Co jest? Meg nic wam nie powiedziała? Molly Pesaturo to moje dziecko. Widzisz, Griff, nie zabijałem wszystkich dziewczynek. Niektórym pozwoliłem się rozmnożyć.

Pięć minut później Griffin, Fitz i Charpentier byli z powrotem na parkingu.

– Price nie może wyjść – oznajmił Griffin. – Ani dzisiaj o szóstej, ani nigdy. Ani na trzy, ani na cztery godziny. Skurwysyn ma siedzieć w więzieniu. Koniec, kropka! – wrzasnął, wymachując dziko rękoma. Znowu drgała mu lewa noga, a w uszach dzwoniło tak głośno, że prawie nie słyszał własnych słów. Ale co tam, pierdolić! Równie dobrze może dostać teraz świra. To jedyna zdrowa reakcja na typa w rodzaju Davida Price'a. – Będziemy potrzebowali nazwisk. Mnóstwa nazwisk – zwrócił się do Charpentiera. – Chcę znać nazwiska wszystkich więźniów, którzy mogli mieć jakikolwiek kontakt z Price'em. Chcę znać nazwiska ich rodzin, przyjaciół i znajomych, zwłaszcza tych z kryminalną przeszłością. Poza tym chcę listę wszystkich więźniów, którzy ostatnio wyszli na wolność. Zrozumiano?

– To może trochę potrwać – oznajmił ponuro Charpentier.

– Masz dwie godziny. Zapędź do tego wszystkich ludzi, jakich masz.

Charpentier pokiwał głową. Wsiadł do samochodu i pojechał do swojego zatęchłego podziemnego biura. Na parkingu zostali tylko Griffin i Fitz.

– Skurwiel nie wyjdzie z pierdła nawet na sekundę – jeszcze raz zapewnił Griffin.

– Rozwiążemy tę sprawę.

– Skurwiel nie wyjdzie.

– To znajdź gwałciciela!

– A znajcę, do kurwy nędzy, znajcę! – warknął wściekle Griffin, po czym otworzył drzwiczki. – On ma jakiś plan.

– Nie zalewaj.

– Przemysłał wszystko. Wprowadził w ruch. Nie daj się oszukać tej gładkiej gębie. Skurwiel ma w dupie spotkanie z córką. Chodzi mu o coś innego.

– Tak sądzisz?

– Nie wypuszczę go z pierdła – powtórzył Griffin. – Nie ma mowy. Kiedy wyjeżdżali z parkingu, zobaczyli wóz transmisyjny Kanału Dziesiątego.

MOLLY

Fitz prowadził, Griffin telefonował. Najpierw zadzwonił do Watersa. – Sprawa wygląda tak. Price twierdzi, że zna nazwisko prawdziwego Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego i podaje nam w zamian za zgodę na spotkanie z córeczką, Molly Pesaturo. Mamy dwie godziny na odpowiedź.

– Co?

– Serio. Słuchaj, wciąż jesteś w Cranston?

– W jednym z barów.

– Świetnie. Zdobądź zdjęcie Tawni Clemente. Pieprzyć Eddiego, zacznij rozpytywać o nią.

– O idealną dziewczynę, Tawnię Clemente? Myślisz, że maczała w tym palce?

– Połowa tego, co mówi David, to kłamstwo. Co do jednego trzeba mu jednak przyznać rację: Eddie Como był niewinny. Prawdziwy gwałciciel go wrobił, ale żeby to zrobić, musiał skądś wytrzasnąć nasienie Eddiego. Tawnia wydaje się logiczną podejrzaną.

– Pomogła wrobić ojca swojego dziecka?

– Pomyśl o pięćdziesięciu milionach dolców, Mike. Wystarczy poświęcić życie jednego faceta, żeby nie musieć się o nic martwić do końca życia.

– Skoro tak stawiasz sprawę... – przyznał Waters.

– Pamiętaj, mamy dwie godziny. Miłej zabawy!

Griffin rozłączył się i natychmiast wybrał następny numer. Pół minuty później w słuchawce odezwał się sierżant Napoleon.

– Sierżancie! Dzwonię w imieniu detektywa Fitzpatricka. Detektyw Fitzpatrick prosi pana o wykonanie kilku badań.

– Aha – mruknął Napoleon.

Griffin udał, że go nie usłyszał.

– Detektyw Fitzpatrick dzięki błyskotliwej dedukcji wpadł na to, w jaki sposób DNA Como mogło się znaleźć na miejscu zbrodni. Uważa, że nasienie Eddiego dostało się do ciał ofiar razem z płynem do higieny intymnej. Co pan na to?

Nastąpiła sekunda ciszy. Fitz przewrócił oczami, usłyszawszy przesadne pochlebstwo.

– A niech mnie! – odezwał się w końcu Napoleon. – To ma sens.

– Więc to możliwe?

– Jasne. Wlewasz nasienie do płynu, potrząsasz buteleczką a potem wlewasz zawartość do pochwy. Ślady na pościeli, ciele ofiary i tak dalej będą takie same, jakby to było w przypadku, gdyby płyn został użyty do wypłukania spermy. Oczywiście przy założeniu, że gwałciciel używał prezerwatywy, bo inaczej mielibyśmy również jego DNA.

– Tak. Jesteśmy prawie pewni, że rzeczywiście używał kondoma. Wciąż trzymacie butelkę z tym płynem?

– Wiesz, jacy są miejscy gliniarze. Od czasu do czasu udaje nam się prawidłowo przechować materiał dowodowy.

– Serio? Hm. W takim razie to była tylko plotka. Dobrze. Skoro tak, to przebadaj płyn w środku, okej? Jeżeli znajdziesz DNA, to będziemy mieli pewność...

– Słusznie. Sprawdź to. Dla detektywa Fitzpatricka, rzecz jasna.

– Jeszcze jedno. Powiedziałaś, że nasienie musi być świeże, żeby można je było zbadać na obecność DNA. A gdyby zostało wcześniej zamrożone?

– Jeżeli zostało zamrożone wkrótce po ejakulacji, a potem rozmrożone, to tak – odparł Napoleon. – Banki spermy robią to cały czas. – Po chwili zdał sobie sprawę z konsekwencji tego, co powiedział. – Kurczę. Ciekawa sprawa. W ten sposób martwy facet mógł powrócić do życia.

– Tak – zgodził się ponuro Griffin. – Mógł wrócić zza grobu. Dziękuję, sierżancie. Fitz na pewno się z panem skontaktuje.

Właśnie zamierzał wstukać następny numer, gdy Fitz oznajmił:

– Jesteśmy w Cranston. Do kogo jedziemy najpierw? Do Meg czy do Tawny?

Do Meg – odparł bez wahania Griffin. – Chcę dać Watersowi trochę czasu na zebranie informacji o znajomych panny Clemente. Przy odrobinie szczęścia Mike dostarczy amunicji, którą będziemy ją mogli ostrzelać.

Fitz łypnął na niego.

– Mówiłem ci ostatnio, że cię kocham?

– Nie. Ale za te słowa pozwolę ci zacząć przesłuchanie.

– Uwielbiam tę robotę!

– Mamy dwie godziny, Fitz. Pamiętaj o tym.

Griffin i Fitz zajechali przed dom państwa Pesaturo parę minut przed dziesiątą trzydzieści. Z dwóch godzin zostało im półtorej, a wciąż nie poczynili żadnych postępów. Kiedy zapukali do drzwi, otworzyła im Jillian Hayes.

– Sierżancie – zaczęła.

Nie dał jej czasu na dokończenie. Wpadł do wąskiego przedśionka i pobiegł do salonu. Fitz ruszył za nim.

– Muszę porozmawiać z Meg. Natychmiast!

– Nie ma jej! – zawołała z przedpokoju Jillian.

– A gdzie jest?

Griffin wpadł do salonu. Rodzice Meg siedzieli na sofie. Tom wyglądał na wzburzonego, Laurie mocno obejmowała małą Molly, która miała policzki mokre od łez. Naprzeciwko siedziały Toppi i Libby Hayes. Jedna wielka rodzina. Cholera jasna, właśnie tego teraz z Fitzem potrzebowali.

Griffin odwrócił się do Jillian, bo wydawała się jedyną osobą, która nie straciła mowy.

– Gdzie Meg? – zapytał powtórnie.

– Nie wiemy.

– Zgubiliście ją?

– Ona... Nie wiemy.

Griffin już miał rzucić wulgarnie przekleństwo, lecz spojrzał na Molly i ugryzł się w język. Podeszedł do państwa Pesaturo i skinął głową w kierunku ich wnuczki.

– Wyprowadźcie ją z pokoju – zażądał.

– Naprawdę nie sędzę... – zaczęła Laurie.

– Natychmiast!

Ja ją wyprowadzę – powiedziała Toppi, po czym wstała i podeszła do Molly. Wcześniej jednak zgromiła Griffina wzrokiem. Ten zaś odwzajemnił się pięknym za nadobne. Koniec z przyjaznym i miłym sierżantem Griffinem. Przyjazny sierżant Griffin został ocyganiony,

zrobiony w kompletnego wała. Najwyższa pora, żeby wzbudzić w tych ludziach odrobinę szacunku.

– Jillian – syknął. – Jeśli chcesz zostać w tym pokoju...

– Jestem gościem państwa Pesaturo. Prosimy, żebyśmy przyjechała – odparła z podniesionym czołem.

– Jeżeli chcesz zostać w tym pokoju...

– Pewnie dlatego, że wiedzieli, że się wściekniesz i zaczniesz się zachowywać jak ostatni palant.

– Aresztuję cię za utrudnianie śledztwa.

– Daj spokój – prychnęła. – Wszyscy martwimy się o Meg.

– Jillian, siadaj i zamknij się wreszcie. Państwo Pesaturo muszą mi wiele wyjaśnić i o ile nie jesteś ich adwokatem, nie chcę od ciebie słyszeć ani słowa.

Spojrzała na niego wrogo, ale po chwili usiadła w fotelu obok matki. Już wydawało się, że udało się opanować sytuację, gdy Libby pokazała Griffinowi język. No, na litość boską...

– Ty! – Griffin wytknął palcem Toma, bo nie potrafił krzyżeć, patrząc na bliską łez Laurie.

– Gadaj.

– To było dawno. Nie sądziliśmy, że to może mieć jakieś znaczenie...

– Wasza córka miała dziecko ze znanym pedofilem, a wy myśleliście, że to bez znaczenia?!

– Ale David jest w więzieniu!

– Nie dzięki wam. I nie na długo!

Tom spuścił głowę.

– Przysięgam, sierżancie, że nie mieliśmy pojęcia. Nie pomyśleliśmy, że to może mieć jakiś związek, dopóki pan Fitzpatrick nie zadzwonił... O Boże, Meg...

Griffin i Fitz dali mu chwilę przerwy. Griffin i tak musiał policzyć do dziesięciu. Coraz bardziej dzwoniło mu w uszach. Wiedział, że jeśli teraz spojrzy na ręce, zobaczy, że się trzęsą a jeśli usiądzie, kolano zacznie podskakiwać, jakby było obdarzone własnym życiem. Opanuj się, opanuj. Cokolwiek ci ludzie zrobili, teraz bardzo z tego powodu cierpią. Trzeba zachować spokój.

– Może powinniśmy zacząć od początku – szepnęła Jillian. Wyglądało na to, że już wcześniej została wprowadzona w sytuację. Teraz spoglądała na Toma i Laurie współczująco.

Meg miała tylko trzynaście lat – wymamrotała Laurie. – Nie mieliśmy pojęcia. W ogóle niczego nie podejrzewaliśmy, aż pewnego dnia znalazłam ją leżącą na podłodze w łazience i zalaną łzami. Właśnie zrobiła sobie test ciążowy, który wypadł pozytywnie. Nawet nie wiedzieliśmy, że się z kimś spotykała.

– W jaki sposób Meg poznała Price'a? – zapytał Fitz.

Griffin popatrzył na Toma, chociaż znał już odpowiedź. Jego były sąsiad był elektrykiem...

– Poznaliśmy się w pracy – odparł Tom. – To był taki miły chłopak. Tak właśnie wtedy o nim myślałem. Miły chłopak. I świetnie pracował. Pewnego dnia wspomnieliśmy, że nie ma żadnej rodziny. Rodzice umarli, nie pamiętam dlaczego. Zrobiło mi się go żal. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Więc zacząłem go zapraszać na kolacje do domu.

– Zawsze był taki uprzejmy – dodała cicho Laurie. – Zawsze mówił „dziękuję”, „proszę”, nawet pomagał mi zmywać. – Wreszcie podniosła głowę. – Wiedziałam, że Meg się w nim durzy. David był przystojnym młodym mężczyzną, a w wieku trzynastu lat zaczyna się

dostrzegać takie rzeczy. Ale uznałam, że to nie poważnego, każda z nas w tym wieku podkochiwała się w nauczycielu albo chłopcu ze sklepu. Była taka młoda. Nigdy nie przyszło mi do głowy...

– Nigdy nie widzieliście ich razem? – zapytał Fitz.

Pokręcili głowami.

– Nigdy – odparł Tom. – Wymykała się w nocy z domu. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogła coś takiego wymyślić. Pewnie on jej to zasugerował. Zawsze była taka grzeczna. Miała dobre stopnie. O, Meg...

– Więc dowiedzieliście się, że jest w ciąży – powiedział Griffin. – Przyznała się, kto był ojcem?

– Była zrozpaczona – odparła Laurie. – Wszystko nam opowiedziała.

– Doszło do konfrontacji między wami a Davidem?

Tom wykonał niezgrabny ruch barkiem, który wystarczyłby Griffin zrozumiał, iż doszło do konfrontacji, chociaż nie padło wtedy zbyt wiele słów. Pięści Toma i twarz Davida spędziły jednak razem trochę czasu. Griffin doskonale to rozumiał.

– Jeżeli Meg miała tylko trzynaście lat – zauważył Fitz – to w świetle prawa została zgwałcona. Dlaczego nie zgłosiliście tego policji?

Tom i Laurie spojrzeli na siebie z zażenowaniem.

– Wstydziliśmy się – wyznała Laurie. – Meg była upokorzona, przerażona, zagubiona, a do tego miała złamane serce. Wydawało jej się, że David naprawdę ją kochał. Twierdziła, że nawet prosił ją o rękę... – Wzięła głęboki oddech. – To wszystko wydawało się jakąś okropną pomyłką.

Okazaliśmy się za mało spostrzegawczy. Meg podjęła fatalną decyzję. Zgłoszenie się na policję jeszcze pogorszyłoby sprawę. Musi pan zrozumieć, że nie wiedzieliśmy wtedy, że David zrobił wcześniej coś podobnego. Nigdy nie przyszłoby nam to do głowy. Uwiedzenie trzynastoletniej dziewczynki nie jest w porządku, ale mimo to... Nigdy nie przypuszczaliśmy, że może się posunąć do czegoś gorszego. Musi nam pan uwierzyć, sierzancie.

– Zatuszowaliście całą sprawę – odrzekł z wyrzutem Griffin. Laurie chciała przebaczenia? Niech prosi o nie dziesięć rodzin, którym David odebrał dzieci!

– Mam krewnych – wyszeptała pani Pesaturo. – W Nowym Jorku. Wysłaliśmy tam Meg na okres ciąży. Zaczęłam rozpowiadać, że spodziewam się dziecka, a kiedy urodziła się Molly, miałam... mieliśmy śliczną córeczkę. Kochamy ją, sierzancie. – Spojrzała na Griffina. – Okoliczności były okropne, ale Molly jest wspaniała. Jestem dumna, że mogę mieć taką córkę. I nazywam ją tak od tak dawna, że czuję, jakby naprawdę była moim dzieckiem. Zrobiłabym wszystko, żeby ją ochronić.

– Price chce się z nią zobaczyć – oświadczył Griffin.

– Nie!

– Ma informacje na temat Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego. Szczerze mówiąc, mamy podstawy, by sądzić, że w istotny sposób przyczynił się do organizacji jego przestępstw...

– Ale Eddie Como nie żyje – powiedziała Jillian. Griffin obrócił się i obdarzył ją ponurym spojrzeniem.

– Tak, ale to nie on zgwałcił i zamordował twoją siostrę.

Zaległa cisza. Nawet dłonie Libby spoczywały nieruchomo na książeczce z obrazkami. Jak przyjąć coś takiego do wiadomości, co powiedzieć? Griffin i Fitz mieli więcej czasu, lecz wciąż

nie potrafili się z tym oswoić.

– DNA, które znaleźliśmy na ciele i pościeli Sylvii Blaire, to DNA Eddiego – powiedział w końcu Fitz.

– Co?! – krzyknęła Jillian z przerażeniem. – Przecież to niemożliwe!

– Podejrzewamy, że DNA Eddiego zostało podrzucone na miejsca przestępstwa w celu zmylenia tropu. Płyn do higieny intymnej był stosowany nie po to, żeby wymyć nasienie z ciał ofiar, ale wręcz przeciwnie: żeby je zostawić – Fitz zawiesił na chwilę głos, po czym dodał: – Co tłumaczyłoby, dlaczego Eddie tak chętnie zgodził się oddać swoje DNA do przebadania. Biedny facet rzeczywiście wierzył, że nic mu nie grozi.

– Ale listy, telefony – nie dawała za wygraną Jillian. – Terroryzował nas!

– Przekonywał tylko, że jest niewinny – zauważył Griffin. – Nie postąpiłabyś podobnie, gdybyś siedziała w więzieniu oskarżona o serię zbrodni, których nie popełniłaś?

– A nagranie wideo? To była naprawdę groźba! – powiedziała z przekonaniem. – I ten list do Carol! Całe to gadanie o zemście zza grobu. Co to niby miało znaczyć?

– Jesteś pewna, że ostatnie przesyłki pochodziły od Eddiego?

– No cóż... – Zmarszczyła brwi. – To on siedział przed kamerą.

– Dostałaś plik wideo z nagraniem twarzy faceta, który na okrągło pojawiał się w telewizji – zauważył Griffin.

– Czyli to mógł być montaż – szepnęła Jillian, zamykając oczy.

– Właśnie. Muszę się przyznać, że kiedy pierwszy raz usłyszałem o tym nagraniu, od razu pomyślałem o Davidzie. To było w jego stylu.

– O, mój Boże! – Jillian schowała twarz w dłoniach. – Biedny Eddie Como. Biedny człowiek...

– Nie rozumiem – odezwał się Tom Pesaturo. – Mówi pan, że to wszystko była robota kogoś innego?

– Tak właśnie myślimy.

– To kto to, do cholery jasnej, jest?

– Gdybyśmy to wiedzieli, panie Pesaturo, nie byłibyśmy tutaj.

– A David Price pomaga temu facetowi?

– Na to wygląda.

– Ale po co?

– Żeby wydostać się z więzienia, panie Pesaturo. Żeby wrócić do świata, w którym może gwałcić i mordować małe dzieci. A jak pan myśli?

– Nie! – wykrzyknęła nagle Laurie. – Nie możecie na to pozwolić! Nie możecie!

Griffin wzruszył ramionami.

– Price twierdzi, że musimy – rzekł. – Na wolności przebywa niezwykle groźny gwałciciel, który dla wszystkich jest Eddiem Como. Nie mamy jego odcisków, nie mamy jego DNA, nie mamy nawet jego rysopisu. A według Davida Price'a prawdziwy Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego zabije dzisiaj wieczorem kolejną dziewczynę, jeśli nie zgodzimy się wypuścić go na trzy godziny z więzienia i nie pozwolimy mu na spotkanie z państwem wnuczką. – Zwrócił się do Toma. – Na litość boską, panie Pesaturo, dlaczego nie poprosił pan Vinniego o zabicie tego sukinsyna przy pierwszej okazji? Ten człowiek uwiódł i zapłodnił pańską trzynastoletnią córkę. Uznał pan, że to za mało?

– Nie wiedzieliśmy – jęknął Tom. – A Meg była taka zagubiona. Wydawało jej się, że naprawdę go kocha. Bałem się, co może zrobić, gdyby nagle zniknął. A potem, kiedy został aresztowany... kiedy wszyscy dowiedzieliśmy się, jaki był naprawdę... Meg zamknęła się w pokoju i całymi dniami płakała. Nie mogła jeść, nie mogła spać, miała okropne koszmary. Chcieliśmy tylko, żeby z tego wyszła. Więc przysięgliśmy, że już nigdy o nim nie wspomnimy. Że będziemy udawać, że nic się nie stało. W końcu Price siedział w więzieniu, gazety pisały, że nigdy nie wyjdzie na wolność...

– Zaczęliśmy żyć w kłamstwie – dodała Laurie. – W naszym fikcyjnym świecie człowiek o nazwisku Price nigdy nie istniał. Była tylko Molly, nasza mała córeczka. Tak było łatwiej...

– No cóż, witamy z powrotem w prawdziwym świecie, pani Pesaturo. Istnieje w nim potwór o nazwisku Price, który pewnie współpracuje z seryjnym gwałcicielem. Jak pani myśli, dlaczego Meg była pierwszą ofiarą Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego?

Tom jęknął żałośnie.

– David chciał zemsty – wykrztusił. – Po tym, co zrobił Meg, pragnął jeszcze zemsty...

– Tak, panie Pesaturo. A na ile znam Price'a, dopiero zaczyna się rozkręcać.

JILLIAN

Griffin i Fitz poszli na górę, żeby przeszukać pokój Meg. Tom i Laurie wciąż siedzieli w salonie, wstrząśnięci.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała z przekonaniem Jillian. – Policja jest już na właściwym tropie. Wszystko będzie w porządku.

– Meg... – wyszeptała Laurie.

– Znajdziemy ją. Pewnie wyszła tylko na chwilę, może poszła coś zjeść na mieście. – Ale to nie było w stylu Meg i Jillian zdawała sobie z tego sprawę. Grzeczna Meg zawsze mówiła rodzicom, dokąd idzie. Ostrożna Meg wołała nie być sama.

– Nie możemy pozwolić, żeby zobaczył się z Molly – mruknął Tom. – Nie możemy.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła Jillian i zwróciła się do matki. – Libby, może pokażesz Tomowi zdjęcia z czasów, kiedy śpiewałaś. Muszę iść na górę i porozmawiać z sierżantem Griffinem.

Matka stuknęła palcem w książeczkę niczym żołnierz salutujący przed szturmem. Wyraz jej twarzy sprawił, że Jillian poczuła klucie w piersi. Uśmiechnęła się do Libby i ścisnęła jej dłoń, próbując dodać jej odwagi. Zabawne, jak w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zbliżyły się do siebie. Zabawne, jak dokładnie w tym samym czasie sierżant Griffin oddalił się od niej.

Wydawało się, że ledwo powstrzymuje wybuch gniewu. Pomyślała, że gdyby stanął naprzeciwko worka treningowego, rozniósłby go na strzępy, które potem jeszcze rozdeptałby z furją.

Powiedział, że próbował zabić Price'a podczas aresztowania. Odciągnęło go wtedy dwóch detektywów. Widząc go teraz, Jillian dziwiła się, że okazali tyle odwagi. Zastanawiała się, jak wyglądali pięć minut po starciu.

Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i weszła na schody.

Najpierw usłyszała głos Fitz'a. Był chyba w pokoju u Molly i pytał o coś Toppi. Jillian minęła tamte drzwi i weszła do sypialni Meg, gdzie znalazła Griffina, który stał przy małym, pomalowanym na biało biurku. Jego szerokie bary wypełniały całe okno, blokując dostęp światła.

Jillian stanęła w drzwiach i chrząknęła znacząco.

Griffin odwrócił się powoli; trzymał w rękach kalendarzyk Meg.

– To oficjalne policyjne dochodzenie, proszę pani. Proszę opuścić pokój.

– Nie jestem w pokoju.

– Jillian – warknął.

– Griffin – odparła i podeszła do niego. Była teraz tak blisko, że widziała, jak trzęsą mu się ręce. Jego błękitne oczy stały się prawie czarne, a szczęki zaciskały się.

– Chcieli chronić swoją rodzinę – wyszeptała łagodnie. – Laurie i Tom nie zamierzali nikogo skrzywdzić.

– Powiedz to dziesięciu innym rodzinom. Powiedz to matkom i ojcom, którzy musieli rozpoznać ciała swoich dzieci z ekranu telewizora, bo szczątki ich pociech wyglądały tak makabrycznie, że nawet doświadczonemu koronerowi robiło się słabo, gdy na nie patrzył.

– Oni nie mieli pojęcia, Griffin. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Czy dlatego tak się złościsz? Bo ich pomyłka przypomina ci o twojej własnej?

Warknął na nią. Zupełnie jakby nie był człowiekiem, ale wściekłym, dzikim zwierzęciem. Lecz w głębi tej złości dostrzegła ból. To dało jej odwagę, by wyciągnąć rękę i położyć ją łagodnie na jego piersi.

– Teraz jest inaczej. Teraz na pewno ci się uda.

– Skąd wiesz? Nigdy nie spotkałaś Price’a. Nie wiesz, jak uwielbia bawić się w kotka i myszkę. Bo to dla niego tylko tyle: dobra zabawa. Gra, która pozwala mu się rozerwać, dopóki nie wydobędzie się z więzienia. A to, obawiam się, nastąpi dzisiaj o szóstej, o ile jakimś cudownym sposobem nie uda nam się rozwiązać tej sprawy.

Jillian milczała.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – W jego głosie zabrzmiała wrogość. – Ty i ten twój Klub Ocalonych. Powinnyście zmienić nazwę na Klub Kłamstwa. Każda coś ukrywa, a tymczasem giną ludzie, bo nie chcecie powiedzieć policji, co naprawdę wiecie.

Wciąż milczała.

– Co ty wiesz o Meg? Według rodziców była kiedyś zakochana w wielokrotnym mordercy. Skąd możesz wiedzieć, że wciąż go nie kocha? Nie przyszło ci to do głowy? Gwałt na niej był najmniej brutalny. Gwałciciel nawet jej zbyt nie posiniaczył. Uważałyście, że miała szczęście, ale może od początku współpracowała z Price’em. Może gwałt został zainscenizowany. Tak samo jak amnezja. Może wciąż współpracują, a mała Meg właśnie w tej chwili pomaga swojemu kochasiowi.

– Nie.

– Nie? Na pewno?

– Jestem absolutnie pewna, że nie.

– Dlaczego, Jillian? Nagle odzyskałaś wiarę w ludzi?

– Tak – odparła stanowczo. Griffin zamknął oczy.

– Do kurwy nędzy – warknął.

– Wiem – szepnęła. – Wiem. Ona cię potrzebuje, Griffin. Nie wiem, gdzie jest, ale na pewno nie pomaga Davidowi Price’owi. Nie jest w zмовie z Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego. Jest tylko dziewczyną, której przydarzyły się w życiu dwa wielkie nieszczęścia. Najpierw uwiódł ją pedofil, a potem została zgwałcona. Gwałt na niej był najmniej brutalny, ale sam dobrze wiesz, że to częste przy pierwszym ataku. Gwałcicielowi poszło z Meg tak świetnie, że potem nawet nie próbował się hamować. No i teraz nareszcie jej całkowita amnezja nabiera sensu. Jak mogła pamiętać prawdę, skoro ostatnie lata jej życia były kłamstwem? Jej siostra jest tak naprawdę jej córką, pierwszy kochanek jest zbrojnym mordercą, a rodzice są także dziadkami. Na litość boską, nawet mnie trudno przyjąć do wiadomości coś takiego.

Griffin otworzył oczy i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Naprawdę tak bardzo ci na niej zależy, Jillian?

– Tak – odparła szczerze. – Naprawdę.

Odłożył kalendarzyk na biurko i przez chwilę wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w biały blat. Znowu myślał o Davidzie. O czasach, kiedy się jeszcze przyjaźnili. Kiedyś naprawdę lubił Price’a. Może także miał do niego zaufanie.

– Jak się czuje Carol? – zapytał nagle.

– Dzisiaj rano odłączyli ją od respiratora. Wygląda na to, że jej ciało zaczyna powracać do życia. Oczywiście jeszcze nie wiadomo, czy do końca wyzdrowieje.

– Nie odzyskała jeszcze przytomności?

– Nie.

– A co z Danem?

– Pielęgniarka powiedziała mi, że ani na chwilę nie odstępowała łóżka Carol.

– Bo nie może – mruknął Griffin. – Gdyby wyszedł ze szpitala, kumple wujka Vinniego połamali mu gnaty.

– Rozmawiałam z Vinniem na ten temat. Griffin spojrzał na nią zdziwiony.

– Próbujesz zbawić świat, Jillian?

– Staram się ochraniać bliskich – odparła. – Słyszałam wprawdzie z wiarygodnego źródła, że nie zawsze się to udaje, ale uznałam, że mimo wszystko warto spróbować. Poza tym Libby mnie o to prosiła.

– Spłaciłaś dług Dana? Na prośbę matki?

– Nie. Przekonałam Vinniego, że mama poczytałaby sobie za wielką przysługę, gdyby anulował resztę długu. Libby uśmiechnęła się do niego i to wystarczyło. Potem z kolei we własnym imieniu poprosiłam, żeby Dan już nigdy nie miał możliwości pożyczyć ani centa na hazard. Vinnie uznał, że to okrutne, więc naturalnie się zgodził. – Zawahała się. – Griffin...

Spojrzał na nią wyczekująco. Wzięła głęboki oddech.

– Wiem, że nikt nie chce tego powiedzieć, ale... Może negocjacje z Price'em to najlepsze wyjście.

– Wykluczone!

– Proszę! Wysłuchaj mnie. Sam przyznałeś, że Price wie, kim jest prawdziwy gwałciciel. Jesteś tego pewien?

– Facet jest notorycznym kłamcą i krętaczem. Więc nie, nie jestem pewien.

– Ale traktujesz jego słowa poważnie.

– David wiedział o DNA – odparł Griffin. – Wiedział, że kiedy zrobimy badania próbek pobranych z mieszkania Sylvii Blaire, okaże się, że to DNA Eddiego. Jest jeszcze sprawa Meg. Wątpię, żeby wybór pierwszej ofiary był czystym zbiegiem okoliczności. No i jestem ja, detektyw, który aresztował Price'a, a teraz prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa domniemanego Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego... A niech mnie! Zabójstwo na terenie sądu stanowego. Cholera jasna, właśnie zrozumiałem, dlaczego Eddie Como musiał zginąć.

– Dlaczego?

– Żebym to właśnie ja poprowadził śledztwo. Sąd znajduje się pod jurysdykcją policji stanowej. – Uśmiechnął się gorzko. – David przysłał mi bardzo krwawe zaproszenie do gry.

Jillian zamknęła oczy. Boże, jeszcze nigdy nie słyszała o człowieku, który byłby tak zły jak David Price. Dlatego bolało ją to, co musiała powiedzieć. Otworzyła oczy i spojrzała na Griffina.

– David Price musiał maczać w tym palce. A skoro zna nazwisko Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego... Griffin, wiem, że nie chcesz się z nim układać. Sama boję się posyłać Molly na spotkanie z tym człowiekiem, ale, jak powiedziałaś, umierają ludzie. A jeżeli wciąż nie znasz nazwiska gwałciciela... David żąda tylko trzech godzin – wyszeptała. – Na pewno uratowanie komuś życia warte jest tego, by wypuścić Price'a na trzy godziny z więzienia. Czy nie mógłbyś

przynajmniej wziąć takiej możliwości pod uwagę?

Twarz Griffina nie była już purpurowa. Teraz zrobiła się niebezpiecznie blada.

– Prasa na pewno się z tobą zgodzi – zauważył chłodno.

– Prasa nie zawsze się myli.

– Ludzie zaczną dzwonić do burmistrza, burmistrz zadzwoni do gubernatora, gubernator zadzwoni do naczelnika więzienia i David Price dostanie to, czego chce.

– Ale złapiesz gwałciiciela!

Naprawdę tak sądzisz, Jillian? Skąd możemy mieć pewność, że człowiek wskazany przez Price'a jest tym, którego szukamy? Poza tym, nawet jeśli Price wskaże prawdziwego gwałciiciela, to jak zbierzemy dowody przeciwko niemu? Nie mamy żadnych odcisków, żadnych włókien i żadnej próbki DNA. Moglibyśmy go aresztować, ale następnego dnia musielibyśmy go wypuścić.

– D'Amato jest dobrym prokuratorem. Na pewno wymyśli jakieś oskarżenie, żeby zyskać trochę czasu. A wam uda się znaleźć jakieś dowody. Takie rzeczy już się zdarzały.

– Na przykład wtedy, gdy policja miejska aresztowała niewinnego człowieka?

Na chwilę straciła pewność siebie. Biedny Eddie Como. Jeszcze nie zdążyła w pełni przyjąć do wiadomości, że był niewinny. Jej świadomość wzbraniała się przed tym. Ponowiła próbę:

– Aresztowanie spowoduje, że przynajmniej ruszymy z miejsca.

– Oferta Price'a jest bezwartościowa – przekonywał Griffin. – Właśnie w tym jest najlepszy. Daje ci nędzne ochłapy i każe wierzyć, że to najprzedniejsze mięso. Spójrz prawdzie w oczy, Jillian. To przestępca na miarę naszych czasów. Potrafi wykorzystać media do swoich celów.

– Te wszystkie biedne dziewczyny...

Griffin milczał. Pomyślała, że może w końcu udało jej się do niego dotrzeć. Ale wtedy się odezwał:

– Coś ci powiem, Jillian. Mało kto o tym wie. Powiem ci, ale musisz obiecać, że nigdy o tym nie wspomnisz. Zgoda?

Jillian przeszedł dreszcz. Miała wrażenie, że powinna powiedzieć „nie”. Że właśnie tak musi się czuć osoba, której diabeł zaproponował podpisanie cyrografu. Pokiwała bezsilnie głową.

– Półtora roku temu, kiedy aresztowałem Price'a, zszedłem do jego piwnicy. Zobaczyłem dziesięć kopczyków usypanych na ciałach zamordowanych dzieci. Zobaczyłem materac, na którym je gwałcił, i narzędzia, którymi je torturował. Ale mimo to nie rzuciłem się na niego. Kazałem go skuć. Zadzwoiłem do koronera i zespołu technicznego. Zachowałem się jak profesjonalista. To było ważne aresztowanie w bardzo ważnej sprawie. I wszyscy traktowaliśmy śledztwo bardzo poważnie. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – I wtedy Price zaczął mówić. Stał w kajdankach między Watersem i O'Reillym i opowiadał, jak podchodził do dzieci, jak je porywał, co z nimi wyprawiał. Trudno było to znieść. Wszyscy byliśmy doświadczonymi policjantami, ale to, co mówił, było porażające. Oczywiście tym samym przyznawał się otwarcie do winy, co mogło się potem przydać, więc słuchaliśmy, Waters nawet zaczął go nagrywać. Wtedy Price zmienił temat. Zaczął mówić o Cindy.

Umilkł na moment. Jillian patrzyła mu w oczy.

– W ostatnich dwóch tygodniach jej życia – podjął Griffin – było już jasne, że nie wyzdrowieje. Rak doszczętnie przeżarł jej ciało. Nie mogła mówić, nie mogła usiąść, nie mogła nawet unieść ręki. Tak jak się wcześniej umówiliśmy, zabrałem ją z powrotem do domu, kupiłem

specjalne łóżko, które ustawiłem w salonie, i wynająłem pielęgniarkę z hospicjum. Cindy była jeszcze w stanie mrugać oczami i dzięki temu mogliśmy się porozumiewać. Zadawałem jej pytania, a ona mrugała raz, co znaczyło „tak”, albo dwa razy, co oznaczało „nie”. Podobnie jak ty rozmawiasz z matką. Pod koniec ze sto razy dziennie pytałem ją, czy mnie kocha, żeby tylko zobaczyć, że jeszcze mruga, że zostało w niej jeszcze odrobinę życia. Prowadziłem wtedy sprawę Cukiereczka. Większość pracy mogłem wykonywać w domu: dzwonić, odbierać telefony, czytać raporty. Ale czasami musiałem wyjść i zdarzało się, że pielęgniarka też nie mogła w tym czasie zostać z Cindy. Wtedy przychodził do niej David.

– Tak. – Pokiwał głową. – Nasz dobry, pomocny sąsiad David Price siedział przy łóżku mojej umierającej żony, kiedy byłem zajęty. Wtedy wydawało się, że to dobry pomysł.

– Więc teraz stoimy we czwórkę w tej ciemnej piwnicy, a David zaczyna szczegółowo opowiadać, co robił w te popołudnia, kiedy siedział przy Cindy. – Zauważył minę Jillian i natychmiast pokręcił głową. – Nie, nic z tych rzeczy. Cindy była dorosłą kobietą, a David gustował w małych dzieciach. Wykorzystał ją w inny perfidny sposób. Stała się jego publicznością. Tak, pieprzoną publicznością. Bo widzisz, przez ponad rok Price porywał i mordował dzieci, a nikt niczego nie podejrzewał. Nie miał więc przed kim się przechwalać. Zdawał sobie sprawę, że nie może się wygadać, bo trafi do więzienia. Ale oto ma Cindy. Bezsilną, umierającą, niezdolną do powiedzenia ani jednego słowa. Zaczyna jej wszystko opowiadać. Ze szczegółami. Opowiada o tym, jak wyszukuje ofiary, jak je obłaskawia, porywa, gwałci, dręczy, dusi, a potem zakopuje w piwnicy. I tak w kółko i w kółko. A Cindy nie może uciec. Nie może powtórzyć ani słowa.

Ciekawe, co musiała czuć, powiedział mi David, kiedy patrzyła, jak z wdzięcznością witam go za każdym razem po powrocie do domu. Jak bardzo musiało ją boleć, że nie potrafiłem dostrzec w jej albo jego twarzy niczego, co naprowadziłoby mnie na właściwy trop. Gdybym tylko zadał jej właściwe pytanie... Moja mądra, łagodna, dobra żona wiedziała o wszystkich tych okropnych zbrodniach, a mimo to nie była w stanie nic zrobić. Moja współczująca Cindy umierała ze śmiercią tych biednych dziesięciorga dzieci na sumieniu. A przez cały ten czas jej mąż niczego nie podejrzewał i tak się cieszył, ilekroć David przychodził z wizytą...

– I wtedy nie wytrzymałem. Rzuciłem się na niego. Niewiele z tego pamiętam. Powiedziano mi, że Waters i O'Reilly zagroździ mi drogę. A Price podobno nawet na chwilę nie przestał się uśmiechać. Właśnie z takim człowiekiem mamy do czynienia, Jillian. Price zawiązuje przyjaźnie tylko po to, żeby potem miał kogo zdradzić. Morduje dzieci dla czystej przyjemności. A do tego jest niezwykle przebiegły.

Griffin pochylił się nad biurkiem. Podniósł notes, a spod niego sfrunęła na podłogę kartka papieru. Wylądowała pod stopami Jillian, która schyliła się po nią. Cała strona była zapisana dużymi okrągłymi literami: „David Price, David Price, David Price. O nie, David Price”.

– Cóż – zauważył Griffin. – Zdaje się, że Meg wraca pamięć.

Pięć minut później Griffin i Fitz wychodzili z domu z ponurymi minami. Tom i Laurie zostali w środku. Zdawało się, że nie mogą się ruszyć, nie potrafią przyjąć do wiadomości tego, czego się dowiedzieli.

Jillian czyniła honory gospodyni. Odprowadziła detektywów do samochodu, patrzyła, jak wsiedli i zatrzasnęli drzwiczki.

W ostatniej chwili zapukała w okno. Griffin opuścił szybę.

– Czy byłeś przy żonie, kiedy umierała? – zapytała.

– Oczywiście.

– Zapytałeś, czy cię kocha? Co odpowiedziała?

– Zamrugła, że tak.

Jillian pokiwała głową i cofnęła się.

– Pamiętaj o tym. Jeżeli David Price wydostanie się z więzienia, a ty go złapiesz, pamiętaj, że to nie on wygrał, ale ty.

Griffin pokiwał głową. Zamknął okno, przekreślił kluczyk w stacyjce i odjechał.

MEG

Odjechali zaledwie cztery przecznice od domu państwa Pesaturo, gdy Fitz krzyknął: – Stój! Griffin natychmiast wdepnął hamulec, aż Fitz uderzył głową w deskę rozdzielczą.

– O, kurde, tam!

Griffin podążył wzrokiem za wytkniętym palcem Fitz'a i zobaczył stację benzynową, przed którą tankowały trzy samochody. Fitz jednak pokazywał małego brązowego nissana zaparkowanego przed przeszklonymi drzwiami niewielkiego sklepiku.

– To wóz Meg – powiedział. – Widzisz rejestrację?

MP 63. Griffin wjechał na parking.

Najpierw obejrzelik dokładnie samochód. W środku nie było nic niezwykłego. Tylko pudełko chusteczek higienicznych, szczotka do włosów i zawieszony na lusterku pluszowy piesek. Griffin zauważył parkingową nalepkę College'u Providence. Fitz przyłożył dłoń do maski i oświadczył, że jest chłodna.

Detektywi wymienili spojrzenia. Skoro silnik zdążył wystygnać, to samochód musiał tu stać już od jakiegoś czasu. Weszli do sklepiku. W środku zastali dwie kobiety i sprzedawcę. Jedna z klientek – szpakowata niewiasta ubrana w za dużą granatową bluzę – stała pogrążona w głębokiej zadumie nad zamrażarką z lodami. Druga, platynowa blondynka, przechadzała się między półkami z chipsami i chrapkami. Żadna z nich nie była Meg. Fitz i Griffin znowu wymienili spojrzenia.

Podeszli do kasjera, przyszczatego nastolatka, który mógłby być bratem chłopaka z Blockbustera. Fitz błysnął odznaką.

– Gdzie jest kierowca tamtego nissana?

Dzieciak wytrzeszczył oczy, gapiąc się na odznakę. Przełknął głośno ślinę i spojrzał bojaźliwie na Fitz'a.

– Nie wiem – wyskrzecztał.

– Co znaczy „nie wiem”?

– To znaczy, że jej tu nie ma, psze pana – wyjąkał nastolatek.

– A widziałeś kierowcę brązowego nissana?

– Tak jest! Była bardzo ładna, psze pana.

W porządku, wyglądało na to, że to rzeczywiście Meg.

– Czy weszła do sklepu? Rozmawiała z tobą?

– Nie.

– Nie weszła do sklepu? – Fitz zmarszczył surowo brwi.

– Nie, psze pana. To znaczy, wydaje mi się, że miała taki zamiar. Ale wtedy podjechał jej znajomy i pojechała z nim.

– Z mężczyzną? – spytał ostro Griffin.

Chłopak spojrzał na Griffina, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność, i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy.

– T-t-tak.

Fitz wychylił się przez ladę. Obie klientki przerwały robienie zakupów i zaczęły bezwstydnie podsłuchiwać rozmowę. Fitz zignorował je. Całą uwagę skupił na dzieciaku.

– Mógłbyś dokładnie opisać, co widziałeś? Nie śpiesz się. Zastanów się spokojnie.

Chłopak wziął głęboki oddech. Pomyślał.

– Więc zauważyłem ją, kiedy wysiadała z nissana. No i... zacząłem na nią patrzeć, bo była naprawdę ładna.

– Jak była ubrana?

– Eee... w taką brązową kurtkę. Zamszową, wie pan. I miała taką dużą torbę przewieszoną przez ramię. I chyba dzinsy.

– Okej, więc wysiadła z samochodu w kurtce i z torbą na ramieniu. Czy zamknęła drzwiczki?

– Tak. Zamknęła.

– I co potem?

– Zrobiła krok do przodu, jakby zamierzała wejść do sklepu. Ale nagle się zatrzymała i odwróciła. Zobaczyłem, jak podjeżdża drugi samochód i wysiada z niego ten mężczyzna. Wyglądał, jakby mu się bardzo śpieszyło, wie pan. Podbiegł do niej, powiedział coś i oboje wsiedli do jego wozu.

– Opisz mi tego mężczyznę – rozkazał Fitz.

– Eeeee... niezbyt wysoki. Może pana wzrostu. Kasztanowe włosy. Taki normalny, przeciętny facet. – Dzieciak wzruszył ramionami.

Fitz łypnął na Griffina, który skinął głową. Przeciętny. Tak właśnie określano Eddiego Como. Cholera jasna.

– W jakim wieku?

– Eee... starszy. Nie przyjrzałem mu się zbyt dokładnie, ale pamiętam, jak pomyślałem, że jest dla niej za stary. Właściwie nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy.

– Widziałeś jego samochód?

– Nie. Ale robił sporo hałasu. Jakby miał duży silnik. I musiał być dosyć stary. Nie chciał zapalić – dodał chłopak.

– Czy mężczyzna jej dotykał? – zapytał Griffin. Dzieciak spojrzał na niego, po czym szybko spuścił wzrok.

– Eeee...

– Dotknął jej ramienia, wziął ją za rękę?

– A tak! Kiedy do niej podbiegł. Położył rękę na jej ramieniu. I zaprowadził ją do samochodu, wie pan. Otworzył jej drzwiczki. Taka dziewczyna na pewno lubi dobre maniery. – Dzieciak pokiwał głową, a potem westchnął ponuro. Pewnie w tym wieku rozumiał już, jakie jest życie. Chłopcy tacy jak on nie mieli szans u dziewczyn takich jak Meg.

– Czy wciąż trzymał ją za ramię, kiedy otwierał samochód? – dopytywał się Griffin.

– Tak. Właśnie tak było. Lewą ręką trzymał jej ramię, a prawą otworzył drzwiczki.

– Ani na chwilę jej nie puścił?

– Chyba nie.

Griffin i Fitz znowu wymienili spojrzenia. Wyglądało na to, że Meg ma kłopoty. Griffin zerknął na zegarek. Jedenasta czterdzieści sześć. Psia mać, za Chiny nie uda im się dorwać gwałciciela przed terminem wyznaczonym przez Price'a.

– O której godzinie to było? – Fitz także spojrzał na zegarek i w jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Och, jakiś czas temu. Zaraz, chwilę wcześniej tankował u nas taki duży samochód terenowy. Sprawdzę rachunek.

Chłopak otworzył kasę i zaczął powoli przeglądać papiery. Griffin i Fitz przestępowali nerwowo z nogi na nogę. Czas uciekał. Dzieciak wyciągnął rachunek. Mruknął pod nosem. Niespiesznie sięgnął po następny. I następny. I następny. Właśnie gdy Griffin pomyślał, że dłużej tego nie znieśnie, Fitz warknął:

– Powiedz mniej więcej o której! O ósmej, dziewiątej, dziesiątej?

– Eee... – Chłopak spojrzał na niego wystraszony. – O dziewiątej, psze pana!

– Świetnie. Dziękuję. Bardzo nam pomogłeś. – Fitz zerknął na Griffina, po czym zwrócił się znowu do nastolatka. – Niedługo przyślemy tu mundurowego. Powtórzysz mu dokładnie to, co nam powiedziałeś, i wszystko, co ci się jeszcze przypomni. Okej?

– Tak jest, proszę pana.

– To bardzo ważne. Dziękujemy za pomoc. Będziemy w kontakcie. Do widzenia.

– Do widzenia.

Fitz pobiegł do wyjścia i dogonił Griffina, który już klęczał koło samochodu Meg. Dziesięć sekund później Griffin zauważył srebrny odblask i wyciągnął spod kół pęk kluczy.

– Prawdopodobnie trzymała je w rękę – powiedział. – A kiedy facet chwycił ją za ramię... – Griffin upuścił klucze, które upadły mniej więcej tam, gdzie je znalazł.

– Wątpię, żeby spotkała przyjaciela – mruknął Fitz. – Jak myślisz, dlaczego porwał ją akurat teraz?

– Ponieważ zarówno my, jak i David Price wiemy, że nie da się rozwiązać sprawy w dwie godziny. – Griffin pochylił się, żeby podnieść kluczyki, a potem spojrzał na Fitz'a. – Price zakłada, że uda mu się wydostać z więzienia o szóstej, i chce mieć pewność, że kiedy ucieknie, nie będzie sam.

– Biedna Meg – szepnął Fitz. – Biedna Molly.

Griffin spojrzał na zegarek. Za pięć dwunasta.

– Jeśli David Price wyjdzie z więzienia, wszyscy będziemy biedni. Chodźmy.

Gdy tylko wsiedli do samochodu, zadzwoniła komórka Griffina. To był Waters.

– Moje dwie godziny minęły. Przykro mi, Griff, niczego nie mam.

– Ile barów sprawdziliście?

– Dwadzieścia pięć, ale to jeszcze nie wszystkie. Ta okolica to jedna cholerna speluna. W kilku klubach rozpoznano Tawnyę, ale tylko dlatego, że pojawiała się w telewizji. Do jednego rzeczywiście przychodziła, ale jeszcze zanim zaszła w ciążę.

– Ściągnij więcej mundurowych i kontynuuj robotę. Ktoś musiał coś widzieć.

– Zrobi się.

– Mike... Meg Pesaturo zaginęła. Ostatnio widziano ją, jak wsiadała do samochodu z jakimś podejrzanym facetem. Musimy jak najszybciej się czegoś dowiedzieć. Gra już się rozpoczęła.

– Griffin, jest już dwunasta...

– Zajmę się Price'em. A ty szukaj dalej informacji o Tawnyi Clemente.

Griffin zakończył rozmowę i zaczął wybierać kolejny numer.

– Dzwonisz do Boga z prośbą o cud? – zapytał ponuro Fitz.

– Nie, lepiej. Do kaprała Charpentiera.

Dodzwonił się na pager, wstukał swój numer i po trzydziestu sekundach Charpentier oddzwonił.

– Gdzie jesteś? – zapytał Griffin, słysząc hałas w tle.

– Na parkingu przed Starym Maksem. Maureen Haverill z Kanału Dziesiątego właśnie skończyła wywiad z adwokatem Price'a. Teraz domaga się spotkania z samym Davidem. Oficjalne godziny odwiedzin zaczynają się o dwunastej. Sierżancie, obawiam się, że nasz czas minął.

– Masz listy, o które prosiłem?

– Detektyw James właśnie je przesyła. Ale mówimy o prawie stu osobach. Nie wiem, czy to się na coś przyda.

– Mam nową teorię. Skupcie się na ludziach, którzy siedzieli w areszcie w tym samym czasie co Price. Z tej listy wybierzcie tych, którzy nie zostali skazani. Zostali niewinnieni albo wywinęli się z powodu jakiegoś błędu proceduralnego.

– Dlaczego zależy wam tylko na nich?

– Bo po pierwszym gwałcie detektyw Fitz sprawdzał bazę danych przestępców seksualnych i nic to nie dało. Więc może nasz gwałciiciel nigdy nie został skazany. Może go tylko aresztowano, a potem wypuszczono.

– Pobrano jego DNA podczas aresztowania, a potem wypuszczono go na wolność – domyślił się Charpentier.

– Właśnie. Potrzebował nowego sposobu działania – powiedział Griffin.

– A David Price pomógł mu go wymyślić – podsumował Charpentier. – Czemu nie? Skoro już się siedzi w ciupie, warto skorzystać z okazji i zasięgnąć rady mądrzejszych od siebie.

Hałas w tle jeszcze się wzmógł. Głos Charpentiera zdawał się przytłumiony, jakby kapral osłaniał dłonią usta.

– Mogę załatwić tę listę, ale to potrwa co najmniej godzinę, a zdaje się, że medialny cyrk już się zaczyna. Dowódca straży więziennej chce sprawdzić sprzęt kamerzysty, ale nie może powstrzymać mediów. Są godziny odwiedzin, adwokat Price'a zatwierdził wywiad... Mamy przerąbane.

– Jak długo potrwa sprawdzanie sprzętu?

– Około piętnastu minut. Najwyżej dwadzieścia.

Griffin zerknął na zegarek. Byli już niedaleko domu pani Como, ale kwadrans na pewno nie wystarczy, żeby złamać Tawnę Clemente. A kiedy Maureen podstawi Price'owi mikrofon pod nos...

– Alarm – powiedział Griffin.

– Alarm?

– Tak. Niebieski, biały, wszystko mi jedno. Sami wybierzcie kolor. Kiedy jest alarm, trzeba zamknąć całe więzienie, prawda? I wyprowadzić na zewnątrz nawet adwokatów i dziennikarzy.

– Zgadza się – potwierdził Charpentier.

– A zanim wszystkich znowu wpuszczą trzeba ich będzie ponownie przeszukać, prawda? Więźniów trzeba jeszcze raz odeskortować do sali odwiedzin...

– To mogłoby trochę potrwać – zgodził się radośnie Charpentier, po chwili jednak się zawahał.

Griffin rozumiał dlaczego. Niebieski alarm można było wprowadzić, tylko gdy w więzieniu doszło do poważnego zakłócenia porządku: do pobicia strażnika albo do bójki między więźniami. Z kolei biały alarm był stosowany wyłącznie w przypadku zagrożenia czyjogoś życia lub zdrowia. Tak czy inaczej, najpierw musiało się coś wydarzyć w samym więzieniu.

– Naczelnikowi nie podoba się, że telewizja chce tu wejść – powiedział w końcu Charpentier.
– Mogę z nim porozmawiać. Może nadszedł czas na ćwiczenia. Wiesz, sierżancie, jako gest dobrej woli w stosunku do policji stanowej.

– Policja stanowa byłaby bardzo wdzięczna – zapewnił Griffin.

– Chwileczkę. – W słuchawce zaległa cisza. Griffin usłyszał odgłos kroków, a potem stłumione dźwięki rozmowy. Po minucie Charpentier znowu się odezwał. – Wiesz, co się okazało? Już od bardzo dawna nie mieliśmy ćwiczeń. Prawdziwe alarmy to co innego. Te mamy cały czas, ale nie ćwiczenia. W związku z tym na pewno da się coś załatwić...

– Doskonale, kapralu. Powiedz naczelnikowi, że zawsze doceniamy dobre ćwiczenia. I jeszcze jedno...

– Tak?

– Jeżeli mimo wszystko dojdzie do wywiadu... nie odprowadzajcie Price'a do celi. Zaprowadźcie go gdziekolwiek, tylko nie tam.

– Nie chcesz, żeby stamtąd coś zabrał.

– Nigdy nie dość ostrożności.

– Na pewno naczelnik przyzna ci rację. O, kurczę... Wygląda na to, że w bloku przydałaby się niespodziewana inspekcja. Co za kształcący dzień dla straży więziennej!

– Ćwiczenie czyni mistrza. I zajmijcie się tą listą, kapralu. Będziemy w kontakcie.

Griffin rozłączył się w momencie, gdy wjeżdżał na ulicę, przy której mieszkały Tawnya i pani Como.

O dwunastej piętnaście zaparkował przed domem.

– Ty pierwszy – powiedział Fitzowi.

Miejski detektyw uśmiechnął się promiennie.

TAWNIA

Tak samo jak poprzednim razem poszli na tyły domu. Biorąc pod uwagę, że nigdy nie wiadomo, za którym krzakiem ukrywa się żądny sensacji fotograf lub kamerzysta, wydawało się to rozsądne. Tym razem Tawnya prawie natychmiast pojawiła się w oknie drzwi. Jak zwykle tryskała humorem. Obrzuciła Fitz'a mściwym spojrzeniem i splunęła.

Griffin pogroził jej palcem. Może jego czar zaczynał wracać, bo panna Clemente otworzyła drzwi.

– Jeśli przychodzicie w sprawie pozwu sądowego – oznajmiła – to spieszcie mi stąd. Idźcie ruchać kozy na pastwisku! Mój adwokat mówi, że nie powinnam z wami rozmawiać.

– Cóż za barwna wiązanka – zauważył Griffin.

– Znam takich więcej. Jak nie zostawicie mnie w spokoju, usłyszycie je wszystkie.

– Dzień dobry, pani Como. – Fitz przemknął za Griffinem do kuchni, cały czas chowając się za nim na wypadek, gdyby Tawnya zrobiła się bojowa.

Pani Como znowu stała przy kuchni. Wyglądało na to, że daniem dnia miała być ostro przyprawiona fasola. W powietrzu unosił się zapach czosnku, nadający kuchni niepowtarzalną domową atmosferę. Oczywiście woni gotowanych pieluch również nie mogło zabraknąć.

Tym razem Eddie junior nie spał, lecz siedział w dziecięcym foteliku na kuchennym stole i patrzył na Griffina wielkimi brązowymi oczyma. Po chwili wpakował do buzi kolorową plastikową zabawkę i zaczął się ślinić. Griffin wcisnął ręce do kieszeni, żeby nie zrobić czegoś głupiego, na przykład nie połaskotać puchoczących dziecięcych policzków. Przyszedł tu odegrać rolę złego detektywa. A czas wciąż uciekał. Kurczę, dzieci są jednak bardzo słodkie.

– Może powinniśmy porozmawiać w salonie – zaproponował Fitz, zerkając na małego Eddiego.

– Nie mam wam nic do powiedzenia – oświadczyła Tawnya.

– Chodźmy do salonu – powtórzył Fitz bardziej stanowczo.

Tawnya zmarszczyła groźnie brwi, ale wyszła z kuchni.

Gdy tylko znaleźli się w salonie, Fitz otworzył ogień.

– Wiemy, co zrobiłaś, Tawniu. Przyznaj się, póki nie zginie następna dziewczyna, a może uda nam się coś załatwić. Eddie junior stracił już jedno z rodziców. Chyba nie chcesz, żeby wychował się jak sierota?

– O czym wy, kurwa, mówicie?

– O pięćdziesięciu milionach dolarów. Dla takiej forsy ludzie sprzedają własne matki, nie mówiąc już o chłopaku, który zrobił ci dziecko, a mimo to nie chciał się z tobą ożenić.

– Mówicie o moim pozwie? Nie mam wam na ten temat nic do powiedzenia. Mój adwokat twierdzi, że nie muszę wam nic mówić. Zabiliście mojego Eddiego! Teraz pora za to zapłacić!

– Nie będzie żadnego odszkodowania, Tawniu – powiedział Griffin.

– Nie dostaniesz ani centa – dodał Fitz – kiedy ludzie dowiedzą się, co zrobiłaś Eddiemu.

Tawnya była dobra. Naprawdę dobra. Najpierw zrobiła zdziwioną minę, a potem przygotowała się do bitwy. Wyszczrzyła zęby. Błysnęła ostrymi paznokciami.

– Wypierdalać z mojego domu!

– Posłuchaj, Tawniu. Jeśli będziesz teraz współpracować, może mały Eddie nie skończy jako sierota na ulicy.

– Wy gównoryje, chuje złamane, gnidy jebane! Wypierdalać z mojego domu!

Fitz i Griffin ani drgnęli. Fitz łypnął na Griffina.

– Masz rację, bardzo barwny język.

– Pasuje do paznokci.

– Myślisz, że zaraz zaatakuję?

– Byłoby miło. Moglibyśmy ją aresztować i już nigdy nie zobaczyłaby bożego świata.

– Szkoda małego Eddiego. Griffin wzruszył ramionami.

– Wiesz, jak to jest. Rodziców się nie wybiera. Tawnya się zapieniła. Griffin natychmiast ruszył do ataku.

– Masz trzydzieści sekund, żeby zacząć gadać – powiedział poważnym głosem. – Wiemy, że wrobiłaś Eddiego. Wiemy, że jesteś współniczką w czterech gwałtach i dwóch morderstwach. Jeśli teraz się przyznasz, mały Eddie będzie miał szansę dorastać pod opieką matki. Ale jeśli znowu zaczniesz kręcić, aresztujemy cię. Zakujemy cię w kajdanki na oczach dziecka. Wyprowadzimy cię z domu i już nigdy w życiu nie zobaczysz syna. Trzydzieści sekund, Tawnyu. Dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem, dwadzieścia siedem...

Tawnya nie była w nastroju do współpracy. Warknęła, a potem rzuciła się na Griffina, który chwycił ją za rękę, podstawił jej nogę i zgrabnym ruchem przycisnął twarzą do podłogi. Fitz wyciągnął kajdanki. Nie mieli czasu na zabawę. Postawili ją z powrotem na nogi i właśnie zamierzali wyprowadzić z salonu, gdy w drzwiach stanęła pani Como i, wytarłszy dłonie w kuchenny ręcznik, wypowiedziała jedno słowo:

– Stać.

Detektywi zatrzymali się instynktownie. Griffin ochłonął pierwszy.

– Pani Como – oznajmił stanowczym głosem – mamy powody, by podejrzewać Tawnyę o pomoc we wrobieciu pani syna w gwałt...

– Nieprawda! – wrzasnęła Tawnya, próbując kopnąć Fitz, który w porę uskoczył na bok.

– Tawnya jest dobra dziewczyna – oświadczyła pani Como.

– Gówna prawda – mruknął Fitz.

– Dobre dziewczyny robiły znacznie gorsze rzeczy dla pięćdziesięciu milionów dolarów – zauważył rzeczowo Griffin, odciągając Tawnyę od Fitz.

– Nie Tawnya złożyć skarga o odszkodowanie – oznajmiła pani Como. – Ja się procesować. Potrzeba pieniędzy dla moja wnuczek.

– To był pani pomysł?

– Si.

– Ale to Tawnya wystąpiła w telewizji – odezwał się Fitz.

– Ja nie lubię rozgłos i telewizja.

Fitz i Griffin spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Odsunęli się trochę od Tawny. A ta oczywiście wykorzystała okazję, by splunąć im w twarz.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! Kochałam Eddiego, wy tępi, żałośni...

– Tak, tak, tak – przerwał jej Fitz, unosząc rękę i spoglądając na zegarek. – Rozumiemy.

– Mój syn został wrobiony? – zapytała pani Como. – Mój Eddie nie narobił żadna zła rzecz?

Griffin zerknął na zegarek Fitz. Dochodziła dwunasta trzydzieści. Kurwa mać.

– Pani Como, czy wie pani, że wczoraj w nocy została zaatakowana następna dziewczyna? Kobieta skinęła głową.

– Dzisiaj rano dostaliśmy wyniki badań DNA znalezionej na ciele ofiary. Okazało się, że pochodziło od Eddiego.

– Ale to niemożliwe! – oburzyła się Tawnya. – Eddie nie żyje. Co jest? Tak wam zależy na schwytaniu zabójcy, że ścigacie nawet zmarłych? Nawet martwy Latynos nie może się przed wami ustrzec. Wy żalosne, pierdolone...

Tym razem to Griffin uniósł dłoń. Spojrzał na pąsową ze zdenerwowania twarz Tawny. Popatrzył na kamienne oblicze pani Como. Coś tu nie pasowało, czuł to w kościach.

A cholerny czas wciąż mijał i mijał.

– Tawnyu – zapytał – czy wiesz, że kiedy w zeszłym roku detektywi przeszukali wasze mieszkanie, znaleźli mnóstwo książek na temat medycyny sądowej i metod śledczych? I artykuły, zgadza się, detektywie? Opisujące proces innego gwałciciela z Rhode Island.

– Powiedziała policji, że te rzeczy nie należały do Eddiego.

– A do kogo?

– Nie mam pojęcia! Przyszły w paczce pocztowej razem z listem, że to od przyjaciela. Eddie nie wiedział, co to i od kogo, więc schował pudło w szafie. Uznał, że ktoś może się po to później zgłosić. Mówiłam o tym policji. Mówiłam!

– Kiedy ta paczka przyszła?

– Nie wiem. Dawno. W zeszłym roku. Zanim... – Zmarszczyła brwi. – Zanim się to wszystko zaczęło. Nie rozumiem. Jak możecie podejrzewać, że Eddie zabił wczoraj tamtą dziewczynę? Eddie nie żyje.

– Czy na paczce był adres zwrotny?

– Nie wiem. Nie przyglądałam się. Przyszła do Eddiego.

Griffin zerknął na Fitza.

– Nie – odparł detektyw. – To było stare kartonowe pudło tylko ze znaczkiem pocztowym. Uznaliśmy, że Eddie trzymał w nim te materiały. Znaleźliśmy je w szafie z ubraniami.

– Bo nie było jego! – wykrzyknęła Tawnya. – Eddie nie miał pojęcia, dlaczego do niego przyszło!

– Słyszałaś, żeby Eddie kiedykolwiek wspominał człowieka nazwiskiem David Price?

– Kto to, kurwa, jest David Price?

– Słyszałaś o Cukiereczku?

– To ten zboczeniec, który zabijał dzieci – odparła bez wahania. – O, to jest facet, któremu powinno się odrąbać fiuta!

Griffin przyglądał się jej uważnie. Wyglądała na szczerą. Jeżeli kłamała, to musiała mieć w tym wielką wprawę.

– Tawnyu, czy Eddie miał inną dziewczynę?

– Eddie mnie kochał! Dlaczego tak trudno to zrozumieć? Eddie kochał mnie, a ja kochałam jego. Mieliśmy spędzić wspólnie życie. On miał dobrą pracę, a jak urodził się mały Eddie, miałam pójść na kurs dla kosmetyczek. A potem, potem... A pierdolcie się wszyscy!

Jej ramiona opadły, a po policzkach popłynęły łzy. Odwróciła głowę. Krokodyle łzy czy rzeczywisty żal? – zastanowił się Griffin. Ostatnio tak wiele razy go okłamywano, że nie mógł być do końca pewien. Podejrzewał jednak, że w tym przypadku kłamały ofiary i ich rodziny – oczywiście w najlepszej intencji – podczas gdy główny podejrzany i jego rodzina od początku mówili prawdę.

– Tawnyu – odezwał się cichym głosem – mamy mało czasu. Musisz mi powiedzieć prawdę. I to teraz.

– Już powiedziałam prawdę!

– Tawnyu, czy dałaś komuś... próbkę nasienia Eddiego? Może wydawało ci się, że powinnaś to zrobić, że to przysługa dla przyjaciela?

Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Zwariowaliście? Kto robi coś takiego?

– Tawnyu, sperma Eddiego została znaleziona na ciele ofiary zamordowanej dzień po jego śmierci. Powiedz mi, jak mogło do tego dojść?

Nagle otworzyła szeroko oczy.

– O nie – powiedziała. – O nie...

– Co, Tawnyu? Co takiego z Eddiem zrobiliście?

Jej twarz wykrzywiła się w bezradnym grymasie.

– Potrzebowaliśmy pieniędzy – powiedziała głucho. – Byłam w ciąży, a Eddie chciał mi dać jakiś prezent. Poza tym musieliśmy zacząć oszczędzać...

Griffin zerknął na Fitz. Fitz spojrział na niego ponuro. Nagle zrozumieli, co się stało. Od razu powinni byli na to wpaść, ale kto pomyślałby o zadaniu takiego pytania? Kto zadaje takie pytania?

– Eddie był zdrowy – mówiła Tawnya. – Co dwa miesiące oddawał krew, więc na pewno nie miał żadnych chorób. A poza tym był przystojny. Oni zwracają na to uwagę, wie pan?

– Kto zwraca na to uwagę? – dopytywał się Griffin. Sama musiała to powiedzieć. I zrobiła to.

– Ludzie z banku spermy. Eddie sprzedał spermę bankowi w Pawtucket. Kilka razy. Zaraz po tym, jak zaszłam w ciążę. Płacili gotówką. – Popatrzyła na detektywów bezradnie. – Płacili gotówką.

Fitz i Griffin wyszli z domu pani Como. Dwunasta czterdzieści pięć. Śledztwo posuwało się naprzód, ale czas też nie stał w miejscu.

– Potrzebujemy kilku mundurowych – oświadczył Griffin.

– Ktoś musi ją potrzymać pod kluczem, póki nie sprawdzimy jej historii – zgodził się Fitz.

Wsiadli do samochodu i poprosili przez radio o dodatkowych ludzi.

– Przychodzi ci czasem do głowy, że jesteśmy durni jak osły? – mruknął Fitz.

– Nie wiem. Jak durne są osły?

Fitz wreszcie sobie ulżył i przygrzmocił pięścią w tablicę rozdzielczą.

– Kurwa! Sierżant Napoleon podał nam to na tacy dziś rano. „Banki spermy robią to cały czas”. Czemu po prostu nie poddamy się lobotomii?!

– Wtedy nie byłoby całej zabawy. Daj spokój. Czas leci. Obgadajmy sprawę.

– Eddie sprzedał nasienie bankowi spermy – zaczął Fitz, gdy Griffin zjeżdżał z krawężnika.

– Teoretycznie dawca jest anonimowy.

– Dla tego, kto otrzymuje jego spermę. Sam bank musi go najpierw sprawdzić. Nie mam pojęcia, jak dokładnie trzeba sprawdzić faceta, żeby wręczyć mu plastikowy kubeczek i zamknąć w kabinie z filmami porno.

– Więc gwałciciel musiał być kimś z wewnątrz.

– Kto miał dostęp do zamrożonego nasienia Eddiego.

– I znał samego Como.

- David Price powiedział, że facet znał Eddiego. Eddie prawdopodobnie nawet go nie zapamiętał, ale poznali się.
- Griffin rozmasował kark. Nie lubił przywiązywać wagi do słów Price'a, ale musieli od czegoś zacząć.
- Może facet pracował w obsłudze. Zauważył, że Eddie jest do niego podobny, więc zagadał. Okazało się, że mają ten sam cranstoński akcent. I facet miał swojego kandydata.
- Czyli już szukał jelenia – zauważył Fitz.
- A to znaczy, że już wcześniej poznał Davida Price'a.
- Prawdopodobnie siedział wcześniej w więzieniu, a przynajmniej w areszcie. Musiał być o coś oskarżony.
- Czyli mamy go w naszym systemie. I to jest najważniejsze. Facet jest przestępcą seksualnym, i nawet jeśli go nie skazano, został złapany. W związku z tym wie, że jego odciski i DNA są w policyjnej bazie danych. Ale wie też, że to go nie powstrzyma, bo przestępców seksualnych nic nie może powstrzymać. Dlatego zaczyna szukać lepszego sposobu popełniania gwałtów.
- Wie, że kiedy wyjdzie z więzienia, znowu zaatakuje.
- Więc zaprzyjaźnia się z Davidem Price'em.
- Który na pewno uznał, że to bardzo zabawne.
- I w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że też może na tym coś zyskać. Ma na zewnątrz człowieka, który dla niego pracuje. Kogoś, kogo będzie mógł wydać w zamian za możliwość wyjścia z więzienia.
- I w ten sposób rodzi się współpraca.
- Więc z kim mamy do czynienia? – zamyślił się Griffin. – Z kimś, kto został aresztowany pod zarzutem przestępstwa seksualnego. Przebywał w areszcie w tym samym czasie co Price, czyli od listopada do marca. Potem wyszedł i zatrudnił się w banku spermy.
- Co dało mu nieograniczony dostęp do materiałów pornograficznych – mruknął Fitz. – Wymarzona robota dla takiego zbrojnego.
- Ale nie mógł pracować w obsłudze technicznej – zauważył Griffin. – Kogoś takiego na pewno by sprawdzili. Gdyby się dowiedzieli, że facet ma kryminalną przeszłość, zrobiliby się nerwowi.
- W takim razie mówimy o kimś, kto pracuje na niższym szczeblu i mimo to ma nieograniczony dostęp do wszystkich pomieszczeń. Ma klucze do pokoi z zamrażarkami i nie wzbudza podejrzeń, kręcąc się po budynku o dziwnych porach.
- Wpadli na to jednocześnie.
- Sprzątaczu! – wykrzyknął Fitz.
- Sprzątaczu – powtórzył ponuro Griffin. Złapał komórkę i wystukał numer Watersa.
- Przykro mi, Griff... – zaczął Mike.
- Wiemy, kto to jest – przerwał mu Griffin. – To znaczy, wiemy, jak działał. Teraz musimy tylko poznać jego nazwisko. Spotkajmy się przed bankiem spermy w Pawtucket za dziesięć minut.
- Gdzie?
- Przed bankiem spermy. Właśnie tam pracuje gwałciciel.

– Dobra – odparł Waters, ale jego głos nie zabrzmiał radośnie. Po chwili Griffin zrozumiał dlaczego. W tle usłyszał mówiącą kobietę. Na ekranie telewizora w barze, w którym siedział Waters, Maureen Haverill przedstawiła telewidzom Davida Price’a. Pierwsza po południu. Griffinowi i Fitzowi właśnie skończył się czas.

KLUB OFIAR

Było ciemno. Meg ciągle mrużyła oczy, próbując przeniknąć wzrokiem mrok. Bezskutecznie. Ciemność była gęsta, ciężka, wszechobecna. Dusząca jak wełniany koc, nieogarniona jak bezkresny ocean.

Wygięła ciało, napinając więzy na splecionych nad głową nadgarstkach. Lateksowe opaski wpiły się w skórę. Poczwała krople spływające po ramionach, domyśliła się, że to krew. Przynajmniej nie czuła już bólu. Jej ręce zdrętwiały godziny temu, tak samo jak nogi. Tylko ten tępy ból w łopatkach. Pewnie on też wkrótce minie. A co potem?

Poruszyła związanymi nogami. Próbowwała się oprzeć o narożną ścianę, wdrapać po pionowej powierzchni, przebić przez ocean czerni i wydostać na zewnątrz. Oczywiście nie mogła tego zrobić. Wciąż była tylko uwięzioną dwudziestolletnią dziewczyną. Wpatrującą się w ciemność, wdychającą mdły zapach lateksu i czującą krew ciekącą po jej ramionach.

Dźwięki. Obróciła głowę, usiłując odgadnąć kierunek, z którego dobiegały. Kroki. Nad jej głową. Z prawa? Z lewa? Dopiero w tej cuchnącej piwnicy zdała sobie sprawę, że w mroku tak bardzo niesie się echo.

Blżej, teraz na pewno bliżej. Nuci pod nosem. Mężczyzna, pomyślała, wstrzymując oddech.

Zawołał ją po imieniu na parkingu przed sklepem. Zatrzymała się instynktownie, mimo że nie rozpoznała ani samochodu, ani siedzącego w nim kierowcy. Nie rozpoznawanie ludzi nie było oczywiście niczym nowym. Zwykle odczuwała wtedy lekką ciekawość. Kim jest ten obcy człowiek i jakie historie z jej przeszłości może opowiedzieć?

Mężczyzna powiedział, że wydarzył się wypadek. Że Molly jej potrzebuje. Nim zdążyła się otrząsnąć, pomógł jej wsiąść do samochodu. W ostatniej chwili coś ją tknęło. Kiedy patrzyła, jak otwiera drzwiczki od strony kierowcy, jak pochyla się i wchodzi do środka, coś w mroku jej pamięci zaczęło się burzyć. Nie wspomnienie. Raczej uczucie. Strach – przeszywający, niepokromiony. Złapała za klamkę, ale w tym samym momencie mężczyzna zamknął automatycznie drzwi i wyciągnął pistolet.

Wtedy go rozpoznała. Rysy twarzy nie wydawały się znajome, wyraźnie jednak przypomniła sobie kopulujące w mroku ciało. Postękiwania, pomruki – niekończący się akompaniament towarzyszący jej nieskończonemu wstydowni. Leżała naga, związana tymi okropnymi lateksowymi opaskami, zdana na jego łaskę.

I kiedy pomyślała, że to się nigdy nie skończy, że już dłużej nie wytrzyma, wreszcie opadł na nią mokry od potu.

Roześmiał się chrypliwie. A potem wyszeptał:

– David mówił, że lubisz ostry seks. Zrobimy Molly braciszka albo siostrzyczkę, Meg? Czy wolisz, żebym poczekał parę lat i spróbował z Molly?

Wtedy zaczęła krzyczeć. Ale knebel tłumił dźwięk, wciskał go z powrotem do płuc, gdzie narastał i narastał bez końca.

– David za tobą tęskni, Meg. David cię pragnie. Źle zrobiłaś, że go odrzuciłaś. Teraz siedzi w więzieniu otoczony przez zwyrodnialców, którzy nie mogą się doczekać, żeby cię poznać. Wszyscy któregoś dnia wyjdą na wolność i wszyscy wiedzą, gdzie mieszkasz.

Mężczyzna zsunął się z niej, wyciągnął rękę po koszulę.

– A, byłbym zapomniał – dodał jak gdyby nigdy nic. – David przekazuje wyrazy miłości.

Wtedy krzyk stał się zbyt potężny. Wybuchł w jej gardle, wdarł się do głowy, rozrywając na strzępy wspomnienia. Zdawało się jej, że rozbrzmiewa bez końca, a mimo to nikt niczego nie usłyszał.

A potem równie nagle, jak się pojawił, krzyk wycofał się, powrócił w głąb jej ciała, pogrążając ją w mrocznej, aksamitnej otchłani.

Cały ostatni rok czekała, żeby odzyskać pamięć. A teraz, w samochodzie z tym mężczyzną, żałowała, że nie może znowu zapomnieć.

Zawiózł ją do części miasta, której nie знаła. Odległej. Opustoszałej. W takim miejscu nie mogło się wydarzyć nic dobrego. Zaparkował w jakiejś wąskiej uliczce i złapał ją za rękę zaskakująco mocnym chwytem. Poczula lateks, zanim jeszcze go zobaczyła. Zemdliło ją. Pomyślała, że za chwilę zwymiotuje. Związał jej nadgarstki, skręcając opaskę w ósemkę, a potem położył rękę na jej piersi.

Przypomniała jej się Jillian. Kursy samoobrony, książki o gwałtach, które wspólnie czytały. „Kobiety nie muszą być ofiarami”.

To dlaczego mężczyźni są tacy silni?

– Mamy kilka godzin – powiedział. – Najpierw muszę załatwić parę spraw. Ale jak skończę... Nie martw się, Meg. Pamiętam, co lubisz. Uszczypnął ją w sutek, posłał ostatni okrutny uśmiech, a potem obwiązał jej głowę czarną koszulką.

Od tego momentu żyła w ciemności.

Znowu jakieś odgłosy. Otwieranie i zamykanie drzwiczek od szafki. Brzęk garnków. Zaburczało jej w brzuchu i nagle zdała sobie sprawę, co robił. Przygotowywał sobie obiad. Ten potwór porwał ją, związał i uwięził w piwnicy, a teraz gotował sobie zupę.

Potrząsnęła rękami. Pociągnęła mocno za lateks przywiązany do metalowego haka w suficie. Nic, nic, nic! Chciało jej się krzyczeć z niemocy.

Kobiety nie są ofiarami! Ona nie jest ofiarą! Czytała książki, chodziła na kursy. Słuchała Jillian i wierzyła jej. Jak jedna dziewczyna może mieć takiego pecha? Jak mogła po tych wszystkich staraniach i naukach skończyć w ten sposób?

Znowu się szarpnęła. Poczula zaciskającą się gumę i rozrywaną skórę. Po rękach znowu pociekła krew.

Łzy napłynęły jej do oczu.

I Wkrótce on zje obiad. Otworzy drzwi na szczycie schodów. Zejdzie do stęchłej, ciemnej piwnicy. I co potem? Jillian wmawiała im, że mogą panować nad własnym życiem. Mówiła, że jeśli się postarają, zwyciężą. Mogą być pewne siebie, niezależne i silne.

Ale Meg nie potrafiła już myśleć jak Jillian. Była tylko dwudziestoletnią dziewczyną związaną, głodną i przerażoną. A niedługo, może już za chwilę, stanie się coś bardzo złego. Coś jeszcze gorszego niż dotychczas.

Niedługo, powiedział mężczyzna, przyjdzie David.

Dan siedział na oddziale intensywnej terapii i czytał książkę. *Przeżyć gwałt. Poradnik dla ofiar i ich rodzin*. Kupił ją dwa tygodnie temu. Właśnie dotarł do rozdziału *Pierwsza rocznica i później – kiedy wciąż nie masz tego za sobą*.

Monitor przy łóżku żony mrugał miarowo. Nagle z korytarza dobiegł jednostajny pisk innej maszyny, któraś z pielęgniarek zaczęła wołać na alarm. Wkrótce rozległ się tupot pośpiesznych

kroków.

Carol nawet nie drgnęła. Jej pierś unosiła się i opadała spokojnie. Głowa leżała nieruchomo w złotej aureoli włosów.

Od czasu do czasu jej prawa ręka drgała nieznacznie. W ciągu ostatnich dwudziestu godzin był to jedyny sygnał, jaki był gotów przypisać świadomości.

Dan przeczytał rozdział napisany z punktu widzenia ofiary i przeszedł do następnego: *Bliska osoba – kiedy ona wciąż nie ma tego za sobą.*

Czytał i choć nie zdawał sobie z tego sprawy, czasem płakał.

W sali obok lekarze i pielęgniarki walczyliby uratować czyjeś życie. Tymczasem serce Carol biło miarowo, płuca pracowały rytmicznie, ale właśnie ten spokój zagrażał jej życiu.

Dan skończył rozdział. Spojrzał na pogrążoną we śnie żonę. Siedział zgarbiony, z pochyloną głową i łokciami na kolanach. Lewe ramię wciąż bolało w miejscu, gdzie Carol go postrzeliła. Ledwo to zauważał.

Dwadzieścia godzin czuwania. Dwadzieścia godzin nadziei, modlitwy i złorzeczeń.

Rozmyślał o wszystkich latach, które spędzili razem, o wszystkich przypadkach, gdy los okazał się niełaskawy. Rozmyślał o tym, co on i Carol zrobili. Zastanawiał się, dlaczego tak łatwo zranić osobę, którą się kocha. I dlaczego musiał się znaleźć na oddziale intensywnej terapii, aby w końcu zrozumieć, co jest w życiu najważniejsze.

Gdyby mógł, cofnąłby czas. Zapomniałby o blackjacku; spróbowaliby znaleźć dla siebie miejsce w dużej firmie prawniczej. Wcześniej wracaliby do domu, zwracał większą uwagę na żonę, częściej starałby się wywołać uśmiech na jej twarzy. Byłby idealnym mężem, mężczyzną, który potrafi wrócić do domu na czas, by powstrzymać gwałciciela, mężczyzną, który nie doprowadziłby żony do bulimii, pijaństwa i uzależnienia od leków.

Oczywiście nie miał takiej możliwości. Teraz mógł tylko brnąć dalej przez życie z ogromnymi długami na karku, rannym ramieniem i dręczącym poczuciem winy. Carol była załamana, on był załamany. Według książki takie uczucia były naturalne. Minie sporo czasu, nim znowu poczują się dobrze – jeśli w ogóle kiedyś poczują się dobrze. Trzeba po prostu iść dalej, radził autor. Przetrwac ból, starać się znaleźć coś optymistycznego.

Musiło być coś optymistycznego.

– Kocham cię – powiedział do Carol. Żadnej reakcji.

– A niech to, Carol, nie pozwól mu wygrać w ten sposób! Wciąż brak odpowiedzi.

W sali obok sprawy przyjęły gorszy obrót. Hałasy ucichły, nastąpiła ponura cisza. Po chwili lekarz podał czas zgonu.

– Cholera! – jęknął Dan. Rzucił książkę na podłogę i wdrapał się na białe szpitalne łóżko. Zaczął się mocować z przewodami, rurkami, plastrami, aż w końcu udało mu się objąć żonę. Jej głowa opadła na jego ramię, długie jasne włosy spłynęły na jego pierś. Dan przytulił ją mocno do siebie.

Tymczasem za drzwiami lekarze powrócili z rezygnacją do swojego pokoju. Włączyli telewizor.

– Patrzcie – powiedział któryś z nich. – Czy to nie David Price?

Jillian siedziała w salonie państwa Pesaturo i nie wiedziała, co robić. Tom wpatrywał się w podłogę, jakby stary powycierany dywan krył w sobie tajemnicę życia i śmierci. Laurie zniknęła w kuchni, gdzie, sądząc po zapachu detergentu, wydała wojnę brudnym naczyniom.

Toppi i Libby zabawiały Molly. Dziewczynka przyniosła Libby pudełko z ubrankami Barbie, Toppi była zajęta zakładaniem różowego kapelusza na pluszową głowę Kubusia Puchatka. Jillian nie miała pojęcia, o co chodziło w tej zabawie.

Tom wpatrywał się w podłogę, Laurie zmywała, Molly się bawiła, a Jillian...? Nie wiedziała, co powinna zrobić. Klub Ocalonych zaczął pękać. Odsunęły się od siebie, czy chciały tego, czy nie, a same nie były tak silne jak wtedy, gdy trzymały się razem. Carol dała się porwać popędowi samozniszczenia. Meg zniknęła w momencie, gdy rodzina najbardziej jej potrzebowała. A Jillian? Nie miała wojska, które mogłaby poprowadzić do walki. Siedziała obok matki, obracając w dłoni złoty medalik ze świętym Krzysztofem, który kiedyś należał do Trishy, i próbowała zebrać myśli.

Jeśli Griffin miał rację, Klub Ocalonych został okaleczony podwójnie. Najpierw gwałcielem okaleczył ich ciała. Potem padły ofiarą manipulacji i zamiast zemścić się na prawdziwym oprawcy, zwróciły się przeciwko niewinnemu człowiekowi. Biedny Eddie Como, do samego końca próbował je przekonać, że jest niewinny.

Wiedziała, że jeśli będzie myśleć zbyt długo o Eddiem, klubie i Trishy, zacznie krzyczeć, a potem rozbije wszystkie naczynia w domu.

Jeśli będzie myśleć zbyt długo, znowu znajdzie się z siostrą w tamtym mrocznym mieszkaniu. Oprawca chwyci ją za gardło, zacznie wyzywać. A robiąc to, będzie się śmiał w duchu, wiedząc, że jeśli Jillian spróbuje wymierzyć mu później sprawiedliwość, znowu stanie się jego ofiarą.

Rok temu zadzwoniła do Meg i Carol. Powiedziała im, że raz stały się ofiarami i już nigdy na to nie pozwolą. Powiedziała im, że odzyskają swoje życie. Powiedziała, że zwyciężą.

Okazało się, że kłamała.

Czy właśnie na tym polega życie? Na tym, że się próbuje i przegrywa, próbuje i przegrywa? Czyżby wróg był nie tylko silniejszy fizycznie, ale także bardziej przebiegły, mądrzejszy? Bez względu na to, jak bardzo się starała, jak nieustępliwie walczyła, jej siostra straciła życie. Griffinowi udało się aresztować mordercę i pedofila, a ten tylko roześmiał mu się w twarz i zaczął się rozwodzić nad tym, co zrobił jego żonie.

David Price. Cała odpowiedzialność spadała na jednego człowieka. Na uroczego, pozornie nieszkodliwego i przyjaznego Davida Price'a.

Jillian ścisnęła mocniej medalik Trishy. Nagle okazało się, że przeniesienie nienawiści na inną osobę nie było wcale takie trudne. Zapragnęła śmierci Davida Price'a. Nagle zrozumiała, co tak naprawdę czuł Griffin. I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Frontowe drzwi otworzyły się i zatrzasnęły. Laurie, która poszła odebrać pocztę, weszła do salonu, przeglądając listy. Nagle zeszywniała. Zaczęła krzyczeć.

MAUREEN

Dzień dobry. Na żywo wita się z państwem Maureen Haverill prosto ze Stanowego Zakładu Karnego w Cranston. Dzisiaj dotarły do nas bulwersujące informacje na temat dokonanego ostatniej nocy brutalnego gwałtu na studentce College'u Browna Sylvii Blaire. Czy dwudziestoosmioletni Eddie Como, zastrzelony w poniedziałek przed gmachem sądu, był prawdziwym Gwałtcielem z Miasteczka Uniwersyteckiego, jak utrzymywała policja? Czy też raczej był on tylko jeszcze jedną ofiarą sadystycznej gry? Jestem tu w towarzystwie odbywającego wyrok za morderstwo Davida Price'a, który twierdzi, iż zna prawdziwego Gwałtciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, lecz mimo wielokrotnie ponawianych przez niego propozycji współpracy policja stanowa odrzuca jego pomoc. Panie Price, co może nam pan powiedzieć o gwałcie na Sylvii Blaire?

– Dzień dobry, Maureen. Mogę tak do pani mówić? – zapytał przyjaznym głosem Price, posyłając dziennikarce jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów.

– Proszę bardzo. A teraz, panie Price...

– Proszę mi mówić: David.

– Davidzie, twierdzisz, że posiadasz informacje, które wydają się kluczowe dla prowadzonego obecnie poważnego śledztwa. Jak to się stało, że poznałeś prawdziwego Gwałtciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego?

– Cóż, poznaliśmy się korespondencyjnie.

– Korespondencyjnie?

– Tak. Widzisz, Maureen, ten człowiek pisał do mnie listy.

– Listy? A zatem było ich więcej niż jeden?

– Zgadza się.

– Interesujące. Ile listów dostał pan od człowieka podającego się za Gwałtciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego?

– Sześć albo siedem.

– A kiedy dotarł do pana pierwszy list?

– Ponad rok temu. Wkrótce potem, jak zostałem skazany. Oczywiście na początku nie traktowałem całej sprawy poważnie. W końcu po co miałby do mnie pisać jakiś gwałtciciel? Dopiero kilka dni temu zacząłem podejrzewać, że pisze do mnie prawdziwy przestępca.

– Moglibyśmy zobaczyć te listy, Davidzie? Masz je przy sobie? Mógłbyś je pokazać telewizjom?

– Obawiam się, że ich nie mam, Maureen...

– Jak to?

– Cóż, te listy stanowią materiał dowodowy, prawda? Listy od gwałtciciela. Powiniennem je bezpiecznie przechować i przekazać policji stanowej. To ważne śledztwo. Nie chciałbym go w żaden sposób utrudnić – wyjaśnił, po czym znowu się uśmiechnął.

Maureen zmarszczyła brwi.

– Ale powiedziałaś, że policja nie traktuje twoich rewelacji poważnie, prawda?

– Policja stanowa niespecjalnie mnie lubi.

– Czemuż to?

– Cóż, detektyw prowadzący obecne śledztwo, sierżant Griffin, był kiedyś moim sąsiadem. Sierżant Griffin nigdy za mną nie przepadał. Był ciągle zajęty. Wiesz, jak poważnie detektywi z policji stanowej traktują swoją pracę, Maureen. Ale niestety, oznaczało to również, że jego żona często zostawała sama w domu. Zaprzyjaźniliśmy się z Cindy i myślę, że... no cóż, sierżant Griffin mógł być odrobinę zazdrosny. Nie mam rodziny, a ona była na tyle miła, że dotrzymywała mi towarzystwa. Była naprawdę wspaniałą, piękną, uroczą kobietą.

– Davidzie, czy nie jest również prawdą, że sierżant Griffin był jednym z funkcjonariuszy, którzy cię aresztowali?

– Tak. I to też go denerwuje. Złapanie mnie zajęło mu ponad rok, Maureen, a przecież mieszkałem dosłownie za płotem. Myślę, że jak się jest detektywem, taki fakt musi się wydawać wstydlivy.

– Mówimy tu o sławnej sprawie Cukiereczka, zgadza się?

– Tak. Słyszałem, że tak mnie nazywali.

– Zostałeś uznany za winnego popełnienia dziesięciu morderstw na małych dzieciach, zgadza się, Davidzie? – Popatrzyła na niego surowo. – Ciała dzieci zostały znalezione w twojej piwnicy, a teraz odbywasz karę dożywotniego więzienia bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. Zgadza się?

David spuścił głowę ze skruchą.

– Muszę z wielkim wstydem przyznać, że masz rację, Maureen. W swoim czasie zrobiłem wiele złego. Ale z drugiej strony wydaje mi się, że właśnie dlatego Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego do mnie napisał. Chyba traktuje mnie jak swego rodzaju bohatera.

– Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego jest pod wrażeniem twoich czynów? – zapytała z niedowierzaniem, a może nawet obrzydzeniem.

– Tak mi się wydaje, Maureen. Napisał to w pierwszym liście. Dał mi do zrozumienia, że zamierza zrobić coś, co tylko ja jestem w stanie zrozumieć.

– Opisał swoje gwałty?

– W ostatnim liście. List zawiera wiele opisów, w których nie brak szczegółów, jakie mógł znać wyłącznie prawdziwy gwałciciel. Właśnie to starałem się powiedzieć policji.

– Możesz nam podać jakiś przykład, Davidzie?

Price spojrział na dziennikarkę z zakłopotaniem.

– Nie wiem, Maureen... Toczy się oficjalne śledztwo. Nie powinienem ujawniać takich rzeczy bez zgody policji. Czasami opinia publiczna nie może wszystkiego wiedzieć, gdyż to mogłoby poważnie utrudnić dochodzenie. Nie chciałbym, żeby do czegoś takiego doszło...

Maureen połknęła przynętę.

– Powinieneś to zrobić ze względu na wiarygodność, Davidzie – odrzekła. – Gdybyś podał tylko jeden szczegół, coś, co mógł wiedzieć tylko prawdziwy gwałciciel, dowiódłbyś autentyczności listów. A to byłoby wielkim przełomem w śledztwie. Wszyscy byliby ci wdzięczni.

– Naprawdę tak uważasz, Maureen?

– Podaj tylko jeden szczegół, Davidzie. Tylko jeden.

– Cóż, przychodzi mi taki do głowy. Ale jest dość drastyczny...

Maureen przysunęła mu bliżej mikrofon.

– Mówimy o poważnym przestępstwie, Davidzie. Kobiety w Providence się boją. Musimy usłyszeć, co masz nam do powiedzenia.

– No cóż, dobrze. Gwałciciel... używa płynu do higieny intymnej. Używał go po popełnieniu każdego gwałtu. Policja uważa, że stosował go po to, by usunąć... no, wiesz. Nie mogę tego powiedzieć w towarzystwie kobiety.

– Nasienie, Davidzie?

No cóż, tak. – David spuścił wstydliwie głowę, a potem spojrział prosto w kamerę i zarumienił się uroczo. – Więc używa płynu do higieny intymnej przy każdej ofercie. Ale policja się myli, Maureen. Bo on nie robi tego, żeby pozbyć się... nasienia, tylko po to, żeby zostawić na miejscu zbrodni spermę innego mężczyzny, Eddiego Como. I dlatego policja nie może go złapać. Spójrzmy prawdzie w oczy, Maureen, po czterech napaściach policja wciąż nie ma zielonego pojęcia, kim jest prawdziwy Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego. Maureen aż zatkało z wrażenia.

– Ten mężczyzna myśli, że udało mu się popełnić zbrodnię doskonałą, prawda, Davidzie?

– O, jak najbardziej. Jest dumny z tego, co zrobił. I nie ma zamiaru przestać. Jego listy nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Ten człowiek lubi krzywdzić kobiety. Naprawdę lubi. I będzie to robił tak długo...

– Powiedziałeś o tym policji stanowej?

– Staram się to powiedzieć policji od momentu, kiedy usłyszałem o zastrzeleniu Eddiego Como, pokój jego duszy. Widzisz, Maureen, ten człowiek najpierw wrobił Eddiego, a później go zabił, żeby wyglądało na to, że kobiety są gwałcone przez nieżyjącego mężczyznę. Facet jest przebiegły. Naprawdę przebiegły. Właśnie to próbowałem cały czas powiedzieć policji.

– Doszło do rozmowy między tobą a policją?

– Sierżant Griffin spotkał się w końcu ze mną dziś rano. Ale spotkanie nie przebiegło najlepiej, Maureen. Pan Griffin najpierw zagroził, że postara się o zaostrenie mojego więziennego reżimu za to, że utrudniam śledztwo. Potem się zdenerwował i zaczął coś wygadywać o swojej żonie. A przecież byliśmy tylko przyjaciółmi, Maureen!

– Czy pokazałeś sierżantowi Griffinowi listy, które dostałeś?

– Nie dał mi nawet takiej sposobności. Od początku było jasne, że uważa, że kłamię.

Maureen pochyliła się do przodu.

– A kłamiesz, Davidzie?

David spojrział prosto w obiektyw.

– Nie, Maureen. A fakt, że wiem o płynie do higieny intymnej, dobitnie tego dowodzi. Zadzwoń do koronera. Zadzwoń do policji miejskiej. Powiedzą ci, że sprawca używał płynu do higieny intymnej o zapachu polnych kwiatów firmy Berkely and Johnson we wszystkich przypadkach, włącznie z ostatnim. Skąd mógłbym o tym wiedzieć, gdyby nie wyjawiał mi tego prawdziwy Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego?

Maureen odwróciła się do kamery i ze śmiertelną powagą oznajmiła:

– W rzeczy samej, dzisiaj rano dobrze poinformowane źródła ujawniły, że wspomniany płyn jest uważany za jeden ze znaków rozpoznawczych gwałciciela. Fakt ten nie został nigdy podany do publicznej wiadomości.

Butelkę po tym samym płynie znaleziono na miejscu morderstwa dokonanego ostatniej nocy na Sylvii Blaire, co potwierdza, iż padła ona ofiarą Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

– Odwróciła się z powrotem do Price’a i powiedziała: – Davidzie, uważam, że mówisz prawdę. Widzowie uważają, że mówisz prawdę. Wyjaw nam więc nazwisko prawdziwego gwałciciela.

A David Price, skruszony przestępca roku, odrzekł:

– Przykro mi, Maureen, ale chyba nie powinienem tego robić.

– Nie zatrzymuj się teraz, Davidzie. Pragniesz odkupić swoją winę. Pragniesz pomóc społeczeństwu. To twoja jedyna okazja. Nie zaprzepaszczaj jej.

– Mogę to powiedzieć policji i tylko policji.

– Ale sam stwierdziłeś, że policja ci nie wierzy.

– Tak. To smutne, bardzo smutne, Maureen. Zwłaszcza że dzisiaj rano otrzymałem kolejny list. Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego powstrzymywał się od ataków przez cały rok, ponieważ chciał najpierw zabić Eddiego. Teraz ma to już za sobą. Teraz pragnie odrobić stracony czas. Obawiam się... Nie, jestem całkowicie przekonany, że dziś wieczorem zaatakuje kolejną dziewczynę.

– Ma zamiar zaatakować dziś w nocy?

– Tak, Maureen. Jestem tego pewien.

Błękitne oczy dziennikarki błyszczały. Dłoń zaciskała się na mikrofonie tak mocno, że palce stały się białe. Była oszołomiona. Kamerzysta był oszołomiony. David bawił się, wyobrażając sobie, że oboje nie żyją.

– Davidzie, wyjaw nam jego nazwisko. Dopuściłeś się kiedyś okropnych zbrodni. Porywałeś i zabijałeś małe dzieci, skrzywdziłeś całe rodziny. Ludzie to pamiętają. Widzowie przed telewizorami patrzą na ciebie na pewno i zastanawiają się, dlaczego mieliby wierzyć takiemu potworowi jak ty. Powiedz im, jak się nazywa prawdziwy Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego. Pokaż im, że stałeś się innym człowiekiem.

– Nie mogę.

– Jak to nie możesz? – Maureen ledwo powstrzymywała się od krzyku. – To w końcu znasz jego nazwisko czy nie? Mów, Davidzie. Pomóż nam! Sam powiedziałeś, że kolejna niewinna studentka dzisiaj zginie!

– Znam jego nazwisko! Chcę pomóc! – jęknął skruszony grzesznik. – Ale... ale popatrz na mnie! Siedzę w więzieniu o zaostrozonym rygorze, Maureen. Żyję wśród najgorszych z najgorszych. Spójrz na mnie! Mam tylko metr siedemdziesiąt wzrostu! Ważę tylko sześćdziesiąt kilogramów. Na litość boską, Maureen, czy wiesz, co znaczy pobyt w tym miejscu dla człowieka mojej postury? Masz pojęcie?

– Co chcesz przez to powiedzieć, Davidzie?

– Informacja to władza, Maureen. Zarówno w więzieniu, jak i w życiu. A to jedyna informacja, jaką posiadam. To jedyna władza, jaką mam. Wybacz mi, Boże, ale nie mogę się jej ot tak wyrzec. Muszę mieć coś w zamian.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia wywiadu Maureen wyglądała na autentycznie zawiedzioną.

– Nie podasz nazwiska Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, jeżeli nic na tym nie zyskasz? Chodzi ci o własny interes, Davidzie?

Nadeszła najtrudniejsza część przedstawienia. David spuścił głowę, zerknął wstydliwie w kamerę.

– Bardzo mi przykro, Maureen. Naprawdę strasznie mi przykro. Wiem, że nie powinno się postępować w ten sposób. Ale nie ja wymyśliłem ten system. Siedzę w więzieniu i muszę

postępować według więziennych reguł.

– Czyżbyś liczył na to, że wyjdiesz z więzienia? Zgwałciłeś i zamordowałeś dziesięcioro dzieci, Davidzie. Pogrzebałeś ich ciała we własnej piwnicy. Bez względu na to, co teraz wiesz, ludzie poczują się zagrożeni, jeśli znajdziesz się na wolności.

– Wiem.

– Jesteś mordercą, Davidzie. Bądźmy szczerzy. Siedzisz w więzieniu o zaostrzonym rygorze nie bez powodu. I większość społeczeństwa jest wdzięczna za to, że się tu znalazłeś.

David wziął głęboki oddech.

– Jestem ojcem – wyznał.

– Jesteś ojcem?! – Maureen była tak zszokowana, że zatrzepotała rzęsami. Był to pewnie pierwszy i jedyny raz, gdy okazała przed kamerą prawdziwe emocje.

– Tak. Jestem ojcem. Mam pięcioletnią córeczkę, Maureen. A jeszcze nigdy nie pozwolono mi jej nawet zobaczyć...

Maureen opanowała się, zrobiła śmiertelnie poważną minę i zapytała:

– Czego chcesz, Davidzie?

– Chcę się zobaczyć z moją córeczką, to wszystko. Maureen, wcale nie wypieram się tego, co zrobiłem. Wiem, że nigdy nie opuszczę więziennych murów. Pogodziłem się z tym. Czuję się wręcz wdzięczny, że pozwolono mi żyć. Spotykam się z kapelanem. Czytam Biblię. Nie mogę zmienić tego, co zrobiłem, Maureen, ale staram się być lepszym człowiekiem...

– W takim razie powiedz, jak się nazywa Gwałciiciel z Miasteczka Uniwersyteckiego, Davidzie.

– Mam córkę – nie dawał za wygraną – która jest już w takim wieku, że zaczyna zauważać, że nie ma ojca jak inne dzieci. Chcę, żeby wiedziała, że to nie jej wina. Chcę, żeby wiedziała, że ktoś ją kocha. Chcę, żeby wiedziała, że ją kocham.

– O co w takim razie prosisz?

– O trzy godziny, Maureen. Tylko o to. Pragnę tylko trzygodzinnego spotkania z córką. Poza więzieniem. W cywilnym ubraniu. Pod pełną kontrolą policji. Chcę zobaczyć ją ten jeden jedyny raz. Powiedzieć, że ją kocham. Powiedzieć, że nie mogę być jej ojcem, ale że to nie jej wina.

– Chcesz, żeby władze zgodziły się wypuścić seryjnego mordercę na ulicę? Na trzy godziny? David uniósł dłonie.

– Pod czujnym okiem policji, Maureen. Władze zezwalają na takie przepustki w szczególnych przypadkach. Na przykład przy pogrzebie bliskiej więźniowi osoby. Będę skuty kajdankami i łańcuchem przez cały czas. Policja może wybrać miejsce spotkania. To i tak lepsze, niż gdyby córka miała przyjść tutaj. Spójrzmy prawdzie w oczy, to nie miejsce dla dziecka.

Maureen marszczyła brwi, ale po raz pierwszy wydawała się skłonna rozważyć jego propozycję. A skoro ona była skłonna ją rozważyć, inni też będą...

– Trzygodzinna przepustka, pod strażą, w kajdanach. A w zamian za to wyjawisz nazwisko Gwałciiciela z Miasteczka Uniwersyteckiego.

– Tak.

– Jak się nazywa twoja córka, Davidzie?

– Nie powiem.

– Jak się nazywa dziecko, które tak bardzo kochasz?

– Moja córeczka naprawdę istnieje, Maureen. Możesz zapytać policję. Ale nie powiem w telewizji, jak się nazywa. Nigdy bym jej tego nie zrobił.

Maureen jeszcze raz spróbowała szczęścia.

– W takim razie podaj teraz nazwisko gwałciciela, Davidzie, a ja załatwię z władzami te trzy godziny poza więzieniem, o które prosisz. Jestem pewna, że po wyświadczeniu miastu tak wielkiej przysługi da się to załatwić.

– Jesteś bardzo miła, Maureen.

– Dziękuję, Davidzie.

– Ale ja nie jestem głupi.

– Słucham?

– Najpierw wyjdę z więzienia i zobaczę się z córką. A potem od razu zwrócę się do najbliższego policjanta i wyjawię mu nazwisko Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego. Taka jest moja propozycja. Mam nadzieję, że władze się na nią zgodzą. Dla dobra całego Providence, dla dobra nas wszystkich. Gwałciciel z Miasteczka Uniwersyteckiego jest wygłodniały. Gdy zapadnie zmrok, znowu zaatakuje.

– Davidzie...

– Aha, jeżeli mnie pan słucha, sierżancie Griffin, jeszcze raz to powtórzę. Ja i pańska nieziemsko piękna żona byliśmy tylko przyjaciółmi. Słowo.

GRIFFIN

Griffin z trudem panował nad gniewem. Pochylił się nad ogromnym biurkiem z wiśniowego drzewa i wbił wzrok w młodego mężczyznę, który miał nieszczęście zarządzać bankiem spermy.

- Sprzątacze. Nazwisko. Natychmiast! – zażądał.
- Przecież panu mówię, że nie mamy sprzątacza.
- To kto sprząta?
- Osobna firma.
- Nazwa, ale już!
- Muszę sprawdzić w papierach.
- To sprawdź pan, do cholery!

Dyrektor odwrócił się pośpiesznie w stronę szafy z wiśniowego drewna i roztrzęsioną wymanikiowaną dłonią sięgnął po uchwyt szuflady, pocąc się przy tym w swoim garniturze od Armaniego jak mysz. Wyglądało na to, że na bezpłodności można zarobić. I to nieźle.

- Firma nazywa się Korporate Klean – odparł po dwóch minutach dyrektor.
- Adres?

Dyrektor wręczył Griffīnowi teczkę z dokumentami. Detektyw przerzucił strony.

- Nie ma nazwisk osób, które u pana sprzątaję.
- Dobór personelu leży w gestii Korporate Klean.
- Jak często się tu sprząta?
- Każdego wieczoru.
- A w dzień?
- Kiedy trzeba zrobić większe porządki. Na przykład umyć okna, wypolerować poręcze w windach i na schodach. No i jeszcze pranie. Parę razy w tygodniu przynoszą po południu świeże ręczniki, obrusy, ściereczki. Dbamy, żeby nasi klienci czuli się jak u siebie w domu, a nie jak w szpitalu.

- Jak miło z waszej strony. Kto przynosi pranie?
- Nie wiem.
- Z ilu osób składa się grupa sprzątaczy?
- Nie wiem.
- Zawsze przychodzą ci sami?
- Nie wiem Panie Matthews...
- Wszystko załatwia firma Korporate Klean, sierżancie. Przykro mi, naprawdę staram się pomóc. Ale nie interesujemy się takimi szczegółami. Będzie pan musiał porozmawiać z dyrekcją Korporate Klean.

- Dziękuję za pomoc – mruknął Griffin i wyszedł.

W windzie Fitz oznajmił:

- Słyszałem o Korporate Klean.
 - Policja miejska zatrudnia firmę do sprzącania? – parsknął Waters. – Nigdy bym nie zgadł.
- Fitz łypnął na chudego detektywa spode łba.
- Nie zatrudnia. Sprawdzaliśmy ich parę razy. Wy też powinniście o nich słyszeć. Korporate Klean zatrudnia głównie byłych skazańców.

– Co? – Griffin przestał chodzić po windzie w tę i z powrotem i spojrzął na Fitzę.

Miejski gliniarz wzruszył ramionami.

– To jedna z tych firm „drugiej szansy”, rozumiesz. Zarządza nią kilku postrzelonych liberałów, którzy wierzą, że ludzie naprawdę mogą się zmienić na lepsze. Facet odsiaduje wyrok, wychodzi z pierdła i musi od czegoś zacząć. Idzie więc do Korporate Klean i powraca do zdrowego społeczeństwa jako sprzątac. Prześwietlaliśmy ich kilka razy, ale nigdy niczego nie znaleźliśmy. Wszyscy się starają, ciężko pracują i do tego świetnie się ze sobą dogadują. Tak przynajmniej twierdzi właściciel, niejaki Sal Green.

– I firmy godzą się na to, żeby sprząтали u nich byli więźniowie? – zdziwił się Waters.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle o tym wiedzą. Sam słyszałeś Pana Spermohandlarza. Korporate Klean za to wszystko odpowiada.

– Po prostu bomba – mruknął Griffin pod nosem. – Kiedy poprosimy dyrekcję o listę osób z wyrokami, dostaniemy całą kartotekę.

– Tak, ale nie wszyscy sprząтали w banku spermy.

Zadzwoniła komórka. Griffin przyłożył ją do ucha w momencie, gdy zjechali na parter.

– Oglądałeś wiadomości? – zapytała porucznik Morelli.

– Słuchałem radia.

– Powinieneś wrócić do biura...

– Prawie go mamy, pani porucznik. Tawnya zeznała, że Eddie parokrotnie sprzedawał nasienie bankowi spermy, który, jak się przed chwilą dowiedzieliśmy, jest sprzątanym przez firmę zatrudniającą byłych skazańców. Właśnie jedziemy do Korporate Klean. Za godzinę, dwie będziemy znali nazwisko sprawcy.

– Sierzancie, w świetle tego, co powiedział na antenie David Price...

– Nic mi nie jest, pani porucznik.

– Doceniamy twoje zaangażowanie, ale uznaliśmy, że najlepiej będzie...

Griffin podał telefon Watersowi.

– Powiedz pani porucznik, że nic mi nie jest. – Prawdopodobnie nie powinien był warczeć, kiedy to mówił.

Waters przyłożył telefon do ucha.

– Dzień dobry, pani porucznik. Aha, tak, tak, tak jest. Aha. Dobrze. Oddał komórkę Griffinowi.

– Nie chce się zgodzić.

– Psia mać, chyba rzeczywiście muszę zmienić wodę kolońską. – Griffin podniósł telefon do ucha, jednocześnie otwierając drzwiczki do samochodu. – Pani porucznik, dorwiemy go. Przed szóstą. Bez pomocy Davida Price'a. Przyskrzynimy skurczybyka, daję słowo.

– Przygotowujemy się do wypuszczenia Price'a – powiedziała cicho porucznik Morelli.

– Co?!

– Planowany czas opuszczenia przez więźnia zakładu karnego: szósta zero zero. Współpracujemy ze strażą więzienną, szeryfem i brygadą antyterrorystyczną. Poprowadzę całą akcję.

– Pani porucznik, proszę tego nie robić. On właśnie na to czeka. Nie róbcie tego, na Boga!

– Uważasz, że sobie nie poradzę, sierzancie?

– Tu nie chodzi o panią – stęknął Griffin, zamykając oczy. – Ani o mnie. Tu chodzi o Davida Price’a. Niech pani posłucha, gwałty zaczęły się ponad rok temu. Niech pani o tym pomyśli. To znaczy, że Price miał dwanaście miesięcy na wymyślenie i drobiazgowo zaplanowanie ucieczki. Przecież nie chodzi mu o spotkanie z córką, na litość boską.

– Myślisz, że sobie nie poradzę, sierżancie?

– Państwo Pesaturo nigdy się na to nie zgodzą – odparł zdesperowany. – Nie pozwolą, żeby ich pięcioletnia wnuczka została wykorzystana jako przynęta.

– Państwo Pesaturo osobiście poprosili o spotkanie. Właśnie ich telefon zaważył na naszej decyzji – odrzekła pani porucznik.

– Co? Jak to? Dlaczego?

– Dostali list. Jeżeli David Price nie zobaczy się z Molly, oni już nigdy nie ujrzą Meg. Do listu dołączono fotografię. Teraz rozumiesz, w jak trudnej sytuacji się znaleźliśmy?

– Zabezpieczył się na każdą ewentualność – mruknął Griffin. – Jeżeli nacisk opinii publicznej nie wystarczy, na pewno ugniemy się przed błaganiami rodziny ofiary. Może pani rozstawić tylu snajperów na miejscu tego „spotkania”, ilu pani chce, a i tak żaden nie będzie mógł strzelić. Jeśli coś stanie się Davidowi, Meg umrze. Niech pani o tym pomyśli, pani porucznik. Załatwił sobie ludzką tarczę. To genialne! Oto, co znaczy dwanaście miesięcy planowania.

Pani porucznik nie odpowiedziała od razu, więc prawdopodobnie zgadzała się z Griffinem. Czasem jednak nie można uniknąć manipulacji, nawet gdy człowiek zdaje sobie z niej sprawę.

– Jest trzecia po południu – oznajmiła Morelli. – Organizuję już grupę operacyjną. – Po czym dodała szeptem: – Griffin... wiemy, z kim mamy do czynienia. Biorę najlepszych ludzi, najlepszy sprzęt. Mnie też nie podoba się wypuszczenie Price’a z więzienia. Ale jeśli do tego dojdzie, chcę być przygotowana jak najlepiej.

– Dorwiemy tego faceta – zapewnił Griffin.

– Czekam na to. Aha, sierżancie, jeżeli złapiesz Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, pamiętaj o tym, czego się nauczyłeś przez ostatni rok. Pamiętaj, że musimy odnaleźć Meg.

KLUB OFIAR

Mężczyzna otworzył drzwi do piwnicy. Meg usłyszała skrzypienie starych drewnianych schodów, a potem nucenie. Już wcześniej złożył jej wizytę. Zatrzymał się przy schodach, powiedział, żeby się uśmiechnęła, i włączył światło. Usłyszała pstryknięcie aparatu. Kiedy odchyliła głowę, próbując coś zobaczyć przez dolną szparę opaski na oczach, wyłączył światło i wyszedł. Znowu została sama.

Teraz usłyszała zbliżające się kroki i instynktownie przywarła do betonowej ściany.

– Jak się ma nasza słodka Meg? – wyszeptał mężczyzna. Poglądził ją po policzku. Gdy odwróciła głowę, zachichotał, powiódł dłonią po jej szyi i wetknął palce pod kołnierz. – No no no, ale się spociłaś.

Z lateksowym kneblem na ustach nie mogła nic powiedzieć, nawet nie próbowała.

– Ojoj – mruknął mężczyzna. – Davidowi chyba by się to nie spodobało. Może zanim przyjdzie, powinienem cię wykąpać. Już wyobrażam sobie ciebie nagą i związaną w wannie. Jeszcze tego nie próbowałem. Myślę, że mogłoby być przyjemnie.

Jego dłoń powędrowała pod jej koszulę i spoczęła na piersi. Tym razem nie ścisnął jej ani nie szczypał. Po prostu trzymał rękę na staniku, jakby próbował dać jej do zrozumienia, że może zrobić z jej ciałem, co mu się żywnie spodoba. A ona nie była w stanie nic na to poradzić.

– Cóż – oznajmił. – Mam jeszcze jedną robótkę do wykonania. Muszę przygotować małą niespodziankę dla Davida. Jestem pewien, że pięknie z radości. Życz mi szczęścia, kochanie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będę miał czas, żeby wrócić i trochę się z tobą zabawić.

Jego palce zacisnęły się. Przycisnęła policzek do wilgotnej ściany, ledwo powstrzymując się od wymiotów. Mężczyzna zachichotał.

– Do zobaczenia wkrótce, Meg. – Pocałował ją w szyję i, znowu nucąc pod nosem, zaczął wchodzić po schodach.

Kiedy zatrzasnęły się drzwi, Meg odetchnęła z ulgą. Opadła na klepisko, jej nogi drżały, a zdrtwiałe ręce napinały się boleśnie. Próbowała płakać, lecz łzy nie chciały płynąć. Od porwania nic nie piła, zaczęła odczuwać pierwsze symptomy odwodnienia.

Pociągnęła nosem, wzięła głęboki oddech i zadarła głowę w stronę haka, którego nie mogła zobaczyć. Kiedy wychylała się do przodu, nic się nie działo. Ale gdy cofnęła się pod dotykem oprawcy, poczuła chrzęst metalu o tynk. Jeżeli hak trochę się rusza, to może z czasem uda jej się go wyrwać.

Nie było to wiele, ale nie miała innego wyjścia. Zaczęła się chybotać. Meg, ludzkie wahadło. W tył i w przód. W tył i w przód.

David Price nadchodzi. David Price nadchodzi.

Porucznik Morelli siedziała w salonie państwa Pesaturo. Gdy tylko się zjawiała, Toppi zabrała Molly na górę. Pani porucznik rozłożyła na dywanie plan miasta, popatrzyła na Toma, Laurie, Jillian i Libby i oświadczyła:

– Oto, co zrobimy. Na spotkanie musimy wybrać miejsce publiczne, które można łatwo monitorować. Zależy nam też na tym, żeby było to miejsce mało uczęszczane, bo chcemy uniknąć problemów z przypadkowymi przechodniami.

– Ma pani na myśli zakładników – mruknęła Jillian.

– Najbardziej podoba nam się ten park. – Morelli wskazała palcem zielony kwadracik na mapie. – Mamy tu bezpośredni dostęp do ulicy, który można łatwo zabezpieczyć. Oczywiście zamkniemy ruch na wszystkich okolicznych drogach. Sam park jest mało zadrzewiony, trudno w nim znaleźć jakąkolwiek kryjówkę...

– Ma pani na myśli Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, który będzie chciał odbić Price'a – zauważyła Jillian.

Tym razem pani porucznik posłała jej surowe spojrzenie, dając do zrozumienia, że cywile powinni siedzieć cicho.

– Możemy także rozlokować snajperów na dachach tego, tego i tego budynku – wyjaśniała dalej. – A to oznacza, że przez całe trzy godziny będziemy mieli Price'a na muszce.

– A co się stanie z naszą córką jeśli go zastrzelicie? – zapytał Tom.

– Snajperzy nie użyją broni bez mojego rozkazu.

– Co to znaczy? – spytała Laurie.

– To znaczy, że zdajemy sobie sprawę, że Price jest w posiadaniu informacji, które mogą się okazać kluczowe dla śledztwa. Dołożymy więc wszelkich starań, aby operacja przebiegła zgodnie z planem.

– Ale w pewnych okolicznościach może pani wydać rozkaz otwarcia ognia – odezwała się Jillian.

– Jesteśmy profesjonalistami – powiedziała porucznik Morelli. – Wiemy, co robimy.

Jillian, Tom, Laurie i Libby wymienili spojrzenia. Chyba wiedzieli, co to znaczy. Snajperzy nie zabiją Davida Price'a, dopóki policja nie straci nad nim kontroli. Ale jeśli pojawi się możliwość, że ucieknie... Jeśli trzeba będzie wybierać między życiem niewinnej dziewczyny a śmiercią seryjnego mordercy, który pod żadnym pozorem nie może wrócić na wolność...

– Szeryfowie stanowią przewiozą Price'a z zakładu karnego do parku – podjęła porucznik Morelli. – Transport więźniów należy do ich codziennych obowiązków i znają się na nim najlepiej. Ze względu na wyjątkowość sytuacji policja zapewni dodatkową eskortę, a trasa przewozu będzie z góry ustalona i odpowiednio zabezpieczona. Po przyjeździe do parku szeryfowie stanowią przekażą Price'a dwóm detektywom stanowym na czas spotkania.

– Będzie w cywilnym ubraniu? – zapytała Laurie.

– Adwokat Price'a ma je dostarczyć o czwartej. Oczywiście każda część garderoby zostanie dokładnie sprawdzona, a sam więzień przeszukany.

– Cały czas będzie skuty? – upewnił się Tom.

– Oczywiście. Będzie miał kajdany na kostkach i dłoniach. Poza tym ręce będą przytwierdzone łańcuchem do pasa. Jego zdolność poruszania się będzie poważnie ograniczona. A teraz porozmawiajmy o Molly...

– Nie chcę, żeby jej dotykał! – jęknęła Laurie.

– Przez cały czas będzie ich dzieliła odległość trzech i pół metra.

– Wolałbym, żeby to był cały park – mruknął Tom.

– Jeśli uznamy to za stosowne, zwiększymy odległość – odrzekła pani porucznik.

– Więc jeżeli David zacznie się dziwnie zachowywać... – szepnęła Jillian.

– Nie pozwolimy mu się do niej zbliżyć – dokończyła za nią Morelli. Tom westchnął. Było widać, że nie podobało mu się to, co miało nastąpić, lecz jednocześnie czuł, że nie ma innego wyjścia.

– Jeśli chodzi o eskortę Molly... – ciągnęła Morelli.

– My ją zabierzemy! – przerwał jej Tom.

– Wolelibyśmy, żebyście tego nie robili.

– Nie ma mowy! Chodzi o naszą córkę... wnuczkę. Molly nas potrzebuje, potrzebuje naszego wsparcia. Będziemy przy niej przez cały czas.

– Panie Pesaturo, rozumiemy pańskie obawy. Ale byłoby to zbyt ryzykowne. Uważamy, że będzie lepiej, jeśli ograniczymy udział cywilów i pozwolimy działać doświadczonym profesjonalistom.

– Jestem jej ojcem i nie odstąpię jej na krok.

– Panie Pesaturo, osobiście odprowadzę Molly...

– Jestem jej ojcem!

– Sama mam dwie córki! – zdenerwowała się porucznik Morelli. Po chwili jednak opanowała się i powiedziała spokojnie: – Panie Pesaturo, nie wiemy, jakie są prawdziwe intencje Price'a. Podejrzewamy jednak, że chodzi mu o coś znacznie więcej niż zwykłe spotkanie z nigdy niewidzianą córką. Co pan zrobi, jeśli Price z czymś wyskoczy?

– Zabiję sukinsyna. – Tom spostrzegł jej minę i pośpiesznie dodał: – W samoobronie, ma się rozumieć.

– A co z Meg?

– Nie... nie wiem. – Znowu spuścił głowę. Meg nie było już od sześciu godzin. W tym czasie mogło się stać wiele okropnych rzeczy. – A co pani by zrobiła? – wyszeptał.

– Nie wiem – odparła łagodnie pani porucznik. – Podejrzewam, że nikt z nas nie będzie tego wiedział, dopóki nie będzie trzeba podjąć decyzji. Chodzi mi jednak o to, że jako osoba bardziej doświadczona w tych sprawach potrafię podejmować tego typu decyzje lepiej i szybciej.

– To absurdalne – odezwała się Laurie. – Robimy dokładnie to, czego chce Price.

Porucznik Morelli milczała.

– Nie można by zmusić go w jakiś sposób, żeby powiedział, gdzie jest Meg i jak nazywa się gwałciciel?

– Price odsiaduje dożywocie – odparła Morelli. – To najsurowsza kara przewidziana przez prawo stanu Rhode Island.

– Ale w więzieniu stosuje się dodatkowe obostrzenia – wtrąciła się Jillian. – Na przykład w razie niesubordynacji.

– Więzień może być przetrzymywany cały dzień w celi, przez co traci możliwość kontaktu z innymi, przebywania na świeżym powietrzu i prawo do innych dostępnych rozrywek.

– To postraszcie go tym! – zawołał Tom. – Powiedzcie, że go odizolujecie.

Sierżant Griffin już to zrobił. Na Davidzie nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia. – Morelli pochyliła się do przodu. – Będę z panem szczerą, panie Pesaturo. Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy odizolować Price'a i przekonać się, czy naprawdę jest taki twardy, jak mu się wydaje. Niestety, wygląda na to, że on zdaje sobie sprawę z sytuacji i dlatego narzucił nam taki morderczy termin. Jeżeli nie zrobimy tego, o co prosi, coś złego może się stać Meg albo innej niewinnej dziewczynie. Wiemy, że to, co postanowiliśmy, odbiega od ideału. Ale robimy wszystko, co w naszej mocy, aby cała operacja się powiodła. Dlatego panie Pesaturo, osobiście chciałabym eskortować państwa wnuczkę. Obiecuję, że dołożę wszelkich starań, by wróciła bezpiecznie do domu.

- Czy sierżant Griffin też tam będzie? – zapytała Jillian. Morelli spojrzała na nią surowo.
- Sierżant zajmuje się innym obszarem śledztwa.
- Myślę, że warto rozważyć jego obecność na miejscu spotkania – nie dała za wygraną Jillian. – Czy to nie on zna Price’a najlepiej?
- Sierżant Griffin uważa, że trafił na dobry trop. Uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli pozwolimy mu nim pójść.
- Czy pan sierżant podejrzewa, gdzie jest Meg? – zapytała z nadzieją Laurie.
- Pani porucznik milczała. Jillian domyśliła się odpowiedzi.
- Griffin uważa, że uda mu się złapać gwałciiciela bez pomocy Davida Price’a.
- Robimy wszystko, co w naszej mocy, by nie wypuścić Price’a poza mury więzienia – zapewniła pani Morelli.
- Chwała Bogu – powiedziała Laurie.
- Siedząca obok Jillian Libby stuknęła palcem w książeczkę.
- Ale – przypomniała im pani porucznik – musimy być przygotowani na ewentualność, że spotkanie dojdzie do skutku. Dlatego proszę, żebyście pozwolili mi państwo eskortować Molly...
- Nie!
- Panie Pesaturo...
- Nie – powtórzył Tom, po czym spojrzał na żonę i ujął ją za rękę. Oboje popatrzyli na panią porucznik. – Wychowaliśmy Molly jako córkę. Ona nas potrzebuje. Przejdziemy przez to wspólnie. Jako rodzina.
- A jeśli Price czegoś spróbuje?
- To przekonamy się, jak dobrzy są pani snajperzy, prawda, pani porucznik?

Czwarta po południu.

Griffin, Fitz i Waters w końcu odnaleźli siedzibę Korporate Klean, czyli stary, walący się magazyn w południowym Providence, stojący pośród jeszcze starszych i jeszcze bardziej zrujnowanych budynków. Wyglądało na to, że firmy sprzątające nie zarabiały tyle co, powiedzmy, banki spermy.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Griffin zaczął wciskać guziki od domofonu, a Waters podniósł wzrok na kamerę. Dopiero po czterech czy pięciu dzwonek w głośniczku odezwał się skrzekliwy kobiecy głos.

- Czego?
 - Szukamy firmy Korporate Klean – odrzekł Griffin.
 - Po co?
 - Jesteśmy bardzo brudni i potrzebujemy porządnego szorowania, a jak pani myśli?
 - Gliny?
 - Gorzej – oświadczył Griffin. – Policja podatkowa.
- Podziałało. Natychmiast rozległo się bzyczenie otwieranych drzwi.

Banda byłych więźniów nie miała dla gliniarzy niczego oprócz pogardy. Wszyscy czuli jednak respekt przed policją podatkową.

Mieszczące się na czwartym piętrze biura Korporate Klean odbiegały wyglądem od reszty budynku. I to na plus. Jasnoszara wykładzina na podłodze była stara i wytarta, a kremowe ściany śmiertelnie nudne, za to wszystko lśniło czystością, a w powietrzu unosił się zapach detergentów.

Pewnie tutaj byli skazańcy uczą się nowego fachu.

Trzej detektywi podeszli do pustego biurka w niewielkim pomieszczeniu recepcyjnym i wbili wzrok w długi wąski korytarz po drugiej stronie, czekając niecierpliwie, aż ktoś w końcu raczy się pokazać. Griffin założył ręce na plecy, żeby nikt nie zauważył, że się trzęsą. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał gapiącego się na niego Watersa. Chyba nikogo nie udało mu się oszukać.

Czwarta zero trzy. Coraz mniej czasu. Jezu...

Drzwi na końcu korytarza wreszcie się otworzyły. Wyszła z nich dziewczyna, która miała na sobie o wiele za dużo kolczyków i o wiele za mało ubrań.

– W czym mogę pomóc? – zapytała i spojrzała na nich z nadszpodziewaną odwagą jak na kobietę stojącą półnago przed trzema mężczyznami.

– Szukamy właściciela Korporate Klean.

– Mogę spytać, w jakiej sprawie?

– Podatków.

– Agenci IRS nie składają domowych wizyt.

– Skąd pani wie? – zapytał Griffin, pokazując odznakę. – To ważna sprawa. Proszę znaleźć właściciela. Natychmiast.

Dziewczyna uniosła srebrną od kolczyków brew, zmierzyła ich lekceważącym spojrzeniem, żeby sobie nie myśleli, że się boi, po czym zniknęła z powrotem w głębi korytarza.

Noga Griffina zaczęła drgać. Zaczął się więc przechadzać w tę i z powrotem po recepcji, a Waters i Fitz zerkali na niego ukradkiem zafrasowani.

Kolejna długa, niekończąca się minuta. Jedna z wielu straconych minut. Co jest? Czy nikt tutaj nie rozumie znaczenia upływającego czasu?

Wreszcie półnaga recepcjonistka znowu stanęła w drzwiach. Pan Sal Green przyjmie ich teraz. Proszę nie zniszczyć niczego po drodze.

Za późno. Popędzili przez korytarz i wpadli z hukiem do gabinetu.

– Panowie – powitał ich chudy mężczyzna w wyblakłych dżinsach i z zawiązanymi w kucyk szpakowatymi włosami. Poderwał się z opóźnieniem na nogi i niezgrabnym ruchem ręki wskazał im dwa puste krzesła.

– Policja – huknął Griffin.

Green nie był pod wrażeniem. Wzruszył ramionami, a potem oznajmił:

– Mógłbym powiedzieć, że zaskakuje mnie wasza wizyta, ale to, rzecz jasna, nieprawda. Co się stało tym razem, panowie? Komuś zginął w biurze spinacz i w ramach śledztwa przyszlście podręczyć ulubionego kozła ofiarnego?

– Policja stanowa nie zajmuje się zaginionymi spinaczami.

Ach, tak. Słusznie, słusznie. W takim razie któryś z moich podopiecznych przekroczył dozwoloną prędkość. Wiecie, panowie, naprawdę możecie wręczyć byłemu więźniowi mandat. Nie wszyscy skazańcy gryzą. Ciśnienie Griffina skoczyło o kolejne pięćdziesiąt punktów. Łypnął na Watersa porozumiewawczo.

– Potrzebujemy informacji – powiedział Waters.

– Serio?

– Musimy się dowiedzieć, kto sprząta bank spermy w Pawtucket, i kiedy te osoby zaczęły u pana pracować.

– W takim razie będziecie potrzebować nakazu sądowego.

– W takim razie pan będzie potrzebował gipsu – warknął Griffin.

– Uuuu, dobry glina, zły glina. – Green zwrócił się do Fitz: – A ty jaką grasz rolę? Komicznego ofermy?

– Jestem tu jako świadek, który zezna, że ci dwaj wcale pana nie skrzywdzili – wyjaśnił uprzejmie Fitz.

– Dajcie sobie spokój. – Green usiadł za biurkiem. – Słuchajcie, prowadzę dobrą firmę, zatrudniam dobrych ludzi. Co miesiąc przetrząsacie mi dane o personelu i do tej pory niczego nie znaleźliście. Bez względu na to, o co teraz chodzi, załatwcie nakaz. Jeżeli macie dowód, że któryś z moich pracowników coś przeszkrobał, na pewno sędzia się na to zgodzi.

– Nie mamy czasu – zaprotestował Waters.

– A ja nie mam miliona dolców. Takie jest życie.

Griffin miał już dość. Oparł ręce na biurku i pochylił się do przodu, aż jego nos znalazł się w odległości zaledwie trzech centymetrów od nosa Greena.

– Chodzi o Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego, rozumie pan? Ogląda pan telewizję? Green zamyślił się. Odwrócił wzrok od Griffina i zmarszczył brwi.

– Moi ludzie pracują w nocy...

– Nie w każdą noc.

– Sam ich sprawdzam. Nie mamy nikogo z historią przestępstw seksualnych. Kobiety z mojego personelu nie zgodziłyby się na to. Albo zrobiłyby takiemu facetowi krzywdę.

– Ten facet nigdy nie został skazany.

– To skąd wiecie, że u mnie pracuje? Niech pan posłucha, sierzancie. Jestem tylko zapracowanym drobnym przedsiębiorcą, a pan wcale mnie nie przekonał.

– Mamy swoje powody. Poważne powody...

– To proszę je przedstawić sędziemu – uciął Green, po czym podniósł słuchawkę, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Griffin wcisnął słuchawkę z powrotem na widełki.

– Jeżeli zginie następna dziewczyna...

– To wie pan, gdzie mnie szukać, prawda, sierzancie?

– Ty skurwysynu – warknął Fitz.

Green spiorunował go wzrokiem. Też był zdenerwowany.

– Panowie, jako policjanci powinniście wiedzieć, że musicie mieć nakaz. Na waszym miejscu zacząłbym szukać sędziego. Bo, szczerze mówiąc, o piątej mam zamiar pojechać do domu.

Słyszając to, Griffin o mało na niego nie skoczył. Znowu dzwoniło mu w uszach. Waters położył mu rękę na ramieniu. Griffin powstrzymał się w ostatniej chwili. Weź głęboki oddech, pomyślał. Policz do dziesięciu. Policz do dwudziestu. Facet jest dupkiem. Na świecie roi się od dupków.

– Jeszcze tu wrócimy – powiedział Griffin.

– Jak Schwarzenegger – zauważył cierpko Green, znowu podnosząc słuchawkę.

Wybiegli z budynku. Czwarta trzydzieści dwie.

– Potrzebujemy sędziego, przyjaznego sędziego – wysapał Griffin.

– Znam takiego – zapewnił bez wahania Waters.

– Dobra, ty i ja pojedziemy po nakaz. A ty – Griffin zwrócił się do Fitz – obserwuj budynek.

Nie chcę tu pędzić z papierem w zębach tylko po to, żeby pocałować klamkę.

– No no, sam na sam z byłymi więźniami. Już nie mogę się doczekać.

– Oni też. Chodź, Mike. Jedziemy.

Fitz wrócił do budynku. Waters i Griffin wsiedli do samochodu Watersa. Niebo wciąż było błękitne, trzy godziny do zmroku. Ale zmrok nadejdzie, nadejdzie szybko. David Price wyjdzie z więzienia, podejdzie do pięcioletniej córki. A jakaś studentka wyjdzie z uczelni i nieświadoma niebezpieczeństwa wróci do domu.

A Meg? A Carol? A Jillian?

Griffin zawiódł raz żonę. Zawiódł dziesięcioro bezbronnych dzieci. Zawiódł samego siebie. Teraz był podobno starszy i mądrzejszy. Nie chciał znowu spartaczyć sprawy.

– Jak samopoczucie? – spytał zaniepokojony Waters.

– Trzymam się.

– Ledwo.

– Robię postępy.

Czwarta czterdzieści pięć.

Strażnik więzienny zatrzymał się przed pojedynczą odizolowaną celą, do której tymczasowo przeniesiono Davida Price'a.

– Ręce – powiedział.

– Już chcecie mnie skuć? Kurde, naprawdę niczego nie zaniedbujecie.

– Ręce – powtórzył strażnik.

David wzruszył ramionami. Wystawił dłonie przez okienko w drzwiach celi. Strażnik zatrzasnął mu na nadgarstkach kajdanki. David wsunął ręce do środka i po chwili drzwi się otworzyły. Strażnik wyciągnął go za ramię i poprowadził w stronę pokoju rewizji.

– Mogę wpaść po drodze do swojej celi? – zapytał David.

– Po co?

– Wolę tamten kibelek. Wiesz, w nowej celi trudno się rozluźnić.

– Jedz więcej błonnika – odrzekł strażnik i poprowadził go dalej. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, przed którymi stało trzech strażników. Jeden z nich właśnie zakładał gumowe rękawiczki.

– Pełna rewizja osobista? – David uniósł brew. – A już myślałem, że to mój szczęśliwy dzień.

Strażnik spojrzał na niego kamiennym wzrokiem. David wzruszył ramionami.

– Cóż, skoro taka jest cena wolności. – Wszedł do pokoju, gdzie na stole leżały jego ulubione koszula i spodnie. Ubrania prawdopodobnie już zostały przeszukane. Teraz kolej na niego.

Odwrócił się od ubrań, starając się nie uśmiechać zbyt radośnie.

– Nareszcie wolny – mruknął pod nosem, unosząc ręce nad głowę. – Nareszcie wolny. O, wielki Boże, nareszcie wolny.

Piąta zero zero.

David Price pochylił się.

Griffin i Waters stanęli przed sędzią.

Fitz patrzył na półnągą recepcjonistkę.

Tawnya karmiła małego Eddiego.

Meg kiwała się w tył i w przód.

Prawa ręka Carol zaczęła drgać.

Jillian siedziała w domu państwa Pesaturo, myśląc o Meg, Carol, Trishy, Sylvii Blaire i planie Davida Price'a. Coś tu nie gra, pomyślała, rozmasowując skronie. Ale co?

Molly siedziała na podłodze w swoim pokoju i czekała.

PRICE

- Potrzebujemy nakazu...
- Mamy uzasadnione podejrzenie...
- W sprawie Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego...
- Como sprzedał nasienie bankowi spermy w Pawtucket...
- Gwałciciel musiał mieć dostęp do próbek, żeby podłożyć spermę na miejscu zbrodni...
- Musimy przejrzeć dane personelu. Natychmiast!

Może nie był to najbardziej elegancki sposób przedstawienia sprawy sędziemu, ale okazał się skuteczny. O piątej jedenaście Griffin i Waters mieli nakaz w rękach. Z prędkością stu kilometrów na godzinę wrócili do Korporate Klean. Pałac gumę, wzięli ostry zakręt na parking przed budynkiem i z piskiem opon zajechali przed wejście.

Przed drzwiami ujrzeni Fitz, który trzymając Greena za ramię, tłumaczył mu coś z furją. Zdaje się, że Green postanowił wcielić w życie groźbę, że o piątej pójdzie do domu. Fitz zaś starał się dotrzymać obietnicy, że mu na to nie pozwoli.

Griffin zatrzymał samochód przed samym wejściem, a Waters wystawił przez okno nakaz.

– Domagamy się natychmiastowego dostępu do danych personelu! – oświadczył Waters.

Sal Green westchnął i pokręcił głową, zaskoczony ich determinacją. Po chwili odwrócił się z powrotem w stronę budynku.

Pięć minut później wymierzył trzy porządne kopniaki starej metalowej kartotece i otworzył dolną szufladę.

– To moi obecni pracownicy – oświadczył.

Griffin zerknął na rząd kartek. Co najmniej pięćdziesiąt. Nie mieli czasu przeglądać ich po kolei.

– Ludzie, którzy sprzątają lub sprząтали bank spermy – zażądał.

– Jestem zwolennikiem częstych rotacji. W ten sposób pracownicy ciągle mają się na baczności.

– Data zatrudnienia: od listopada do kwietnia. Szybko!

Przez moment wydawało się, że Green zaprotestuje. Griffina zaczęły świerzbic ręce. Starał się pamiętać o tym, co powiedziała porucznik Morelli. To samo słyszał zresztą od psychoanalityka, braci i Watersa. Wciąż jednak miał przed oczyma mroczną piwnicę i równy rząd dziesięciu dziecięcych mogił.

Green wyciągnął po kolei odpowiednie pliki dokumentów. Griffin pomyślał, że to najlepsza rzecz, jaką facet zrobił tego dnia.

Razem z Watersem i Fitzem zaczęli przeglądać papiery. Po dziesięciu minutach Fitz wykrzyknął:

– Hej, znam tego gościa! Ron Viggio. Sam go aresztowałem kilka lat temu. Podglądacz. Niestety, kobieta była zbyt zawstydzona, żeby wnieść oskarżenie.

– Podglądacz – mruknął Waters. – Dobry materiał na gwałciciela.

– Zaraz, ja wiem tylko tyle, że został aresztowany za włamanie i wtargnięcie – zaprotestował Green. – Viggio od razu mi o tym powiedział. Zapewnił, że to było zwykłe nieporozumienie. Chciał zrobić niespodziankę swojej dziewczynie, a sąsiad opacznie to zrozumiał.

– Został złapany na włamaniu do domu kobiety? – zapytał Griffin. Green wzruszył ramionami.

– Aresztowany, ale niesądzony. W każdym razie tak mi powiedział. Griffin już wystukiwał numer na komórce.

– Tu sierżant Griffin. Sprawdźcie dla mnie Ronalda Viggio. V-I-G-G-I-O. Tak. – A po dwóch minutach: – Aktualny adres?

– Dobra, panowie – powiedział, rozłączywszy się. – Jazda!

– Ale... – zaczął protestować Green, lecz nikt nie poczekałby go wysłuchać.

Piąta trzydzieści.

Szeryfowie stanowi wprowadzili Davida do więziennej furgonetki. Dzięki punktualności swego adwokata Price po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy miał na sobie cywilne ubranie – spodnie w kolorze khaki, granatową koszulę i brązowe mokasyny. Każda część garderoby została przeszukana i sprawdzona wykrywaczem metali. Tak samo jak ich właściciel.

David, choć miał skute nadgarstki i stopy, uśmiechał się radośnie. Uśmiechał się do szeryfów, do strażników więziennych i do granatowej furgonetki. Był w dobrym humorze.

Załadowali go do samochodu.

– Tylko czegoś spróbuj, dupku – ostrzegł jeden z szeryfów – a wgnieciemy cię w ziemię. *Capisce!* Nie mówię po włosku, ty sycylijski kmiotku.

Szeryf zmarszczył brwi. David uśmiechnął się do niego promiennie.

Zasunęły się drzwiczki furgonetki. Wkrótce otworzy się więzienna brama.

Piąta trzydzieści pięć. Wolność była już na wyciągnięcie ręki. Jeszcze pięć, dziesięć minut i wyruszy w podróż.

Dzięki, sierżancie Griffin, pomyślał. No i, oczywiście, dzięki, Meg.

– Wygląda na to, że Ron Viggio nie czuł potrzeby poinformowania pracodawcy o całej swojej przeszłości kryminalnej – powiedział Griffin, wjeżdżając na autostradę między stanową, podczas gdy Waters dzwonił po posiłki. – Nie został aresztowany za włamanie, ale za napaść o podłożu seksualnym. W połowie lat dziewięćdziesiątych odsiedział także trzy lata za włamanie do domu kobiety.

– Więc facet zaczął od podglądania, potem włamywał się do domów kobiet, aż w końcu zaczął je napadać. No no, historia jak z podręcznika.

– Niestety za ostatnią napaść nie stanął przed sądem. Kobieta spotykała się przedtem z Viggio, a ponieważ sypiała z nim dobrowolnie, obawiała się, że przysięgli jej nie uwierzą. A może po prostu wpadła w panikę na myśl o procesie. W końcu to nie spacer po parku.

– Po co sądzić oskarżonego, skoro można przypieprzyć ofierze?

– Właśnie. Viggio trafił do aresztu w grudniu, a skarga przeciw niemu została wycofana w styczniu.

Dojechali do zjazdu w stronę Cranston. Griffin zaczął się przeciskać między sunącymi wolno samochodami, klnąc, na czym świat stoi. Jakiś palant zajechał mu drogę i stanął. Griffin wdepnął z furią hamulec, Waters włączył megafon.

– Na prawo. Już!

Poskutkowało. Dupek posłusznie zjechał z drogi. Nie darował sobie jednak pokazania mijającym go policjantom środkowego palca. Ach, ci cywile.

– Viggio spędził miesiąc w areszcie w tym samym czasie co David Price – powiedział Griffin, ściskając kierownicę w spoconych dłoniach. Odnalazł właściwą ulicę, z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę pokonał zakręt.

– Czyżby to był zwykły zbieg okoliczności?

– Wątpliwe. Pewnie już w grudniu Viggio zdał sobie sprawę, że nie zrezygnuje z ataków na kobiety, ale wiedział, że jego DNA i odciski palców są w policyjnym komputerze. Wtedy musiał sobie przypomnieć o starym dobrym Davidzie, który mieszkał tuż obok gliniarza, a mimo to udało mu się zabić dziesięcioro dzieci. A tak się akurat złożyło, że Price siedział w tym samym więzieniu.

– Nawet gwałciciele potrzebują wzorów do naśladowania.

– Niestety. Dobra, jesteśmy na miejscu. – Griffin z opóźnieniem dostrzegł tabliczkę z nazwą ulicy i wcisnąwszy hamulec, wykręcił. Zwolnił i wyłączył światła. Nie chciał wystraszyć Viggia, pędząc jego ulicą na sygnale. Najpierw przejadą jak gdyby nigdy nic obok domu, żeby rozeznac się w sytuacji.

Gdy zbliżyli się do domu podejrzanego, zauważyli mężczyznę, który wyszedł frontowymi drzwiami i podszedł do samochodu stojącego na podjeździe. Facet miał na sobie granatowe spodnie i lnianą błękitną koszulę. Wyglądał zupełnie jak Eddie Como. Witamy, panie Viggio.

– Jezu Chryste – szepnął ze zdumieniem Waters.

– Ucieknie nam! – ostrzegł Griffin, chwytając za radio. – Zielone światło, zielone światło!

Griffin wjechał bokiem na podjazd i zahamował z piskiem, blokując drogę samochodowi Viggia. Viggio podniósł wzrok. Ujrzał dwa nieoznakowane policyjne auta i radiowóz. Rzucił się do ucieczki.

– Szybciej, szybciej, szybciej! – darł się Griffin, wyskakując z wozu. Przed sobą zobaczył Fitza, który wjechał na sąsiedni podjazd, by zagrodzić drogę podejrzanemu. Viggio wskoczył na maskę wysłużonego forda, zeskokczył po drugiej stronie i pobiegł dalej. Rozległy się krzyki.

– Policja, stać! – wrzeszczał Waters.

Z okolicznych okien wychyliły się głowy zdumionych mieszkańców. Mundurowi wyskoczyli z radiowozu i rzucili się w pogoń.

Viggio obejrzał się nerwowo przez ramię. Policjanci byli coraz bliżej. Skręcił w prawo, popędził zaniedbanym ogródkiem między dwoma domkami, przeskoczył niski drewniany płot. Jakaś kobieta krzyknęła. Zaszczekał pies. Griffin usłyszał to wszystko z daleka, kiedy pokonywał płot. Dogonił Viggia i rzucił się potężnym szczupakiem, próbując złapać go za nogi.

W ostatniej chwili Viggio uskoczył w lewo i wdrapał się na wysokie druciane ogrodzenie. Griffin upadł na ziemię, przeturlał się i pobiegł dalej, widząc przed sobą Viggia i Watersa przeskakujących na drugą stronę siatki. Po chwili już wspinał się po ogrodzeniu.

Znaleźli się na czymś w rodzaju prywatnego złomowiska. Cała posesja była zagracona rdzewiejącymi i wypalonymi wrakami samochodów. Pośrodku stał biały walący się domek. Na moment Griffin stracił uciekiniera z oczu. Usłyszawszy jednak brzęk metalu, dostrzegł Viggia przebiegającego po masce zdezelowanej mazdy. Waters pędził pięć metrów zanim.

Griffin ocenił trasę: Viggio biegł w kierunku dziecięcego roweru stojącego przed domem. Popędził więc na tyły budynku.

Wyskoczył zza węgła pięć metrów przed Viggim.

– Ha! – krzyknął.

Zaskoczony Viggio stanął jak wryty. Po chwili Waters rzucił się na niego od tyłu, powalając go na ziemię.

Dziesięć minut później Ron Viggio siedział skuty kajdankami na tylnym siedzeniu radiowozu i konsekwentnie odmawiał zeznań. Na razie detektywi pozwolili mu milczeć i zajęli się przeszukaniem domu. W łazience Waters znalazł pudełko z lateksowymi rękawiczkami. W spiżarni Fitz odkrył trzydzieści butelek płynu do higieny intymnej o zapachu polnych kwiatów firmy Berkely and Johnson. W zamrażarce chłodziły się fiołki z nasieniem.

Na kuchennym stole leżała otwarta skrzynka wypełniona jakąś szarą plasteliną obłożoną zapalnikami do modeli raket. Griffin powąchał tajemniczy materiał, a potem zostawił go Jackowi-i-Jackowi do identyfikacji. Sprawdzili pokoje na piętrze, łazienkę na parterze i wszystkie szafy. Ani śladu Meg.

W końcu Griffin znalazł drzwi do piwnicy. Wziął głęboki oddech, przywołał Watersa i razem zeszli na dół.

– Meg? – zawołał Griffin. Zaczepił głową o koniec łańcuszka zapalającego górne światło.

Cisza.

Przygotowany na najgorsze, pociągnął za łańcuszek i włączył światło.

Zbadali każdy centymetr pustej piwnicy.

– Podłoga wygląda na nienaruszoną – powiedział Waters. – Wątpię, żeby ktokolwiek niedawno tu przebywał.

Griffin zamyślił się.

– Samochód? – zapytał, marszcząc brwi.

– Pewnie tak.

– Kurwa.

Wybiegli przed dom. Samochód nie oznaczał nic dobrego. Bagażnik wróżył wręcz katastrofę.

Drzwiczki od strony kierowcy były zamknięte. Waters otworzył je ostrożnie, a Griffin pobiegł do bagażnika. Wyciągnął pistolet, tak na wszelki wypadek. Odliczywszy do trzech, Waters otworzył bagażnik.

Griffin wycelował pistolet.

– Czy to nie bomba? – powiedział ułamek sekundy później.

Carol zaczęła się ruszać. Dan nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Na początku zadrgała prawa ręka. Uznał to za dobry znak. Zaczął gładzić żonę po dłoni, prosząc, żeby się obudziła.

Potem lewa noga zaczęła podrygiwać. Chwilę później Carol dostała czkawki. Dan nie był pewien, co to oznacza. Lekarze powiedzieli, że wysoki poziom ambienu i alkoholu we krwi skutecznie zablokował jej system nerwowy. Ale nerki powinny zrobić swoje i usunąć z krwiobiegu szkodliwe substancje, a kiedy to nastąpi, Carol się obudzi. Przynajmniej taką mieli nadzieję.

Czy drgawki to, to samo co przebudzenie? Czy ludzie odzyskują przytomność, cierpiąc przy tym na czkawkę?

Dan stał przy łóżku żony i odgarniał włosy z jej bladego, chłodnego czoła.

– No, kochanie – szeptał. – Wróc do mnie. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Tym razem naprawdę będę się starał.

Lewa noga znowu drgnęła.

Dan pochylił się. Spojrzał na spokojną, pogrążoną we śnie twarz żony. Była tak piękna jak w dniu, kiedy się poznali.

I nagle zdał sobie sprawę, że jej klatka piersiowa przestała się poruszać. Ustał oddech.

Aparatura zaczęła piszczeć. Dan puścił dłoń żony i wybiegł na korytarz.

– Pomocy! Pomocy! – krzyczał. – Pomocy!

Piąta czterdzieści pięć.

Otworzyła się masywna brama więzienia. Granatowa furgonetka z uśmiechniętym Davidem Price'em w środku ruszyła. W domu państwa Pesaturo porucznik Morelli omówiła ostatnie szczegóły operacji, po czym wręczyła Tomowi i Laurie kamizelki kuloodporne.

Powiedzieli Molly, że jadą do parku na policyjny piknik. Będzie poncz i ciasteczka. Poza tym Molly będzie miała okazję zobaczyć policjantów przy pracy. Może się też zjawić dziwny mężczyzna, ale nie ma się czym martwić – to tylko taka zabawa.

Molly popatrzyła na nich poważnie. Dzieci zawsze wiedzą, kiedy dorośli kłamią.

Wychodzili właśnie z domu w ponurych nastrojach, gdy zadzwoniła komórka pani Morelli.

To był Griffin.

– Mamy go, mamy! Znaleźliśmy pudełka z lateksowymi rękawiczkami i płyn do higieny intymnej. Ron Viggio, były sprzątac w banku spermy w Pawtucket, jest na pewno Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego.

– A Meg? – zapytała Morelli. Tom i Laurie zdrętwieli, spoglądając na nią wyczekująco.

– Nie ma jej tu.

– To gdzie, do cholery, jest?

– Jeszcze nie wiemy. Viggio nie chce gadać. Ale możemy go przycisnąć. Znajdziemy ją, pani porucznik. To tylko kwestia czasu.

Morelli spojrzała na Toma i Laurie.

– Mamy mężczyznę, który może być Gwałcicielem z Miasteczka Uniwersyteckiego – oznajmiła. – Ale nie znaleźliśmy Meg.

– A jest jakiś trop? – zapytała Laurie.

– Sierżant Griffin uważa, że to tylko kwestia czasu.

– Jak długo to może potrwać? Czy ona coś jadła, ma chociaż wodę? Boże, ratujcie ją.

– Nie wypuszczajcie go – mówił Griffin do telefonu. – W żadnym wypadku nie wypuszczajcie Davida Price'a. Sami sobie poradzimy. Już go nie potrzebujemy.

Morelli ponownie spojrzała na państwa Pesaturo. Potem zerknęła na zegarek. Piąta pięćdziesiąt pięć.

– Przykro mi, sierżancie. Za późno.

CUKIERECZEK

Meg była przerażona. Ramiona i plecy bolały ją coraz bardziej. Za to prawie nie czuła palców. Straciła nad nimi kontrolę, jakby już nie należały do jej ciała, a stały się odrębnym, obcym bytem.

Czasami na jej włosy skapywała jakaś ciecz. Na początku myślała, że sufit zaczął przeciekać. Teraz zdała sobie sprawę, że to krew spływająca z jej poranionych nadgarstków.

Wciąż bujała się w tył i w przód, ale wolniej, z mniejszą siłą. Czasami hak w ścianie się poruszał. Ale rzadko. Była drobna, szczupła. Innymi słowy, brakowało jej masy, by się wyswobodzić. A teraz czuła zmęczenie. Nie wiedziała nawet do końca, czy to wszystko dzieje się na jawie, czy tylko we śnie. Miała suche, spękane wargi. Język zdawał się przyklejony do podniebienia.

Jak na ironię, pęcherz dał o sobie znać. Nie była już w stanie dłużej trzymać moczu. Wstyd przewyższył dyskomfort. Dorosła kobieta z mokrymi majtkami.

A teraz, jakby tego było mało...

Zaczęła tęsknić za swoim oprawcą. Naprawdę chciała, żeby do niej zszedł. Może, myślała gorączkowo, odwiązałby ją, uwolnił od bólu. Może wykapałby ją, sprawił, że znowu poczułaby się człowiekiem.

A gdyby zaczął ją dotykać, gdyby zażądał zapłaty...

Nie przebywałaby już w ciemności. Nie byłaby już zagubiona i samotna w piwnicy, która za bardzo przypominała grób.

W chwilach większej przytomności zdawała sobie sprawę, że to złe myśli. Dzięki nim on okazywał się zwycięzcą. Musiała się trzymać, zmobilizować siły. Powinna ukierunkować swoją nienawiść, jak zwykła mawiać Jillian.

„Nie jesteśmy ofiarami. W chwili, gdy uwierzymy, że jest inaczej, pozwalamy gwałcicielowi zatriumfować. Może nie potrafimy obronić swojego ciała. Ale zawsze możemy panować nad własnym umysłem”.

Boże, niech to się tylko skończy. Zanim ból ramion stanie się nie do zniesienia. Zanim zrobi coś, czego potem pożałuje. Zanim...

Zanim zjawi się David Price.

David nie widział drogi zbyt dobrze. Więzienna furgonetka nie miała bocznych okien, a siedzący po drugiej stronie metalowej siatki szeryfowie zasłaniaли widok z przedniej szyby.

Ale to nic. Nie musiał wiedzieć, gdzie jest ani dokąd jedzie. W tej chwili było to bez znaczenia.

David pochylał się do przodu, udając, że rozciąga mięśnie i ukradkiem zaczął obmacywać lewy mankiet koszuli. Wreszcie natrafił na twardy podłużny przedmiot wszyty w rękaw.

Wybrzuszenie materiału było ledwo zauważalne. Gruby na niecałe pół centymetra wystrugany z drewna i grubo polakierowany wytrych został schowany w górnym szwie mankieta, gdzie lniana tkanina tworzyła naturalną wypukłość. Viggio bardzo dobrze wywiązał się z zadania, pomyślał David. Ruchem, który ćwiczył przez ostatnie cztery miesiące, wychylił się do przodu i ugryzł prawą nogawkę. Jego język natrafił na ukryty w mankiecie skarb – drobno pokruszoną tabletkę Alka-Seltzer. Podobnie jak drewniany wytrych trudno ją było zauważyć.

Poza tym miało się gwarancję, że ani drewno, ani lek nie uruchomią alarmu w wykrywaczu metali.

Czasami najprostsze sposoby są naprawdę najlepsze.

David zagarnął okruchy do ust i zaczął przeżuwać.

Czterdzieści sekund później zarzęził donośnie.

Jeden z szeryfów zerknął w lusterko.

– Co jest, do cholery?

David toczył pianę z ust.

Griffin pochylił się nad Ronem Viggio.

– Gdzie ona jest?

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

– Nie rznij głupa. Gdzie ona jest?

– Moja babcia nie żyje już od lat, ale dziękuję, że pan pyta.

– Mamy cię, Viggio. Wiemy wszystko o tym, jak ukradłeś nasienie z banku spermy, a potem podłożyłeś je na miejscach zbrodni. Już w tej chwili grozi ci wyrok za podwójne morderstwo i cztery gwałty. Jesteś w poważnych tarapatach, Ronnie. Zaczynaj gadać, a może jeszcze kiedyś wyjdiesz na wolność.

Rozparty wygodnie na tylnym siedzeniu radiowozu Viggio ziewnął przeciągle.

– Próbujesz osłaniać Davida Price'a? Bo jeśli tak, to musisz wiedzieć, że on już cię sprzedał. Za trzy godziny, po spotkaniu z córką, poda policji twoje nazwisko.

Viggio parsknął śmiechem.

– Złapaliśmy cię dzięki niemu. Gdyby nie powiedział nam, że spotkałeś się z Eddiem osobiście, nie wpadlibyśmy na to, żeby sprawdzić pracowników banku spermy.

Viggio zmarszczył brwi.

– Tak, zgadza się. A tak dobrze ci szło. Miałeś świetne przygotowanie, genialny plan. Ale zapomniałeś o Davidzie. To on okazał się twoim słabym ogniwnem. To przez niego zostałeś aresztowany. Myślałeś, że ci pomagał, ale nie ma się co oszukiwać, byłeś tylko jego marionetką!

Viggio zacisnął zęby. Mimo najszczerzych chęci zaczynał się wkurzać. Griffin wzruszył ramionami. Wyprostował się, skrzyżował ręce na piersi i obrzucił Viggia lekceważącym spojrzeniem.

– Zostałeś wykorzystany, Viggio. Czego się zresztą spodziewałeś po facecie takim jak Price? Chciał sobie kupić wolność, więc cię sprzedał. Właśnie dlatego tu jesteśmy. Teraz David spotka się ze swoją córeczką, a ty spędzisz resztę życia w więzieniu. Mało sprawiedliwe, co? Gdzie jest Meg, Viggio? Gadaj, póki jeszcze możesz sobie pomóc.

– Idź do diabła.

– No, Viggio. Price ci nie pomoże. Masz przesrane. Sprawa skończona. Co jeszcze jesteś mu winny?

Viggio zerknął na swój samochód. Griffin podążył za jego wzrokiem. Nagle zrozumiał.

– To już druga bomba twojej konstrukcji, zgadza się, Viggio? Tylko że tym razem nie zamierzałeś jej użyć do usunięcia płatnego zabójcy. A niech mnie wszyscy diabli. Więc wśród przestępców honor rzeczywiście nie obowiązuje. Ale zaraz... – Głos Griffina zmienił się nagle. – To znaczy, że David Price miał wsiąść do tego wozu. Co ty, do cholery, wiesz, Viggio? O co,

kurwa, chodzi temu zboczeńcowi?

Jillian krążyła nerwowo po salonie państwa Pesaturo, obracając w palcach medalik Trishy.

– To nie w porządku – powiedziała do Libby i Toppi, mimo że obie wyglądały na znużone jej tyradą. – Tom i Laurie potrzebują nas. Meg nas potrzebuje. Powinnyśmy coś zrobić!

– Jillian – odparła cierpliwie Toppi. – Nie jesteśmy zawodowcami. Czasami najlepiej jest poczekać.

– Ale robimy dokładnie to, czego chce David Price! Na pewno istnieje jakiś sposób! Boże, dlaczego nic nie przychodzi mi do głowy?!

Libby westchnęła. Toppi popatrzyła na Jillian z ubolewaniem.

– Skąd możemy wiedzieć, że Price wyda gwałciciela? – spytała Jillian. – Griffin ma rację. Po spotkaniu z Molly Price może zrobić, co zechce. Wtedy nie będzie go już można niczym nastraszyć.

– Mogą go odizolować – zauważyła Toppi.

– E tam, przecież Price'owi to zwisa. Zależy mu tylko na grze, lubi wygrywać, panować nad wszystkimi figurami na szachownicy. – Nagle zatrzymała się, zmarszczyła brwi. – Hm.

– Co? – zapytała Toppi.

– David lubi mieć wszystko pod kontrolą – odrzekła Jillian po namyśle. – Ale to spotkanie... Pozwolił policji wybrać miejsce. Wyzначzył tylko czas. Można by sądzić, że gdyby coś zaplanował, określiliby miejsce, w którym chce się spotkać. Teren, który dobrze zna lub wcześniej sobie przygotował. Albo poprosił o to Gwałciciela z Miasteczka Uniwersyteckiego... To miałoby sens. David pomaga gwałcicielowi w wymyśleniu zbrodni doskonałej, a w zamian tamten pomaga mu w ucieczce z więzienia.

– A może Price rzeczywiście niczego nie zaplanował – podsunęła Toppi. – Słyszałaś, co powiedziała porucznik Morelli. Policja użyje wszystkich środków, żeby zabezpieczyć miejsce spotkania. Price będzie tak skuty, że ledwo będzie mógł chodzić.

Jillian była wyraźnie poirytowana.

– Na pewno coś planuje! Gdyby naprawdę chciał się spotkać z córką, zacząłby się tego domagać, jeszcze zanim znalazł się w więzieniu. – Zrobiła pauzę. – Jemu chodzi o zemstę. Najpierw wybrał Meg na pierwszą ofiarę. Potem ukartował zabicie Eddiego Como tylko po to, żeby wciągnąć do śledztwa Griffina. Jego działania mają osobisty charakter: ta sama ofiara, ten sam detektyw. Ale nie wybrał miejsca spotkania. Dlaczego?

Nagle otworzyła szeroko oczy.

– O, nie!

– Co?

To się stanie gdzie indziej! Nie rozumiecie? Ci wszyscy snajperzy, Molly, brygady antyterrorystyczne. To tylko przykrywka, która ma odciągnąć uwagę policji. Price nie wybrał miejsca, dlatego że wcale nie zamierza tam dotrzeć! Będzie chciał uciec po drodze. Szybko, gdzie telefon? Muszę zadzwonić do Griffina!

Szeryf stanowy Jeny Atkins skontaktował się przez radio z policyjnym samochodem jadącym przed więzienną furgonetką.

– Coś się dzieje z Price'em! Toczy pianę z ust. Jezu Chryste, chyba dostał konwulsji! Co robimy? Przecież nie możemy pozwolić, żeby umarł... Ma wydać tego cholernego gwałciciela. Zaraz... Jezu! Stracił przytomność. Leży na podłodze. Chryste, chyba krztusi się własnym językiem. Potrzebuje natychmiastowej interwencji lekarskiej! Zatrzymujemy się!

Radiowóz przed furgonetką skręcił gwałtownie w prawo, zjeżdżając na parking przed restauracją. W okolicy były same sklepy i kawiarnie. Nie najlepsze miejsce na nieprzewidziany postój z niebezpiecznym przestępcą na pokładzie. Z tyłu furgonetki dobiegł donośny łomot. Price podrygiwał konwulsyjnie, waląc nogami w podłogę.

Drugi radiowóz zatrzymał się za nimi, próbując odgrodzić więzienny konwój od reszty parkingu.

Jeny wyskoczył z kabiny kierowcy z apteczką w rękach i mglistym pojęciem, jak powinien jej użyć.

- Wezwijcie karetkę! – krzyknął.
- Rozmawiamy z panią porucznik!
- A Morelli zna się na pierwszej pomocy?
- Nie rozkuwajcie go!
- Jezu Chryste, czy wyglądam na idiotę?

Jeny rozsunął boczne drzwi. Jego partner był tuż za nim. Najwyraźniej jednak policjanci stanowi uznali ich za idiotów, bo jeden z nich, Ernie, odepchnął szeryfów na bok. Otworzył kaburę i z dłonią na pistolecie zajrzał do środka.

– Kurwa mać!

Szeryfowie przepchnęli się przed Erniego i stanęli jak wryci. David Price leżał zwinięty w tak pokracznej pozycji, że zdawało się to przeczyć prawom anatomii. Gdy trzej mężczyźni wpatrywali się w niego zdjęci grozą, drgnął spazmatycznie, odchylając głowę i wywracając oczy.

Jerry otrząsnął się pierwszy.

– Szybko, szybko, musimy go unieruchomić. I włożyć drewnienko między zęby! – zawołał, po czym wskoczył do furgonetki i chwycił Davida za nogi. Ernie złapał więźnia za ramiona.

Jerry'ego naszła dziwna myśl. Ręce Price'a nie były tam, gdzie powinny być. Co się stało z grubym pasem, do którego miały być przymocowane kajdanki? Jego wzrok padł na błyszczący kawałek drewna na podłodze. Prawie jak wytrych.

Jeny podniósł głowę.

Magicznie uwolniona ręka Davida chwyciła berettę Erniego.

Jerry krzyknął:

– Ni...

Pocisk przeszył mu mózg.

Trzaski, zamieszanie. Porucznik Morelli odeszła od państwa Pesaturo, trzymając w jednej ręce telefon komórkowy, a w drugiej krótkofalówkę. Pociła się pod kewlarową kamizelką, jej wzrok błędził nerwowo po dachach okolicznych domów w poszukiwaniu snajperów.

– Jak to? Jaki atak? Nie, nie zatrzymujcie się. Co? Już się zatrzymaliście? Poszaleliście?!

Zadzwoiła komórka. Przyłożyła ją do drugiego ucha, wciąż słuchając niewyraźnych wyjaśnień Bruegera.

– Morelli, słucham.

– Price robi coś po drodze – wrzasnął do słuchawki Griffin. – Wcale nie chce spotkania z Molly. To zmyłka. Viggio chciał zamontować bombę w samochodzie, którym David ma uciec.

– Griffin... – szepnęła porucznik, a potem powiedziała do krótkofalówki: – Wiem, że nie możecie pozwolić, żeby umarł!

– Pani porucznik, gdzie jest więzienna furgonetka? Proszę mi powiedzieć, gdzie ją znaleźć!

– Niech cię, Brueger. Gdzie się, do cholery, podziewasz? Griffin mówi, że Price chce zwać. Nie dotykajcie go. Słyszysz? Niech nikt nie waży się zbliżyć do Davida Price’a! Brueger?

Strzały. Huk strzałów. Krzyki mężczyzn. Znowu wymiana ognia. A potem charczenie. Blisko. Człowiek krztuszący się własną krwią.

– Brueger? Brueger, słyszysz mnie? Brueger, co się dzieje?

– Gdzie furgonetka?! Gdzie jest ta cholerna furgonetka?! – krzyczał Griffin.

– Brueger!

Cisza. Zupełna cisza. Nawet Griffin przestał w końcu wrzeszczeć. Mijały sekundy. Krople potu spływały jej po czole. Odwróciła się powoli. Popatrzyła na Toma i Laurie, którzy przyglądali się jej szeroko otwartymi oczyma. Spojrzała na Molly. Śliczną małą Molly.

Nagle w radiu odezwał się głos.

– Pozdrowienia dla Griffina – powiedział David Price. – Aha, moglibyście przysłać karetkę. Nie, chwileczkę... Zdaje się, że wystarczy koroner.

Griffin zaklął w słuchawce. Porucznik Morelli spuściła głowę.

Ledwie Griffin się rozłączył, telefon znowu zadzwonił. Przez chwilę tylko na niego patrzył. Tak samo jak Waters. Wszyscy słyszeli głosy z krótkofalówki porucznik Morelli w komórce Griffina. Fitz zupełnie osłupiał. Stojący przy radiowozie mundurowi zwiesili posępnie głowy. W życiu zdarzają się sytuacje, w których człowiek czuje się, jakby się znalazł na dnie oceanu. Wszystkie dźwięki są przytłumione. Najmniejszy ruch wymaga olbrzymiego wysiłku. Człowiek dryfuje w mroku, powierzchnia jest za daleko, a ciśnienie rozsadza płuca. To była jedna z tych sytuacji.

Telefon nadal dzwonił.

Griffin przyłożył słuchawkę do ucha i przygotował się na prześmiewczy głos Price’a, wcisnął zielony guzik.

– Price chce uciec po drodze! – wykrzyknęła Jillian. – W ogóle nie zamierza dotrzeć do parku.

– Wiem – wyszeptał Griffin.

– Zastanów się – ciągnęła podniesionym głosem. – Pozwolił policji wyznaczyć miejsce. Gdyby chciał stamtąd uciec, nigdy by tego nie zrobił.

– Wiem.

– Snajperzy, brygady antyterrorystyczne, policyjne kordony... to wszystko sprawia, że ucieczka z parku jest niemożliwa. Za to po drodze, kiedy ma do czynienia tylko z kierowcą i paroma strażnikami...

– Wiem, Jillian.

– Wiesz? To powstrzymaj go! Zrób coś!

Nie odpowiedział. Nie potrafił dobrać słów, żeby opisać to, co przed chwilą usłyszał. Ilu ludzi eskortowało furgonetkę? Czterech, sześciu, ośmiu? Ilu z nich miało żony? Dzieci? Waters

odwrócił się. Fitz usiadł na krawężniku, wpatrując się otepiałym wzrokiem w latarnię. Gdzieś w okolicy zawył pies.

– Griffin? – zapytała z nagłą obawą Jillian. – Czy on? Czy już...

– Uciekł.

– O, mój Boże. Jak...

– Nie wiem.

– A Meg?

– Niewiemy.

– Griffin, on nie może pozostać na wolności.

– Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? – Jego ciało w końcu się ożywiło. Z całej siły przykopał w oponę radiowozu. I jeszcze raz, i znowu. Siedzący w środku Viggio spojrzął na niego nienawistnie. Sukinsyn prawdopodobnie wszystko słyszał, ale nadal nic go to nie obchodziło.

Oczy Griffina zaszyły mgłą. W wyobraźni widział swoje dłonie zaciskające się na szyi Viggia, coraz mocniej i mocniej.

Wdech, wydech. Wdech, wydech. Nie daj się w to wciągnąć. Wyobraź sobie, że jesteś w jakimś przyjemnym miejscu. Najbardziej chciałby zatańczyć na grobie Price'a. Czy to przyjemne miejsce? Czy też przez ostatni rok po prostu niczego się nie nauczył?

– Griffin – odezwała się Jillian. – Porucznik Morelli mówiła, że jesteś na tropie gwałciciela.

– Złapałem go.

– I nie znalazłeś Meg?

– Nie. A facet nie jest w nastroju, żeby o niej rozmawiać.

– Griffin, wiem, gdzie ona jest.

– Słucham? – zapytał zdziwiony.

– David jest zaabsorbowany własną osobą – wyjaśniła pośpiesznie. – Od samego początku działa, jakby chodziło o osobistą zemstę. Najpierw wybrał Meg na pierwszą ofiarę. Potem wpłatał cię w prowadzenie śledztwa. A teraz, na zakończenie...

– Nie!

– Tak. Ma jeszcze jeden grób do wykopania, nie rozumiesz? Zaczął od Meg. A teraz zamierza zrobić to, co jego zdaniem powinien był zrobić sześć lat temu. Zabije ją. A potem zakopie w swojej piwnicy. Price wraca do swojego domu, Griffin!

Griffin spojrzął na Viggia. Gwałciciel usiłował przybrać obojętną minę, ale za późno. Zdziwienie na jego twarzy mówiło samo za siebie.

– Jak się dostałeś do domu Price'a? – warknął Griffin.

– Moja mama go kupiła.

– Co?!

Price mi to doradził. Nie oszukujmy się, kto chciałby kupić dom, w którym kiedyś zamordowano i zakopano dziesięcioro dzieci? Agencja nieruchomości już dawno straciła nadzieję, że kiedykolwiek sprzeda posesję. Więc mama kupiła ją za grosze. Była z tego powodu bardzo szczęśliwa.

– Zaangażowałaś w to własną matkę?

– Nie, oczywiście, że nie! Mama jest na Florydzie. Wykupiłem jej wycieczkę.

– Ty sukinsynu! – Griffin skinął na Fitz'a i Watersa. – Dzięki, Jillian. Już tam jedziemy.

Samochód Griffina był zablokowany przez radiowóz. Popędzili więc do wysłużonego taurusa Fitzpatricka.

David miał dziesięciminutową przewagę, a od jego domu dzieliło ich co najmniej piętnaście minut drogi. Znowu liczyła się każda sekunda.

W salonie państwa Pesaturo Jillian odłożyła słuchawkę, chwyciła płaszcz, torebkę i w pośpiechu wrzuciła do niej pojemnik z gazem.

– To szaleństwo – zawyrokowała bez namysłu Toppi. – Nie jesteś policjantką!

– Meg jest w niebezpieczeństwie.

– Policja się tym zajmie.

– Tak jak do tej pory? – Jillian zwróciła się do matki. – Mogę wziąć twój gaz? Nie wiadomo, ile go będę potrzebować.

Libby zmarszczyła brwi. Spojrzała na córkę z wyrzutem.

– Nie mogę po prostu siedzieć i czekać, mamó! Meg mnie potrzebuje. Muszę spróbować.

Libby nie dała się przekonać.

– Na litość boską, chyba nie myślisz, że wpadnę jak opętana do domu Price'a! Już raz coś takiego zrobiłam i wszyscy wiemy, jak się to skończyło! Będę ostrożna. Wymyślę coś... w drodze.

Libby zaczęła się wahać. Jillian pochyliła się i spojrzała matce głęboko w oczy.

– Muszę to zrobić – wyszeptała. – Nie ocalałam Trishy, nie rozumiesz? Wiem, że też strasznie za nią tęsknisz. Ale ja czuję się winna. Zawiodłam ją i muszę z tym żyć każdego dnia. Tak, on był silniejszy. Tak, powinno się winić gwałciciela, a nie ofiarę. To tak ładnie brzmi. Ale ja tam byłam. Widziałam ją. I... spóźniłam się. Nie uratowałam jej.

Nie chcę stracić następnej drogiej osoby, mamó. Nie chcę stracić ani ciebie, ani Meg, ani Carol. Dlatego muszę to zrobić. Może nie mogę zmienić świata. Ale w końcu zaczynam rozumieć, że trzeba przynajmniej próbować. Proszę, mamó.

Libby sięgnęła do kieszeni. Podała córce pojemnik trzęsąc się dłonią. Spojrzała na Jillian z niepokojem i westchnęła. Jillian wzięła gaz i pocałowała matkę w policzek. A potem odwróciła się i pobiegła do drzwi.

KLUB OCALONYCH

Meg znowu odpłynęła. Była w domu, w różowym pokoiku Molly. Przygotowywały Barbie do wspaniałego ślubu, tylko że tym razem peleryna Puchatka była krwistoczerwona. Meg właśnie zamierzała ją zdjąć, gdy pluszowy łupek misia zmienił się w wykrzywioną w sardonicznym uśmiechu twarz Davida Price'a.

– Tatuś! – wykrzyknęła radośnie Molly.

Meg ocknęła się z krzykiem. Nogi ugięły się pod nią, a ramiona napięły boleśnie. Pośpiesznie postawiła stopy na ubitej ziemi. Jak na ironię poczuła jeszcze większy ból.

Odgłosy. Na górze. Otwieranie drzwi. Odgłos pośpiesznych kroków.

Meg nie potrafiła się opanować. Gwałciiciel z Miasteczka Uniwersyteckiego wrócił, a ona cieszyła się z tego. Piekły ją nadgarstki, mrowiły spętane stopy. Nie mogła znieść dotyku klejących się do skóry, mokrych od moczu dżinsów. Miała dość. Chciała stąd wyjść. Pragnęła znowu poczuć się człowiekiem.

Obróciła głowę w stronę schodów i wstrzymała z oczekiwaniem oddech.

Kolejny trzask. Drzwi do piwnicy otworzyły się ze zgrzytem.

– Cześć, kochanie – zawołał radośnie David Price. – Wróciłem!

Pięć przecznic od dawnego domu Griffina Fitz wcisnął hamulec. Buzująca we krwi adrenalina domagała się, by zajechali z piskiem opon przed frontowe drzwi i wpadli do środka, prażąc na wszystkie strony z pistoletów. Rozsądek podpowiadał jednak co innego. Griffin i Waters zaczęli się rozglądać po okolicy w poszukiwaniu Price'a, gdy Fitz ruszył wolno w kierunku domu.

Minęli jedną przecznicę. Potem drugą. Skręcili w trzecią. Zegar tykał, napięcie rosło. Griffin zacisnął pięści. Waters zaczął strzelać palcami.

Ulica była cicha. Zachodzące słońce rozświetlało niebo pomarańczową łuną.

Dojechali do ostatniej przecznicy. Fitz zatrzymał wóz.

– Ile wyjść? – zapytał cicho.

– Trzy. Drzwi od frontu, na patio i kłapa do piwnicy.

– Rozdzielamy się – mruknął Waters.

– Musimy być ostrożni – powiedział Griffin. – David ma broń i nie zawaha się użyć Meg jako tarczy. Biorąc pod uwagę okolicę, sytuacja może się pogorszyć.

– Nie możemy wypuścić go z domu – wyszeptał Fitz.

– Tak. Price ma już Meg. Nie wolno dopuścić, żeby dostał się do innego domu i sterroryzował całą rodzinę.

Nikt nie zadał następnego logicznego pytania: w którym momencie poświęcić Meg, by zatrzymać Price'a? Mieli nadzieję, że nie będą musieli rozstrzygać tego dylematu.

– Dobra – powiedział Griffin.

Wysiedli z samochodu, wyciągnęli broń i poszli.

Przybiegli lekarze. Wpadli do pokoju Carol i pochyliли się nad jej ciałem. Lewa noga wciąż lekko drgała, prawe ramię trzepotało o prześcieradło. Maszyna piszczała, a lekarze wydawali niezrozumiałe rozkazy pielęgniarce, które odepchnęły Dana na bok i napełniły wielką

strzykawkę.

- Carol, Carol, Carol...
- Musi pan wyjść.
- Ale żona...
- Lekarz wkrótce do pana przyjdzie.
- Carol...

Pielęgniarka energicznie wypchnęła go za drzwi. Przez ścianę wyraźnie słyszał jakieś krzyki lekarzy, piszczenie maszyny, trzepot ręki o prześcieradło.

Dotknął jej. Pogładził Meg po policzku i odgarnął jej włosy. Odwróciła z obrzydzeniem głowę, ale nie mogła uciec. Na samym początku zdjął opaskę z jej oczu.

– Jak miło cię widzieć – oświadczył David. Ostry blask żarówki uderzył ją w oczy. – Wyrosłaś – powiedział. – Jaka szkoda.

Powiódł palcem po jej ramieniu, a potem uniósł go do ust i oblizał krew.

– Widzę, że nie traciłaś czasu. Spójrz, jak się poraniłaś. I wszystko na nic. Ale miło, że próbowałaś. Czy Ronnie uprzedził cię o mojej wizycie, Meg? Czy to dla mnie tak się urządziłaś?

Wciąż miała zakneblowane usta, więc nawet nie próbowała odpowiedzieć.

– Cóż, obawiam się, że nie możemy dłużej zwlekać – oświadczył David. – Najpierw zdejmę cię z tego haka, a potem trochę się zabawimy.

Meg przyjrzała mu się zmęczonym wzrokiem. Z pasa jego spodni wystawała rączka pistoletu. Na koszuli i policzku widniały czerwone plamy. W powietrzu unosił się smród prochu. Wiedziała, co to znaczy.

Sięgnął ręką za plecy i wyciągnął duży nóż w czarnej skórzanej pochwie.

– Pamiątka po Jerry'ym – powiedział, choć nie znała nikogo o takim imieniu.

Wysunął nóż. Srebrne ostrze błysnęło złowrogo. Powinna była bardziej się starać. Powinna była mocniej się bujać. Co z tego, że bolały ją ramiona i plecy. To, co zamierzał zrobić jej teraz David, na pewno będzie znacznie, znacznie gorsze.

Przytknął ostrze do jej obojczyka.

Zacisnęła powieki, przywarła plecami do ściany i próbowała sobie wmówić, że ból nie będzie trwał wiecznie. Wszystko, nawet ból, ma swój kres. Biedna Molly. Biedni rodzice. Biedna Carol i Jillian... Biedna Meg. Powoli zaczęła układać sobie życie. Naprawdę, nawet mimo amnezji... miała tyle planów. A teraz... Nóż się poruszył. Jęknęła bezsilnie...

Ramiona opadły jej nagle, dłonie uderzyły bezwładnie o brzuch. Chwilę później krew zaczęła znowu krążyć w jej członkach, budząc końcówki nerwowe do życia. Omal nie krzyknęła z bólu.

Obserwujący ją David wybuchł śmiechem.

– Tak, czasami powrót do zdrowia jest boleśniejszy od samej choroby. Od roku ćwiczę jogę, wiesz? Założę się, że gdybyś odpowiednio gimnastykowała mięśnie, teraz byłoby ci znacznie lżej. Jezu, Meg, zsikałaś się w majtki?

Chciała go uderzyć. Ale nie mogła ruszyć rękoma. Zdawało jej się, jakby były zrobione z gumy. Nie panowała nad nimi.

– Planowałem, że zabawimy tutaj trochę – oznajmił David – ale nieobecność Ronniego sugeruje, że biedaczek został zatrzymany. A skoro tak się stało, dom nie jest już bezpieczny. Na

szczęście, jak widzę, Ronnie zdążył zostawić mi samochód. Przejedziemy się? Co ty na to, Meg? Pozwolę ci przekręcić kluczyk w stacyjce.

Podszedł do schodów. Gdy zauważył, że za nim nie poszła, obejrzał się przez ramię i zmarszczył brwi.

– No, nie wstydz się. Chodź. – Wtedy jego wzrok padł na związane nogi. – No no no, widzę, że Ronnie nie pozostawił niczego przypadkowi. Wierz mi, dokładnie wiem, jak się czujesz.

Wyjął nóż. Pochylił się i przeciął lateksowe więzy. Podniósł głowę i uśmiechnął się wesoło.

Meg także się uśmiechnęła. I z całej siły uderzyła go kolaniem w podbródek. Jego twarz wykrzywiła się z bólu. Błady jak ściana, zatoczył się, wciąż ściskając nóż.

Nie daj mu czasu na kontratak, tłumaczył jej instruktor samoobrony. Nie daj mu czasu do namysłu.

Meg kopnęła Davida w krocze, ten w ostatniej chwili osłonił się udem. Z całej siły nadepnęła mu obcasem stopę. Wydał z siebie gardłowy jęk. Uderzyła go w bok kolana i wreszcie zwała z nóg.

Chciała wyrwać mu pistolet. Chciała zabrać nóż. Chciała zagłębić palce w jego oczodołach i wydłubać mózg. Ale nie mogła ruszyć rękami. Wciąż odmawiały posłuszeństwa.

Obróciła się więc w stronę drewnianych schodów i rzuciła się do ucieczki.

Za jej plecami David krzyknął:

– Jeszcze jeden krok, pierdolona suko, a odstrzelę ci łeb!

Nie zatrzymała się.

David zaczął strzelać.

Griffin usłyszał pierwszy wystrzał, kiedy zakradał się do frontowych drzwi. Ułamek sekundy później rozległ się następny. I jeszcze jeden. Griffin przykucnął, chwycił lewą ręką klamkę, w prawej zaciskając berettę. Otworzył drzwi, wturlał się do środka i ujrzał półtora metra przed sobą Davida Price'a, który stał na szczycie piwnicznych schodów i krzychał:

– Zabiję cię, ty wredna suko!

W jego dłoni lśnił pistolet, taki sam jak Griffina.

Griffin nacisnął spust. David zauważył go, skoczył na prawo i otworzył ogień. Niech to! Griffin pobiegł na lewo, oddając na ślepo kilka strzałów. David nie pozostał dłużny, dziurawiąc pociskami podłogę pod jego stopami. Nagle na lewo od Griffina pojawiła się druga postać – Fitz, który wszedł od strony patio.

– Padnij! – krzyknął Griffin.

David podniósł lufę i posłał kolejną kulę. Fitz padł na podłogę.

Griffin znowu strzelił. David przebiegł przez korytarz i schował się w kuchni, gdzie miał dostęp do schodów na piętro.

– Cholera! – zaklął Fitz, wstając. – Skurwiel odstrzelił mi chyba resztki włosów.

– Gdzie Meg?

– Nie wiem, ale słyszałem ostrą strzelaninę w piwnicy.

– Ty idź na dół, a ja pójdę na górę.

– Mam ci zostawić całą zabawę?

– Idź po dziewczynę.

– Okej. Kapuję.

Griffin przeczołgał się do kuchni. Kiedy dotarł do drzwi, wyciągnął rękę, przewrócił na bok stół i ukrył się za blatem.

Odczekał chwilę, przyzwyczajając oczy do mroku. Jedyne światło w domu dochodziło z piwnicy. Wszystkie okiennice były zamknięte. Griffin zamrugał, wziął głęboki oddech i zaczął nasłuchiwać.

Z góry nie dochodziły żadne odgłosy. Ani kroki, ani szuranie, ani nawet szept rzucanego pod nosem przekleństwa.

Siódma zero pięć. W domu zapadła cisza. Słońce schowało się za horyzontem. Walczący przygotowawali się do drugiej rundy.

Jillian prowadziła, czytając jednocześnie wydruk z maps.com, który pokazywał, jak dojechać do dawnego domu Davida Price'a. Adres znalazła w starych wydaniach gazet, które opisały dokładnie okoliczności i miejsce aresztowania. Za pierwszym razem Jillian minęła właściwą ulicę. Teraz wykręciła nieprzepisowo, ale gdy dojechała do skrzyżowania, zdała sobie sprawę, że lepiej będzie dojść do domu Price'a pieszo. W ten sposób lepiej wykorzysta element zaskoczenia.

Z jednym pojemnikiem gazu w dłoni, a drugim w torebce wysiadła z samochodu. Gaz działał najskuteczniej z bliskiej odległości przy ataku na oczy i nos, a to oznaczało, że będzie się musiała podkraść do Price'a. Na szczęście prawdopodobnie byli tam już zaprawieni w bojach policjanci, tacy jak Griffin. Meg także mogła sprawiać Price'owi kłopoty. Dzięki temu pewnie uda jej się go zaskoczyć.

Pomyślała o mieszkaniu Trishy. Przypomniała sobie mężczyznę przyciskającego ją do podłogi. Duszącą się i umierającą siostrę na łóżku. Gardłowy śmiech i słowa „Zerznę cię, ty suko”.

Musiała odgonić te wspomnienia. Skupić się na teraźniejszości, na chodniku pod stopami, na chłodnym metalowym pojemniku w dłoni, na domu, do którego się zbliżała.

Trish umarła, gwałciec zwyciężył. Nie można zmienić przeszłości. Czas ruszyć do przodu. Skupić się na ratowaniu Meg.

A potem wrócić do domu. Do matki, która naprawdę jej potrzebuje.

Jillian przystanąła przed domem. Wciąż zastanawiała się, którądy wejść, gdy usłyszała jęk, a potem męski krzyk:

– Chryste, Waters. Człowieku. O rany... Trzymaj się, stary. Cholera jasna! Potrzebujemy lekarza!

Meg dyszała ciężko. Drżała na całym ciele. Nie była w stanie się powstrzymać. Przywarła do ściany w sypialni, czując, że inaczej rozpadnie w się na miliony kawałków. Kiedy wbiegała na schody, usłyszała za sobą strzały. W pierwszej chwili instynktownie padła na ziemię, uchylając się przed niewidzialnymi kulami. Potem jednak zdała sobie sprawę, że ktoś strzelał do Davida, a nie do niej. Przez moment nie posiadała się z radości. Ktoś ją ratował! Kawaleria przybyła. Potem usłyszała krzyk. Obcy krzyk. Ktoś był ranny, ale nie David.

Rzuciła się znowu do ucieczki. Biegła i biegła, słysząc strzały, które stawały się coraz głośniejsze, coraz bliższe. Wtem wszystko ucichło. Żadnych strzałów, tylko przekleństwa rzucane przez Davida wdrapującego się na piętro.

Jeżeli przybyli policjanci, to ich powystrzelał. David nie uciekał. Z tego, co słyszała, był teraz na piętrze razem z nią. Szukał jej. Gdzieś na tym mrocznym korytarzu.

Zacząła się nerwowo rozglądać po sypialni. Zasłony były zasunięte, a pokój pogrążony w szarym półmroku, w którym każdy cień stawał się ponury, każdy mebel przybierał kształty czyhającego potwora. W pierwszym odruchu chciała się schować pod łóżko, wczłogać jak najgłębiej, skulić się i czekać. David oczywiście zajrzałby tam. A gdyby ją znalazł, byłaby w potrzasku. Złapałby ją za nogę i wyciągnął. Z dobytym nożem.

Nie. Musiała wybrać kryjówkę, z której w razie czego będzie mogła uciec. Zacząła myśleć gorączkowo. Co by zrobiła Jillian?

Łazienka. Może znalazłaby żyletkę albo lakier do włosów. Oczywiście żyletka nie stanowiła konkurencji dla wielkiego myśliwskiego noża. A lakierem trudno się obronić przed pistoletem. Stój, bo spsikam cię na śmierć!

Zachichotała, po chwili zdała sobie sprawę, że wpada w histerię, i przygryzła wargę. Wtedy jednak lateksowy knebel wpił się jeszcze głębiej w kąciki ust. Piekący ból wycisnął jej łzy z oczu.

A okno? Mogłaby je otworzyć, może zdołałaby wyjść na dach? Jeśli dom nie ma zadaszonej werandy, mogłaby skoczyć. Pewnie by zabolalo. Mogłaby złamać nogę. Ale biorąc pod uwagę alternatywę...

Usłyszała szept na korytarzu.

– Meg, śliczna Meg – nawoływał David. – Wyjdź, pokaż się, wyjdź...

Walczyć czy uciekać? Zostało mało czasu...

Biedna poraniona Meg podjęła decyzję.

Griffin musiał się dostać na piętro. Nie wiedział dokładnie jak. Podobnie jak w wielu innych nowoangielskich domach schody były wąskie i strome. Ze swoją posturą stanowiłby wymarzony cel, dopóki nie dotarłby na górę. Wystarczyło, żeby Price usłyszał go i otworzył ogień.

Chociaż z drugiej strony...

Podłogowe deski na górze wyraźnie skrzypiały. David nie mógł więc czaić się przy schodach.

I wtedy Griffin usłyszał inne dźwięki. Znowu skrzypienie podłogi, a potem zgrzyt otwieranego okna. Ale te odgłosy pochodziły z innej części domu.

Na górze była druga osoba. O nie, Meg...

Griffin nie miał wyboru. Wyszedł zza kuchennego stołu i podkrał się do schodów.

Jillian obeszła róg domu i zobaczyła Fitzę klęczącego obok drugiego mężczyzny.

– Trzymaj się, stary. Wytrzymaj jeszcze trochę.

– Detektyw Fitzpatrick?

Poderwał głowę i zaczął się rozglądać. W półmroku trudno było rozpoznać wyraz twarzy, ale jego ruchy sprawiały wrażenie chaotycznych i nerwowych.

– Jillian, co ty tu... Nieważne. Masz komórkę? Muszę zadzwonić!

– Czy on...

– Ten skurwysyn go postrzelił. Mike otwierał właśnie klapę do piwnicy. Pewnie Price już tam na niego czekał.

– Meg – wybełkotał mężczyzna na ziemi. – Price... chce... zastrzelić.

– Cii, Griffin się nią zajął.

– Meg ciągle jest w środku? – Jillian przyklęła obok Fitz'a i zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu komórki.

Postrzelony detektyw nie wyglądał najlepiej. Ciemna plama po lewej stronie klatki piersiowej robiła się coraz większa. Pociągła twarz była niezdrowo blada, na czole lśniły krople potu.

– O, jest. – Podała telefon Fitzowi, a następnie zdjęła płaszcz i okryła nim rannego. Mężczyzna zaczął się trząść. Zimna trawa nie była dla niego najlepsza, ale Jillian nie wiedziała, czy mogą go ruszyć. Rozejrzała się nerwowo po podwórzu. Znajdowali się półtora metra od domu, w którym krył się uzbrojony psychopata, a w pobliżu nie było żadnego drzewa, ani nawet krzaka, za którym można by się schować.

Fitz rozmawiał przez telefon. Domagał się dodatkowego wsparcia i karetki.

– Detektyw Waters został postrzelony – wyszeptał nerwowo. – Powtarzam, potrzebujemy natychmiastowej pomocy medycznej.

Jillian ujęła Watersa za rękę. Jego palce były zimne i wilgotne.

– M-M-Meg.

– Meg nic nie jest – skłamała. – Proszę się nie martwić.

– Biegła po schodach. Odwróciłem... uwagę... Price'a.

– Wszystko będzie dobrze, proszę się nie martwić. Griffin jest w środku. Zajmie się Meg.

Fitz wyłączył komórkę i teraz spoglądał nerwowo to na Jillian, to na Watersa. Jillian zrozumiała jego dylemat.

– Zostanę z nim – zapewniła. – Pomóż Griffinowi.

– To dobry facet – powiedział zduszonym głosem Fitz, spoglądając na rannego kolegę.

– Zajmę się detektywem Watersem – powtórzyła stanowczo. – Idź pomóc Meg.

Fitz ostatni raz spojrział na Mike'a, a ten otworzył oczy i wykrztusił:

– Idź.

Fitz odwrócił się. Pobiegł do frontowych drzwi domu, w którym David Price czekał z pistoletem, w którym Griffin ścigał mordercę, a Meg walczyła o życie.

Jillian usiadła na zimnej, mokrej murawie. Ścisnęła dłoń Watersa.

– Niech pan się trzyma, detektywie – wyszeptała. – Przetrwamy to. Obiecuję, że wszyscy wyjdziemy z tego żywi.

Meg stała przy oknie. Słyszała kroki na korytarzu, coraz głośniejsze skrzypienie podłogowych desek. David się zbliżał. Zaglądał do każdego pokoju po kolei. Wkrótce stanie w drzwiach i zobaczy ją.

Zostało mało czasu. No, palce, ruszajcie się!

Uniosła ramiona, przygięła łokcie. Cucie wracało powoli do obrzmiałych palców. Zaczynała odzyskiwać nad nimi panowanie. Ostrożnym ruchem rozsunęła zasłony. Chwyliła klamkę, przekręciła ją.

Teraz najtrudniejsza część. Ręce wciąż były obolałe, przeguby słabe. Wątpiła, czy zdoła w tym stanie wypchnąć skrzydło starego wypaczonego okna. Ale nie miała innego wyjścia, to była jedyna droga. Tylko tak mogła uciec przed Davidem.

Nie jestem ofiarą. Nie jestem ofiarą.

Meg płakała. Oddychała z trudem, całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Pomyślała o tym, jak bardzo kocha rodziców. I Molly. A potem przygryzła wargę i zaczęła pchać z całej siły.

Zaskrzypiała drewniana rama, ręce przeszył gwałtowny ból, a potem... Okno otworzyło się. Meg wychyliła głowę na rześkie wieczorne powietrze. Spojrzała w dół i zobaczyła... Jillian.

David usłyszał zgrzyt otwieranego okna. Meg! Chce zwać. Zrobił dwa kroki w głąb korytarza, gdy wtem dobiegły go inne odgłosy – od strony schodów. Zatrzymał się i nastawił uszu.

Griffin, domyślił się. Próbuje wejść na piętro. Kurwa, dlaczego nie zdechł w korytarzu na dole? David zaczynał mieć po dziurki w nosie tych głupich podchodów. Czas uciekał. Niech to cholera weźmie!

Zmarszczył brwi. Trzeba pogłówkować. Co Meg mogła robić przy oknie na piętrze? Skoczy. Może złamie sobie kręgosłup? Tym łatwiej będzie ją później zabić. Griffin stanowił większe zagrożenie. Trzeba się nim zająć jako pierwszym.

David odwrócił się, zrobił parę kroków w stronę schodów i przywarł plecami do ściany, trzymając oburącz pistolet. Griffin wyjdzie na korytarz pochylony. Pewnie ma na sobie kamizelkę kuloodporną. Trzeba więc mierzyć nisko, starając się celować w głowę.

Przygiął kolana. Czuł się doskonale, nawet po otworzeniu kajdanek, zrzuceniu łańcuchów i załatwieniu całej dobrze uzbrojonej eskorty jego wygimnastykowane ciało działało bez zarzutu. Pod pewnymi względami więzienie okazało się dla niego zbawienne. Kiedy znalazł się za kratami, był słabowitym chudzielcem z urokiem osobistym. Po roku stał się doskonale wysportowanym, zwinnym przestępcą z całkiem nową wizją natury ludzkiej. Dawny David atakował dzieci. Nowy rzucił na kolana cały świat.

Ale najpierw musi zabić sierżanta Griffina.

– Nie możesz skoczyć – przekonywała Jillian. Meg pokręciła głową i wychyliła się przez okno.

– Cholera, Meg, to za wysoko...

Meg nie mogła odpowiedzieć, wciąż miała zakneblowane usta. Pokazała więc tylko Jillian zakrwawione ręce.

– Och, Meg...

Meg wzięła głęboki oddech i postawiła nogę na parapecie.

– Czeka, czeka! – zawołała Jillian. – Mam pomysł!

Griffin wczołgiwał się powoli po stromych drewnianych schodach. Trzymając przed sobą pistolet, wpatrywał się w mroczną dziurę na górze. Pełził coraz wyżej i wyżej ze świadomością, że Price może zaatakować w każdej chwili.

Jeszcze pięć stopni.

Skrzypienie podłogi na górze, dźwięk wibrującej szyby. Nie mógł jeszcze o tym myśleć. Musiał skoncentrować całą uwagę na szczycie schodów.

Jeszcze cztery stopnie. Trzy, dwa...

Wtem z mroku wynurzyła się twarz Davida Price'a. Błysk. Huk.

Griffin nacisnął spust, nim poczuł, że pierwszy pocisk rozorał mu skórę na czole. Przeturlał się w bok, uderzył plecami w ścianę, strzelając bez przerwy do celu, którego już nie widział. Oślepiające kręgi światła rozbłysły mu przed oczami.

Ból. Krew. Jego głowa.

Griffin nie przestawał strzelać. Podniósł się i wbiegł z wściekłym krzykiem na górę.

David popędził w głąb korytarza. Wciąż słyszał za sobą huk strzałów. Dobrze, dobrze. Odstrzel sobie łeb, palancie, podziuraw ściany. David miał już mało pocisków, w żadnym wypadku nie zamierzał ich zmarnować.

Wpadł do sypialni, szukając Meg.

Chłodna bryza owiała jego policzki. Rozejrzał się po pokoju. Zasłony były rozsunięte, okno otwarte na oścież. Chwilę później usłyszał na dole głucho tupnięcie.

Podbiegł do okna. Wychylił głowę w samą porę, by ujrzeć kobiecą sylwetkę zrywającą się na nogi i uciekającą przez trawnik.

Nie, nie. To niemożliwe. Meg nie mogła wyjść z tego cała. Nie mogła mu tak uciec. Była jego, jego, jego.

David uniósł pistolet, wycelował. W tym samym momencie w drzwiach od szafy ukazała się druga postać.

– Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę! David obrócił się.

– Meg? Co, do kur...

Rzuciła się na niego, uderzając go barkiem w klatkę piersiową, i oboje polecili na ścianę. W tym momencie Griffin wpadł z rykiem do pokoju. Davidowi zakręciło się w głowie. Musiał wstać, odzyskać równowagę, opanować się. Chwytał Meg za szyję i odepchnął brutalnie. W tej samej chwili przed oczami mignęła mu pięść Griffina.

Policzek eksplodował od nagłego bólu. David uświadomił sobie nowe niebezpieczeństwo. Poturlał się w lewo, zerwał na nogi i nacisnął spust. Chwilę później Griffin złapał go żelaznym chwytem za nadgarstek i wykręcił mu ramię.

David wrzasnął z bólu. Teraz naprawdę zaczynał się wkurwiać. Nie taki był plan! Nie o to mu chodziło!

Zesztywniał i upadł do przodu, pociągając ze sobą Griffina. Obaj gruchnęli o podłogę. David odturlał się i skoczył na równe nogi. Dobył noża. O, tak lepiej!

Dźgnął Griffina między żebra, a potem odskoczył do tyłu, patrząc, jak jego dawny przyjaciel i sąsiad podnosi się z kłęczek. Griffin miał rozciętą koszulę, z rany płynęła krew. Nie miał już pistoletu. Pewnie na korytarzu skończyły mu się naboje i w szale cisnął broń na podłogę. Griffin zawsze był impulsywny. Tym lepiej!

– Muszę ci powiedzieć, że w więzieniu wiele się nauczyłem – oświadczył David, tańcząc wokół Griffina i gotując się do zadania następnego ciosu. Nie wiedział, gdzie jest Meg. Nie szkodzi. W końcu jaką groźbę mogła stanowić kobieta?

– Świetnie. Bo niedługo tam wrócisz – warknął Griffin.

– Nie ma mowy, złamasie. Zabiję cię, a potem ukatrupię każdego gline, który wejdzie mi w drogę. Już załatwiłem przynajmniej sześciu. Paru więcej, paru mniej... to bez znaczenia.

– Radzę ci skorzystać z samochodu na podjeździe. Viggio bardzo się namęczył, żeby go dla ciebie przygotować.

– Skurwiel! Zamontował bombę, prawda? Chuj byłby niczym, gdybym nie powiedział mu, gdzie szukać internetowego podręcznika dla piromanów. Chłystek jeden!

David rzucił się do przodu, mierzając w udo Griffina. Ten jednak spodziewał się ataku, zrobił zwinny unik i przywalił mu prawym sierpowym w lewe oko. Głowa Davida odskoczyła do tyłu. Zobaczył gwiazdy, ale zdołał utrzymać się na nogach. Griffin był silniejszy, bez dwóch zdań. Ale David miał więcej sprytu. I nóż.

Griffin nie zaatakował, wciąż tylko krążył wokół Davida. Wydawał się dziwnie spokojny, nadspodziewanie wręcz cierpliwy.

– Gdyby nie ty, Viggio mógłby przez lata grasować po Providence – powiedział. – Nikt by go nie złapał. To wszystko twoja zasługa.

– Nie zamierzałem oddawać go w łapska policji. Jeśli o mnie chodzi, mógł sobie gwałcić studentki do końca świata. Zresztą uważałem go za swego rodzaju pożegnalny prezent dla ciebie. Dzięki niemu nigdy byś się nie nudził. Ale teraz, niestety, plan uległ zmianie. Muszę cię zabić.

– Zaczynasz się powtarzać.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz, Griffin? Gdzie twoja wściekłość, gdzie poczucie świętej misji? Nie pamiętasz, co zrobiłem Cindy? Mam ci powtórzyć, jak wyglądały ostatnie tygodnie jej życia?

– Cindy umarła w otoczeniu ludzi, którzy ją kochali. Nie wszyscy mają takie szczęście.

– Opowiedziałem jej każdy najdrobniejszy szczegół!

Griffin milczał. David zmarszczył brwi. Nie podobało mu się to. Gdzie się podziała złość? David potrzebował jej teraz. Liczył na nią. Gdzież ta wspaniała, bezmyślna nienawiść, która zawsze pchała tego przerośniętego detektywa do zrobienia czegoś głupiego?

– Próbowala zamknąć oczy, Griffin. Przytrzymałem jej powieki. Pokazywałem zdjęcia.

Griffin wciąż się nie odzywał. Patrzył Davidowi za plecy, na drzwi. Price obrócił się do tyłu, zobaczył tylko pusty korytarz i czym prędzej stanął z powrotem przodem do przeciwnika.

– Na co się gapisz? – zapytał. Znowu poczuł się niepewnie. Miał wrażenie, że przestaje panować nad sytuacją, chociaż nie wiedział dlaczego.

– Na nic.

– Już nikt ci nie został, Griffin. Zastrzeliłem tego twojego durnego kumpla. Tego chudego, jak mu tam? Watersa. Obawiam się, że już nie będziesz mógł mu złamać nosa. Włazł do piwnicy w złym momencie, więc go zabiłem.

Griffin milczał.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?! – wrzasnął David, wymachując nożem. – Zostałeś sam! Zabiłem twojego kumpla, znęcałem się nad Cindy. Zamordowałem dziesięcioro dzieciaków, a ty nie potrafiłeś mnie powstrzymać. Teraz wyrwałem się z mamra. Tak, w tym też mi pomogłeś. Dzięki ci, wielki sierzancie Griffinie.

– Gdzie Meg?

– Co? – David znowu poczuł niepewność. Coś tu nie grało. Sprawy nie przebiegały zgodnie ze scenariuszem. Miał pot na czole. I odczuwał... odczuwał dziwne zmęczenie. Cały ten wysiłek. Grał dobre przedstawienie. Co się, kurwa, stało z pierdoloną widownią?

– Gdzie jest Meg? – powtórzył Griffin.

– To bez znaczenia.

– Tak sądzisz? – zapytał Griffin.

– A co?

– Cóż, jeszcze nie udało ci się uciec, Davidzie. Pomyśl tylko. Tyle wysiłku i przygotowań włożyłeś w to, żeby wydostać się z więzienia, ale tylko po to, żeby wpaść w potrzask w swoim dawnym domu. Sporo się nabiegałeś, ale nic nie zyskałeś.

– Zamknij się.

Griffin wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz.

– Co się, kurwa, z tobą dzieje?! – wrzasnął David. – No, dalej, krzycz na mnie!!!

Griffin nie powiedział ani słowa. Tylko wciąż krążył i krążył, i krążył.

A David... David nie wytrzymał. Coś się w nim załamało. Jakby w mózgu pękło mu naczynie z ludobójczą furią. Uniósł rękę nad głowę i natarł wściekle na Griffina. Musiał go zabić. Po prostu musiał zadźgać tego człowieka o kamiennej twarzy, spokojnym głose i przenikliwym, chłodnym spojrzeniu. Kurwa, po tylu miesiącach planowania należała mu się lepsza widownia.

David wrzasnął na całe gardło i natarł...

Griffin wyciągnął zza pleców pistolet i strzelił mu w pierś. Najpierw raz, potem drugi i trzeci. David Price padł na podłogę. I już nie wstał.

Trzydzieści sekund później do pokoju wszedł Fitz, który pilnował na korytarzu Meg. Pochylił się nad ciałem Davida, stwierdził brak pulsu i podniósł wzrok na Griffina.

– Świetnie to rozegrałeś – zauważył ponuro.

– Nauczyłem się od samego mistrza – odrzekł Griffin.

Wyszedł na zewnątrz, Fitz i Meg za nim. Karetki już stały przed domem, migały światła, wyły syreny. Zabawne, że nie słyszał, jak nadjeżdżały. W sypialni na górze świat był taki mały, ograniczał się tylko do Davida Price'a i jego własnej przeszłości.

Zza domu wyłoniła się Jillian. Właśnie wróciła z drugiego końca podwórza, dokąd pobiegła, udając uciekającą Meg Pesaturo. Miała rumiane policzki, rozwiane włosy, jej ubranie było poplamione krwią. Pomyślał, że nigdy nie wyglądała lepiej. Spojrzała na niego z uniesioną głową. Otwarcie i z dumą. Meg podbiegła do niej i rzuciła jej się na szyję. Jillian przytuliła ją mocno, głaszcząc jej włosy.

Griffin podszedł do karetki, do której właśnie ładowano leżącego na noszach Watersa. Mike miał na twarzy maskę tlenową, ale był przytomny.

– Co z nim? – zapytał Griffin.

– Musimy go zawieźć do szpitala – odpowiedział sanitariusz.

– Zaopiekujcie się nim dobrze.

– Oczywiście.

– Mike...

Waters spróbował unieść kciuk. Po chwili nosze zostały załadowane. Zatrzasnęły się drzwiczki i karetka ruszyła.

Nadjechały policyjne radiowozy. Jeszcze więcej migających świateł, jeszcze głośniejsze wycie syren.

Griffin stał pośrodku chaosu swojej dawnej okolicy, swojego dawnego życia. Spojrzał na Meg. Na Jillian. Popatrzył w okno sypialni na piętze, gdzie leżały teraz zwłoki Davida Price'a. I wyszeptał:

– Kocham cię, Cindy.

Dan siedział zgarbiony w poczekalni oddziału intensywnej terapii i przeczesywał nerwowo włosy. Minęło trzydzieści minut.

Otworzyły się drzwi. Dan podniósł wzrok na ubranego w biały fartuch lekarza.

– Żona chce się z panem widzieć.

– Słucham?

– Pańska żona... nieźle nas wystraszyła. Na szczęście udało nam się ją uratować. Ale najważniejsze, że odzyskała w końcu przytomność.

– Co?

– Czy chce się pan z nią zobaczyć, panie Rosen?

– Tak, tak.

Dan przeszedł przez korytarz. Wszedł do pokoju. W szpitalnym łóżku leżała blada, lecz przytomna Carol. Nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie potrafił się ruszyć.

– Kochanie – wyszeptał.

– Usłyszałam twój głos.

– O Boże, myślałem, że cię straciłem.

– Usłyszałam twój głos. Powiedziałeś, że mnie kochasz.

– Bo kocham, Carol. Naprawdę. Nigdy nie kochałem innej kobiety. Uwierz mi. Popęliłem wiele błędów, ale nigdy, nigdy nie przestałem cię kochać.

– Dan?

W końcu udało mu się ruszyć. Podeszedł nieśmiało do łóżka. Teraz była przytomna, pamiętała wszystko, co zrobił. Ile razy ją zawiódł. Była przytomna, a on nie był dobrym mężem i...

Carol wzięła go za rękę.

– Dan – szepnęła. – Ja też cię kocham.

EPILOG: JILLIAN, CAROL I MEG

– A co z tą szafą? Pod młotek czy zostaje? – Pod młotek.

– A lampka?

– Z całą pewnością pod młotek.

– No, nie wiem. Mnie się nawet podoba – odezwała się Meg. Carol przewróciła oczami i spojrzała na Jillian w poszukiwaniu poparcia.

– Taka lampa nie pasuje do pokoju w akademiku – powiedziała Jillian do Meg. – Spójrz tylko na te złote girlandy.

– Bzdura, wszystko pasuje do pufiastych taboretów i prostego, nowoczesnego biurka. O ile się nie mylę, to się nazywa eklektyzm – zaprotestowała Meg, ale mimo to posłusznie przyczepiła do lampy karteczkę z numerkiem. Już od dwóch godzin próbowała wybrać coś z rzeczy, które Dan i Carol wystawiali na aukcję. Na szczęście większość ciężkich antycznych mebli nie zmieściłaby się w pokoju akademika Providence College, do którego Meg wkrótce się przeprowadzała.

– Następny pokój? – zapytała Jillian.

– Tak – zgodziła się Carol.

– Na pewno?

– Na pewno.

Wszystkie trzy wyszły z sypialni i ruszyły w głąb korytarza. Mijając schody, usłyszały dobiegające z dołu głosy ich rodzin. Dan i Tom zajmowali się porządkowaniem narzędzi w piwnicy, ale Laurie, Toppi i Libby okupowały kuchnię. Kiedy Jillian ostatnio tam zaglądała, zatrudniły Griffina do pozdejmowania wszystkich naczyń z najwyższych półek. Gdy tylko włożył jakiś talerz do jednego pudełka, natychmiast prosiły, żeby przełożył go do innego. Wtedy Griffin ruszał filuternie brwiami i puszczał oko do Molly, a następnie robił, co mu kazano. Molly świetnie się przy tym bawiła i nawet teraz na piętrze słychać było jej radosne wybuchy śmiechu, gdy Griffin wykonywał swoją najnowszą herkulejską pracę.

Molly miała się ostatnio doskonale i zadawała zaskakująco mało pytań na temat dziwnej wycieczki do parku przed sześcioma miesiącami. Za to Meg była bledsza, wyraźnie schudła. Fizycznie zdążyła już dojść do siebie po porwaniu, podobnie jak detektyw Waters. Lecz odzyskawszy pamięć, zaczęła mieć koszmary, nocne ataki paniki. Z trudem, bo z trudem, ale jednak sobie radziła. Na ostatnim spotkaniu Klubu Ocalonych powiedziała Jillian i Carol, że odzyskała swoje życie i nie zamierza unikać związanych z nim problemów. W przyszłym miesiącu miała wrócić do college'u, żeby zdobyć dyplom. Ojciec wciąż starał się wynegocjować prawo do dzwonienia do niej każdego wieczoru i możliwość wynajęcia uzbrojonej ochrony, ale tego można się było spodziewać. Poza tym na swój sposób Tom był naprawdę uroczy.

Jillian, Carol i Meg stanęły przed zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza. Ostatni pokój do obejrzenia. Ten pokój.

– Na pewno chcesz tam wejść? – zapytała znowu Jillian. – Meg i ja możemy to zrobić za ciebie.

– Dan też mi to zaproponował – wyszeptała Carol.

– Może powinnaś się zgodzić.

– Zastanawiałam się nad tym. Wiem, że chciałby mi bardziej pomagać.

Jillian i Meg nic nie powiedziały. Carol potrząsnęła głową.

– Odpowiem wam tak samo jak jemu. Powinam to zrobić. W końcu to tylko zwykły pokój. I to w domu, który nawet już do mnie nie należy. Nowi właściciele wprowadzają się za tydzień. Wniosą tu własne meble, własne marzenia. Jeżeli oni mogą sobie z tym pokojem poradzić, to ja też mogę.

Jillian wątpiłaby istotnie tak było, ale uznała, że nie powinna tego mówić. Otworzyła drzwi do zakurzonego, mrocznego pokoju, a potem dała Carol chwilę na zebranie sił.

Sypialnia nie była używana od ponad półtora roku. Powietrze pachniało stęchlizną, rogi ścian pokrywały wielkie, misternie utkane pajęczyny, na podłogowych deskach zalegała gruba warstwa kurzu. Duchy przeszłości doskonale pasowały do tego miejsca. Jillian spojrzała na kute z żelaza małżeńskie łóżko i po raz pierwszy naprawdę zrozumiała, co Carol musiała przeżyć. Wyobrażała sobie mężczyznę wkradającego, się przez okno pod osłoną nocy. Mężczyznę bijącego, kneblującego, wiążącego jej ciało. Kobiętę, która krzyczy, a mimo to nie wydaje z siebie żadnego głosu.

Kobietę gwałconą w miejscu, w którym miała wszelkie prawo czuć się bezpiecznie.

Meg chwyciła Jillian za rękę. Carol weszła do środka, zapaliła światło i nagle zły czar prysł. Pokój okazał się zwykłym pokojem. Pokojem, który potrzebował solidnego sprzątnięcia.

– Wszystko w tej sypialni – oznajmiła spokojnie Carol – idzie pod młotek.

Dwadzieścia minut później wyszły na korytarz. Carol westchnęła i usiadła na podłodze. Po chwili Jillian i Meg uczyniły to samo.

– Nie żałujesz? – zapytała łagodnie Jillian. Carol otworzyła oczy.

– Szczerze? Nie tak bardzo, jak myślałam.

– To piękny dom – powiedziała Meg. – Powinnaś być dumna z tego, co z nim zrobiłaś.

– I jestem. Ale wiesz, to tylko dom. Poza tym oprócz miłości, którą włożyłam w jego renowację, wydarzyło się tu sporo złego. Muszę się uwolnić od złych wspomnień. Chcemy zacząć od nowa. Danowi przydadzą się pieniądze. Zresztą nasz nowy dom też jest ładny, tylko mniejszy. Już zaczęłam się zastanawiać nad remontem. Wyburzy się ścianę w salonie, doda parę okien i będziemy mieli fantastyczny, słoneczny pokój tuż obok kuchni. Trzeba dodać trochę zieleni, wycyklinować podłogi...

Urwała. Jillian i Meg uśmiechały się do niej.

– Jesteś niereformowalna – powiedziała Jillian.

– Daj spokój. Po prostu lubię domy. Jak każda kura domowa. Uniosła dumnie głowę i wszystkie wybuchnęły śmiechem.

– Jak Dan radzi sobie w nowej pracy? – zapytała Jillian.

– Nie najgorzej. Ma mniejszą swobodę, ale za to mniej się denerwuje, niż gdyby prowadził własną kancelarię. Poza tym, bądźmy szczerzy, potrzebujemy pieniędzy.

– Aukcja na pewno podreperuje wasz budżet – powiedziała Meg.

– Tak. Dzięki zmianie domu na mniejszy, nowej pracy Dana i pieniądzom, jakie zarobię na pół etatu, pod koniec roku wyjdziemy z długów. – Uśmiechnęła się smutno. – Myśleliśmy, że kiedy dobijemy czterdziestki, nasze życie będzie wyglądało trochę inaczej. Nie mamy oszczędności, funduszy emerytalnych ani ogródka z białym drewnianym płotem.

– Dan chodzi na spotkania Anonimowych Hazardzistów?

– Tak, on chodzi na spotkania, a ja do psychoanalizy.

– Ale nowy dom jest zapisany na twoje nazwisko? – upewniła się Jillian.

– Dan sam nalegał, żeby tak było. Samochód też należy do mnie i wiecie co? Mamy tylko jedną kartę kredytową, też na moje nazwisko. Więc nawet jeżeli się załamie i wstąpi do kasyna, to niewiele na tym stracimy.

– On się bardzo stara, Carol.

– Tak, naprawdę jestem z niego dumna. Nasze życie nie wygląda tak, jak je sobie wyobrażaliśmy, ale może tak powinno być. Kiedy mieliśmy wszystko, czego chcieliśmy, byliśmy nieszczęśliwi. Może teraz zaczniemy bardziej doceniać siebie nawzajem. Posiadać mniej, ale więcej mieć. Myślę, że... cóż... od czegoś trzeba zacząć.

– Kochasz go? – zapytała Meg.

– Jasne.

– To jesteś bardzo szczęśliwa.

Carol uśmiechnęła się, przekrzywiła głowę i spojrzała Meg prosto w oczy.

– A co u ciebie? Wciąż jesteś taka blada.

– To przez te koszmary – odpowiedziała Meg, krzywiąc się. – Wiesz, co jest najdziwniejsze? Ciągłe śni mi się Eddie Como. To on mnie prześladuje. Wiem, że to nie był on. Wiem, że to Ron Viggio, ale jakoś... Tak długo nienawidziłyśmy Eddiego, że chyba moja podświadomość nie potrafi się teraz przestawić.

– Eddie stał się symbolem – powiedziała Jillian.

– Właśnie.

Teraz wszystkie posmutniały. Wciąż z trudem przychodziła im rozmowa na temat Eddiego. Zbyt długo pałały do niego nienawiścią. Viggio wydawał się w porównaniu z nim tylko bladą abstrakcją. Biedny Eddie Como wrobiony w przestępstwa, których nie popełnił, a potem zamordowany tylko po to, żeby pewien stanowy detektyw poprowadził śledztwo.

Tawny zrezygnowała w końcu z procesu o odszkodowanie. Adwokat wytłumaczył jej, że nasienie Eddiego rzeczywiście znajdowało się na miejscach zbrodni, więc trudno było oskarżać policję o zaniedbania lub korupcję. Poza tym policja znalazła program komputerowy, za pomocą którego Ron Viggio zmontował film, którym nastraszył Jillian. Był to kolejny dowód na to, że Eddie został wrobiony przez szaleńca. Tak czy inaczej, okazało się, że Eddie nie zrobił nic złego poza tym, że znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Tak jak Jillian, Carol i Meg. Był ofiarą.

Dwa miesiące temu wszystkie trzy poszły z kwiatami na jego grób. Tylko tyle mogły teraz zrobić. Po tamtej wizycie Jillian wypisała małemu Eddiemu jeszcze jeden czek – na naukę w college'u.

– Przynajmniej nie będzie żadnego procesu – odezwała się Meg.

– Dzięki Bogu – westchnęła Carol.

Jillian podchodziła do tego bardziej rzeczowo.

– Nedowi D'Amato byłoby trudno prowadzić sprawę. obrońca Viggia wciąż by powtarzał „Eddie”, „Eddie”, „Eddie” i przysięgli mogliby się pogubić. Przyznanie się do winy to prawdopodobnie najlepsze wyjście dla nas wszystkich.

– Chłodna, opanowana Jillian – zauważyła z uśmiechem Carol.

Jillian spochmurniała.

– On zabił moją siostrę, Carol. Wolałabym proces. Wolałabym usłyszeć, że dwunastu przysięgłych uznało go za winnego. I może to by nam pomogło, może w ten sposób łatwiej skupiłybyśmy nienawiść na właściwym człowieku.

– Viggio nigdy nie wyjdzie z więzienia – odezwała się Meg.

– Tak, ale gdyby zginął jak David Price...

Przyznając się do winy, Viggio opowiedział o szczegółach swojej współpracy z Price'em. Aż ciarki przechodziły po plecach, gdy się słuchało, jak mówił, że uświadomił sobie, iż musi wymyślić doskonały sposób popełniania gwałtów. Jak podszedł w więzieniu do Davida Price'a i jak obaj opracowali plan idealnej zbrodni. Viggio już podczas poprzedniego popytu za kratkami słyszał o Korporate Klean. Wśród więźniów krążył dowcip, że gdy już wyjdą na wolność, jedyną pracą, na jaką mogli liczyć, było sprzątanie po onanistach. Wszyscy wiedzieli, że Korporate Klean ma kontrakt z bankiem spermy.

Od tamtego momentu wszystko zaczęło się układać. Viggio wypatrzył Eddiego w poczekalni. Uznawszy go za odpowiedniego sobowtóra, podszedł do niego i zagadał. Eddie powiedział mu, że pracuje w Centrum Krwiodawstwa i musi zarobić dodatkowe pieniądze, bo jego dziewczyna spodziewa się dziecka. Viggio zaczął śledzić Eddiego i zdał sobie sprawę, że punkty krwiodawstwa w kampusie stanowią doskonały teren poszukiwań ofiar. Mógł atakować piękne, wrażliwe na problemy społeczne studentki i przez to jeszcze bardziej pogrążyć Eddiego. Napisał o tym do Davida Price'a, który zaproponował użycie lateksowych opasek, a także dobrodusznie zasugerowałby wybrać Meg na pierwszą ofiarę. „Dojazdy próbnej”, jak się wyraził.

W ten sposób nawet gdyby Viggio coś spartaczył, Meg prawdopodobnie nie zgłosiłaby się na policję, wstydząc się związku z Davidem Price'em, którego nazwiska Viggio nie omieszkiał wspomnieć podczas gwałtu. Amnezja Meg nie stanowiła części planu, ale też nie naraziła go na szwank.

Viggio wybierał swoje ofiary, a potem je śledził. Na Carol zdecydował się w ostatniej chwili, lecz czuł się bezpiecznie, bo obserwując okolicę, zauważył, że samochód jej męża nigdy nie stoi na podjeździe. Trish spełniała kryteria – studentka, oddawała krew i mieszkała samotnie. Pojawienie się Jillian zaskoczyło go, ale jakoś sobie poradził.

W tym momencie w głosie Viggia słychać było wyraźną butę. Teoretycznie podczas gwałtów natrafił na trzy trudności – utratę pamięci przez Meg, nagły wybór Carol na ofiarę oraz niespodziewane nadejście Jillian – jednak żadna z tych okoliczności nie zdołała go powstrzymać. Był niezwyknięty. Później kobiety dotarły do prasy i telewizji, ale to też nie miało znaczenia. Policja zrobiła to, czego od niej oczekiwał. Aresztowała Eddiego Como. Można więc było przystąpić do drugiej fazy planu.

Oczywiście udział Davida nie mógł być darmowy. Price uznał, że wrobienie Como stanowi znakomitą okazję do ucieczki z więzienia, Viggio miał wynająć płatnego zabójcę, zabić go, a potem dokonać kolejnego gwałtu, zostawiając na miejscu nasienie Eddiego. Nowy gwałt wywoła panikę, a wtedy David wystąpi ze swoją propozycją wydania sprawcy. Później wystarczyło tylko zorganizować ucieczkę z więziennej furgonetki i byłby znowu wolny.

Viggio miał, rzecz jasna, wątpliwości. Ale gdy zdał sobie sprawę, że może zabić Price'a w taki sam sposób, w jaki się pozbył płatnego zabójcy, przystał na propozycję. Zgodnie z instrukcjami Davida ukrył w jego ubraniu tabletkę Alka-Seltzer i drewniany wytrych. Później porwał Meg, żeby wyrzucić na policję dodatkową presję. I wreszcie przygotował samochód,

którym David miał uciec.

Nie ma potrzeby dodawać, iż Price nie zdawał sobie sprawy, że jego wspólnik zamontował w samochodzie bombę. Po śmierci Davida Viggio mógłby gwałcić studentki jeszcze przez wiele lat bez obaw, że ktoś go wyda. To był doskonały plan.

Wszystko szło jak po maśle, dopóki przed jego dom nie zajechała policja i detektyw Waters nie schwycił go na podwórku sąsiada. Teraz Viggio nigdzie się już nie wybierał.

A Carol, Jillian i Meg... Robiły wszystko, żeby wrócić do zdrowia.

Meg zwróciła się do Jillian.

– Twoja kolej – powiedziała. – Carol zaczyna nowe życie z Danem, ja borykam się ze swoją przeszłością. A co u ciebie?

– Nic specjalnego.

Carol i Meg wymieniły spojrzenia.

– Nie określiłabym sierżanta Griffina jako „nic specjalnego” – zauważyła Carol.

Jillian oblała się rumieńcem.

– Więc to tak – powiedziała Carol.

– Masz kosmate myśli!

– Jasne, że tak. Chodzimy z Danem do psychoterapeuty, który zabronił nam w tym miesiącu seksu.

Jillian i Meg spojrzały na nią z zaciekawieniem.

– I co? Pomaga? – zapytała Meg.

Tym razem Carol się zarumieniła.

– Właściwie... tak. Dzięki temu mogę się rozluźnić. Przedtem, kiedy Dan mnie dotykał, cała sztywniałam. Myślałam, że zaraz posunie się dalej, a ja nie jestem na to gotowa. Teraz wiem, że pocałunek będzie tylko pocałunkiem. Mogę się na tym skupić, a to pozwala mi zapomnieć o wszystkim innym. Nie jestem już w sypialni, nie jest ciemno, a telewizor nie jest wyłączony. Jestem tylko żoną całowaną przez męża. To... miłe. Nie uwierzycie, ale nawet chodzimy razem na randki.

– Chyba się rozplączę – szepnęła Meg, ocierając oczy. – Znowu się w sobie zakochujecie, a ja nawet nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się mieć normalny związek. Spójrzcie na mnie! Mam prawie dwadzieścia jeden lat, moja siostra jest tak naprawdę moją córką a moje życie seksualne ogranicza się do pedofila i gwałciela nasłanego przez pedofila. To chore!

– Molly jest twoją siostrą – powiedziała Jillian. – Sama uznałaś, że tak będzie najlepiej.

– Gdybym była jej mamą musiałby być jakiś ojciec, a ja już nigdy nie chcę o nim wspominać.

– W takim razie przestań się tym zadręczać. Molly jest twoją siostrą kochasz ją twoi rodzice ją kochają a ona jest szczęśliwa.

– O tak. Molly jest bardzo szczęśliwa.

– A co do reszty... Meg, miałaś zaledwie trzynaście lat, kiedy poznałaś Davida. A już na pewno nie możesz się winić za to, że zostałaś zgwałcona. Czyli popełniłaś tylko jeden błąd, w dodatku jako trzynastoletnia dziewczynka. Teraz masz prawie dwadzieścia jeden lat. Jesteś silna, wytrzymała, inteligentna. Na pewno sobie poradzisz.

Meg pociągnęła nosem.

– A co będzie, jeśli spotkam właściwego faceta, ale będę miała opory i on odejdzie?

– To będzie znaczyło, że nie był właściwym facetem – odparła Carol.

Meg spojrzała na Jillian.

– Ja nie zostałam zgwałcona – powiedziała Jillian.

– Ale zostałam zaatakowana.

– Mam... chwile słabości.

– Myślisz o siostrze – wyszeptała Meg.

– Tak.

– Biedna Jillian z poczuciem winy. Nie zamierzała się wypierać.

– Griffin powiedział mi kiedyś, że Trisha mnie kocha. Były to najważniejsze, najprawdziwsze i najtrudniejsze słowa, jakie usłyszałam.

– Ale to prawda – zauważyła Carol.

– Tak – poparła ją Meg.

Jillian uśmiechnęła się.

– Nie wiem dlaczego, ale zapomniałam o tym. Teraz staram się to sobie przypomnieć. Często myślę o chwilach, które razem spędziłyśmy... I dobrze mi to robi. A Griffin rozumie, że Trish jest częścią mnie, tak samo jak ja rozumiem, że Cindy jest częścią jego. Czasami o nich rozmawiamy. To pomaga.

– Szczęśliwy facet – powiedziała Carol z powagą.

– A ja jestem szczęśliwą kobietą. A co poza tym? Cóż, Libby też nieźle sobie radzi. Zauważyliście, jak z nim flirtuje? Przysięgam, że nie przywiązywała takiej wagi do swojego wyglądu od momentu, gdy się dowiedziała, że nasz listonosz nie jest żonaty.

– Uuuu, masz konkurencję! – zażartowała Meg.

– Griffin rzeczywiście ma do niej słabość. Ani się obejrzymy, a Libby dołoży nowe słowo do swojej książki: „przystojniak”.

Carol i Meg zachichotały. Jillian przewróciła oczami, ale też się uśmiechnęła. Ostatnimi czasy czuła się znacznie lepiej. Niekiedy łapała się na tym, że nuci w pracy pod nosem. Klienci zdawali się miłsi. Dni były bardziej słoneczne, a wieczory piękniejsze. Często brała Toppi i Libby na piknik do parku. Czasami wychodziła wcześniej z pracy, czasami się spóźniała. A raz kupiła wielką doniczkę z filodendronem tylko dlatego, że zobaczyła go w kwiaciarni i uznała, że jest śliczny. Podwładni dziwnie na nią patrzyli, ale nikt się nie skarżył.

– Skoro mowa o rodzinie – powiedziała Jillian.

– Powinniśmy dołączyć do reszty – zgodziła się Carol.

– Myślicie, że już skończyli robotę w kuchni? – zapytała Meg. – Może zamówimy pizzę.

Wszystkie zgodziły się, że czas coś przekąsić, i zeszły na dół. W kuchni Griffin trzymał na barana Molly, która zmiatała kurz z szafek.

– Jaka jestem wysoka! – krzyczała radośnie.

– No no no – powiedziała Meg.

Griffin postawił rozchichotaną dziewczynkę na ziemi, a ta natychmiast podbiegła do siostry i rzuciła się jej na szyję. Griffin miał na sobie džinsy i koszulkę z krótkimi rękawami, a poza tym kurz na lewym policzku i pajęczynę we włosach. Jillian musiała przyznać, że wygląda świetnie. Libby nawet się zarumieniła, kiedy rano pomagał jej wsiąść do samochodu.

Teraz jego błyszczące błękitne oczy patrzyły prosto na Jillian. Wieczorem przyjmowali na kolacji Watersa. Toppi bardzo się ucieszyła jego powrotem do zdrowia. Kupiła sobie nawet nową

sukienkę. Nigdy nic nie wiadomo.

Griffin rozłożył ramiona i uniósł uwodzicielsko brew. Jillian oczywiście udała, że odwraca obojętnie wzrok. W odpowiedzi Griffin przebiegł przez kuchnię i wziął ją na ręce.

Molly krzyknęła, Meg i Carol uśmiechnęły się. Libby dyskretnie odwróciła głowę.

A Jillian po prostu objęła go w pasie i przytuliła się do jego szerokiej piersi.

– Pizza! – zawołała Molly i wszyscy siedli do stołu.

PODZIĘKOWANIA

Lubię zbierać materiały do swoich powieści. Morderstwa, procedury śledcze, intrygi – wszystko to jest ogromnie ciekawe. Tym razem bawiłam się jeszcze lepiej niż zwykle, za co jestem głęboko wdzięczna detektywom policji stanowej Rhode Island. Są oni nie tylko wspaniałymi zawodowcami, ale także pełnymi dobrej woli, wspaniałomyślnymi i cierpliwymi ludźmi. Bez względu na to, czy chodziło o wyjaśnienie procedury uzyskiwania nakazu sądowego, czy też o zademonstrowanie działania nowego Automatycznego Systemu Identyfikacji Odcisków Palców, funkcjonariusze policji stanowej mimo natłoku zajęć odpowiadali na moje pytania, dając jednocześnie wyraz dumie ze swojej pracy. Od kiedy ich poznałam, żywię szczerzy podziw dla policji stanowej Rhode Island. Zaczęłam nawet przestrzegać ograniczeń prędkości. No, dobrze, może nie wytrwałam w tym postanowieniu zbyt długo, ale przecież próbowałam, a to dobitnie świadczy o ich sile perswazji.

Oczywiście skwapliwie wykorzystałam większość dostarczonych przez nich informacji. Jednak w powieści wyniki badań laboratoryjnych są dostarczane w oka mgnieniu oka, a postępy w śledztwie następują z prędkością bliską prędkości światła. Poza tym moi detektywi są odrobinę twardsi i mają większe doświadczenie w pracy nad zabójstwami niż ich prawdziwi odpowiednicy. Pamiętaj jednak, Drogi Czytelniku, że detektywi policji stanowej Rhode Island to postacie autentyczne. Ja zaś jako pisarka zajmuję się tworzeniem fikcji.

Chciałabym podziękować za pomoc przede wszystkim następującym funkcjonariuszom policji stanowej Rhode Island: pułkownikowi Edmondowi S. Culhane'owi juniorowi, pułkownikowi Stevenowi M. Parę, majorowi Michaelowi Quinnowi, inspektorowi Johnowi J. Leydenowi juniorowi, sierżantowi Johnowi Virgilio, sierżantowi Markowi Bilodeau, kapralowi Ericowi L. Crocemu i detektywowi Jamesowi Daugherty 'emu.

Pragnę także złożyć podziękowania sierżantowi Paulowi Kennedy 'emu i sierżantowi Napoleonowi Brito z policji miasta Providence. Oni także powitali mnie z otwartymi ramionami i podzielili się ze mną mnóstwem wspaniałych anegdotek. Przyznaję, że nie doceniałam w pełni historii ćwiartowania ciał w stanie Rhode Island, dopóki nie poznałam policjantów z Providence.

Jestem wreszcie głęboko wdzięczna za pomoc w pisaniu niniejszej książki następującym osobom:

Doktorowi Gregory'emu K. Moffattowi, wykładowcy psychologii w Atlanta Christian College, wspaniałemu przyjacielowi i bardzo mądrymu człowiekowi.

Albertowi A. Bucciemu z Departamentu Więziennictwa Stanu Rhode Island za wspaniały opis życia w zakładzie karnym.

Margaret Charpentier, farmaceutce i osobie, której można się wyplakać, oraz jej współpracownicze Katem Strąg.

Monique Lemoine, patologowi języka mówionego i dobrej duszy.

Kathy Hammond z Centrum Krwiodawstwa Stanu Rhode Island.

Jimowi Martinowi z Biura Prokuratora Generalnego w Rhode Island.

Członkom Towarzystwa Przyjaciół Providence.

Kathleen Walsh, asystentce, która wielokrotnie ratowała moje zdrowie psychiczne.

A także mojemu niezwykle tolerancyjnemu mężowi Anthony'emu. Tym razem od katastrofy uchroniły mnie jego czekoladowe ciasteczka.

Na koniec pragnę jeszcze zaznaczyć, że ponoszę wyłączną winę za wszystkie błędy. Wezmę także odpowiedzialność za wszystko, co ci się, Drogi Czytelniku, w tej powieści szczególnie spodoba.

Lisa Gardner